

**ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)**

NASZYJNIK KRÓLOWEJ

**TYTUŁO RYGINAŁU: MÉMOIRES D'UN MÉDECIN, II
LE COLLIER DE LA REINE
TLUM. LEON ROGALSKI**

TOM I

PROLOG

STARY PAN I STARY SŁUGA

Pewnego dnia, w początkach kwietnia 1784 roku, około godziny trzeciej po południu, nasz dawny znajomy, stary marszałek Richelieu, po uczernieniu brwi perfumowaną barwiczką odsunął lustro podtrzymywane przez kamerdynera — następcę, lecz nie zastępcę wiernego Rafté — wstrząsnął charakterystycznym ruchem głową i rzekł:

— Dość, już dobrze.

Wstał z fotela, strzepnął drobiny białego pudru, które spadły z peruki na błękitne aksamitne spodnie i przeszedł się kilka razy po gotowalni, by wyprostować nogi.

— Zawołajcie ochmistrza — rozkazał.

W pięć minut później ochmistrz stawiał się w stroju galowym. Z miną stosownie do sytuacji poważną marszałek zapytał:

— Spodziewam się, że obiad będzie dobry?

— Z pewnością, mości książę.

— Listę zaproszonych waści doręczono. Czy tak?

— Tak jest, mości książę, ma być dziewięć nakryć.

— Bywają nakrycia i nakrycia.

— Oczywiście, ale...

— Ale... to nie jest odpowiedź, mospanie. Ilekroć słyszałem to słowo — przykro mi, że muszę to powiedzieć — zawsze poprzedzało ono jakieś głupstwo.

— Wasza Książęca Mość!

— Zresztą, o której będzie obiad?

— Mieszczanie jadają o drugiej, palestra o trzeciej, szlachta o czwartej.

— A ja?

— Dziś książę pan będzie jadł o piątej.

— Oho, aż o piątej?

— Tak, mości książę, jak król.

— Dlaczego jak król?

— Na liście, którą miałem zaszczyt otrzymać, znajduje się imię królewskie.

— Bynajmniej, moi dzisiejsi goście to zwykła szlachta.

— Książę pan raczy żartować ze swego pokornego sługi, wielki to dla mnie zaszczyt, ale jednym z gości jest hrabia de Haga.

— Cóż z tego?

— Hrabia de Haga jest królem.

— Nie znam króla tego nazwiska.

— Niech mi książę pan przebaczy — odrzekł ochmistrz z niskim ukłonem — ale myślałem, przypuszczałem...

— Wać masz wypełniać rozkazy, nie zaś myśleć ani przypuszczać. Jeśli chcę, by coś wiedziano — mówię, jeśli nic nie mówię, chcę żeby nie wiedziano. Proszę, by obiad podany był o zwykłej godzinie, to jest punkt czwarta.

Marszałek dworu zbladł i zachwiał się jakby usłyszał wyrok śmierci.

— To niepodobieństwo — odpowiedział po chwili z odwagą rozpaczy. — Niech się dzieje wola boska, ale Wasza Książęca Mość siądzie do stołu dopiero o piątej.

— Mospanie — rzekł Richelieu podnosząc dumnie głowę — jak się zdaje, już dwadzieścia lat pełnisz u mnie obowiązki?

— Dwadzieścia jeden, dwa miesiące i dwa tygodnie.

— Otóż ani jednego dnia nie dorzucisz do tej liczby, ani nawet godziny. Rozumiesz waść? — dodał starzec przygryzając wargi i marszcząc malowane brwi. — Zaraz, od dziś wieczór, poszukasz sobie innego pana. Nie życzę sobie w moim domu słowa „niepodobieństwo”, to nie na mój wiek uczenie się znaczenia takich wyrazów. Nie mam na to czasu.

— Panie marszałku — rzekł sucho ochmistrz — byłem szafarzem u księcia de Soubise a intendentem u księcia kardynała Ludwika de Rohan. U pierwszego z nich Jego Królewska Mość nieboszczyk król Francji bywał na obiedzie raz na rok, u drugiego — cesarz niemiecki raz na miesiąc. Wiem zatem, jak się przyjmuje panujących. Chociaż Ludwik XV nazywał się u pana de Soubise baronem de Gonesse, a cesarz Józef u pana de Rohan — hrabią von Packenstein, zawsze był to król albo cesarz. Dzisiaj Wasza Księżęca Mość podejmować ma gościa, który używa nazwiska hrabia de Haga, tym niemniej jest królem Szwecji. Dziś jeszcze opuszczę pała pana marszałka, ale hrabia de Haga będzie traktowany po królewsku.

— Tego właśnie stanowczo zabraniam, mości uparciuchu! Hrabia pragnie zachować najściślejsze incognito. Do licha! Znam waszą głupią próżność, moi panowie w liberjach, nie o głowy koronowane wara chodzi, o wasz własny honor za nasze złoto.

— Czy książe na serio mówi mi o pieniądzach? — zapytał ochmistrz z przekąsem.

— Ach, nie, nie — odparł marszałek niemal upokorzony. — Któż, u diaska, mówi tu o pieniądzach. Proszę tylko i powtarzam, żeby nie mówiło się o królu.

— Za kogóż to książe marszałek mnie bierze? Czy ja nie wiem, co robię? Nikt słowa nie piśnie.

— Nie spieraj się zatem na próżno i podaj obiad o czwartej.

— Nie, mości książe, nie mogę; to, na co oczekuję, na czwartą jeszcze do nas nie dotrze.

— Oho! Jakież tam cuda obiecujesz?

— Nie cuda, mości książe.

— Więc na co czekasz, mówże!

— Na pewną butelkę wina.

— Na butelkę? Nie rozumiem.

— Dowiedziałem się, że Jego Królewska Mość, przepraszam, chciałem powiedzieć hrabia de Haga, pija jedynie tokaj.

— Jak to, czy w mojej piwnicy nie ma tokaju? Wypędzę natychmiast szafarza.

— Przeciwnie, mości książe, jest go tam jeszcze ze sześćdziesiąt butelek.

— I wyobrażasz sobie, że hrabia de Haga wypije przy obiedzie sześćdziesiąt i jedną butelkę?

— Cierpliwości, mości książe. Kiedy hrabia de Haga, jeszcze jako następca tronu, zwiedzał Francję po raz pierwszy, był na obiedzie u nieboszczyka króla jegomości, który otrzymał w darze od Jego Cesarskiej Mości dwanaście butelek tokaju pierwszego zbioru. Jak wiadomo tokaj taki rezerwuje się dla piwnic cesarskich i nawet panujący piją ten gatunek tylko wówczas, gdy cesarz zechce go przysłać. Otóż z tych dwunastu butelek wina, które tak smakowało królewiczowi, pozostały dzisiaj zaledwie dwie. Jedna w piwnicach króla Ludwika XVI...

— A druga?

— Otóż to, mości książe — odpowiedział ochmistrz z uśmiechem, czując, że po długiej walce nadchodzi chwila zwycięstwa — druga została wykradziona przez szafarza nieboszczyka króla... jednego z moich przyjaciół, który miał wobec mnie poważne zobowiązania.

— Ach, i on ci ją ofiarował?

— Nie inaczej — rzekł z dumą ochmistrz.

— I coś z nią, zrobił?

— Złożyłem pieczołowicie w piwnicy mojego ówczesnego pana, Jaśnie Oświeconego księcia kardynała Ludwika de Rohan.

— Mój Boże! W Strasburgu?

— W Saverne.

— I posłałeś po tę butelkę dla mnie?

— Dla Waszej Książęcej Mości — odpowiedział ochmistrz tonem, który zdawał się mówić: niewdzięcznik.

Richelieu chwycił rękę starego sługi wołając:

— Proszę cię, wybaczyć, mój kochany, jesteś królem marszałków dworu!

— A pan mnie wypędza — odparł ochmistrz wzruszając ramionami.

— A ja płacę waćpanu za tę butelkę sto pistołów.

— I sto pistołów na kosztą podróży, to razem uczyni dwieście. Przyzna książę pan, że to za bezcen.

— Przyznam, kochasiu, co zechcesz i od dzisiaj podwajam ci pensję.

— Nie, mości książę, nie trzeba, to był mój obowiązek.

— Kiedyż więc przybędzie ów posłaniec za sto pistołów?

— Niestety, mości książę, o winie pomyślałem dopiero onegdaj, w dzień po otrzymaniu listy zaproszonych. Posłaniec musi jechać dwadzieścia cztery godziny w jedną stronę, doliczmy jeszcze czas na pertraktacje... Ta godzina zwłoki jest mi koniecznie potrzebna.

— Boże wielki! A jeżeli kolega z Saverne jest tak oddany księciu de Rohan jak waść mnie?

— To i cóż, mości książę.

— Odmówi ci, jakbyś i ty zapewne uczynił.

— Ja, mości książę?

— Spodziewam się, że nie wydałbyś z piwnicy podobnej butelki.

— Najpokorniej przepraszam Waszą Książęcą Mość. Gdyby kolega mój zwrócił się do mnie w podobnych okolicznościach, posłałbym mu natychmiast najlepszą butelkę wina z naszej piwnicy.

— Ach tak! — skrzywił się książę.

— Ręka rękę myje.

— No dobrze — westchnął marszałek — a jeśli butelka się stłucze?

— Jeszcze nie było przypadku, żeby ktoś stłukł butelkę za dwa tysiące liwrow.

— Zostawmy to. O której więc przybędzie posłaniec?

— Punktualnie o czwartej.

— Można zatem podać obiad o czwartej — podjął marszałek uparty jak muł kastylski.

— Trzeba przynajmniej godziny, żeby się wino ustąpiło, a i to jeszcze przy pomocy pewnych, mnie tylko znanych, zabiegów. Inaczej wymagałoby to trzech dni.

Raz jeszcze pokonany marszałek skłonił się na znak przegranej.

— Zresztą — mówił dalej ochmistrz — goście wiedząc, że będą mieli zaszczyt obiadować z hrabią de Haga, przybędą dopiero o wpół do piątej.

— Ot i jeszcze coś nowego!

— Z pewnością, mości książę; wszak zaproszeni są pan de Launay, pani hrabina Dubarry, pan de la Pérouse, pan de Favras, pan de Condorcet, pan de Cagliostro i baron de Taverney.

— No i co z tego?

— Otóż rozpatrzmy wszystkich po kolei. Pan de Launay przybywa z Bastylli; z Paryża, po gołoledzi na drogach — trzy godziny.

— Tak, ale wyruszy zaraz po obiedzie więźniów, to znaczy w południe, już ja wiem...

— Bardzo przepraszam. Od czasu kiedy ksiązę siedział w Bastylii zmieniono tam godzinę obiadu, więźniowie jedzą teraz o pierwszej.

— Stale się czegoś uczymy. Dziękuję za wyjaśnienie. Co dalej?

— Pani Dubarry z Luciennes jedzie cały czas pod górę, przy takiej ślizgawicy!

— O, to jej nie przeszkodzi zjawić się punktualnie. Odkąd została faworytą zaledwie księcia, fochy królowej stroi tylko wobec baronów. Ale ze swej strony zrozum waść, proszę: chciałem, żeby obiad był wcześniej ze względu na pana de la Pérouse, który dziś wieczór wyjeżdża i nie może się spóźnić.

— Ksiązę panie, pan de la Pérouse jest teraz u króla, rozprawia o geografii... kosmografii. Król tak prędko pana de la Pérouse nie zwolni.

— To bardzo możliwe...

— To pewne, mości ksiązę. A to samo będzie z panem de Favras, który przebywa niewątpliwie u hrabiego Prowansji i omawia teraz sztukę pana Carona de Beaumarchais.

— *Wesele Figara?*

— Tak, mości ksiązę.

— Widzę, że jesteś waść niezwykle odcytany.

— Czytuje się w wolnych chwilach.

— Mamy jeszcze pana de Condorcet, który jako geometra zechce wyróżnić się punktualnością.

— Zagłębi się w rachunkach i na pewno się spóźni. Co do hrabiego Cagliostro, jako cudzoziemiec bawiący w Paryżu od niedawna i nie znający jeszcze obyczajów Wersalu — każe na siebie czekać.

— No — rzekł marszałek — oprócz Taverneya wymieniłeś wszystkich zaproszonych w porządku godnym Homera i mego biednego Rafté.

Ochmistrz ukłonił się.

— Gdzie waść podasz obiad?

— W wielkiej sali jadalnej.

— Ależ tam zmarzniemy!

— Od trzech dni pali się w piecach, jest stale osiemnaście stopni.

— Wyśmienicie. Ale już czwarta!

— Tak jest, i oto koń wpada na dziedziniec, jest moja butelka.

— Żeby tak jeszcze usługiwano mi ze dwadzieścia lat... — rzekł stary marszałek podchodząc do lustra, podczas gdy ochmistrz spieszył do swych zajęć.

— Dwadzieścia lat! — podchwycił głos roześmiany. — Dwadzieścia lat. Drogi marszałku, życzę ich panu z całego serca, ale wówczas będę już miała sześćdziesiątkę i będę okropnie stara.

— Ach, to pani, hrabino! — zawołał marszałek. — Pani pierwsza! Mój Boże, jak zawsze piękna i świeża!

— Po prostu zamrożona, ksiązę.

— Przejdźmy do buduaru.

— Co, sam na sam?

— We trójkę — odezwał się drżący głos.

— Taverney! — zawołał marszałek. — Do diabła z tym intruzem — szepnął do ucha hrabinie.

— Zarozumialec! — mruknęła pani Dubarry parszkając śmiechem.

I wszyscy troje przeszli do sąsiedniego pokoju.

LA PÉROUSE

W tej samej chwili głuchy turkot powozów po zaśnieżonym bruku obwieszczał przybycie gości i wkrótce potem dziewięciu biesiadników zasiadło przy owalnym stole w jadalni. Dziewięciu lokai — milczących, uprzedzająco grzecznych, lecz nie nadskakujących — uwijało się cicho nie dotykając gości ani nie potrącając foteli ustawionych na stosie futer.

Hałas z zewnątrz nie dochodził przez obite materią okiennice, wewnątrz — szmer czynili tylko biesiadnicy; nie szcęknęły przy zmianie talerze, nie brzęknęło srebro przenoszone z kredensu na stół; baczny na wszystko ochmistrz wzrokiem tylko wydawał rozkazy. Przy tak milczącej i niedostrzegalnej obsłudze gościom mogło się wydawać, że sami tylko znajdują się w sali.

Uroczyste milczenie, które trwa przy jedzeniu zupy, przerwał pierwszy pan de Richelieu zwracając się do sąsiada po prawej:

— Pan hrabia nie pije?

Zapytany wyglądał na mężczyznę lat trzydziestu kilku. Niewysoki, krępy blondyn miał jasnoniebieskie oczy z wyrazem niekiedy ożywienia, niekiedy melancholii. Z rysów przebijała powaga i szlachetność. — Pijam tylko wodę, panie marszałku — odpowiedział.

— U króla Ludwika XV — miałem tam zaszczyt obiadować wraz z panem — raczył pan hrabia pić wino.

— Przywołuje pan miłe wspomnienie, panie marszałku; tak, w roku 1771 piłem tokaj cesarski.

— Taki sam właśnie mój marszałek dworu ma honor nalewać w tej chwili panu hrabiemu — odpowiedział kłaniając się Richelieu.

Hrabia podniósł szklanką do światła i spojrzał na płyn mieniący się barwami rubinu.

— Prawda — rzekł — panie marszałku, dziękuję.

Słowo „dziękuję” wypowiedział tonem tak ujmującym i pełnym godności, że obecni jak zelektryzowani zerwali się jednocześnie wołając:

— Niech żyje król!

— A tak — rzekł hrabia de Haga — niech żyje Najjaśniejszy Pan, król Francji! Wszak jesteś tego samego zdania, panie de la Pérouse?

— Panie hrabio — odpowiedział kapitan dwornym i pełnym szacunku tonem człowieka, który przywykł rozmawiać z głowami koronowanymi — opuściłem króla przed godziną, a był dla mnie tak łaskawy, że nikt chyba nie zawoła głośniejsze: „Niech żyje król!” Jednakże już za godzinę będę w drodze ku morzu, gdzie czekają na mnie dwa powierzone mi okręty i zanim odjadę proszę pozwolić, że wzniosę okrzyk na cześć innego króla, któremu szczerze pragnąłbym służyć, gdybym nie posiadał tak dobrego pana.

— Zdrowie to — odezwała się pani Dubarry siedząca po lewej ręce marszałka — gotowi jesteśmy z ochotą spełnić wszyscy. Ale powinien je wnieść najstarszy wiekiem.

— Czy to w ciebie godzi, Taverney, czy może we mnie? — rzekł śmiejąc się marszałek.

— Nie wydaje mi się — wtrącił się gość siedzący na wprost marszałka.

— Co się panu nie wydaje, panie Cagliostro? — zapytał hrabia de Haga spoglądając przenikliwie na mówiącego.

— Nie wydaje mi się — odpowiedział z ukłonem zapytany — jakoby pan de Richelieu był wśród nas najstarszy.

— Doskonale — rzekł książę. — Okazuje się, że to ty, Taverney!

— Skądże znowu, jestem od ciebie młodszy o osiem lat. Urodziłem się w 1704 roku — zauważył stary baron.

— Niegodziwy — oświadczył marszałek — wydał moje osiemdziesiąt osiem lat.

— Doprawdy, książę ma osiemdziesiąt osiem lat? — zapytał Condorcet.

— Tak, niestety tak. Łatwy to rachunek a przeto niegodny tak tęgiego rachmistrza jak pan, panie markizie. Pochodzę z zeszłego wieku, z wielkiego wieku, jak się to mówi. 1696 — to mi data.

— Niemożliwe — rzekł de Launay.

— Ba, gdyby tu był ojciec pana gubernatora Bastylli, nie powiedziałałby „niemożliwe”. Byłem jego pensjonariuszem w 1714 roku.

— Oświadczam — rzekł pan de Favras — że najstarsze wiekiem jest tutaj wino, które nalewa sobie w tej chwili pan hrabia de Haga.

— Tokaj liczący lat sto dwadzieścia, masz pan słuszość, panie de Favras — odpowiedział hrabia. — Godzi się takim winem wznieść zdrowie królewskie.

— Chwileczkę, panowie — przerwał podnosząc głowę Cagliostro — ja protestuję.

— Protestujesz pan przeciw prawu starszeństwa tokaju? — zawołali chórem biesiadnicy.

— Oczywiście — rzekł spokojnie hrabia — ponieważ sam własnoręcznie pieczętowałem go w tej butelce.

— Pan?

— Tak, ja. A to w dzień zwycięstwa odniesionego przez Montecuculli nad Turkami w 1664 roku.

Słowa, które Cagliostro wygłosił z niezamąconą powagą, przyjęto wybuchem śmiechu.

— W takim razie — odezwała się pani Dubarry — masz pan coś około lat stu trzydziestu, bo musiałeś mieć przynajmniej dziesięć, żebyś mógł przelać to pyszne wino do tak wielkiej butli.

— Miałem wtedy, pani hrabino, lat znacznie więcej, skoro nazajutrz Jego Cesarska Mość polecił mi złożyć powinszowanie Montecuculliemu, który zwycięstwem pod Saint-Gothard pomścił bitwę pod Espach w Slavonii, kiedy to niewierni pobili na głowę moich przyjaciół i towarzyszy broni z 1536.

— Aha — rzekł hrabia de Haga równie chłodno jak przedtem Cagliostro — i już w tej epoce miałeś pan co najmniej dziesięć lat, skoro osobiście brałeś udział w tej pamiętnej batalii.

— Straszna to była klęska, panie hrabio — odparł z ukłonem Cagliostro.

— Mniej okrutna jednak niż klęska pod Crécy — dorzucił złośliwie Condorcet.

— Prawda, panie — rzekł z uśmiechem Cagliostro — przegrana pod Crécy była czymś okropnym, tam nie tylko armia, ale Francja została pobita. Trzeba jednak przyznać, że zwycięstwo Anglików nie było całkowicie uczciwe. Król Edward posiadał armaty, o czym Filip Walezjusz nie wiedział, a raczej czemu nie chciał wierzyć, choć przestrzegałem go, że sam widziałem cztery działa zakupione u Wenecjan.

— O! — zawołała pani Dubarry. — Znałeś pan Filipa Walezjusza a?

— Miałem zaszczyt być jednym z piątki panów, którzy trzymali przy nim straż w odwrocie z pola bitwy.

— Mój Boże! — powiedział la Pérouse. — Nie uwierzy pan, jak żałuję, że zamiast pod Crécy nie byłeś pod Actium.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mógłby mi pan wyjaśnić pewne subtelnosci natury żeglarskiej, których dotąd nie rozumiem mimo pięknego opisu Plutarcha.

— Jakich szczegółów? Będę szczęśliwy, jeśli zdołam być w czymś użyteczny.

— A więc byłeś pan i tam?

— Nie, panie, byłem wtedy w Egipcie. Królowa Kleopatra poleciła mi uporządkowanie biblioteki w Aleksandrii — rzeczy tej dokonać mogłem lepiej od innych, ponieważ znałem osobiście najwybitniejszych autorów starożytności.

— I pan widziałeś królową Kleopatę, panie Cagliostro?! — zawołała hrabina Dubarry.

— Jak teraz widzę panią.

— Czy istotnie była tak piękna, jak mówią?

— Pani hrabino, piękność to rzecz względna. Kleopatra była mała, szczupła, żywa, bystra; oczy miała duże, migdałowe, nos grecki, ząbki jak perełki, a rękę jak pani hrabina, rękę stworzoną do trzymania berła. Proszę, ten oto diament otrzymałem od niej, nosiła go zawsze na wielkim palcu.

— Jak to, na wielkim palcu? — zawołała pani Dubarry.

— Taka była moda w Egipcie; ja zaś ledwie mogę go wsunąć na mały palec.

I zdjawszy pierścień podał go pani Dubarry.

Był to wspaniały diament tak czystej wody i tak pięknie rżnięty, że można było go ocenić na trzydzieści do czterdziestu tysięcy franków. Pierścień obiegił dokoła stołu i wrócił do Cagliostro, który włożył go spokojnie na palec.

— Widzę doskonale — rzekł — że państwo mi nie wierzycie. Z tym nieszczęsnym niedowierzaniem walczyłem całe życie. Filip Walezjusz nie wierzył mi, gdym radził, by pozwolił na odwrót Edwardowi; Kleopatra nie chciała wierzyć, gdy mówiłem, że Antoniusz zostanie pokonany; Trojanie nie wierzyli, gdy w sprawie drewnianego konia uprzedzałem: „Słuchajcie Kassandry”.

— Ależ to cudowne — powiedziała pani Dubarry zanosząc się od śmiechu. — Nie widziałam jeszcze człowieka równie poważnego i równie przy tym zabawnego jak pan.

— Ręczę pani — rzekł Cagliostro — że Jonatan był znacznie zabawniejszy ode mnie. Cóż to był za uroczy towarzysz, omal nie oszalałem, kiedy go Saul zabił.

— Wiesz, hrabio — zauważył książę Richelieu — jeśli będziesz mówić tak dalej, przyprawisz o szaleństwo biednego Taverneya, który tak obawia się śmierci i który spogląda na pana z przerażeniem, bo przypuszcza, że jesteś nieśmiertelny. Powiedz zresztą otwarcie: jesteś, czy nie?

— Czy jestem nieśmiertelny? Nie wiem. Mogę tylko ręczyć za jedno: widziałem wszystko i brałem udział we wszystkich wydarzeniach, które przed chwilą wymieniłem.

— Znałeś pan Kleopatę?

— Znałem, pani hrabino, Kleopatę. Mówiłem już, że miała oczy czarne jak pani i pierś prawie tak śnieżną jak pani.

— Ależ, hrabio, skąd wiesz jakie mam piersi?

— Podobne miała Cassandra, a dla pełniejszego podobieństwa masz pani, jak tamta, małe czarne znamię na wysokości szóstego lewego zębra.

— Hrabio, jesteś chyba czarownikiem?

— Nie, pani — odezwał się Richelieu — to ja mu powiedziałem.

— A pan skąd wie? Marszałek wydał wargi.

— Hm, to sekret rodzinny.

— Pięknie, pięknie — powiedziała pani Dubarry. — Naprawdę, jadąc do pana, marszałku, trzeba nakładać podwójną warstwę różu.

Potem zwracając się do Cagliostro:

— Posiadasz pan chyba tajemnicę wiecznej młodości, bo w wieku trzech czy czterech tysięcy lat wyglądasz najwyżej na czterdzieści?

— Tak, pani, posiadam sekret odmładzania.

— O panie! Uczyni mnie młodą!

— Panią? To niepotrzebne, cud już się dokonał. Ma się tyle lat, na ile się wygląda, a pani wyglądasz na trzydziestkę. Zresztą pani już używała mojego środka.

— Jak to?

— Zążywała pani mój eliksir.

— Ja?

— Pani, hrabino. Przypomina sobie pani pewien dom przy ulicy Saint–Claude, chodziła tam pani w sprawach niejakiego pana de Sartines. Przypomina sobie pani, że oddałaś przysługę jednemu z moich przyjaciół, Józefowi Balsamo i że tenże podarował pani flakon eliksiru z zaleceniem zążywania co rano trzech kropli. Zlecenie to wypełniałaś aż do zeszłego roku, do czasu kiedy eliksiru zabrakło. Jeśli nie pamiętasz, pani, o tym — to już nie zapomnienie, to już niewdzięczność.

— Panie Cagliostro! Mówisz pan takie rzeczy...

— Których nikt nie wie. Ale cóż by wart był czarownik, gdyby nie znał sekretów bliźniego.

— A zatem Józef Balsamo, tak jak i pan, posiadał receptą na ten cudowny eliksir?

— Nie, pani, lecz jako jednemu z najlepszych przyjaciół dałem mu trzy czy cztery flaszki.

— Dość, dość, hrabio, zostawcie te dusery, błagam! — zawołał marszałek. — Sekret, o sekret nam chodzi!

— Jeśli zatem — mówił dalej — pani hrabina nie jest dość stara, żeby ją odmłodzić, przedstawię panu inny obiekt. Mój przyjaciel Taverney. Co pan na to? Wygląda na rówieśnika Poncjusza Piłata. Ale może on znowu za stary?

— Wcale nie — rzekł Cagliostro spojrzawszy na barona.

— Drogi hrabio — zawołał Richelieu — jeżeli go odmłodziysz, ogłoszę cię uczniem Medei.

— Życzysz pan sobie? — zapytał Cagliostro zwracając się do gospodarza, ale rozglądając po słuchaczach.

Wszyscy przytaknęli.

— A pan, panie Taverney?

— Do licha! Bardziej od nich.

— Dobrze — rzekł Cagliostro.

Wydobył z kieszeni małą, ośmiokątną flaszeczkę, wlał kilka kropel do czystej, kryształowej szklanki, dołał do połowy mrożonego szampana, zmieszał i podał baronowi.

Baron wziął szklankę, ale podnosząc do ust zawahał się. Na ten widok rozległ się śmiech ogólny, a Cagliostro zniecierpliwiony zawołał:

— Pośpiesz się, baronie, zmarnujesz napój, którego każda kropla warta jest sto luidorów!

— Do diabła! — rzekł Richelieu niby żartując. — To nie to samo, co tokaj.

— Wypić? — zapytał baron ze drżeniem.

— Lub oddać drugiemu, niechże ktoś skorzysta.

Baron powąchał i zachęcony widocznie balsamicznym zapachem oraz pięknym różowym kolorem, na jaki zabarwił się szampan, wypił napój magiczny.

W tej chwili wydało mu się, że dreszcz przeszywa jego ciało, a krew poczyna żywiej pulsować. Wyglądziła się pomarszczona skóra, oczy blask odzyskały, ustało drżenie rąk, głos wzmacnił się, a zwiotczałe mięśnie nabrały elastyczności.

Po sali rozległ się krzyk zdumienia i podziwu. Taverney, który ledwo dotąd żuł dżiasłami, poczuł głód. Przysunął sobie talerz, nałożył potrawki i chrupiąc kostki kuropatwy oznajmił, że odrosły mu zęby dwudziestolatka. Ku zadziwieniu obecnych przez pół godziny jadł, pił, śmiał się z radości, potem z wolna zaczął przygasać jak płomień lampy, w której zabraknie oliwy. Stracił apetyt, zgarbił się, czoło pokryły zmarszczki, wzrok zmętniał.

— Boże! — jęknął. — Już po młodości! I dwie łzy spłynęły mu po policzkach.

Na ten smutny widok starca, odmłodzonego najpierw i znowu tak postarzałego, z piersi wszystkich obecnych wydarło się westchnienie.

— To bardzo proste, panowie — rzekł Cagliostro — nalałem baronowi trzydzieści pięć kropeł eliksiru życia i na tyleż minut odmłodził.

— O! Jeszcze, jeszcze, hrabio — mamrotał chciwie starzec.

— Nie, panie, druga próba mogłaby pana zabić — odparł Cagliostro.

Pani Dubarry, znająca z własnego doświadczenia zalety eliksiru, śledziła tę scenę z największą ciekawością. W miarę jak Taverney młodził, hrabina śmiejąc się i klaszcząc jakby odradzała się na sam widok. W pewnej chwili wydawało się, że skoczy i wyrwie z rąk Cagliostrowi życiodajny flakon. Ale gdy Taverney postarzał się znowu, rzekła smutnie:

— Niestety, wszystko to urojenie, cudowny skutek trwał zaledwie trzydzieści pięć minut.

— Chcąc zyskać dwa lata młodości — odezwał się hrabia de Haga — należałoby chyba wypić całą rzekę.

Roześmieli się wszyscy.

— A jednak mała buteleczka, może cztery razy większa niż pański flakon, wystarczyła mi, żeby powstrzymać bieg czasu przez lat dziesięć.

— Słusznie, hrabino. Trafia pani w sedno tajemniczej rzeczywistości. Człowiek, który zanadto się zestarzał, potrzebuje znacznej ilości, żeby skutek był natychmiastowy i odpowiednio silny. Ale kobieta trzydziestoletnia, jak pani, albo mężczyzna czterdziestoletni, jakim byłem, kiedy zacząłem używać eliksiru życia, ludzie w pełni sił i młodości potrzebują tylko dziesięciu kropeł w każdym okresie dekadencji, żeby zachować wieczną młodość i energię.

— Co pan nazywasz okresami dekadencji? — zapytał hrabia de Haga.

— Okresy naturalne, panie hrabio. W warunkach naturalnych siły ludzkie wzrastają do trzydziestego piątego roku życia, stan ten utrzymuje się bez zmian aż do czterdziestki, potem aż do pięćdziesięciu następuje niedostrzegalny ubytek, a od tego czasu okresy skracają się i przyspieszają aż do dnia śmierci. W warunkach cywilizacji, na skutek nadużyć, zmartwień i chorób, okres wzrostu ustaje w roku trzydziestym, a od trzydziestu pięciu zaczyna się upadek. Otóż, aby przeciwstawić się upadkowi, trzeba uchwycić okres stabilizacji. Kto, jak ja, posiada ten eliksir i potrafi go użyć we właściwej chwili, pozostanie zawsze młody na tyle, ile mu to odpowiada.

— Ach, Boże! — zawołała hrabina. — Dlaczego, mogąc wybrać sobie wiek, nie wybrałeś pan lat dwudziestu?

— Dlatego, panie hrabino — rzekł z uśmiechem Cagliostro — że wolę być zdrowym i dojrzałym mężczyzną czterdziestoletnim niż niedowarzoną dwudziestoletnią młokosą.

— Niewątpliwie bowiem — mówił dalej — w latach dwudziestych jest się w łaskach u kobiet trzydziestoletnich, w czterdziestych zaś panuje się nad kobietami dwudziestoletnimi oraz sześćdziesięcioletnimi mężczyznami.

— Ustępuję — odparła hrabina. — Trudno zresztą dyskutować z żywym dowodem.

— Ja, niestety — uzalił się Taverney — jestem skazany, za późno się do tego zabrałem.

— Pan de Richelieu okazał się od pana przezorniejszy — odezwał się la Pérouse z naiwną otwartością marynarza — od dawna mówią, że posiada jakąś receptę.

— To kobiety rozsiały taką pogłoskę — rzekł śmiejąc się hrabia de Haga.

— Czy to powód, żeby nie wierzyć? — zapytała pani Dubarry.

Stary książę, który nie rumienił się nigdy, zaczerwienił się nagle i rzekł:

— Chcecie państwo poznać mój sekret? Po prostu: oszczędzałem się.

— Kwestionowałabym tę receptę — powiedziała hrabina — gdybym nie widziała skutków tamtej — pana de Cagliostro. A pan, panie czarowniku, uważaj, będę jeszcze zadawać wiele pytań.

— Pytaj, pani, proszę.

— Mówiłeś pan, że po raz pierwszy użyłeś eliksiru życia mając lat czterdzieści i że od tego czasu, to znaczy od oblężenia Troi... — Trochę wcześniej, pani.

— Niech będzie! Nie zmieniłeś się?

— Ale w takim razie — wtrącił się Condorcet — udowadniasz pan więcej niż było w założeniu: dajesz dowód nie tylko na zachowanie wiecznej młodości, ale na nieśmiertelność. Jeśli bowiem masz lat czterdzieści od czasów wojny trojańskiej, to znaczy, żeś nigdy nie umarł.

— Tak jest, panie markizie, przyznaję z pokorą, nie umarłem.

— Ale przecież nie jesteś pan nietykalny jak Achilles, choć i jego zabił Parys ugodziwszy strzałą w piętę.

— Nie, żałuję mocno, ale nietykalny nie jestem.

— A zatem możesz pan być zabity, umrzeć śmiercią gwałtowną?

— Niestety!

— Jakimże sposobem w ciągu tych trzech tysięcy pięciuset lat udało się panu uniknąć nieszczęśliwego wypadku?

— Miałem szczęście, ale proszę posłuchać mego rozumowania.

— Słuchamy, słuchamy! — powtórzyli obecni z wymownymi oznakami zainteresowania.

— Cóż jest podstawowym warunkiem życia? — zapytał podkreślając słowa wytwornym gestem obu rąk białych i pięknych, bogato ozdobionych pierścieniami. — Zdrowie, wszak prawda? A warunkiem zdrowia jest...

— Dieta — odpowiedział hrabia de Haga.

— Słusznie, panie hrabio, dieta. A czyż krople mojego eliksiru nie stanowią możliwie najlepszej diety?

— Któż to wie?

— No, zaraz. Ponieważ stale używałem moich kropel — a są one spełnieniem marzeń ludziach we wszystkich epokach, są tym, czego starożytni poszukiwali pod nazwą wody młodości a nowożytni jako eliksiru życia — zachowałem na stałe młodość a w konsekwencji zdrowie i życie. To chyba jasne?

— Ale przecież wszystko z czasem zużywa się, nawet najpiękniejsze ciało jak każde inne.

— Zarówno Parysa jak i Wulkana — wtrąciła hrabina. — Znałeś pan zapewne Parysa?

— Doskonale, hrabino; ładny był chłopiec, choć wiele przesady w tym, co Homer głosi a kobiety myślą. Był zresztą rudy.

— Rudy? A pfe! Okropne!

— Na nieszczęście — mówił dalej Cagliostro — Helena była innego zdania. Ale wróćmy do eliksiru. Twierdzisz więc, panie de Taverney, że wszystko się zużywa. Zgoda. Wiesz jednak, iż wszystko regeneruje się, daje się naprawić lub zastąpić, jak wolisz. Przykładem może być słynny nóż świętego Huberta — ileż to razy zmieniano w nim i trzonek, i ostrze, a nożem świętego Huberta pozostał. A wino w lochach Heidelbergu? Chociaż mnichy co roku wlewają do beczki nowy zbiór, wino jest zawsze to samo: klarowne, mocne i smakowite. Tymczasem wino, które pieczętowaliśmy w amforach z Lucjuszem Opimiusem, po stu latach, kiedy chciałem skosztować, zamieniło się w maź błotnistą niezdatną do picia. Wolę tedy naśladować przykład mnichów. Co roku wprowadzam do mego ciała nowe pierwiastki, aby regenerować stare elementy. Każdego ranka świeży i młody atom zastępuje w mojej krwi, w mojej skórze i kościach cząstki zużyte i bezużyteczne. W ten sposób umysł mój, serce i nerwy nie zaprzestały nigdy swoich funkcji, a ponieważ, żyjąc lat tyle, nabrałem doświadczenia, potrafię unikać niebezpieczeństw i wypadków. Nie wejdę nigdy do domu, który może się zawalić. Za dużo ich widziałem i na pierwszy rzut oka rozróżnię dobrze i źle zbudowany. Nie poluję z niezgrabiaszami nie umiejącymi włączyć broni, a podczas bitwy nie zajmę stanowiska, które pierwszy lepszy

zająłby bez wahania, ponieważ w jednej chwili obliczę sobie wszystkie linie proste i paraboliczne i będę wiedział, czy miejsce jest zagrożone. Nie mówię, że jestem nieśmiertelny, mówię tylko, że wiem, czego nikt inny nie wie, jak unikać śmierci przypadkowej. I tak, na przykład, za nic w świecie nie zostałbym tutaj we dwójkę z panem de Launay, który właśnie w tej chwili rozmyśla, że gdyby mnie zamknął do celi w Bastylji, doświadczyłby głodem mej nieśmiertelności. Nie zostałbym także z panem de Condorcet, ponieważ zamyśla w tej chwili wsypać do mej szklanki truciznę, którą nosi w pierścieniu, nie w złych zamiarach bynajmniej, lecz ot tak, przez ciekawość naukową, po prostu by się przekonać czy umrę.

Panowie wymienieni przez hrabiego Cagliostro poruszyli się niespokojnie.

— Przyznaj śmiało, panie de Launay, nie stoimy tu przed sądem, a zresztą za intencją się nie karze. No, przyznaj, myślałeś pan o tym?

— Na honor! — zawołał pan de Launay śmiejąc się i czerwieniąc. — Masz pan słuszność, hrabio, przyznaję. Niedorzeczność to była, na pewno, ale przemknęło mi to przez głowę właśnie w chwili, kiedyś mnie oskarżył.

— I ja — powiedział Condorcet — będę równie szczery jak pan de Launay. Istotnie myślałem, że gdybyś skosztował tego, co mam w pierścieniu, ani szeląga nie dałbym za pańską nieśmiertelność.

— Widzicie, panowie — powiedział spokojnie Cagliostro — że nie pomyliłem się. I tak jest ze wszystkim. Doświadczenie życiowe odsłania mi na pierwszy rzut oka przeszłość i przyszłość osób, które widzę. Co więcej, nieomylność moja sięga pod tym względem nawet zwierząt i materii nieożywionej. Siadając do karocy z postawy koni poznam, czy poniosą, z miny woźnicy — czy wywróci; siadając na statek odgadnę, czy kapitan okaże się ignorantem lub zarozumiałcem i czy potrafi lub zechce należycie manewrować. Unikam wtedy woźnicy czy kapitana, opuszczam zarówno pojazd, jak i statek. Nie neguję możliwości wypadku, ale ją uszczuplam: ze stu szans usuwam dziewięćdziesiąt dziewięć, a tej setnej się wystrzegam. Tak oto służy mi moje trzy tysiące lat życia.

— A więc, kochany proroku — rzekł, śmiejąc się, la Pérouse — powinieneś wybrać się ze mną i obejrzeć okręty, na których mam świat opłynąć. Oddałbyś mi rzetelną przysługę.

Cagliostro nic nie odpowiedział.

— Panie marszałku — ciągnął wesoło słynny żeglarz — pojmuję, że pan hrabia Cagliostro nie chce opuszczać tak miłego towarzystwa, ale pozwól, że ja to uczynię. Wybacz mi pan, hrabio de Haga, wybacz, pani hrabino, ale bije siódma, a przyrzekłem królowi, że kwadrans na ósmą będę już siedział w karetce. A teraz, ponieważ hrabia Cagliostro nie ma ochoty zobaczyć moich okrętów, niechże mi powie przynajmniej, co mnie czeka w drodze do Brestu. Co dalej, do bieguna, zrzekam się, to moja sprawa, ale, dalibóg, z Wersalu do Brestu — winien mi radę.

Cagliostro spojrział na niego z takim smutkiem, że zastanowiło to obecnych. Żeglarz jednak niczego nie zauważył. Pożegnał się z biesiadnikami, służba podała mu ciężką futrzaną opończę, a pani Dubarry wsunęła mu do kieszeni trochę kordialów, o których sam podróżnik zwykle nie pomyśli, a które tak mu są miłe w ciągu długich nocy wśród lodów, bo przypominają nieobecnych przyjaciół.

Nie tracąc humoru la Pérouse skłonił się z szacunkiem hrabiemu de Haga i wyciągnął dłoń do starego marszałka.

— Żegnaj, drogi la Pérouse — powiedział ten ostatni.

— Ależ nie, mości książę, do widzenia — odpowiedział la Pérouse. — Mogłoby się zdawać, że odjeżdżam na wieki. Podróż dokoła świata — to cztery, najwyżej pięć lat nieobecności. Możemy sobie powiedzieć: do widzenia.

— Cztery lub pięć lat! W moim wieku? — zawołał marszałek. — Żegnaj, powiadam.

— Zapytajmy wieszczka — powiedział ze śmiechem la Pérouse. — Przepowie ci ze dwadzieścia lat jeszcze. Nieprawdaż, panie Cagliostro? O, hrabio, że też nie powiedziałeś mi wcześniej o swoich boskich kroplach, za wszelką cenę załadowałbym całą bekę na pokład „Astrolaby”. Tak się nazywa mój statek. Pozwól, pani, że jeszcze raz ucałuję tę śliczną rączkę, piękniejszej na pewno nie zobaczę aż do powrotu Do widzenia.

I wyszedł.

Cagliostro zachowywał złowieszcze milczenie. Wzrok wszystkich jakby przemożną siłą ściągnięty spoczął na jego twarzy; widniał na niej wstrząsający wyraz pytyjskiego natchnienia. Przez kilka chwil trwała dziwna cisza.

— Czemu nie odpowiedziałeś mu pan? — odezwał się wreszcie hrabia de Haga.

Cagliostro drgnął, jakby pytanie wytrąciło go z zadumy.

— Bo musiałbym albo skłamać, albo powiedzieć rzecz nieludzką. Musiałbym powiedzieć: księżę Richelieu ma racją mówiąc panu „żegnaj”.

— Co pan, u diabła, wygadujesz? — zawołał, blednąc, księżę.

— Och, zapewniam, panie marszałku — odparł żywo Cagliostro — ta smutna przepowiednia nie pana dotyczy.

— Jak to? — zawołała pani Dubarry. — Więc biedny la Pérouse, który całował mnie w rękę...

— Nie tylko jej więcej nie ucałuje, ale już nigdy nie ujrzy tych, których przed chwilą pożegnał — odrzekł Cagliostro wpatrując się pilnie w szklanekę z wodą, w której, krzyżując się z cieniami otaczających przedmiotów, igrały opalizujące blaski światła.

Napięcie wzrastało z każdą minutą. Z postawy obecnych widać było, że słuchają przemówienia Cagliostrowa jak przepowiedni antycznej.

Pan de Favras wstał i podszedł na palcach ku drzwiom zobaczyć, czy w przedpokojach nie podsłuchuje który z lokai. Zastał jednak tylko starego intendenta, który — surowy jak szyldwach na warcie — strzegł dostępu do sali jadalnej w uroczystej godzinie wetów. Dom marszałka prowadzony był bez zarzutu.

— W takim razie — na znak pana de Favras, że są zupełnie sami, hrabina podniosła głos — w takim razie, powiedz nam, panie, co czeka biednego la Pérouse.

Cagliostro potrząsnął głową.

— Mów, mów, prosimy — nalegali mężczyźni.

— Dobrze. Pan de la Pérouse, jak sam oświadczył, wykrusza na opłynięcie świata z zamiarem kontynuowania podróży Cooka, biednego Cooka, którego, jak wiadomo, zamordowano na wyspach Sandwich. Przedsięwzięciu temu wszystko rokuje powodzenie. La Pérouse to dzielny żeglarz, a król Ludwik XVI sam mu nakreślił marszrutę.

— No tak — przerwał hrabia de Haga — król Francji jest biegłym geografem. Prawda, panie de Condorcet?

— Znadto jak na potrzeby monarsze. Lepiej, by królowie mniej znali się sami, a więcej słuchali ludzi znających się dogłębnie.

— Dobra to nauczka, panie markizie. Condorcet zmieszał się.

— Ach nie, panie hrabio, to tylko prosta refleksja, ogólnik filozoficzny.

— A więc la Pérouse wyrusza? — powiedziała hrabina pragnąc zwrócić rozmowę na tor właściwy.

— Tak, wyrusza — odpowiedział Cagliostro. — Nie zaraz. Zmarnuje wiele czasu w Brest.

— To źle. Teraz najlepsza pora na opłynięcie, a nawet już trochę późno — wtrącił Condorcet.

— Och, nie żałujmy mu tych paru miesięcy. Żyje przynajmniej w tym czasie, żyje nadzieją.

— Co potem?

— Potem? Płynię, ląduje, znów płynię. Rok, dwa lata szczęśliwej żeglugi. Przysyła o sobie wieści...

Cagliostro wpatrywał się w szklanę wyraźnie przejęty.

— Dalej, dalej!

— Mijają lata. Wielki ocean, posępne niebo, burza, niegościnne wybrzeża, ognie... O, la Pérouse, strzeż się wysp nieznanych!

Umilkł.

— Ale dlaczego by nie ostrzec go? — krzyknął hrabia de Haga, poddając się, jak inni, wpływom tego dziwnego człowieka targającego dowolnie wszystkie serca.

— Tak, tak — mówiła pani Dubarry — dlaczego nie posłać, nie zawrócić go? Życie takiego człowieka warte jest przecież drogi gońca, panie marszałku.

Richelieu sięgnął po dzwonek, ale Cagliostro wyciągnął rękę i marszałek padł z powrotem na fotel.

— Niestety — powiedział Cagliostro — przestrogi nie pomogą, nic nie odwróci przeznaczenia. Pan de la Pérouse śmiałyby się z moich słów, jak kiedyś synowie Priama z przepowiedni Kassandry. Ale uwaga! Już i pan śmiejesz się, panie hrabio, i śmiech udziela się reszcie towarzystwa. Proszę, nie krępujcie się, panowie, nigdy nie miałem wierzących słuchaczy.

— Ależ my wierzymy! — zawołali razem Dubarry i Richelieu.

— Ja wierzę — mruknął Taverney.

— Ja również — dodał uprzejmie hrabia de Haga.

— O tak — podjął Cagliostro — wierzycie, wierzycie, bo chodzi o la Pérouse'a, gdyby jednak mowa była o was...

— Powiem — rzekł hrabia de Haga — co by mi kazało wierzyć. Gdybyś pan oznajmił: „Strzeż się wysp nieznanych”, la Pérouse miałby się na baczości. A to już szansa.

— Zaręczam, że nie, panie hrabio, a gdyby nawet uwierzył, byłoby jeszcze gorzej. W obliczu wysp nieznanych, czując zbliżającą się śmierć, wiedząc, że jej nie uniknie, cierpiałby stokroć więcej. Nadzieja to ostatnia pociecha skazanych. Życie gaśnie, a człowiek jeszcze się łudzi.

— To prawda — potwierdzili niektórzy.

— Niech mówią, co chcą — sprzeciwił się hrabia de Haga — gdyby ktoś taki, jak pan, powiedział mi: strzeż się tego człowieka lub tej rzeczy — przyjąłbym przestrożę i podziękował doradcy.

Cagliostro ze smutnym uśmiechem potrząsnął łagodnie głową.

— Naprawdę, będę wdzięczny, jeśli mnie ostrzeżesz.

— Nie, panie hrabio, nie.

— Proszę pana o to.

— Nie mogę — wyszeptał Cagliostro odwracając głowę.

— Strzeż się pan, znowu zostanę niedowiarkiem.

— Lepsza niewiara niż udręka.

— Panie Cagliostro — powiedział hrabia poważnie — zapominasz o jednej rzeczy.

— O czym? — zapytał z szacunkiem prorok.

— O tym, że niektórzy ludzie mogą bez szkody nic nie wiedzieć o swoim przeznaczeniu, są jednak i tacy, którzy powinni znać swoją przyszłość, bo los ich dotyczy nie tylko ich samych, ale milionów.

— Proszę tedy o rozkaz — rzekł Cagliostro — inaczej nie powiem nic.

— Co to ma znaczyć?

— Niech Wasza Królewska Mość wyda rozkaz — powiedział zniżonym głosem Cagliostro — a będę posłuszny.

— Rozkazuję panu odsłonić mi moją przyszłość, panie de Cagliostro — odpowiedział król z majestatyczną uprzejmością.

Na te słowa pan de Richelieu powstał i składając niski ukłon powiedział:

— Dziękuję za honor, jaki Król Szwecji domowi mojemu uczynić raczył. Zechciej, Najjaśniejszy Panie, zająć pierwsze miejsce, od tej chwili tobie tylko ono przystoi.

— Zostańmy, panie marszałku, zostańmy na swoich miejscach i słuchajmy pilnie tego, co powie nam hrabia Cagliostro.

— Monarchom nie mówi się prawdy, Sire.

— Ba, nie jestem przecież w swoim królestwie. Proszę zająć miejsce, książę. Słucham pana, panie de Cagliostro.

Cagliostro spojrział na szklanke. Pod jego wyteżonym spojrzeniem woda poczęła się burzyć; ku górze, jak w winie szampańskim, pobiegły kuleczki.

— Najjaśniejszy Panie, powiedz, co chcesz wiedzieć, jestem gotów.

— Powiedz, proszę, jaką umrę śmiercią?

— Od postrzału, Najjaśniejszy Panie. Czoło Gustawa rozpromieniło się.

— Aha! — rzekł. — W bitwie, śmiercią żołnierza. Dzięki, panie de Cagliostro, stokrotne dzięki. Tak, ja przewiduję bitwy, a Gustaw Adolf i Karol XII pokazali mi, jak umierają królowie Szwecji.

Cagliostro zwiesił głowę i milczał.

— Więc nie w bitwie. Może w czasie rokoszu?

— Nie, Sire. Na balu.

Król zamyślił się. Cagliostro, który przemawiał stojąc, usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Zebrani, otaczający sprawcą i przedmiot przepowiedni, pobledli.

Pan de Condorcet podniósł do oczu szklanke, z której wróżbita odczytał złowrogą przepowiednię, i z uwagą badał jej tajemniczą zawartość. W podwójnym, stałym i ciekłym kryształach szukał rozwiązania zagadki, która dla chłodnego umysłu badacza sprowadzała się do dociekań czysto fizykalnych. Widocznie jednak rozwiązania nie znalazł, bo postawił szklanke i zwrócił się do Cagliostrowa.

— A więc i ja poproszę naszego znakomitego proroka, żeby zapytał magiczne zwierciadło. Na nieszczęście nie jestem moźnym panem, nie mogę rozkazywać, a moje nędzne życie nie przynależy do milionów poddanych.

— Pan — rzekł hrabia de Haga — możesz rozkazywać w imieniu nauki. Życie twoje obchodzi nie tylko jeden naród, ale całą ludzkość.

— Dziękuję panu hrabiemu, ale może pan de Cagliostro będzie innego zdania.

Cagliostro podniósł głowę jak rumak spięty ostrogą.

— Owszem, panie markizie — rzekł wpadając w podniecenie nerwowe, które w starożytności przypisano by nawiedzeniu przez bogów — owszem, jesteś wielkim panem w królestwie wiedzy. Spójrz mi w oczy, czy na serio pragniesz pan, żebym ci wróżył?

— Na honor, panie hrabio, jak najbardziej serio — odrzekł Condorcet.

— Dobrze, markizie — powiedział głucho Cagliostro opuszczając powieki. — Umrzesz od trucizny, którą nosisz w pierścieniu. Umrzesz...

— A jeśli ją wyrzucę? — przerwał Condorcet. — Nic łatwiejszego przecież.

— Wyrzuc ją zatem.

— Na miłość boską, markizie! — zawołała pani Dubarry. — Wyrzuc tę obrzydliwą truciznę, wyrzuc choćby na złość temu nieznośnemu prorokowi, który nas gnębi swoimi przepowiedniami

Bo jeśli ją przecież wyrzucisz, nie otrujesz się nią na pewno, a skoro pan de Cagliostro utrzymuje, że właśnie od niej masz zginąć, to pan de Cagliostro, rad nierad, skłamię.

— Pani hrabina ma rację — odezwał się hrabia de Haga.

— Brawo, hrabino! — rzekł Richelieu. — No, dalej, markizie, wyrzucaj truciznę. Teraz, gdy wiem, że śmierć nosisz na paku, drzeć będę, ilekroć trącimy się; pierścionek może utworzyć się przypadkiem... ech... ech...

— To na nic — powiedział spokojnie Cagliostro. — Pan de Condorcet nie wyrzuci jej.

— Istotnie — rzekł markiz — nie wyrzucę jej. Nie dlatego, że chciałbym dopomóc przeznaczeniu; jest to trucizna jedyna w swoim rodzaju. Trafem tylko udało się Cabanisowi zamienić tę substancję w ciało stałe, przypadek może się nie powtórzyć. Nie, nie wyrzucę jej; tryumfuj sobie, panie de Cagliostro.

— Przeznaczenie — odpowiedział zagadnięty — zawsze znajdzie swoich wiernych wykonawców.

— A więc umrę otruty — rzekł markiz. — Niech i tak będzie. Taka rzecz nie każdemu się zdarza. To przecież piękna śmierć: trochę trucizny na koniec języka i zostają unicestwiony. To już nie śmierć, to minus życie — jak mówimy w algebrze.

— To już mnie nie obchodzi — rzekł zimno Cagliostro dając znak, że nie życzy sobie dalszej rozmowy na ten temat.

— Mości panie! — odezwał się wówczas markiz de Favras przechylając się nad stołem jakby chciał przybliżyć się do Cagliostra. — Oto mamy rozbicie okrętu, postrzał i otrucie, aż ślinka mi idzie; czy nie zechciałby pan i mnie także przepowiedzieć jakiegoś zgoniku w tym samym rodzaju?

— O, panie markizie! — odparł Cagliostro dotknięty szyderstwem. — Pan naprawdę niepotrzebnie zazdrościsz, bo, na moje słowo szlacheckie, czeka cię coś lepszego.

— Lepszego? — zawołał śmiejąc się pan de Favras. — Uważaj pan, za wiele obiecujesz; cóż znajdziesz lepszego nad morze, ogień i truciznę.

— Pozostaje jeszcze stryczek, panie markizie — odparł uprzejmie Cagliostro.

— Stryczek... a to co znaczy?

— To znaczy, że będziesz powieszony — odpowiedział Cagliostro z jakąś wieszczą wściekłością, której już nie mógł powściągnąć.

— Powieszony? — powtórzyli obecni. — O, do diabła!

— Zapominasz pan, zem szlachcic — rzekł oziębłe de Favras — a jeśli przypadkiem myślisz o samobójstwie, uprzedzam, że zanadto się szanuję, by wybierać ten rodzaj śmierci.

— Nie mówiłem o samobójstwie.

— A zatem o egzekucji. Pan jesteś cudzoziemcem i dlatego wybaczam ci nieświadomość. We Francji szlachtę karze się, mieczem.

— Rzec tę z katem sobie ułożycie, mości panie — rzekł Cagliostro dobijając przeciwnika brutalną odpowiedzią.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia.

— Wiecie państwo, zaczynam drzeć — odezwał się pan de Launay. — Moi poprzednicy trafili tak nieszczęśliwie, że źle sobie wróżę, jeśli zajrzę do tego samego worka.

— Okazujesz pan więcej od innych rozsądku, skoro nie chcesz znać przyszłości. Masz słuszość: złe czy dobre — szanujmy wyroki boskie.

— O, panie de Launay — powiedziała hrabina — spodziewam się, że będziesz miał tyle odwagi, co i tamci panowie.

— I ja tak mniemam, pani — rzekł, kłaniając się, gubernator.

Potem zwracając się do Cagliostra:

— Zaklinam cię, panie, racz i mnie uszczęśliwić horoskopem.

— To bardzo łatwe — rzekł Cagliostro. — Cięcie toporem w głowę i po wszystkim.

W sali rozległ się okrzyk zgrozy. Richelieu i Taverney błagali Cagliostra, by przestał, ale ciekawość kobieca przemogła.

— Doprawdy, słuchając cię, hrabio, można by przypuszczać — powiedziała pani Dubarry — że cały świat skończy gwałtowną śmiercią. Jest tu nas osiem osób, a z tych już pięć skazałeś.

— Ależ pojmuję pani, że to umyślne żarty i że śmiejemy się z tego — rzekł pan de Favras usiłując rzeczywiście roześmiać się.

— Oczywiście, że się śmiejemy — powiedział hrabia de Haga — czy to fałsz, czy prawda.

— Och, i ja śmiałabym się, nie chcąc uwłaczać towarzystwu. Na nieszczęście jestem tylko kobietą i nie dostąpię nawet zaszczytu tak straszliwego zakończenia. Kobieta umiera zazwyczaj we własnym łóżku. Jednakże śmierć moja — starej, smutnej i zapomnianej kobiety — będzie chyba najgorsza ze wszystkich. Czy nie tak, panie de Cagliostro?

Nie tylko słowami, ale postawą dawała do zrozumienia, że pragnie słów otuchy, lecz kiedy Cagliostro nie kwapił się, uległa ciekawości silniejszej od niepokoju.

— No, odpowiedz mi, panie de Cagliostro — rzekła wreszcie z wahaniem.

— Jakże mam odpowiadać, kiedy o nic, pani, nie pytasz?

— Niech będzie — zawołała — zaryzykuję. Powiedz mi pan, jaka śmierć czeka Joannę de Vaubernier, hrabinę Dubarry.

— Na szafocie, hrabino — odpowiedział złowieszczy prorok.

— To żarty, prawda? — wyjąkała hrabina błagalnie. — Przecież, żeby pójść na szafot, trzeba kogoś zabić, zamordować, popełnić jakąś zbrodnię, a ja chyba nie uczynię nic takiego. A więc, żartujesz pan?

— Tak, tak. To żarty — powiedział Cagliostro — podobnie jak wszystko, co mówiłem.

Hrabina zanosła się nienaturalnym śmiechem.

— No, panie de Favras — zawołała — zamówmy sobie pogrzebowe karety!

— Dla pani hrabiny to zbyteczne — oznajmił Cagliostro.

— A to znowu dlaczego?

— Bo na szafot zawiozą panią na wózku.

— Fe, zgroza! — krzyknęła pani Dubarry. — Przebrzydły z pana człowiek! Marszałku, na drugi raz weselszych dobierał sobie biesiadników, bo inaczej noga moja więcej tu nie stanie.

— Wybacz mi, pani, jak i wszyscy, sama tego chciałaś.

— Ale przynajmniej zostawisz mi czas na wypowiedzenie się?

— Zbyt wielki to byłby kłopot, hrabino — odpowiedział Cagliostro.

— Jak to?

— Ostatnim, który wstąpi na szafot w towarzystwie spowiednika, będzie...

— Kto taki? — zapytali wszyscy.

— Będzie król Francji.

Ostatnie słowa wypowiedział Cagliostro głuchym i grobowym głosem, który jak powiew śmierci zmroził wszystkich obecnych. Wśród ogólnego milczenia Cagliostro podniósł do ust szklankę z wodą, z której wyczytał swe krwawe przepowiednie, ale zaledwie umoczył wargi, odstawił ją z widoczną odrazą, jakby to był kielich goryczy. W tej chwili wzrok jego zatrzymał się na postaci pana de Taverney.

— Och! — zawołał baron. — Nie mów mi pan, co się ze mną stanie, ja się o nic nie pytam.

— To ja zapytam zamiast niego — odezwał się Richelieu.

— Możesz być spokojny, panie marszałku, jesteś jedynym, który umrze na swoim łóżku.

— Proszę na kawę, panowie — powiedział marszałek zachwycony przepowiednią. — Na kawę!

Wszyscy wstali, ale zanim przeszli do salonu, hrabia de Haga, zbliżając się do Cagliostro, rzekł:

— Nie myślę unikać przeznaczenia, ale powiedz mi pan, czego powinienem się wystrzegać.

— Zarękawka, Sire — odrzekł Cagliostro.

— A ja? — zapytał Condorcet.

— Omletu.

— Dobrze, wyrzekam się jaj. I udał się w ślad za hrabią.

— A mnie co grozi? — rzekł Favras.

— List.

— Dobrze, dziękuję.

— A ranie? — zapytał de Launay.

— Zdobycie Bastylii.

— No, jestem uspokojony. I oddalił się śmiejąc.

— Na mnie kolej, panie — powiedziała zmieszana hrabina

— Ty, piękna pani, strzeż się Placu Ludwika XV.

— Niestety — powiedziała hrabina — już raz tam kiedyś zbłądziłam. Gaikiem wtedy straciłam głowę.

— Otóż raz jeszcze stracisz tam głowę, hrabino, ale nie odnajdziesz jej więcej.

Pani Dubarry z krzykiem uciekła do salonu. Cagliostro chciał iść za innymi.

— Chwileczkę — odezwał się Richelieu — tylko Taverneyowi i mnie nic jeszcze nie powiedziałaś, drogi czarowniku.

— Baron prosił, bym milczał, a księżę o nic nie pytał.

— Och, ja jeszcze raz proszę — krzyknął Taverney składając ręce.

— Lecz na dowód swego geniuszu, czy nie mógłbyś wyjawić nam tajemnicy, którą znamy tylko my dwaj?

— Jakiej? — zapytał Cagliostro z uśmiechem.

— Powiedz, na przykład, czego ten zuch Taverney szuka w Wersalu zamiast siedzieć spokojnie w swoich pięknych dobrach Maison-Rouge, które król przed trzema laty dla niego wykupił.

— Nic prostszego — odpowiedział Cagliostro. — Dziesięć lat temu baron zamierzał zaofiarować swą córkę, pannę Andree, królowi Ludwikowi XV, ale mu się nie udało.

— Hm, hm! — chrząknął Taverney.

— Dzisiaj zaś chce oddać swego syna, Filipa de Taverney, królowej Marii Antoninie. Zapytaj pan, czy kłamią.

— Na honor — rzekł Taverney wstrząsając się — ten człowiek musi być czarownikiem, niech mnie diabli porwą.

— Nie tak ostro o diablach, stary druhu — parsknął marszałek.

— Straszne! Straszne! — mruknął Taverney i odwrócił się do Cagliostro chcąc jeszcze raz poprosić o dyskrecję. Ten jednak znikł bez śladu.

— Taverney, chodźmy do salonu — powiedział marszałek — bo wypiją kawę bez nas, albo, co gorsza, będzie zupełnie zimna.

Ale w salonie było pusto, nikt nie miał odwagi spotkać się twarzą w twarz ze straszliwym wróżbitą.

Świece płonęły w kandelabrach, kawa parowała w dzbanku, w kominku trzeszczał ogień. Na próżno.

— Na honor, stary towarzyszu. Widzę, że sami będziemy pić kawę... O, do diabła, a gdzie ten się podział?

Richelieu rozejrzał się dokoła, ale mały staruszek ulotnił się także.

— Wszystko jedno — rzekł marszałek, chichocząc złośliwie jak Voltaire i zacierając wyschlę, białe dłonie obficie upierścienione — tylko ja jeden umrę w łóżku. He, he, panie hrabio de Cagliostro, nie jestem bynajmniej niedowiarkiem. We własnym łóżku i jak można najpóźniej, co? Hola! Pokojowiec! Moje krople!

Zjawił się kamerdyner z flakonem w rękę i wraz z marszałkiem przeszli do sypialni.

I. DWIE NIEZNAJOME

Zima 1784 roku — ów potwór, który pożarł jedną szóstą ludności Francji — choć srożyła się za drzwiami, nie dawała się we znaki w pachnącej i ogrzanej sali jadalnej pałacu księcia de Richelieu. Trochę szronu na szybach to przepych natury dodany do przepychu cywilizacji. Dla bogacza, zagrzebanego w futra, opatulonego szczelnie w karecie, zawiniętego w watę i aksamit w ciepłym pokoju, śnieg jest czymś wspaniałym, niepogoda — powabną zmianą dekoracji. Czując zapach bliskiego obiadu miło niekiedy wdychać przez niedomknięte okno ostrą woń wiatru i orzeźwiający śnieżny podmuch; po dniu bez trosk, wyciągając się pod puchową kołdrą można — jak ów sobek, o którym mówi Lukrecjusz, a którego wychwała Voltaire — uważać, że wszystko jest dobre na tym najlepszym ze światów.

Ten jednak, komu zimno i komu doskwiera głód, nie dostrzega owych splendorów natury, równie bogatej w swoim płaszczu białym jak w płaszczu zielonym.

W epoce, o której mówimy, w połowie kwietnia, w samym tylko Paryżu, w tym słynnym z dostatków Paryżu, trzykrotnie sto tysięcy nędzarzy przymierało z głodu i zimna. Rozumując, iż żadne miasto nie liczy tylu bogatych, nie uczyniono nic, żeby uchronić ubogich od klęski głodowej. Od czterech miesięcy spżizowe niebo wyganiało biedaków ze wsi do miast, jak zwykle z lasu do wsi zima wypędza wilki. Drzewa i chleba zabrakło: w ciągu miesiąca Paryż spożył wszelkie zapasy. Nie przewidujący i niezaradny burmistrz nie potrafił sprowadzić na czas dwustu tysięcy sągów drzewa oddanego mu do dyspozycji w lasach okalających stolicę; usprawiedliwiał się to ślizgawicą, to znów brakiem fur i koni. Ludwik XVI zawsze dobry i ludzki, zawsze uczulony na fizyczne potrzeby ludności, choć łatwo zapominający o jej potrzebach społecznych, Ludwik XVI najpierw przeznaczył dwakroć sto tysięcy liwrow na najem koni i wozów, potem jedno i drugie kazał rekwirować przymusowo. Konsumpcja przewyższała jednakowoż dostawy i trzeba było wydać zakaz sprzedawania więcej niż wiązkę, a potem połowy wiązki, na osobę. Przed składami opału wydłużały się kolejki nabywców, takie same kolejki pojawiły się później przed drzwiami piekarni.

Król, rozdawszy na jałmużny własne zasoby pieniężne, podjął z przychodów akcyzy trzy miliony i przekazał je na wsparcie dla nieszczęśliwych oświadczając, że wszelkie pilne wydatki ustąpić muszą wobec klęski zimna i głodu. Królowa ofiarowała z własnej szkatuły pięćset luidorów.

Klasztory, szpitale, gmachy publiczne zamieniono na przytułki. Za przykładem zamków królewskich, z polecenia właścicieli otwierano bramy pałacowe i wpuszczano na dziedzińce biedaków, którzy gromadzili się tam przy ogniskach. W ten sposób zamierzano doczekać odwilży.

Ale niebo było nieubłagane. Co wieczór, nad miedzianej barwy firmamentem, sucha i zimna gwiazda błyszczała jak lampa śmierci, mróz nocny skuwał w powłokę lodową ziemię odmarzniętą w południe. W ciągu dnia tysiące robotników odkopywało śnieg sprzed domów, tarasując i tak już zbyt wąskie ulice podwójnym, mokrym wałem. Ciężkie, chwiejne powozy, ślizgające się i padające co chwila konie spychały na te lodowate mury przechodniów, narażonych na potrójne niebezpieczeństwo potrącenia, upadku i przejechania. Wkrótce szańcami śniegu i lodu przesłonięte zostały sklepy i zablokowane przejścia, trzeba było zaniechać uprzątnięcia, nie stało sił ani środków transportowych. Zwyciężony i bezsilny Paryż poddał się. Tak trwało od grudnia do marca. Kilkakrotnie dwu lub trzydniowa odwilż przemieniała w ocean

całe miasto pozbawione kanałów i ścieków. Niektóre ulice można było wówczas przebywać tylko w pław.

Paryż, jak zawsze, głód i odwilż przyjmował śpiewką. Chadzano tłumnie do hal przyglądać się przekupkom, które — podkasane do pasa, w swych ogromnych skórzanych butach — zachwalały swój towar, śmiały się i przekomarzyły lub obrzucały wzajemnie błotem. Ścięta lodem Sekwana stała się miejscem schadzki próżniaków, którzy gonili się tu, ślizgali na łyżwach lub zabawiali w różne gry, a potem rozgrzani gimnastyką biegli do najbliższego ogniska, by w czasie odpoczynku pot nie obmarzył na ich ciele.

Przewidywano, że lada chwila komunikacja lądowa i wodna zostanie przecięta i dopływ żywności ustanie. W tej krytycznej sytuacji król zwołał swą radę. Zdecydowano wydalic z Paryża, a raczej prosić, żeby powrócili do swoich rezydencji, biskupów, opatów, gubernatorów, intendentów prowincji, którzy przenieśli do stolicy siedziby swoich zarządów, sędziów wreszcie, którzy przełożyli operę i życie światowe nad swoje zdobione liliami fotele. Rzeczywiście, wszyscy ci panowie zużywali w bogatych pałacach zbyt wiele opału, a w obszernych swoich kuchniach zbyt wiele żywności. Wezwano również do wyjazdu wszystkich właścicieli dóbr ziemskich. Jednakże pan Lenoir, prefekt policji, zwrócił uwagę, że panowie ci nie są przestępcami i że nie można zmusić ich do opuszczenia miasta z dnia na dzień, będą więc zwlekać z odjazdem bądź przez złą wolę, bądź ze względu na zły stan dróg i nadejście odwilż zanim to kłopotliwe rozporządzenie przyniesie jakiegokolwiek korzyści.

Tymczasem lud starał się wywdzięczyc za szczodroblivość królewską i miłosierdzie królowej. Pamięć o dobrodziejstwach uświęcono pomnikami pomysłowymi, ale niestałymi jak dobre i złe chwile: na rogach głównych ulic wzniesiono obeliski ze śniegu i lodu. Każdy przykładał się jak mógł — wyrobnik, rzemieślnik, artysta i ubogi literat, którego dobroć monarsza wyszukała w mansardowej izdebce — i stanęły te pomniki, wytworne i śmiałe, na samym polu bitwy stoczonej z zimą.

Po chwilowej odwilży u schyłku marca zima powróciła znowu i piękna warstwa śniegu zasłała ulice i bulwary. Na nowo też pojawiły się sanie zaprzężone w ręce rumaki. Na bulwarach i nadbrzeżach wyglądało to prześlicznie, ale na ulicach rozpedzone karoce i kabriolety stały się postrachem pieszych, którzy często nie słysząc ich i nie mogąc przedrzeć się przez wały lodu w ucieczce wpadali pod koła. W ciągu kilku dni miasto zapełniło się rannymi i umierającymi. Wówczas dopiero policja zajęła się ochroną przed wypadkami ulicznymi tych, którzy uszli mrozu, głodu i powodzi. Poczęto nakładać grzywny na bogaczy, którzy tratuja biedaków. Albowiem w owych czasach panowania arystokracji istniała hierarchia nawet w sposobie powożenia: książe krwi pędził cwałem nie ostrzegając wołaniem, książe i par, szlachcic i aktorka z opery jeździli wyciągniętym kłusem, prezydent i finansista — kłusem zwyczajnym; panek, jak na polowaniu, sam powoził kabrioletem, a foryś stojąc z tyłu krzyczał „Na bok!”, gdy potracili lub obalili jakiegoś nieboraka.

Mimo wszystko, gdy paryżanin mógł przyglądać się pięknym saniom o łabędziej szyi, wytwornym damom w sobolowych lub gronostajowych futrach, pozłacanym dzwoneczkom i kitom końskim, zapominał o niedbalstwie policji oraz grubiaństwach stangretów, a nawet o własnej nędzy.

W tydzień po obiedzie wydanym w Wersalu przez księcia de Richelieu, w mroźne słoneczne popołudnie, czwórka eleganckich sań wjechała do Paryża od strony Pól Elizejskich. W pierwszych siedziało dwóch mężczyzn w sukiennych szamerowanych opończach z podwójnymi kołnierzami. Panowie ci od czasu do czasu oglądali się do tyłu na sanie następne, jakby trzymali nad nimi straż. W saniach tych jechały dwie szczelnie zasłonięte i owinięte w futra kobiety. Poznać to zresztą można było jedynie po wysokich koafiurach, na czubkach których sterczały

powiewające piórami kapelusiki. Z ogromnych tych fryzjerskich budowli przeplecionych wstęgami i usianych klejnocikami wiatr zdmuchiwał obłoki pudru niby szron z gałęzi. Obie damy przytulone do siebie i zatopione w rozmowie nie zwracały uwagi na zagapionych przechodniów. Wyższa i wynioślejsza z nich zasłaniała usta cienką, batystową, haftowaną chusteczką, ale głowę, mimo ostrego, północnego wiatru, trzymała prosto i dumnie.

Gdy pojazdy dojeżdżały prawie do bramy Saint-Denis, na wieży kościoła Saint-Croix-d'Antin biła piąta. Zmrok już zapadał i mróz tężał. Dama trzymająca chusteczkę przy ustach dała znak straży przedniej i dwaj panowie, poganiając karego konia, ruszyli szybciej, by wkrótce zniknąć w mgłach wieczornych zalegających w okolicy kolosalnego gmachu Bastylli. Podobny znak otrzymała straż tylna złożona z dwojga sań powożonych przez stangretów bez liberii. Ci ze swej strony, posłuszni skinieniu, przepadli w głębi ulicy Saint-Denis.

Sanie z paniami dojechały do bulwaru Ménilmontant i zatrzymały się. Przechodniów było tu mało, rozproszyła ich noc. Mieszczanie nie odważali się zresztą zapuszczać bez eskorty i światła do tej odległej dzielnicy, odkąd zima zaostrzyła zęby kilku tysiącom podejrzanych żebraków, przemienionych nieznacznie w złodziei.

Dama, która wydawała rozkazy, końcem palca dotknęła ramienia stangreta.

— Weber — zapytała — ile czasu potrzeba ci na sprowadzenie kabrioletu?

— Bierze pani kabriolet? — spytał z wyraźnym akcentem niemieckim.

— Tak, wrócę przez miasto, chcę zobaczyć ogień. Na ulicach więcej dziś błota niż na bulwarach, więc i tak nie przejechalibyśmy saniami. Poza tym trochę zziębłam. Ty, zapewne, też, mała? — zwróciła się dama do swojej towarzyszki.

— Tak, pani — odpowiedziała.

— A więc zrozumiałeś, Weber? Kabriolet, tam gdzie wiesz.

— Dopsze, proszę pani.

— Ile ci trzeba czasu?

— Pół godziny.

— Dobrze. Zobacz, mała, która godzina?

Młodsza dama włożyła rękę pod futro i nie bez trudu usiłowała dojrzeć godzinę na zegarku, ponieważ, jak już wspominaliśmy, zapadła noc.

— Kwadrans po szóstej — powiedziała.

— A więc, za kwadrans siódma, pamiętaj, Weber. Powiedziawszy te słowa dama wyskoczyła lekko z sanek, podała ramię przyjaciółce i obie poczęły się oddalać. Stangret zrobił gest wyrażający coś pośredniego między szacunkiem a rozpaczą.

— Nierozwaga, ach, mein Gott, co za nierozwaga! — burknął dość głośno, żeby jego pani mogła go usłyszeć.

Młode kobiety roześmiały się, otuliły futrami, nastawiły wysoko kołnierze i przecięły bocznią aleję bulwaru, ciesząc się chrzęstem śniegu pod ich nóżkami obutymi w delikatne pantofle na futrze.

— Masz dobry wzrok, Andreo, przeczytaj na rogu nazwę ulicy — odezwała się dama wyglądająca na starszą, choć nie mogła liczyć więcej niż trzydzieści, trzydzieści dwa lata.

— Ulica Pont-aux-Choux, pani — odrzekła ze śmiechem młodsza.

— Cóż to za ulica, Kapuścianego Mostu? Mój Boże, zabłądziłyśmy chyba, mówiono mi, że druga ulica na prawo. Ale, czy czujesz, Andreo, jak ładnie pachnie gorący chleb?

— Nic dziwnego — odpowiedziała towarzyszka — stoimy przed wejściem do piekarni.

— No, to zapytajmy, gdzie jest ulica Saint-Claude. Przemawiająca zbliżyła się ku drzwiom.

— Nie wchodzić, pani — zawołała żywo druga kobieta. — Zostaw to mnie.

— Ulica Saint–Claude, moje pieszczotki? — rozległ się wesoły głos. — Chcecie wiedzieć, gdzie jest ulica Saint–Claude?

Obie damy zwróciły głowy w stronę, skąd dobiegał głos i ujrzały opartego o drzwi piekarczyka w dziwnym kaftanie, niemal bosego, z obnażoną piersią mimo trzaskającego mrozu.

— Och, człowiek nagi! — zawołała młodsza z pań cofając się o krok i chowając za towarzyszkę. — Czy jesteśmy w Oceanii?

— Szukacie ulicy Saint–Claude? — powtórzył czeladnik, który, przyzwyczajony do swego stroju, nie zrozumiał gestu młodej damy.

— Tak jest, przyjacielu — odpowiedziała starsza ledwo powstrzymując się od śmiechu.

— Nie trudno znaleźć, zaprowadzę panie — rzekł wesoły chłopak wysuwając długą i chudą nogę w obszernym jak czółno sabocie.

— Nie, nie trzeba — odpowiedziała starsza z dam, nie życząc sobie widocznie podobnego przewodnika. — Proszę nam tylko powiedzieć gdzie, a już tam same trafimy.

— Pierwsza ulica na prawo, pani — rzekł przewodnik wycofując się dyskretnie.

— Dziękujemy — zawołały obie kobiety i pobiegły we wskazanym kierunku tłumiąc śmiech zaręczkami.

II. WNEȚRZE

Być moŹe czytelnik przypomina sobie ulicę Saint–Claude połoŹoną międy bulwarem od wschodu a ulicą Świętego Ludwika od zachodu. Bywało tu wiele osób, które wystąpią jeszcze w niniejszej historii, za czasów, kiedy mieszkał tu wielki fizyk Józef Balsamo ze swoją sybillą — Lorenzą, i z mistrzem Althotasem.

Była to, tak samo jak i w roku 1770, uliczka dość przyzwoita, choć prawdę rzekłszy ani jasna i czysta, ani zbyt uczeșzczana. Liczyła parę zaledwie domostw, które zamieszkiwało kilku ubogich rentierów, garstka równie ubogich kupców i sporo prawdziwych biedaków, utrzymujących się z parafialnej zapomogi. Chlubą uliczki mógł być okazały pałac na rogu bulwaru, blask kandelabrów z jego wysokich okien mógłby, nawet poprzez mury, oświetlić całą ulicę, lecz ten właśnie arystokratyczny gmach był w dzielnicy najcichszy i najposepniejszy. Brama nie otwierała się nigdy, okna zasłonięte były skórzanymi roletami i Źaluzjami, na wszystkim leŹała gruba warstwa kurzu. Od dnia, kiedy poŹar strawił część budynku i kiedy zniknął Józef Balsamo, pałac, ponury i opuszczony, z wyszczerbionym przez ogień dachem, zamieszkiwały tylko szczury.

Po drugiej stronie ulicy rysował się na tle nieba jakiś dom wąski i wysoki jak biała wieŹa. Przytykał do niewielkiego, opasanego murem ogródka. Dolne piętra tego domu były ciemne. Lokatorzy moŹe juŹ spali, moŹe oszczędzali kosztowne światło i opał. Tylko na najwyższym, piątym piętrze, dwa z trzech okien fasady świeciły czerwonym blaskiem — jedyny, nawet przesadny znak Źycia.

Zapakujmy do drzwi i po ciemnych schodach wejdźmy na piątę piętro, wyŹej jeszcze prowadzi prosta drabina przyparta do ściany. Umeblowanie klatki schodowej stanowią słomianka i drewniane wieszadło, przy drzwiach wisi sarnia nóżka. Otwórzmy te drzwi i wejdźmy. Ciemne i puste pomieszczenie, to z nie oświetlonym oknem, słuŹy za przedpokój. Stąd wchodzi się do drugiej izby, której umeblowanie i wyposaŹenie zasługują na baczną uwagę.

Zamiast parkietu posadzka z płyt kamiennych, ordynarnie malowane drzwi, trzy fotele z białego drzewa pokryte Źółtym welwetem, nędzna, stara i wysiedziana sofa. Świeca na trójnoŹnym stoliczku i lampa ustawiona nad kominkiem oświetlają i zwracają uwagę na dwa portrety na ścianie.

Beret na głowie, twarz ściągła i blada, oczy zgaszone, broda w szpic, kryza na szyi — pierwszy z tych portretów nie wyróżnia się oryginalnością, jest to bowiem wierna i znana podobizna Henryka III, króla Francji i Polski. PoniŹej portretu, na źle poŹłacanej ramie, napis czarnymi literami: „Henri de Valois”.

Drugi obraz w ramach poŹłoconych znacznie póŹniej i malowany niedawno, przedstawia młodą kobietę o czarnych oczach, cienkim i prostym nosie, wydatnych kościach policzkowych i zaciśniętych ustach. Przystraja ją, a raczej przygniata fryzura z taką ilością pukli i wstąŹek, Źe beret Henryka III wygląda przy tym jak kretowisko obok piramidy. Pod portretem podobnymi czarnymi literami wypisano: „Joanna de Valois”.

Gdy rzucimy okiem na wygasły kominek, na liche perkalowe kotary nad łóŹkiem zasłanym zielonym, wypłowiałym adamaszkiem i gdy będziemy chcieli wiedzieć, jaki związek mają te portrety z mieszkańcami piątego piętra, wystarczy, jeśli przyjrzymy się siedzącej przy małym dębowym stoliku skromnie ubranej kobiecie, która wsparta na łokciu, przegląda pakiet zapieczętowanych listów i sprawdza adresy. Ta młoda kobieta jest oryginałem portretu.

O trzy kroki dalej mała służąca, starszka około sześćdziesiątki, ubrana jak duenna u Greuza, przygląda się i wyczekuje z ciekawością pomieszaną z respektem.

„Joanna de Valois” — głosi podpis.

Jeśli jednak dama ta była Walezjuską, jak mógł Henryk III, król sybaryta, ścierpieć widok podobnej nędzy, skoro chodziło o osobę nie tylko jego rodu, ale i nazwiska?

Trzeba przyznać, że dama z piątego piętra nie przynosiła osobiście ujemnego pochodzenia, które sobie przypisywała. Miała białe i delikatne dłonie, które rozgrzewała od czasu do czasu, kryjąc je pod pachy. Stopy miała małe, kształtne, wydłużone, obute w pantofelki z aksamitu, które zachowały ślad zalotnej elegancji. Od czasu do czasu próbowała je ogrzać, tupiąc w płyty posadzki zimnej i błyszczącej jak lód na ulicach Paryża.

Wiatr gwizdał pod drzwiami i przez szpary okien, służąca kulila się i ze smutkiem spoglądała na kominek bez ognia, pani domu liczyła listy i odczytywała adresy.

— Pani de Misery — bąknęła — pierwsza dama dworu Jej Królewskiej Mości. Nie można liczyć na więcej niż sześć luidorów, bo już mnie obdarowano, westchnęła.

— Pani Patrix, pokojowa Jej Królewskiej Mości, dwa luidory... Pan d’Orxnesson, audyencja... Pan de Calonne, porada... Pan de Rohan, wizyta. Postaramy się, żeby ją nam oddał — powiedziała uśmiechając się nagle.

— Mamy więc — ciągnęła jednostajnym tonem litanii — osiem luidorów zapewnionych za tydzień.

— Pani Klotyldo, wyjaśnij że świecę — zawołała podnosząc głowę.

Stara spełniła rozkaz i powróciła na swoje miejsce poważna i baczna.

Ów pewien rodzaj inkwizycji, którego była przedmiotem, męczył widać młodą kobietę.

— Zobacz no, moja kochana — powiedziała ze zniecierpliwieniem — czy nie znajdzie się gdzieś kawałek świecy woskowej. Wiesz, że nie znoszę lojówek.

— Nie ma nigdzie, nie będę szukać — odpowiedziała stara.

— O, słuchaj, ktoś dzwoni.

— Zdawało się pani — burknęła zrzędnie starucha. Widząc, że nic nie wskóra, dama ustąpiła, utyskując po cichu jak zwykle osoby, które z jakichś względów tolerują przyznane już, lecz nienależne przywileje ludzi postawionych niżej.

Wzięła do ręki pióro i wróciła do rachunków.

— Osem luidorów, z tego trzy jestem winna za komorne. Zapisała.

Trzy luidory... Pięć obiecała panu de la Motte, żeby osłodzić mu pobyt w Bar-sur-Aube. Nieborak, nie wzbogaciło go nasze małżeństwo, ale cierpliwości.

Spojrzała na zwierciadło zawieszony między portretami i znowu uśmiechnęła się.

— A teraz — liczyła dalej — droga z Paryża do Wersalu i z powrotem: jeden luidor.

I zapisała tę nową cyfrę w kolumnie wydatków.

Życie przez tydzień, jeden luidor... Garderoba, fiakry, datki dla szwajcarów po domach, które obligują... cztery luidory. Czy to już wszystko? Zsumujmy.

Ale w środku obliczania przerwała.

— Dzwonią, mówię ci.

— To nie tutaj, to na czwartym — odpowiedziała stara siedząc jak przykuta do miejsca.

— Cztery, sześć, jedenaście, czternaście luidorów... o sześć mniej niż trzeba. A wypada odnowić całą garderobę i zapłacić starej, żeby odprawić wreszcie to bydlę.

Nagle zawołała z gniewem:

— Ależ, powiadam ci, że dzwonią, nędznico!

Istotnie dzwonek mocno targnięty rozdzwięczał się i starucha przebudzona nareszcie pobiegła do przedpokoju. Tymczasem pani, zwinna jak wiewiórka, zerwała się, pozbierała spieszenie

rozrzucone na stole listy i papiery, wrzuciła je do szuflady, rozejrzała się szybko, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku i usiadła na sofie przyjmując skromną i żalną postawę osoby cierpiącej a zrezygnowanej.

Pozę tę przyjęło jednak tylko ciało. Oczy rozbiegane, czujne, nieufne badały zwierciadło, w którym odbijały się drzwi wejściowe, uszy nasłuchiwały bacznie gotowe uchwycić najlżejszy szmer.

Słysząc było, jak duenna otworzyła drzwi i mamrotała coś w przedpokoju. Potem głos świeży i łagodny, ale pełen stanowczości zapytał:

— Czy tutaj mieszka pani hrabina de la Motte?

— Pani hrabina de la Motte Valois — powtórzyła nosowym głosem Klotylda.

— Tak właśnie, dobra kobieto. Czy pani de la Motte jest u siebie?

— Tak, pani, jest cierpiąca i nie może wyjść.

Podczas tej rozmowy, z której nie straciła ani sylaby, domniemana chora spostrzegła, spoglądając w lustro, że osoba wypytująca Klotyldę należy do wyższych sfer towarzystwa. Wstała więc z kanapy i usiadła na fotelu, pozostawiając dla przybysza miejsce honorowe.

Drzwi zamknęły się i dwie kobiety, które dopytywały się przedtem o ulicę Saint-Claude, weszły do mieszkania pani de la Motte.

— Kogo mam oznajmić pani hrabinie? — zapytała Klotylda przyglądając się obu kobietom przy blasku świecy.

— Proszę zameldować damę z Dzieła Miłosierdzia — rzekła starsza.

— Z Paryża?

— Nie, z Wersalu.

Klotylda poszła naprzód i nieznajome, idąc za nią, znalazły się w oświetlonym pokoju w chwili, gdy Joanna de Valois podnosiła się z trudnością z fotela, żeby powitać grzecznie przybyłe.

Klotylda przysunęła gościom dwa inne fotele do wyboru i wycofała się do przedpokoju z roztropną powolnością. Można było domyślać się, że będzie podsłuchiwała pod drzwiami.

III. JOANNA DE LA MOTTE VALOIS

Uznawszy, że wypada jej podnieść głowę, Joanna de la Motte obrzuciła przede wszystkim uważnym spojrzeniem obie damy, by przekonać się, z kim ma do czynienia.

Starsza z kobiet, która, jak już mówiliśmy, mogła mieć trzydzieści do trzydziestu dwóch lat, odznaczała się wyjątkową urodą, chociaż wyniosły wyraz odejmował jej twarzy część niewątpliwego wdzięku. Takie było przynajmniej pierwsze wrażenie Joanny, a dokładniej przyjrzeć się nie mogła, ponieważ nieznajoma cofnęła się z fotelem w zacieniony kąt pokoju i nasunęła na czoło kaptur płaszcza. Już jednak z samego sposobu trzymania głowy i żywości spojrzenia można było poznać osobę szlchetnego rodu, nawykłą do rozkazywania.

Towarzyszka jej, młodsza o cztery czy pięć lat, przeciwnie, nie ukrywała swej rzeczywistej piękności, posągowych rysów twarzy ani kształtnej i smukłej kibici. W szybkim przeglądzie szczegółów zauważyła też Joanna, że młodsza z pań miała rączki białe i o tyle pulchne, o ile ręce starszej były suche i nerwowe.

Dokonawszy tych spostrzeżeń pani de la Motte głosem pełnym słodyczy zapytała, jakim szczęśliwym okolicznościom zawdzięcza tę wizytę.

Dwie kobiety porozumiały się spojrzeniem.

— Pani jest, zdaje się, zamężna? — odezwała się młodsza.

— Mam zaszczyt być żoną hrabiego de la Motte, proszę pani, zacnego szlachcica.

— My zaś, pani hrabino, jesteśmy przełożone fundacji Dzieła Miłosierdzia. Zainteresowano nas pani położeniem i chciałyśmy dowiedzieć się od pani czegoś więcej.

Joanna zastanowiła się przez chwilę.

Niepokoili ją powściągliwość drugiej nieznajomej.

— Ten portret Henryka III — zaczęła wreszcie — jest portretem brata mojego pradziada, bo rzeczywiście pochodzę z krwi Walezjuszów, jak zapewne paniom powiedziano.

I umilkła czekając na dalsze pytania i spoglądając na przybyłe z rodzajem unížonej dumy.

— Proszę pani — usłyszała miły i poważny głos starszej damy — czy to prawda, co mówią, że matka jej była odźwierną w domu zwanym Fontette, w okolicach Bar-sur-Seine?

Joanna zacerwieniła się na tę wzmiankę, ale opanowała się zaraz.

— To prawda, pani — odparła bez zmieszania. — Matka moja była odźwierną w domu zwanym Fontette.

— Ach! — zawołała nieznajoma.

— Ale że matka moja, Maria Jossel, była kobietą rzadkiej urody, ojciec mój zakochał się w niej i ożenił. I właśnie po ojcu pochodzę ze szlchetnej rasy. Ojciec, Saint-Remy de Valois, był w prostej linii potomkiem panującego rodu Walezjuszów.

— Jakim więc sposobem wpadła pani w taką nędzę? — spytała ta sama dama.

— Niestety, to łatwo wyjaśnić. Widzą panie, że po wstąpieniu na tron Henryka IV, kiedy korona z domu Walezjuszów przeszła na Burbonów, upadły ród pozostawił kilka jeszcze odrośli, mało wprawdzie znanych, ale wywodzących się niezaprzeczenie z tego samego pnia, co czterej bracia, którzy tak nędznie skończyli.

— Otóż — ciągnęła dalej Joanna — potomkowie Walezjuszów, choć nieznani i usunięci w cień, obawiając się podejrzeń ze strony nowego domu królewskiego, zmienili nazwisko na de Remy — tak nazywały się ich dobra, i od czasów Ludwika XIII pod tym nazwiskiem figurowali w genealogii. Dopiero mój dziadek, przedostatni z rodu, widząc, że monarchia umocniła się i że zapomniano o starej linii, uznał za stosowne powrócić do znakomitego nazwiska, jedyne go już

tylko dziedzicznego przywileju. Prowadząc więc nędzny żywot na prowincji używał znowu nazwiska Valois, chociaż na dworze francuskim nikt nie domyślał się, że poza zasięgiem promieniowania tronu wegetuje w zapomnieniu potomek dawnych królów Francji, jeśli nie najślawniejszych, to na pewno najbardziej nieszczęśliwych.

Po tych słowach umilkła, a mówiła po prostu i bez przesady.

— Patenta szlacheckie masz pani zapewne w porządku? — zapytała starsza nieznajoma rzucając przenikliwe spojrzenie na tę, która mianowała się potomkiem Walezjusów.

— O pani — odpowiedziała Joanna z gorzkim uśmiechem — nie zbywa mi na dokumentach, ojciec mój zebrał je wszystkie i z braku innego dziedzictwa pozostawił mi je umierając. Cóż mi jednak po dowodach o prawdzie beużytecznej czy też takiej, której nikt nie chce uznać.

— To pani ojciec nie żyje? — spytała młodsza dama.

— Niestety.

— A gdzie zmarł, na prowincji?

— Nie, pani, w Paryżu. Ojciec mój, baron de Valois, wnuk cioteczny króla Henryka III, umarł z nędzy i głodu...

— Niemożliwe! — zawołały obie damy jednocześnie.

— I to nie tutaj — mówiła dalej Joanna — nie w tej norze, nie na swoim łóżku nawet, choćby to był barłóg. Nie, ojciec skończył życie pośród ostatnich nędzarzy, zmarł w miejskim szpitalu, w Hôtel-Dieu.

Damy wydały okrzyk zgrozy.

Zadowolona z wywołanego wrażenia i ze zręczności w stopniowaniu efektów opowiadania, Joanna opuściła głowę i siedziała bez ruchu.

Starsza z obu pań przyglądała się jej pilnie i wnikliwie, ale nie znajdując w tym tak prostym i naturalnym bólu nic, co by mogło przypominać szalierstwo i prostactwo, podjęła przerwana rozmowę:

— Z tego, co pani mówisz, widać, że doświadczyłaś wielkich nieszczęść, a śmierć ojca pani przede wszystkim...

— O, gdybym opowiedziała pani swoje życie, zobaczyłabyś, że śmierć ojca nie zalicza się do najcięższych.

— Jak to — rzekła dama marszcząc surowo brwi — stratę ojca uznajesz pani za mniejsze nieszczęście?

— Tak, pani, a mówię to jako oddana córka. Bo ojciec mój umierając wyzwolił się od wszelkich nieszczęść, które go na tej ziemi dręczyły i które nadal dręczą jego nieszczęsną rodzinę. W bólu po tej stracie doznaję więc pewnej pociechy na myśl, że ojciec nie żyje i że nie musi już zebrać na chleb.

— Żebrać na chleb?

— O, ja się tego nie wstydzę, nie ma w tym winy ani ojca, ani mojej.

— A matka pani?

— Hm, z równą szczerością muszę wyznać: dziękuję Bogu, że powołał do siebie mego ojca, ale mam żal, że matkę moją utrzymał przy życiu.

Dwie kobiety spojrzały na siebie, osobliwe te słowa przejęły je niemal dreszczem.

— Prosiłabym panią o bardziej szczegółowy opis jej nieszczęść — odezwała się starsza dama. — Ale może to będzie niedelikatność.

— Niedelikatność będzie z mojej strony, jeżeli pozwolę sobie zamęczać panie opowiadaniem o cierpieniach, które nie mogą nikogo obchodzić.

— Słucham panią — rzuciła starsza dama wyniośle. Młodsza towarzyszka natychmiast przesłała jej wzrokiem znak przestrogi, ale panią de la Motte również uderzył rozkazujący ton głosu nieznajomej i spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Słucham — powtórzyła dama głosem mniej dobitnym — jeśli zechcesz pani opowiedzieć.

I wzdrygnąwszy się mimo woli z zimna tupnęła nogą zziębniętą zapewne od zetknięcia z wilgotnymi płytami posadzki. W tejże chwili młodsza podsunęła jej dywanik spod swego fotela, lecz została skarcona spojrzeniem za tę niewczesną atencję.

— Proszę zostawić sobie ten dywanik, siostró, jesteś węższa ode mnie.

— Niech mi panie wybaczą — powiedziała hrabina de la Motte — jest mi niezmiernie przykro, że tutaj zimno, ale drzewo znowu podrożało o sześć liwrów, a mój zapas skończył się przed tygodniem.

— Mówiłaś tedy pani — zaczęła starsza z przybyłych — że byłaś nieszczęśliwa z powodu matki.

— Rozumiem — odpowiedziała Joanna — podobne bluźnierstwo wymaga wyjaśnień. Otóż wyjaśnię to pani, skoro pani tego sobie życzy.

— Jak już miałam zaszczyt pani powiedzieć — mówiła dalej zauważywszy przytakujące kiwnięcie głową — ojciec mój popełnił mezalians żeniąc się z odźwierną. Maria Jossel, matka moja, zamiast być wdzięczną i dumną z honoru, jaki ją spotkał, doprowadziła ojca do ruiny, co zresztą nie było trudne, zaspokajając kosztem szczupłego mienia męża swoją łapczywość i zachcianki. Doprowadziwszy potem do sprzedaży ostatniego kawałka ziemi namówiła go na wyjazd do Paryża w celu rewindykowania należnych praw. Ojciec łatwo dał się skusić, liczył, być może, na sprawiedliwość królewską. Wyjechał więc, spieniężywszy to, co posiadał.

Oprócz mnie ojciec mój miał jeszcze syna i córkę. Syn, jak i ja nieszczęśliwy, wegetuje w wojsku jako prosty żołnierz, córka, moja biedna siostra, w przededniu wyjazdu do Paryża została porzucona przed domem pewnego dzierżawcy, jej chrzestnego ojca.

Podróż ta wyczerpała resztkę pieniędzy, które nam pozostały. Daremne i bezowocne starania zmęczyły ojca, ledwie pokazywał się w domu, do którego przynosił nędzę i w którym nędzę zastawał. W czasie jego nieobecności matka, której trzeba było ofiary, znęcała się nade mną. Głodziła mnie, biła pod lada pozorem, aż sąsiedzi, litując się nade mną, donieśli o tym ojcu. Ujął się za mnie, ale nie spostrzegł, że rozjątrza matkę tym bardziej. Niestety, byłam zbyt młoda i dziecinna, żeby we własnym interesie udzielić mu rady. Nic nie rozumiałam, doświadczałam skutków, nie starając się odgadnąć przyczyny. Poznałam cierpienie, to wszystko.

Ojciec zachorował i nie opuszczał pokoju, a potem łóżka. Nie pozwolono mi przebywać w pokoju ojca pod pretekstem, że męczę go i nie umiem powściągnąć dziecięcej potrzeby ruchu. Zostałam znowu na łasce matki. Bijąc mnie i maltretując wyuczyła mnie zwrotu, którego instynktownie nie chciałam zapamiętać, a kiedy ten zwrot poniżający umiałam już na pamięć, wypchnęła mnie z oczami zaczerwienionymi od płaczu na ulicę, nakazując mi, jeśli nie chcę być zbita na śmierć, recytować owe słowa lepiej wyglądającym przechodniom.

— Straszne, straszne — wyszeptwała młodsza dama.

— Jakiż to był zwrot? — zapytała starsza.

— Zwrot był taki: — powiedziała Joanna — „Panie, miej litość nad sierotką, która w prostej linii pochodzi od Henryka Walezjusza!”

— O, pfe! — zawołała z niesmakiem starsza.

— I jakież wrażenie sprawiało to na przechodniach? — zapytała młodsza.

— Niektórzy słuchali mnie i okazywali litość. Inni oburzali się i grozili. Inni wreszcie, najbardziej życzliwi, przestrzegali mnie, że się narażam wypowiadając podobne słowa, które

mogą dojść do niepowołanych uszu. Ale ja znałam tylko jeden powód do lęku — bałam się tylko chłosty.

— No i co się stało?

— Mój Boże! To, czego życzyła sobie matka, przynosiłam do domu trochę pieniędzy i tak oddalała się na kilka dni oczekująca ojca okropna perspektywa — szpital.

Rysy twarzy starszej z kobiet ściągnęły się, w oczach młodszej pojawiły się łzy.

— Wreszcie, chociaż szło tu mamie wszystko o dobro mego ojca, zbuntowałam się przeciw ohydnemu rzemiosłu. Pewnego dnia, zamiast gonić za przechodniami i prześladować ich wyuczonym zwrotem, siadłam pod bramą i przesiadywałam tak cały dzień jak martwa. Wróciłam wieczorem z próżnymi rękami. Matka zabiła mnie tak, że nazajutrz zachorowałam. Pozbawiony wszelkiej pomocy ojciec musiał pójść do szpitala i tam, w Hôtel-Dieu, zakończył życie.

— Okropna historia — szepnęły obie damy.

— Ale Bóg ulitował się nade mną. W miesiąc po śmierci ojca matka porzuciła nas, mnie i brata, i uciekła z pewnym żołnierzem, swoim kochankiem.

— Zostaliście więc sierotami.

— O pani, wręcz przeciwnie, sierotami byliśmy, kiedy mieliśmy matkę. Przygarnęło nas miłosierdzie publiczne. Mieliśmy wstręt do zebranych, ale, cóż robić, w miarę potrzeby zebraliśmy. Bóg każe stworzeniom swoim starać się o życie.

— Niestety!

— I cóż mam jeszcze powiedzieć? Pewnego dnia miałam szczęście: spotkałam karetę jadącą wolno w stronę przedmieścia Saint-Marcel; z tyłu stało czterech lokaj, wewnątrz siedziała kobieta młoda jeszcze i piękna. Wyciągnęłam rękę, zaczęła mnie wypytywać. Odpowiedź moja i nazwisko zdumiały ją, nie chciała uwierzyć. Podałam jej adres i bliższe dane. Nazajutrz, przekonawszy się, że nie skłamałam, przygarnęła nas: brata umieściła w wojsku, a mnie w zakładzie krawieckim. Ocaliło to nas obojga od głodu.

— Czy to nie była pani de Boulainvilliers?

— Tak jest.

— Ona już, zdaje się, nie żyje?

— Tak. Śmierć jej znowu mnie pogrzyżyła.

— Przecież mąż jej żyje jeszcze i jest bogaty.

— Jej mąż, pani? Jemu właśnie zawdzięczam wszystkie nieszczęścia młodej dziewczyny, tak jak wszystkie nieszczęścia dzieciństwa zawdzięczam matce. Wyrosłam, być może wyładniałam; on to zauważył i chciał wyznaczyć cenę za swoje dobrodziejstwa. Odmówiłam. Tymczasem pani de Boulainvilliers, która wydała mnie za mąż za dzielnego i prawego wojskowego, pana de la Motte, umarła. Po jej śmierci, rozłączona z mężem, znalazłam się bardziej jeszcze opuszczona niż byłam po śmierci ojca. Oto i cała historia. Starałam się streszczać. Opis cierpień jest zawsze zbyt rozwlekły dla osób szczęśliwych, choćby były litościwe jak, zdaje się, panie.

— A co porabia mąż pani? — zapytała po dłuższym milczeniu starsza dama.

— Mój mąż przebywa w garnizonie w Bar-sur-Aube, służy w gwardii konnej i czeka, ze swej strony, lepszych czasów.

— Czy zwracałaś się pani do dworu?

— Oczywiście.

— Nazwisko Walezjuszów poparte dowodami musiało wzbudzić współczucie.

— Nie wiem, pani, jakie uczucia mogło wzbudzić moje nazwisko, bo na żadną prośbę nie otrzymałam odpowiedzi

— Chyba jednak widziałaś, pani, ministrów, króla, królowę?

— Nikogo. Wszelkie usiłowania były daremne.

— Przecież nie możesz pani żebrać.

— Nie, pani, odzwyczaiłam się już, ale...

— Ale co?

— Ale mogę umrzeć z głodu jak ojciec.

— Czy macie państwo dzieci?

— Nie, a mój mąż, dając się zabić w służbie królewskiej, znajdzie przynajmniej chwalebny sposób zakończenia naszej nędzy.

— Czy mogłaby pani, przykro mi, że nalegam na to, okazać mi papiery legitymujące jej genealogię?

Joanna podniosła się, otworzyła szufladę, wyjęła jakiś zwitek i podała go damie. Jednocześnie podkręciła knot lampy, chcąc wykorzystać chwilę, gdy dama dla zbadania dokumentów zbliżyła się do światła i odsłoniła całkowicie swe rysy. Jednak pośpiech, z jakim to uczyniła, zdradził jej zamiar i dama z dobroczynności, jakby raziło ją światło, odwróciła się plecami do lampy. W tej pozycji obejrzała i przeczytała z uwagą każdy dokument.

— Ależ — powiedziała — to są tylko kopie, nie widzę żadnego autentycznego dowodu.

— Proszę pani — odpowiedziała Joanna — oryginały złożone są w miejscu bezpiecznym i okazać je...

— Jeżeli zdarzą się ważne okoliczności, prawda? — rzekła uśmiechając się, dama.

— Zaszczyt pani odwiedzin jest dla mnie na pewno okolicznością ważną, ale dokumenty, o których pani mówi, są tak cenne, że...

— Rozumiem. Nie możesz ich pani pokazywać pierwszej lepszej.

— O pani — zawołała hrabina, której udało się wreszcie zobaczyć pełną godności twarz protektorki — pani, rozumie się, nie jesteś dla mnie pierwszą lepszą!

I otworzywszy z pośpiechem inny mebel wyjęła z sekretnej szufladki oryginalne akta prawne, starannie przechowane w starym portfelu ozdobionym herbem Walezjuszów.

Dama z dobroczynności wzięła je, przejrzała uważnie ze znajomością rzeczy i powiedziała:

— Masz pani słuszość. Dokumenty są w największym porządku, radzę, żebyś pani nie zaniedbywała sprawy i przedstawiła je komu należy.

— I cóż na tym zyskam, zdaniem pani?

— Ależ bez wątpienia pensję dla pani, awans dla pana de la Motte, jeśli szlachcic ten na to zasługuje.

— Mój mąż jest wzorem honoru i nigdy nie uchybił obowiązkom służby wojskowej.

— To wystarczy — rzekła dama z dobroczynności opuszczając nagle kapturek na twarz.

Pani de la Motte obserwowała z niepokojem każdy jej ruch. Dama sięgnęła do kieszeni, wyjęła najpierw batystową, haftowaną chusteczkę, potem długi na kilka cali rulonik, który położyła na stoliczku.

— Biuro Dzieła Miłosierdzia — powiedziała — upoważniło mnie do wręczenia pani tej małej zapomogi jako chwilowej zaliczki.

Pani de la Motte rzuciła okiem na rulonik. — Trzyliwrowe talarki — pomyślała. — Jakby z nieba spadło sto pięćdziesiąt a może nawet trzysta liwrów. Ale na sto sztuk rulonik jest za krótki, na pięćdziesiąt — za długi.

Damy przeszły tymczasem do pierwszej izby; przy blasku kopcającej świecy drzemała tu na krześle pani Klotylda.

Cuchnący zapach łoju podrażnił gardło damy, która zostawiła pieniądze. Włożyła szybko rękę do kieszeni i wyjęła flakonik. Lecz na wołanie Joanny Klotylda obudziła się, chwyciła dogorywającą świecę i pragnąc oświetlić drogę podniosła ją do góry, pomimo protestów nieznanomych, które dławiał swąd.

— Do widzenia, do widzenia, pani hrabino! — zawołały wymykając się pospiesznie na schody.

— Gdzie będę miała zaszczyt podziękować paniom? — zapytała Joanna de Valois.

— Damy pani znać — odpowiedziała starsza schodząc jak można najszybciej.

Odgłos ich kroków ucichł na dolnych piętrach. Pani de Valois zawróciła chcąc sprawdzić zawartość rulonika. Nagle, przechodząc przez pierwszą izbę potrafiła nogą jakiś przedmiot, który stoczył się na posadzkę z maty uszczelniającej próg. Joanna schyliła się szybko, podniosła go i podbiegła do lampy.

Było to okrągłe, złote pudełeczko, ozdobione dość prostym, rytym ornamentem. Wewnątrz znajdowało się kilka pachnących pastylek czekoladowych, ale widać było, że pudełeczko, jakkolwiek płaskie, posiada podwójne dno. Hrabina biedziła się przez chwilę, nim znalazła ukrytą sprężynę i zdołała otworzyć. Ujrzała podobiznę poważnej kobiety, odznaczającej się niemal męską urodą i władczym majestatem.

Uczesanie na modłę niemiecką, wspaniały, jakby orderowy łańcuch na szyi nadawały portretowi uderzający wyraz obcości. Na pokrywce pudełeczka umieszczony był monogram MT spleciony z wieńcem laurowym.

Wnosząc z podobieństwa pani de la Motte domyśliła się, że musi to być portret matki lub babki starszej damy, jej dobrodziejki, i w pierwszym odruchu biegła już ku schodom, by oddać pudełeczko, gdy usłyszała trzask drzwi wejściowych. Było za późno, by dogonić damy, wychyliła się więc przez okno, chcąc je zawołać, ale zobaczyła już tylko kabriolet skręcający szybko w ulicę Świętego Ludwika, Straciwszy nadzieję przywołania swoich protektorek, hrabina obejrzała ponownie pudełeczko, przyrzekając sobie, że odeśle je do Wersalu, po czym wzięła do ręki rulonik i rzekła:

— Nie pomyliłam się, tylko pięćdziesiąt talarów. — Rozdarła papier i nagle upuściła go na podłogę.

— Luidory! — zawołała. — Podwójne luidory! Pięćdziesiąt sztuk, dwa tysiące czterysta liwrow!

Oczy jej zabłysły wyrazem chciwej radości, podczas gdy pani Klotylda, zachwycona widokiem nigdy dotąd nie oglądanej ilości złota, znieruchomiała rozdziawiwszy usta.

— Sto luidorów — powtórzyła pani de la Motte. — Więc te damy są takie bogate. Och, już ja je odnajdę.

IV. BÉLUS

Hrabina de la Motte nie myliła się sądząc, że obie panie z dobroczynności odjechały kabrioletem, który znikł przed chwilą na zakręcie.

Istotnie przed domem czekał na nie kabriolet, taki, jakie naówczas budowano — to jest lekkie pudło na wysokich kołach, z wysoko zapiętym fartuchem i wygodnym siodełkiem dla forysia z tyłu. Pojazd ten zaprzężony w pysznego irlandzkiego gniadosza sprowadził ten sam służący, który poprzednio powoził saniami obu pań z dobroczynności. Gdy panie nadeszły, Weber trzymał konia za uzdę, starając się poskromić niecierpliwe, płochliwe zwierzę, nerwowo bijące kopytami o ziemię.

— Pani — powiedział Weber — chciałem założyć Scipiona, który jest łagodny i łatwy do powożenia, ale Scipion ochwacił się wczoraj i musiałem wziąć Bélusa, a to jest koń narowisty.

— Och, Weber — powiedziała starsza z pań — wiesz, że dla mnie to nic nie znaczy, ręce mam silne i przywykłam powozić.

— Wiem, że pani prowadzi znakomicie, ale drogi są bardzo złe. Dokąd pani jedzie?

— Do Wersalu.

— A zatem przez bulwary?

— Nie, bierze mróz i na bulwarach będzie ślisko. Ulicami będzie łatwiej, ludzie rozdeptali śnieg. Ruszamy, Weber, pędź!

Weber przytrzymał konia, panie zwinnie wskoczyły do kabrioletu, sam umieścił się z tyłu i dał znak, że można jechać.

— No cóż myślisz o tej hrabinie, Andreo? — rzekła starsza dama zwracając się do towarzyszki.

To mówiąc zwołniła lejce i pomknęli.

— Myślę — odpowiedziała Andrea — że pani de la Motte jest biedna i bardzo nieszczęśliwa.

— I dobrze wychowana, nieprawdaż?

— Tak, zapewne.

— Jakoś jesteś dla niej oziębła, Andreo.

— Jeśli mam powiedzieć prawdę, ma ona w twarzy coś chytrego, coś, co mi się nie podoba.

— Och, wiem, ty, Andreo, jesteś z natury nieufna, bardzo trudno cię zadowolić. Ja uważam, że ta mała hrabina jest zajmująca i naturalna w swojej dumie, jak i w swoim upokorzeniu.

— To wielkie szczęście dla niej, że umiała się podobać...

— Na bok! — krzyknęła nagle dama ściągając gwałtownie konia, który wpadł na posłańca przy rogu ulicy Saint-Antoine.

— Na bok! — wrzasnął stentorowym głosem Weber. I kabriolet mknął dalej.

Słysząc było tylko złorzeczenia człowieka, który uniknął przejechania. Wkrótce, jak echo, podniosła się wrzawa mnóstwa głosów wyraźnie wrogich. Bélus jednak pędził, przestrzeń między pojazdem a krzykaczami szybko się powiększała i w ciągu kilku sekund panie znalazły się na placu Baudoyer.

Tu, jak wiadomo, droga rozdwa się, ale zręczna kierowczyni skrzyła bez wahania w ulicę Tixeranderie — ludną, wąską i mało wytworną. Toteż, pomimo powtarzanych pohukiwań, pomimo ryku Webera, słysząc było nieustannie rozwścieczone głosy przechodniów:

— Oho, kabriolet, precz z kabrioletem!

Dama powoziła wprawnie i wbrew oczekiwaniu nie przydarzyło się żadne nieszczęście. Zapalona latarnia oświetlała drogę; była to przezorność, której w owych czasach policja jeszcze nie nakazywała.

Nie stało się więc nic złego, nie stratowano nikogo, ani o nic nie zaczepiono. Krzyki jednak i pogrożki nie milkły, chociaż po przejechaniu z tą samą szybkością i z tym samym szczęściem płataniny zaułków, wjechano w bardziej cywilizowane dzielnice. Na ulicy de la Ferronnerie Weber zauważył skupiające się gromadki przechodniów. Wydawało się, że niektórzy chcą zagrozić drogę kabrioletowi lub też dogonić go i siłą zatrzymać. Widząc jednak zimną krew swej pani i zęczność, z jaką wymijała żywe i martwe przeszkody — ów stały powód rozpaczy, ale i triumfów paryskich stangretów — Weber nie chciał jej dodatkowo niepokoić.

Ale i dama wreszcie spostrzegła wzburzenie tłumu, a przypisując nienawistne okrzyki jakiejś błahej przyczynie postanowiła oddalić się jak najszybciej. Cmoknęła na konia, a na o wezwanie Bélus stulił uszy i z klusa przeszedł w galop. Domy pomknęły do tyłu, przechodnie w popłochu uskakiwali drogi.

— Na bok! Na bok! — wołano bezustannie z kabrioletu. Zbliżano się już do Palais-Royal, gdy u wylotu ulicy Coq-Saint-Honoré ukazał się obelisk ze śniegu wyniosły jeszcze, choć odwilż pomniejszyła i zaostrzyła jego szczyt na kształt wyspanych przez dzieci laseczek cukru jęczmiennego. Z wierzchołka powiewał pęk wstęg, zresztą nieco już wypłowiałych. Poniżej, pomiędzy dwiema latarniami, kołysał się napis. Dzielnicowy pisarz publiczny wymalował wielkimi literami następujący czterowiersz:

Królowo, której wdzięki przewyższa uroda,
Przy królu dobroczyńcy weź miejsce powinne:
Niestawa to budowla ze śniegu i lodu,
Nasze serca dla Ciebie są inne.

Pomnik zamierzano właśnie iluminować, zwabiło to sporą liczbę ciekawych, którzy, stojąc na jezdni, tarasowali drogę. Wypadało zwolnić. Ludzie widzieli jednak galop Bélusa, słyszeli okrzyki goniących, wszystko to wywarło jak najgorsze wrażenie. Wszelako i tym razem tłum rozstał się jeszcze.

Ale o krok dalej natknęli się na zbiegowisko z innej zgoła przyczyny. Poprzez otwarte kraty Palais-Royal widać było na dziedzińcu całą armię żebraków, którzy grzali się przy ogromnych koszach z żarem i którym lokaje księcia Orleańskiego roznosili w glinianych miseczkach zupę. Masa ludzi jedzących i wygrzewających się, jakkolwiek wielka, nie dorównywała wszakże liczbie gapiów. W Paryżu jest już taki zwyczaj: aktor, cokolwiek by robił, znajdzie zawsze widzów.

Pokonawszy pierwszą przeszkodę, przy drugiej kabriolet musiał zatrzymać się jak okręt uwięziony wśród raf. W tejże chwili okrzyki, które dochodziły dotąd uszu obu kobiet jako wrzawa głucha i pomieszana, stały się wyraźne.

— Precz z kabrioletem! Precz z ciemiężcami!

— Czy to może do nas zwrócone te krzyki? — zapytała towarzyszki dama, która powoziła.

— Doprawdy, pani, obawiam się, że tak — odpowiedziała zapytana.

— Czyżbyśmy kogo stratowały?

— Nikogo.

— Precz z kabrioletem, precz z ciemiężcami! — wrzeszczał rozwścieczony tłum.

Chwycono konia za uzdę, Bélus, który nie znosił dotknięcia obcej i szorstkiej ręki, dygotał i stawał dęba.

— Do komisarza! — rozległ się jakiś głos. — Do komisarza! Kobiety spojrzały po sobie z najwyższym zdumieniem a tysiąc głosów powtórzyło:

— Do komisarza! Do komisarza!

Ciekawsi zajrzeli tymczasem do wnętrza kabrioletu i rozpoczęły się komentarze.

— Oho, popatrz, kobietki — odezwał się głos.

— A tak, laleczki Soubise'ów, kochanice Hennina.

— Damulki z Opery. Im się wydaje, że mogą trutować biednych ludzi za swoje dziesięć tysięcy liwrow miesięcznie, które mają na przyszłe koszta szpitala.

Ostatnią zniewagę przyjęto głośnie brawami.

Gwałtowną emocję obie kobiety objawiły w inny sposób. Jedna, blada i drżąca wcisnęła się w głąb powozu, druga podniosła głowę z wyrazem stanowczości, zmarszczyła brwi i zacisnęła usta.

— Och, pani — zawołała młodsza jeszcze się cofając — co pani robi?

— Do komisarza! Do komisarza! — nie przestawali krzyczeć zapaleńcy. — Niech je rozpoznają.

— Jesteśmy zgubione — szepnęła młodsza do ucha towarzyszki.

— Odwagi, Andreo, odwagi — odrzekła starsza.

— Ale zobacz panią, może poznają.

— Spojrzyj przez okienko, czy Weber jest jeszcze za nami.

— Próbuje zejść, ale go napastują, broni się. Aha, oto idzie.

— Weber, Weber — powiedziała starsza z pań po niemiecku — pomóż nam wysiąść.

Służący, roztrzęcając ramionami nacierających, otworzył drzwiczki kabrioletu i damy zeskoczyły na ziemię. Cizba rzuciła się tymczasem na konia i kabriolet i poczęła demolować pudło.

— Cóż to jest, na miłość boską — odezwała się znowu po niemiecku starsza dama. — Czy ty coś rozumiesz, Weber?

— Dalibóg, nie — odpowiedział w tym samym języku, którym zresztą władał dużo swobodniej niż francuskim. I żeby wyswobodzić swoją panią rozdzielił tu i tam kilka ciosów.

— Ależ to nie ludzie, to dzikie zwierzęta — mówiła dalej dama. — Czego ode mnie chcą? O co im chodzi?

W tejże chwili ktoś, głosem ujmującym, kontrastującym wyraźnie z tonem pogroźek i obelg, którymi obrzucano obie panie, odpowiedział w czystym narzeczu saksońskim:

— Zarzucają pani, że łamiesz rozkaz policji, który wydano dziś rano w Paryżu, a który zabrania aż do wiosny posługiwania się kabrioletami, niebezpiecznymi dla pieszych nawet wówczas, gdy bruk jest dobry zupełnie, zaś w czasie gołoledzi grożącymi śmiercią.

Na ów głos uprzejmy dama odwróciła się i spostrzegła młodego oficera, który, chcąc zbliżyć się do niej i utrzymać na miejscu, musiał zapewne wojować równie walecznie jak Weber. Wysoki wzrost, zgrabna i dystygowana postać oraz marsowa mina młodego człowieka spodobały się widocznie damie, bo odpowiedziała skwapliwie po niemiecku.

— O, mój Boże. Nic nie wiedziałam o tym rozkazie, zupełnie nie wiedziałam.

— Czy pani jest cudzoziemką? — zapytał młody oficer.

— Tak, panie, ale powiedz, co mam robić? Rozbijają mi kabriolet.

— Niech rozbijają, trzeba go zostawić i wymknąć się samemu. Lud paryski jest rozjuszony na bogaczy, którzy w obliczu nędzy afiszują się przepychem. Na mocy wydanego dziś rozkazu, gotowi zaprowadzić panią na policję.

— Za nic — wybuchnęła młodsza — przenigdy.

— A zatem — rzekł ze śmiechem oficer — korzystajcie panie z wyłomu, jaki zaraz zrobię, i zmykajcie.

Swobodny ton tych słów dał do zrozumienia cudzoziemkom, że oficer słyszał komentarze pospólstwa na temat utrzymanek panów de Soubise i d'Hennin. Nie był to jednak czas na sprzeczkę.

— Proszę nam podać rękę i odprowadzić do jakiegoś najemnego powozu — powiedziała rozkazującym głosem starsza dama.

— Postaram się spiąć konia, a panie uciekajcie podczas zamieszania, które na pewno z tego wyniknie — odpowiedział młody człowiek pragnąc uchylić się od przypadkowej opieki i dalszej odpowiedzialności. — Ludziom sprzykrzyła się już nasza rozmowa w języku, którego nie rozumiemy.

— Weber! — zawołała dama mocnym głosem. — Niech Bélus staje dęba, żeby cała ta zgraja nastraszyła się i rozpierzchła.

— Ale połamię kabriolet.

— Niech sobie łamią, co cię to obchodzi. Ratuj Bélusa, jeśli zdołasz, a przede wszystkim siebie. Zalecam ci to, pamiętaj.

— Dobrze, pani — odpowiedział Weber.

I podciął drażliwego irlandczyka, który począł rzucać się i bić kopytami obalając najbliższych. Powstało ogromne zamieszanie.

— Pańskie ramię, panie oficerze — powiedziała dama. — Chodź, mała — dorzuciła zwracając się do Andrei.

— Idziemy, idziemy, dzielna kobieto — mruknął cicho oficer podając jej rękę natychmiast i z niekłamanym podziwem.

Po paru minutach znaleźli się przy postoju fiaków; starym zwyczajem woźnice drzemali na kozłach, a szkapy ze zwieszonymi łbami oczekiwały na chudą strawę wieczorną.

V. DROGA DO WERSALU

Nie istniała już wprawdzie groźba napaści ze strony tłumu, ale damy obawiały się, że ktoś z ciekawskich może je śledzić i ponownie wywołać awanturę. Możliwość taką przewidywał również młody oficer, zabrał się więc energicznie do budzenia stangreta, bardziej zresztą zziębniętego niż sennego. Mróz bowiem był tak przejmujący, iż woźnice, którzy zazwyczaj prześcigają się w odbijaniu sobie klientów, nie zdradzali ochoty do poruszenia się. Wreszcie zniecierpliwiony oficer, chwyciwszy za kołnierz lichej kapoty, wstrząsnął gwałtownie jednym z tych automedonów po dwadzieścia cztery sous na godzinę, aż stangret ocknął się z odrętwienia.

— Jestem, panie, jestem — powiedział.

— Dokąd panie jadą? — zapytał po niemiecku oficer.

— Do Wersalu — odpowiedziała starsza z dam w tym samym języku.

— Do Wersalu! — zawołał woźnica. — Powiadacie do Wersalu?

— No, tak.

— Jeszcze czego, do Wersalu. Półpiątej mili po takiej ślizgawicy. Nie, mowy nie ma.

— Dobrze się zapłaci — rzekła starsza Niemka.

— Zapłaci się — powtórzył po francusku oficer.

— A ileż mi zapłacą? — zapytał stangret nie ruszając się z kozła i jawnie okazując brak zaufania. — Bo to nie wszystko, mój panie oficerze, pojechać do Wersalu. Kiedy się tam dojechało, to trzeba i wrócić.

— Luidora, czy dosyć? — odezwała się młodsza dama, ciągle po niemiecku.

— Dają ci luidora — przetłumaczył młody człowiek.

— Czy to niby sprawiedliwe — burknął woźnica. — A jak konie nogi połamią?

— Łotrze jeden. Stąd do zamku de la Muette należy ci się trzy liwry, a to jest połowa drogi. Policz sobie, za drogę tam i z powrotem powinieneś dostać dwanaście liwrów, a otrzymasz dwadzieścia cztery.

— Och, proszę się nie targować — powiedziała starsza z pań — dwa, trzy, dwadzieścia ludwików, niech tylko zaraz jedzie i nie zatrzymuje się po drodze.

— Wystarczy jeden, pani — odrzekł oficer i zwracając się do woźnicy zawołał:

— Złaż z kozła, hultaju, i otwieraj drzwiczki.

— Żądam zapłaty z góry — powiedział stangret.

— Ty żądasz?

— Mam prawo.

Oficer porwał się z miejsca.

— Zapłacimy, zapłacimy z góry — wtrąciła się starsza Niemka i sięgnęła szybko do kieszeni.

— O Boże — powiedziała zniżonym głosem do towarzyszki — nie mam sakiewki.

Młoda kobieta przetrząsnęła z niepokojem kieszenie.

— Ja... i ja nie mam.

— Szukaj, Andreo, szukaj.

— Nic z tego — zawołała z gniewem młoda kobieta, widząc, że oficer przygląda się ich rozterce, a woźnica, jakby winszując sobie przezorności, otwiera gębę do szyderczego śmiechu.

Sytuacja komplikowała się, damy niecierpliwiły się, czerwieniały i bladły, ale nie znalazły ani grosza. Decydowały się już dać jako zastaw łańcuch lub inny klejnot, kiedy oficer, pragnąc oszczędzić im kłopotu i wstydu, wyjął z sakiewki luidora i podał woźnicy.

Ten schwycił monetę, obejrzał, zważył w dłoni i teraz dopiero otworzył drzwiczki karety. Damy dziękowały tymczasem oficerowi.

— A teraz, arcyszelmo — powiedział młody człowiek zwracając się do woźnicy — zawieziesz te panie szybko a przede wszystkim rzetelnie, słyszysz?

— Ależ to się rozumie, panie oficerze, tego mi przypominać nie trzeba.

W czasie tej krótkiej rozprawy panie naradzały się po cichu: myśl, że dotychczasowy przewodnik i opiekun ma je za chwilę opuścić, przejmowała je strachem.

— Pani — szepnęła młodsza — nie dajmy mu odejść.

— Dlaczego? Zapytajmy go o nazwisko i adres, jutro odeślemy mu luidora z podziękowaniem, napiszesz parę słów.

— Nie, nie, błagam panią, niech zostanie. A jeśli woźnica jest nieuczciwy, jeśli będzie nam robić wstręty po drodze. Przy takiej pogodzie, kto nam pomoże?

— Mamy przecież numer fiakra i certyfikat.

— Och, dobrze. Nie przeczę, każesz go pani później wychłostać, ale teraz... Nie wrócisz tej nocy do Wersalu i co wtedy, na Boga, powiedzą.

Starsza zastanowiła się.

— Masz słusność.

Oficer składał właśnie ukłon pożegnalny.

— Proszę pana, proszę pana — powiedziała po niemiecku Andrea — słoweczko jeszcze, jeśli łaska.

— Na pani rozkazy — odpowiedział młody człowiek widocznie niezadowolony, ale starając się zachować do końca ton wyszukanej grzeczności.

— Panie — mówiła dalej Andrea — po tylu przysługach, jakie nam pan wyświadczył, nie możesz odmówić nam jeszcze jednej.

— Słucham.

— Powiem otwarcie. Obawiamy się tego woźnicy, był tak źle usposobiony.

— Niepotrzebnie się panie niepokoją. Znam jego numer: 107, litera Z. Gdyby panie miały jakieś nieprzyjemności, proszę zwrócić się do mnie.

— Do pana? — Andrea, zapomniawszy się, przemówiła po francusku. — Jakże możemy zwrócić się do pana, kiedy nie znamy nawet pańskiego nazwiska.

Młody człowiek cofnął się o krok.

— Pani mówisz po francusku — zawołał zdumiony — i każesz mi, pani, od pół godziny kaleczyć język niemiecki. Och, to naprawdę nieładnie.

— Proszę nam wybaczyć, panie — podjęła po francusku starsza dama, pragnąc przyjść z pomocą zmieszanej towarzysze. — Widzi pan, nie jesteśmy może cudzoziemkami, ale też nie tu jest nasze miejsce, w Paryżu, a zwłaszcza we fiakrze. Jesteś pan na tyle człowiekiem dystygowanym, by zrozumieć nasze fałszywe położenie.. Proszę pamiętać, że uczynność w połowie jest nieuczynnością, dyskrecja mniejsza, niż pan do tej pory okazał, byłaby niedyskrecją. Mamy o panu dobre zdanie, niechże i pan nas źle nie sądzi. Jeśli zechce pan oddać nam przysługę bez zastrzeżeń, bardzo prosimy lub też pozwoli pan, że mu podziękujemy i poszukamy pomocy gdzie indziej.

— Pani — odpowiedział oficer uderzony dumnym, ale miłym tonem przemówienia nieznajomej — proszę mną dysponować.

— Racz więc pan zająć miejsce w karecie i towarzyszyć nam aż do Wersalu.

Oficer bez słowa wskoczył do fiakra, usiadł na przedniej ławeczce i krzyknął na stangreta:

— Jazda!

Zamknięto drzwiczki, otulono się w futra i płaszcze, karetka ruszyła. Woźnica, może pragnąc dotrzymać umowy, może obawiając się oficera, uparcie popędzał chude szkapiny po śliskim bruku. Przez ulicę Saint-Thomas-du-Louvre, plac du Carrousel i bulwary nadbrzeżne wyjechano z miasta na drogę de la Conférence.

Jechali w milczeniu. Oddech trojga podróżnych ogrzewał nieznacznie powietrze. Delikatny zapach perfum rozprzestrzenił się i nieprzychylność młodego człowieka dla obu towarzyszek stopniowo zanikała. Wciśnięty w kątek pojazdu naprzeciw starszej z pań, starannie założony na kolana połyskujący surdut oficera oddał się rozmyśleniom.

— Te kobiety — mówił do siebie — spóźniły się z jakimś rendez-vous i wracają teraz do Wersalu przestraszone trochę i zawstydzone. Ale, jeśli to są damy z towarzystwa, dlaczego jako kobiety dystygowane jeżdżą kabrioletem i w dodatku same powożą. No tak. Na trzy osoby kabriolet był zbyt wąski, zresztą kobiety takie nie posadzą przecież lokaja obok siebie. Ale ani jedna, ani druga nie miała pieniędzy. To jest zarzut poważny i warto się nad nim zastanowić.

Niewątpliwie sakiewkę miał lokaj. Kabriolet, teraz na pewno w szczątkach, był bardzo szykowny, a koń... jeśli znam się na koniach, wart ze sto pięćdziesiąt ludwików. Tylko bardzo bogate kobiety mogą zostawić bez żalu taki kabriolet i takiego konia. Tak więc brak pieniędzy nic nie znaczy. Dobrze, ale ta mania mówienia w obcym języku, skoro jest się Francuzką. Z drugiej strony to właśnie świadczy o lepszej edukacji. Byle awanturnica nie będzie władać czystą niemczyzną, a jednocześnie mówić po francusku jak paryżanka. A zresztą te kobiety posiadają wrodzoną dystynkcję. Prośba młodszej była wzruszająca, w życzeniu starszej było dostojeństwo rozkazu.

Naprawdę — monologował dalej przedstawiając szpadę, żeby nie zawadzała sąsiadkom — niezbyt to bezpieczne dla wojskowego spędzić parę godzin w powozie z dwiema ładnymi kobietami. Ładnymi i skromnymi. Nic nie mówią, czekają, żebym zaczął rozmowę.

Ze swej strony zapewne obie panie także rozmyślały o swoim towarzyszu, bo właśnie w chwili, kiedy zdołał sformułować swą myśl, starsza odezwała się po angielsku:

— Czy nie uważasz, moja droga, że jedziemy jak za pogrzebem, w ten sposób nigdy nie dostaniemy się do Wersalu. Ręczę, że biedny nasz towarzysz zanudził się na śmierć.

— Bo też nasza rozmowa nie jest zbyt zajmująca — roześmiała się młodsza.

— Wygląda na człowieka dobrze wychowanego.

— I ja tak myślę, pani.

— Nosi zresztą, jak zauważyłaś, mundur marynarki.

— Nie znam się na mundurach.

— Otóż nosi, jak już ci powiedziałam, mundur oficera marynarki, a we flocie służy tylko dobra szlachta. Do twarzy mu przy tym w uniformie, ładny chłopak, prawda?

Młoda kobieta miała już odpowiedzieć i prawdopodobnie potwierdzić zdanie towarzyszki, gdy nagle oficer powstrzymał ją gestem.

— Przepraszam panie — powiedział doskonałą angielszczyzną — czuję się w obowiązku uprzedzić, że mówię zupełnie nieźle po angielsku, nie znam natomiast hiszpańskiego, jeśli więc panie znają ten język i zechcą się nim posługiwać, mogą mieć pewność, że nie zostaną zrozumiane.

— Panie — rzekła dama śmiejąc się — mogłeś spostrzec, że nie miałyśmy zamiaru źle mówić o panu, nie krępujmy się więc i rozmawiajmy po francusku, jeżeli będziemy mieli coś do powiedzenia sobie.

— Dziękuję pani za tę łaskę, gdyby jednakże obecność moja miała paniom przeszkadzać...

— Jakże pan możesz przypuszczać coś podobnego, przecież to my pana prosiłyśmy.

— Żądałyśmy nawet — dorzuciła młodsza.

— Proszę, nie zawstydzajcie mnie, panie, i wybaczcie ów moment wahania. Znacie chyba Paryż — Paryż pełen zasadzek, podstępów i pomyłek?

— Ach, więc pan brałeś nas... No, przyznaj pan.

— Pan nas wziął za nasłane na wabia, to wszystko.

— Przysięgam paniom — rzekł zmieszany młody człowiek — ani mi to na myśl nie przyszło.

— Przepraszam, co to znaczy? Stajemy?

— Co się stało?

— Zaraz zobaczę.

— Niech pan uważa, przewracamy się.

I w nagłym odruchu strachu młodsza dama chwyciła młodego człowieka za ramię.

Pod dotknięciem tym zadrżał i odruchowo chciał przytrzymać jej rękę, ale Andrea, oprzytomniawszy już, rzuciła się w głąb powozu. Nie zatrzymywany dłużej oficer wysiadł i zobaczywszy, że woźnica usiłuje podnieść konia, który zaplątał się w uprzęży, udzielił mu pomocy. Wkrótce koń stanął na nogach i młody człowiek wrócił do wnętrza. Byli już za mostem Sévres.

Stangret zadowolony z pasażerów wesoło trzaskał z biczem pragnąc zapewne podochościć szkapiny i samemu się rozgrzać. Za to wewnątrz, zdawać by się mogło, że chłód, który wcisnął się przez otwarte drzwiczki, ostudził rozmowę i zmroził ową rodzącą się zażyłość i jej niespodziewany i niezrozumiały dla młodego człowieka urok.

Spytały go tylko, co się przydarzyło, a gdy opowiedział, zapanowało na nowo uciążliwe milczenie. Oficer nie mógł jednak zapomnieć ciepłej i drżącej rączki, zapragnął mieć w zamian choć nóżkę. Wyciągnął przeto nogę, ale jakkolwiek był zręczny, nic nie spotkał, a raczej ze, smutkiem zauważył, że to, co napotyka, usuwa się przed nim pospiesznie. Kiedy zaś musnął przypadkiem nogę starszej z kobiet, ta z najzimniejszą krwią zauważyła:

— Musi być panu okropnie niewygodnie, bardzo przepraszam.

Młody człowiek zaczerwienił się wyżej uszu, błogosławiąc w duchu ciemności skrywające jego rumieniec. Próby skończyły się na tym i znowu zapadło milczenie.

Zmieszany jak dziecko oficer znieruchomiał a nawet, pełen uszanowania, bał się głośniejszemu odetchnąć. Opanowało go dziwne uczucie. Oto miał przed sobą dwie młode, śliczne kobiety, widział je nie patrząc, czuł nie dotykając. Wydawało się, że jakaś cząstka ich istnienia włączyła się w jego życie. Za wszelką cenę pragnął nawiązać rozmowę i nie ośmiewał się, lękał się banałów, własnego natręctwa i niezręczności... on, światowiec, który przed godziną jeszcze uważał, że wyświadcza tym kobietom za wiele honoru podarowując im luidora i odrobinę grzeczności.

Słowem — jeśli istotnie wszelkie sympatie w tym życiu dają się wyjaśnić zgodnością fluidów połączonych w stosownej porze — sercem i myślami młodego człowieka oładnął jakiś przemożny magnetyzm, emanujący z zapachu perfum i młodzieńczego ciepła trojga przypadkowo zgromadzonych ciał. W ten sposób rodzą się niekiedy, żyją i zamierają w ciągu kilku chwil najbardziej realne, najbardziej słodkie i płomienne namiętności. Przelotność dodaje im uroku, powściągliwość — siły.

Panie rozmawiały po cichu. Do uszu oficera dolatywały urywki zdań.

— Późna godzina... Bramy zamknięte... Powód wyjścia...

Kareta zatrzymała się. Długie ulice Wersalu, pęsepnie i puste, rysowały się w czerwonym blasku kilku oszronionych latarń jak podwójna procesja widm czarnych i bezcielesnych. Dobili do mety. Jakież czary sprawiły, że jazda trwała tak krótko?

Stangret pochylił się ku przedniemu okienku i rzekł:

— Hej, panie oficerze, jesteśmy w Wersalu.

— Gdzie panie każą zajechać? — spytał młody człowiek.
— Na Plac Broni.
— Na Plac Broni — powtórzył głośno młodzieniec.
— Dostanę chyba napiwek — rzekł stangret i trzasnął z bicia.
— Muszę jednak przemówić — pomyślał oficer. — Wezmą mnie za gbura.
— Panie są już u siebie — odezwał się, wciąż jeszcze onieśmielony.
— Dzięki wspaniałomyślnej pana pomocy.
— Ileż miał pan z nami kłopotów — rzekła młodsza.
— O pani, nie warto o tym pamiętać.
— My jednak nie zapomnimy. Pańskie nazwisko, jeśli wolno?
— Moje nazwisko? Jak to?
— Proszę uważać. Pytamy pana już drugi raz.
— I nie zechce pan chyba darować nam luidora?
— Ach tak — rzekł oficer z lekka urażony. — Jeśli tak, ustępuję. Nazywam się Charny, hrabia de Charny, jak pani raczyła zauważyć oficer marynarki królewskiej.
— Charny — powtórzyła starsza z pań tonem, który mógł znaczyć: „dobrze, nie zapomnę”.
— Jerzy, Jerzy de Charny.
— Jerzy — szepnęła młodsza.
— A mieszka pan?
— W hotelu Książęcym, przy ulicy Richelieu.
W tej chwili karetą zatrzymała się. Starsza dama sama otworzyła drzwiczki po lewej stronie i zręcznie wyskoczyła podając rękę towarzysze. Młody człowiek chciał iść w ich ślady.
— Niech pan zostanie — zawołały równocześnie damy.
— Ależ, panie, nie jesteście jeszcze w domu, chodzić po nocy same, to niemożliwe.
— Otóż to — rzekła śmiejąc się starsza dama — najpierw odmawiałeś pan przysługi, a teraz chcesz się nam przysłużyć zanadto. Bądźże pan do końca eleganckim i dyskretnym kawalerem. Dziękujemy, panie de Charny, dziękujemy z głębi serca, a ponieważ jesteś, jak powiedziałam, rycerski i dyskretny, nie żądamy nawet słowa honoru.
— Na co słowa?
— Że zatrząsniesz drzwiczki i nawet nie obejrząwszy się w naszą stronę każesz stangretowi zawracać.
— Mają panie słuszność, moje słowo tu niepotrzebne. Hej, przyjacielu, jedziemy z powrotem. I młody człowiek wcisnął w łapę woźnicy drugiego luidora.
— Do Ucha — rzekł pocziwiec drżąc z radości — niech sobie konie padają.
— Myślę — szepnął oficer. — Zapłaciłem z nawiązką.
Jak sybaryta wyciągnął się na poduszkach, ciepłych jeszcze po obecności pań i westchnął rozkosznie, ale westchnienie zagłuszył turkot kół. Karetą odjechała, a kobiety, przeczekawszy chwilę nim zniknie w ciemności, skierowały się w stronę zamku.

VI. ROZKAZ KRÓLEWSKI

W tej chwili z ostrym porywem wiatru uszu ich dobiegł odgłos trzykrotnego uderzenia zegara na kościele świętego Ludwika.

— O Boże, za kwadrans dwunasta — zawołały kobiety.

— Bramy już pozamykane — dodała młodsza.

— Och, to mnie nie martwi, droga Andreo. I tak, choćby były otwarte, nie wejdziemy przez dziedziniec honorowy. Chodźmy szybko, przejdziemy przez Reservoirs.

Skierowały się na prawo. Jest tam, jak wiadomo, ustronne wejście do ogrodów.

— Furtka zamknięta, Andreo — rzekła z niepokojem starsza.

— Zapukamy.

— Nie, zawołajmy. Laurent powinien mnie oczekiwać, uprzedziłam go, że mogę wrócić późno.

— Dobrze, zawołam.

I Andrea zbliżyła się do furtki.

— Kto idzie? — odezwał się ktoś z wewnątrz nie czekając na wołanie.

— To nie głos Laurenta — powiedziała wystraszona kobieta.

— Istotnie.

Starsza dama podeszła bliżej.

— Laurent! — zawołała cicho pukając do drzwi.

— Nie ma tu żadnego Laurenta — odpowiedziano szorstko.

— Laurent, czy nie Laurent — ponagliła Andrea — proszę natychmiast otworzyć.

— Nie otworzę.

— Ależ, przyjacielu, nie wiesz chyba, że Laurent nam zawsze otwiera.

— Kpię sobie z waszego Laurenta, ja mam rozkaz.

— Ktoś więc jest właściwie?

— A wy co za jedne?

Pytanie było dość gburowate, ale obrażać się nie było sensu.

— Jesteśmy damy z orszaku Jej Królewskiej Mości. Mieszkamy w zamku i chcemy dostać się do siebie.

— A ja, moje panie, jestem szwajcar z pierwszej kompanii Salischamade i zostawię was za drzwiami.

Dama ścisnęła z gniewu rękę towarzyszki, ale przezwyciężyła się.

— Mój przyjacielu — powiedziała — rozumiem, że jako dobry żołnierz musisz słuchać rozkazu, ale proszę cię, zrób nam tę grzeczność i zawołaj Laurenta. On nie powinien być daleko.

— Nie wolno mi zejść z posterunku.

— Poślij kogo.

— Nikogo tu nie ma.

— Zmiłuj się.

— Ech, do licha! Idź pani spać do miasta. Wielka mi historia. Gdyby tak mnie zamknięto przed nosem bramę koszar, wiedziałbym, gdzie nocować. Idźcie sobie!

— Grenadierze, słuchaj — powiedziała z determinacją starsza z pań — dwadzieścia luidorów, gdy otworzysz.

— I dziesięć lat kajdan, dziękuję. Czterdzieści osiem liwrów rocznie to trochę za mało.

— Każę mianować cię sierżantem.

— Tak, a ten, który dał mi rozkaz, każe mnie rozstrzelać, pięknie dziękuję.

— Któż więc dał rozkaz?

— Król.

— Król — powtórzyły kobiety z przerażeniem. — Jesteśmy zgubione.

Młodsza zdawała się bliska szaleństwa.

— Czekaj — szepnęła starsza — są jeszcze inne wejścia.

— Och, pani. Jeśli tutaj zamknięto, gdzie indziej będzie tak samo. I gdzie będziemy szukać Laurenta, jeżeli tu go nie ma? To zrobiono umyślnie.

— Tak, Andreo, masz rację. Och, Andreo, to sprawka króla.

Dama wygłosiła te słowa z niemal złowrogą pogardą.

Furtka przy wodociągach wybita była przez całą grubość muru, w ten sposób framuga tworzyła jednocześnie rodzaj dość głębokiej niszy; po obu bokach znajdowały się kamienne ławki. Wzburzone i zrozpaczone kobiety padły na nie bez siły. Za drzwiami słychać było kroki wartownika i szcęk broni, przez szparę u dołu widać było pręgę światła. Tam, za tą wątlą dębową zaporą znajdowało się ocalenie, tu wstyd, skandal, prawie śmierć.

— Och, jutro, jutro, gdy się dowiedzą — wyjąkała starsza.

— Powie pani prawdę.

— Czy uwierzą?

— Są przecież dowody. Proszę pani. Żołnierz nie będzie stał całą noc, za godzinę go zmienia, a jego następcą może okazać się przystępniejszy.

Zdawało się, że młodsza kobieta nabiera odwagi w miarę, jak traci ją towarzyszka.

— Tak, ale po północy chodzą patrole. Znajdą mnie tutaj, za bramą, czekającą, ukrywającą się. To haniebne, Andreo. Patrz, krew mi uderza do głowy, duszę się.

— Odwagi, pani, odwagi. Pani zawsze taka mocna i ja, przed chwilą taka słaba, muszę panią podtrzymywać na duchu?

— To jest spisek, Andreo, padłyśmy ofiarą zmywy. Tego przedtem nie było, tych drzwi nigdy nie zamykano. Och, Andreo, ja tego nie przeżyję.

I padła na wznak, jak gdyby dusiła się rzeczywistością.

Nagle rozległ się chrzęst kroków. Po białym i suchym, tak dziś nieuczęszczanym bruku wersalskim ktoś szedł śpiewając głosem młodzieńczym i wesołym.

Była to jedna z tych krotochwilnych piosenek tak charakterystycznych dla epoki.

Ach, czemuż ja o tym wciąż roję? Ach, czemuż wciąż marzę daremnie.

Że byliśmy razem we dwoje Tej nocy tak długiej i ciemnej. Morfeusz mnie uśpił cichutko, I stałem się kruchym żelazem; Magnesu ty stałaś się grudką I moc twa sprzęgnęła nas razem.

— Czyj to głos? — krzyknęły naraz obie kobiety.

— Dziwnie znajomy — rzekła starsza.

— To...

Ów bożek przez podstęp uroczy, Jak echo owego magnesu...

— To on! — szepnęła starsza dama do ucha Andrei. — To on. On nas wyratuje!

W tej chwili młody mężczyzna, otulony w futro, wszedł do niszy i nie spostrzegając obu kobiet zapukał do drzwi.

— Laurent! — zawołał.

— Bracie! — odezwała się starsza dotykając ramienia młodego człowieka.

— Królowa! — zawołał cofając się o krok i zdejmując kapelusz.

— Cicho! Dobry wieczór, bracie.

— Dobry wieczór, pani, dobry wieczór, moja siostró. Pani nie jesteś sama?

— Nie, jest ze mną panna Andrea de Taverney.

— Ach, doskonale. Dobry wieczór, panienko.

— Wasza Wysokość — szepnęła Andrea z ukłonem.

— Panie wychodzą? — zapytał młody człowiek.

— Nie. Właśnie chciałybyśmy wejść.

— Czy nie wołałyście, panie, Laurenta?

— Wołałyśmy.

— No i co?

— Proszę, Wasza Wysokość, proszę zawołać, a przekona się pan.

Młody człowiek, a był to hrabia d'Artois, podszedł znowu do drzwi i zapukał.

— Laurent.

— Aha. Znowu zaczynają się te błazeństwa — odezwał się szwajcar. — Uprzedzam, że jeśli będziecie mnie nadal niepokoić, zawołam oficera.

— Co to ma znaczyć? — zapytał zdziwiony młody człowiek zwracając się do królowej.

— Po prostu szwajcar, którego postawiono na miejsce Laurenta.

— Ale kto?

— Król. I jak widać ze srogim rozkazem.

— Tam do diabła. Kapitulujemy.

— Jak to?

— Dajmy temu głupcowi pieniędzy.

— Dawałam, odmówił.

— Zaproponujmy sierżanckie galony.

— Też już proponowałam. Nie chce o niczym słyszeć.

— Jest jeszcze jedna rada, narobię hałasu.

— Ależ, skompromitujesz nas. Karolu kochany, błagam...

— Nie, bynajmniej pań nie skompromituję. Stańcie na boku. Będę dotąd pukał i krzyczał aż mi otworzą, a wtedy przemkniecie się za mną.

— Spróbuj, proszę.

Młody książę począł znowu dobijać się do drzwi i przyzywać Laurenta, wreszcie wszczął taki rumor rękojeścią szpady, że rozwścieczony sztyldwach zawołał:

— Ach, tak? Czekajcie, zawołam oficera.

— A wołajże, błaznie. Do licha. Na to tylko czekam od kwadransa.

Po chwili za drzwiami usłyszano kroki. Królowa i Andrea ustawiły się tuż za hrabią d'Artois, gotowe skorzystać z przejścia. Słychać było, jak wartownik wyjaśnia przyczynę zajścia.

— Panie poruczniku — mówił — tam są jakieś damy i mężczyzna, który nazwał mnie błaznem. Chcą gwałtem wejść.

— No i co w tym dziwnego, że chcemy wejść, skoro mieszkamy w zamku?

— Chęć to zapewne zrozumiała, przyjacielu, ale nie wolno — odpowiedział oficer.

— Nie wolno? Któż zabronił, u licha?

— Król.

— Bardzo pana przepraszam, ale król nie życzyłby sobie, żeby oficer pałacowy nocował na zewnątrz.

— Mój panie, nie do mnie należy badać intencje królewskie, ja mam wypełnić rozkaz króla i tyle.

— No, poruczniku, niechże pan choć furki uchyli, żebyśmy nie rozmawiali przez deski.

— Powtarzam panu, że mam wyraźny rozkaz, żeby brama była zamknięta. Jeśli, jak pan mówisz, jesteś oficerem, wiesz dobrze, co to znaczy rozkaz.

— Poruczniku, rozmawiasz z dowódcą pułku.

— Panie pułkowniku, proszę wybaczyć, ale rozkaz jest kategoryczny.

— Rozkaz nie był wydany dla książąt. Słuchaj pan, książę nie będzie spał za murami, a ja jestem księciem krwi.

— Mości książę, doprowadzasz mnie do rozpacz, ale jest nakaz królewski.

— Czyżby król kazał ci odpędzić swego brata jak żebraka lub złodzieja? Mój panie, jestem hrabią d'Artois i... do kata, grubo ryzykujesz, każąc mi marznąć za drzwiami.

— Jaśnie Oświecony panie hrabio d'Artois... — rzekł porucznik — Bóg mi świadkiem, że oddałbym krew za Waszą Królewską Wysokość, ale król osobiście raczył powierzyć mi wartę przy tej bramie i polecił nie otwierać nikomu, nawet jemu, królowi, gdyby zjawił się po jedenastej. Proszę więc pokornie o wybaczenie ale jestem żołnierzem i gdybym nawet zobaczył na tym miejscu, za tymi drzwiami skostniałą z zimna Jej Królewską Mość, odpowiedziałbym Najjaśniejszej Pani to samo, co musiałem z przykrością powiedzieć panu.

To rzekłszy i pożegnawszy księcia z najwyższym respektem, oficer wycofał się na swoje stanowisko. Pozostał tylko żołnierz, przyklejony do furtki. Ten nie śmiał nawet oddychać, hrabia słyszał przez drzwi bicie jego serca.

— Jesteśmy zgubieni — powiedziała królowa ściskając rękę szwagra.

— Czy wiedzą, żeś, pani, wyszła?

— Niestety, tego nie wiem — odpowiedziała królowa.

— Być może, siostrze, rozkaz królewski wymierzony jest przeciwko mnie. Król wie, że wychodzę nocami i wracam niekiedy późno. Pani hrabina d'Artois mogła dowiedzieć się czegoś i poskarżyć się Jego Królewskiej Mości. Stąd ten rozkaz tyrański.

— Och, nie, mój bracie; z całego serca dziękuję ci za delikatność, z jaką chcesz mnie uspokoić, ale kroki te podjęto na pewno dla mnie a raczej przeciwko mnie.

— Niemożliwe, król ma zbyt wiele szacunku...

— Ale na razie stoję za drzwiami, a jutro z rzeczy najniewinniejszej w świecie wyniknie okropny skandal. Och, wiem o tym: mam wroga przy boku króla.

— Wroga przy boku króla, siostrzyczko, to możliwe. Hm, mam pewną myśl.

— Myśl? Słucham pilnie.

— Myślę, jakby to pani wroga uczynić głupszym niż osioł na uździe.

— Och, bylebyś wyratował nas ze śmieszności tej sytuacji, o to tylko proszę.

— Bylebym wyratował? Mam nadzieję. Nie jestem głupszy do niego, choć on może bardziej uczony.

— Kto taki?

— No któżby, jak nie pan hrabia Prowansji?

— Ach, więc również uważasz, że to mój wróg?

— A czyż nie jest on wrogiem wszystkiego, co młode i piękne, wszystkiego, co może... Hm, to czego on nie może.

— Mój bracie, ty coś wiesz o tym rozkazie...

— Możliwe. Ale nie stójmy pod tymi drzwiami, tu pieskie zimno. Chodźmy, droga siostrze.

— Ale dokąd?

— Zobaczysz. Gdzieś, gdzie będzie przynajmniej ciepło. Chodźmy, a po drodze opowiem, co myślę o tym zamknięciu drzwi. O panie hrabio Prowansji, mój kochany i niegodziwy braciszku. Służę ramieniem, siostrze; proszę wziąć mię pod rękę, panno de Taverney. Skręcimy na prawo.

— Mówiłeś więc, że pan de Provence?... — zaczęła królowa.

— Otóż tak. Dziś wieczór, po kolacji u króla, przeszedł do wielkiego gabinetu. W ciągu dnia król rozmawiał długo z hrabią de Haga, a pani nie było widać.

— O drugiej wyjechałam do Paryża.

— Wiem o tym. Król, proszę darować, że to mówię, droga siostrze, król nie myślał o pani więcej niż o Harun-al-Raszydzie i jego wielkim wezyrze — rozmawiano o geografii. Słuchałem dość niecierpliwie, bo i ja także zamierzałem wyjść. Och, przepraszam, nie wychodziliśmy w jednakowym celu. Wyraziłem się trochę niedokładnie...

— No, no, mniejsza, mów dalej.

— Idziemy w lewo.

— Dokądże mnie prowadzisz?

— Jeszcze dwadzieścia kroków. Proszę uważać, zaspą śnieżną. Panno de Taverney, uprzedzam, jeśli nie będziesz pani patrzeć pod nogi, upadniesz. Słowem, wracając do króla, rozmyślał właśnie o długościach i szerokościach geograficznych, gdy hrabia Prowansji zwrócił się do niego:

„Chciałbym właściwie złożyć moje uszanowanie królowej.”

— Ach, tak! — powiedziała Maria Antonina. „Królowa je dziś kolację u siebie — odpowiedział król.” „Myślałem, że jest w Paryżu — zauważył mój brat. — Byłem tam i nie przyjęto mnie.”

— Spostrzegłem, że król zmarszczył brwi. Zaraz nas z bratem odprawił i na pewno poszedł dowiedzieć się. Ludwik miewa napady zazdrości, wiesz pani o tym. Pragnął widzieć się z tobą, wzbroniono mu wejścia i czegoś się tam domyśla.

— Rzeczywiście, pani de Misery miała takie polecenie.

— Otóż właśnie. I żeby upewnić się o pani nieobecności, król wydał tę surową instrukcję i zostaliśmy za drzwiami.

— Och, ale przyzwoite to z jego strony nie było, przyznasz, hrabio?

— Przyznaję, ale już jesteśmy na miejscu.

— To ten dom...

— Nie podoba się pani, siostrze?

— Ależ, przeciwnie, jest uroczy. Tylko pańscy ludzie...

— O co chodzi?

— Gdyby mnie zobaczyli.

— Proszę, wejść jednak, siostrze. Zaręczam, że nikt pani nie zobaczy, nawet ten, kto otworzy drzwi.

— Niemożliwe.

— Spróbujmy — rzekł hrabia d'Artois i wyciągnął rękę ku drzwiom.

Królowa chwyciła go za rękę.

— Błagam, ostrożnie.

Księżę przycisnęła dekoracyjną płaskorzeźbę na drzwiach i drzwi otworzyły się. Królowa nie zdołała powstrzymać odruchu lęku.

— Proszę wejść, siostrze, widzisz przecież, że nie ma nikogo.

Spojrzawszy na pannę de Taverney królowa przestąpiła próg z miną osoby, która odważa się zaryzykować i z owym uroczym gestem kobiety, która powierza się łasce boskiej.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie.

Znaleźli się w przedsionku niezbyt obszernym, ale urządzonej ze smakiem. Ściany ze stiuku wyłożone były u dołu marmurowymi płytami, tafle posadzki układały się w mozaikę przedstawiającą bukiety kwiatów, z wazonów japońskich na marmurowych konsolach zwieszały się obfite gałęzie róży stulistnej, tak rzadkiej o tej porze roku.

Miłe ciepło i słodki zapach kwiatów działający na zmysły sprawiły, że damy, znalazłszy się w przedsionku, zapomniały po części nie tylko o swoich obawach, ale nawet o swoich skrupałach.

— Nareszcie — powiedziała królowa — znalazłyśmy schronienie. I to, prawdę mówiąc, schronienie dość wygodne. Jeszcze tylko jedno, mój bracie, bądź pan tak uprzejmy i zajmij się odprawieniem służby.

— Och, nic łatwiejszego.

Książę pociągnął za dzwonek umieszczony w wyźłobieniu kolumny. Rozległ się pojedynczy dźwięk i zanikł tajemniczym echem w głębi klatki schodowej. Damy wydały okrzyk przestraszenia.

— Czy to w ten sposób oddalasz pan służbę? — zapytała królowa. — Mogłabym raczej przypuszczać, że ją przywołujesz.

— Gdybym zadzwonił powtórnie, owszem, ktoś by nadszedł. Skoro jednak zadzwoniłem raz jeden, bądź pani spokojna, siostrze, nikt się nie zjawi.

Królowa wybuchnęła śmiechem.

— Widzę, że jesteś przewidujący.

— Nie zatrzymujmy się w przedsiönku, droga siostrze — kontynuował książę. — Bądź łaskawa udać się na górę.

— Słuchamy — odrzekła królowa. — Bóstwa tego domu nie wydają się złośliwe.

I w ślad za księciem weszła na schody wysłane tłumiącymi odgłos kroków aubussońskimi kobiercami.

Na piętrze książę pociągnął za taśmę drugiego dzwonka. Damy nie uprzedzone przestraszyły się znowu, ale ku ich zdziwieniu drzwi otworzyły się same.

— Doprawdy, Andreo — powiedziała królowa — ja zaczynam drżeć, a ty?

— Dopóki mam przed sobą Waszą Królewską Mość, wszędzie idę z pełnym zaufaniem.

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego — wtrącił się młody książę. — Drzwi naprzeciw prowadzą do pani apartamentów. Proszę.

I wskazał królowej śliczne mieszkanie, którego opisu nie można pominąć.

Mały przedpokój o posadzce i boazeriach z drzewa różanego, z plafonem pędzla Bouchera i dwiema etażerkami roboty Boule'a prowadził do buduaru wybitego białym, ręcznie haftowanym kaszmiem. Podłogę buduaru wyścielał dywan jedwabny, stonowany na wzór obrazu, mistrzowskie dzieło sztuki z ówczesnej pracowni Gobelinów.

Dalej jeszcze znajdowała się prześliczna, błękitna sypialnia. Zasłony z koronki i jedwabiu z Tours, zbytkowne łóżko w ciemnej alkoWie, ogień buzujący na białym, marmurowym kominku, dwanaście perfumowanych świec płonących w kandelabrach roboty Clodiona, parawan z lazuruwej laki ze złoceniami na modłę chińską — takie oto wspaniałości ukazały się oczom dam, gdy weszły dość lekliwie do tego wytwornego pomieszczenia. Było rozkosznie ciepło i jasno, choć nigdzie nie było widać żywej duszy i mogłoby się wydawać, że skutki następują bez przyczyny.

Królowa, która już do buduaru wchodziła z rezerwą, zatrzymała się chwilę na progu sypialni. Książę w sposób nad wyraz uprzejmy usprawiedliwiał się, że zniewolony koniecznością wprowadza siostrę w niegodne jej intymności. Królowa odpowiedziała na to uśmiechem, który wyrażał więcej niż wszelkie słowa.

— Siostrze — dodał więc hrabia d'Artois — jest to moje mieszkanie kawalerskie, przychodzę tu sam i to zawsze sam.

— Prawie zawsze — rzekła królowa.

— Nie, zawsze. Co więcej — mówił dalej — w buduarze jest sofa i berżerka, na których wielokrotnie, gdy noc zaskoczyła mnie na polowaniu, sypiałem równie dobrze jak we własnym łóżku.

— Rozumiem teraz — zauważyła królowa — że pani hrabina d'Artois bywa czasami niespokojna.

— Niewątpliwie, ale przyznasz siostrze, że jeśli pani hrabina jest o mnie niespokojna, to tej nocy nie będzie miała racji.

— Tej nocy, nic nie mówię, ale podczas innych nocy...

— Ktokolwiek raz nie ma racji, nie ma racji nigdy.

— Zostawmy to — powiedziała królowa siadając na fotelu — jestem okropnie znużona. A ty, moja biedna Andreo?

— Och, upadam ze zmęczenia i jeśli Wasza Królewska Mość pozwoli...

— Istotnie, pobladłaś, pani — rzekł hrabia d'Artois.

— Siadaj, siadaj, moja droga, a nawet połóż się. Pan hrabia d'Artois odstępuje nam ten apartament, nieprawdaż, Karolu?

— Na własność, pani.

— Jeszcze chwileczkę, hrabio, ostatnie słowo.

— Słucham.

— Gdy odejdiesz, jak pana przywołamy?

— Nie będę paniom potrzebny, siostrze; raz wprowadzone rozporządzenie całym domem.

— A więc są tu jeszcze inne pokoje?

— Ależ oczywiście. Jest przede wszystkim sala jadalna i zapraszam, żeby ją odwiedzić.

— I zapewne już podano do stołu?

— Z całą pewnością. Panna de Taverney, która, zdaje się, bardzo tego potrzebuje, znajdzie tam trochę bulionu, skrzydełko z drobiu i naparstek Xeresu, a pani, siostrze, wybór smażonych owoców, które tak lubisz.

— I to wszystko bez lokai?

— Bez nikogo.

— Zobaczymy. Ale co potem? Jak wrócimy do zamku?

— Teraz o tym nie warto myśleć. Rozkaz wydany był na noc i o szóstej bramy otworzą. Wyjdziecie stąd za kwadrans szósta. Jeśli zechcecie się przebrać, w szafach znajdziecie najrozmaitsze zarzutki, pójdziecie do siebie i położycie się spać, a o resztę się nie troszczcie.

— A pan co zrobisz?

— Ja? Wychodzę.

— Jak to? Opuszczasz pan dom, mój biedny bracie?

— Nie wypada, żebym spędzał noc pod jednym dachem z panią, siostrze.

— Przecież musisz pan gdzieś zanocować, a my ci zabieramy nocleg.

— Ba, mam jeszcze trzy takie same.

— I on powiada, że pani hrabina d'Artois nie ma powodu się niepokoić — roześmiała się królowa. — Ja ją przestrzegę — dodała z pełnym wdzięku gestem pogroźki.

— A ja powiem wszystko królowi — odpowiedział książę tym samym tonem.

— Ma rację, jesteśmy w jego mocy.

— Całkowicie. To przykre, ale co robić?

— Poddać się. Więc powiadasz pan, że aby wyjść rano nie spotykając nikogo...

— Trzeba zadzwonić na dole. Tylko jeden raz.

— I drzwi się otworzą same?

— Same otworzą się i zamkną.

— Dziękuję, mój bracie. Dobranoc.

— Dobranoc.

Książę skłonił się i zniknął.

VII. SYPIALNIA KRÓLOWEJ

Nazajutrz, a raczej wczesnym rankiem tego samego dnia, ponieważ poprzedni musiał zakończyć się około drugiej w nocy, król Ludwik XVI w fioletowym stroju porannym, bez orderów i nieupudrowany, tak jakby prosto wstał z łóżka, zapukał do drzwi przedpokoju królowej.

Pokojowa uchyliła drzwi i ujrawszy monarchę rzekła cicho:

— Sire...

— Królowa? — zapytał krótko Ludwik XVI.

— Jej Królewska Mość śpi, Najjaśniejszy Panie!

Król zrobił gest jakby chciał oddalić kobietę, lecz ta nie ustępowała.

— Cóż to? — rzekł król. — Nie usuniesz się, pani? Przecież widzisz, że chcę wejść.

Król bywał niekiedy popędliwy, nieprzyjaciele jego nazywali to brutalnością.

— Królowa odpoczywa, Sire — zaprotestowała lekliwie służąca.

— Powiedziałem już, że masz mi dać przejście — odrzekł król. I odepchnąwszy kobietę wszedł do środka. Przy samych drzwiach sypialni pani de Misery, pierwsza pokojowa królowej, czytała godzinki.

Ujrawszy króla dama wstała i złożyła głęboki ukłon.

— Najjaśniejszy Panie — powiedziała ściszym głosem — Jej Królewska Mość nie wzywała mnie jeszcze.

— Ach, doprawdy? — odezwał się szyderczo król.

— Ależ, Sire, jest chyba dopiero pół do siódmej, a Jej Królewska Mość nigdy nie dzwoni przed siódmą.

— A pani pewna jesteś, że królowa leży w łóżku, jesteś pewna, że śpi?

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie, czy Jej Królewska Mość śpi, ale zaręczam, że leży w łóżku.

Król nie mógł się dłużej powstrzymać, podszedł wprost do drzwi i przekreślił złoconą gałkę szybko i z hałasem.

W pokoju królowej było zupełnie ciemno, pozamykane szczelnie okiennice, firanki i rolety nie dopuszczały światła. W najdalszym kącie pokoju na gerydoniku paliła się lampka nocna, lecz alkowa pogrążona była w mroku. Ciężkie zasłony z białego jedwabiu w złote lilie spływały w fałdach nad łóżem w nieładzie.

Król podszedł spiesźnie do łóżka.

— Och, pani de Misery — odezwała się królowa — cóż to za hałasy wyprawiasz, obudziłaś mnie.

Król zatrzymał się zdumiony.

— To nie pani de Misery — bąknął.

— Ach, to ty, Najjaśniejszy Panie! — zawołała Maria Antonina unosząc się na łóżku.

— Dzień dobry pani — wyrecytował król z fałszywą słodyczą.

— Jakież to dobre bogi sprowadzają cię, Sire? — zapytała królowa. — Pani de Misery! Pani de Misery! Proszę otworzyć okna.

Kobiety weszły i według zwyczaju, który wprowadziła królowa, pootwierały szeroko okna i drzwi, by wpuścić świeże powietrze. Maria Antonina oddychała z rozkoszą.

— Smacznie pani sypiasz — rzekł król siadając przy łóżku i rozglądając się badawczo.

— Tak jest, Sire. Czytałam do późna i gdybyś mnie, Wasza Królewska Mość, nie obudził, jeszcze bym spała.

— Czemuż to, pani, nie przyjmowałaś wczoraj?

— Nie przyjmowałam? Kogo nie przyjął? Twojego brata, hrabiego Prowansji? — zapytała z przytomnością umysłu królowa, uprzedzając podejrzenia króla.

— Tak, właśnie, mego brata. Pragnął cię pozdrowić i nie wpuszczono go.

— I co z tego?

— Powiedziano mu, że jesteś nieobecna.

— Tak mu powiedziano? — zauważyła niedbale królowa. — Pani de Misery! Pani de Misery! Pierwsza pokojowa stanęła w drzwiach trzymając złotą tacę z listami.

— Wasza Królewska Mość wołała mnie?

— Tak. Czy powiedziano wczoraj panu hrabiemu Prowansji, że nie ma mnie w zamku?

Pani de Misery, nie chcąc wbrew etykietce wysuwać się przed króla, ominęła go i podała królowej tacę. Palcem przyciskała jeden z listów, a królowa od razu poznała pismo.

— Proszę odpowiedzieć królowi, pani de Misery — kontynuowała Maria Antonina z taką samą obojętnością. — Powiedz Jego Królewskiej Mości, co oznajmiono wczoraj panu de Provence, kiedy przyszedł mnie odwiedzić. Ja sobie nie przypominam.

— Najjaśniejszy Panie — powiedziała pani de Misery — Jego Wysokość pan hrabia Prowansji przychodził wczoraj złożyć uszanowanie Najjaśniejszej Pani, ja zaś oświadczyłam, że Jej Królewska Mość nie przyjmuje.

— Z czyjego polecenia.

— Z polecenia królowej.

— Aha — rzekł król.

Przez ten czas królowa odpieczętowała list i przeczytała następujące dwie linijki:

„Pani powróciła wczoraj z Paryża o ósmej wieczorem. Laurent widział to.”

Następnie z jednakową wciąż nonszalancją królowa rozpieczętowała pół tuzina bilecików, listów i suplik i rzuciła je na kołdrę.

— Co dalej? — powiedziała zwracając się do króla.

— Dziękuję pani — rzekł ten do pierwszej pokojowej. Pani de Misery wyszła.

— Za pozwoleniem, Sire, proszę mi wyjaśnić jedną rzecz.

— Co takiego?

— Czy mam prawo, jeśli zechcę, nie przyjąć pana de Provence?

— Naturalnie, masz pani pełne prawo, ale...

— Cóż chcesz? Jego dowcip mnie nudzi, zresztą on mnie nie lubi. Prawda i to, że odpłacam mu pięknym za nadobne. Spodziewałam się tej niemiłej wizyty i, aby jej uniknąć, położyłam się o ósmej do łóżka. O cóż jeszcze chodzi, Sire?

— Ale...

— Czy masz jeszcze jakieś wątpliwości?

— Myślałam, że wczoraj byłeś w Paryżu. I to właśnie o tej porze.

— Owszem, wczoraj jeździłam do Paryża; ale przecież z Paryża się powraca.

— Niewątpliwie, tylko zależy o której godzinie.

— Ach, więc chcesz po prostu wiedzieć, o której godzinie wróciłam z Paryża?

— No, tak!

— Nic łatwiejszego, Sire. Królowa zawołała:

— Pani de Misery! Pokojowa zjawiła się ponownie.

— Pani de Misery — zapytała królowa — która mogła być godzina, gdy wróciłam wczoraj z Paryża?

— Około ósmej, Najjaśniejsza Pani.

— Nie wydaje mi się — rzekł król. — Musiałaś się pani pomylić, pani de Misery, proszę się dowiedzieć.

Pokojowa, sztywna i niewzruszona, zwróciła się ku drzwiom.

— Pani Duvall — zawołała.

— Tak, pani — odezwał się jakiś głos.

— O której godzinie Jej Królewska Mość wróciła z Paryża wczoraj wieczorem?

— Mogła być ósma — odpowiedziała druga pokojowa.

— Chyba się pani myli, pani Duval — oświadczyła pani de Misery.

Pani Duval wychyliła się przez okno przedpokoju i zawołała:

— Laurent.

— Kto to jest Laurent? — zapytał król.

— Odźwierny przy bramie, przez którą wróciła wczoraj Jej Królewska Mość — wyjaśniła pani de Misery.

— Laurent! — wołała pani Duval. — O której godzinie powróciła wczoraj Najjaśniejsza Pani?

— O ósmej! — odkrzyknął z dolnego tarasu odźwierny. Król zwiesił głowę.

Pani de Misery odprawiła panią Duval, a ta z kolei Laurenta.

Małżonkowie zostali sami.

Ludwik XVI był zawstydzony i z wysiłkiem usiłował ukryć zmieszanie, ale królowa, zamiast tryumfować z odniesionego zwycięstwa, odezwała się zimno:

— A więc, Sire, cóż jeszcze chcesz wiedzieć?

— Nic, już nic — zawołał król ściskając ręce żony.

— Jednakże...

— Przebacz mi, pani, sam nie wiem, co mi przyszło do głowy. Widzisz moją radość, równie wielką jak skrucę, nie miej, proszę, do mnie żalu. Nie dąsaj się już, słowo szlacheckie, byłbym zrozpaczony.

Królowa wyswobodziła rękę z dłoni męża.

— Najjaśniejszy Panie, Królowa Francji nie kłamie.

— Co to znaczy? — zapytał zdziwiony król.

— Chcę powiedzieć, że wczoraj nie wróciłam o ósmej wieczorem.

Król zdumiony cofnął się.

— Chcę powiedzieć — kontynuowała z zimną krwią Maria Antonina — że wróciłam dopiero dziś rano o godzinie szóstej.

— Pani!

— I gdyby nie hrabia d'Artois, który ofiarował mi schronienie i z litości umieścił w swoim domu, stałabym pod bramą jak żebraczka.

— Ach, nie powróciłaś, pani — rzekł król nachmurzony. — Czyli ja miałem rację.

— Wybacz, Najjaśniejszy Panie, lecz, z tego co powiedziałam, wyciągasz wnioski godne matematyka, ale nie człowieka dobrze wychowanego.

— Dlaczego?

— Bo, żeby dowiedzieć się, o której wróciłam, zamiast rozkazu zamknięcia bram i wystawienia wart, wystarczyłoby przyjść po prostu i zapytać mnie: „O której godzinie, pani, wróciłaś?”

— Hm.

— Nie wolno ci dłużej wątpić, mój panie. Czy szpiegów twych oszukano, czy przekupiono, czy bramy zostały wyłamane, czy otwarte — pozbyłeś się obaw i podejrzeń. Przecież widziałam, jak wstydzisz się, że dopuściłeś się gwałtu wobec kobiety zachowującej się, jak przystało. Długo

jeszcze mogłabym cieszyć się zwycięstwem, ale uważam, że postępek twój jest haniebnym dla króla i niegodnym szlachcica. Nie mogę odmówić sobie satysfakcji, żeby ci to powiedzieć.

Król otrząsał żabot, jak człowiek medytujący nad odpowiedzią.

— Nie ma rady, panie — powiedziała królowa potrząsając głową — nie potrafisz usprawiedliwić swego postępowania.

— Przeciwnie, zrobię to bardzo łatwo — odpowiedział król. — Czy jest w zamku choć jedna osoba, która mogłaby powątpiewać, że pani nie powróciła? Jeśli więc wszyscy wiedzieli o twoim powrocie, nikt nie mógł przypuszczać, że ciebie dotyczy mój rozkaz o zamknięciu bram. A jeśli go przypisywano lekkoduchostwu pana d'Artois czy też kogo innego, rozumiesz chyba, że to mnie nie obchodzi.

— Co dalej, Sire? — wtrąciła królowa.

— Dobrze, będę się streszczał i oświadczam, że to ja zachowałem wobec pani pozory, a więc rację miałem ja, a nie pani, któraś ich nie dotrzymała. I jeżeli chciałam ci dać po prostu dyskretną lekcję, a z lekcji tej skorzystałaś, jak widzę, bo świadczy o tym twoje rozdrażnienie, to znaczy, pani, że miałem raz jeszcze rację i nie mam powodu żałować tego, co uczyniłem.

Słuchając odpowiedzi swego dostojnego małżonka królowa uspokajała się powoli. Nie dlatego, że gniew jej mijał, pragnęła zachować siły do walki, która, jej zdaniem, zamiast skończyć się, dopiero się zaczynała.

— Doskonale — rzekła. — A więc bynajmniej nie żałujesz, żeś kazał wystawać pod drzwiami twego domu, jak pierwszej lepszej przybłędzie, córce Marii Teresy, twojej żonie i matce twoich dzieci. Nie, w twoim mniemaniu jest to żarcik iście królewski, pełen soli attyckiej, żarcik, którego wartość podwaja zresztą cel umoralniający. A więc w twoich oczach to bagatela, rzecz zupełnie naturalna, zmusić królowę Francji do spędzenia nocy w ustronnym domku, gdzie hrabia d'Artois przyjmuje dziewczęta z Opery lub swawolne kobietki z twojego dworu? Och, to nic nie znaczy, król jest wyższy ponad takie drobiazgi, a zwłaszcza król-filozof. Pan jesteś przecież filozofem, Sire. Zważ dobrze, że w tym wszystkim pan d'Artois odegrał piękną rolę i oddał mi znaczną przysługę. Zważ, że muszę teraz dziękować niebu, iż mój szwagier jest wietrznikiem, bo jego płochosć osłoniła mój wstyd, bo jego rozwiązłość ocaliła mój honor.

Król zaczerwienił się i niespokojnie wiercił się na krześle.

— Och — mówiła królowa z gorzkim uśmiechem — wiem dobrze, Sire, o twoich zasadach moralnych. Ale czy zastanowiłeś się, do czego twoja moralność prowadzi? Nikt nie wie, powiadasz, że ja nie powróciłam. I sam myślałeś, że byłam u siebie. A może powiesz, że wierzył w to ten intrygant, hrabia Prowansji, który cię podjudził, albo że uwierzy w to pan d'Artois. A te kobiety, które okłamały cię dziś rano z mojego rozkazu, a przekupiony przez nas Laurent? Tak, tak, król ma zawsze rację, ale czasami może mieć rację i królowa. Jeśli uważasz za stosowne, możemy wprowadzić ten zwyczaj: ty Będziesz nasyłać na mnie szpiegów i strażę szwajcarskie, a ja — przekupywać twych szwajcarów i szpiegów; obiecuję ci, że za miesiąc najdalej, a znasz mnie i wiesz, że się nie cofnę, otóż najdalej za miesiąc, któregoś ranka, tak jak dziś, podsumujemy majestat tronu i godność małżeństwa, i zobaczymy, co nas to będzie obojga kosztować.

Widać było, że słowa te sprawiły silne wrażenie.

— Wiesz o tym — rzekł król głosem zmienionym — że jestem szczery i zawsze przyznaję się do winy. Czy chcesz mi, pand, dowieść, że dobrze zrobiłaś wyjeżdżając z Wersalu sankami w towarzystwie swoich dworzan, tej gromady szaleńców, którzy cię kompromitują w tak trudnych okolicznościach naszego życia? Czy chcesz mi dowieść, że dobrze zrobiłaś przepadając z nimi w Paryżu, niby maski na balu, i pojawiając się dopiero w nocy, skandalicznie późno, w czasie kiedy już wszyscy śpią, a mnie przy pracy wypaliła się lampa? Mówiłaś o godności małżeństwa, o

majestacie tronu i swoich uprawnieniach matki. Czy to, co zrobiłaś, przystoi małżonce, królowej, matce?

— Odpowiem ci, panie, w dwóch słowach, ale z góry uprzedzam, że mam zamiar odpowiedzieć z jeszcze większą pogardą niż dotąd, bo niektóre twoje zarzuty nie zasługują na nic innego. Wyjechałam z Wersalu sankami, żeby dostać się jak najprędzej do Paryża. Pojechałam z panną de Taverney, która, dzięki Bogu, cieszy się na dworze nieskazitelną opinią, a udałam się do Paryża, by osobiście przekonać się, że król Francji, ów ojciec narodu, król — filozof, podpora moralna sumień ludzkich, on, który żywi biednych cudzoziemców, ogrzewa żebraków i dobroczynnością zaskarbia sobie miłość ludu; by sprawdzić, powtarzam, że król pozwala umrzeć z głodu, zmarnieć w zapomnieniu i nędzy jednemu z członków swej rodziny, potomkowi królów, którzy panowali we Francji.

— Ja? — zapytał król ze zdumieniem.

— Wdrapałam się — mówiła dalej królowa — na coś w rodzaju strychu i znalazłam tam, bez ognia, bez światła i bez pieniędzy, wnuczkę królewskiego rodu. Dałam sto luidorów tej ofierze zapomnienia i obojętności królewskiej. A ponieważ spóźniłam się, rozmyślając nad znikomością naszych świetności, bo i ja także jestem czasem filozofem, ponieważ była straszna ślizgawica, a konie źle idą po grudzie, szczególnie konie dorożkarskie...

— Co? — krzyknął król. — Pani wróciłaś fiakrem?

— Tak jest, Sire. Numer 107.

— O — mruknął król założywszy nogę na nogę i poruszając stopą, co zawsze było u niego oznaką wzburzenia — fiakrem.

— Tak, fiakrem. I szczęśliwa byłam, że go znalazłam — odpowiedziała królowa.

— Pani — przerwał król — postąpiłaś słusznie, twoje porywy są zawsze szlachetne, choć może zbyt impulsywne. Jest to zresztą wina owej, charakterystycznej dla ciebie, zapalczowości uczuć.

— Dziękuję, Sire — odpowiedziała ironicznie królowa.

— Pamiętaj, że nie posądzałem cię o jakąkolwiek nieprawość czy nieuczciwość, dotknął mnie tylko sam postępek i ryzykowny sposób zachowania się królowej; postąpiłaś, jak zwykle, słusznie, ale czyniąc dobrze innym, mogłaś zaszkodzić sama sobie i to ci właśnie zarzucam. A teraz mam naprawić jakieś zapomnienie, mam zadbać o losy kogoś z królewskiej rodziny. Jestem gotów, proszę cię, wymień tych nieszczęśników, a moje dobrodziejstwa nie każą na siebie czekać.

— Nazwisko Walezjuszów, Sire, jest dość znane, jak myślę, byś je zachował w pamięci.

— Ach — zawołał Ludwik XVI wybuchając nagle śmiechem — już wiem o kogo ci chodzi. Ta mała Valois, nieprawdaż, hrabina de... No jakże...

— De la Motte.

— No właśnie, de la Motte, jej mąż jest gwardzistą?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— A żona intrygantką. Och, nie gniewaj się: ona napastuje ministrów, dokucza moim ciotkom, mnie samego zadręcza prośbami, suplikami, dokumentami genealogicznymi.

— To wszystko dowodzi, Sire, że jak dotąd upomina się bez skutku.

— Nie przeczę.

— Czy ona jest rzeczywiście Walezjanką?

— Sądzę, że tak.

— Dajże jej pensję. Pensję stosowną dla niej, pułk dla męża, warunki odpowiednie dla odrośli rodu królewskiego.

— O pani, nie tak żwawo! Nie zapędzaj się, do licha! Mała Valois naskubie mi dosyć piór nawet bez twojej pomocy. Ona ma ostry dziobek, ta mała Valois, tak, tak.

— Och, nie martwię się o ciebie, Sire; twoim piórom nic nie grozi.

— Stosowną pensję, pięknie dziękuję. Za daleko się pani posuwasz. Czy wiesz jak tegoroczna straszna zima zrujnowała moją szkatułę?... Pułk dla tego żołnierzy, który spekuluje na małżeństwie z Walezjuską... A ja nie mam, pani, pułków do rozdawania ani tym, którzy za nie płacą, ani nawet tym, którzy rzeczywiście zasługują. Zaopatrzenie godne potomków królewskich dla tych żebraków. Jeszcze czego! Kiedy my — sami królowie, nie posiadamy zaopatrzenia równego prywatnym posiadaczom. Książę Orleański wysłał na sprzedaż do Anglii swoje konie i muły i zwinął dwie trzecie dworu. Sam musiałem skasować swoje łowiska, ja. Pan de Saint-Germain zajął się redukcją moich oddziałów przybocznych. Dziś, moja droga, musimy sobie wszystkiego odmawiać, wielcy i mali.

— Jednakże, Sire, Walezjusze nie powinni umierać z głodu.

— Powiedziałas przecież, że dałaś sto luidorów.

— Ładna mi jałmużna.

— Królewska.

— Daj więc drugie tyle.

— Ani myślę. To, co dałaś, wystarczy za nas obojga.

— No to choć małą pensyjkę.

— O nie. Nic stałego. Ci ludzie sami przez się dość od ciebie wyłudzą, to są pijawki. Jak będę miał ochotę dać, dam jakąś sumkę bez względu na przeszłość, ale i bez zobowiązań na przyszłość. Słowem dam, kiedy będę miał dużo pieniędzy. Ta mała Walezjanka... Niestety, nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, co wiem. Zwiodło cię twoje dobre serce, droga Antoinette. Proszę cię za to o przebaczenie.

Powiedziawszy te słowa Ludwik wyciągnął rękę do żony, która, ulegając pierwszemu odruchowi, zbliżyła ją do warg. Zaraz jednak odepchnęła ją i powiedziała:

— Nie jesteś dla mnie dobry. Czuję się urażona.

— Urażona jesteś — rzekł król. — Na mnie? Ja ja...

— A tak. Mówisz, że nie jesteś zły, ty, który każesz zamykać przede mną bramy Wersalu, ty, który przychodzisz o pół do siódmej rano do mego przedpokoju, otwierasz drzwi siłą i wchodzisz do mnie ze wściekłością w oczach.

Król zaczął się śmiać.

— Ależ nie, nie jestem wcale zły. — Nie jesteś zły? Jeszcze jak.

— A co mi dasz, jeśli ci dowiodę, że nie byłem wcale zły nawet przychodząc tutaj?

— Chciałabym najpierw zobaczyć dowód na to, co mówisz.

— Och, to bardzo łatwe — dowód mam w kieszeni.

— A! — zawołała królowa z ciekawością, siadając na posłaniu. — Chcesz mi coś podarować? To rzeczywiście bardzo miłe z twojej strony, ale ja ci nie uwierzę, rozumiesz, nie uwierzę, póki nie przedstawisz mi natychmiast dowodu. Tylko, proszę, bez wykrętów. Założę się, że znowu skończy się na obietnicach.

Uśmiechając się pobłaźliwie król włożył rękę do kieszeni i szukał w niej czegoś z powolnością, która podwaja pożądlivość, z tą powolnością, która każe tupać ze zniecierpliwienia dziecku w oczekiwaniu na zabawkę, zwierzęciu na pożywienie, kobiecie na przyobiecany podarek. Wreszcie wyjął z kieszeni czerwone safianowe pudełko artystycznie wytłaczane i ozdobione złoceniami.

— Klejnoty — rzekła królowa. — No, zobaczmy.

Król położył futerał na łóżku, królowa szybko chwyciła go i przytuliła do siebie. Ledwie jednak otworzyła pudełko, zachwycona i olśniona krzyknęła:

— Ach, jakież to piękne, mój Boże, jakie to piękne!

— Tak sądzisz? — zapytał uradowany król.

Królowa nie odpowiedziała, że wzruszenia nie mogła odetchnąć. Wydobyła z pudełka naszyjnik z diamentów wielkich i lśniących, tak czystej wody i tak umiejętnie dobranych, że królowi wydało się jakby fosforyzująca rzeka płomieni spłynęła po jej pięknych rękach.

— Jakież on wspaniały — powiedziała wreszcie królowa — jaki wspaniały.

I oczy jej zabłyśły, czy to na widok cudownych klejnotów, czy też gdy pomyślała, iż żadna kobieta na świecie nie posiada podobnego naszyjnika.

— Zadowolona jesteś? — spytał król.

— Zachwycona, Sire, i nad wyraz szczęśliwa. Spójrz tylko na pierwszy rząd. Diamenty wielkie jak laskowe orzechy.

— Istotnie.

— A jak dobrane, jakie umiejętnie stopniowanie. Jubiler, który wybierał kamienie i sporządził naszyjnik, musiał być prawdziwym artystą.

— Jest ich dwóch.

— Założę się, że to Boehmer i Bossange. Tylko oni mogą zdobyć się na coś podobnego. Najjaśniejszy Panie, jakie to piękne!

— Pani, miej się na baczności — powiedział król. — Chcesz zapłacić za ten naszyjnik o wiele za drogo.

— Och, Sire! — zawołała królowa i nagle czoło jej zasępiło się.

Zmiana wyrazu twarzy nastąpiła tak szybko i tak była przelotna, że król nic nie spostrzegł.

— Zrób mi tę przyjemność — rzekł — i załóż naszyjnik. Królowa powstrzymała go.

— To jest pewnie bardzo drogie — powiedziała ze smutkiem.

— Na honor, tak — odpowiedział król śmiejąc się — ale pani płacisz za niego więcej niż wart, a jak ci już mówiłem, na swoim miejscu dopiero, to znaczy na twojej szyi, nabierze właściwej ceny.

To rzekłszy Ludwik zbliżył się do królowej trzymając w obu rękach końce przepysznego naszyjnika, by zapiąć go na klamerkę wykonaną z równie wielkiego diamentu.

— Nie, nie — powiedziała królowa — bez dziecinady. Schowaj naszyjnik z powrotem do pudełka.

— Nie chcesz, żebym go pierwszy zobaczył na twojej szyi?

— Niech Bóg broni, żebym miała ci odmówić tej przyjemności, ale nikt go na mojej szyi nie zobaczy.

— Nie będziesz go nosić? Odmawiasz mi?

— Nie założę na szyję miliona, a może nawet półtora miliona, bo na pewno tyle ten naszyjnik kosztuje.

— Nie zaprzeczam — rzekł król.

— Odmawiam zawieszenia na szyi półtora miliona liwrow, gdy skarbiec jest pusty, gdy król musi odmierzać swą pomoc i oznajmiać biedakom: „Nie mam pieniędzy, niech was Bóg wspomaga,”

— I mówisz to na serio?

— Posłuchaj, Sire. Pewnego dnia powiedział mi pan de Sartines, że za półtora miliona liwrow można by wystawić okręt liniowy, a naprawdę król Francji bardziej potrzebuje liniowego okrętu niż królowa Francji naszyjnika.

— Och — zawołał król ze łzami radości w oczach. — To co powiedziałaś, jest wzniosłe. Dziękuję ci, Antoinette, jesteś naprawdę dobra. Dziękuję ci.

I chcąc dopełnić pocziwej mieszczańskiej demonstracji król ujął Marię Antoninę w ramiona i ucałował.

— Jakże cię będą we Francji błogosławić za te słowa! Królowa westchnęła.

— Może żałujesz? — powiedział król żywo. — Jest jeszcze czas. Już ułożyłem terminy spłat i mam na to pieniądze. Nie bądź tak bezinteresowna.

— Nie, Sire, to było westchnienie ulgi. Naprawdę nie chcę naszyjnika, zwróć go jubilerom. Ale w zamian chcę czego innego.

— Do diabła. Okroiło mi się milion sześćkroć sto tysięcy liwrów.

— Aż tyle. Patrzcie, jaki drogi. To, o co poproszę, będzie o wiele mniej kosztowne.

— O cóż, pani, prosisz?

— Pozwól mi raz jeszcze pojechać do Paryża.

— To ani trudne, ani kosztowne.

— Zaraz, zaraz. Do Paryża, na plac Vendôme. Do pana Mesmera.

— O, do licha.

Król podrapał się za uchem.

— No cóż — rzekł. — Odmówiłaś mi fantazji na milion sześćset tysięcy franków, mogę ci darować twoją. Jedź do pana Mesmera, ale pod warunkiem, że będzie ci towarzyszyć księżniczka krwi.

Królowa zastanowiła się.

— Czy zgadzasz się na panią de Lamballe?

— Pani de Lamballe? Niech będzie. — Dziękuję.

— A ja ze swej strony — dorzucił król — zamawiam okręt liniowy i każę go ochrzcić „Naszyjnik Królowej”. Będziesz matką chrzestną. A potem pošlę go panu de la Pérouse.

Król ucałował rękę żony i wyszedł z pokoju pełen radości.

VIII. AUDIENCJE PORANNE

Zaledwie król wyszedł, królowa podniosła się i podeszła do okna odetchnąć świeżym i mroźnym powietrzem poranka. Dzień zapowiadał się piękny, prawdziwie wiosenny. Po nocnych przymrozkach słońce przygrzewało już mocno, wyczuwalnie, z konarów drzew i z posągów w alejach szron ześlizgiwał się brylantowymi kroplami — już nie lód, a jeszcze nie woda. Główki pierwiosnków przebijały się spod śniegu, łagodny powiew wschodniego wiatru zwiastował koniec strasznej zimy.

— Jeżeli chcemy skorzystać z lodu — zawołała królowa — sądząc z pogody musimy się spieszyć.

— Prawda, pani de Misery? — dorzuciła. — Nadchodzi już wiosna.

— Wasza Królewska Mość życzyła sobie od dawna wybrać się na przejażdżkę na Staw Szwajcarski — odpowiedziała pierwsza pokojowa.

— Dobrze, wybierzemy się jeszcze dziś — powiedziała królowa. — Jutro, być może, będzie już za późno.

— Na którą więc godzinę toaleta Waszej Królewskiej Mości?

— Natychmiast. Zaraz po śniadaniu wyjeżdżam.

— Czy królowa nie ma innych rozkazów?

— Trzeba dowiedzieć się, czy panna de Taverney już wstała i powiadomić ją, że pragnę ją widzieć.

— Panna de Taverney czeka już w buduarze Waszej Królewskiej Mości — oświadczyła pokojowa.

— Już? — zdziwiła się królowa, która wiedziała najlepiej, kiedy Andrea mogła pójść spać.

— O, już od dwudziestu minut.

— Niechże wejdzie.

Zegar z wieży dziedzińca marmurowego wybijał właśnie dziewiątą, kiedy weszła Andrea ubrana starannie jak zawsze damy dworu, którym nie wolno ukazać się monarchini w niedbałym stroju porannym. Panna de Taverney była uśmiechnięta, ale twarz jej zdradzała niepokój.

Królowa uśmiechnęła się także i Andrea uspokoiła się.

— Moja dobra Misery — powiedziała Maria Antonina — proszę mi zawołać Leonarda i mojego krawca.

I odczekała chwilę, aż pani de Misery zamknie drzwi za sobą.

— Nic się nie stało — odezwała się do Andrei. — Król był bardzo miły, śmiał się, został zupełnie rozbrojony.

— Ale czy wie? — zapytała Andrea.

— Rozumiesz, Andreo, nie kłamie się, kiedy nie jest się winną i kiedy jest się królową Francji.

— To prawda, pani — odpowiedziała, rumieniąc się, Andrea.

— A jednak, moja droga, zdaje się, że popełniłyśmy błąd.

— Błąd! — zawołała Andrea. — Na pewno nie jeden.

— Być może, ale pierwszy to ten, że ulitowałyśmy się nad panią de la Motte. Król jej nie lubi. Przyznaję jednak, że mnie ona się podoba.

— Och, Wasza Królewska Mość jest zbyt dobrym sędzią, żeby nie zgodzić się z jej wyrokami.

— Jest Leonard — odezwała się pani de Misery wchodząc. Królowa zasiadła przy połączanej toalecie i słynny fryzjer przystąpił do dzieła.

Królowa miała przepyszne włosy i, jak każda kobieta, lubiła, by je podziwiano. Leonard wiedział o tym i zamiast uwinąć się szybko, jak postępował zazwyczaj z innymi kobietami, pozostawiał królowej czas i przyjemność zachwycania się samą sobą.

Tego dnia Maria Antonina była zadowolona, a nawet radosna, wyglądała też ślicznie; od zwierciadła przesyłała Andrei serdeczne spojrzenia.

— Ciebie bura ominęła — powiedziała. — Jesteś wolna i dumna, a cały świat trochę się ciebie boi, bo, jak boska Minerwa, jesteś zbyt mądra.

— Ja, pani? — wymamrotała Andrea.

— Ty, ty właśnie, postrach dworskich pędziwiatrów. O, Boże. Jakaś ty szczęśliwa, Andreo, że jesteś panną, a przede wszystkim, że jesteś z tego rada.

Andrea splonęła się, ale zdobyła się na smutny uśmiech.

— Tak sobie ślubowałam — powiedziała.

— I zamierzasz dotrzymać, moja piękna westalko?

— Mam nadzieję.

— Ale, ale, przypominam sobie — zawołała królowa — że nie będąc zamezną masz jednak swego pana od wczoraj.

— Pana?

— No, tak. Ukochanego braciszka. Jakże on ma na imię? Filip, zdaje się.

— Tak jest, Filip. Jak Wasza Królewska Mość raczyła Zauważyć, wczoraj przyjechał.

— I jeszcze go nie widziałas. Doprawdy, jaka ze mnie egoistka. Porwałam cię wczoraj do Paryża, to niewybaczalne.

— O, pani — odezwała się z uśmiechem Andrea — wybaczam pani z całego serca, a Filip również.

— Na pewno?

— Ręczę za niego i za siebie.

— Jakże on wygląda?

— Jak zawsze przystojny i dobry, pani. — W jakim jest teraz wieku?

— Ma trzydzieści dwa lata.

— Biedny Filip. Czy wiesz, że znam go już od czternastu lat, a nie widziałam od dziewięciu czy dziesięciu.

— Jeśli Wasza Królewska Mość zechce go przyjąć, będzie szczęśliwy mogąc zapewnić, że nieobecność nie przyniosła najmniejszego uszczerbku w jego uczuciach czci i przywiązania, jakie zaprzysiągł królowej.

— Czy mogłabym go teraz zobaczyć?

— Ależ, jeśli Najjaśniejsza Pani pozwala, za kwadrans będzie u stóp Waszej Królewskiej Mości.

— Dobrze, dobrze... pozwalam... chcę tego nawet. Zaledwie królowa skończyła mówić, ktoś żywy, zwinny, ruchliwy wśliznął się, a raczej wskoczył do wysłanej kobiercem gotowalni. Jego twarz roześmiana i filuterna odbiła się w tym samym lustrze, w którym przeglądała się i uśmiechała do siebie Maria Antonina.

— Mój brat, d'Artois — powiedziała królowa. — Naprawdę, przestraszyłeś mnie pan.

— Dzień dobry, Najjaśniejsza Pani — zawołał młody książę. — Jakże Wasza Królewska Mość spędziła noc?

— Dziękuję, mój bracie, bardzo źle.

— A rano?

— Bardzo dobrze.

— To najważniejsze. Przed chwilą upewniłem się, że próba musiała wypaść pomyślnie, bo spotkałem króla, który rozkosznie się do mnie uśmiechnął. Nie ma to jak zaufanie.

Królowa zaczęła się śmiać. Hrabia d'Artois, nie wiedząc co zaszło, śmiał się również z zupełnie innego powodu.

— Przypomniało mi się — rzekł — jakież ze mnie roztrzepaniec, nie zapytałem dotąd tej biednej panny de Taverney, jak spędziła czas.

Leonard skończył swe dzieło i królowa, zrzuciwszy peniarz z indyjskiego muślinu, przebrała się w suknię poranną. Patrzyła nadal w zwierciadło i nic, co się działo w pokoju, nie uchodziło jej uwagi.

Drzwi otworzyły się.

— Proszę — odezwała się do hrabiego d'Artois. — Jeżeli chcesz pan dowiedzieć się czegoś o Andrei, oto jest.

Istotnie w tej samej chwili zjawiała się Andrea prowadząc za rękę urodziwego szlachcica o śniadej cerze i czarnych oczach z głębokim wyrazem szlachetności i powagi, dzielnego żołnierza o twarzy inteligentnej i postawie pełnej godności, podobnego do jednego z tych pięknych portretów, jakie malowali Coypel czy Gainsborough.

Filip de Taverney ubrany był we frak ciemnoszary, wykwintnie haftowany srebrem, ale ta szarość wydawała się czernią, a srebro — żelazem; od ciemnego stroju odcinała się wyraźnie matowa biel żabotu, a puder we włosach podkreślał jeszcze męską urodę rysów i opaleniznę.

Zbliżył się z ręką w dłoni siostry. Drugą ręką obejmował kapelusz.

— Najjaśniejsza Pani — powiedziała Andrea zginając się w ukłonie — oto mój brat.

Filip skłonił się powoli i głęboko. Królowa patrzyła ciągle w lustro, widziała jednak wszystko równie dobrze jakby patrzyła wprost w twarz Filipa.

— Dzień dobry, panie de Taverney — powiedziała. I odwróciła się.

Była piękną tą wspaniałą królewską urodą, która gromadzi dokoła tronu przyjaciół monarchii oraz wielbicieli kobiety, posiadała potęgę istoty pięknej, a jeśli można odwrócić szyk wyrazów, piękność istoty potężnej. Filip, ujrawszy jej uśmiech i spotkawszy jej pałające i dumne, choć zarazem łagodne spojrzenie, zbladł i nie umiał ukryć wzruszenia.

— Wydaje się, panie de Taverney — mówiła w dalszym ciągu królowa — że nam składasz swą pierwszą wizytę. Dziękuję panu.

— Wasza Królewska Mość raczy zapominać, że to ja powinienem dziękować — odpowiedział Filip.

— Ileż to już lat minęło od czasu, kiedy widzieliśmy się, najpiękniejszych lat życia, niestety.

— Dla mnie, tak, pani, ale nie dla Waszej Królewskiej Mości, dla której wszystkie dni są jednakowo piękne.

— Musiałeś bardzo zasmakować w Ameryce, panie de Taverney, skoro pozostawałeś tam tak długo, chociaż już wszyscy zdążyli powrócić.

— Najjaśniejsza Pani! — rzekł Filip. — Pan de Lafayette, opuszczając Nowy Świat, potrzebował zaufanego oficera, któremu mógłby zlecić dowództwo nad wojskami posiłkowymi. Zaproponował więc moją osobę generałowi Waszyngtonowi, a ten raczył się zgodzić.

— Wygląda na to — zauważyła królowa — że ów Nowy Świat, o którym pan mówisz, odsyła nam mnóstwo bohaterów.

— Wasza Królewska Mość mówi tu nie o mnie — odrzekł z uśmiechem Filip.

— Czemu nie? — zapytała królowa.

I zwracając się do hrabiego d'Artois dodała:

— Spójrz no, mój bracie, na marsowy wygląd i postawę pana de Taverney.

Filip, widząc, że w ten sposób zostaje przedstawiony panu d'Artois, którego nie znał, wystąpił o krok w kierunku księcia i poprosił o pozwolenie powitania go.

Hrabia skinął przyzwalająco i Filip skłonił się.

— Dzielny oficer — zawołał książę — zacy szlachcic, miło mi pana poznać. Jakież masz pan zamiary po powrocie do Francji?

Filip spojrział na siostrę.

— Wasza Wysokość — rzekł — sprawy mojej siostry mają przed moimi pierwszeństwo, będę robił to, co ona uzna — za wskazane.

— Ależ, o ile wiem, jest jeszcze pan de Taverney, ojciec — powiedział hrabia d'Artois.

— Tak jest, Wasza Wysokość — odpowiedział Filip. — Mamy szczęście, że zachowaliśmy jeszcze ojca.

— Nie mówmy o tym — wtrąciła żywo królowa. — Wolę widzieć Andreę pod opieką brata, a jej brata pod pańską, panie hrabio. Zajmiesz się chyba panem de Taverney, zgoda?

Hrabia dał znak potwierdzenia.

— Czy wiesz — ciągnęła królowa — jak bliskie nas łączą więzy?

— Więzy... bliskie... panią, siostrę? Och, opowiedz mi, bardzo proszę.

— Tak. Pan Filip de Taverney był pierwszym Francuzem, którego ujrzałam po przybyciu do Francji, a obiecałam sobie solennie, że przyczynię się do szczęścia pierwszego Francuza, którego spotkam.

Filip poczuł, że rumieniec zalewa mu twarz. Przygryzł usta, żeby nie okazać wzruszenia. Andrea spojrziała na niego i zwiesiła głowę.

Maria Antonina podchwyciła ze zdziwieniem jedno ze spojrzeń, jakie wymienili między sobą brat i siostra; skądże jednak mogła odgadnąć, ile takie spojrzenie ukrywa bolesnych tajemnic. Nie знаła przecież niektórych wydarzeń i dostrzeżony smutek przypisywała zupełnie innym przyczynom. Skoro w roku 1774 tylu młodych ludzi zakochało się w małżonce Delfina, dlaczegoż pan de Taverney nie miałby trochę pocierpieć podczas owej epidemicznej miłości Francuzów do córki Marii Teresy.

Nic nie mogło rozwiązać tego przypuszczenia, nic, nawet przelotne spojrzenie w lustro rzucone przez piękną dziewczę, które przedzierzgnęło się przez ten czas w kobietę i królowę. Maria Antonina przypisała więc westchnienie Filipa jakimś zwierzeniom między bratem i siostrą. Uśmiechnęła się wobec tego do brata, a siostrę obdarzyła najczulszym spojrzeniem. Nie odgadła, a jednak nie całkiem się myliła w swej niewinnej kokieterii, której nie można uważać za zbrodnię. Królowa była wszakże kobietą, pochlebiało jej, że się w niej kochają. Bywają ludzie, którzy ubiegają się o zjednanie sympatii całego otoczenia, nie są to ludzie najmniej szlachetni na świecie. Niestety, biedna królowo, zarzucają ci, że uśmiechasz się do osób, które cię kochają — nadejdzie moment, kiedy na próżno będziesz zwracać swój uśmiech do osób, które cię kochać przestały.

Hrabia d'Artois podszedł do Filipa. Królowa z Andreą naradzały się tymczasem nad przybraniem stroju myśliwskiego.

— Mówiąc poważnie — rzeki hrabia d'Artois — czy ten Waszyngton jest wybitnym generałem?

— Tak, to wielki człowiek, Wasza Wysokość.

— A jakież wrażenie zrobili tam Francuzi?

— O tyle dobre, o ile Anglicy złe.

— Zgoda. Pan, kochany panie Filipie de Taverney, jesteś zwolennikiem nowinek. Ale czy dobrze zastanowiłeś się nad jedną sprawą?

— Nad jaką? Przyznam się, mości książe, że tam w polu, wśród sawannów nad brzegiem wielkich jezior, miałem często czas zastanawiać się nad wieloma rzeczami.

— A na przykład nad tym, że wojna, którą tam prowadziłeś, nie jest wymierzona ani przeciw Indianom, ani przeciw Anglikom, a tylko przeciwko sobie samemu?

— To możliwe, książe, nie mogę zaprzeczyć.

— Przyznajesz pan?

— Przyznaję, to niefortunny odwet zdarzenia, które ocaliło monarchię.

— Tak, ale odwet może być śmiertelny dla tych, którym udało się uniknąć pierwszego ciosu.

— Niestety, Wasza Wysokość.

— I dlatego też nie uważam, wbrew temu, co inni utrzymują, zwycięstw pana Waszyngtona i markiza de Lafayette za powód do radości. To z egoizmu, wiem, ale daruj mi go, mój egoizm nie tylko mnie dotyczy.

— Wasza Wysokość!

— I wiesz, dlaczego będę ci pomagał ze wszystkich sił?

— Jakiegolwiek byłyby przyczyny, zawsze będę żywił dla Waszej Królewskiej Wysokości najgłębszą wdzięczność.

— Bo, mój drogi panie de Taverney, nie należysz do tych, których otrąbili bohaterami na rogach ulic. Pełniłeś dzielnie swą służbę, ale nie dałeś stale w największą trąbę. Nie znają cię w Paryżu i za to właśnie cię lubię, inaczej... ach, na honor... panie de Taverney, inaczej... jestem egoistą, to wszystko.

To rzekłszy książe, śmiejąc się, pocałował królowę w rękę, skłonił się Andrei uprzejmie i z większym szacunkiem, niż zwykle okazywał kobietom, i zniknął.

Królowa przerwała raptownie rozmowę z Andreą i zwróciła się do Filipa.

— Widziałeś się pan z ojcem?

— Tak, pani. Przed przyjściem tutaj spotkałem go w przedpokojach, siostra uprzedziła go.

— A czemu nie zobaczył go pan wcześniej?

— Posłałem do niego pokojowca z moim skromnym bagażem, ale pan de Taverney odesłał chłopca i rozkazał, żebym najpierw przedstawił się królowi lub Waszej Królewskiej Mości.

— Przepyszna pogoda! — zawołała królowa radośnie. — Pani de Misery, do jutra lód stopnieje, zaraz muszę mieć sanki.

Pokojowa wychodziła już, żeby przekazać rozkaz.

— I moją czekoladę tutaj — dorzuciła królowa.

— Wasza Królewska Mość nie będzie jadła śniadania? — powiedziała pani de Misery. — Już wczoraj Wasza Królewska Mość nie jadła kolacji.

— Mylisz się, moja dobra Misery. Jadłyśmy wczoraj kolację, proszę zapytać pannę de Taverney.

— I to bardzo dobrą — odpowiedziała Andrea.

— To nie przeszkadza, że wypiję czekoladę — dodała królowa. — Prędzej, prędzej, moja kochana, korci mnie to piękne słońce. Na Stawie Szwajcarskim będzie pełno.

— Czy Wasza Królewska Mość zamierza użyć ślizgawki? — zapytał Filip.

— O, będziesz pan wyśmiewał się z nas, panie Amerykaninie — zawołała królowa. — Pan, który przebiegałeś ogromne jeziora, gdzie robi się więcej mil niż tutaj kroków.

— Najjaśniejsza Pani — odpowiedział Filip — tutaj można bawić się mrozem i przestrzenią, tam się od tego umiera.

— A oto i moja czekolada. Andreo, wypij filiżankę. Andrea zarumieniła się z radości i skłoniła się.

— Jak widzisz, panie de Taverney, jestem zawsze ta sama, jak dawniej brzydzę się etykietą. Czy pan sobie przypomina dawniejsze czasy, panie Filipie, czy pan zmieniłeś się może? Słowa te ugodziły młodego człowieka w samo serce. Współczucie kobiety bywa niekiedy ciosem sztyletu.

— Nie, pani — odpowiedział głosem stłumionym — nie zmieniłem się, przynajmniej w sercu.

— No, skoro zachowałeś pan to samo serce — powiedziała wesoło królowa — a było ono dobre, podziękujemy ci, panie, na nasz sposób. Pani de Misery, filiżankę dla pana de Taverney.

— O, pani! — zawołał Filip wstrząśnięty. — Wasza Królewska Mość nie myśli tego... Taki zaszczyt dla biednego, nic nie znaczącego żołnierza.

— Stary przyjaciel — zawołała królowa — to dosyć. Ten dzień uderza mi do głowy, pachnie młodością, czuję się szczęśliwa, swobodna, śmiała, szalona... Ten dzień przypomina mi pierwsze chwile w moim ukochanym Trianon i nasze eskapady z Andreą. I moje róże, kwiaty, poziomki, ptaszki, które próbowałam odnaleźć w klombach, wszystko. Moi kochani ogrodnicy, ich pocziwe twarze zawsze zwiastowały jakiś nowy kwiat, jakiś wymyślny owoc; a pan de Jussieu, a ten oryginał Rousseau, który już nie żyje... Ten dzień mówię wam... ten dzień czyni mnie szaloną. Ale co to, Andreo? Jesteś cała czerwona. Co panu, panie Filipie? Pan pobladł.

Rzeczywiście oblicza obojga młodych ludzi nie wytrzymały próby okrutnych wspomnień. Ale na słowa królowej oboje opamiętali się.

— Wybacz, Najjaśniejsza Pani — powiedziała Andrea — oparzyłam się czekoladą.

— A ja, pani — rzekł Filip — nie mogę jeszcze przyjść do siebie na myśl, że Wasza Królewska Mość zaszczyca mnie niby wielkiego pana.

— Dobrze, dobrze — przerwała Maria Antonina nalewając własnoręcznie czekoladę do filiżanki Filipa — jesteś pan żołnierzem, jak sam zaznaczyłeś, a więc oswojony z ogniem, oparz się chwalebnie czekoladą. Nie mam czasu czekać.

I zaczęła się śmiać. Ale Filip wziął to na serio, zachował się jak wieśniak. Tylko tamten uczyniłby to z zakłopotania, a on przez rycerskość.

Królowa nie spuszczała go z oka, śmiech jej wzmógł się jeszcze.

— Pan masz przedziwny charakter — rzekła.

I podniosła się, a kobiety podały jej zaraz uroczy kapelusik, podszytą gronostajami mantylę oraz rękawiczki. Również Andrea dopelniła z pośpiechem toalety.

Filip włożył kapelusz pod pachę i poszedł za damami.

— Panie de Taverney, nie chcę, żeby mnie pan opuścił — powiedziała królowa. — Dla polityki mam dziś zamiar skonfiskować Amerykanina. Proszę po prawej, panie de Taverney.

Taverney usłuchał, Andrea przeszła na lewą stronę.

Odgłos werbli, dźwięk trąbek gwardyjskich, szcęk broni, kiedy królowa schodziła po schodach, wszystkie te oznaki ceremonialnej dworskiej wystawności, powszechnego szacunku i uwielbienia przeznaczone dla królowej, ale spotykające mimochodem Taverneya, cały ten triumf przyprawiły młodego człowieka i tak już zakłopotanego o niespodziewany zawrót głowy. Po tylu dniach strawionych posępnie w smutku i na wygnaniu był to zbyt nagły przeskok do wielkiego świata, do upojeń dla dumy i serca.

Podczas gdy królowa przechodziła, zniżyły się czoła i wznosiła się broń. Pewien tylko maleńki staruszek pozwolił sobie zapomnieć o etykietce, tak zaprzątnięty miał umysł. Zamiast spuścić głowę i oczy, stał prosto ze wzrokiem wlepionym w królową i Taverneya. Kiedy przeszli umknął tak żwawo, jak tylko pozwalały mu krótkie nogi i siedemdziesiąt lat życia.

IX. NA STAWIE SZWAJCARSKIM

Wszyscy znają ów wydłużony czworobok, modry i pomarszczony latem, a biały i chropowaty zimą, zwany po dziś dzień Stawem Szwajcarskim. Każdy z jego boków obrzeża aleja lipowa, drzewa wyciągają wesoło ku słońcu czerwonawe ramiona. Aleje zaludnia tłum spacerowiczów wszelkiego stanu i wieku. Wszyscy przybyli nacieszyć się widokiem sanek i łyżwiarzy.

Stroje dam przedstawiają świetną mieszaninę krępującego, nieco przepychu dawnego dworu z dość kapryśną dezynwolturą najnowszej mody. Wysokie fryzury, ocieniające młode czoła koronkowe mantyle, moc wełnianych kapelusików, okrycia futrzane i sute falbany sukien jedwabnych tworzą zajmującą pstrokaciznę z czerwonymi frakami, błękitnymi surdutami, żółtymi liberiami i długimi białymi oponczami. Ubrani na czerwono i niebiesko lokaje przerzynają cały ten tłum niby maki polne i chabry, którymi wiatr kołysze wśród kłosów zboża lub koniczyny.

Niekiedy w samym środku zgromadzenia rozlega się okrzyk podziwu. To Saint-Georges, łyżwiarz znakomity, zakreślił koło tak doskonałe, że geometra, zmierzyszy je, nie znalazłby dostrzegalnego błędu. To znowu niby rosyjska trojka ciągną po lodzie sanki trzy ogromne zaprzężone molosy. Ustrojone w aksamitne herbowe czapraki, z pióropuszcami na głowach psy te wyglądają na owe stwory dziwaczne, maskary czy chimery z rysunków Callota lub Goyi. W saniach, rozparty niedbale na skórkach tygryskich siedzi pan de Lauzun, ich właściciel. Tu i ówdzie inne sanie, skromniej wyposażone, szukają odosobnienia. Jedne z tych san zajmuje jakaś dama, zamaskowana zapewne z powodu zimna. Przystojny łyżwiarz w aksamitnej, szamerowanej złotem oponczy przechyla się nad oparciem, w ten sposób popycha sanie, kierując nimi zarazem. Słowa ich mieszają się wraz z oddechem, ale któż mógłby zganić taką schadzkę pod gołym niebem na oczach całego Wersalu. Kogóż to obchodzi, co mówią, skoro ich widać, cóż obchodzi innych, że ich widzą, skoro nie wiadomo, co mówią. Widoczne jest tylko, że wśród całego świata żyją życiem odosobnionym, jak dwa ptaki, przelotne. Dokąd zmierzają? Do świata nieznanego, którego każdy szuka, a który nazywamy szczęściem. Nagle wśród owych sylfów, które płyną raczej niż chodzą, powstaje zamieszanie, wybucha wielka wrzawa.

Nad brzegiem stawu ukazała się królowa. Poznali ją, ustępują miejsca, rozlegają się wiwaty. Ona daje znak, żeby nie przeszkadzali sobie. Korzystając z przyzwolenia łyżwiarze i sanki tworzą wielki krąg. Wszystkie oczy zwrócone są na dostojnego gościa. Mężczyźni, zręcznie manewrując, starają się przybliżyć, kobiety, jak każe przyzwoitość i szacunek, poprawiają ubiór. Każdy pragnie przyłączyć się do grona dworzan i wyższych oficerów, którzy podchodzą złożyć hołd królowej.

Spośród znakomych osobistości, jakie zaobserwowała publiczność, jedna tylko, i to jedna z najwybitniejszych, wbrew powszechnemu impulsowi, nie dąży na spotkanie królowej. Przeciwnie, poznawszy Marię Antoninę i jej orszak, spiesznie wysiada z sanek, biegnie w kierunku alei po drugiej stronie i tam znika razem ze swą świtą.

Hrabia d'Artois, zaliczany do najwytworniejszych i najzręczniejszych łyżwiarzy, ujrzawszy z daleka bratową, jeden z pierwszych przybył ucałować jej rękę.

— Czy widzisz — rzekł półgłosem — jak ciebie unika nasz braciszek, pan de Provence? — To mówiąc wskazał palcem na Jego Królewską Wysokość, który maszerował wielkimi krokami poprzez oszronione zarośla, by, nadkładając drogi, dotrzeć do swej karocy.

— Obawia się wyrzutów z mej strony — powiedziała królowa.

— Wyrzutów to on się spodziewa ode mnie, to nie dlatego ciebie unika.

— Może ma wyrzuty sumienia — zauważyła wesoło królowa.

— Nie, siostrze, powiem ci. Dowiedział się, że dziś wieczór ma przyjechać pan de Suffren, słynny zwycięzca, a ponieważ jest to ważna nowina, pragnie, żebyś nic nie wiedziała.

Królowa spostrzegła w pobliżu kilku ciekawskich, którzy nie potrafili zachować należytego dystansu i mogli słyszeć słowa szwagra.

— Panie de Taverney — powiedziała — bądź tak dobry i zajmij się, jeśli laska, moimi sankami. A jeżeli jest tu pański ojciec, idź się z nim przywitać, daję panu zwolnienie na kwadrans.

Młody człowiek skłonił się i przecisnął przez tłum, by wykonać rozkaz królowej. W zbiegowisku również zrozumiano, o co chodzi, tłum miewa czasem instynkt zadziwiający; krąg rozszerzył się i królowa mogła swobodniej rozmówić się z hrabią d'Artois.

— Mój bracie — powiedziała wówczas królowa — wytłumacz mi, proszę, co zyska mój brat, hrabia Prowansji, nie udzielając mi wiadomości o przybyciu pana de Suffren.

— O siostrze moja, czyż to możliwe, że pani, kobieta, królowa i nieprzyjaciółka nie przejrzała od razu zamiarów tego chytrego polityka? Pan de Suffren przybywa, a nikt o tym nie wie na dworze. Pan de Suffren jest bohaterem mórz Indyjskich, a więc zasługuje na świetne przyjęcie w Wersalu, ale król nic nie wie o jego przyjeździe i w rezultacie, bezwiednie i mimo woli, ignoruje go, podobnie jak i ty, moja siostrze. A tymczasem pan hrabia Prowansji, który wie o jego przyjeździe, postępuje całkiem odwrotnie — on, pan hrabia Prowansji, ugascza marynarza, uśmiecha się do niego, pochlebia mu, wygłasza na jego cześć wiersze i tak, ocierając się o bohatera Indii, sam staje się bohaterem Francji.

— To jasne, ale o jednym punkcie zapomniałaś, kochany mój dziennikarzu. Skąd wiesz o tych pięknych projektach naszego brata i szwagra?

— Skąd wiem? Bo wiem o wszystkim, co on robi — to bardzo proste. Spostrzegłem, że pan de Provence postanowił sobie wiedzieć wszystko, co ja robię, opłacam więc ludzi, którzy donoszą mi o tym, co robi on. To może się przydać dla pani także, siostrze.

— Dziękuję ci za przymierze. A król?

— W porządku, król jest już uprzedzony.

— Przez ciebie?

— Ach nie, posłałem do niego ministra marynarki. Rozumiesz przecież, mnie to wszystko nie obchodzi, ja jestem zbyt lekkomyślny, zbyt niedowarzony i głupi, żeby zajmować się sprawami tej wagi.

— A minister marynarki także nie wiedział o przybyciu do Francji pana de Suffren?

— O mój Boże, siostrze kochana, przecież od czternastu lat, jak jesteś żoną Delfina i królową Francji, mogłaś poznać naszych ministrów i przekonać się, że ci panowie w sprawach rzeczywiście ważnych wykazują całkowitą ignorancję. Uprzedziłem więc naszego ministra i wpadł w wielki zapał.

— Spodziewam się.

— Pani rozumie, siostrze kochana, że ten człowiek będzie mi całe życie wdzięczny, a właśnie potrzebuję jego wdzięczności.

— Z jakiegoż to powodu?

— Z powodu starań o pożyczkę.

— O — roześmiała się królowa. — Oto jak zeszpeciłeś swój piękny czyn.

— Siostrze moja — powiedział poważnie hrabia d'Artois — pani też musisz potrzebować pieniędzy. Jakem syn Francji oddam ci do rozporządzenia połowę sumy, którą otrzymam.

— Zostaw, zostaw, braciszku. Dzięki Bogu, niczego w tej chwili nie potrzebuję.

— Do licha, nie czekaj tylko zbyt długo z przypomnieniem mi o obietnicy. Bo jeśli to będzie trwało dłużej, może się zdarzyć, że nie potrafię się z niej wywiązać.

— No to wówczas ja postaram się wywieźć o jakiejś tajemnicy stanu.

— Droga siostrze — rzekł książę — ostrzegam cię: przemarzłaś, posiniały ci policzki.

— Właśnie pan de Taverney powraca z sankami.

— A więc nie jestem ci już potrzebny. W takim razie każ mi się wynosić.

— Dlaczego? Czy myślisz przypadkiem, że mi w czymkolwiek przeszkadzasz?

— Ależ nie, przeciwnie, to ja potrzebuję swobody.

— No, to bądź zdrow.

— Do zobaczenia, droga siostrze. Do wieczora.

— Co będzie wieczorem?

— Przyjęcie u króla. Minister przyprowadzi pana de Suffren.

— Słusznie. A więc do wieczora.

Młody książę pożegnał bratową z wrodzoną sobie pełną wdzięku uprzejmością i zniknął wśród ciżby.

Tymczasem Taverney — ojciec obserwował pilnie bieg wydarzeń. Ożywiona rozmowa Marii Antoniny ze szwagrem zaniepokoiła go trochę, przecinała bowiem niejako rodzącą się zażyłość między królową a jego synem. Kiedy więc Filip, przygotowany do jazdy, chciał podejść do ojca, którego już od dziesięciu lat nie widział, ten skinął mu tylko ręką i zawołał:

— Później, później, przyjdź po skończonej służbie, porozmawiamy.

Filip odszedł, a baron spostrzegł z radością, że królowa odprawiła hrabiego d'Artois. Maria Antonina wsiadła do sanek i kazała Andrei zająć miejsce przy sobie. Dwóch wysokich hajduków zbliżyło się, żeby popychać sanie, ale królowa rzekła:

— Nie, nie, tak jeździć nie chcę. Czy pan ślizgasz się, panie de Taverney?

— Proszę wybaczyć, Najjaśniejsza Pani — odrzekł Filip.

— Podajcie łyżwy kawalerowi — rozkazała królowa. I zwracając się do niego dodała:

— Ktoś mówił mi, że pan jeździsz na łyżwach równie dobrze jak pan Saint-Georges.

— Dawniej — powiedziała Andrea — Filip ślizgał się bardzo ładnie.

— A teraz nie ma sobie równego, czy tak, panie de Taverney?

— Pani — rzekł Filip — skoro Wasza Królewska Mość ma tyle do mnie zaufania, postaram się go nie zawieść.

Mówiąc te słowa zakładał łyżwy wyostrzone i wypolerowane jak klinga. Następnie obszedł sanki i popchnął je z tyłu jedną ręką. Zaczęła się jazda.

Było to ciekawe widowisko.

Saint-Georges, król gimnastyków, Saint-Georges, elegancki mulat, głośny i modny podówczas mistrz we wszystkich ćwiczeniach cielesnych, Saint-Georges odgadł rywala w tym młodym człowieku, który ośmielał się pójść z nim w zawody.

Natychmiast więc posuwistymi ruchami zaczął obiegać sanki królowej, składając przy tym ukłony pełne szacunku i z takim wdziękiem, na jaki nigdy nie zdobyłby się żaden dworak wprawiony na parkietach Wersalu. Z błyskawiczną szybkością opisywał wokół sań najbardziej regularne koła wiążąc je w przylegające najdokładniej ogniwa jednego łańcucha. Za każdym razem nowa krzywa wyprzedzała nadjeżdżające sanki, po czym, zostawszy w tyle, potężnym zrywem łyżwiarz odzyskiwał po obwodzie utraconą przestrzeń. Nawet wzrokiem trudno było śledzić te manewry bez zawrotu głowy.

Wówczas Filip, podniecony grą, odważył się na krok zuchwały: nadał saniom tak przerażającą szybkość, że Saint-Georges dwukrotnie chybił i dokończył kręgu za nimi. Kiedy jednak

nadmierny pęd sanek wywołał u widzów okrzyki przestachu, które mogły zatrwożyć królowę, Filip zapytał:

— Jeśli Wasza Królewska Mość życzy sobie, zatrzymam się albo przynajmniej zwolnię jazdę.

— Och, nie, nie — zawołała królowa porywczo, z zapalem, który cechował ją zarówno w pracy jak i w zabawie. — Nie, nie boję się. Szybciej, jeśli możesz, kawalerze, jeszcze szybciej.

— Tym lepiej, dziękuję za pozwolenie, pani. Trzymam mocno, proszę na mnie polegać.

I popchnął sanki tak silnie, aż zatrzęsły się, mogło się wydawać, że uniósł je w powietrzu. Następnie ujął oparcie oburącz i począł zataczać ogromne koła okrążając każdy z pierścieni Saint-Georges'a pierścieniem jeszcze większym. Pomimo swego ciężaru sanki obracały się i wirowały jak zręczny łyżwiarz lub tancerz. Saint-Georges, zwinniejszy i wykwinniejszy w swoich ewolucjach, zaczął się niepokoić, ślizgał się już od godziny. Filip spostrzegł, że przeciwnik zlany jest potem i z wysiłku drżą mu kolana, postanowił więc zmęczyć go do ostatka. Zaniechał obrotów, przy których za każdym razem musiał podnosić sanki, i z najwyższą szybkością ruszył wprost przed siebie. Saint-Georges, gdyby zdobył się na jeszcze jeden wysiłek, mógłby go dopędzić z łatwością, lecz Filip, korzystając z chwili największego rozpędu, odepchnął sanki z taką siłą, że sam pozostał daleko w tyle. Nie dał się jednak wyprzedzić rywalowi, na koniuszkach łyżew minął go, chwycił znowu oparcie i z herkulesową mocą zawróciwszy sanie w miejscu popchnął je w przeciwnym kierunku. Saint-Georges rozpędzony, nie mogąc zatrzymać się w pędzie, stracił na czasie i został całkowicie pobity.

Rozległy się oklaski tak głośne, aż Filip zarumienił się ze wstydu. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy królowa, sama dawszy mu poklask, zwróciła się ku niemu i głosem omdlewającym rzekła:

— Panie de Taverney, teraz, kiedy już zwyciężyłeś, łaski, łaski. Pan mnie zabijasz.

X. ZŁY DUCH

Na rozkaz ten, a raczej na prośbę królowej, Filip wyprężył stalowe mięśnie, zaparł się w nogach i sanie stanęły w miejscu jak koń arabski ściągnięty w piaskach pustyni.

— Och, odpocznij pan teraz — powiedziała królowa wysiadając rozpromieniona z sanek. — Doprawdy nigdy nie przypuszczałam, że pęd może tak upajać. Omal nie przyprawiłeś mnie pan o szaleństwo.

I drżąc z emocji wsparła się na ramieniu Filipa. Szmer osłupienia w tym wyzłoconym i wygalonowanym tłumie ostrzegł ją, że znowu popełniła wykroczenie przeciw prawom etykiety, wykroczenie potworne w oczach zazdrości i służalstwa.

Filip, oszołomiony tym tak wielkim zaszczytem, czuł się bardziej onieśmielony i nieswój, niż gdyby monarchini znieważyla go publicznie. Spuścił oczy, a serce rozsadało mu niemal piersi.

Niezwykłe wzruszenie, zapewne skutek szybkiej jazdy, owładnęło również królową. Cofnęła natychmiast rękę i wsparłszy się na ramieniu panny de Taverney, zażądała krzesła.

Przyniesiono krzesło składane.

— Przepraszam cię, panie de Taverney — powiedziała do Filipa.

I dodała gwałtownie:

— Boże mój, co to za nieszczęście być stale otoczoną przez ciekawych... i głupców — dokończyła z cicha.

Panowie na służbie i damy honorowe zbliżyli się i pożerali wzrokiem Filipa. Ten, by ukryć rumieniec, schylił się i odpinał łyżwy, po czym wycofał się do tyłu przepuszczając dworzan.

Królowa pogrążona przez chwilę w myślach podniosła nagle głowę.

— Czuję, że siedząc tak łatwo się mogę przeziębic — powiedziała. — Pojedziemy jeszcze;

I powróciła do sanek.

Filip oczekiwał rozkazu, ale na próżno.

Nadbiegło ze dwudziestu dworaków.

— Nie, dziękuję panom — powiedziała królowa. — Moich hajduków.

A kiedy służący zajęli już swe miejsca, dodała:

— Powoli, wolniutko.

I przymknąwszy oczy pogrążyła się w marzeniach.

Otoczone tłumem ciekawych i zazdrosnych sanie oddaliły się powoli, jak tego chciała królowa. Filip pozostał sam.

Ocierając z czoła krople potu szukał wzrokiem Saint-Georges'a, by uprzejmym słowem osłodzić mu gorzkość porażki. Ten jednak, otrzymawszy zlecenie od księcia Orleańskiego, swego protektora, opuścił plac boju.

Trochę smutny, częściowo znużony i prawie przerażony tym, co zaszło, Filip stał nieruchomo odprowadzając wzrokiem oddalające się sanie królowej. Nagle poczuł, że ktoś się o niego ociera.

Odwrócił się i zobaczył ojca.

Staruszek, pokurczony niby hoffmanowska figurynka, opatulony w futra jak Samojed, nie chcąc wyjmować ręki z zawieszanej na szyi mufki, trącił syna łokciem. Filipowi wydało się, że oczy jego, rozszerzone z zimna czy radości, pałają.

— Cóż to, nie uściskasz mnie, mój synu? Wypowiedział te słowa tonem, jakiego mógłby użyć ojciec atlety greckiego, wieszający synowi odniesionego na stadionie zwycięstwa.

— Ależ z całego serca, drogi ojcze — odpowiedział Filip. Można jednak było zauważyć, że między tonem słów a ich znaczeniem nie było wcale harmonii.

— La, la! A teraz, kiedyś mnie już uściskał, ruszaj żywo. I popchnął syna.

— Dokąd? — zapytał Filip.

— Ależ, tam, do diabła, za królową.

— Ach, nie, mój ojcze, dziękuję.

— Jak to nie, co to znaczy, dziękuję? Czyś oszalał? Nie chcesz dołączyć do królowej?

— Ależ nie, to niemożliwe. Żartujesz chyba, panie ojcze.

— Jak to, nie pójdziesz do królowej, która na ciebie czeka?

— Czeka na mnie?

— Ależ tak, pragnie cię mieć przy sobie.

— Pragnie?

Filip przyjrzał się baronowi.

— Doprawdy, panie — rzekł zimno — zdaje się, że się zapominasz.

— Zdumiewające, słowo honoru — powiedział starzec prostując się i tupiąc nogą. — Ach tak, Filipie. Zrób mi tę przyjemność i powiedz, skąd ty przybywasz?

— Panie — odezwał się kawaler ze smutkiem — lękam się pewnego przypuszczenia, że albo śmiejesz się ze mnie, albo...

— Albo co?

— Albo, tylko nie gniewaj się ojcze, albo postradałeś zmysły.

Starzec chwycił syna za ramię nerwowo i z taką energią, że miody człowiek zmarszczył brwi z bólu.

— Posłuchaj, panie Filipie — powiedział. — Ameryka leży od Francji bardzo daleko, wiem o tym dobrze.

— Tak, ojcze, bardzo daleko — powtórzył Filip. — Ale nie rozumiem, o co ci chodzi, mów, proszę, jaśniej.

— W tym kraju nie ma ani króla, ani królowej.

— Ani poddanych.

— Tak, ani poddanych, mości filozofie. Nie zaprzeczam ci, bo to mnie wcale nie interesuje, to jest mi zupełnie obojętne. Ale co nie jest mi obojętne, co mnie boli i co mnie poniża, to... ja także lękam się pewnego przypuszczenia.

— Słucham, ojcze. W każdym razie sądzę, że nasze przypuszczenia są całkiem innego rodzaju.

— Ja po prostu przypuszczam, że jesteś głupcem, mój synu, a to nie przystoi takiemu chwackiemu drągalowi jak pan. Obejrzyj się przecież, popatrzże tam.

— Widzę, panie.

— No właśnie. Królowa odwraca się, już trzeci raz. Tak, mój panie, królowa już trzeci raz się odwraca, och, odwraca się znowu. Kogóż on szuka? Mości gamoniu, mości purytaninie, mój mości z Ameryki. Tfu...

I rozwścieczony staruch chwycił, z braku zębów, dziaśłami szarą łosiową rękawicę, w której zmieściłyby się jego obie dłonie.

— No tak, panie — podjął młody człowiek. — Gdyby to było prawdą, co jest zupełnie nieprawdopodobne, że królowa mnie szuka...

— I on powiada — zawołał starzec trzęsąc się z wściekłości — gdyby to było prawdą. I to ma być człowiek mojej krwi. Ależ w nim nie ma nic z Taverneyów.

— Nie jestem z twojej krwi — odburknął cicho Filip. I wznosząc oczy ku niebu szepnął:

— Bogu dzięki.

— Panie — rzekł starzec — powiadam, że królowa upatrzyła sobie ciebie, powiadam ci, że pana szuka.

— Dobry masz wzrok, mój ojczy — rzekł sucho Filip.

— Pozwól — zaczął łagodniej starzec próbując pohamować niecierpliwość — pozwól, niechże ci wytłumaczę. Prawda, masz swoje racje, ale ja znowu mam doświadczenie. Widzisz, mój zacny Filipie, jesteście, czy nie jesteście mężczyzną?

Filip wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

Starzec, widząc, że daremnie oczekuje odpowiedzi, raczej z pogardy niż z rzeczywistej potrzeby wlepił oczy w syna. To, co jednak spostrzegł w jego twarzy, wyraz godności, niezrozumiałej powściągliwości i nieprzeniknionej woli, to, niestety, stawało na przekór ojcowskiemu zamysłom.

Tłumiąc zgryzotę potarł zaręczawką koniec czerwieniącego nosa i głosem słodkim niby Orfeusz przemawiający do skał tesalijskich odezwał się:

— Filipie, mój przyjacielu, posłuchajże mnie.

— No, mój ojczy — odparł młody człowiek — zdaje się, że od kwadransa nie czynię nic innego.

— Oj — pomyślał starzec — już ja cię ściągnę z wysokości twego majestatu, mój mości Amerykaninie. Masz i ty swoją słabą stronę, zuch. Niech no ja za nią pociągnę starymi szponami, a zobaczysz.

A głośno zapytał:

— Czyżbyś nie zauważył jednej rzeczy?

— Mianowicie?

— Czegoś, co przynosi zaszczyt twojej naiwności.

— No mów, słucham.

— To bardzo proste. Kiedy wyjeżdżałeś do Ameryki, był król, ale nie było królowej; chyba pani Dubarry, majestat nieszczerólny. Wracasz, widzisz królowę i mówisz sobie: trzeba ją szanować.

— No, tak.

— Biedny chłopak — rzekł starzec tłumiąc zaręczawką wybuch śmiechu zmieszanego z kaszlem.

— Jak to? — zapytał Filip. — Ubolewasz pan, że szanują godność królewską, pan, Taverney de Maison-Rouge, pan, z najlepszej szlachty francuskiej?

— Czekaj no, nie mówiłem o godności królewskiej, tylko o królowej.

— Jakaż różnica?

— Przebóg. Cóż to jest godność królewska? Korona, tak, tego się oczywiście nie tyka. Ale co to jest, mój drogi, królowa? — Kobieta. A to już całkiem co innego, zdarza się, że jest dotykalna.

— Dotykalna? — krzyknął Filip płonąć z gniewu i oburzenia.

— Nie chcesz wierzyć? Dobrze, zapytaj — rzekł starzec tonem niemal odpychającym, tyle było w nim cynizmu. — Zapytaj panów de Coigny, de Lauzun, de Vaudreuil.

— Milcz, milcz, ojczy! — zawołał głucho Filip. — Bo nie mogąc przebić cię trzykrotnie szpadą za to potrójne bluźnierstwo, przysięgam ci, przebiję sam siebie... i to bez litości, natychmiast.

Baron cofnął się o krok, okręcił się na pięcie i wytrząsając zaręczawkę powiedział:

— Och, jakie to bydle głupie, doprawdy, koń jest osłem, orzeł jest gęsią, a kogut kapłonem. Dobranoc, uradowałeś mnie, myślałem, że jestem ojcem Kassandrem, a okazuje się, że jestem Walerym, jestem Adonisem, jestem Apollo. Dobranoc.

I ponownie okręcił się na pięcie.

Filip zasepiony zatrzymał go w pół obrotu.

— Chyba nie mówiłeś tego na serio — rzekł. — Niepodobna, żeby szlachcic tak zacnego rodu powtarzał oszczerstwa rozsiewane przez wrogów nie tylko kobiety i królowej, ale królestwa.

— I on jeszcze wątpi, kwadratowy osioł! — zawołał baron.

— Czy powtórzyłbyś to przed Bogiem, przed Bogiem, który lada chwila może cię powołać do siebie?

Młody człowiek podchwycił więc temat rozmowy przerwanej tak pogardliwie. Dla barona był to sukces.

— Ależ — powiedział — jak się zdaje, mój panie synu, jestem coś niecoś szlachcicem i nie kłamię... zawsze.

To „zawsze” zabrzmiało dość zabawnie, ale Filip nie miał ochoty do śmiechu.

— A więc, twoim zdaniem, królowa miała kochanków?

— To ci nowina.

— Tych, których wymieniłeś.

— Może i innych, czy ja wiem. Dowiedz się w mieście i na dworze. Trzeba wrócić z Ameryki, żeby nie wiedzieć, co mówią.

— Ale, kto to mówi, nikczemni potwarzy!

— Och, och, czy nie bierzesz mnie przypadkiem za gazeciarskiego paszkwilanta?

— Nie, ale na całe nieszczęście tacy ludzie jak ty, powtarzając podle kalumnie, nie dają im się rozwiać, nadają im znaczenie. Panie, na Boga, po co takie rzeczy mówisz?

— Ech — rzekł starzec chwytając ramię syna i patrząc nań z szatańskim uśmiechem — po to, żeby ci dowieść, że miałem rację mówiąc: „Filipie, królowa się odwraca, Filipie, królowa cię szuka, Filipie, królowa ciebie pożąda, pędź, Filipie, pędź, królowa czeka”.

— Na miłość boską. Milcz, ojczu, oszaleję!

— Naprawdę, Filipie — odrzekł starzec — nie rozumiem ciebie. Czy miłość to zbrodnia? To dowodzi, że ma się serce. A czyż w oczach tej kobiety, w jej głosie, w jej zabiegach nie czuje się serca? Ona kocha, mówię ci, ona kocha. Ale ty jesteś filozofem, purytaninem, kwakrem amerykańskim, ty nie potrafisz kochać. Niech sobie czeka, niech patrzy, niech się odwraca, znieważaj ją, pogardzaj, odepchnij ją, Filipie, to jest — Józefie... de Taverney.

I widząc, jakie wrażenie sprawiły słowa te podkreślone szyderstwem, mały staruch umknął jak zły duch, który podszeptał pierwszą zbrodniczą pokusę.

Filip pozostał sam, z sercem wezbranym, z chaosem w myślach; nie zauważył nawet, że od pół godziny nie ruszył się z miejsca, że królowa skończyła przejażdżkę, że wraca i patrzy na niego. Usłyszał dopiero, gdy zawołała ze środka orszaku.

— Odpocząłeś już chyba, panie de Taverney? Chodźże, pan tylko umiesz wozić królowę po królewsku. Ustąpcie, panowie.

Filip podbiegł olśniony, odurzony, upojony. Kładąc dłoń na oparciu sanek poczuł jakby oparzenie, królowa przechyliła się niedbale do tyłu i palce jego musnęły włosy Marii Antoniny.

XI. SUFFREN

Wbrew obyczajom dworskim, sekret Ludwika XVI i hrabiego d'Artois nie wydał się. Nikt nie wiedział, jak ani o której godzinie ma przybyć pan de Suffren.

Na wieczór król zapowiedział partię kart. Zebranie było liczne i świetne. Król zjawił się o siódmej z książętami i księżniczkami z rodziny. Królowa przyprowadziła za rączkę Madame Royale, która miała dopiero siedem lat.

Na samym początku wieczoru, nim jeszcze wszyscy zajęli miejsca, hrabia d'Artois podszedł nieznacznie do królowej i rzekł:

— Siostró, rozejrzyj się pani dokoła, co widzisz? Królowa przebiegła wzrokiem po towarzystwie, przetrząsnęła grupki, przyjrzała się pustym miejscom i wszędzie spostrzegła bądź przyjaciół, bądź oddanych dworzan, a wśród nich Andreę i jej brata.

— Widzę — powiedziała — same przyjemne twarze, przede wszystkim twarze przyjaciół.

— Nie patrz na tych, co są, siostró, spójrz, kogo brak.

— Daję słowo, prawda. Hrabia d'Artois roześmiał się.

— Jeszcze go nie ma — podjęła królowa. — Czy zawsze będę go płoszyć?

— Nie — rzekł hrabia d'Artois — to nie to, tylko żart się przedłuża. Jegomość oczekuje na komandora de Suffren przy rogatce.

— W takim razie nie rozumiem, z czego się pan śmiejesz, mój bracie.

— Pani nie wiesz, z czego się śmieję?

— Bez wątpienia, jeśli Monsieur czeka przy rogatce na komandora de Suffren, to znaczy, że był od nas sprytniejszy, bo zobaczy go pierwszy i wobec tego powita wcześniej od innych.

— Liche masz, droga siostró, wyobrażenie o naszej dyplomacji — odpowiedział ze śmiechem młody książę. — To prawda, Jegomość czeka na komandora przy rogatce Fontainebleau, ale my znowu mamy kogoś na stacji Villejuif.

— Naprawdę?

— W ten sposób — kontynuował hrabia d'Artois — Monsieur wymarźnie się potężnie przy rogatce, a tymczasem pan de Suffren, okrążając na rozkaz królewski Paryż, przybędzie wprost do Wersalu, gdzie go oczekujemy.

— Doskonale pomyślane.

— Nienajgorzej, jestem też dość z siebie zadowolony. Weź się do gry, siostró.

W sali do gry znajdowało się w tej chwili ze sto osób z najlepszego towarzystwa: pan de Conde, pan de Penthièvre, pan de la Trémouille, księżniczki. Jednakże jeden tylko król zauważył, że hrabia d'Artois rozśmieszył królowę i żeby wziąć niejako udział w ich spisku, przesłał obojgu znaczące spojrzenie.

Jak już mówiliśmy, wiadomość o przybyciu komandora Suffrena nie rozeszła się, tym niemniej w umysłach zebranych pojawiły się jakieś niejasne przewidywania. Wyczuwało się, że coś się wydarzy ważnego, że coś wyjdzie na jaw, powszechne zainteresowanie nieznanym budziło się w tym świecie, gdzie najmniejsze zdarzenie nabiera wagi, jeśli pan zmarszczy brwi z dezaprobatą lub złoży usta do uśmiechu.

Król, który zazwyczaj, dla ukrócenia hazardu książąt i panów dworu, stawiał w grze sześćiofrankowego talara, król zapomniał się i rzucił na stół wszystko złoto z kieszeni. Królowa, wypełniając swą rolę, z politycznym rozmysłem ściągnęła na siebie uwagę zgromadzenia udanym zapałem, z jakim oddała się grze.

Filip, dopuszczony do partii, siedząc naprzeciw siostry, chłonał wszystkimi zmysłami wrażenia niesłychanej, zdumiewającej łaski, która spadła nań tak niespodziewanie. Mimo woli przychodziły mu na myśl słowa ojca. Zapytywał sam siebie, czy rzeczywiście starzec, który trzy lub czterokrotnie widział rządy faworyt, nie zna najlepiej historii czasów i obyczajów. Zadawał sobie pytanie, czy ten purytyzm, graniczący z czcią religijną, nie jest jedną więcej śmiesznością, jaką przywiózł z dalekich krajów.

Czyżby królowa, tak poetyczna, tak piękna, tak dla niego serdeczna, miała być w istocie niegodziwą kokietką, chciwą włączenia do swych wspomnień jeszcze jednej namiętności, jak entomolog, który włącza do swej gąbłoty jeszcze jednego owada czy motyla, nie dbając, co cierpi biedne stworzenie, gdy mu szpilką przebija serce?

A przecież królowa nie jest kobietą tuzinkową, nie jest umysłem pospolitym. Jej spojrzenie zawsze coś oznacza, ona nie rzuca go na wiatr, nie obliczywszy zasięgu.

— Coigny, Vaudreuil — powtarzał sobie Filip — kochają się w królowej i mają jej wzajemność. Skądże, skąd to ponure oszczerstwo? Dlaczego promień słońca nie wśliźnie się do tej otchłani głębokiej, którą nazywamy sercem kobiety, a która staje się jeszcze głębsza, kiedy jest sercem królowej?

Kiedy tak rozpatrywał w duchu oba nazwiska, spojrzął na drugi koniec stołu, gdzie, przez szczególny zbieg okoliczności, panowie de Coigny i de Vaudreuil siedzieli tuż przy sobie, nie zważając wcale na królową, obojętni i jakby znudzeni. Niemożliwe, powiedział sobie Filip, żeby ci dwaj mężczyźni kochali i byli tak spokojni, byli kochani i traktowali to tak obojętnie. O, gdyby jego pokochała królowa, oszalałby ze szczęścia, a gdyby go potem zapomniała, zabiłby się z rozpaczy.

I powracając wzrokiem do królowej, rozmarzony, podziwiał to jasne czoło, te usta stanowcze i wyniosłe spojrzenie; w całej tej kobiecej urodzie chciał wykryć tajemnicę królowej.

— Ach nie, to potwarz, to fałsz, te wszystkie próżne domysły, które zaczynały krążyć wśród ludzi, a którym tylko czyjś interes, nienawiść lub intrygi dworskie przydawały pewnego znaczenia.

Filip wciąż to jeszcze rozważał, kiedy zegar w sali Gwardii wybił trzy kwadransy na ósmą. Jednocześnie dobiegł stamtąd odgłos nagłego zgiełku, zadźwięczały szybkie, gwałtowne kroki, kolby karabinów stuknęły o płyty posadzki. Gwar głosów przenikający przez nie domknięte drzwi zwrócił uwagę króla, który podniósł głowę, żeby lepiej słyszeć, a następnie dał znak królowej. Ta zrozumiała wskazówkę i natychmiast przerwała grę. Gracze, zebrawszy to, co mieli przed sobą, niepewni decyzji czekali, co też raczy uczynić królowa.

W ślad za królem Maria Antonina udała się do wielkiej sali przyjąć.

Adiutant pana de Castries, ministra marynarki, podszedł do Ludwika XVI i szepnął mu coś do ucha.

— Dobrze — odpowiedział król i zwracając się do królowej dodał.

— Wszystko w porządku.

Zebrani spojrzeli po sobie, to „wszystko w porządku” dawało każdemu do myślenia.

W tej chwili wszedł do sali pan marszałek de Castries i wielkim głosem oznajmił:

— Czy Wasza Królewska Mość raczy przyjąć pana bailly’ego de Suffren, przybywającego z Tulonu?

Nazwisko to wygłoszone donośnie i z triumfem wywołało w całej sali niewypowiedzianą wrzawę.

— Tak, panie — odrzekł król. — Z przyjemnością.

Pan de Castries wyszedł. Zebrani niemal rzucili się za nim ku drzwiom.

Słów kilka starczy, by wyjaśnić ową sympatię Francji dla pana de Suffren, by zrozumieć, dlaczego król, królowa i księżęta krwi prześcigali się w pragnieniu pierwszeństwa w spotkaniu z nim. Suffren jest to nazwisko prawdziwie francuskie — jak Turenusz, jak Catinat lub Jean-Bart.

Od wybuchu wojny z Anglią, a raczej od czasu ostatniego okresu walk, tuż przed zawarciem pokoju, pan komandor de Suffren stoczył siedem wielkich bitew morskich, nie ponosząc ani razu klęski, zdobył Trinquemale i Gondelour, zabezpieczył posiadłości francuskie, oczyścił morze i pouczył nababa Haider-Aly'ego, że Francja jest pierwszym mocarstwem w Europie. Swoje umiejętności zawodowe marynarza połączył ze zręcznością wytrawnego dyplomaty, męstwo i biegłość w taktyce wojennej z uzdolnieniami światłego administratora. Nieustraszony, niezmordowany i nieubłagany, kiedy chodziło o honor francuskiej bandery, zmęczył Anglików na ziemi i morzu do tego stopnia, że dumni ci marynarze nie odważali się nigdy doprowadzić do końca zwycięsko zaczętej bitwy ani zaatakować Suffrena, gdy lew pokazał zęby. Podczas walk narażał życie z beztrząsą ostatniego majtka, po bitwie był ludzki, szlachetny, pobłażliwy. Słowem w komandorze Suffren Francja odnalazła ów typ prawdziwego marynarza, zapomniany już trochę od czasów Jana Barta i Duguay-Trouina Nic dziwnego, że panowie zgromadzeni w Wersalu powitali jego przybycie z trudnym do opisanego zapalem.

Suffren był mężczyzną lat pięćdziesięciu sześciu; niski, tęgi, miał bystre spojrzenie i szlachetną swobodę obejścia. Pomimo otyłości ruchy miał zwinne, pomimo niskiego wzrostu — postawę majestatyczną; głowę nosił hardo i jak człowiek nawykły do zwalczania przeszkód nawet w pocztowej karetkie znajdował czas na przybranie się i przyfryzowanie. Ubrany był w granatowy, haftowany złotem frak, czerwoną kamizelkę i błękitne spodnie. Zachował kołnierzyk kroju wojskowego, na którym wspierał się potężny, zaokrąglony podbródek — naturalne uzupełnienie kolosalnej głowy.

Kiedy wszedł do sali Gwardii, ktoś szepnął słówko panu de Castries, który krążył niecierpliwie wzdłuż i wszerz, a ten z kolei zawołał:

— Pan de Suffren, panowie.

Natychmiast straż, chwyciwszy muszkiety, wyrównała sama szeregi, jakby chodziło o samego króla Francji, a po przejściu pana de Suffren ustawiła się za nim w czwórki.

Komandor, ściskając rękę pana de Castries, chciał go ucałować, ale ten powstrzymał go delikatnie.

— Nie, panie — powiedział — nie, szczęście uściskania pana w pierwszej kolejności muszę pozostawić komuś godniejszemu.

I poprowadził pana de Suffren przed oblicze Ludwika XVI.

— Panie komturze! — zawołał król rozpromieniony. — Witam cię w Wersalu. Wnosisz ze sobą sławę, przynosisz to wszystko, czym bohaterowie mogą obdarzyć swoich współczesnych. Nie mówię o przyszłości, ta należy do ciebie. Uściskaj mnie, panie komandorze.

Pan de Suffren zgiął kolano, król podniósł go i uściskał serdecznie. Przez zgromadzenie przebiegł szmer radości i uznania. Tylko szacunek dla monarchy powstrzymał obecnych od głośniejszych oklasków i triumfalnych okrzyków.

Król zwrócił się do królowej.

— Pani — rzekł — oto pan de Suffren, zwycięzca spod Trinquemale i Gondelour, postrach naszych sąsiadów Anglików, mój Jean-Bart.

— Panie — powiedziała królowa — brak mi słów pochwalnych. Wiedz tylko, że za każdą salwę armatnią, którą oddałeś na chwałę Francji, serce moje bije dla ciebie podziwem i wdzięcznością.

W tej chwili hrabia d'Artois podszedł z synkiem, księciem d'Angoulême.

— Synu mój — rzekł — masz przed sobą bohatera, przyjrzyj się dobrze, bo to rzadko się zdarza.

— Wasza Wysokość — odpowiedział młody książę — czytałem niedawno u Plutarcha o wielkich mężach, ale ich nie widziałem. Dziękuję, żeś mi pokazał pana de Suffren.

Ze szmeru, który rozległ się dokoła, chłopiec zrozumiał, że wypowiedział słowa pamiętne.

Król ujął komandora pod ramię, skłonny przeprowadzić go z miejsca do gabinetu na rozmowę o danych geograficznych jego podróży i wypraw. Ale pan de Suffren z szacunkiem przeciwstawił się temu.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — skoro Wasza Królewska Mość jest dla mnie tak łaskawa, racz pozwolić...

— Ależ, panie de Suffren — zawołał król — i ty prosisz?

— Sire, jeden z moich oficerów dopuścił się tak ciężkiego wykroczenia przeciw dyscyplinie, że, moim zdaniem, tylko Wasza Królewska Mość może być sędzią w tej sprawie.

— Miałem nadzieję, panie de Suffren, że pierwszą swą prośbę wniesiesz o nagrodę, a nie karę.

— Sire, jak już miałem zaszczyt powiedzieć, Wasza Królewska Mość sama osądzi, co należy uczynić.

— Słucham.

— Otóż oficer ten, o którym mówiłem Waszej Królewskiej Mości, w ostatniej bitwie służył na „Sévère”.

— Ach, na okręcie, który opuścił flagę — odezwał się król marszcząc brwi.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, kapitan okrętu rzeczywiście spuścił banderę — odpowiedział z ukłonem pan de Suffren — i sir Hugues, admirał angielski, wysłał już szalupę, żeby obsadzić zdobycz. Jednakże porucznik, który doglądał baterii pod pokładem, spostrzegłszy, że ogień ustaje i otrzymawszy rozkaz niestrzelania, wyszedł na pokład i zobaczył wówczas opuszczoną flagę i kapitana przygotowującego się do poddania. Proszę wybaczyć, Sire, ale na ten widok cała krew francuska zbuntowała się w nim, chwycił młotek i rozkazawszy ponowić ogień, przybił sztandar na swoim miejscu. Dzięki temu „Sévère” zachowany został dla Waszej Królewskiej Mości.

— Piękny uczynek — rzekł król.

— Waleczny postępek — dodała królowa.

— Tak jest, Sire. Tak jest, Najjaśniejsza Pani Ale ciężkie naruszenie dyscypliny wojskowej. Skoro kapitan wydał rozkaz, obowiązkiem porucznika jest usłuchać. Błagam więc Waszą Królewską Mość o łaskę dla tego oficera, a błagam tym usilniej, że jest to mój siostrzeniec.

— Pański siostrzeniec — zawołał król. — I nic mi o tym nie mówiłeś.

— Pozwoliłem sobie złożyć raport panu ministrowi marynarki, ale prosiłem go, żeby nic nie mówił Waszej Królewskiej Mości, dopóki nie uzyskam ulaskawienia dla winnego.

— Zgadzą się, zgadzają — zawołał król — i z góry obiecuję swą protekcję dla wszystkich niezdyplinowanych, którzy potrafią w ten sposób bronić honoru bandery i króla Francji. Powinieneś mi przedstawić tego oficera, panie komturze.

— On tu jest — odpowiedział pan de Suffren. — I jeśli Wasza Królewska Mość pozwala...

I odwróciwszy się zawołał:

— Podejź, panie de Charny.

Królowa zadrżała. Nazwisko to obudziło w niej świeże, niezatarte jeszcze wspomnienie. Rozentuzjasmowana opowiadaniem o świetnym czynie zrobiła ruch, jakby chciała wyjść, naprzeciw młodego człowieka, ale gdy oficer wystąpił ze świąty pana de Suffren i stanął przed królem, widząc go i słysząc jego nazwisko, zatrzymała się, zbladła i coś do siebie szepnęła.

Panna de Taverney, równie blada, patrzyła na nią z niepokojem.

Tymczasem pan de Charny, nic nie widząc, na nic nie patrząc i nie zdradzając wyrazem twarzy żadnego innego uczucia prócz uszanowania, pochylił się przed królem, ucałował podaną mu dłoń i ścigany zazdrosnymi spojrzeniami otoczenia wycofał się skromnie do grona oficerów, którzy wieszowali mu hałaśliwie i obsypywali go pochlebstwami.

Nastała chwila milczenia. Król jaśniał radością, królowa uśmiechała się niezdecydowanie, pan de Charny stał z opuszczonymi oczami, a Filip, którego uwagi nie uszło wzburzenie królowej, przyglądał się jej badawczo i z niepokojem.

— Chodźmy, chodźmy, panie de Suffren — odezwał się wreszcie król. — Umieram z chęci porozmawiania i wykazania, jak o panu myślałem.

— Najjaśniejszy Panie, tyle, dobroci...

— Och, zobaczysz moje mapy, panie komandorze, zobaczysz, z jaką troskliwością obmyślałem i starałem się przewidzieć każdą fazę twojej wyprawy. Chodźmy, chodźmy.

Potem, pociągnąwszy pana de Suffren kilka kroków, zawrócił nagle i rzekł do królowej.

— A propos, pani, jak wiesz, kazałem zbudować okręt o stu działach. Otóż zmieniłem zamiar co do jego nazwy. Zamiast nazwać go jak mówiliśmy, prawda, pani...

Maria Antonina, przyszedłszy już do siebie, podchwyciła w lot myśl króla.

— Tak, tak, nazwiemy go „Suffren” — powiedziała. — I zostanę matką chrzestną razem z panem komandorem.

Okrzyki, dotąd powstrzymywane, zagrzmiały gwałtownie:

— Niech żyje król, niech żyje królowa!

— Niech żyje „Suffren” — dorzucił król z wyszukaną subtelnością.

Nikt bowiem w obecności króla nie ośmieliłby się wołać: „Niech żyje pan de Suffren”, ale najbardziej nawet drobiazgowy rzecznik etykiety mógł wznieść okrzyk na cześć okrętu Jego Królewskiej Mości.

— Niech żyje Suffren! — powtórzyło z entuzjazmem otoczenie.

Król skłonił się na znak podziękowania, że tak dobrze zrozumiano jego myśl i uprowadził pana de Suffren do gabinetu.

XII. PAN DE CHARNY

Po wyjściu króla obecni zgrupowali się wokół królowej. Pan de Charny, któremu komandor polecił zaczekać, pozostał również w swoim gronie. Królowa niemal nie spuszczać oczu z młodego człowieka, wymieniła kilka znaczących spojrzeń z Andream i znalazła u niej potwierdzenie własnego wniosku:

— Tak, to on, na pewno on.

Filip, który, jak już mówiliśmy, spostrzegł zmieszanie królowej, choć nie mógł znać przyczyny, intuicją człowieka zakochanego odgadywał niejasno, że przydarzyło się coś szczególnego. Królowa, przed którą zwykle wszyscy spuszczały wzrok, straciła pewność siebie i skryła twarz za wachlarzem. Filip próbował znaleźć rozwiązanie zagadki w obliczach panów de Coigny i de Vaudreuil, ale przekonał się, że ci nie wiedzą o niczym i najspokojniej w świecie rozprawiają z hrabią da Haga, który przebywał podówczas w Wersalu.

Nagle jakaś osobistość we wspaniałym stroju kardynalskim weszła do sali w otoczeniu święty oficerów i prałatów. Królowa poznała pana Ludwika de Rohan, zobaczyła go przez całą długość sali i natychmiast odwróciła się nie usiłując nawet ukryć wyrazu niechęci.

. Dostojnik, z nikim się nie witając, przeciął salę i podchodząc wprost do królowej złożył jej ukłon światowca raczej, który pozdrawia kobietę, niż poddanego, który wita monarchinię. Jednakże na jego eleganckie komplementy Jej Królewska Mość ledwie raczyła odwrócić głowę i bąknąć z lodowatym chłodem kilka ceremonialnych wyrazów. Zaraz zresztą powróciła do rozmowy z paniami de Lamballe i de Polignac.

Książę Ludwik udał, że nie dostrzega złego przyjęcia. Dokończywszy powitania wycofał się bez pośpiechu i z wdziękiem wytrawnego dworaka zbliżył się do pań, ciotek królewskich, z którymi długo gawędził, ponieważ dzięki zręczności w modnych na dworze grach towarzyskich spotkał się z przyjęciem równie miłym, jak przedtem chłodnym u królowej.

Kardynał de Rohan był mężczyzną w sile wieku, postawnym i dobrze ułożonym. Z rysów jego przebijała inteligencja i łagodność. Miał delikatne, wąskie usta i prześliczne ręce, nieco łysiejące czoło zdradzało zamiłowanie do hulanki bądź do nauki — w istocie książę hołdował jednemu i drugiemu. U kobiet miał powodzenie, lubiły go za umizgi bez nadskakiwania i rozgłosu, chwalono go zresztą za hojność. Rzeczywiście, mając milion sześćset tysięcy rocznego dochodu, miewał nieraz sposobność uskarżania się na ubóstwo.

Król cenił jego rozum i lubił go, królowa — nie cierpiała. Przyczyn tej nienawiści nikt nie znał dokładnie, ale komentowano to dwojako.

Po pierwsze, jako ambasador w Wiedniu pisywał podobno do króla Ludwika XV ironiczne listy o Marii Teresie, czego Maria Antonina nie mogła mu nigdy przebaczyć. Po drugie, co jest bardziej ludzkie, a przede wszystkim bardziej prawdopodobne, ambasador, omawiając przyszłe małżeństwo młodej arcyksiężniczki z delfinem, miał rzekomo w korespondencji do Ludwika XV, który to list król odczytał głośno na obiedzie u pani Dubarry, opisać pewne szczegóły w sposób obrażający miłość własną młodej kobiety nazbyt w owym czasie szczupłej i mizernej. Dotknięta do żywego Maria Antonina nie mogła dowodzić publicznie, że padła ofiarą złośliwości, ale przyrzekła sobie prędzej czy później zemścić się na autorze.

Za wszystkim kryła się, oczywiście, intryga polityczna. Pan de Breteuil, którego odwołano ze stanowiska ambasadora w Wiedniu na rzecz pana de Rohan, był zbyt słaby, żeby walczyć z księciem otwarcie i użył sposobów, które w dyplomacji nazywa się zręcznością. Wystarał się o kopie, a może nawet oryginały listów prałata i przeciwstawiając realnym zasługom

dyplomatycznym drobną niezyczliwość ambasadora dla domu cesarsko — austriackiego, pozyskał w żonie następcy tronu sprzymierzeńca gotowego zgubić kiedyś księcia de Rohan.

Nienawiść ta tliła się głucho na dworze i utrudniała pozycję pana de Rohan. Ilekroć widywał królowę, spotykał się z lodowatym przyjęciem. Jednakże, może czując się rzeczywiście silnym, a może wierny zasadzie przebaczenia swoim nieprzyjaciołom, książę Ludwik de Rohan wyższy był ponad pogardę i nigdy nie zaniedbywał okazji zbliżenia się do Marii Antoniny, a jako wielkiemu jałmużnikowi dworu sposobności mu nie brakowało. Nigdy też nie skarżył się i z nikim na ten temat nie rozmawiał.

I teraz przemknął jak cień przez wesołą scenę rozgrywającą się w wyobraźni królowej; gdy zniknął, Maria Antonina ożywiła się.

— Czy wie pani — odezwała się do księżnej de Lamballe — że czyn tego młodego oficera, siostrzeńca komandora, jest jednym z najznakomitszych w tej wojnie? Jakże on się nazywa?

— Pan de Charny, zdaje się — odpowiedziała księżna. I zwracając się do Andrei zapytała:

— Czy nie tak, panno de Taverney?

— Tak, Wasza Wysokość, Charny — odpowiedziała Andrea.

— Warto — mówiła dalej królowa — żeby pan de Charny osobiście opowiedział nam ten epizod ze wszystkimi szczegółami. Niech no go kto poszuka. Czy jest jeszcze tutaj?

Jeden z oficerów zerwał się i pospieszył wykonać rozkaz królowej. Ta jednak, jak zawsze niecierpliwa, rozejrzała się i spostrzegając Filipa, zawołała:

— Panie de Taverney, zobacz no pan.

Filip zaczerwienił się, pomyślał, być może, że powinien uprzedzić życzenie władczyni. Udał się więc na poszukiwanie szczęśliwca i wkrótce pan de Charny stawiał się w asyście dwóch wysłanników królowej. Obecni rozstąpili się i królowa mogła przyjrzeć się mu dokładniej niż wczoraj.

Był to młodzieniec lat dwudziestu siedmiu lub ośmiu, wysoki, smukły i zgrabny. Twarz miał miłą i delikatną, ale w dużych, niebieskich oczach błyszczała energia. Jak na przybysza z Indii miał zadziwiająco białą cerę, zwłaszcza w porównaniu ze śniadą karnacją Filipa.

Otoczony oficerami odpowiadał na ich pytania z największą uprzejmością, zdając się zapominać, że przed chwilą rozmawiał z królem i że spogląda na niego królowa. Niczym też nie okazywał, że poznaje królową bądź jej towarzyszkę. Ta dworność i oględność tym bardziej ująć musiały Marię Antoninę tak wrażliwą na formy zachowania się. Był to zresztą z jego strony szczyt roztropności.

Zbliżywszy się, z nakazaniem przez dobry ton umiarem nie podniósł wzroku, dopóki nie przemówiła królowa.

— Panie de Charny — powiedziała — te damy życzą sobie gorąco, a jest to zupełnie naturalne, bo i ja tego pragnę, usłyszeć szczegóły wydarzeń na statku. Proszę, opowiedz nam pan.

— Najjaśniejsza Pani — ‘odpowiedział młody marynarz — błagam Waszą Królewską Mość nie przez skromność, ale ze względów czysto ludzkich o zwolnienie mnie z tego opowiadania To, co uczyniłem jako porucznik na „Severe”, zamyślało uczynić w tym samym czasie dziesięciu oficerów, moich kolegów. Dokonałem tego po prostu pierwszy i to cała moja zasługa. Nie chciałbym nadawać temu zdarzeniu większej wagi i serce Waszej Królewskiej Mości z pewnością to uzna. Były komendant okrętu, dzielny żołnierz, dnia tego stracił głowę. Niestety, przydarza się to najwaleczniejszym, nie można być zawsze odważnym. Wystarczyłoby dziesięć minut, by przyszedł do siebie. Nasza determinacja pozwoliła mu ochłonąć i odtąd był wśród nas najmężniejszym. Właśnie dlatego zaklinam Waszą Królewską Mość, by nie przeceniała znaczenia mego czynu, byłoby to równoczesnym potępieniem nieszczęsnego oficera, który nieustannie oplakuje chwilę zapomnienia.

— Dobrze — powiedziała królowa, wzruszona i uradowana życzliwym szeptem, z którym przyjęto wokoło szlachetną wypowiedź młodego człowieka. — Dobrze, panie de Charny, jesteś pan porządnym człowiekiem, jak miałam już możność przekonać się.

Na te słowa oficer podniósł głowę, twarz jego oblał młodzieńczy rumieniec, z wyrazem przestachu skierował wzrok ku Andrei. Strach go obleciał na widok tej natury tak wspaniałej i tak zuchwałej w swej wspaniałości. Ale nie był to jeszcze koniec.

— Albowiem — kontynuowała nieustraszenie królowa — trzeba, żeby wszyscy wiedzieli, że pan de Charny, ten młody oficer, który dopiero wczoraj wylądował, był już nam znany wcześniej nim został dziś wieczór przedstawiony, a powinien być znany i podziwiany przez wszystkie kobiety.

Spostrzeżono, że królowa zamierza coś opowiedzieć, jakąś historię sekretną, a może nawet zapowiadającą mały skandalik. Koło zacieśniło się, nadstawiono uszu. Słowa królowej i obecność tego, do którego się odnosiły, podwajały jeszcze ciekawość.

— Wyobraźcie sobie panie — mówiła królowa — że pan de Charny jest równie względny dla dam, jak nieubłagany dla Anglików. Opowiadano mi historię, która, z góry oświadczam, w moim przekonaniu przynosi mu największy zaszczyt.

— Najjaśniejsza Pani — bąknął młody oficer.

Charny oblewał się potem. Oddałby rok życia, żeby znowu znaleźć się w Indiach.

— Rzecz miała się tak — ciągnęła królowa. — Dwie damy, znajome mi, zapóźniły się i zagubiły, otoczone przez motłoch. Groziło im prawdziwe, poważne niebezpieczeństwo ze strony pospólstwa. Przypadkiem, a raczej na szczęście, przechodził tamtędy pan de Charny. Rozproszył tłum i nie znając nawet dam, a trudno było rozpoznać ich stanowisko, wziął obie pod opiekę i odprowadził daleko... chyba z dziesięć mil od Paryża.

— Och, Wasza Królewska Mość przesadza — rzekł śmiejąc się Charny, uspokojony obrotem, jaki przyjęło opowiadanie.

— Dobrze, niech będzie pięć mil i nie mówmy o tym — przerwał nagle hrabia d'Artois wtrącając się do rozmowy.

— Niech i tak będzie, mój bracie — powiedziała królowa. — Ale najpiękniejsze jest to; że pan de Charny nie starał się nawet dowiedzieć nazwisk dam, którym oddał przysługę, odwiózł je do miejsca, jakie mu wskazały i oddalił się, nie odwracając nawet głowy, tak że wymknęły się z jego opiekuńczych rąk nie zaznawszy ani na chwilę kłopotu.

Przekrzykiwano się w podziwie, dwadzieścia kobiet naraz prawilo grzeczności panu de Charny.

— To piękne, prawda? — podjęła królowa. — Rycerz okrągłego stołu nie postąpiłby lepiej.

— To zachwycające — odezwał się chór.

— Panie de Charny — zakończyła królowa — król wynagrodzi niewątpliwie pana de Suffren, twojego wuja. Ja ze swej strony chciałabym coś uczynić dla siostrzeńca tego wielkiego męża.

I podała mu rękę. A kiedy Charny, blady z radości, przycisnął do niej wargi, Filip, blady z bólu, ukrył się za obszernymi fałdami kotary. Zbladła również Andrea, choć nie mogła odgadnąć, jakie cierpienia przeżywa jej brat.

Scenę tę, tak ciekawą dla obserwatora, przerwał nagle głos hrabiego d'Artois.

— Ach, mój bracie, hrabio Prowansji, a więc przybyłeś pan, przybyłeś więc — zawołał głośno. — Żałuj, straciłeś wspaniałe widowisko: przyjęcie pana de Suffren. Naprawdę, była to chwila, której serca francuskie nigdy nie zapomną. Jakże u licha mogłeś uchybić, ty, mój bracie, człowiek tak doskonale dokładny.

Monsieur przygryzł wargi, skłonił się z roztargnieniem królowej i odpowiedział jakimś banałem. Następnie zapytał po cichu pana de Favras, kapitana swej gwardii:

— Jak się to stało, że on jest w Wersalu?

— Wasza Wysokość — odpowiedział zapytany — łamię sobie głowę od godziny i nadal nie mogę zrozumieć.

XIII. STO LUIDORÓW KRÓLOWEJ

Powróćmy teraz na ulicę Saint–Claude, na czwarte piętro domu, który odwiedziła incognito królowa Francji w towarzystwie panny Andrei de Taverney.

Po odejściu królowej pani de la Motte, jak wiemy, kilkakrotnie i z wielką radością przeliczyła pieniądze, które jej spadły jak z nieba. Pięćdziesiąt pięknych podwójnych luidorów, po czterdzieści osiem liwrów sztuka, rozsypanych na nędznym stoliku i połyskujących w świetle lampy zdawało się uragać swą arystokratyczną obecnością ubóstwu panującemu w izdebce.

Przyjemność posiadania obudziła w pani de la Motte pragnienie przyjemności popisania się. Samo posiadanie nic dla niej nie znaczyło, jeżeli nie wywoływało zazdrości u innych. Od dłuższego czasu przykro jej było mieć za powiernicę swej nędzy służącą, przed nią też przede wszystkim pragnęła pochwalić się bogactwem.

— Klotyldo — zawołała — chodź no i zobacz. Byłaś już niespokojna o swoje zasługi.

— O pani, czy powiedziałaś choć słówko? Pytałam tylko pani hrabiny, kiedy mi będzie mogła zapłacić, a to przecież zrozumiałe, skoro od trzech miesięcy nic nie dostałam.

— Czy myślisz, że to wystarczy na płacę dla ciebie?

— Jezusie! Gdybym to wszystko miała, byłabym bogata na całe życie.

Pani de la Motte spozjrzała na starą wzruszając ramionami z wyrazem niewysłowionej pogardy.

— Na szczęście — powiedziała — są jeszcze ludzie, którzy pamiętają o nazwisku, które noszę, skoro ci, co powinni pamiętać, zapominają.

— I na co pani użyje tych pieniędzy?

— Na wszystko.

— Nasamprzód — powiedziała stara — co ja bym uważała za najważniejsze, to trzeba zaopatrzyć kuchnię, bo teraz pewnie będziemy dawać obiady, kiedy pani ma pieniądze.

— Cicho — zauważyła pani de la Motte. — Ktoś puka.

— Pani się myli.

Stara oszczędzała się jak zwykle.

— Ależ, mówię ci...

— Nic nie słyszałam.

— Tak, tak, niedawno też nic nie słyszałaś. A jakby tak te panie odeszły, nie wchodząc tutaj?

Była to uwaga przekonywająca i Klotylda skierowała się ku drzwiom.

— Czy słyszysz? — zawołała pani de la Motte.

— To prawda — odpowiedziała stara. — Idę już, idę. Pani de la Motte zagarnęła spieszenie pieniądze na dłoń i wrzuciła do szuflady.

— No, Opatrzności — westchnęła — jeszcze tak ze setkę luidorów.

Wyraz sceptycznej chciwości na jej twarzy mógłby ucieszyć Woltera.

W tym czasie Klotylda otwierała drzwi wejściowe. Hrabina usłyszała w przedpokoju kroki jakiegoś mężczyzny i krótką rozmowę, której sensu nie uchwyciła. Po chwili ktoś wyszedł, drzwi na klatkę schodową zamknęły się, a stara weszła z listem w rękę.

— Proszę — powiedziała.

Hrabina przyjrzała się uważnie pismu, kopercie i pieczęci, potem podnosząc głowę zapytała:

— Służący?

— Tak, pani.

— W czyjej liberii?

— Nie miał liberii.

— Ach, więc jakiś szarak.

— Tak.

— Znam ten herb — podjęła pani de la Motte, zbliżając kopertę do lampy i przyglądając się ponownie pieczęci. —

Dziewięć rautów złotych w czerwonym polu. Kto nosi złote rauty w czerwonym polu?

Szukała przez chwilę w pamięci, ale bez skutku.

— Zobaczmy najpierw list — szepnęła.

I otworzywszy ostrożnie kopertę, żeby nie uszkodzić pieczęci, przeczytała:

„Pani, osoba, do której zwracałaś się o pomoc, mogłaby odwiedzić cię jutro wieczorem, jeśli będziesz miała ochotę otworzyć jej drzwi”

— Tylko tyle?

Hrabina znowu nateżyła pamięć.

— Pisałam do tylu osób — zastanowiła się. — Kto by to mógł być? Pomyślmy chwilę. Czy odpowiada mężczyzna, czy kobieta? Pismo nic nie mówi... charakter nieokreślony... prawdziwe pismo kancelisty. A styl? Styl protekcyjnalny... suchy; i oschły.

Powtórzyła:

„osoba, do której zwracałaś się o pomoc...”

— Jest w tym intencja upokorzenia. To na pewno kobieta. Czytała dalej:

„mogłaby odwiedzić cię jutro wieczorem, jeśli...”

— Kobieta powiedziałyby: „jutro wieczorem będzie czekać”... A więc to mężczyzna. A jednak te damy przyszły same, a przecież to wielkie damy. Brak podpisu... Kto ma dziewięć złotych rautów?

— Och, czy ja głowę straciłam? — krzyknęła. — Przecież to Rohanowie. Przebóg. Tak, pisałam do pana de Guéménée i do pana de Rohan. Jeden z nich mi odpowiada, to proste. Ale tarcza nie czwórzielna, to list kardynała. Ach, kardynał de Rohan, ten fircyk, ten kobieciarz, ten zarozumialec; przyjdzie zobaczyć panią de la Motte, o ile pani de la Motte otworzy mu drzwi. Dobrze, niech będzie spokojny, drzwi zostaną otwarte. I to kiedy? Jutro wieczorem.

Rozmarzyła się.

— Damę z dobroczynności, nawet jeśli daje sto luidorów, można przyjąć w norze na poddaszu; może marznąć na zimnej posadzce i cierpieć siedząc na moich krzesłach twardych jak ruszt świętego Wawrzyńca, wyjąwszy ogień. Ale księżę kościoła, łowca buduarowy, zdobywca serc. Nie, nie. Nędzy, którą odwiedzi podobny jałmużnik, przyda się więcej przepychu niż mają niektórzy bogacze.

I pragnąc swobodniej przemyśleć sprawę odprawiła służącą.

Pani Klotylda zakończyła słać łóżko, rozdmuchała ogień, przygaszony przedtem, żeby nadać izbie wygląd bardziej przygnębiający, i usunęła się na swój stryżek.

Joanna de Valois, zamiast iść spać, przez całą prawie noc układała plany. Przy słabym świetle nocnej lampki sporządzała rachunki i coś sobie ołówkiem notowała, aż wreszcie, spokojna o dzień jutrzejszy, zasnęła twardo około trzeciej nad ranem.

Służąca, która sama spała niewiele, wyrwała ją z błogiego — snu już o świcie. Około ósmej pani hrabina kończyła swą toaletę. W eleganckiej jedwabnej sukni, gustownie uczesana, obuta jak wielka dama a zarazem ładna kobieta, z muszką na lewym policzku, w rękawiczkach z długim haftowanym mankietem oczekiwała na sprowadzenie z ulicy Pont-aux-Choux, gdzie miały postój tego rodzaju środki lokomocji, czegoś w rodzaju lektyki na dwóch kółkach. Wolałaby wprowadzić zwykłą lektykę niesioną przez ludzi, ale trzeba by po nią posyłać zbyt daleko.

Silny Owemijczyk, który ciągnął tę dwukólkę, otrzymał polecenie wysadzenia pani hrabiny na placu Królewskim, gdzie pod arkadami południowymi, na parterze starego, opuszczonego pałacu rezydował mistrz Fingret, tapicer dekorator, prowadzący skład mebli używanych, na sprzedaż lub do wynajęcia po cenach najbardziej przystępnych.

Z ulicy Saint–Claude na Place Royale nie było daleko. Owemijczyk pędził ze swoją klientką szybko i w dziesięć minut od wyjścia z domu hrabina znalazła się w magazynie mistrza Fingret.

XIV. MISTRZ FINGRET

Spróbujmy sobie wyobrazić szopę długości pięćdziesięciu stóp, szeroką na stóp trzydzieści, a wysoką na siedemnaście. Na ścianach zawieszono wszelkiego rodzaju obicia i szpalery od czasów Henryka IV i Ludwika XIII, sufit zakryty mnóstwem zwisających i potrącających się przedmiotów — świeczników i żyrandoli z XVII wieku, lamp kościelnych, ryb latających i wypchanych jaszczurek, podłogę zastawioną i zatłoczoną sprzętem najrozmaitszym, nęcącym oczy i wyobraźnię niezamożnych.

Stare, masywne meble o kwadratowych podstawach, zdobione toczonymi, kręconymi kolumnami, dębowe, rzeźbione kredensy, szafy hebanowe z brązowymi okuciami, konsolki w stylu Ludwika XV, na złożonych nóżkach, stoły Boule'a inkrustowane emalią lub porcelaną, stoliki do gry, ozdobne toaletki, komódki intarsjowane w instrumenty lub kwiaty; łoża na podestach i z baldachimami, dębowe lub z drzewa różanego, sofy obite różowym adamaszkiem albo aksamitem utrechtskim, leżanki, obszerne fotele pokryte wytłaczaną skórą, dywany, maty, firanki, klawikordy, szpinety, harfy, szpady, lichtarze, odzież męska i kobieca, wszelkiego gatunku bielizna, portrety, ryciny, rysunki, a między innymi liczne naśladowstwa Verneta, tego modnego podówczas Verneta, o którym królowa wyraziła się tak ładnie i dowcipnie: „Doprawdy, panie Vernet, nikt poza tobą we Francji nie może stworzyć deszczu ani pogody.

Wszystko przemieszane razem, wszystko w nieładzie, wszystko używane, jak to uczciwie zapowiadał szyld, ale jako całość przedstawiające wartość daleko większą niż mogliby żądać najwybredniejsi nabywcy.

Pani de la Motte, nasyciwszy wzrok widokiem tych bogactw, teraz dopiero pojęła, czego jej brak przy ulicy Saint-Claude.

Brakowało jej salonu na wstawienie sofy, foteli i berżerki, nie miała jadalni z kredensem, pomocnikami i etażerkami ani buduaru z perskimi firankami, gerydonikami i ekranami. Ale przede wszystkim nie miała pieniędzy na ten salon, jadalnię i buduar ani też na meble, które miałyby umieścić w tym nowym apartamencie.

Jednakże z meblarzami paryskimi łatwo zawierało się transakcje we wszystkich epokach i nigdy nie słyszeliśmy, żeby młoda i ładna kobieta odeszła z niczym od progu drzwi, których nie potrafiła sobie otworzyć. W Paryżu, czego się nie da kupić, można zawsze wynająć — to właśnie lokatorzy pokoi umeblowanych ukuli przysłowie: „Widzieć, to znaczy mieć.”

Pani de la Motte, licząc na wypożyczenie i obliczając środki, wybrała sobie pewien komplet obity jaskrawożółtym jedwabiem, który podobał się jej na pierwszy rzut oka. Sama była brunetką. Ale garnitur ten, złożony z dziesięciu sztuk, nie zmieściłby się nigdy na piątym piętrze przy ulicy Saint-Claude. Żeby urządzić się jako tako, należałoby wynająć trzecie piętro, obejmujące przedpokój, salę jadalną, mały salonik i sypialnię. Można by wówczas na piętrze trzecim przyjmować wsparcie od kardynałów, a na górze — z towarzystwa dobroczynności, innymi słowy wśród zbytku brać jałmużnę od osób miłosiernych na pokaz, a wśród nędzy datki ludzi przesądnych, którzy nie lubią dawać bez widocznej potrzeby.

Powziąwszy taką decyzję hrabina skierowała się ku ciemniejszej części magazynu, w stronę bogactw przedstawiających się najokazalej, w stronę kryształów, złocień i luster. Zobaczyła tam postać typowego paryskiego mieszczucha, który, włożywszy czapkę pod pachę i obracając klucz na połączonych paznokciami palcach wskazujących obu rąk, przyglądał się jej z miną trochę zniecierpliwioną i lekko drwiącym uśmiechem. Owym godnym inspektorem okazyjnego kupna był sam pan Fingret, któremu subiektci donieśli już o wizycie pięknej damy przybyłej w lektyce.

Na dziedzińcu można było zobaczyć tychże subiektów ubranych kuso w kamlot i grube sukno, z łydkami świecącymi przez dziury w pończochach. Zajęci byli naprawą sprzętów, a raczej fabrykowaniem ze szczątków starych gratów nowych mebli, które tak zachwyciły panią de la Motte.

Pan Fingret doszedł do wniosku, że klientka jego, obserwując owe zabiegi, mogłaby oszacować towary mniej korzystnie dla jego interesów, zamknął więc oszklone drzwi na podwórze pod pozorem, że kurz mógłby zaszkodzić oczom pani...

Na wyrazie „pani” zatrzymał się. Był to znak zapytania.

— Pani hrabina de la Motte Valois — odpowiedziała niedbale Joanna.

Usłyszawszy pięknie brzmiący tytuł pan Fingret schował klucz do kieszeni i przybliżył się.

— Och — powiedział — tu nie ma nic takiego, co mogłoby odpowiadać wielmożnej pani. Mam rzeczy nowe, piękne, wspaniałe. Niech pani hrabina nie wyobraża sobie, chociaż to tylko Place Royal, że firma Fingret nie posiada mebli równie dobrych jak u tapicera królewskiego. Zostawmy to wszystko, jeśli łaska, i przejdźmy do drugiego składu.

Joanna zaczerwieniła się. Wszystko, co tu widziała, wydawało się jej bardzo piękne, tak piękne, że nie miała nawet nadziei na kupno. Pogłaskana, oczywiście, przychylną opinią pana Fingret obawiała się, żeby nie ocenił jej za wysoko. Przeklinała swą pychę i żałowała, że nie przedstawiła się jako zwykła mieszczka. Ale umysł sprytny i z błędu potrafi wyciągnąć korzyści.

— Nie, nie chcę nowych — powiedziała.

— Pani hrabina mebluje zapewne mieszkanie dla znajomych.

— Tak, masz pan słuszność, mieszkanie dla przyjaciół. I sam pan rozumiesz...

— Doskonale. Co pani zechce wybrać — odpowiedział Fingret, chytry jak każdy kupiec paryski, którego miłości własnej obojętne jest, czy sprzedaje rzeczy stare czy nowe, byleby na jednych zarobić tyle, co na drugich.

— Ten mały żółty komplet; na przykład — zapytała hrabina.

— Och, ale to drobiazg, pani, tylko dziesięć sztuk.

— Pokój jest niewielki — zauważyła Joanna.

— To jest zupełnie nowe, jak pani raczy przyznać.

— Nowe... Po przeróbce.

— Niewątpliwie — rzekł pan Fingret śmiejąc się. — Ale w końcu, takie, jakie jest, warte jest osiemset liwrów.

Cena ta wstrząsnęła hrabiną. Jak przyznać się, że ona, dziedziczka Walezjuszów, nie tylko zadowolona się meblami używanymi, ale nie może zapłacić ośmiuset liwrów. Postanowiła udać zły humor.

— A któż tu mówi o kupnie — zawołała. — Skąd panu przyszło, że ja bym kupowała taką starzyznę? Chodzi po prostu o wynajęcie i to jeszcze...

Fingret skrzywił się, klientka traciła w jego oczach. Nie chodziło już ani o meble nowe, ani nawet o sprzedaż starych, tylko o wypożyczenie.

— Pani chciałaby te żółte meble, czy na rok?

— Nie, tylko na miesiąc, dla przybysza z prowincji.

— Sto franków na miesiąc — powiedział mistrz Fingret.

— Żartujesz pan chyba, za tę sumę po ośmiu miesiącach meble byłyby moje.

— Słusznie, pani hrabino, ale gdyby pani kupiła, nie byłyby moje i nie musiałbym ich naprawiać ani odświeżać. To wszystko kosztuje.

Pani de la Motte zastanowiła się.

— Sto liwrów na miesiąc — pomyślała — to drogo, ale przemyślmy: albo po miesiącu zwrócę meble zyskując na opinii u tapicera, albo będę mogła w ciągu miesiąca zamówić sobie nowe

umeblowanie. Miałam zamiar wydać pięćset do sześciuset liwrów, pozwólmy sobie na gest, wyłożmy sto talarów.

— Biorę — powiedziała głośno — do salonu te meble w jaskry, razem z podobnym kompletem firanek.

— Tak jest, pani.

— A dywany?

— Proszę bardzo.

— A co mi pan da do drugiego pokoju?

— Te oto zielone ławeczki, dużą dębową szafę, ten stół na kręconych nogach, zielone adamaszkowe zasłony.

— Dobrze, a do sypialni?

— Szerokie i piękne łóżko, śliczną pościel, różową aksamitną kapę, błękitne firanki, przybory do ognia trochę staroświeckie, ale bogato złożone.

— Powłoka?

— Z brabanckimi koronkami, proszę tylko zobaczyć. Komódka delikatnej roboty i także szyfonierka, kanapka i fotele obite tkaniną, elegancki gamitur” kominkowy z sypialni pani de Pompadour w Choisy.

— Za jaką cenę to wszystko?

— Czteryście liwrów na miesiąc.

— Panie Fingret, proszę mnie nie brać za gryztkę. Osoby mojego stanu nie olśni pan gałgankami. Zastanów się pan, jeśli łaska, że czterysta liwrów na miesiąc daje cztery tysiące osiemset liwrów rocznie, a za tę cenę mogłabym wynająć pałacyk całkowicie urządzoney.

Mistrz Fingret podrapał się za uchem.

— Obrzydzasz mi pan Plac Królewski — kontynuowała hrabina.

— Byłbym zrozpaczony, pani.

— No, to daj dowód. Płacę za całe umeblowanie sto talarów.

Ostatnie słowa Joanna wygłosiła tak władczo, że kupiec pomyślał o możliwościach na przyszłość.

— Niechże będzie, proszę pani.

— Ale z warunkiem, panie Fingret, że wszystko będzie do godziny trzeciej po południu dostawione i ustawione w apartamencie, który wskażę.

— Już jest dziesiąta, proszę pani, niechże to pani weźmie łaskawie pod uwagę, bije dziesiąta.

— Tak, czy nie?

— A dokąd zawieźć, pani?

— Do Marais, ulica św. Klaudiusza.

— To dwa kroki.

Tapicer otworzył drzwi na dziedziniec i zawołał: „Sylvain, Rémy, Landry!” Trzech czeladników, zachwyconych, że mają pretekst do porzucenia roboty i przyjrzenia się pięknej damie, przybiegło natychmiast.

— Do wózków, panowie, za tragi. Rémy, pakuj komplet w jaskry. Sylvain, przedpokój na wózek. A ty, jesteś najstaranniejszy, weź się do sypialnego.

— Może zrobimy rachunek i jeśli pani pozwoli, pokwituję.

— Oto sześć luidorów podwójnych i jeden pojedynczy, poproszę o resztę.

— Służę pani, dwa talary sześcioliwrowe.

— Jeden dostaną ci ichmościowie, jeżeli sprawią się dobrze — dorzuciła hrabina.

I podawszy adres wróciła do lektyki.

W godzinę potem mieszkanie na trzecim piętrze było już wynajęte, a nie minęły dwie godziny, kiedy przystąpiono do meblowania i dekorowania jednocześnie salonu, przedpokoju i sypialni.

Kiedy mieszkanie zostało już urządzone i uprzątnięte, a kominki płonęły ogniem, Joanna zasiadła do toalety, rozkoszując się przez dwie godziny szczęściem. Szczęściem stapania po miękkich kobiercach, oddychania ciepłą atmosferą dobrze wymoszczonego pokoju, wdychania zapachu lewkonii umieszczonych w japońskich wazonach.

Mistrz Fingret nie zapomniał o złożonych kandelabrach — po obu stronach luster, w jarzącym blasku świec, kryształowe świeczniki mieniły się wszystkimi kolorami tęczy.

Ogień, kwiaty, wonności, jarzące światło świec woskowych, wszystkiego tego użyła Joanna na upiększenie raju przeznaczonego dla Jego Eminencji.

Dołożyła nawet starań, żeby kokieteryjnie uchylone drzwi od sypialni pozwalały dojrzeć łagodny i czerwony płomień, w odbłaskach którego połyskiwały meble oraz lśnił podnózek kominka pani de Pompadour — głowy chimery, na których markiza opierała kiedyś swą śliczną stopkę.

Na tym nie kończyła się jeszcze zalotność Joanny. Ubrała się w sposób tak wyszukany, że pan de la Motte, jej nieobecny mąż, żądałby na pewno wyjaśnień. Kobieta godna była apartamentu i mebli mistrza Fingret.

Spożywszy posiłek, umyślnie lekki, żeby zachować całą przytomność umysłu oraz wytworną bladłość, Joanna rozsiadła się w wygodnej berzerce przy kominku w sypialni. Z książką w ręku, z nóżkami na taborecie nadśluchiwała tykania zegara, a równocześnie oddalonego turkotu powozów, które z rzadka zakłócały ciszę ustronia.

Czekała. Zegar wybił dziewiątą, dziesiątą, jedenastą, nikt się nie zjawił ani powozem, ani piechotą.

Jedenasta godzina, to przecież godzina szarmanckich prałatów, którzy, podsyciwszy swoją łaskawość wieczerzą w pałacu i mając tylko dwadzieścia kroków na ulicę Saint-Claude, przyklaskują własnej humanitarości, filantropii i cnocie przy tak małym zachodzie.

Ponuro wybiła północ, ani prałata, ani powozu. Świece poczęły gasnąć, ogień, długo podsycany, zgasł również. W pokojach panował afrykański upał. Stara służąca narzekała, bo zdrzemnąwszy się przy świecy osmalila wstęgi nowego czepca.

O wpół do pierwszej Joanna rozwścieczona zerwała się z fotela, po raz setny tego wieczoru otworzyła okno i badała wzrokiem mroczną głąb ulicy. Było cicho i pusto.

Rozebrała się, odmówiła kolacji, odprawiła służącą, której paplanina drażniła ją, i sama w swym pysznym łóżku, wśród jedwabi, za pięknymi zasłonami długo nie mogła usnąć, jak wczoraj. Wczoraj bezsenność jej była bardziej szczęśliwa, rodziła się z nadziei. W końcu jednak, wierząc się niespokojnie i wyrzekając na los, Joanna znalazła dla kardynała wymówkę.

Po pierwsze, że kardynał, wielki jałmużnik, ma tysiące spraw kłopotliwych, a więc ważniejszych niż jakaś wizyta przy ulicy Saint-Claude. Po drugie, a było to bardzo pocieszające, że przecież nie zna jeszcze tej niebogi, hrabiny de Valois. Och, tak, Joanna byłaby dopiero niepokieszona, gdyby pan de Rohan nie dotrzymał słowa po pierwszej wizycie.

Ta ostatnia racja wymagała jednak dowodu. Joanna nie wytrzymała, wyskoczyła z łóżka, zapaliła świecę i długo przyglądała się sobie w lustrze. Wreszcie zaśmiała się, zgasła świecę i uspokojona położyła się z powrotem. Dowód był wystarczający.

XV KARDYNAŁ DE ROHAN

Nazajutrz Joanna, nie upadając na duchu, zajęła się od nowa przystrajaniem apartamentu i własnej osoby. Lustró powieziało jej, że pan de Rohan nadejdzie, byleby tylko coś o niej usłyszał.

Kiedy wybiła siódma i ogień na kominku w salonie płaął w całej okazałości, u wjazdu w ulicę Saint-Claude dał się słyszeć turkot powozu. Joanna nie miała jeszcze czasu zniecierpliwie się i wyglądać oknem.

Z karety wysiadł mężczyzna w obszernym redyngocie, a kiedy drzwi domu za nim się zamknęły, pojazd skręcił w boczną uliczkę w oczekiwaniu na powrót właściciela. Wkrótce zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych.

Pani de la Motte poczuła gwałtowne bicie serca, ale zawstydzona tym nierozsądnym wzruszeniem nakazała sobie spokój, poprawiła troskliwie serwetkę na stole, ułożyła na klawikordzie nowe nuty i położyła gazetę na parapecie kominka. Po kilku sekundach Klotylda oznajmiła pani hrabinie:

— Osoba, która pisała przedwczoraj.

— Prosić — odpowiedziała Joanna.

Usłyszała lekkie kroki, głośne skrzywienie pantofli i ujrzała postać okazałą, przyodzianą w jedwab i aksamity, dzierzącą dumnie głowę i wydającą się ogromną na dziesięć stóp w tym maleńkim pomieszczeniu. Joanna wstała na powitanie, ale, uderzona nieprzyjemnie zachowaniem przez przybyłego incognito, postanowiła wykorzystać swą przewagę kobiety.

— Z kim mam zaszczyt mówić? — odezwała się z ukłonem nie protegowanej, lecz protektorki.

Książę spojrział na drzwi, za którymi zniknęła służąca.

— Jestem kardynał de Rohan — oświadczył.

Na te słowa pani de la Motte zarumieniła się, udając onieśmienie, złożyła dyg unizony, jakby witała króla.

Następnie podsunęła fotel i sama, zamiast usiąść na krześle, jakby tego wymagała etykieta, zajęła miejsce w wygodnym fotelu. Kardynał, widząc, że może czuć się swobodnie, położył kapelusza na stole i patrząc Joannie prosto w oczy zapytał:

— A więc, czy prawdą jest, panno...

— Pani — poprawiła Joanna.

— Przepraszam, zapomniałem... A więc, czy prawdą jest, pani...

— Mąż mój nazywa się hrabia de la Motte, Eminencjo.

— Doskonale, doskonale, gwardzista królewski czy też może królowej.

— Tak jest, Eminencjo.

— A pani jest — zapytał — z domu Valois?

— Tak, Eminencjo, Valois.

— Świetne nazwisko — powiedział kardynał zakładając nogę na nogę — rzadkie nazwisko, wygasłe.

Joanna zrozumiała wątpliwości kardynała.

— Wygasłe? — odpowiedziała. — Nie, Eminencjo, ponieważ ja je noszę i mam brata barona de Valois.

— Uznanego?

— Nie ma potrzeby uznawania go, Wasza Dostojność, mój brat może być bogaty lub ubogi, ale pozostanie zawsze tym, kim jest — baronem de Valois.

— Zechciej, pani, opowiedzieć mi coś o swym pochodzeniu, bardzo proszę. To mnie interesuje, lubię heraldykę.

Joanna opowiedziała pokrótce i od niechcienia swoją historię. Kardynał słuchał i przyglądał się jej nie zadając sobie trudu, by ukryć wrażenie. Nie wierzył ani w zasługi, ani w morale Joanny, widział, że jest ładna i biedna, patrzył na nią, to dosyć.

Joanna, której uwagi nic nie uchodziło, odgadywała nieprzychylne myśli swego przyszłego protektora.

— A zatem — odezwał się beztrasko pan de Rohan — byłaś pani istotnie nieszczęśliwa.

— Nie skarzę się, Wasza Dostojność.

— Zaiste, bardzo mi przesadzono, mówiąc o pani trudnym położeniu — powiedział kardynał rozglądając się. — Mieszkanko ma pani wygodne i urządzone przyjemnie.

— Dla gryzетки, bez wątplenia — zaoponowała szorstko Joanna, chcąc przejść nareszcie do rzeczy. — Tak, Eminencjo.

Kardynał obruszył się.

— Jak to? — zapytał. — I pani nazywasz te meble sprzętami gryzетки?

— No, nie sędzę, Eminencjo, żebyś mógł je pan nazwać meblami księżniczki.

— A pani jesteś księżniczką — zauważył z tą niedostrzegalną ironią, która jedynie w ustach ludzi wybitnego umysłu lub znakomitego rodu nie nabiera cech wyraźnej impertynencji.

— Wiem tylko tyle, Eminencjo, że pochodzę z domu Walezycy, jak pan z Rohanów.

Słowa te wypowiedziane były łagodnie, z godnością nieszczęścia, które się buntuje, z godnością kobiety, która czuje się zapoznana, ich ton i powaga nie mogły obrazić księcia, s wzruszyły mężczyznę.

— Pani — rzekł — zapomniałem, że powinienem był najpierw wytłumaczyć się. Miałem przyjść wczoraj, ale wypadły mi sprawy w Wersalu, przyjęcie pana de Suffren. Zmuszony byłem odłożyć przyjemność wizyty u pani.

— Wasza Dostojność czyni mi i tak wiele zaszczytu, racząc pamiętać o mnie dzisiaj i mój małżonek, pan hrabia de la Motte, tym bardziej ubolewać będzie nad swoim wygnaniem, gdzie trzyma go nędza, ponieważ wygnanie to nie pozwala mu być przytomnym tak świetnej wizycie.

Słowo małżonek zwróciło uwagę kardynała.

— Pani mieszka sama? — zapytał.

— Zupełnie sama, Eminencjo.

— Miło to, jak na kobietę młodą i piękną.

— To oczywiste, Eminencjo, jak na kobietę, którą ubóstwo odstręcza od jedyne go, stosownego dla niej towarzystwa.

Kardynał zamilkł.

— Wydaje się — odezwał się po chwili — że heraldycy nie kwestionują pani genealogii?

— Cóż mi z tego przyjdzie? — powiedziała pogardliwie Joanna poprawiając wdzięcznym ruchem drobno zwinięte i upudrowane loczki przy skroniach.

Kardynał podsunął się z fotelem w stronę kominka.

— Pani — rzekł — chciałbym wiedzieć i powinienem wiedzieć, w czym mogę jej być użytecznym.

— Ależ w niczym, Eminencjo.

— Jak to w niczym?

— Wasza Eminencja, naprawdę, czyni mi zbyt wiele zaszczytu.

— Mówmy szczerze.

— Szczerzej już nie potrafię, Wasza Dostojność.
— Przed chwilą skarżyłaś się pani — powiedział kardynał rozglądając się, jakby chciał przypomnieć Joannie, co mówiła o meblach gryzетки.
— Owszem, skarżyłam się.
— A więc?
— Widzę, że Wasza Eminencja chce mnie obdarzyć jałmużną; otóż ja brałam jałmużnę, ale więcej przyjmować nie będę.
— Co to znaczy?
— Eminencjo, od pewnego czasu dość już znosiłam upokorzeń, dłużej tego wytrzymać niepodobna.
— Pani nadużywasz słów. Nieszczęście człowieka nie hańbi.
— Nawet z moim nazwiskiem? Proszę. Czy pan by żebrał, Jaśnie Oświecony ksiązę de Rohan?
— Nie mówię o sobie — odpowiedział kardynał wyniośle, ale z oznakami zakłopotania.
— Wasza Przewielebność, znam tylko dwa sposoby prośnienia o jałmużnę: w karcie albo na progu kościoła, w złocie i jedwabiach albo w łachmanach. Tak. Teraz już nie spodziewałam się zaszczytu tej wizyty, myślałam, że zostałam zapomniana.
— Ach, więc pani wiedziałaś, kto pisał — rzekł kardynał.
— Czyż nie widziałam pańskiego herbu na pieczęcie listu, który miałam zaszczyt otrzymać?
— A jednak udawałaś, pani, że mnie nie poznajesz.
— Bo nie raczyłeś się pan przedstawić.
— Dobrze, podoba mi się ta duma — rzekł żywo kardynał patrząc z widocznym upodobaniem w błyszczące oczy Joanny.
— Mówiłam więc — kontynuowała — że, zanim pan się zjawił, postanowiłam zrzucić ten nieszczęsny płaszcz osłaniający moją nędzę, okrywający nagość mojego nazwiska i w łachmanach, jak każda żebraczka chrześcijańska, prosić o kęs chleba. Prosić nie pyszałków, lecz miłosiernych przechodniów.
— Mam nadzieję, że nie jesteś pani u kresu środków? Joanna nie odpowiedziała.
— Masz pani chyba jakieś dobra, choćby nawet obdłużone, jakieś klejnoty rodzinne, jak ten na przykład?
Wskazał na pudełeczko, którym bawiły się białe, delikatne palce młodej kobiety.
— To? — zapytała.
— Oryginalne puzderko, na honor. Proszę pokazać.
— Ach, portret — rzekł. I nagle uczynił gest zdziwienia.
— Wasza Dostojność zna oryginał tego portretu? — zapytała Joanna.
— To jest Maria Teresa, cesarzowa.
— Doprawdy? — zawołała Joanna. — Czy pan się nie myli, Eminencjo?
Kardynał przyglądał się pilnie pudełeczku.
— Skąd to pani masz?
— Od damy, która przychodziła tu przedwczoraj.
— Była tu u pani pewna dama?
Kardynał przyjrzał się pudełku ze zwiększoną uwagą.
— Pomyliłam się, Eminencjo, były dwie damy — oświadczyła hrabina.
— I jedna z tych pań dała pani to pudełeczko? — zapytał z niedowierzaniem.
— Nie, nie dała mi. Po prostu zapomniała go u mnie. Kardynał zamyślił się tak głęboko, aż zaintrygowało to hrabinę. Postanowiła mieć się na baczności.

— A jak się nazywa ta dama? — zapytał kardynał podnosząc głowę i przyglądając się wyczekująco hrabinie. — Zechce mi pani wybaczyć to pytanie. Jestem zawstydzony, że zachowuję się jak sędzia.

— Istotnie, Eminencjo, pytanie jest dziwne...

— Niedyskretne, być może, ale dziwne...

— Dziwne, powtarzam. Gdybym znała tę damę, która zostawiła puzderko, odesłałabym jej w tej chwili. Jest zapewne do tego przywiązana i nie chciałabym odpłacać jej za miłą wizytę czterdziestoosmiodzinnym niepokojem.

— A więc pani jej nie zna?

— Nie, wiem tylko, że jest przełożoną zakładu dobroczynności.

— W Paryżu?

— Nie, w Wersalu.

— W Wersalu... przełożona zakładu dobroczynności?

— Wasza Przewielebność, kobiety ubogiej nie poniża przyjęcie wsparcia od kobiet, a dama ta, której naświetlono współczująco moje położenie, w czasie odwiedzin u mnie pozostawiła mi na kominku sto luidorów.

— Sto luidorów — zawołał zdumiony kardynał. Spozrzegłszy jednak, że mógł zranic wrażliwość Joanny, która rzeczywiście poruszyła się dotknięta, dodał:

— Przepraszam panią. Nie to mnie dziwi, że pani otrzymałaś tę sumę, przeciwnie, zasługujesz, pani, na troskliwą opiekę ludzi miłosiernych, a pani urodzenie nakazuje im wprost przyjść ci z pomocą. Dziwi mnie tylko tytuł damy z dobroczynności. Panie te udzielają zazwyczaj znacznie mniejszych zasiłków. Czy mogłabyś mi, hrabino, opisać tę damę?

— Nie będzie to łatwe, Eminencjo — odpowiedziała Joanna pragnąc zaostrzyć ciekawość swego rozmówcy.

— Jak to nie łatwe? Przecież ona tu była.

— No tak. Ale widocznie nie chciała być poznaną i osłaniała twarz dość szeroką woalką, prócz tego otulona była w futro. Jednakże...

— Jednakże — powtórzył kardynał. Hrabina udawała, że sobie przypomina.

— Wydaje mi się, że widziałam... ale nie jestem pewna, Eminencjo.

— Co pani widziałaś?

— Niebieskie oczy.

— A usta?

— Małe, chociaż wargi miała dość mięsiste, zwłaszcza dolną.

— Wysoka, czy średniego wzrostu?

— Raczej średniego.

— Ręce?

— Prześliczne.

— Szyja?

— Długa i szczupła.

— Wymowa?

— Jakby zacinała się trochę. Ale pan, zdaje się, znasz tę damę, Eminencjo.

— Skądże mogę ją znać, pani hrabino? — zapytał żywo prałat.

— No, sądzą po sposobie zadawania pytań przez Waszą Dostojność... a może przez sympatię, jaką żywią do siebie wszystkie osoby zajmujące się dobroczynnością.

— Nie, pani, nie znam jej.

— A może, Wasza Dostojność, masz jakieś podejrzenia?

— Z jakiej racji?

— No, na przykład, podsunięte przez ten portrecik.

— Ach tak — odpowiedział z pośpiechem kardynał przestraszony, czy nie wzbudził zanadto podejrzeń. — Słusznie, ten portrecik...

— No właśnie, ten portrecik?

— Nadal wydaje mi się, że jest to portret...

— Cesarzowej Marii Teresy?

— Chyba tak.

— I cóż pan myślisz?

— Myślę, że miałaś pani wizytę jakiejś damy niemieckiej, jednej z tych, które założyły stowarzyszenie dobroczynności.

— W Wersalu?

— Tak, pani, w Wersalu.

Kardynał zamilkł, ale widać było, że nie pozbył się wątpliwości, że obecność tego pudełeczka w domu hrabiny odnowiła jego nieufność. Joanna nie zdawała sobie, oczywiście, sprawy, z toku rozmyślań kardynała, rozmyślań tak widocznie dla niej nieprzychylnych, a zakończonych podejrzeniem, że zastawiono nań po prostu sidła.

Zainteresowanie kardynała sprawami królowej nie było przecież tajemnicą dla dworu i wspominaliśmy już o wysiłkach niektórych wrogów w podsycaniu nieprzyjaźni między królową a wielkim jałmużnikiem.

Jakim sposobem znalazł się w rękach Joanny ów portret Marii Teresy, to pudełeczko, które kardynał widział tyle razy w rękach Marii Antoniny? Czy rzeczywiście królowa sama przychodziła odwiedzić żebraczkę w tym ubogim mieszkaniu, a jeśli przychodziła, czy Joanna mogła jej nie poznać? Z jakiego powodu miałyby zatajać zaszczyt, który ją spotkał?

Kardynał nie dowierzał. Nie dowierzał już wczoraj. Nazwisko Walezjuszków nakazywało mu zachować ostrożność, a teraz, okazało się, że nie chodzi już o nędzarkę, ale o księżniczkę, którą wspomaga królowa, a nawet przynosi jej wsparcie osobiście. Czyżby Maria Antonina była do tego stopnia miłosierną?

Daremnie usiłując przeniknąć myśli kardynała Joanna nie spuszczała go z oczu i uwagi jej nie uszły objawy jego uczuć. Siedziała jak na torturach. Bo też dla sumienia obciążonego obłudą nie ma większej męczarni niż powątpiewanie osoby, które chciałoby się przekonać o własnej szczerości.

Milczenie stawało się nieznośne i kardynał je przerwał.

— A może przyjrzałaś się pani towarzysze swej dobrodziejki? Czy mogłabyś powiedzieć mi, jak wyglądała?

— O tak, tę widziałam bardzo dobrze Wysoka, przystojna, o pełnych kształtach, ślicznej cerze i stanowczym wyrazie twarzy.

— A czy druga dama nie wymieniała jej nazwiska?

— Owszem, raz się do niej zwracała, ale tylko po imieniu.

— A jakże miała na imię?

— Andrea.

— Andrea? — zawołał kardynał i drgnął.

I ten ruch nie uszedł uwagi hrabiny de la Motte.

Kardynał miał teraz pewność, imię Andrei rozproszyło jego wątpliwości. Wiadomo było, że królowa jeździła wczoraj do Paryża z panną de Taverney. Po Wersalu krążyła historyjka o jej spóźnieniu, o zamkniętych drzwiach i o kłótni małżeńskiej między parą królewską.

Kardynał odetchnął: przy ulicy św. Klaudiusza nie było ani spisku, ani zasadzki. Pani de la Motte wydała mu się piękna i czysta jak anioł bezgrzeszny. Należało jednak dokonać jeszcze jednej próby. Księżę był dyplomata.

— Hrabino — rzekł — jedna rzecz, przyznam, dziwi mnie mocno.

— Co takiego, Wasza Dostojność?

— Dlaczego przy swoim nazwisku i uprawnieniach nie zwróciłaś się pani do króla?

— Ależ, Eminencjo, wysłałam do króla dwadzieścia podań, dwadzieścia próśb.

— I bez skutku?

— Bez skutku.

— Ależ poza królem każdy z książąt królewskiego domu przyjąłby pani skargę. Księżę Orleański, na przykład, pan miłosierny, a w dodatku lubi często zrobić coś takiego, czego król nie zrobił.

— Udawałam się do Jego Wysokości księcia Orleańskiego, Eminencjo, ale daremnie.

— Daremnie, to mnie dziwi. Ale jest jeszcze pan hrabia d'Artois. Ludzie lekkomyślni miewają niekiedy szlachetniejsze gesty niż filantropi.

— Z Jego Wielmożnością panem hrabią d'Artois było to samo, co z księciem Orleańskim i z Jego Królewską Mością.

— Ale są jeszcze panie, ciotki królewskie, jest Jej Miłość siostra króla, nie mogę uwierzyć, żeby księżniczka Elżbieta miała serce nieczułe.

— To prawda, Eminencjo. Jej Królewska Wysokość na moje prośby obiecała, że raczy mnie przyjąć. I nie wiem, co, się stało, po przyjęciu mojego męża nie chciała już, mimo nalegań z mej strony, udzielić żadnej odpowiedzi.

— To, naprawdę, dziwne — rzekł kardynał.

Nagle, jakby ta myśl dopiero mu przysłała do głowy, zawołał:

— Ależ, na Boga, zapomnieliśmy.

— O czym, Wasza Dostojność?

— O osobie, do której powinnaś była pani zgłosić się w pierwszym rzędzie.

— Do kogo miałam się zgłosić?

— Do szafarki łask, do tej, która nigdy nie odmówiła nikomu zasłużonej pomocy, do królowej; czy widziałaś ją, pani?

— Nigdy — odpowiedziała Joanna z niezachwianą prostotą.

— Jak to, nie zanosilaś, pani, próśb do Jej Królewskiej Mości, nie starałaś się uzyskać audiencji?

— Staralam się, ale mi się nie udało.

— Doprawdy, mówisz pani rzeczy trudne do uwierzenia.

— A jednak, naprawdę. Byłam w Wersalu tylko dwa razy i widziałam tylko dwie osoby: pana doktora Louis, który opiekował się moim nieszczęsnym ojcem w szpitalu, i pana barona de Taverney, do którego miałam polecenie.

— I cóż powiedział baron? On mógł przecież z łatwością zaprowadzić panią do królowej.

— Powiedział mi, że jestem bardzo niezręczna.

— Jak to?

— Domagając się łask królewskich z tytułu pokrewieństwa, co nie może, oczywiście, podobać się Jej Królewskiej Mości, jako że ubodzy krewni nigdy się nie podobają.

— Tak, to typowy baron — egoista i brutal — zauważył księżę.

I przypomniawszy sobie wizytę Andrei u hrabiny zastanowił się:

Dziwna rzecz, ojciec odprawia petentkę, a królowa sprowadza do niej jego córkę. Coś z tej sprzeczności musi przecież wynikać.

— Słowo szlacheckie — dodał głośno — nie mogę wyjść z podziwu, że pani, osoba z najlepszej sfery, nie widziała dotąd ani króla, ani królowej.

— Owszem, na portretach — uśmiechnęła się Joanna.

— No dobrze — zawołał kardynał, pokonany ostatecznie szczerością i niezaradnością hrabiny — jeśli trzeba będzie, sam zawiozę panią do Wersalu i postaram się otworzyć przed panią wszystkie drzwi.

— O, Eminencjo, tyle łaski! — rozpromieniła się Joanna. Kardynał przysiadł się bliżej.

— To przecież niemożliwe — powiedział — żeby w najbliższym czasie nie zainteresowano się pani osobą.

— Niestety, Wasza Wielbność — hrabina czarująco westchnęła — zdaje się, że pan mi pochlebiasz.

I spojrzała na niego z lekką kokieterią.

Istotnie ta nagła zmiana mogła zadziwić hrabinę, którą jeszcze przed dziesięcioma minutami kardynał traktował z prawdziwie książęcym lekceważeniem. Z kolei spojrzenie Joanny roznieciło w nim płomień ambicji czy pożądania, mniejsza o to.

Książę Rohan znał się na kobietach i musiał przyznać, że równie ujmujących widział niewiele.

— Na honor — pomyślał z wyrachowaniem właściwym ludziom wychowanym w dworskiej dyplomacji — na honor, byłby to traf i zbyt niezwykły, i zbyt szczęśliwy, gdybym znalazł w jednej osobie uczciwą kobietę pod pozorami przebiegłości i wśród nędzy potężną protektorkę.

— Wasza Wielbność — przerwała kusicielka — momenty pańskiego milczenia niepokoją mnie, proszę wybaczyć mi szczerość.

— Dlaczego, hrabino?

— Bo, Mości Książę, człowiek pańskiego pokroju zapomina o uprzejmości tylko względem dwojakiego rodzaju kobiet.

— Mój Boże, co to ma znaczyć? Daję słowo, przerażasz mnie pani.

— Powtarzam, względem kobiet dwojakiego rodzaju: tych, które się zanadto kocha, albo tych, które się nie dość szanuje.

Kardynał chwycił Joannę za rękę.

— Hrabino, hrabino, każesz mi się pani rumienić. Czyżbym pani w czymś uchybił? To byłoby okropne.

— Wasza Dostojność nie możesz mnie zanadto kochać, a jak dotychczas nie dałam jeszcze powodu, żeby mnie nie szanować.

— O, pani, tak mówisz, jakbyś się na mnie gniewała.

— Nie, książę, jeszcze na mój gniew nie zasłużyłeś.

— I nie zasłuży, hrabino, poczynając od dnia, kiedy miałem przyjemność panią zobaczyć i poznać.

— Och, lusterko moje, lusterko — pomyślała Joanna.

— I od tego dnia — mówił dalej kardynał, przytrzymując oburącz dłoń hrabiny — może pani być pewna mej troskliwości.

— Och, zostawmy to, Eminencjo! — hrabina nie starała się wyswobodzić ręki. — Proszę mi nie mówić o protekcji.

— Niech mnie Bóg broni, żeby użył słowa „protekcja”. To nie panią by upokorzyło, tylko mnie.

— W takim razie, kardynale, zgódźmy się na jedną rzecz, która mi niesłychanie pochlebi.

— Jeśli tak, już się zgadzam.

— A więc, zgódźmy się, że złożyłeś pan grzecznościową wizytę pani de la Motte Valois i nic więcej.

— Ale też i nie mniej — odpowiedział kardynał z uprzedzającą grzecznością i podniósłszy dłoń hrabiny do ust wycisnął na niej długi pocałunek.

Hrabina cofnęła rękę.

— To tylko grzeczność — powiedział kardynał z wytworną powagą światowca.

Joanna wyciągnęła rękę i prałat ucałował ją tym razem naprawdę z szacunkiem.

— To dobrze, Wasza Dostojność, to bardzo dobrze. Wiedząc, że zajmuję miejsce choćby drobnutkie w umyśle męża tak znamienitego i tak przeciążonego obowiązkami, rok cały cieszyć się będę.

— Rok tylko, hrabino? Tak krótko? Mam nadzieję na więcej.

— No — odparła z uśmiechem — nie powiem: nie, kardynale.

„Kardynale” to była po prostu poufność i pani de la Motte dopuściła się jej po raz drugi. Prałat tak zwykle dumny i drażliwy, mógłby się dziwić, sprawy jednak zaszły już tak daleko, że nie tylko się nie zdziwił, ale nawet zadowolony był z okazywanych mu względów.

— Ach, zaufanie — zawołał, przysuwając się jeszcze. — Tym lepiej, tym lepiej.

— Mam zaufanie, tak jest, Wasza Dostojność, bo wyczuwam w Waszej Eminencji...

— Przed chwilą mówiłaś mi „kardynale”, hrabino.

— Proszę mi wybaczyć, Mości Książę, nie znam obyczajów dworskich. Powiedziałam, że mam do pana zaufanie, ponieważ jesteś pan zdolny zrozumieć mnie, śmiałą, gotową, do ryzyka, ale o czystym sercu. Pomimo doświadczeń ubóstwa, pomimo walk, do których zmusili mnie nikczemni wrogowie, Wasza Eminencja znajdzie u mnie, to znaczy w rozmowie ze mną, to tylko, co jest jego godne. Co do reszty, raczy Wasza Dostojność okazać pobłażanie.

— Jesteśmy więc przyjaciółmi. Podpisane i zaprzysiężone.

— Bardzo bym chciała.

Kardynał wstał i podszedł do pani de la Motte, ale ponieważ, jak na zwykłą przysięgę, miał trochę za bardzo rozwarłe ramiona, lekka i zwinna hrabina wymknęła się z osaczenia.

— Przyjaźń we troje — powiedziała z nieporównanym tonem kpiny i niewinności.

— Jak to we troje? — zapytał kardynał, siadając.

— No tak, jest przecież gdzieś tam na świecie biedny gwardzista, wygnaniec, którego nazywają hrabią de la Motte.

— O, hrabino, jakże niemiłosierną pamięć pani posiadasz.

— Ależ muszę o nim mówić, skoro pan nie mówisz.

— A wiesz, hrabino, dlaczego o nim nie mówię, bo on sam jeszcze nieraz będzie zabierał głos, mężowie nie pozwalają, by o nich zapominano, proszę mi wierzyć

— A jeśli będzie mówić o sobie?

— Wówczas zaczną mówić o pani, a raczej o nas.

— Co to znaczy?

— Powiedzą na przykład, że pan hrabia de la Motte pochwała albo nie pochwała, że pan kardynał de Rohan trzy, cztery lub pięć razy na tydzień składa wizyty przy ulicy Saint-Claude u pani hrabiny.

— Ile pan mówi, panie kardynale, trzy, cztery lub pięć razy na tydzień?

— Jakaż to byłaby przyjaźń, hrabino? Powiedziałem pięć razy na tydzień? Pomyliłem się. Trzysta sześćdziesiąt pięć razy na rok, nie licząc lat przestępnych.

Joanna roześmiała się; kardynał zauważył, że dowcip jego znalazł uznanie i to mu pochlebilo.

— Czy można przeszkodzić, żeby nie mówili? Wiesz pan, że to niepodobieństwo.

— Owszem. Zwłaszcza że, słusznie czy niesłusznie, jestem w Paryżu znany.

— Na pewno słusznie, Mości Książę.

— Ale nie mają szczęścia znać pani.

- No więc co?
- Przenieśmy sprawę.
- Proszę, niech pan przenosi, ale...
- Jeśliby pani zechciała... jeśli na przykład...
- Słucham.
- Gdyby tak pani wychodziła, zamiast żebym ja miał wychodzić...
- Żebym ja chodziła do pańskiego pałacu, Mości Książę.
- Poszłabyś, pani, przecież do ministra.
- Minister nie jest mężczyzną, Eminencjo.
- Pani jest czarująca. Nie, nie chodzi o mój pałac, mam dom.
- No, mówmy po imieniu, domek.
- Nie, bynajmniej, dom dla pani.
- Dom dla mnie? Gdzież on jest? Nie znam tego domu. Kardynał powstał.
- Jutro o dziesiątej otrzymasz pani adres.

Hrabina zarumieniła się, kardynał ujął delikatnie jej rękę i znowu pocałował; teraz były w tym równocześnie: szacunek, czułość i zuchwalstwo. Pożegnali się ze sobą wśród owego rozplywającego się w uśmiechach certowania, które zwiastuje niedaleką zażyłość.

— Zdaje mi się — pomyślała Joanna — że zrobiłam w świecie wielki krok naprzód.

No, no — powiedział do siebie kardynał, siadając do karety — ubiłem dwa interesy. Ta kobieta ma zbyt wiele sprytu” żeby nie usidlić królowej, tak jak mnie złapała.

XVI. MESMER I SAINT-MARTIN

Był czas, kiedy Paryż, nie zaprzątnięty interesami, wolny od nadmiaru zajęć, pasjonował się sprawami, dzisiaj dostępnymi tylko dla bogaczy, których nazywamy darmozjadami, albo dla uczonych, których uważamy za próżniaków. W roku 1784, w epoce, do której dotarliśmy, taką sprawą modną i wszystkich absorbującą był mesmeryzm, nauka tajemna, niezbyt dokładnie zdefiniowana przez wynalazców, którzy nie widząc potrzeby popularyzowania jej w samych zaczątkach, nadali jej tytuł arystokratyczny, bo wzięty od nazwiska człowieka, zamiast posłużyć się terminem prawdziwie naukowym, zapożyczonym z greki, jak to zwykle przesadna skromność współczesnych uczonych wyposaża każdą naukową teorię.

Na cóż, zresztą, zdałoby się wówczas upowszechnianie wiedzy. Kto w państwie liczył się wówczas z ludem, którego od półtora wieku nie pytano o zdanie. Lud — była to po prostu żyzna gleba rodząca bogate plony, panem tej ziemi był król, zniwiarzami — szlachta. Dziś zmieniło się wszystko, tak jakby czyjaś potężna ręka przekręciła klepsydrę stuleci. Po dziewięciu wiekach monarchii nastąpiła era ludu. Tak więc w 1784 roku nazwisko człowieka było rekomendacją, dzisiaj przeciwnie, dopiero sukces nadaje rzeczy nazwisko.

Otóż, jak wiemy od samej Marii Antoniny, wybierającej się go odwiedzić, w Paryżu przebywał wówczas doktor Mesmer, człowiek, którego nazwisko znane jest obecnie tylko nielicznym, w owym jednak czasie było na ustach wszystkich. Około 1777 roku przywiózł on z Niemiec, krainy mglistych marzeń, naukę nabrzmiałą od chmur i błyskawic. Przy blasku tych błyskawic uczony dostrzegał chmury gromadzące się nad jego głową, pospólstwo widziało tylko błyskawice. W Niemczech Mesmer wystąpił najpierw z rozprawą o oddziaływaniu planet. Usiłował udowodnić, że ciała niebieskie, na skutek siły przyciągania, wywierają wpływ na istoty żywe, a szczególnie na ich system nerwowy, przez niedostrzegalne fluidy przesycające cały świat. Była to teoria nazbyt abstrakcyjna, wymagająca, żeby ją zrozumieć, wtajemniczenia w wiedzę Galileuszów i Newtonów. Była to mieszanina wielkich prawd astronomicznych z astrologicznymi bredniami, która nie mogła, nie powiemy już, spopularyzować się, ale zarystokratyzować, ponieważ stan szlachecki musiałby zamienić się w towarzystwo naukowe. Mesmer odszedł więc od pierwotnych założeń i przerzucił się na zagadnienia magnetyzmu.

W owej epoce zagadnienia te żywo studiowano: zdawało się, że siła przyciągająca i odpychająca ukryta w magnesie nadaje minerałom życie podobne do życia istot ludzkich, użycza im mianowicie dwóch wielkich ludzkich namiętności: miłości i nienawiści. Przypisywano więc magnesom niezwykle właściwości lecznicze i Mesmer postanowił włączyć działanie magnesu do swego systemu i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Na nieszczęście, przybywszy do Wiednia znalazł tam zadomowionego już rywala. Był nim niejaki Hall, który twierdził, że Mesmer przywłaszczył sobie jego metody. Na to Mesmer, jako człowiek obdarzony bogatą wyobraźnią, oświadczył, że magnes nie posiada najmniejszej wartości i że on odtąd nie będzie zajmować się magnetyzmem mineralnym, a tylko zwierzęcym. Był to nowy termin, ale bynajmniej nie nowy wynalazek. Magnetyzm znany już był starożytnym, stosowano go we wtajemniczeniach egipskich i pytyjskich wyroczniach u Greków, drogą tradycji przechowały go wieki średnie, na strzępach tej nauki kształcili się czarownicy trzynastego, czternastego i piętnastego stulecia. Wielu z nich spłonęło na stosach, a niejednen z płomieni wygłaszał jeszcze dogmaty swej osobliwej religii. Z resztek tej wiedzy, rozproszonej i błędnej jak ogniki, które nocą krążą nad bagnami, Mesmer ułożył pełną teorię, cały systemat, który nazwano — mesmeryzmem.

Mając już takie wyniki Mesmer przedstawił swój system Akademii Nauk w Paryżu, Towarzystwu Królewskiemu w Londynie oraz Akademii Berlińskiej. Dwie pierwsze instytucje nawet mu nie odpowiedziały, trzecia uznała go za szaleńca.

Wówczas Mesmer (na wzór owego filozofa greckiego, który przechadzaniem się pokonał swego przeciwnika zaprzeczającego istnienie ruchu) przejął z rąk doktora Storcka i okulisty Wenzela młodą siedemnastoletnią dziewczynę cierpiącą na wątrobę oraz atrofię nerwu wzrokowego i po trzech miesiącach zabiegów chora została uleczona, ślepa przejrzała.

Kuracja ta przekonała wiele osób, a między innymi lekarza nazwiskiem Delson, który z wroga stał się apostołem.

Od tej chwili sława Mesmera rosła. Akademia opowiedziała się przeciw nowatorowi, dwór stanął po jego stronie; ministerstwo rozpoczęło pertraktacje, pragnąc skłonić doktora, żeby opublikował swą doktrynę i wzbogacił tym ludzkość. Mesmer postawił cenę, ale targowano się. Pan de Breteuil zaofiarował w imieniu króla 20 000 liwrow renty dożywotniej oraz 10 000 za wyuczenie praktyki lekarskiej trzech osób wskazanych przez rząd. Oburzony skąpstwem królewskim Mesmer odmówił i wyjechał wraz z kilku pacjentami do wód w Spa.

Nagle zagroziła mu nieoczekiwana katastrofa. Delson, jego uczeń, wtajemniczony w arkana wiedzy, której Mesmer nie chciał odprzedać za 30 000 liwrow rocznie, otworzył u siebie zakład leczenia metodą mesmerowską. Mesmer omal nie oszalał, ale wówczas jeden z jego pacjentów, pan de Bergasse, wpadł na szczęśliwy pomysł przekazania nauki znakomitego profesora spółce komandytowej. Zawiązano stuosobowy komitet z kapitałem trzystu czterdziestu tysięcy franków pod warunkiem objawienia doktryny akcjonariuszom. Mesmer przystał, podjął kapitał i wrócił do Paryża.

Moment był odpowiedni. W okresach przełomowych bywają w życiu narodów chwile, kiedy całe społeczeństwo poddaje się zwątpieniu, odczuwa, że stoi nad brzegiem przepaści, nieznaney jeszcze i niedostrzegalnej. Tak było i wówczas. We Francji panował spokój, ale umysły były wzburzone. Ludzie, jakby odrętwiali w nienaturalnym szczęściu, przewidywali rychły jego koniec, tak jak rzedniejący las zapowiada, że niebawem znajdziemy się w szczerym polu. Ow spokój, w którym nie było nic trwałego, nic rzeczywistego, nużył — poszukiwano emocji, gdzie się da, wszelkie nowinki znajdowały przychylnie przyjęcie. Zbyt lekkomyślni, żeby zajmować się jak ongiś poważnymi problemami władzy i monoteizmu, ludzie kłócili się na temat muzyki, brali stronę Glücka lub Picciniego, entuzjasmowali Encyklopedią lub pasjonowali pamiętnikami Beaumarchais. Wystawienie nowej opery bardziej zaprzętało ich wyobraźnię niż podpisanie traktatu pokojowego z Anglią czy uznanie niepodległości Stanów Zjednoczonych. Był to więc okres, kiedy umysły — które dzięki filozofom doszły do prawdy, czyli do rozczarowania — zniechęciły się do owej jasnej możliwości obserwowania dna każdej rzeczy i zapragnęły postąpić krok dalej, przekroczyć granice świata realnego i wnikać w świat marzeń i fikcji. Wiemy zresztą, że chociaż tylko prawdy jasne i przejrzyste popularyzują się szybko, ludzie mają nieodparty pociąg do tajemnic. Lud francuski pociągnęła właśnie dziwna tajemnica mesmerowskich fluidów, które, jak głosili adepci, posiadały moc przywracania zdrowia chorym, obłąkanym przywracały rozum, a mędrców przyprawiały o szaleństwo.

Wszędzie interesowano się Mesmerem. Na kim dokonał swych cudów nadludzkich, jakiemu wielkiemu panu przywrócił wzrok a jakiemu siły, jakiej to damie wymęczonej grą i bezsennością wyleczył nerwy, jakiej młodej dziewczynie pozwolił zobaczyć przyszłość w magnetycznym transie?

Przyszłość — wielkie słowo wszystkich czasów, wielka zagadka dla wszystkich umysłów, rozwiązanie wszystkich problemów. Czymże bowiem jest terażniejszość? Władza królewska bez blasku, szlachta bez autorytetu, kraj bez handlu, lud bez praw, społeczeństwo bez zaufania.

Poczynając od rodziny królewskiej, skłopotanej i osamotnionej na tronie, aż do najuboższej rodziny plebejskiej wygłodniałej w swej norze — wszędzie nędza, lęk i zgorzenie. Zapomnieć o innych i myśleć tylko o sobie, w nowych, dziwnych, nieznanach źródłach znaleźć możliwość przedłużenia życia, życia w nienaruszonym zdrowiu, wydrzeć cośkolwiek skąpym niebiosom — taki był przedmiot łatwych do zrozumienia dążeń ku nieznanemu, które odślaniał Mesmer.

Wolter już nie żył i nikt nie śmiał się we Francji, z wyjątkiem Beaumarchais, którego śmiech był jeszcze bardziej gorzki niż śmiech jego mistrza. Rousseau już nie żył i nikt po nim we Francji nie zajmował się filozofią religijną, nikt nie miał odwagi popierać Boga. Kiedyś ważnym zajęciem Francuzów była wojna, królowie na własny rachunek pielęgnowali narodowy heroizm. Obecnie jedyną wojną francuską była wojna w Ameryce, a w tej król nie brał żadnego udziału. Bito się przecież o rzecz nieznaną, którą Amerykanie nazywali niepodległością, a którą Francuzi przetłumaczyli na pojęcie abstrakcyjne — wolność. I ta zresztą wojna — daleka, już nie tylko innego ludu, ale innego świata — i ta zresztą wojna skończyła się.

Zważywszy wszystko, zaprawdę, czy nie lepiej było zająć się Mesmerem, lekarzem niemieckim, który po raz drugi w ciągu sześciu lat roznamiętniał Francję, niż lordem Cornwallis czy panem Waszyngtonem, których i tak się nigdy nie zobaczy. A Mesmer był tuż, można go było oglądać, dotykać, a w szczególności, co było najwyższą ambicją trzech czwartych Paryża, pozwolić dotknąć się przez niego.

I tak ten człowiek, który przybywszy do Paryża nie znalazł poparcia u nikogo, nawet u królowej, zawsze przychylniej swym ziomkom, który, gdyby nie doktor Delson, późniejszy zdrajca, pozostałby na zawsze w cieniu, ten człowiek panował obecnie nad opinią publiczną, pozostawiając daleko w tyle króla, o którym nie mówiono w ogóle, pana de Lafayette, o którym nie mówiono jeszcze i Neckera, o którym już mówić przestano.

Ale, jak gdyby onże wiek uwziął się, żeby oddać każdemu umysłowi według jego zdolności, każdemu sercu według jego wrażliwości, a każdemu ciału według jego potrzeb — przeciw Mesmerowi, wyznawcy materializmu, powstał Saint-Martin spirytualista, którego doktryna miała pocieszyć wszystkie dusze zranione pozytywizmem niemieckiego lekarza.

Wyobraźmy sobie ateistę głoszącego religię słodsza niż sama religia, republikanina pełnego uprzejmości i względów dla monarchii, szlachcica z klas uprzywilejowanych współczującego, życzliwego i rozkochanego w ludzie, wyobraźmy; sobie potrójny atak tego człowieka obdarzonego umysłem logicznym i urzekającą elokwencją, na ziemskie kultury, których niedorzeczność polega właśnie na tym, że są boskie.

Wyobraźmy sobie Epikura upudrowanego, w haftowanym fraku, w kamizelce naszywanej pajątkami, w atłasowych spodniach, jedwabnych pończochach i w pantoflach na czerwonych obcasach; Epikura, który nie tylko obalał bogów, ponieważ w nich nie wierzył, ale wstrząsał rządami, które traktował tak samo jak kultury, ponieważ są zawsze nieodpowiednie i najczęściej sprowadzają na ludzkość nieszczęścia; który wreszcie występował przeciw prawu społecznemu tylko dlatego, że wprowadza jednakowe kary dla niejednakowych występków, ponieważ karze wyniki nie oceniając przyczyny.

Wyobraźmy sobie teraz, że ów kusiciel, ów, jak sam się nazywa, nieznan filozof, pragnąc wciągnąć ludzi w krąg odmiennych poglądów, przyobiecuje raj moralny o powabach, jakich by nie wyśniła najbujniejsza wyobraźnia i że zamiast głosić absurdalne hasło o równości wszystkich ludzi, wynajduje formułę, która sama ciśnie się na usta nawet tym, co jej przeczą: „Les êtres intelligents sont tous rois”.

Przypomnijmy sobie, że podobna teoria moralna spadła nagle na społeczeństwo bez nadziei i bez przewodników, społeczeństwo wstrząsane ideami, to jest wątpliwościami. Przypomnijmy sobie, że w tej epoce kobiety są czułe i lekkomyślne, mężczyźni chciwi władzy, zaszczytów i

rozkoszy, że wreszcie monarchowie nawet pozwalają chwiać się koronom, na które po raz pierwszy pada z cienia badawcze i złowrogie spojrzenie. Czy można się dziwić, że znalazła wyznawców nauka, przemawiająca do dusz?

„Wybierzcie pośród siebie duszę wyższą, wyższą dzięki miłości, miłosierdziu, wszechmocnej woli kochania i uszczęśliwiania innych, a kiedy ta dusza objawi się, poddajcie się, ukorzcicie, unicestwicie, wy — wszystkie dusze niższe, zostawiając miejsce dla dyktatury tamtej, która przywróci wam podstawowe prawo równości w cierpieniu wobec nieuniknionej nierówności uzdolnień i działań.”

Dodajmy, że nieznaną filozof otaczał się tajemniczością, że lubił w głębokich ciemnościach, z dala od szpiegów i pasożytów, roztrząsać w spokoju wielką teorię społeczną, która mogła stać się polityką świata.

„Słuchajcie mnie — mówił — ufne serca, dusze wierzące i starajcie się mnie zrozumieć, lub nie słuchajcie raczej, jeżeli pragniecie rozumieć, bo będzie to trudne; a ja nie powierzę mych tajemnic nikomu, kto nie zerwie zasłony. Mówię rzeczy, których nie chcę otwarcie wyjawić i dlatego będzie się często zdawało, że mówię co innego niż mówię”.

I rzeczywiście Saint-Martin zgromadził koło siebie milczących, ponurych i zazdrosnych obrońców swego dzieła i pomysłów, tajemniczy wieczernik, którego mrocznego, religijnego mistycyzmu nikt nie przenikał.

Tak pracowali nad wysławianiem duszy i materii, marząc o zniszczeniu Boga i wiary chrześcijańskiej, obaj ci ludzie, którzy podzielili na dwa obozy i na dwie grupy zainteresowań wszystkie umysły oświecone i natury wybrane we Francji.

I tak koło cebrzyka, z którego tryskała błogość bytowania, u Mesmera gromadził się cały świat rozkoszy zmysłowych, cały elegancki materializm degenerującego się narodu, podczas gdy wokół księgi błędów i prawdy zbierały się dusze nabożne, miłosierne, kochające, rozsmakowane w chimerach i żądne ich urzeczywistnienia.

Jeżeli poniżej tych sfer uprzywilejowanych idee zniekształcały się lub mieszały, jeżeli dochodząca stąd wrzawa zamieniała się w grzmoty, a światełka w błyskawice, można zrozumieć stan niepewności, w jakim znajdowały się dolne warstwy społeczne, mieszczenie i lud, tak zwany później stan trzeci, który wiedział tylko, że mówi o jego sprawach i który zawieszony między niecierpliwością i rezygnacją płonął żądzą skradzenia świętego ognia — jak boski Prometeusz — ożywienia nim świata, który byłby jego światem i w którym sprawy swoje załatwiałby sam.

Konspiracja pod płaszczykiem rozmów, stowarzyszenia i partie polityczne pod płaszczykiem zebrań towarzyskich i tańców, a więc wojna domowa i anarchia, oto co objawiłoby się myślicielowi, który nie widział jeszcze podszewki życia tego społeczeństwa.

Niestety, dzisiaj, kiedy zasłony zostały zdarte, dzisiaj, kiedy ludy prometejskie dziesięciokrotnie zostały obalone ogniem, które same wykradły, powiedzcie, co mógł zobaczyć człowiek myślący przy końcu owego dziwnego osiemnastego wieku, jeśli nie rozprężenie świata na podobieństwo czasu, który nastąpił po śmierci Cezara a przed wystąpieniem Augusta. Jak August był człowiekiem, który przedzielił świat pogański od chrześcijańskiego, tak Napoleon przedzielił świat feudalny od demokratycznego.

Być może wciągnęliśmy czytelnika w rozprawę nieco przydługą, powiedzieliśmy za wiele jak na powieściopisarza, choć za mało jak na historyka, ale trudno mówić o epoce nie poruszając zagadnień, które były jej życiem i ciałem.

XVII. CEBRZYK MESMERA

To, o czym pisaliśmy w poprzednim rozdziale, może usprawiedliwić zainteresowanie paryżan zabiegami publicznie wykonywanymi przez Mesmera. Nawet Ludwik XVI, jak wiemy, pozwolił królowej obejrzeć w towarzystwie księżnej krwi interesujące widowisko.

W dwa dni po wizycie kardynała u pani de la Motte nastąpiła wreszcie odwilż. Armia sprzątaczy, szczęśliwych, że kończą z zimą, z zapalem żołnierzy zdobywających okop, zmiatała resztki śniegu, który spływał czarnymi strużkami. Na niebie pogodnym i czystym pojawiły się pierwsze gwiazdy, kiedy pani de la Motte, wystrojona jak elegantka, roztaczając pozory bogactwa, zajęła dorożką — a pani Klotylda wybrała możliwie nową — na plac Vendôme i zatrzymała się przed okazałym domem jarzącym się światłami okien na całej długości fasady.

Był to dom doktora Mesmera. Stało przed nim kilka powozów, a dalej w błocie tłoczyły się dwie lub trzy setki gapiów oczekujących na przybycie chorych lub wyjście uzdrowionych. Chorzy, przeważnie bogaci i utytułowani, przyjeżdżali w herbowych powozach i dawali się wysadzać i wnosić lokajom, a widok tych niezwykłych tobołów owiniętych w futra czy atlasowe salopy nie miała być pociechą dla wygłodniałych i półnagich nieszczęśników, którzy czatowali u drzwi na oczywisty dowód, że Bóg stwarza ludzi chorych lub zdrowych nie zaglądając do drzewa genealogicznego.

Gdy który z tych chorych o wybladłej cerze i bezwładnych członkach zniknął w drzwiach wejściowych, wśród obecnych rozchodził się szmer. Ów tłum, ciekawy i bystry, który tłoczył się u wejścia na bale i pod portykami teatrów, co było jedyną dla niego rozrywką, widywał często tę całą, chciwą rozrywek arystokrację. Rzadko też zdarzało się, by nie rozpoznał takiego to a takiego księcia ze sparaliżowaną ręką lub nogą, czy jakiegoś marszałka polnego, któremu nogi odmawiały posłuszeństwa, nie tyle na skutek przebytych trudów wojennych, co wskutek chwalebnych niebezpieczeństw, związanych z postojami u dam z Opery lub Włoskiej Komedii.

I ta oto kobieta, jak kiedyś damy rzymskie wynoszone po obiedzie przez Tesalijczyków, omdlewająca na rękach hajduków, niesiona z głową opadłą i zmętniałym wzrokiem, wyczerpana nerwowo czy też osłabiona nadużyciami i bezsennością, kobieta, której nie mogli wyleczyć ani przywrócić do życia modni szarlatani, ani też tędzy aniołowie, o których tyle cudów potrafiłaby opowiedzieć pani Dugazon, przybywała domagać się od cebrzyka Mesmera tego, czego na próżno szukała gdzie indziej.

Proszę nie przypuszczać, że przesadzamy tutaj w opisie spodlenia obyczajów. Trzeba stwierdzić, że w owym czasie toczyły się zapasy pomiędzy damami dworu i panienkami z teatru. Te odbierały damom z wielkiego świata ich mężów i kochanków, tamte na sposób bretoński wykradały chórzystkom ich towarzyszy i kuzynów. Niektóre z tych pań były równie znane jak mężczyźni i nazwiska ich krążyły wśród tłumu tak samo głośno, ale większość, a były na pewno między nimi i osoby znane z dość skandalicznego trybu życia, uniknęła tego wieczoru publicznego rozgłosu przybywając do Mesmera w atlasowych maseczkach.

Był to bowiem wieczór półpościa i wydawany był bal w Operze. Damy wprost z placu Vendôme wybierały się do Palais Royal.

Pośród tego tłumu szemrzącego i narzekającego, wymieniającego dowcipy, szyderstwa i wyrazy podziwu, pani de la Motte przeszła śmiało i dumnie, w masce na twarzy, nie zostawiając po sobie innego śladu jak tylko powtarzaną uwagę:

— Ech, ta nie wygląda na chorą.

Pomimo to nie obeszło się bez komentarzy: bo jeśli nie była chora, czego szukała u Mesmera.

Tłum nie byłby się, oczywiście, dziwił, gdyby wiedział o wydarzeniach, które już opowiedzieliśmy. W istocie pani de La Motte długo zastanawiała się nad swoją rozmową z kardynałem de Rohan, a przede wszystkim nad szczególną uwagą, jaką kardynał zaszczycił pudełeczko z portretem, zapomniane u niej czy też zgubione. A ponieważ wykrycie imienia właścicielki pudełeczka wywołało u kardynała nagły przypływ grzeczności, pani de la Motte postanowiła poznać to imię i obmyśliła dwa środki. Najpierw uciekła się do łatwiejszego.

Udała się do Wersalu pragnąc zasięgnąć informacji o biurze dobroczynności dam niemieckich. Tu, jak się łatwo domyślić, nie mogła się niczego dowiedzieć. W Wersalu mieszkało mnóstwo dam niemieckich, jako że królowa okazywała swym rodaczkom szczególną sympatię. Mogło ich być sto pięćdziesiąt lub dwieście i wszystkie były bardzo miłosierne, ale żadna nie wpadła na pomysł afiszowania się w biurze dobroczynności. Na próżno Joanna wypytywała się o damy, które ją odwiedziły, nie pomogło nawet wymienienie imienia Andrei. Nie znano w Wersalu damy niemieckiej noszącej takie imię, nie bardzo zresztą niemieckie. Tak więc poszukiwania z tej strony nie dały żadnego wyniku.

Zapytać bezpośrednio pana de Rohan o jego domysły nie chciała, byłoby to przyznaniem się do jakichś względem jego osoby zamiarów, a poza tym pozbawiłaby się zasługi i przyjemności odkrycia dokonanego wbrew wszystkim, a szczególnie wbrew prawdopodobieństwu. Skoro w zjawieniu się obu dam u Joanny kryła się jakaś tajemnica, skoro była tajemnica w zdziwieniu i ostrożności pana de Rohan, tylko w tajemnicy można było dochodzić rozwiązania tylu zagadek. W dodatku Joanna miała z natury skłonność do walki z nieznanym.

Słyszała, że od jakiegoś czasu przebywa w Paryżu człowiek natchniony, cudotwórca, który posiada środki wypędzania chorób i bóleści z ciała ludzkiego, jak niegdyś Chrystus wypędzał czarta z ciała opętanego. Słyszała, że człowiek ten leczy nie tylko cierpienia fizyczne, ale wydziera z duszy drażące ją bolesne sekrety. Wiedziała, że pod jego wszechmocnym zaklęciem mięknie upór klienta i przemienia się w uległość niewolnika. A wówczas, kiedy uczony lekarz uspokoił rozdrażniony organizm, we śnie, który następował po cierpieniach, dusza pogrążona w zapomnieniu i wdzięczna czarnoksiężnikowi za ulgę, oddawała się całkowicie na jego usługi. Dusza ta wyjawiała jemu swą każdą myśl w mowie, która nad zwykłą mową ludzką miała tę wyższość lub niższość, że nigdy nie kłamała. Co więcej, dusza ta, wyzwolona z więzów cielesnych, na rozkaz chwilowego władcy przemierzała świat, łączyła się z innymi duszami, badała je i przenikała, bez wytchnienia, tropiła jak wyżeł zwierzynę w zaroślach, aż wyszedłszy ukrytą tajemnicę serca przynosiła pod stopy pana.

W ten sposób wykryło się wiele tajemnic. W ten sposób pani de Duras odnalazła skradzione piastunce dziecko, pani de Chantoné angielskiego pieska wielkości pięści, za którego oddałyby wszystkie dzieci świata, a pan de Vaudreuil lok włosów, za który dałby połowę majątku.

Do objawień tych dochodzili jasnowidzący lub jasnowidzące pod wpływem magnetycznych zabiegów doktora Mesmera. Pani de la Motte Uczyła więc, że przy jego pomocy odkryje właścicielkę pudełeczka, które było w tej chwili przedmiotem jej najgorętszych dociekań. Dlatego właśnie udała się tak śpiesznie do sali, gdzie gromadzili się chorzy.

Apartament ten, przepraszamy naszych czytelników, zasługuje na szczegółowy opis. Składały się nań dwie duże sale.

Minąwszy przedpokoje i okazawszy portierom potrzebne dokumenty wchodziło się do sali, której okna hermetycznie zamknięte nie przepuszczały powietrza, światła ani hałasu. W środku sali pod pajakiem, w którym świece paliły się słabym zamierającym płomieniem, stała obszerna kadz z pokrywą. W formie jej nie było nic wytwornego. Nie miała ozdób a żadna draperia nie osłaniała jej metalowych boków. Tę właśnie kadz nazywano cebrzykiem Mesmera.

Naczynie wypełnione było roztworem siarki, którego wyziewy koncentrowały się pod pokrywą i wypełniały butelki ułożone metodycznie w głębi i skierowane w różne strony. Wynikało z tego krzyżowanie się tajemniczych prądów, które miały przynieść chorym uzdrowienie. Do pokrywy przylutowany był pierścień żelazny, a do niego przywiązana długa lina.

Dwudziestu do trzydziestu chorych siedziało na fotelach dokoła kadzi. Mężczyźni i kobiety razem, bladzi i osłabieni, obojętni, poważni lub niespokojni oczekiwali na wynik doświadczenia Lokaj, trzymając w ręku koniec owej liny, oplątywał nią ciało chorego, niby węże grupę Laokoon, tak że wszyscy, jakby złączeni jednym łańcuchem, odczuwali jednocześnie działanie elektryczności nagromadzonej w cebrzyku. Ponadto, żeby nie przerwać prądów zwierzęcych przenoszonych i przekształcanych w każdym organizmie, chorzy, na polecenie doktora, stykali się ze sobą ramionami, łokciami bądź stopami i w ten sposób czerpali nieprzerwane ciepło i moce ożywcze ze zbawczego naczynia. Na koniec każdy brał w rękę pręt żelazny osadzony w pokrywie cebrzyka i pręt ten, bezpośredni przewodnik zbawiennych mesmerowskich fluidów, kierował ku piersiom, sercu lub głowie, właściwemu siedlisku choroby. Widok tej ceremonii medycznej był naprawdę ciekawy i nic dziwnego, że do tego stopnia intrygował paryżan.

Gdy seans rozpoczął się, salę napełniło łagodne ciepło, a pod jego dobroczynnym działaniem rozluźniały się powoli napięte tkanki pacjentów. Stopniowo temperatura podnosiła się, a nagrzane powietrze zaczynało krążyć po sali nasycając ją wonią delikatną i rozkoszną, działającą dziwnie usypiająco na najbardziej opornych. Po chwili rozległy się melodyjne dźwięki muzyki. Czyste, wibrujące i przenikające do nerwów tony niewidzialnych instrumentów lały się na głowy zebranych niby deszcz kwiatów. W tej atmosferze błogości początkowe zdziwienie ustępowało miejsca wyraźnej fizycznej rozkoszy. Duch poddawał się również, występował z kryjówki, w której chronił się przed cierpieniami ciała i rozprzestrzeniając się swobodny i radosny po całym organizmie zwyciężał ostatecznie materię.

A teraz kilka słów o aktorach.

Dzielili się oni na dwie kategorie. Jedni, naprawdę chorzy, nie troszczyli się zbytnio o tak zwany szacunek ludzki, ową granicę obyczaju, bardzo poważaną przez ludzi średniego stanu, ale zawsze przekraczaną przez bardzo wielkich albo bardzo małych. Chorzy przychodzili się leczyć i całym sercem chcieli ten cel osiągnąć. Inni sceptyczni lub po prostu ciekawi, nie dotknięci żadną dolegliwością, cisnęli się do domu Mesmera tak jakby szli do teatru. Przychodzili bądź dla skosztowania wrażeń, których doznaje się w sąsiedztwie zaczarowanej kadzi, bądź dla studiowania systemu, bądź najzwyczajniej dla przyjrzenia się chorym.

Pomiędzy pierwszymi, zagorzałymi zwolennikami Mesmera, zwracała uwagę młoda kobieta, ładna i dobrze zbudowana, ale ubrana dość dziwacznie.

Poddając się działaniu fluidów sama najsilniejsze ich dawki aplikowała sobie przy pomocy pręta na głowę i żołądek. Jakby w ogólnym omdleniu gałki jej pięknych oczu wywracały się do tyłu, a ręce drżały nerwowo, co oznaczało początek transu. Głowa jej opadła bezwładnie na oparcie fotela i widzowie mogli przyjrzeć się jej białemu czołu, rozedrganym ustom oraz pięknej szyi zabarwianej i odbarwianej kolejnym przyływym i odpływem krwi.

Młoda tę kobietę obserwowało natarczywie i ze zdziwieniem sporo osób. Kilka z nich, pochylając ku sobie głowy, wymieniało szeptem jakieś spostrzeżenia, co podsycalo jeszcze zainteresowanie ciekawskich. Jedną z tych ostatnich była pani de la Motte. Prawie niewidoczna za filarem, gdzie się przezornie umieszcila, czy obawiając się, że ją poznają, czy nie dbając o to, trzymała w ręku maseczkę, którą nosiła na ulicy i pilnie przyglądała się wszystkiemu. Ale ze wszystkiego, co widziała, rzeczą najgodniejszą uwagi wydała jej się twarz młodej kobiety

elektryzowanej mesmerowskimi prądami. Wpatrzona w nią, jak przykuta, nie ruszała się z miejsca ogarnięta jednym pragnieniem — widzieć i wiedzieć.

— Och — szepnęła, nie spuszczać z oczu pięknej pacjentki — to niewątpliwie owa dama z dobroczynności, która była wówczas u mnie i która stała się przyczyną względów okazywanych mi przez pana de Rohan.

Pewna, że się nie myli i niezmiernie uradowana, że przypadek sprawił to, czego nie mogły dokazać poszukiwania, przysunęła się bliżej, ale w tejże chwili młoda kobieta, jakby dostała ataku konwulsji, wykrzywiła twarz, zamknęła oczy i poczęła bić rękami powietrze. Ręce te nie wydawały się pani de la Motte ani tak kształtne i delikatne, ani tak śnieżno białe jak te, które podziwiała przed kilkoma dniami.

Pozostali chorzy poszli wkrótce za przykładem młodej towarzyszkii, poczęli wzdychać, szeptać, mamrotać, krzyżeć, trząść się i wykonywać nieopanowane ruchy; wpadli w stan, który mistrz ich nazywał kryzysem. Nagle i nie wiadomo skąd pojawił się w środku sali jakiś mężczyzna o wyglądzie poważnym i inteligentnym, ubrany na fioletowo, co dodawało jeszcze niesamowitości jego raptownemu ukazaniu się. W rękę trzymał długą pałeczkę niby różdżkę czarodziejską. Na dany przez niego znak drzwi otworzyły się i kilkunastu krzepkich pachółków wbiegło do sali. Chwytając zręcznie chorych, którzy zaczęli już tracić równowagę na krzesłach, poprzynosili ich błyskawicznie do sąsiedniego pokoju.

Obserwatorzy pobiegli w ich ślady pociągnięci głównie widokiem paroksyzmu, jawnym uzewnętrznieniem błogostanu, jaki przeżywała młoda pacjentka. Pani de la Motte nie pozostała oczywiście w tyle, ale w przejściu do następnej sali zatrzymała się słysząc słowa jakiegoś mężczyzny.

— Ależ to ona, ona!

— Kto to taki? — miała już zapytać hrabina.

Wtem do pierwszej sali wkroczyły pod rękę dwie damy w asyście trzymającego się odrobinę z tyłu jegomościa o powierzchowności zaufanego lokaja, choć ubranego jak typowy mieszczuch.

Panią de la Motte uderzyło coś znajomego w postawie jednej z tych kobiet i dała już krok w ich stronę, gdy nagle za plecami jej rozległ się krzyk. Wrzeszczała młoda kobieta w konwulsjach i tłum gapiów rzucił się w tę stronę. Wówczas stojący obok hrabiny mężczyzna, który poprzednio odezwał się „to ona”, zawołał głosem grobowym i tajemniczym:

— Ależ, panowie, spójrzcie, to królowa! Na te słowa Joanna zadrżała.

— Królowa! — powtórzyło równocześnie mnóstwo zdumionych głosów. — Królowa u Mesmera!

— Królowa w ataku szału! — zawołali inni.

— Nie, to niemożliwe — usiłował ktoś zaprzeczyć.

— Widzicie przecież — odpowiedział spokojnie nieznajomy. — Znacie królowę, czy nie?

— To prawda — szepnęła większość obecnych. — Podobieństwo nie do uwierzenia.

Pani de la Motte była w masce, jak wszystkie kobiety, które wybierały się na bal do Opery. Mogła więc śmiało wtrącić się do rozmowy.

— Panie — zapytała — powiadasz pan, że jest tutaj królowa?

— Och, pani, nie ma wątpliwości.

— Ale gdzie?

— No, ta młoda kobieta na fioletowych poduszkach, ta w ataku szału, to właśnie królowa.

— A z czego pan to wnosisz?

— Po prostu, że jest królową — odpowiedział najspokojniej oskarżyciel i porzuciwszy Joannę poszedł propagować swą nowinę.

Widowisko, którego dostarczyła epileptyczka, było niemal oburzające. Joanna zawróciła ku drzwiom, ale zaledwie uszła kilka kroków, stanęła oko w oko z dwiema damami, które, nie mogąc docisnąć się dalej, oglądały z zainteresowaniem sprzęty pierwszej komnaty.

— Co się stało? — zapytała starsza na głośny okrzyk Joanny.

Joanna szybko zerwała maskę.

— Czy pani mnie poznaje?

Dama przytaknęła, lecz natychmiast opamiętała się.

— Nie, pani — rzekła zmieszana.

— Ale ja panią poznaję i dam tego dowód.

Na te słowa damy przytuliły się do siebie ze strachem. Joanna wyjęła z kieszeni pudełeczko z portretem.

— Pani zostawiła to u mnie.

— Nawet gdyby tak było — odpowiedziała starsza — to nie powód, żeby się tym przejmować.

— Przejęłam się niebezpieczeństwem, które grozi tu Waszej Królewskiej Mości.

— Proszę mówić jaśniej.

— Najjaśniejsza Pani, proszę najpierw założyć tę maskę. I podała maseczkę królowej, która wahała się jednak, uważając, że kwef osłania ją dostatecznie.

— Na litość, nie ma chwili do stracenia! — zawołała Joanna.

— Weź to, pani, usłuchaj — odezwała się cicho towarzyska królowej. Królowa machinalnie założyła maskę.

— A teraz, prędko, uchodźcie! — powiedziała Joanna i pociągnęła damy za sobą tak szybko, że zatrzymały się dopiero u wyjścia na ulicę.

— Ale o co chodzi wreszcie? — zapytała królowa odetchnawszy.

— Czy Waszej Królewskiej Mości nikt nie widział?

— Chyba nie.

— To dobrze.

— Ale proszą się wreszcie wytłumaczyć.

— Najjaśniejsza Pani, zawierz chwilowo swej wiernej słudze, gdy mówi, że grozi ci największe niebezpieczeństwo. Będę miała zaszczyt wszystko opowiedzieć, jeśli mi Wasza Królewska Mość raczy udzielić godziny posłuchania. Ale to długa historia, a tutaj mogą panią poznać.

Widząc jednakże wzrastające zniecierpliwienie królowej, zwróciła się do księżnej de Lamballe.

— O, pani, błagam, prosz razem ze mną, by Jej Królewska Mość odjechała i to natychmiast.

Księżna uczyniła gest błagalny.

— Dobrze — powiedziała królowa — jeśli tak chcesz. I odwracając się do pani de la Motte zapytała.

— Prosiłaś pani o audiencję?

— Prosiłabym o zaszczyt wytłumaczenia się z mojego postępuku.

— A więc odnieś mi pani to pudełeczko. Zapytaj o odźwiernego Laurenta, będzie uprzedzony.

I wychodząc na ulicę zawołała:

— Kommen Sie da, Weber!

Kareta podjechała szybko i damy wsiadły. Pani de la Motte stała w drzwiach dopóki nie straciła ich z oczu.

— No — powiedziała do siebie — to co zrobiłam, zrobiłam dobrze. A co będzie dalej... zastanówmy się...

XVIII. PANNA OLIWIA

W tym czasie mężczyzna, który przedtem wskazywał zebranym domniemaną królowę, zauważywszy osobnika w wytartym garniturku przyglądającego się chciwie scenie, podszedł i trzepnął go po ramieniu.

— Dla pana — rzekł — jako dla dziennikarza, piękny temat do artykułu.

— Jakże to? — zapytał pisarczyk.

— Czy mam streścić?

— Bardzo proszę.

— Och, na przykład: „O niebezpieczeństwie urodzenia się poddanym w kraju, gdzie królem rządzi królowa, która to królowa lubi kryzysy”.

Dziennikarz roześmiał się.

— A Bastylia, to co?

— Cóż znowu? Nie ma to kryptonimów, przy pomocy których można obejść wszystkich królewskich cenzorów? Pytam się tylko, który cenzor zabroniłby panu opisać historię księcia Silou oraz księżnej Etteniotna, władczyni państwa Narfec? No, jakże się waści podoba mój anagram?

— Ach, ach — zawołał z zapalem gazeciarz — wyborna myśl.

— Wierzej mi, proszę, że pod tytułem: „Paroksyzm księżnej Etteniotna u fakira Remsema” będzie miał wielkie powodzenia w salonach.

— Całkowicie podzielam pana zdanie.

— No, to idź waść i zredaguj nam to swoim najlepszym piórem.

Gazeciarz uściśnął dłoń nieznanemu.

— Czy mam panu przysłać kilka numerów? Zrobię to z prawdziwą przyjemnością, jeśli zechcesz podać swoje nazwisko.

— Ależ oczywiście. Pomysł mi odpowiada. A w pańskim wykonaniu zyska sto procent. Ileż pan zwykle drukuje swoich pamflecików?

— Dwa tysiące.

— Zrób mi więc przysługę.

— Z przyjemnością.

— Weź pan te pięćdziesiąt luidorów i każ wydrukować sześć tysięcy.

— Co.. Jak to?... Ależ panie. Pan dla mnie zbyt łaskaw. Żebym choć znał nazwisko tak szlachetnego protektora literatury.

— Usłyszysz je pan odbierając tysiące egzemplarzy po dwa liwry za sztukę. Za tydzień. Prawda?

— Będę pracował dzień i noc.

— I niech to będzie zabawne.

— Żeby cały Paryż śmiał się do łez. Z wyjątkiem jednej osoby.

— Która płakać będzie krwawymi łzami, co?

— Och, panie, jakież pan ma dowcip.

— Pan jesteś zbyt uprzejmy. Ale, ale, podaj, że pisemko wydano w Londynie.

— Zawsze tak robię.

— Najniższy pański sługa.

I tęgi nieznanomy pożegnał się z pismakiem, który z pięćdziesiątką złotych monet w kieszeni wymknął się lekki jak ptak złej wróżby.

Pozbawiony jego towarzystwa nieznajomy poszedł jeszcze raz rzucić okiem na młodą kobietę. Ekstaza ustąpiła teraz miejsca zupełnemu osłabieniu i posługaczka przy paniach obciągała jej dyskretnie trochę zanadto bezwstydną spódnice.

— Tak — szepnęła patrząc na jej szlachetne rysy i wdzięcznie niedbałą pozę. — Podobieństwo istotnie nadzwyczajne. Bóg, który ją stworzył, miał swoje zamiary; już z góry potępił tamtą, do której ta jest podobna.

W chwili, kiedy formułował swe złowieszcze myśli, młoda kobieta uniosła się powoli na poduszkach i wspierając się o sąsiada, który ocknął się już wcześniej, wstała i uporządkowała swą nieco zdefektowaną garderobę. Zarumieniła się lekko widząc, że ją obserwują, z zalotną uprzejmością odpowiedziała na kilka poważnych zapytań Mesmera i przeciągając się jak kotka ledwo zbudzona ze snu, przeszła przez trzy salony. Po drodze nie przeoczyła ani jednego ze spojrzeń szyderczych, pożądliwych bądź wystraszonych, jakimi spotykali ją gapie. Natomiast roześmiała się ze zdziwienia przechodząc obok grupy mężczyzn szepczących w rogu salonu, kiedy zamiast przekornych spojrzeń i swawolnych zaczepek przyjęto ją uniżonymi i pełnymi szacunku ukłonami z napuszczoną powagą dworaków witających królowę.

Grupę tę skompletował pośpiesznie ów niezmordowany nieznajomy, który schowany za plecami innych podpowiadał:

— Mniejsza o to, panowie, mniejsza o to, bądź co bądź to królowa Francji, pokłońmy się, pokłońmy się nisko.

Osóbka tak respektowana z pewną dozą zakłopotania minęła ostatni przedpokój i wyszła na zewnątrz. Zmęczona daremnie rozglądała się za dorożką czy lektyką; dopiero po chwili, kiedy z wahaniem zdecydowała się postawić drobną stópkę na bruku, pojawił się przed nią rosły lokaj.

— Powóz pani? — rzekł.

— Ależ ja nie mam powozu!

— Pani przyjechała dorożką?

— Tak.

— Z ulicy Dauphine?

— Tak.

— Odwiozę panią do domu.

— Dobrze, proszę mnie odwieźć — odpowiedziała kobietka bez namysłu i bez cienia niepokoju, z jakim przyjęłaby tak niespodziewaną propozycję każda inna kobieta.

Na znak lokaja pod ganek zajechała dobrze prezentująca się kareta. Lokaj spuścił stopnie i zawołał:

— Ulica Dauphine.

Konie pomknęły z kopyta i wkrótce, kiedy mijali Pont–Neuf, osóbka, której, jak powiada Lafontaine, „przypadł do gustu taki sposób chodzenia”, pożałowała, że nie mieszka przy Jardin–des–Plantes.

Pojazd zatrzymał się, lokaj spuścił stopnie i świadomy zwyczajów wyciągnął do damy rękę po klucz do drzwi frontowych. Kluczami takimi posługiwali się, wracając do siebie, mieszkańcy trzydziestu tysięcy domów w Paryżu, tylko bowiem w pałacach zatrudniano szwajcarów i odźwiernych.

— Doprawdy — zawołała kobieta, kiedy lokaj, kłaniając się, zamknął za nią drzwi od ciemnego korytarza. — Niczego sobie przygoda. To ładnie ze strony pana Mesmera. Taka jestem zmęczona, a on to przewidział. To znakomity lekarz.

Weszła na drugie piętro i zapukała do drzwi jednego z dwu mieszkań. Otworzono jej prawie natychmiast.

— Dobry wieczór, matko. Czy jest już kolacja?

- Jest, już nawet wystygła.
- A on już jest?
- Nie jeszcze, ale jest ten pan.
- Jaki pan?
- No ten, z którym miałaś pani wieczorem rozmawiać.
- Ja?
- No tak — odpowiedziała staruszka.

Przez oszklone drzwi przedpokoju, w którym toczyła się ta rozmowa, widać było duży pokój z oknami wychodzącymi na ulicę. Oświetlony teraz lampą pokój przedstawiał widok może nie zachwycający, ale zupełnie znośny. Stare, spłowiałe i wyrudziałe firanki z żółtego jedwabiu, kilka krzeseł obitych utrechckim aksamitem w zielone pasy, stara żółta sofa oraz duża, intarsjowana komoda o dwunastu szufladach stanowiły umeblowanie apartamentu. Na kominku stał zegar w ozdobnej oprawie, a po jego bokach dwie, wyraźnie wyszczerbione błękitne wazy japońskie.

Na sofie siedział mężczyzna, raczej tęgawy, zażywny, piękną białą ręką bawił się koronkowym żabotem.

Młoda kobieta nie знаła go, ale my go poznajemy: był to ten sam osobnik, który podlegał ciekawskich wskazując na rzekomą królowę, ten sam, który dał pięćdziesiąt luidorów za napisanie pamfletu. Kobieta szybko otworzyła drzwi i podeszła do sofy, ale ów szczególny gość nie zostawił jej czasu na zaczęcie rozmowy.

Lekkim poruszeniem ciała wykonał rodzaj ukłonu i spojrzawszy na nią bystro, ale życzliwie, rzekł:

— Wiem, co chcesz mnie, pani, zapytać, ale może lepiej odpowiem sam zadając pytania. Czy panna Oliwia?

— Tak, panie.

— Czarująca kobieta, bardzo nerwowa i bardzo zamięłowana w praktykach pana Mesmera.

— Wracam właśnie od niego.

— Doskonale, ale to drogiej pani wcale nie wyjaśnia, jak odczytuję teraz z twych pięknych oczu, dlaczego zastajesz mnie na swojej sofie, a tego chciałabyś się przede wszystkim dowiedzieć.

— Jakbyś pan zgadł. Oczywiście.

— Może pani zechce usiąść. Jeśli będziesz stała i mnie zmusisz do wstania, nie będzie nam wygodnie rozmawiać.

— Może pan sobie powinszować osobliwych manier — odparła rezolutnie młoda kobieta, którą będziemy odąd nazywać panną Oliwią, skoro na to imię raczyła odpowiedzieć.

— No cóż, mościa panno, dopiero co widziałem cię u pana Mesmera i uważam, że jesteś właśnie taką, jakiej sobie życzyłem.

— Panie.

— Och, nie trwóż się, panienko, nie mówię, że uważam cię za ładną, to byłyby oświadczenia miłosne, a nie mam takich zamiarów. Nie odsuwaj się, proszę, będę musiał krzyknąć jak głuchy.

— Czegóż więc pan chcesz? — zapytała Oliwia naiwnie.

— Ja wiem — mówił dalej nieznajomy — pani przywykłaś słyszeć, że jesteś piękną. I ja tak myślę, ale mam inne propozycje.

— Panie, doprawdy, mówisz pan takim tonem...

— Nie obrażaj się, proszę, póki nie wysłuchasz. Czy nie ma w tej chwili w tym pokoju kogoś... hm... zbytelnego?...

— Nikogo tu nie ma, ale wreszcie

— A więc, jeśli nikt nie podsłuchuje, możemy rozmawiać otwarcie. Co byś pani powiedziała, gdybym ci zaproponował małą spółkę?

— Spółkę? Widzisz go...

— Zaraz. Znowu pani pomieszała. Nie mówię o stosunkach, tylko o spółce, nie o miłości, tylko o interesach.

— O jakich interesach? — zapytała Oliwia zdradzając w osłupieniu żywą ciekawość.

— Co pani robi przez cały dzień?

— Ależ...

— Proszę się nie lękać, nie przyszedłem robić wymówki, mów, co ci się podoba.

— Nic nie robię, a w każdym razie jak najmniej.

— Jest pani leniwa. To bardzo dobrze.

— Pan mówi, że dobrze?

— Naturalnie, co mnie obchodzi, że jesteś leniwa. Czy lubisz, pani, przechadzki?

— Bardzo.

— A chodzić na bale i do teatru?

— Oczywiście.

— I dobrze żyć. Jeśli pani dam dwadzieścia pięć luidorów na miesiąc, czy mi pani odmówisz?

— Mój panie!

— Droga panno Oliwio, znowu masz wątpliwości. Ustaliliśmy przecież, że nie będziesz się obrażać. Powiedziałem dwadzieścia pięć luidorów, tak jakbym powiedział pięćdziesiąt.

— Wolalabym pięćdziesiąt niż dwadzieścia pięć, ale bardziej jeszcze niż pięćdziesiąt wolę sama sobie wybierać kochanka.

— Do licha. Powiedziałem już, że nie mam zamiaru zostać twoim kochankiem. Możesz więc zachować spokój ducha.

— A więc, do licha, czegoż pan chcesz ode mnie za swoje pięćdziesiąt luidorów?

— Czyżbyśmy powiedzieli pięćdziesiąt? No, dobrze, niech będzie. Będziesz mnie przyjmować u siebie, będziesz dla mnie jak najbardziej uprzejma, podasz mi rękę, kiedy o to poproszę, będziesz na mnie czekać, jeśli zażądam żebyś czekała.

— Ale ja mam kochanka, panie.

— No i co z tego?

— Jak to, co z tego?

— Ech... wypędź go, do diaska.

— Och, Beausire'a tak łatwo się nie wypędzi.

— Czy mam ci pomóc?

— Nie, ja go kocham.

— Hm?

— Troszeczkę.

— To właśnie za wiele. Ale niech sobie będzie i Beausire.

— Jesteś pan przystępny, widzę.

— Na zasadach wzajemności. No jak, odpowiadają ci moje warunki?

— Może by i odpowiadały, ale proszę je wyłożyć do końca.

— Słuchajże, moja kochana, powiedziałem wszystko, co miałem teraz do powiedzenia.

— Słowo?

— Słowo honoru. Ale to chyba rozumiesz, gdybym przypadkiem potrzebował, żebyś istotnie została moją kochanką...

— Aha, widzisz pan. Czego to mu się zachciewa.

— Ależ, tylko na pokaz.

— Ach, tak to jeszcze ujdzie.

— No więc, zgoda?

— Przybite.

— Tu jest za pierwszy miesiąc z góry.

Wręczył jej rulon z pieniędzmi nie musnąwszy nawet koniuszków palców. A kiedy wahała się jeszcze, wsunął go jej do kieszeni, nie trąciwszy nawet ręką jej biodra tak krągłego i ponętnego, że nie wzgardziłby nim nawet najwytrawniejszy smakosz.

W tejże chwili dwa mocne uderzenia wstrząsnęły drzwiami wejściowymi i Oliwia skoczyła ku oknu.

— Wielki Boże! — krzyknęła. — Uciekaj pan prędko, to on!

— Jaki on?

— Beausire, mój przyjaciel, rusz się pan.

— Ach, na honor, tym gorzej!

— Co, tym gorzej, ależ on cię posieka na kotlet.

— No, no!

— Czy słyszysz, jak się dobija? Wywali drzwi!

— Idźże otworzyć. Dlaczegoż, do diabła, nie dasz mu klucza?

I rozparłszy się wygodnie na sofie rzekł sam do siebie:

— Muszę zobaczyć tego hultaja i przekonać się, co to za jeden.

Łomotanie połączone z dosadnymi przekleństwami, które docierały wyżej drugiego piętra, nie ustawało.

— Idźcie, matko, idźcie otworzyć! — zawołała Oliwia z wściekłością. — A co do pana, sam będziesz winien, jeśli cię spotka nieszczęście.

— Wedle słów pani... sam będę winien — odpowiedział lekceważąco nieznajomy, nie podnosząc się z sofy.

Oliwia ze drżeniem serca nasłuchiwała na schodach.

XIX. PAN BEAUSIRE

Mężczyzna w zmiętoszonym odzieniu, blady i rozjuszony wpadł do pokoju, wymachując rękami, chrapliwie złorzecząc. Oliwia rzuciła się mu naprzeciw.

— Beausire, słuchaj no, Beausire!

Ton jej głosu nie pozwalał wątpić o jej odwadze.

— Zostaw mnie! — wrzasnął przybysz, wrywając się brutalnie z objęć Oliwii i dalej krzychał coraz głośniejsze:

— A tak, nie otwierałaś, bo masz tu kogoś, ach ty, ach, ty! Nieznajomy, jak wiemy, siedział na sofie w postawie spokojnej i niewzruszonej, co Beausire mógł przyjąć za skrepowanie, a nawet strach. Stał naprzeciw obcego zgrzytając złowrogo zębami.

— Spodziewam się, mój panie, że mi odpowiesz?

— A co ci mam odpowiedzieć, mój kochany Beausire?

— Co pan tu robisz? Ktoś pan jest?

— Jestem sobie człowiek spokojny, na którego patrzysz pan okropnym wzrokiem, a poza tym rozmawiałem z panią całkiem uczciwie.

— Ależ tak, całkiem uczciwie — wyjąkała Oliwia.

— Milczże ty! — wrzasnął Beausire.

— La, la. Nie łaj pan tak tej pani, która jest zupełnie niewinna, a jeśli jesteś w złym humorze...

— Jestem.

— Zgrał się do nitki — dopowiedziała półgłosem Oliwia.

— Obdarli mnie ze skóry, pal to wszyscy diabli! — ryknął Beausire.

— I nie pogniewałbyś się pan, gdybyś sam mógł kogo obedrzeć — roześmiał się nieznajomy.

— To się rozumie, kochany panie Beausire.

— Dość tych facecji, proszę się wynosić!

— Och, panie Beausire, darujesz...

— Do krocset, wstajesz pan i wynosisz się albo roztrzaskam tę sofę i wszystko, co na niej jest...

— Nie powiedziałaś mi, mościa panno, że pan Beausire miewa takie humorki. Przebóg, jaka zajadłość.

Rozjątrzony Beausire komicznym gestem teatralnego patosu chwycił szpadę i zatoczył klingą koło o dziesięciu stopach obwodu.

— Ostatni raz powiadam, wstawaj albo przygwoźdź cię do ściany.

— Naprawdę bardzo to nieprzyjemne — odpowiedział nieznajomy nieśpiesznie i lewą ręką wyciągnął niedbale małą szpadkę z pochwy, którą położył za sobą na sofie.

Oliwia zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

— Panienko, panienko, uspokój się — odezwał się ów łagodny człeczyzna, biorąc wreszcie szpadę do ręki, ale nie wstając z sofy. — Uspokój się, bo mogą zdarzyć się dwie rzeczy: otumanisz pana Beausire i da się naszpikować albo zjawi się ront, zabierze cię i zaprowadzi prosto do świętego Łazarza.

Oliwia umilkła, ale krzyk zastąpiła najbardziej wymowną pantomimą. Widowisko było ciekawe. Z jednej strony pan Beausire, w rozchełstanej koszuli, pijany, roztrzęsiony z wściekłości wymierzał niedosiężnemu przeciwnikowi ciosy bez ładu i składu, z drugiej — mężczyzna siedzący na sofie zręcznie i niefrasobliwie parował Je uzbrojoną prawicą nie

zdejmując ani na chwilę lewej dłoni z kolan. Tak się przy tym śmiał, że zatrwożyłby samego Saint-Georges'a.

Beausire, zmordowany i zasapany, nie mogąc utrzymać się w pozycji, poczuł mimo woli strach. Gdyby ta pobłażliwa szpada, pomyślał, wyciągnęła się, przeszła do ataku, byłby z nim koniec, z Beausirem.

Zawahał się, wypadł z uderzenia i nacierał coraz słabiej. Przeciwnik złożył się i błyskawicznym ruchem wytrącił mu broń z ręki. Szpada jak piórko przeleciała przez pokój, wybiła szybę i spadła na ulicę. Beausire nie wiedział, jak się zachować.

— No, panie Beausire, miej się na baczności. Jeżeli pańska szpada spadła ostrzem w dół na głowę jakiegoś przechodnia, będziemy mieli trupa.

Beausire, wracając do przytomności, wybiegł na schody i pognał na dół, by podnieść broń i zapobiec nieszczęściu, które mogłoby poważnić go z policją. Tymczasem Oliwia chwyciła rękę zwycięzcy i rzekła:

— O panie, jesteś bardzo dzielny, ale Beausire to zdrajca, a poza tym pan mnie kompromitujesz zostając. Jak tylko wyjdiesz, niezawodnie obije mnie.

— A więc zostanę.

— Nie, nie, zmiłuj się; kiedy mnie wali, ja tłukę go także, a jestem zawsze mocniejsza. Nie mam po prostu czego żałować. Proszę, niech pan już idzie.

— Proszę zastanowić się nad jednym, moja śliczna. Jeśli wyjdę, spotkam go na dole albo zaczai się na mnie na schodach, będziemy się znowu bili, a na schodach szermierka nie jest tak łatwa jak na kanapie. Może się zdarzyć, że zabiję mistrza Beausire'a albo on mnie zabije.

— Boże! To prawda, ładny mielibyśmy skandal w domu.

— Można tego uniknąć. Zostanę.

— Na miłość boską, wyjdź pan. Zanim on wróci, pójdziesz na górne piętro. On jest pewny, że cię tu znajdzie i nie będzie nigdzie szukać. Jak tylko wejdzie do mieszkania, zamknę drzwi na dwa spusty, schowam klucz do kieszeni i zatrzymam chłopca w domu. Pan sobie wtedy pójdzie, a ja się z nim potłukę dla zabicia czasu.

— Rozkoszna z pani dziewczyna. Do widzenia.

— Do widzenia. A kiedy?

— Tej nocy jeszcze, jeśli łaska.

— Jak to, tej nocy? Czyś pan oszalał?

— Dalibóg tej nocy. Dzisiaj jest bal w Operze.

— Ale przecież już północ.

— A cóż to szkodzi?

— Trzeba mieć kostiumy.

— Beausire poszuka, jeśli zdołasz go pobić.

— Masz pan rację — powiedziała śmiejąc się Oliwia.

— Oto dziesięć luidorów na domina — rzekł również ze śmiechem nieznajomy.

— Dziękuję. Żegnam, żegnam.

— Ba, on zamyka drzwi na dole.

— Od wewnątrz jest tylko zasuwka. Żegnam, on idzie.

— Ale jeśli przypadkiem zostaniesz pobita, jak mi dasz znać?

Oliwia zastanowiła się.

— Musisz pan mieć lokajów?

— Tak, postawię jednego pod pani oknami.

— Dobrze, niech patrzy w górę i czeka, aż mu na nos spadnie bilecik.

— Świetnie. Żegnam.

Nieznajomy poszedł na górę. Było to nietrudne. Na schodach było ciemno, a Oliwia wzywając głośno Beausire'a zagłuszyła odgłos kroków swego nowego współnika.

— Chodźże tu, wariacie! — krzyczała na kochanka, który włókł się zagłębiony w rozważaniach nad moralną i fizyczną wyższością tego intruza, co tak bezczelnie wprowadził się do cudzego mieszkania.

Dowlókł się wreszcie na piętro, gdzie czekała nań Oliwia. Szpadę miał w pochwie i przeżuwał perorę. Oliwia wzięła go za kark, wepchnęła do pokoju i, jak obiecała, zamknęła drzwi na dwa spusty.

Nieznajomy, wychodząc, słyszał początek rozprawy. Hucznie jak dźwięk kotłów w orkiestrze rozlegały się odgłosy, które pospolicie i onomatopeicznie nazywa się klapsami. Uzupełniały je wrzaski i pogrożki. Głos Beausire'a grzmiał, Oliwii piorunował. Proszę wybaczyć tę nieudolną grę słów, ale doskonale oddaje myśli.

Nieznajomy nie czekał na koniec awantury.

— Zbyt wiele na początek zapалу, żeby nie miało się prędko skończyć — pomyślał.

Podszedł do karety, która czekała na niego za rogiem i wydał rozkaz jednemu ze służących. Ten, ukrywając się w podcieniach domu położonego naprzeciw okien Oliwii, obserwował i z ruchu sylwetek wyciągał wnioski, co dzieje się wewnątrz.

W smudze światła widać było, że obrazy najpierw bardzo ruchliwe stopniowo nieruchomieją. Wreszcie pozostał tylko jeden.

XX. ZŁOTO

A działo się tak:

Słyszac głośnie nawoływania panny Oliwii Beausire dziwił się, jeszcze bardziej zdziwiło go zamknięcie drzwi na klucz, ale najbardziej był zdziwiony, gdy nie znalazł groźnego rywala. Jak widać zląkł się jednak Beausire'a, skoro się ukrył. Był to oczywisty dowód triumfu i kiedy Oliwia ofuknęła go, by zaprzestał poszukiwań i odpowiadał na pytania, Beausire potraktował ją z góry.

Oliwia, która nie poczuwała się już do winy, ponieważ dowód winy zniknął — Quia corpus delicti aberat, jak powiada pismo — krzyczała tak głośno, że chcąc ją uciszyć Beausire zamknął jej usta ręką, a raczej pragnął zamknąć.

Pomylił się, albowiem Oliwia, zrozumiawszy fałszywie gest perswazji i pojednania, dłoni, która zbliżała się żwawo do jej twarzy, przeciwstawiła rękę równie zwinną i zwrotną jak przedtem szpada nieznajomego. Ręka ta z obrony przeszła do błyskawicznego natarcia i z rozmachem uderzyła w twarz Beausire'a. Ten przystąpił z kolei do kontrataku z flanki i prawa jego ręka, odbiwszy obie ręce Oliwii, pozostawiła rumiany ślad na jej lewym policzku. Gorszący łoskot tego właśnie fragmentu rozmowy podchwycił nieznajomy w chwili odejścia.

Rozpoczynane w ten sposób wyjaśnienia prowadzą, jak już mówiliśmy, do szybkiego rozwiązania, tym niemniej rozwiązanie typu dramatycznego wymaga mnóstwa jeszcze przygotowań. Na policzek Beausire'a Oliwia odpowiedziała ciężkim i niebezpiecznym pociskiem — dzbankiem fajansowym. Beausire odparł pocisk młyncem laski, która, tłukąc przy okazji kilka filiżanek i wywracając świecę, wyładowała wreszcie na plecach młodej kobiety. Ta, rozjuszona, rzuciła się na Beausire'a i chwyciła go za gardło; szarpiąc się i wydzierając z rąk szalejącej Oliwii nieszczęśnik rozdarł jej suknię. Na taką obelgę, dotknięta szkodą, odepchnęła go silnie, aż zatoczył się i upadł. Zerwał się pniąc z wściekłości.

Ponieważ jednak wartość nieprzyjaciela mierzy się w obronie i ponieważ dzielna obrona zawsze budzi respekt nawet u zwycięzcy, Beausire, który powziął wiele szacunku dla Oliwii, powrócił do dyskusji na słowa poczynając od miejsca, w którym ją przerwał.

— Jesteś złośliwa bestia — oświadczył. — Rujnujesz mnie.

— To ty ranie rujnujesz — odparła Oliwia.

— Och, ja ją rujnuję. A co ona ma?

— Zapytaj, co ona miała? Powiedz, że wszystko, co miałam, sprzedałeś i przejadłeś, przepiłeś albo przegrałeś w karty.

— I ty mi śmiesz wymawiać ubóstwo?

— A dlaczego jesteś ubogi? To wielki defekt.

— Już ja cię z twoich poprawię za jednym zamachem.

— Bijąc mnie?

Oliwia chwyciła ciężkie szczypce od ognia i Beausire wycofał się w popłochu.

— Jeszcze tego brakowało — rzekł — żebyś miała kochanków.

— A ty jak nazywasz te wszystkie nędznice, z którymi przesiadujesz po spelunkach całe dni i noce?

— Gram, bo muszę z czegoś żyć.

— I świetnie ci się powodzi, umieramy z głodu: doskonale zajęcie, nie ma co.

— A ty, ze swoim, musisz płakać, kiedy ci podrą suknię, bo nie masz za co kupić drugiej. To mi prześliczne zajęcie, do kroćset.

— Lepsze od twojego — wrzasnęła z wściekłością Oliwia. — Oto masz dowód.

I wyciągnąwszy z kieszeni garść złota cisnęła na pokój. Monety potoczyły się dokoła i rozsypały jak roziskrzono gwiazdki.

Na dźwięk owego metalicznego deszczu Beausire doznał jakby zawrotu głowy, a raczej jakby wyrzutów sumienia.

— Luidory, podwójne luidory — zawołał całkowicie pogębiony.

Oliwia wydobyła drugą garść monet i rzuciła ją prosto w twarz Beausire'a.

— Och, och! — zawołał. — Ależ ona bogata.

— Oto co mi przynosi moje zajęcie — odpowiedziała cynicznie kobieta popychając końcem pantofla rozsypane na podłodze złoto i potrącając Beausire'a, który ukląkł, by je pozbiierać.

— Szesnaście, siedemnaście, osiemnaście — liczył zadyszany z radości.

— Nędznik — mruknęła Oliwia.

— Dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden..

— Łotr.

— Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery...

— Podły.

Czy słyszał to, czy nie słyszał — Beausire wstał zaczerwieniony.

— A więc — powiedział z powagą, której nic nie mogło dorównać w komizmie — a więc, moja panno, robiłaś oszczędności pozbawiając mnie najniezbędniejszych rzeczy.

Stropiona Oliwia nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— A więc — mówił dalej — pozwalając, żebym biegał w podartych pończochach, w wytartym kapeluszu, w strzępach i łachach, a sama chowałaś w szkatułce luidory. Skąd te pieniądze? Stał, że wyprzedam się, połączywszy, na nieszczęście, swój los z twoim.

— Nicpoń — szepnęła Oliwia. I rzuciła na niego wzrokiem pełnym pogardy.

On jednak nie obraził się.

— Wybaczam ci — rzekł — nie twoją chciwość, ale twoje oszczędności.

— Tak, tak, dopiero co chciałeś mnie zamordować.

— Wtedy miałem rację, a teraz już bym jej nie miał.

— Czemu to?

— Bo teraz jesteś dobrą gospodynią, troszczysz się o gospodarstwo

— Powiedziałaś, że jesteś nędznik.

— Moja maleńka Oliwio!

— Oddasz mi zaraz to złoto!

— Ależ, kochanie!

— Oddasz mi, bo tą twoją szpadą przeszyję cię na wylot!

— Oliwio!

— Tak, czy nie?

— No nie, Oliwio, nie chcę żebyś mnie przeszyła.

— Nie ruszaj się, bo cię przebiję! Pieniądze!

— Daj mi je.

— Och, ty podły, och, nędzna kreaturo! Zebrzesz, prosisz o wsparcie u kobiety złego prowadzenia się. I to się nazywa mężczyzna? Zawsze pogardzałam wami, wszystkimi pogardzałam, czy słyszysz? Bardziej jeszcze tym, który daje, niż tym, który odbiera.

— Ten, który obdarza — podjął poważnie Beausire — który może obdarzać, ten jest szczęśliwy. Ja również obdarzałem cię, Nicole.

— Nie chcę, żeby nazywano mię Nicole.

— Przepraszam, Oliwio. A więc, powiadam, i ja obdarzałem cię, kiedy mogłem.

— Piękna mi hojność. Srebrne kolczyki, sześć luidorów, dwie suknie jedwabne i trzy haftowane chusteczki.

— To i tak wiele, jak na żołnierza.

— Milcz! Kolczyki ukradłeś, żeby mi podarować, pieniądze pożyczyłeś i nigdy nie oddałeś, suknie...

— Oliwio!

— Oddaj mi moje pieniądze!

— Co chcesz w zamian?

— Dwa razy tyle.

— No dobrze — powiedział z powagą łotrzyk. — Pójdę grać na ulicę Bussy, obiecuję ci nie dwa, ale pięć razy tyle.

Dał dwa kroki ku drzwiom. Oliwia zatrzymała go za połą dość już nadszarpiętą przez lata.

— Otóż to — rzekł — rozdarłaś mi frak.

— Tym lepiej, kupisz sobie nowy.

— Sześć luidorów, Oliwio, sześć luidorów. Na szczęście gracze przy ulicy Bussy nie są przeczuleni na punkcie toalety.

Oliwia najspokojniej ujęła drugą połą i oderwała. Beausire wpadł w złość.

— Do wszystkich diabłów — zawołał — chcesz, żebym cię zatłukł na śmierć? Nic tylko zachciało się jej mnie rozbierać. Nie mogę teraz stąd wyjść.

— Owszem, natychmiast wyjdiesz.

— W czym? Bez ubrania?

— Włożysz zimowy surdut.

— Dziurawy i połatany.

— Możesz go nie kłaść, jeśli nie chcesz, ale iść musisz.

— Przenigdy.

Oliwia wyciągnęła z kieszeni resztę złota, około czterdziestu luidorów i poczęła podrzucać je na złożonych dłoniach. Beausire zgłupiał do reszty. Uklęknął po raz drugi.

— Rozkazuj — powiedział.

— Przy ulicy Sekwany w magazynie Capucin–Magique sprzedają kostiumy na bal maskowy. Pobiegniesz i kupisz mi cały komplet. Domino, maskę i pończochy.

— Dobrze.

— Dla siebie czarne, dla mnie białe, jedwabne.

— Dobrze.

— I daję ci tylko dwadzieścia minut czasu.

— Pójdziemy na bal?

— Tak.

— I zaprowadzisz mię na bulwary, na kolację?

— Pod warunkiem, że będziesz posłuszny.

— Zawsze, zawsze!

— No, więc pokaż swą gorliwość.

— Idę już.

— Jak to, jeszcze tu jesteś?

— No, a pieniądze?

— Masz przecież dwadzieścia pięć luidorów.

— Jakie dwadzieścia pięć, co za pomysł?

— Te, które zebrałeś z podłogi.

— Ej, Oliwio, to nieładnie. Darowałaś mi je.

— Nie mówię, że nie będą twoje, ale gdybym ci je dała teraz, już byś się nie pokazał. Idź i zaraz wracaj.

— Ona ma rację, do licha — powiedział łotrzyk trochę zawstydzony. — Miałem zamiar nie zjawić się.

— Dwadzieścia pięć minut, słyszysz?

— Słucham.

Lokaj zaczajony pod oknami spostrzegł w tym momencie, że jedna z osób zniknęła. Był to pan Beausire, który wyszedł z domu we fraku bez poł, ze szpadą kolebiącą się dziarsko przy boku i koszulą wzdętą jak za czasów Ludwika XIII. Zaledwie wyszedł, Oliwia napisała na kartce parę słów, w których zawarła streszczenie całego zajścia.

„Pokój został podpisany, podział dokonany, bal uzgodniony. O drugiej będziemy w Operze. Będę w białym dominie z błękitną wstążką na lewym ramieniu.”

Owinęła papier dokoła odłamka potłuczonego dzbanka, wysunęła rękę przez okno i cisnęła bilecik na ulicę. Lokaj, chwyciwszy tę zdobycz, ulotnił się.

Nim upłynęło trzydzieści minut, pan Beausire powrócił z dwoma krawczykami dźwigającymi kupione za osiemnaście luidorów dwa domina, wytworne, uszyte u dobrego krawca, dostawcy Jej Królewskiej Mości oraz dam dworu.

XXI. DOMEK NA UBOCZU

Zostawiliśmy panią de la Motte przed drzwiami pałacu w chwili, gdy obserwowała powóz uwożący królowę. Kiedy straciła go z oczu i kiedy nie można już było dosłyszeć turkotu, Joanna wsiadła również do powozu i wróciła do siebie, by przebrać się w domino i zobaczyć, czy nie wydarzyło się nic nowego.

Tej nocy, zapowiadającej się tak dobrze, pani de la Motte obiecywała sobie miłe chwile po wszystkich kłopotach dnia. Jako kobieta silna postanowiła przynajmniej raz zabawić się po kawalersku — jak się to mówi dobitnie i wulgarnie — i zażyć w ten sposób wszelkich rozkoszy niespodzianki.

Ale już przy pierwszych krokach na tej drodze tak urzekającej dla żywej, a długi czas hamowanej wyobraźni — oczekiwała ją przeszkoda: u odźwiernej, mianowicie, czekał na nią umyślny od księcia de Rohan z bilecikiem następującej treści:

„Pani Hrabino.

Zapewne pamięta pani, że mamy do załatwienia pewne sprawy. Gdyby jednak pamięć panią zawiodła, proszę wziąć pod uwagę, że ja nie zapominam nigdy o tym, co mi jest miłe. Mam zaszczyt oczekiwać panią tam, gdzie zaprowadzi ją oddawca, o ile zechcesz się zjawić.”

List podpisany był krzyżem pasterskim.

Pani de la Motte, w pierwszej chwili niezadowolona z przeszkody, namyśliła się i powzięła postanowienie z charakterystyczną dla niej szybkością decyzji

— Proszę, sięść obok mego woźnicy — powiedziała do posłańca — lub podać mu adres.

Goniec siadł obok stangreta, hrabina wsiadła do powozu.

Po dziesięciu minutach znalazła się u wjazdu na Przedmieście św. Antoniego. Ogromne drzewa, stare jak sama dzielnica, skrywały przed oczyma ciekawych jeden z owych uroczych domków, budowanych za Ludwika XV w stylu szesnastego wieku, ale z nieporównanym komfortem osiemnastego.

— Aha, ustronny domeczek — pomyślała hrabina. — To bardzo zrozumiałe u wielkiego pana, ale zbyt upokarzające dla Walezjanki... Ale w końcu...

To westchnienie rezygnacji czy też okrzyk niecierpliwości zdradzały całą jej próżność i pożądlivość. Jednak nim przekroczyła próg domu, była zdecydowana.

Prowadzono ją z pokoju do pokoju, to znaczy od niespodzianki do niespodzianki, aż znalazła się w małej jadalni urządzonej z wyszukany smakiem. Tam czekał na nią samotni kardynał.

Jego Eminencja wertował broszurki, bardzo podobne do owych pamfletów, które tysiącami przylatywały w tym czasie z wiatrem wiejącym z Anglii lub Holandii. Ujrzawszy ją wstał.

— Ach, jest pani, bardzo dziękuję, pani hrabino — rzekł. I podszedł chcąc ucałować jej rękę.

Hrabina cofnęła się z miną wyrażającą pogardę i obrazę.

— Co się stało? — zapytał kardynał. — O co pani chodzi?

— Pan nie jest przyzwyczajony, Wasza Wysokość, widywać podobną postawę u kobiet, które Eminencja zaszczyca zaproszeniem do tego domku, prawda?

— Pani hrabino?

— Jesteśmy przecież w pańskim ustronnym domku — powiedziała pani de la Motte, rozglądając się wzgardliwie.

— Ależ, pani...

— Spodziewam się, że Wasza Eminencja raczy sobie przypomnieć, z jakiego pochodzę rodu. Spodziewam się, że Wasza Eminencja raczy pamiętać, że jeśli Bóg stworzył mnie biedną, pozostawił mi przynajmniej dumę mojego stanu.

— No, no, hrabino, brałem cię za kobietę rozsądną — odezwał się kardynał.

— Jak widzę, nazywasz pan kobietą rozsądną każdą kobietę, której jest wszystko jedno, która śmieje się nawet z hańby. Takim kobietom, niech mi Eminencja wybaczy, damę zazwyczaj inną nazwę.

— Nie, hrabino. Myli się pani. Kobieta rozsądną nazywam taką, która słucha, kiedy się do niej mówi, dopóki nie wysłucha.

— Słucham więc.

— Mieliśmy pomówić o sprawach poważnych.

— I dlatego sprowadził mnie pan do sali jadalnej.

— No tak, czy pani wolałaby może, żebym oczekiwał ją w buduarze?

— To bardzo subtelne rozróżnienie.

— I ja tak myślę, hrabino.

— A więc chodzi tylko o wieczerzę z księciem?

— O nic innego.

— Niech Wasza Eminencja będzie pewien, że doceniam ten zaszczyt, jak należy.

— Pani sobie kpi, hrabino.

— Skądże, śmieję się.

— Śmiejesz się, pani?

— Tak. Czy pan by wolał, żebym się gniewała? Ach, Wasza Wielbność nie ma poczucia humoru, jak się zdaje.

— O, pani, jesteś czarującą, kiedy się śmiejesz i chciałbym cię widzieć zawsze roześmianą. Ale w tej chwili nie śmieje się pani, nie, pani piękne wargi kryją gniew.

— Nigdy w świecie, księżę, uspokaja mnie ta sala jadalna.

— No, to doskonale.

— I mam nadzieję, że kolacja będzie panu smakowała.

— Jak to, będzie mi smakowała? A pani?

— Nie jestem głodna.

— Jak to, pani odmawiasz kolacji? Wypędzasz mnie, pani.

— Co pan mówi? Nie rozumiem, Wasza Wysokość.

— Proszę posłuchać, droga hrabino. Gdyby nie była pani tak zagniewana, powiedziałbym — „Rób sobie, co chcesz, i tak tego nie zmienisz, że jesteś urocza”. Ponieważ jednak lękam się przy każdym komplemente, że zostanę odprawiony, wolę się wstrzymać.

— Boisz się pan, że zostaniesz odprawiony? Przepraszam Waszą Eminencję, ale naprawdę nic nie rozumiem.

— A przecież to jasne.

— Proszę mi wybaczyć moją ignorancję.

— Wszakże, przyjmując mię podówczas, byłaś pani zażenowana, krępowało cię, że mieszkasz w sposób niegodny osoby twego stanu i nazwiska. Mnie zmusiło to do skrócenia wizyty, pan zaś podyktowało pewną wobec mnie oziębłość. Pomyślałem sobie, że wprowadzić panią do jej środowiska, do właściwych jej warunków życia, to tak jakby przywrócić powietrze ptaszкови, którego fizyk umieścił w pneumatycznej maszynie.

— A więc? — zapytała hrabina z podnieceniem, ponieważ zaczynała już pojmować.

— A więc, piękna pani, żebyś mogła śmiało mnie przyjmować, żebym mógł odwiedzać cię, nie kompromitując ani siebie, ani pani...

Kardynał spojrział na hrabinę przenikliwie.

— A więc? — powtórzyła.

— Spodziewam się, że zechce pani przyjąć ode mnie ten skromny domek. Czy zauważyła pani, że nie mówię o domku na uboczu?

— Przyjąć? Mam przyjąć ten domek? Książę chce mi go darować? — zawołała hrabina. Serce jej zabiło żywiej z chciwości i dumy.

— Drobnostka, hrabino, naprawdę drobnostka. Ofiarowałbym więcej, ale nie przyjęłabyś pani.

— Ani mniej, ani więcej, Wasza Dostojność.

— O czym pani mówi?

— Mówię, że nie mogę przyjąć takiego podarunku.

— Nie może pani, dlaczego?

— Dlatego, że nie. To niemożliwe.

— Niechże pani nie wymawia przy mnie tego słowa.

— Czemu?

— Bo nie uwierzę w nie... przy pani.

— Eminencjo!

— Hrabino, dom ten należy do pani, klucze leżą tu na pozłacanej tacy. Przyjmuję panią jak zdobywcę. Czy upatruje pani w tym coś upokarzającego?

— Nie, ale... Powiedziałałam Waszej Eminencji.

— Jak to, pisujesz, pani, do ministrów prośbę o pensję, przyjmujesz sto luidorów od nieznanym dam...

— Och, Eminencjo, to zupełnie co innego. Kto przyjmuje...

— Kto przyjmuje, wyświadcza uprzejmość, hrabino — rzekł dwornie książę. — Widzi pani, czekam w sali jadalnej, nie oglądałem ani buduaru, ani salonu, ani komnat, domyślałam się tylko, że wszystko to jest.

— Och, Eminencjo, wybacz. Zmuszasz mię do wyznania, że nie ma na świecie subtelniejszego człowieka od pana.

I hrabina, dotąd powściągliwa, zarumieniła się z radości na myśl, że może powiedzieć: „Mój dom”.

Spostrzegłszy jednak, że ponosi ją temperament, na gest księcia odpowiedziała ukłonem.

— Eminencjo — powiedziała, cofając się o krok — proszę o przyjęcie mnie wieczną.

Kardynał podsunął hrabinie krzesło, zrzucił płaszcz, którym był okryty do tej pory i oto ubrany po cywilnemu — w czym bardzo mu było do twarzy — rozpoczął obowiązki szafarza.

Kolację podano bezzwłocznie i hrabina, słysząc nadchodzących lokai, założyła maskę.

— To ja raczej powinienem się zamaskować — rzekł kardynał. — Pani jesteś u siebie, to są twoi domownicy, to ja jestem tutaj obcy.

Joanna roześmiała się, ale maski nie zdjęła. Przyjemna niespodzianka oszałamiała ją, ale nie odbierała apetytu.

Jak już poptarzaaliśmy wielokrotnie, kardynał był człowiekiem miary niepospolitej, rozumnym i wielkodusznym. Długoletni pobyt na dworach europejskich, na dworach najbardziej cywilizowanych, rządzonych przez kobiety, znajomość kobiet, które w tej epoce maciły, ale często i uciszały ton wielkiej polityki, owo doświadczenie, które miał, jeśli tak można powiedzieć, we krwi, a pomnożył osobistą pracą wszystkie te przymioty, tak rzadkie wówczas, a jeszcze rzadsze obecnie, sprawiały, że książę był osobistością trudną do przeniknięcia dla dyplomatów — jego rywali, jak również dla kobiet — jego kochanek.

Układność i wytworne obejście kardynała były pancierzem nie do przebiccia. Toteż uważał się on za człowieka o wiele przewyższającego Joannę. Ta prowincjałka nadęta pretensjami,

niezdolna pod fałszywą dumą ukryć przed nim chciwości, wydawała mu się zdobyczą łatwą a pożądaną. W jej urodzi a i umysłowości było coś prowokującego, coś, co pociąga raczej ludzi zblazowanych niż naiwnych. Tym razem ten nieprzenikniony a tak przenikliwy kardynał mylił się może, faktem jest, że Joanna z całą jej urodą ani na moment nie budziła w nim nieufności.

To właśnie zgubiło tego wybitnego człowieka. Okazał się nie tylko słabszy niż był w istocie, skarłał po prostu. Od Marii Teresy do Joanny de la Motte zbyt wielka była różnica skali, żeby de Rohan, persona tego pokroju, zadawał sobie trud walczyć. Ze swej strony Joanna, która, skoro tylko zaczęła się walka, wyczuła swą pozorną słabość, wystrzegła się pilnie, żeby nie okazać swej rzeczywistej przewagi. Grała z powodzeniem rolę prowincjonalnej kokietki, udawała naiwne kobieciątko byle tylko podtrzymać wiarę przeciwnika we własne siły, a w rezultacie osłabić jego ofensywne zdolności.

Podarunkiem była zachwycona, przewyższał bowiem nie tylko jej nadzieje, ale nawet pretensje i ukryć tego nie potrafiła, lecz kardynał sam rozwiął jej radosny nastrój nowymi żądaniami. Nie uprzytomnił sobie przy tym, że ambicja i pycha takiej kobiety, jak Joanna, sięgają wyżej jeszcze niż jego osoba.

— A zatem — rzekł nalewając hrabinie cypryjskie wino do malej czarki z kryształu nasyconego roztopionym złotem — a zatem, skoro Już podpisałaś ze mną kontrakt, nie dąsaj się, pani.

— Dąsać się, skądże?

— I zgodzisz się, pani, od czasu do czasu przyjąć mnie bez wstępu?

— Jakże mogłabym odpłacić się niewdzięcznością i zapomnieć, że jesteś pan tutaj u siebie.

— U siebie? Nonsens.

— Nie, nie, u siebie, właśnie u siebie.

— No, ale jeśli mi się sprzeciwisz, strzeż się.

— Bo co, Eminencjo? Co wtedy...?

— Postawię pani inne warunki.

— Ach tak. Ale i pan się strzeż.

— Czego?

— Wszystkiego.

— Nie rozumiem?

— Jestem u siebie i jeśli warunki będą niestosowne, zawołam służbę.

Kardynał roześmiał się.

— No, widzi pan.

— Nic jeszcze nie widzę.

— Ale ja widzę, żeś pan ze mnie żartował. Śmiejesz się.

— Czy na to nie pora?

— Owszem, pora, bo wiesz, że gdybym zawołała moich ludzi — nie przyjdą.

— Ależ tak. Niech mnie diabli porwą!

— A fe, mości książę!

— A cóż ja takiego złego zrobiłem?

— Klniesz, Eminencjo.

— Nie jestem tutaj kardynałem, hrabino. Jestem u pani i mam powodzenie.

I znowu roześmiał się.

— No tak — pomyślała sobie hrabina — istotnie to pyszałek.

— Ale, ale — rzekł nagle kardynał, jakby mu się coś znieacka przypomniało — co mi pani wtedy mówiłaś o tych damach z dobroczynności, o tych dwóch Niemkach?

— O tych dwóch damach z miniaturą? — zapytała Joanna, która, poznawszy już królowę, gotowa była odbić pchnięcie i przejść z kolei do natarcia.

— Tak, o damach z miniaturą.

— Wasza Wielbność — powiedziała pani de la Motte z naciskiem — zna je równie dobrze, a nawet, założę się, lepiej ode mnie.

— Ja? Hrabino, krzywdzisz mię. Przecież chciałaś, jak się zdaje, dowiedzieć się, kto to jest.

— Oczywiście. To chyba naturalne pragnienie poznać swoje dobrodziejki?

— Tak jest. Gdybym wiedział, kim one są, wiedziałabyś już i pani.

— Kardynale, oświadczam, że pan je zna.

— Nie.

— Jeszcze jedno „nie”, a nazwę pana kłamcą.

— Oj, zemściłbym się za obelgę.

— Proszę, w jaki sposób?

— Uściskałbym panią.

— Pan — długoletni ambasador przy dworze wiedeńskim, pan — wielki przyjaciel cesarzowej Marii Teresy — musiał pan przecież poznać portret swej przyjaciółki, nawet gdyby nie był zbyt podobny.

— Doprawdy, to miał być portret Marii Teresy?

— Niechże pan nie udaje ignoranta, panie dyplomato.

— No dobrze, przypuśćmy, że poznałem portret Marii Teresy. I cóż nam z tego przyjdzie?

— Poznawszy, czyj to jest portret, powinieneś pan domyśleć się, do kogo należy.

— Ależ, co pani chcesz, skąd ja mam to wiedzieć? — zawołał kardynał trochę zaniepokojony.

— No cóż, nie często się zdarza widywać portrety matki, bo zauważ pan, że chodzi o portret matki, a nie cesarzowej, w innych rękach niż ręce...

— Proszę dokończyć.

— Niż ręce córki.

— Królowej? — zawołał Ludwik de Rohan z akcentem szczerości, który zwiódł Joannę. — Królowej? Czyżby była u pani Jej Królewska Mość?

— Jak to? I pan tego nie odgadł?

— Mój Boże, nie — powiedział kardynał nie zająknawszy się nawet — nie. Na Węgrzech, na przykład, jest zwyczaj, że portrety panujących przechodzą z rąk do rąk. Ja sam, tu obecny, który nie jestem synem ani córką, ani nawet powinowatym Marii Teresy, noszę przy sobie jej portret.

— Czy masz go przy sobie, Eminencjo?

— Proszę — rzekł chłodno kardynał.

I wydobywszy z kieszeni tabakierkę pokazał skonfundowanej Joannie.

— Widzi pani — dodał — że jeśli ja posiadam ten portrecik, choć „nie mam zaszczytu pochodzić z cesarskiej rodziny, ta osoba, która go u pani zapomniała, wcale nie musi być związana z dostojnym domem austriackim.

Joanna milczała. Nie brakowało jej zmysłu dyplomatycznego, ale nie miała jeszcze praktyki.

— A więc myśli pani — kontynuował książę Ludwik — że złożyła jej wizytę królowa Maria Antonina?

— Królowa z jakąś damą.

— Z panią de Polignac?

— Nie wiem.

— Panią de Lamballe?

— Z młodą kobietą, ładną i bardzo poważną.

— Może z panną de Taverney?

— Być może, nie znam jej.

— Skoro więc Jej Królewska Mość złożyła pani — wizytę, jest pani pewna protekcji królowej. To wielki los dla pani.

— Tak mi się zdaje.

— Przepraszam za pytanie, czy Jej Królewska Mość okazała się wspaniałomyślna?

— Przecież dała mi sto luidorów.

— Och, królowa nie jest bogata. Przynajmniej w tej chwili.

— To tylko podwaja mą wdzięczność.

— A czy okazała jakieś zainteresowanie pani losem?

— Nawet dość żywe.

— A więc dobrze się składa — rzekł prałat w zadumie, myśląc już o protektorce, a nie o protegowanej — jedna tylko rzecz pozostaje pani do zrobienia: dostać się do Wersalu.

Hrabina uśmiechnęła się.

— Ach, nie udawajmy, hrabino, to będzie naprawdę trudne.

Hrabina uśmiechnęła się znowu, tym razem jeszcze bardziej znacząco. Z kolei roześmiał się kardynał.

— Już to wy, ludzie z prowincji, nigdy nie miewacie wątpliwości. Ponieważ widzieliście Wersal z bramami, które się otwierają i schodami, po których się wchodzi, wyobrażacie sobie, że każdy może otworzyć te bramy i wejść po schodach. Czy pani widziała, hrabino, te wszystkie monstra ze spiżu i marmuru, które zapelniają tarasy i park wersalski?

— Owszem, Eminencjo.

— Te wszystkie gryfy, chimery, gorgony, harpie i inne stwory złośliwe? Toż trzeba je liczyć na setki. I niechże sobie pani teraz wyobrazi, że na drodze między monarchami a ich dobrodziejstwami czai się jeszcze więcej groźnych potworów: no, dziesięć razy tyle, ile widziałaś między kwietnikami a tobą.

— Wasza Eminencja pomoże mi przejść między szeregami tych potworów, gdyby zastąpiły mi drogę.

— Postaram się, ale to nie będzie łatwe. A w dodatku, jeśli wymienisz, pani, moje nazwisko, jeśli odsłonisz swój talizman, po dwóch wizytach już ci się na nic nie przyda.

— Na szczęście — odpowiedziała hrabina — ochrania mnie z tej strony bezpośrednia protekcja królowej. Jeżeli dostanę się do Wersalu, wejdę z dobrym kluczem.

— Z jakim kluczem, hrabino?

— O, kardynale, to mój sekret, a raczej nie, pomyliłam się. Gdyby to był mój sekret, powierzyłabym go panu, bo nie mam nic do ukrywania przed moim... tak łaskawym protektorem.

— Jest więc jakieś ale, hrabino?

— Niestety, tak, Eminencjo. Sekret nie jest mój i muszę go dochować. Jedno, co mogę powiedzieć...

— Co takiego?

— Że jutro udaję się do Wersalu, że będę przyjęta, i to, mam nadzieję, dobrze.

Pewność siebie młodej kobiety wydawała się kardynałowi wynikiem bezpośredniego działania zakrapianej kolacji.

— Hrabino — rzekł śmiejąc się — zobaczymy, czy wejdiesz.

— Jeśliś pan tak ciekaw, wyślij kogoś za mną. Słowa nie cofam.

— No, hrabino, od jutra honor twój wymaga, żebyś dostała się do Wersalu.

— Tak jest, Eminencjo, do prywatnych apartamentów.

— Zapewniam cię, pani, że jesteś dla mnie żywą zagadką.

— Czy może jednym z tych monstrów z parku wersalskiego?

— Ech, chyba masz mnie pani za człowieka z gustem?

— Na pewno, Eminencjo.

— Skoro więc widzisz mnie u swoich nóg, nie możesz suponować, kiedy biore i całuję twoją rękę, że przyciskam usta do szponów ani że kładę dłoń na łuskach rybiego ogona.

— Wasza Wielmożność — powiedziała zimno Joanna — proszę nie zapominać, że nie jestem gryzektą ani dziewczątkiem z opery, to znaczy, że jeśli nie należę do męża, należę tylko do siebie. W królestwie tym stoję na równi z każdym i kiedy mi przyjdzie na to ochota, dobrowolnie i swobodnie wybiorę sobie mężczyznę, który mi się spodoba. Tak więc, księżę, okazując mi odrobinę szacunku, uszanujesz jednocześnie stan szlachecki, do którego należymy oboje. Kardynał powstał.

— A więc żądasz, pani, abym cię kochał na serio.

— Tego nie mówię, mości kardynale, lecz sama chciałabym pana kochać. Proszę mi wierzyć, że jeśli nadejdzie taka chwila, łatwo ją odgadniesz. A gdybyś tego nie odgadł, sama o tym powiem, czuję się bowiem na tyle młoda i niebrzydka, że mogę bez obawy zrobić pierwszy krok. Mężczyzna z honorem mnie nie odepchnie.

— Hrabino — rzekł kardynał — zaręczam, że jeśli to ma zależeć ode mnie, będziesz mię kochać.

— Zobaczymy.

— Żywisz już dla mnie trochę przyjaźni, czyż nie tak?

— Więcej

— Naprawdę? Jesteśmy zatem w połowie drogi.

— Nie mierzmy drogi na sąźnie. Maszerujmy.

— Hrabino, jesteś kobietą, którą uwielbiałbym...

— Uwielbiałbym? — zdziwiła się. — Gdyby?...

— Gdyby... gdybyś pozwoliła — zawahał się z odpowiedzią.

— Eminencjo. Być może pozwolę, jeśli los uśmiechać się będzie dość długo i zwolni pana od konieczności klękania przede mną tak nagle i całowania mych rąk tak przedwcześnie.

— Jak to?

— Gdy nie będę zależna od pańskich dobrodziejstw, gdy pozbędziesz się podejrzeń, że zabiegam o twe wizyty dla interesu, uszlachetni to pańskie zapały, ja na tym zyskam, a pan nic nie stracisz.

Wstała, bo pragnąc, żeby sentencja moralna wypadła dobitniej, wypowiedziała ją na siedząco.

— A zatem stawiasz mnie, pani, w sytuacji bez wyjścia.

— Czemu?

— Nie pozwalasz mi starać się o twe względy.

— Nigdy w świecie. Czy nie ma innych sposobów podboju niż klękanie?

— Zaczynamy żwawiej, hrabino. Na co zechcesz mi pozwolić?

— Na wszystko, co da się pogodzić z moimi upodobaniami i obowiązkami.

— Och, och, wybierasz patii dwa tereny najbardziej nieokreślone w świecie.

— Po co mi pan przerwał, Eminencjo? Miałam jeszcze dorzucić trzeci.

— Na miły Bóg. Jaki?

— Moje kaprysy.

— Jestem zgubiony.

— Wycofujesz się pan?

Kardynał nie panował w tym momencie nad swymi myślami, pozostawał całkowicie pod wpływem wdzięków ponętnej czarodziejki.

— Nie — rzekł. — Nie cofnę się.

— Przed moimi obowiązkami?

— Ani nawet przed upodobaniami i kapryсами.

— Proszę o dowód.

— Słucham.

— Chciałabym dziś wieczorem być na balu w Operze.

— To zależy tylko od pani, hrabino. Jesteś wolna jak ptak i nie widzę przeszkód, żebyś udała się na bal do Opery.

— Chwileczkę, pan dostrzega tylko połowę mojego życzenia. Chciałabym, żebyś i pan był na tym balu.

— Ja? Na balu w Operze? Ależ hrabino! — zachnął się. Gest jego zupełnie normalny i zrozumiały w wypadku zwykłego śmiertelnika mógł wydać się zadziwiającym wyskokiem ze strony znakomitego męża stanu i księcia kościoła.

— To tak mi się chcesz przypodobać! — powiedziała hrabina.

— Kardynał nie chadza na bale do Opery. To tak, jakbym panią zaprosił do... no, do pałami.

— I kardynał nie tańczy, nieprawdaż?

— No... nie.

— A czemu więc czytałam, że kardynał de Richelieu tańczył sarabandę?

— Przed Anną Austriacką, tak... — wyrwało się księciu.

— Przed królową, to prawda — powtórzyła Joanna spojrzawszy bystro na kardynała. — Tak, dla królowej może byś i pan to uczynił.

Księżę, choć odporny i przebiegły, nie umiał powstrzymać rumieńca. Złośliwa istota jednakże, bądź nie chcąc przedłużać kłopotliwej sytuacji, bądź ulitowawszy się nad nim, dodała szybko:

— I jakże mam nie być urażona, gdy pan, który tyłeś mi złożył zapewnienie, wyżej cenisz jakieś tam królowe. Chodzi przecież o pójście w dominie i pod maską. A jeśli wybierzesz się to swą uprzejmością dokonasz na naszej drodze tak olbrzymiego kroku, że żadne sążnie nigdy by go nie zmierzyły.

Kardynał, szczęśliwy, że mu się upiekło tak łatwo, zadowolony przede wszystkim ze zwycięstw, które zręczność Joanny pozwalała mu odnosić pomimo nierozwagi, chwycił dłoń hrabiny i uściskał.

— Dla pani wszystko, nawet niepodobieństwo.

— Dziękuję, Eminencjo, człowiek który zdobywa się dla mnie na ofiarę jest przyjacielem wysokiej próby. Zwalniani pana od pańszczyzny, kiedyś już na nią przystał.

— O nie, tylko ten może żądać zapłaty, kto dopełnił obowiązku. Idę z panią, hrabino, ale w dominie.

— Pojedziemy na ulicę Saint-Denis, w sąsiedztwie Opery Tam wysiadę zamaskowana i kupię w magazynie domino i maskę dla pana. Ubierzesz się w karecie.

— Wie pani, hrabino, to będzie urocza wyprawa.

— Och, księżę, zawstydzona jestem pańską dobrocią. Ale być może, w pałacu Rohanów Wasza Przewielebność znajdzie gustowniejsze domino, niż to, które kupimy.

— Ot i niewybaczalna złośliwość, hrabino. Proszę zauważyć że jeśli wybiorę się na bal do Opery...

— To co?

— To będę równie zdumiony, że się tam znajduję, jak pani, gdy sam na sam jadłaś kolację z innym mężczyzną niż własny mąż.

Joanna nie wiedząc co odpowiedzieć, podziękowała.

Przed drzwiami domostwa stanęła kareta bez herbów i zabrawszy oboje uchodźców, szybkim kłusem ruszyła w stronę bulwarów.

XXII. KILKA SŁÓW O OPERZE

Opera, paryska świątynia rozkoszy, spaliła się w czerwcu 1781 roku. Pod zgliszczami zginęło dwadzieścia osób, a ponieważ nieszczęście przytrafiło się już po raz drugi w ciągu lat osiemnastu, z dotychczasowej siedziby w Palais-Royal przeniesiono ją na rozkaz królewski do dzielnicy mniej zabudowanej i bardziej odległej.

To miasto z płótna i białego drzewa, z kartonu i malowideł, było zawsze przedmiotem wielkiego zainteresowania mieszkańców sąsiednich domostw. Opera w stanie całym i nienaruszonym rozpaliała serca finansistów i osób z towarzystwa, tasowała stanowiska i majątki. Opera w płomieniach mogła zniszczyć całą dzielnicę, a nawet całe miasto. Wystarczył podmuch wiatru.

Wybrano miejsce przy Porte-Saint-Martin. Król, strapiiony, że jego zacna stolica obywać się będzie przez dłuższy czas bez opery, posmutniał, tak jak smucił się zwykle, gdy nie dopisywał dowóz zboża lub wzrastała cena chleba. Warto było widzieć starą szlachtę i młodą palestrę, wojskowych i urzędników zbitych z tropu nadmiarem wolnego czasu po obiedzie, warto było widzieć tułające się, bezdomne bóstwa — poczynając od statystki do primadonny. Żeby pocieszyć króla, a po trosze i królowę, wskazano Ich Królewskim Mościom pana Lenoir, architekta, który obiecywał złote góry. Obrotny ten człowiek opracował nowe plany, zaprojektował doskonały system ruchu, żeby w razie pożaru nie duszono się w korytarzach. Projektował mianowicie osiem wyjść dla uciekających, a na pierwszym piętrze okna szerokie i położone tak nisko, że nawet najwięksi tchórze mogliby skoczyć na ulicę narażając się najwyżej na potłuczenie.

Zamiast pięknej sali Moreau z malowidłami Durameaux, pan Lenoir zaprojektował budynek szeroki od strony bulwarów na 96 stóp. Fasadę z trzema portalami zdobić miało osiem kariatyd opartych o filary, osiem kolumn na cokołach, fryz w płaskorzeźbie nad kapitelami oraz balkon trójokienny z archiwoltami, Scena miała mieć 36 stóp szerokości, a widownia 72 stopy długości i 84 szerokości. Foyer miało być przystrojone zwierciadłami oraz skromną, lecz gustowną dekoracją.

Pod orkiestrą pan Lenoir przewidywał olbrzymi zbiornik wody przez całą szerokość sali. Przy dwóch oddziałach pomp czuwać miało stale dwudziestu gwardzistów. W dodatku na wykończenie budowli architekt żądał zaledwie siedemdziesięciu pięciu dni i tyłuż nocy, ani godziny więcej. Wydawało się to zwykłą gaskońską fanfaronadą i budziło tylko śmiech. Ale król sprawdził obliczenia Lenoira i zgodził się na wszystko, Architekt wziął się do roboty i zobowiązania dotrzymał. W oznaczonym czasie sala oddana została do użytku.

Teraz jednak publiczność, która nie jest nigdy z niczego zadowolona, doszła do wniosku, że gmach, postawiony robotą ciesielską, gdyż taka jedynie mogła zapewnić dostateczną szybkość budowy, nie może być solidny, ponieważ pośpiech nie daje żadnych w tej mierze gwarancji. Toteż do teatru, na który z taką niecierpliwością oczekiwano, jakoś nikt nie chciał uczęszczać. Najśmielsi, szaleńcy po prostu, zamówili bilety na premierę „Adeli de Ponthieu” z muzyką Picciniego, ale jednocześnie spisali testamenty.

Widząc to, zrozpaczony architekt zwrócił się do króla, który podsunął mu pomysł następujący:

— Największymi tchórzami we Francji są ci, którzy płacą. Zostaw ich, a sprowadź śmiałków, którzy nie płacą. Królowa obdarzyła mnie delfinem, miasto szaleje z radości. Każ ogłosić, że z powodu szczęśliwego przyjścia na świat następcy tronu, w Operze wystawione będzie bezpłatne przedstawienie; jeżeli zaś dwa tysiące pięćset osób, to jest trzysta pięćdziesiąt tysięcy funtów nie

wystarczy do wypróbowania trwałości gmachu, namów tych zuchów, aby trochę pohasali. Wiesz przecież, panie Lenoir, że każde ciało staje się pięć razy cięższe, gdy spada już z wysokości czterech cali. Gdy dwa tysiące pięćset osób zatańczy, ogólny ich ciężar wyniesie milion pięćset tysięcy funtów. Wydadz tedy bal po przedstawieniu.

— Dzięki Ci, Najjaśniejszy Panie — odrzekł architekt.

— Zastanów się tylko dobrze przedtem, bo ciężar będzie znaczny.

— Najjaśniejszy Panie, zbyt jestem pewny siebie i sam będę na tym balu.

— A ja — odparł król — przyrzekam, że będę na drugim przedstawieniu.

Budowniczy poszedł za radą królewską. Wystawiono „Adelę de Ponthieu”, a trzy tysiące plebejuszów oklaskiwało widowisko goręcej niż królowie.

Plebejusze ci z przyjemnością puścili się potem w tany i ubawili znakomicie. Zamiast pięć razy powiększyli swój ciężar dziesięciokrotnie, a gmach ani drgnął.

W tej właśnie sali w trzy lata po jej otwarciu miał się znaleźć pan de Rohan z panią de la Motte.

XXIII. BAL W OPERZE

Bal był w pełni, gdy kardynał Ludwik de Rohan i pani de la Motte wśliznęli się ukradkiem w tłum masek, który porwał ich jak wir potężny porywa drobne pyłki. Z początku, skupiając razem swe siły, próbowali przeciwstawić się fali, ale widząc, że nie zdołają tego dokonać, postanowili się schronić pod łożę królewską, gdzie tłok był mniejszy i gdzie ściana stanowić mogła pewne oparcie.

Wiodły tam ożywioną rozmowę dwa domina: czarne i białe, wysokie i średniego wzrostu, mężczyzna wymachujący gwałtownie rękami oraz rozglądająca się na wszystkie strony kobieta.

— Ejże, Oliwio, powtarzam, że czekasz na kogoś, twoja szyja obraca się na wszystkie strony, jak chorągiewka za byle podmuchem.

— I cóż w tym dziwnego, że kręcę głową, po to tu przyszedłem.

— Ba, chcesz innym zakręcić...

— A po co przychodzą na maskaradę?

— Jest tysiąc powodów.

— Dla mężczyzn — tak, ale kobiety znają tylko jeden — zawrócić w głowach możliwie wielu mężczyznom. Jestem tutaj, przyprowadziłeś mnie na maskaradę, więc cierp teraz spokojnie

— Panno Oliwio.

— Tylko nie krzycz. Wiesz, że nie boję się twego grubego głosu. A poza tym nie nazywaj mnie po imieniu. Na maskaradzie to nieprzyzwoitość.

Czarne domino zachnęło się gniewnie, gdy nagle stanął przed nimi ktoś dość wysoki i tęgi, ubrany w błękitny kostium.

— Ho, ho, mój panie — odezwał się — pozwólże tej pani zabawić się swobodnie. Co u diabła, nie co dzień bywa śródpoście i nie co dzień są bale w Operze.

— Pilnuj swego nosa — odparło grubiańsko czarne domino.

— Ej, panie, pamiętaj raz na zawsze, że nie zawadzi trochę grzeczności.

— Nie znam cię, do krośset, nie będę robił ceregieli.

— Ale ja ciebie znam, panie Beausire.

Usłyszawszy swoje nazwisko, mężczyzna w czarnym dominie, który tak łatwo wymieniał nazwiska innych, zadygotał. Widać było, jak trzęsie się jego jedwabny kapturek.

— Nie lękaj się, panie Beausire — odpowiedział zamaskowany mężczyzna. — Nie jestem tym, o kim myślisz.

— O kimże ja myślę? Czy pan 1 myśli zgadujesz?

— Czemu nie?

— No, to zgadnij. Nigdy nie widziałem czarownika i z przyjemnością bym takiego spotkał.

— Niepotrzebnie szafujesz tak szumnym tytułem, to nie tak trudno odgadnąć.

— Więc?

— No, bierzesz mnie za agenta pana de Crosne.

— Pana de Crosne?

— Ech, wiesz doskonale, pana de Crosne, inspektora policji.

— Panie...

— Wybornie, drogi panie Beausire... Cóż to... sięgasz po szpadę? Ach, cóż za wojownicza natura; Uspokój się, drogi Beausire, szpadę zostawiłeś w domu i dobrze się stało. Mówmy, o czym innym. Może zechcesz odstąpić mi ramię tej pani.

— Ramię tej pani?

— No tak, właśnie. To się zdarza, jak sądzę, na maskaradzie, chyba nie przyjechałeś z Indii.

— Owszem, zdarza się, jeśli się tak podoba kawalerowi.

— Niekiedy, panie Beausire, wystarczy, jeśli się to podoba damie.

— Czy na długo chcesz zabrać tę panią?

— Drogi Beausire, jaki ty jesteś szkaradnie ciekawy; może na dziesięć minut, może na godzinę, a może i na całą noc.

— Wolne żarty, mój panie.

— Powiedz: tak, czy nie?...

— Nie.

— No, no, nie udawaj tylko złośnika

— Czemuż to?

— Bo, mając już jedną maskę, nie masz potrzeby nakładać drugiej.

— Panie!...

— Znowu się gniewasz, u diabła, dopiero co byłeś tak łagodny...

— Kiedy?... Gdzie?...

— Przy ulicy Dauphine.

Beausire skamieniał. Oliwia parsknęła śmiechem.

— Milcz... — syknęło czarne domino, a potem, zwracając się do niebieskiego, dodało:

— Nic nie rozumiem, mój panie. Intryguj mnie uczciwiej, jeśli potrafisz

— Zdaje mi się, że nie ma nic uczciwszego nad prawdę, czy tak, panno Oliwio?...

— Ach, pan zna także i mnie?...

— Przecież ten pan... nazwał cię tym imieniem przed chwilą...

— A cóż tu jest prawdą? — odezwał się Beausire, powracając do przerwanej rozmowy.

— To, że nie zabiłeś tej biednej damy — nie ma bowiem jeszcze godziny, jak chciałeś ją życia pozbawić. Bo powstrzymał cię tylko dźwięk dwudziestu luidorów.

— Dosyć, panie!

— I owszem; dosyć już bawiłeś tę panią, odstęp mi teraz jej ramię.

— Widzę ja dobrze — mruknął Beausire — że porozumieliście się ze sobą.

— Daję ci słowo, że nie.

— Och... jak można tak mówić... — zawołała Oliwia.

— Zresztą — dodało domino błękitne — gdybyśmy się nawet porozumieli, to jedynie dla twojego dobra.

— Dla mojego dobra?... No, no, ciekawe! Może dasz dowód?

— Dowiodę ci zatem — kończyło błękitne domino — że obecność twoja tutaj jest dla ciebie równie niebezpieczna, jak zniknięcie byłoby korzystne.

— Jak to?

— Jesteś członkiem pewnej akademii, czy tak?...

— Ja?...

— Tylko nie gniewaj się, panie Beausire, nie mówię przecież o Akademii Francuskiej. Przy ulicy Pot-de-Fer, nieco niżej niż parter, czyż nie mam racji, drogi panie Beausire?

— Cicho!... Cicho!... Jakież z pana okropny człowiek.

— Wcale nie zasługuję na tą nazwę. Powróćmy do naszej akademii.

Mężczyzna w błękitnej masce dobył piękny, wysadzany brylantami zegarek, na którym źrenice Beausire'a spoczęły gorejąc jak dwie pochodnie.

— Cóż dalej?... — zapytał.

— Otóż w owej akademii, drogi panie Beausire, przy ulicy Pot — de — Fer odbędzie się za kwadrans dyskusja na temat podziału dwóch milionów spodziewanego zysku pomiędzy dwunastu sprzysiężonych, z których jednym ty jesteś, panie Beausire.

— A pan chyba drugim, jeżeli...

— Dokończ.

— Jeżeli nie jesteś szpiclem.

— Doprawdy, panie Beausire, sądziłem, że jesteś spryciarzem, a z głębokim bólem muszę stwierdzić, że jesteś tylko głupcem. Gdybym należał do policji mógłbym cię już dwadzieścia razy przytrzymać za sprawki trochę mniej honorowe, niż spekulacja dwumilionowa, nad którą debatować będą za kilka minut w akademii.

Beausire zamyślił się.

— Niech mię diabli porwą! — zawołał. — Może masz i rację. Lecz za chwilę znów się rozmyślił.

— Ejże, już wiem, dlaczego chcesz mnie wyprawić na ulicę Pot—de—Fer.

— A więc?...

— Żeby mnie tam złapano. Nieglupim.

— Jeszcze jedna brednia, mój Beausire!...

— Panie!...

— Gdybym chciał zrobić to, o czym mówisz, mając władzę odgadywania tego, co się knuje w waszej akademii — po cóż bym tu przychodził prosić cię o pozwolenie porozmawiania z tą panią?... Kazałbym cię po prostu uwięzić i pozbylibyśmy się ciebie oboje — i pani, i ja. Ale moja dewiza jest inna: „działaj łagodnością i perswazją”

— Tak mi się coś zdaje — krzyknął nagle Beausire puszczać ramię Oliwii — że to pan, przed dwiema godzinami, siedziałeś na sofie u tej pani?... He?

— Na jakiej sofie?... — zapytało błękitne domino, które Oliwia uszczypnęła lekko w palec.

— Znam jedną tylko sofę: „Sofę” pana Crebillon — syna.

— Zresztą wszystko mi jedno — odparł Beausire. — Pańskie argumenty są słuszne, to najważniejsze. Bierz sobie tę panią, ale jeśli tak uczciwego jak ja człowieka popchnąłeś do złego, to... wstydz się...

Nieznajomy w błękitnej masce uśmiechnął się tylko na ten epitet „uczciwego”, którym się Beausire tak wspaniałomyślnie obdarzył.

— Bądź dobrej myśli, Beausire; posyłając cię tam, daję ci prezent przynajmniej ze stu tysięcy liwrów. Bo gdybyś nie stawił się dziś wieczór w akademii, byłbyś — stosownie do zwyczaju stowarzyszenia — wykluczony z podziału, idąc zaś tam...

— No dobrze, na los szczęścia! — mruknął Beausire, skłonił się nieznajomemu, wykręcił na pięcie i zniknął.

Błękitne domino zawładnęło z kolei ramieniem panny Oliwii.

— Teraz sprawa między nami, mój panie — odezwała się. — Nie przeszkadzałam ci intrygować biednego Beausire’a; uprzedzam jednak, że ze mną, która pana znam, będzie trochę trudniej. Ponieważ trzeba kontynuować rozmowę, wymyśl pan coś interesującego, bo inaczej...

— Nie znam nic bardziej interesującego nad własną pani historię, droga panno Nicole — szepnął jej do ucha mężczyzna w błękitnym domino, przyciskając do siebie krągłe ramię kobiety.

Słowa te Oliwia przyjęła okrzykiem przestachu. Zaraz jednak ochłonęła i zapytała:

— Co to za imię, Nicole?... Czy może mówisz pan o mnie? Jeśli tak, mój panie, utoniesz nie wypłynawszy z portu, rozbijesz się o pierwszą skalę. Nie nazywam się Nicole.

— Wiem, wiem, obecnie nosisz imię Oliwii. Tamto zanadto trąciło prowincją. Są w tobie dwie kobiety — wiem o tym doskonale. Oliwia i Nicole. Zaraz będziemy mówić o tamtej, teraz pomówimy o Nicole. Czyżbyś już zapomniała czasy, gdy cię nazywano tym imieniem? Nie mogę w to uwierzyć. Moje dziecko, imię, które nosiło się jako młode dziewczę, zapada w głąb serca, jakiegokolwiek imię przypadnie wybrać później. Biedna Oliwia. Szczęśliwa Nicole.

W tej chwili gromada masek jak wzburzona fala natarła na przechadzającą się parę i Oliwia, czy też Nicole, chcąc nie chcąc musiała przytulić się do swego towarzysza.

— Spójrz — mówił do niej — spójrz na tę całą pstrą zbieraninę, patrz, jak ci ludzie pchają się pod cudze kapuzy łakomi umizgów i miłych słówek, patrz na te grupy, jak przyplływają i odpływają ze śmiechem lub wyrzutami. Wiele z tych osób zdumiałoby się, gdybym wymienił ich nazwiska, które kiedyś nosili, a o których starają się zapomnieć.

— Powiedziałeś pan: biedna Oliwia...

— Tak.

— Więc nie wierzysz, że jestem szczęśliwa?

— Trudno być szczęśliwym z takim człowiekiem, jak Beausire.

Oliwia westchnęła.

— Nie, nie jestem szczęśliwa.

— Przecież go kochasz?

— Och, z umiarem.

— No, to go rzuć.

— Nie chcę, zaraz bym tego żałowała.

— I czego miałabyś żałować: pijaka, karciarza, człowieka, który cię bije, rzezimieszka, który lada dzień znajdzie się na galerach?

— Nie rozumiesz pan tego. Żałowałabym tego harmidru, jaki wokół mnie robi.

— Powinienem był to odgadnąć, eto co znaczy spędzić młodość wśród ludzi milczących.

— Czy pan znasz moją młodość?

— Doskonale.

— Panie drogi! — powiedziała Oliwia śmiejąc się i potrząsając z niedowierzaniem głową.

— Porozmawiajmy więc o twojej młodości, panno Nicole.

— I owszem: uprzedzam wszelako, iż nie będę odpowiadać na pytania.

— Wcale tego nie żądam.

— A więc słucham.

— Nie zacznę od lat dzieciństwa, bo te się w życiu nie liczą, zacznę od chwili dojrzwania, kiedy pojąłeś, że Bóg dał ci serce do kochania...

— Kogo?

— Gilberta.

Błękitne domino poczuło, że młoda kobieta drży.

— O Boże, skąd o tym wiesz? — zawołała.

Zatrzymała się nagle i utkwiała w towarzyszu palące spojrzenie. Domino pozostało milczące. Oliwia, a raczej Nicole, westchnęła.

— Ach, panie — rzekła, nie oponując dłużej. — Imię to budzi we mnie mnóstwo wspomnień. Znasz więc Gilberta?

— Czarujący chłopak, daję słowo. Kochałeś go?

— Był piękny... nie... to nie to... był bystry, równy mi urodzeniem... lecz nie, co do tego myślę się, równy, nie, nigdy. Dopóki chceć tylko tego będzie, żadna kobieta mu nie dorówna.

— Nawet panna de Ta...?

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwała Nicole. — Widzę, że wiesz o wszystkim, mój panie; tak, Gilbert sięgał wyżej niż biedna Nicole.

— Wstrzymałem się, jak widzisz.

— O tak, znasz straszne tajemnice — przyznała Oliwia wzdrygając się. — A teraz...

Wpatrywała się w nieznajomego jakby umiała czytać przez maskę.

— A teraz, co się z nim stało?

— Sądzę, że sama wiesz najlepiej.

— Co? Wielki Boże!

— Bo jeśli on przybył za tobą z Taverney do Paryża, ty udałaś się za nim z Paryża do Trianon.

— To prawda, lecz było to dziesięć lat temu; już dziesięć lat upłynęło od mojej ucieczki i jego zniknięcia. Boże! Ileż to rzeczy mogło się stać od tego czasu?

Mężczyzna w niebieskiej masce milczał.

— Panie — nalegała Nicole błagalnie — powiedz mi, co stało się z Gilbertem? Milczysz, odwracasz się? Czyżby wspomnienie to ranić cię miało, zasmucać?

Rzeczywiście błękitne domino opuściło głowę, jak gdyby przygniecione ciężarem tych wspomnień.

— Kiedy Gilbert kochał pannę de Taverney... — zaczęła Oliwia.

— Ostrożnie z nazwiskami — szepnęło domino. — Czyż nie zwróciłaś uwagi, że ja ich nigdy nie wymieniam?...

— Kiedy był tak rozkochany — ciągnęła z westchnieniem Oliwia — że każde drzewo w Trianon wiedziało o jego miłości...

— Ale ty już go wtedy nie kochałaś?

— Przeciwnie, więcej niż kiedykolwiek; ta miłość mnie właśnie zgubiła. Jestem ładna, dumna i umiem być zuchwałą, gdy zechcę. Położyłabym raczej głowę na pniu, dałabym ją uciąć niż zgodziłabym się, by mówiono, że ją schylam.

— Dzielna jesteś, Nicole.

— Byłam... w owych czasach — odparła z westchnieniem dziewczyna.

— Czy zasmuca cię ta rozmowa?

— Nie, przeciwnie, miło mi pobiec myślą w lata młodości. Z życiem bywa to samo, co z rzekami; najbardziej mętne przy ujściu, mają zawsze źródła czyste. Mów pan dalej, nie zwracaj uwagi na moje żalosne westchnienia.

— Och — odrzekł nieznajomy — o tobie, o Gilbertcie i o jednej jeszcze osobie wiem tyleż, ile i ty, biedne dziecię.

— Powiedz mi w takim razie — zawołała Oliwia — dlaczego Gilbert uciekł z Trianon, a jeżeli mi to powiesz...

— To zostaniesz nareszcie przekonana? Otóż nie powiem ci tego, a jednak będziesz przekonana.

— Jak to?

— Pytasz mnie, dlaczego Gilbert opuścił Trianon nie dlatego, by przekonać się o prawdziwości moich słów, ale dlatego, że sama tego nie wiesz i chciałabyś się dowiedzieć.

— To prawda.

Nagle chwyciła rękę nieznajomego:

— Boże! — zawołała. — Boże!

— Co ci jest? Nicole opamiętała się.

— Nic...

— A jednak chciałaś mnie o coś zapytać?

— Tak jest, powiedz mi otwarcie, co się stało z Gilbertem?

— Nie słyszałaś, że umarł?
— Tak, ale...
— No więc, nie żyje!
— Nie żyje? — powtórzyła Nicole z niedowierzaniem. Potem z nagłym przyływem wzruszenia zawołała:
— Panie, błagam cię, wyświadcź mi przysługę!
— Dwie, dziesięć, ile zechcesz, Nicole.
— Przed dwiema godzinami widziałam pana w moim mieszkaniu, boć to pan byłeś?
— Nie inaczej.
— Wówczas nie starałeś się ukrywać przede mną.
— Bynajmniej; przeciwnie, starałem się, abyś mnie dobrze poznała.
— O! Ja szalona! Ja, która tak ci się przypatrywałam. Szalona, głupia... kobieta!... Nic więcej tylko kobieta, jak mawiał Gilbert
— Nicole, daj spokój swym pięknym włosom. Uspokój się.
— Nie, nie, muszę się przecież ukarać. Tak długo patrzyłam na pana, a nic nie pamiętam...
— Nie rozumiem.
— Czy wiesz, czego żądam?
— Powiedz.
— Zdejm maskę.
— Tutaj? Niepodobna.
— Och, to nie obawa panu przeszkadza, bo przecież inne oczy cię nie ujrzą; tam, za tą kolumną, w cieniu tej galerii nikt cię nie zobaczy, prócz mnie.
— A cóż by mi to przeszkadzało?
— Obawiasz się, bym cię nie poznała?
— Ja?
— I żebym nie krzyknęła: „Toś ty, to Gilbert!...
— Miałaś słuszność, jesteś szalona, Nicole!...
— Zdejm maskę!
— Dobrze, zgoda; ale pod warunkiem...
— Przystaję z góry.
— Gdybym kiedyś zażądał, żebyś zdjęła swoją...
— Zdejmę. Jeżeli zaś nie, to mi zerwiesz. Nieznajomy, nie dając się prosić dłużej, udał się za młodą kobietą i zdjawszy maskę ukazał swą twarz Oliwii, która przez minutę pożerała go wzrokiem.
— Niestety! Nie... — powiedziała, tupiąc nogą i zaciskając do bólu pięści. — Niestety! To nie Gilbert.
— Kimże więc jestem?
— Co mnie to obchodzi, skoro nie jesteś nim!
— A gdybym był Gilbertem? — zapytał nieznajomy, wkładając na nowo maskę.
— O, gdybyś był Gilbertem! — krzyknęła namiętnie dziewczyna.
— To co?...
— Gdybyś mi powiedział: Nicole, Nicole, czy pamiętasz Taverney Maison–Rouge?... O! Wtedy!
— Wtedy?
— Beausire przestałby dla mnie istnieć.
— Wszak powiedziałem ci już, drogie dziecko, że Gilbert nie żyje.
— Może to i lepiej — westchnęła Oliwia.

— Tak, bo jakkolwiek jesteś piękna, on by cię już z pewnością nie kochał.

— Czy chcesz powiedzieć, że by mną gardził?

— Nie, lękałby się tylko.

— Być może. Miałam coś z jego charakteru, a on tak znał siebie, że ja go z kolei przejmowałam strachem.

— A więc, jak mówiłaś, to lepiej, że umarł.

— Na co moje słowa powtarzać? W pańskich ustach ranią mnie one. Powiedz, dlaczego byłoby lepiej?

— Bo dzisiaj, droga Oliwio — zauważ, że przestaję mówić o Nicole — masz przed sobą przyszłość szczęśliwą, bogatą, świetną.

— Tak pan sądzisz?

— Tak, osiągniesz cel, jeżeli przystaniesz na to, co wskażę.

— Możesz być zupełnie spokojny.

— Tylko nie trzeba tak wzdychać, jak przed chwilą.

— Zgoda. Wzdychałam z tęsknoty za Gilbertem; ponieważ nie było dwóch Gilbertów na świecie a ten jeden umarł, odtąd wzdychać nie będę.

— Gilbert był młody, miał wady i zalety młodości. Dziś...

— Dziś nie jest starszy niż przed dziesięciu laty.

— Zapewne, że nie, skoro umarł.

— No, widzisz. Umarł. Tacy, jak on, nie starzeją się, tylko umierają.

— O! — zawołał nieznajomy. — Młodości! Odwago! Piękności! O, wy! Wieczne źródła miłości, heroizmu i poświęcenia, tracąc was, życie się traci! Młodość to raj, niebo, wszystko... To, co później Bóg zsyła, jest tylko smutną rentą za młodość. Im więcej nam daje, tym więcej uznaje potrzebę wynagrodzenia strat. Ale nic i nigdy nie dorówna skarbowi, którymi obsypuje człowieka wiek młodzieńczy.

— Pięknie to pan powiedziałeś. Gilbert był także tego zdania — zauważyła Oliwia — lecz przestańmy już o tym mówić.

— Dobrze, pomówmy teraz o tobie. Dlaczego uciekłaś z Beausirem?

— Bo chciałam opuścić Trianon i trzeba było z kimś odjechać. Niepodobna było bawić tam dłużej, kiedy Gilbert mną wzgardził.

— Dziesięć lat wierności tylko dla dumy — odezwało się błękitne domino. — Jakże przepłaciłaś tę próżność!

Oliwia zaczęła się śmiać.

— Wiem, z czego się śmiejesz — odparł poważnie nieznajomy. — Śmiejesz się, że człowiek, który wie rzekomo o wszystkim, może zarzucić ci dziesięć lat wierności, gdy tymczasem nie poczuwasz się wcale do podobnej naiwności. Nie mówię jednak o wierności czysto materialnej, wiem bowiem, co o niej sądzić. Wiem, że z Beausirem byłaś w Portugalii, że bawiłaś tam dwa lata, następnie, już bez niego, popłynęłaś do Indii z pewnym kapitanem fregaty, który cię ukrył w swej kajucie, a potem zapomniał w Chandernagor — i zostawił na lądzie w chwili, gdy wracał do Europy. Wiem, że w domu pewnego nababa, więziona za potrójnymi kratami, miałaś do roztrwonienia dwa miliony rupii. Wiem, że wydostałaś się za kraty na ramionach niewolnika. Wiem na koniec, żeś powróciła do Francji bogata, bo przywiozłaś ze sobą dwie bransolety z pereł bez skazy, dwa diamenty i trzy wielkie rubiny, wiem, że przy wylądowaniu w Breście twój zły geniusz kazał ci spotkać Beausire'a, wiem, że ten omal nie zemdłał, gdy cię zobaczył szerniałą i zbiedzoną, nieszczęśliwą wygnanko!

— Mój Boże — wyszeptła Nicole. — Kimże pan jesteś, skąd wiesz to wszystko?

— Wiem i to jeszcze, że Beausire cię zabrał ze sobą, udowodnił, że cię kocha, że sprzedał później twoje kosztowności i doprowadził do nędzy... Wiem, że go kochasz, tak przynajmniej mówisz, a ponieważ miłość jest źródłem wszelakiego dobra, powinnaś być najszczęśliwszą kobietą świata.

Oliwia zwiesiła głowę, zasłoniła dłonią oczy a przez paluszki jej przeciekły dwie łzy, cenniejsze może niż owe perły, chociaż, niestety, nikt by ich od Beausire'a nie kupił.

— I tę kobietę tak dumną, tak szczęśliwą — dodała — pan kupiłeś dzisiaj za jedyne pięćdziesiąt luidorów.

— O, wiem dobrze, iż to za tanio, proszę pani — odrzekł nieznajomy z tym wytwornym wdziękiem, z jakim człowiek dobrze wychowany przemawia do najnędniejszej choćby kurtyzany.

— Skądże, panie, to za drogo. Przysięgam, że bardzo byłam zdziwiona, iż taka kobieta, jak ja, warta jest jeszcze pięćdziesiąt ludwików.

— Warta jesteś o wiele więcej i jeszcze ci tego dowiodę. Nic teraz nie mów, nie wiesz, o co mi chodzi, a poza tym...

Nieznajomy odwrócił się w drugą stronę.

— A poza tym?

— A poza tym muszę w tej chwili skupić całą uwagę.

— Mam więc milczeć?

— Przeciwnie, mów, o czym chcesz, o jakichś bagatelkach. Wszystko jedno, bylebyśmy wyglądali na bardzo sobą zajętych.

I włączyli się w tłum. Chód Oliwii, jej wdzięczne ruchy, widoczne nawet pod dominem, jej sposób przeginania kształtnej kibici i przechylania główki — zwracały powszechnie uwagę znawców. W owej epoce heroicznego amantów przechadzający się balowicze śledzili wzrokiem ruchy pięknych kobiet z równą ciekawością, z jaką dzisiaj niektórzy miłośnicy śledzą bieg dobrego konia.

Po upływie kilku minut Oliwia zaryzykowała pytanie.

— Cicho! — rzekł nieznajomy. — Albo raczej mów, co ci się podoba, tylko nie każ mi odpowiadać. Ale mówiąc, zmieniaj głos, podnoś głowę do góry i wachlarzem pocieraj się po szyi.

Oliwia usłuchała. Przechodzili w tej chwili koło wyperfumowanej grupy, pośrodku której mężczyzna wytwornej postawy, o manierach zręcznych i eleganckich, rozmawiał z trzema towarzyszami, słuchającymi go z widocznym uszanowaniem.

— Kto jest ten młody człowiek? — zapytała Oliwia. — Cóż za piękne domino perłowego koloru!

— To hrabia d'Artois — odparł nieznajomy. — Zmiłuj się, bądźże cicho.

TOM II

XXIV. BAL W OPERZE (C. D.)

W chwili, gdy Oliwia zdziwiona świetnym nazwiskiem, które padło z ust jej towarzysza, zatrzymała się, by spojrzeć nań z bliska i wyprostowała się tak, jak jej to stale zalecał, dwa inne domina, wysliznąwszy się z tłoku, znalazły spokojniejszą przystań u wejścia do galerii.

— Oprzyj się o ten filar, hrabino — odezwał się cicho głos, który wywarł silne wrażenie na błękitnym dominie.

W tejże chwili rosły mężczyzna w dominie pomarańczowym, osobnik o zamasztych ruchach, które zdradzały raczej człowieka pracy aniżeli gładkiego dworaka, przecisnął się przez tłum i szepnął błękitnemu:

— To on!

— Dobrze — odpowiedział ubrany na błękitno. I skinieniem odprawił żółte domino.

— Słuchaj, malutka — szepnął do ucha Oliwii — teraz na nas kolej pobawić się trochę.

— Cieszę się, boś mnie pan dwa razy zasmucił. Raz, odbierając mi Beausire'a, który mnie zawsze rozśmiesza, drugi raz, wspominając Gilberta, przez którego tyle płakałam.

— Będę dla ciebie jednym i drugim — rzekł poważnie nieznajomy.

— Och! — westchnęła Nicole.

— Nie proszę, żebyś mię kochała, chcę tylko, żebyś zgodziła się na życie takie, jakie dla ciebie stworzę, to znaczy spełnię wszystkie twoje zachcianki, bylebyś od czasu do czasu uznawała moje. Oto jedna z nich.

— Jaka?

— Czy widzisz to czarne domino? Jest to pewien Niemiec, mój przyjaciel. Zwiódł mnie, iż nie przyjdzie na bal, tłumacząc się migreną.

— Czy pan powiedziałeś mu także, że nie będziesz?

— Tak.

— On jest z kobietą?

— Tak.

— Kto to jest?

— Nie znam jej. Podejźmy do nich. Udawaj, że jesteś Niemką. Nie odzywaj się ani słowem, by nie poznano cię po paryskim akcencie.

— Dobrze. A pan będziesz intrygował?

— O, bądź tego pewna! Słuchaj, zacznij mi teraz pokazywać końcem wachlarza.

— Czy tak?

— Tak, bardzo dobrze. A teraz udawaj, że szepczesz mi do ucha. — Oliwia wykonała polecenie tak zręcznie i z takim wdziękiem, że zachwyciła swego towarzysza.

Pan w czarnym dominie stał plecami do sali, zajęty rozmową ze swoją towarzyszką. Dama ta, a oczy jej błyszczały spod maski, dostrzegła gest Oliwii.

— Patrz, monsiniorze — szepnęła — te dwie maski zwróciły na nas uwagę.

— Och, nie obawiaj się niczego, hrabino — niemożliwe, żeby nas poznano. Pozwól mi, skoro już jesteśmy na drodze do zguby, pozwól, niech raz jeszcze ci powtórzę, że nigdy nie było tak zachwycającej kibici, tak płomiennego spojrzenia jak twoje, pani; pozwól, niech ci powiem...

— To, co zwykle mówi się pod maską.

— Nie, hrabino. Wszystko, co się mówi pod...

— Nie kończ, skazujesz się na potępienie... A zresztą, jest większe niebezpieczeństwo, usłyszeliby nas nasi szpiedzy.

— Jest ich aż dwóch! — zawołał kardynał zmieszany.

— Tak, już idą ku nam.

— Zmień głos, hrabino, jeżeli wciągną panią w rozmowę.

— I pan także, Eminencjo.

Oliwia zbliżyła się ze swoim towarzyszem. Ten, zwracając się do kardynała, rzekł:

— Maseczko.

I pochylił się do ucha Oliwii, która w odpowiedzi skinęła mu głową.

— Czego chcesz? — zapytał kardynał zmieniając głos.

— Dama, która mi towarzyszy — odpowiedziało błękitne domino — poleciła, bym zadał ci kilka pytań.

— Mówże prędko — odparł pan de Rohan.

— A niech będą porządnie niedyskretne — dodała cieniutkim głosikiem pani de la Motte.

— Tak niedyskretne, że ich nie usłyszysz, ciekawa maseczko.

I pan w błękitnym dominie schylił się znowu do ucha Oliwii, która powtórzyła ten sam znak.

Wówczas nieznajomy zapytał kardynała nieskazitelną niemczyzną:

— Monsiniorze, czy jesteś zakochany w tej kobiecie, która ci towarzyszy?

Kardynała przeszedł dreszcz.

— Czy powiedziałeś pan — monsiniorze? — odparł.

— Tak jest, monsiniorze.

— Mylisz się więc, nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz.

— Ależ tak, mości kardynale, nie zapieraj się, to na nic. Choćbym ja cię nie poznał, dama, której jestem kawalerem, kazała mi powiedzieć, że doskonale cię poznaje.

A schyliwszy się do ucha Oliwii szepnął: — Skiń głową i potakuj za każdym razem, gdy ścisnę cię za rękę.

Oliwia kiwnęła głową.

— Zdziwiasz mnie — odparł kardynał, zbity z tropu. — Któż to jest ta dama?

— Och, monsiniorze, sądziłem, żeś już odgadł. Ona poznała cię od razu. Prawda, że zazdrość...

— Pani jest o mnie zazdrosna?... — zawołał kardynał.

— Tego nie mówimy — odezwał się nieznajomy wyniośle.

— O czym on mówi? — zagadnęła pani de la Motte, którą ów dialog w niezrozumiałym dla niej języku drażnił do najwyższego stopnia.

— Nic, nic.

Pani de la Motte tupnęła niecierpliwie nogą.

— Pani — rzekł kardynał do Oliwii — błagam o jedno słówko, a ręczę, że poznam Cię.

Kardynał mówił po niemiecku i Oliwia, która nie rozumiała ani słowa, pochyliła się ku niebieskiemu dominu.

— Zaklinam cię, pani, nic nie mów.

Tajemniczość ta podsyciła ciekawość kardynała. Dodał więc:

— Jedno tylko słówko niemieckie! To nie może skompromitować pani.

Błękitne domino udało, że pyta Oliwii o rozkazy.

— Mości kardynale, powtarzam oto słowa pani: „Ten, którego myśl nie czuwa ustawicznie, ten, komu wyobraźnia nie zastępuje stale obecności przedmiotu miłości, ten nie kocha, a jeśli tak mówi — kłamie”.

Kardynał oniemiały, chłonąc znaczenie tych słów, stał w postawie wyrażającej zdziwienie, szacunek, napięcie najwyższe. Wreszcie opuścił ręce.

— To niemożliwe — szepnął po francusku.

— Co jest niemożliwe? — zawołała pani de la Motte, która z całej tej rozmowy pochwyciła zaledwie tych kilka słów dla niej zrozumiałych.

— Nic, nic, pani.

— Doprawdy, książę, widzę, że nieciekawą rolę każesz mi tu odgrywać — odezwała się urażona.

I puściła rękę kardynała. Ten nie tylko nie przytrzymał jej, ale zdawał się tego nie spostrzegać, tak bardzo zajęty był niemiecką damą.

— Madame! — rzekł do tej ostatniej, zawsze wyniosłej i nieruchomej pod jedwabną zasłoną. — Słowa, które ów pan wygłosił w twoim imieniu... to wiersze niemieckie... Czytałem je w domu, znanym ci, być może? Nieznajomy ścisnął rękę Oliwii.

— Tak — odpowiedziała skinieniem głowy. Kardynał poczuł, że zasycha mu w gardle.

— Dom ten — mówił z wahaniem — nazywał się Schoenbrun.

— Tak — dała znak Oliwia.

— Wyryła je ręka dostojna złotym rylcem na stole z wiśniowego drzewa...

— Tak — skinęła Oliwia.

Kardynał umilkł. Działo się z nim coś dziwnego. Zachwiał się i wyciągnął rękę poszukując oparcia.

O parę kroków dalej pani de la Motte czatowała na wynik tej dziwnej sceny. Ręka kardynała spoczęła na ramieniu błękitnego domina.

— A oto — rzekł — dalszy ciąg wiersza:

„Lecz ten, który wszędzie widzi przedmiot ukochany, kto go odgadnie po kwiecie, po zapachu, pod nieprzejrzystą zasłoną, ten może milczeć; niech tylko głos serca jego usłyszy drugie serce a będzie szczęśliwy”.

— Aha, tu mówią po niemiecku — odezwał się młody i dźwięczny głos z małej gromadki, która zbliżyła się do kardynała. — No, posłuchajmy! Marszałku, czy rozumiesz po niemiecku?

— Nie, Wasza Wysokość.

— A pan, Chamy?

— Wybomie, Wasza Wysokość.

— Hrabia d'Artois! — szepnęła Oliwia, przysuwając się do błękitnego domina, bo cztery maski osaczyły ją dość natrętnie.

W tejże chwili zagrzmiały trąby orkiestry i pył posadzki zmieszany z pudrem fryzur wzbil się tęczową chmurą pod sufit opalizując w blasku żyrandoli.

W tym zamieszaniu ktoś potrącił błękitne domino.

— Ostrożnie, panowie!

— Proszę pana — odpowiedział zamaskowany książę — widzisz przecież, że i nas popychają. Niech nam panie wybaczą.

— Chodźmy już, chodźmy, kardynale — powiedziała po cichu hrabina.

Nagle kapturek Oliwii, pociągnięty niewidoczną ręką, zaszeleścił; odpadła maska i na sekundę rysy jej odsłoniły się w półcieniu galerii. Błękitne domino wydało okrzyk udanego niepokoju, Oliwia zaś okrzyk przestachu. Kilka zdumionych głosów odpowiedziało na ten podwójny wykrzyknik. Kardynał był bliski zemdenia. Gdyby był upadł w tej chwili, padłby na kolana. Pani de la Motte podtrzymała go, a tłum masek oddzielił ich oboje od hrabiego d'Artois. Pan w błękitnym dominie błyskawicznym ruchem poprawił kapturek i nałożył maskę Oliwii. Podszedłszy do kardynała i ściskając mu rękę rzekł:

— Oto niczym niepowetowane nieszczęście. Pan wiesz, że honor tej damy zależy od ciebie.

— Och, panie!... — szepnął książę Ludwik z ukłonem. I chusteczką w drżącej ręce otarł spotniałe czoło.

— Jedźmy — odezwało się domino do Oliwii.

I zniknęli w tłumie.

— Rozumiem teraz — powiedziała do siebie pani de la Motte. — On tę kobietę wziął za królowę. Widać, jakie wrażenie czyni na nim to podobieństwo. Bogatsza jestem o jedno spostrzeżenie.

— Może pójdziemy? — zapytał kardynał słabym głosem.

— Jak chcesz, księżę — odpowiedziała spokojnie Joanna.

— To nie było bardzo zajmujące, prawda?

— O nie, bynajmniej.

I z trudnością torowali sobie drogę wśród ciżby. Kardynał, przerastający innych wzrostem, rozglądał się, czy nie dostrzeże owej tajemniczej zjawy, która nagle jakby zapadła się pod ziemię. Teraz jednak domina czerwone, niebieskie, zielone i żółte wirowały mu w oczach wśród świetlistych oparów, zlewając się w jeden ton nieuchwytny. Dla biednego kardynała z daleka wszystko było błękitne, z bliska nic takiego nie widział.

Tak doszli do karety, wsiedli i jechali już pięć minut, a kardynał nie przemówił do Joanny ni słowa.

XXV. SAFO

Pani de la Motte, która nie zapomniała się nigdy, przerwała wreszcie milczenie.

— Dokąd jedziemy? — zapytała.

— Nie obawiaj się, hrabino: wyjechałaś ze swego domu i do siebie powracasz.

— Mój dom!... Na przedmieściu?...

— Tak, hrabino... Zbyt mały to domek na schronienie dla tylu wdzięków!

To mówiąc, książę ujął rękę Joanny i wycisnął na niej gorący pocałunek. Powóz zatrzymał się przed ustronnym domkiem, gdzie tyle wdzięków zamierzało szukać schronienia. Joanna lekko wyskoczyła z karety, kardynał sposobił się uczynić to samo.

— Szkoda zachodu, Eminencjo — szepnęła kobieta — szatan.

— Jak to, hrabino — szkoda zachodu, by spędzić z tobą kilka godzin?

— I przespać się, Eminencjo!

— Spodziewam się, że znajdziesz u siebie kilka pokoi sypialnych, hrabino.

— Dla siebie, zapewne, lecz dla Waszej...

— A dla mnie nie?

— Nie teraz jeszcze — odparła z minką tak rozkoszną i wyzywającą, że odmowa starczała za obietnicę.

— Zatem, do widzenia — odpowiedział kardynał tak podekscytowany grą miłosną, że na chwilę zapomniał o zajściu na balu.

Joanna weszła więc sama do swego nowego domu. Sześciu lokajów, którym dźwięk kołatki przerwał sen, ustawiło się w przedsiönku. Joanna zmierzyła ich wzrokiem spokojnej (wyższości, jaką nie zawsze odznaczają się bogacze.

— A gdzie są pokojowe? — zapytała. Jeden z lokai wysunął się z uszanowaniem.

— Dwie służące czekają na jaśnie panią w pokoju — rzekł.

— Przywołać je.

W minutę nadeszły.

— Gdzie nocujecie? — zapytała Joanna.

— Ależ... my jeszcze nie wiemy, dopiero nas najęto — odparła starsza. — Będziemy nocować tam, gdzie pani rozkaże.

— Gdzie klucze?

— Oto są.

— Dobrze, dzisiejszej nocy spać będziecie wszyscy poza domem.

Kobiety spojrzały na panią ze zdziwieniem.

— Czy macie gdzie zanocować?

— Tak, ale trochę późno, proszę pani.

— Ci ichmościowie was odprowadzą.

Lokaje wydawali się bardziej uradowani niż pokojówki.

— Kiedy mamy powrócić? — zapytał jeden z nich nieśmiało.

— Jutro w południe.

Lokaje i służebne spojrzeli po sobie, lecz pod rozkazującym wzrokiem Joanny skierowali się ku drzwiom. Joanna odprowadziła ich.

— Czy jest jeszcze ktoś w domu?

— Nie, ale to niemożliwe, żeby pani została sama. Może pani zasłabnąć, może być pożar.

— Nie potrzebuję nikogo. Dobranoc — powiedziała. Wydobyła sakiewkę.

— A to na początek służby u mnie.

Radosny i dziękczynny szmer był jedyną odpowiedzią, ostatnim słowem służących z dobrego domu; odeszli wszyscy, kłaniając się aż do ziemi.

Joanna słuchała przy drzwiach i usłyszała, jak mówili, że los dał im panią wielką fantastkę. Wreszcie odeszli, Joanna pozasuwała rygle i stwierdziła na głos, tonem triumfu:

— Sama! Nareszcie sama! I we własnym domu!

Od świec w przedpokoju zapaliła trójramienny lichtarz i zarygłowała również masywne drzwi od przedpokoju.

Rozegrała się teraz scena dziwna i milcząca, godna obserwacji owych widzów nocnych, którym fikcja poetycka każe unosić się nad miastami i pałacami.

Joanna zwiedzała swoje państwo, podziwiała szczególnie po szczególe, każdy drobiazg nabierał wartości w jej oczach, odkąd z ciekawego gościa zmieniła się w zachłanną właścicielkę. Na parterze, wykładanym boazerią, znajdowały się: łazienka, pokoje służbowe, jadalnie, trzy salony i dwa gabinety recepcyjne. Urządzenie obszernych tych komnat, nacechowane wielkopańskim przepychem, nie było ani tak bogate jak u Guimardki, ani tak kokietyjne jak u przyjaciółek pana de Soubise, chociaż wcale nie wyglądało na nowe. Domek nie przypadłby tak do gustu Joannie, gdyby umeblowano go dla niej specjalnie i dopiero wczoraj. Antyczne, bogate sprzęty, wzgardzone przez modnisie, artystycznie rzeźbione meble z hebanu, kryształowe żyrandole, z których złożonych ramion strzelały różowe świece; zegary gotyckie, arcydzieła sztuki złotniczej i emalierskiej; parawany, haftowane we wzory chińskie, w japońskich wazonach rzadkie rośliny; supraporta pędzla Bouchera lub Watteau, barwne lub „en grissaille” — wszystko to wprowadzało nową właścicielkę w niewysłowny zachwyt.

Na kominku dwa złożone trytony dźwigały pęki koralu, z gałęzi ich zwisały niby owoce fantastyczne jubilerskie cacuszka. Naprzeciw, na marmurowej konsolce, ogromny słoń jaspisowy z szafirowymi wisiorkami w uszach, podtrzymywał wieżę wypełnioną wonnościami. Na półkach z drzewa różanego błyszczą bogate oprawy ilustrowanych ksiązek dla kobiet. Cykl gobelinów, mistrzowskie dzieło sztuki tkackiej i cierpliwości, w samej manufakturze kosztować musiał ponad sto tysięcy liwrow. Ozdobą perłowożłotego saloniku były dekoracyjne malowidła Verneta i Greuze’a, każdą ścianę wypełniło jedno podłużne panneau. Najpiękniejsze portrety Chardina i najdelikatniejsze terakoty Clodiona zdobiły gabinet do pracy.

Wszystko to świadczyło nie o skwapliwości bogatego dorobkiewicza, który pragnie zaspokoić fanaberie swoje lub swojej kochanki, lecz o długiej i cierplivej pracy wielowiekowych bogaczy, dokładających do skarbów po przodkach — skarby dla następców.

Joanna obejrzała najpierw całość, przeliczyła pokoje; następnie przyjrzała się szczegółom. A ponieważ kępowało ją domino i uwierały fiszbinny, weszła do sypialni i przebrała się w atłasowy, watawany pudermantel, ów strój powabny, który matki, nasze, mniej skrupulatne w nazywaniu rzeczy pożytecznych, określiły nazwą, jakiej nie odważamy się już napisać.

Oswojona z samotnością, pewna, że może nie lękać się nawet lokajskiego oka, przebiegała z pokoju do pokoju dozwalając, by rozwiązany szlafroczek ukazywał jej śliczne kolanka.

Po skończonej wyprawie wyczerpana, zadyszana, z dopalającą się świecą w ręku powróciła wreszcie do sypialni, wybitej błękitną brokatelą w ogromne fantastyczne kwiaty. Wszystko już widziała, policzyła, upieściła wzrokiem i dotykiem; teraz pozostało jej tylko podziwiać siebie samą.

Postawiła świecznik na gerydoniku z Sèvres ze złotą galeryjką i nagle oczy jej spoczęły na kształtnej i lubieżnie wygiętej marmurowej figurce Endymiona, który w upojeniu miłosnym spoczywał na podstawie z czerwonego porfiru. Joanna zamknęła drzwi, zasunęła portiery i powróciła przed rzeźbę Bouchardona, pozerając oczami pięknego kochanka Feby, która przed

powrotem do nieba obdarzyła go ostatnim pocałunkiem. Rozżarzone węgle ogrzewały pokój, w którym wszystko zdawało się żyć, brakło tylko rozkoszy. Joanna czuła, jak nogi jej grzęzną w miękkiej wełnie kobierca, jak chwieją się pod nią i uginają; niemoc jakaś, ni to senność, ni to znużenie uciskała jej pierś i powieki niby delikatne dotknięcie kochanka, a żar jakiś, nie z ognia na kominku, wznosząc się od nóg rozgrzewał jej ciało i roznosił po żyłach prąd elektryczny, który u zwierząt nazywa się rują, a u ludzi miłością. Wtem, w wielkim lustrze, umieszczonym za posążkiem, zobaczyła siebie samą. Suknia jej zsunęła się z ramion na kobierzec. Leciutkie batysty pociągnięte ciężarem atlasu odsłoniły krągłe ramiona. Dwoje oczu czarnych, zwilgotniałych od słodkiej niemocy a błyszczących namiętnością — dwoje jej rozpromienionych oczu — wstrząsnęło Joanną do głębi serca. Widziała, że jest piękna, poczuła w sobie ogień młodości: uznała, że wszystko, co ją otacza, sama nawet Febe, nie jest tak godne kochania jak ona. Zbliżyła się do marmuru, jakby chcąc się przekonać, czy Endymion nie ożyje i nie pogardzi boginią dla ziemiarki. W uniesieniu podniosła ramię i przywarła ustami do własnego pulsującego ciała, nie przestawała jednak patrzeć sobie w oczy, które, odbijając się w lustrze, jak gdyby wołały ją ku sobie. Naraz oczy te przesłoniła mgła, głowa z westchnieniem opadła na piersi i Joanna bez czucia osunęła się na łożo.

Świeca strzeliła ostatnim płomieniem i gasnąc wyzionęła resztki woni.

XXVI. AKADEMIA PANA BEAUSIRE'A

Beausire, stosując się literalnie do zaleceń błękitnego domina, udał się wprost z Opery do tak zwanej akademii. Zaczęto przyjaciele Oliwii nęcić olbrzymia cyfra dwóch milionów, tym bardziej też obawiał się, że koledzy wykluczą go z zysków dzisiejszego wieczoru, ponieważ nie dali mu znać o tak korzystnych planach. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Wśród członków stowarzyszenia Beausire miał opinię straszego człowieka.

Jako były wojskowy nosił mundur, a w razie potrzeby brał się jedną ręką pod bok, a drugą chwytał rękojeść szpady. Miał też zwyczaj naciskać na oczy kapelusz przy najmniejszej przymówce. Wszystkie te nawyki wydawały się przerażające ludziom średnio odważnym, zwłaszcza że ludzie ci woleli unikać rozgłosu wywołanego pojedynkiem oraz wglądu ciekawskiej sprawiedliwości. Szykując się do zemsty za okazane mu lekceważenie, Beausire przyrzekł sobie, że porządnie nastraszy kolegów z szulerni przy ulicy Pot-de-Fer. Od bramy św. Marcina do kościoła św. Sulpicjusza było daleko, ale bogaty Beausire wskoczył do fiakra i obiecał woźnicy pięćdziesiąt soldów, to jest liwra naddatku; taka była podówczas nocna taksa. Do akademii wszedł z miną buńczuczną, choć będąc w dominie nie miał ani kapelusza na głowie, ani szpady u boku. Pojawienie się jego sprawiło też pewne wrażenie.

W pierwszym salonie, pięknym, popielatym salonie, jasno oświetlonym żyrandolami, przy stolikach do gry około dwudziestu graczy popijało piwo lub syropy i uśmiechało się kąśliwie do kilku kobiet przeraźliwie wyróżowanych, które zaglądały im w karty. Przy głównym stole grano w faraona. Stawki były małe, a ożywienie stosowne do stawek. Na widok butnie stąpającego domina kilka kobiet poczęło stroić sobie żarty, na wpół dobrodusznie, na wpół wyzywająco. Pan Beausire uchodził za piękniśia i miał szczęście do kobiet. Szedł jednak dalej, jak gdyby nic nie widział i nie słyszał i stanąwszy przy stole czekał w milczeniu na sposobność okazania swego złego humoru. Jeden z graczy, typ podejrzanego starego spekulanta, ale z wyrazem pewnej poczciwości na twarzy, pierwszy nastąpił okazję Beausire'owi.

— Do pioruna, kawalerze — odezwał się poczciwiec. — Przychodzisz z balu z miną dość kwaśną.

— To prawda — zawtórowały damy.

— Ej... kochany kawalerze — zapytał jakiś inny gracz — czy nie ciąży ci czasem domino?

— To nie domino mi ciąży — odparł szorstko Beausire.

— La, la, la... — zawołał bankier, zgarnąwszy tuzin luidorów. — Szanowny pan de Beausire sprzeniewierzył się nam. Czyż nie widzicie, że był na balu w Operze. Widać, że liczył na jakąś gratkę w okolicy, ale nie udało się.

Niektórzy zaczęli się śmiać, inni niby to współczuli. Kobiety ubolewały.

— Nieprawda, nie sprzeniewierzyłem się moim przyjaciołom — odparł Beausire. — Jestem niezdolny do tego!... To nie ja, to inni nie dochowują wiary.

I żeby dodać słowom powagi, uczynił ruch jakby chciał nasunąć kapelusz na oczy. Na nieszczęście, zgniótł tylko jedwabny kapturek, który śmiesznie się spłaszczył. Efekt był tylko komiczny.

— Co chcesz przez to powiedzieć, kochany kawalerze?... — odezwało się naraz kilka głosów.

— Wiem, co chcę powiedzieć!

— Ale nam to niczego nie wyjaśnia — zarzucił jowialny staruszek.

— Ciebie to nie powinno obchodzić, mości bankierze — odparł niezręcznie Beausire.

Po minach obecnych poznał, że zagalopował się, ale jak każdy pozorny śmiałek brnął dalej.

— Sądziłem, iż mam tu przyjaciół — powiedział.

— Ależ... tak — oznajmiło kilka głosów.

— Nieprawda! Tu wiele rzeczy robi się beze mnie. Ale niech się tylko dowiem, a fałszywi przyjaciele zostaną ukarani.

Sięgnął po rękojeść szpady, lecz natrafił tylko na kieszonkę pełną luidorów, które zadźwięczały niedyskretnie.

— Ho!... ho!... — zawołały dwie damy. — Pan de Beausire ma dziś dobrą passę.

— A tak — odparł mruklawie bankier. — Zdaje mi się, że jeśli stracił, to nie wszystko, a jeżeli sprzeniewierzył się prawowitym, ma jeszcze możliwość poprawy. Dalej, do gry, panie kawalerze.

— Dziękuję!... — sucho odezwał się Beausire. — Skoro każdy pozostaje przy swoim, ja także moje zachowam.

— Co ty gadasz, u diabła — szepnął mu jeden z grających.

— Zaraz pomówimy jaśniej.

— No, stawiaj, — odezwał się bankier.

— Choć luidora — rzekła jedna z dam, głaszcząc Beausire'a po ramieniu, aby tym samym zbliżyć się do sakiewki.

— Ja gram tylko o miliony — odparł wyniośle Beausire. — Co mi to za gra na nędzne luidory!... Miliony, ot co!... Hejże, panowie z Pot-de-Fer! Nie wiecie, o co chodzi? To nic! Precz z takimi stawkami!... Miliony, miliony na stół!...

Beausire wpadł w trans uniesienia, które przekracza granice zdrowego rozsądku. Ogarniał go szal jakiś, bardziej niebezpieczny niż po pijaństwie. Nagle dostał w pośladek takiego kopniaka, że zachwiał się i zamilkł. Odwrócił się szybko i ujrzał obok siebie osobnika o twarzy oliwkowej, ściągłej i pokiereszowanej, z oczami czarnymi, błyszczącymi jak rozżarzone węgle. Na gest wściekłości Beausire'a osobliwy ten człowiek odpowiedział ceremonialnym ukłonem.

— Portugalczyk!... — zawołał Beausire, zdumiony tym stopniowaniem pozdrowień.

— Portugalczyk!... — powtórzyły damy, opuszczając Beausire i krygując się przed cudzoziemcem.

Był to rzeczywiście ich ulubieniec, bo choć nie mówił po francusku, zawsze przynosił łakocie, zawinięte nieraz w bilety bankowe po pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt liwrów. Beausire znał go jako jednego z członków stowarzyszenia. Do zwykłych gości szulerni należał Portugalczyk, który stale przegrywał po sto luidorów tygodniowo i pieniądze te zabierano mu jak najregularniej. Służył na wabia pozwalając obskubywać się ze złotych piórek, by współtowarzysze tym bezpieczniej mogli ogrywać z pieniędzy roznamiętnionych graczy. Stowarzyszeni uważali go zatem za człowieka pożytecznego, a goście za przyjemnego. Beausire mimo nieufności miał dla niego cichy respekt, jaki odczuwa się często wobec rzeczy nieznanych. Dostawszy więc kopniaka, Beausire zamilkł i usiadł. Portugalczyk także siadł do gry, położył na stole dwadzieścia luidorów i w kilku pociągnięciach w ciągu kwadransa stracił całą tę sumę na rzecz swoich partnerów. Zegar wybił trzecią nad ranem i w tejże chwili weszło dwóch lokai, a bankier wpuścił pieniądze w podwójne dno stołu. Tak przewidywał statut: ustawy nacechowane były takim zaufaniem względem członków stowarzyszenia, że nie dozwalały żadnemu z nich zarządzać wspólnymi funduszami. Z końcem gry, pieniądze, według przepisów, wpadały przez mały otworek w podwójne dno stołu, a nadto załącznik do ustawy opiewał, że bankierowi nie wolno nosić długich rękawów ani też posiadać przy sobie pieniędzy. To znaczy, nie wolno mu było chować luidorów w rękawy, a członkom szulerni przysługiwało prawo rewidowania kieszeni bankierskich.

Lokaje przynieśli więc oponcze, mantyle i szpady. Kilku szczęśliwych graczy wzięło damy

pod rękę, a nieszczęśliwi powiadali do lektyk, będących wówczas jeszcze w użyciu w tej dzielnicy. Salę gry zaległy ciemności i Beausire także owinał się w domino, jak gdyby wybierał się w podróż wiekiustą; nie wyszedł jednak, lecz gdy pozamykano drzwi i gdy dorożki, lektyki i piesi już zniknęli, udał się do sali, do której wróciło także dwunastu stowarzyszonych.

— Rozmówimy się — oznajmił butnie.

— Zapal swój kinkiet i nie gadaj tak głośno — odezwał się chłodno doskonałą francuszczyzną Portugalczyk, sam zapalając stojącą na stole świecę.

Beausire zamruczał coś, ale nikt nie zwrócił na to uwagi; Portugalczyk usiadł na miejscu bankiera; sprawdzono, czy okiennice i drzwi są należycie pozamykane, po czym wszyscy usadowili się wygodnie, poopierali się na łokciach i czekali z zachłanną ciekawością, co usłyszą.

— Mam dla was — rzekł Portugalczyk — wspaniałą nowinę. Przyszedłem na czas, bo pana de Beausire język dziś świerzbi...

Beausire chciał zaprzeczyć.

— No, no!... Spokój!... — odezwał się Portugalczyk. — Szkoda słów po próżnicy. Już i tak nagadałeś więcej niż trzeba. Znasz moje projekty, to dobrze. Jesteś spryciarzem, mogłeś je więc odgadnąć, lecz zdaje mi się, że nigdy miłość własna nie powinna górować nad dobrem publicznym.

— Nic nie rozumiem — odrzekł Beausire.

— I my nic nie rozumiemy — odezwało się szanowne towarzystwo.

— Owszem. Pan de Beausire chciał udowodnić, że pierwszy zwąchał interes.

— Jaki interes?... — spytali obecni.

— Interes dwumilionowy!... — zawołał Beausire napuszony.

— Dwumilionowy?... — powtórzyli stowarzyszeni.

— No, nie przesadzajcie — rzekł śpiesznie Portugalczyk — takiej sumy to nie osiągnie. Zaraz wam dowiodę.

— Ależ nikt z nas nie wie jeszcze, o czym chcesz mówić — zauważył bankier.

— Zamieniamy się w słuch — dodał inny.

— Mów pan pierwszy — rzekł Beausire.

— Z chęcią.

Portugalczyk nalał sobie ogromną szklanicę orszady i pił spokojnie, nie zmieniając ani na jotę lodowatej postawy.

— Wiedźcie o tym — rzekł — że nie mówię za pana de Beausire, którego naszyjnik nie wart więcej niż milion pięćkroć sto tysięcy liwrów.

— A, jeżeli chodzi o naszyjnik — odezwał się Beausire.

— Tak, panie, czyż nie taki jest pański interes?

— Być może.

— Udaje teraz tajemniczego, gdy sam się już wygadał. I Portugalczyk wzruszył ramionami.

— Żałuję, ale przybierasz pan ton, który mi się nie podoba — rzekł Beausire zacietrzewiony jak kogut.

— Mira, Mira! — rzekł zimno Portugalczyk. — Później powiesz pan swoje. Teraz ja mówię, a czas ucieka, bo, jak wiesz, ambasador przyjeżdża najdalej za tydzień.

— To jakaś zawiślana historia — pomyśleli zebrani podnieceni do najwyższego stopnia. — Naszyjnik! Milion pięćkroć sto tysięcy liwrów! Ambasador! Co to ma znaczyć?

— W dwóch słowach jest tak — rzekł Portugalczyk. — Panowie Boehmer i Bossange zrobili dla królowej naszyjnik brylantowy, wartości półtora miliona liwrów. Królowa go nie kupiła. Jubilerzy mają kłopot, nie wiedząc, co z nim począć, bo kupno naszyjnika wymaga królewskiej fortuny; otóż ja wynalazłem osobę koronowaną, która kupi ten naszyjnik, a tym samym

wydobędzie go z kasy pancерnej panów Boehmer i Bossange.

— Któż to taki?... — zapytali wszyscy.

— To moja miłościwa władczyni, królowa portugalska. I Portugalczyk napuścił się.

— Rozumiemy jeszcze mniej niż przedtem — odezwali się słuchacze.

— Ja też — pomyślał Beausire.

— Wytłumacz to jaśniej, drogi panie Manoel — powiedział — albowiem prywatnie powinna ustąpić wobec dobra publicznego. Jesteś ojcem tego pomysłu; szczerze przyznaję i zrzekam się wszelkich praw autorskich. Lecz, na miłość boską, bądźże zrozumiały!

— Słuchajcie — odrzekł Manoel, pochłaniając drugi kufel orszady — sprawa jest jasna. Uważajcie tylko pilnie. Ambasada portugalska wakuje. Jest teraz okres bezpański, nowy ambasador, pan de Souza, przyjedzie najwcześniej za tydzień.

— Dobrze! — Beausire aż podskoczył.

— Nie ma jednak przeszkód, żeby nowy ambasador, któremu pilno do Paryża, przyspieszył przyjazd i zamieszkał.

Obecni spojrzeli po sobie pootwierawszy gęby.

— Czy rozumiecie nareszcie? — powiedział niecierpliwie Beausire. — Manoel chce przez to powiedzieć, że przyjechać może prawdziwy ambasador albo fałszywy.

— No, właśnie — dodał Portugalczyk. — A gdyby ten ambasador zjawił się i okazał chęć kupienia naszyjnika dla królowej portugalskiej, czy nie miałby do tego prawa?

— Do kroćset! — krzyknęli obecni.

— Wtedy będzie się układać z panami Boehmer i Bossange.

— Ale przy umowie trzeba płacić — zauważył bankier od faraona.

— No, ba — odparł Portugalczyk.

— Panowie jubilerzy nie oddadzą naszyjnika w ręce ambasadora, choćby nim był prawdziwy Souza, jeżeli nie będą mieli pewnych gwarancji.

— O, ja już dobrze obmyśliłem i to — zaproponował przyszły ambasador.

— A mianowicie?

— Jak już powiedziałem, ambasada stoi pusta.

— No, tak.

— Urzęduje w niej tylko naczelnik kancelarii, poczciwy Francuzina, kiepsko mówiący po portugalsku.

— Cóż stąd? — przerwał Beausire.

— Otóż my, panowie, przedstawimy się temu poczciwcowi, z zachowaniem wszelkich pozorów.

— Pozory też coś znaczą — zauważył Beausire — ale listy uwierzytelniające więcej.

— Będą i papiery — lakonicznie odpowiedział don Manoel.

— No, trudno zaprzeczyć, że don Manoel jest człowiekiem nieocenionym — rzekł Beausire.

— Przekonawszy sekretarza o prawdziwości poselstwa, zainstalujemy się w ambasadzie.

— Ho, ho! Śmiała to sztuka — wtrącił Beausire.

— To konieczne — oświadczył Portugalczyk.

— A nawet bardzo proste — potwierdzili inni.

— Ba, ale naczelnik? — sprzeciwił się Beausire.

— Już mówiłem, że go przekonamy.

— A gdyby nie był dość łatwowski, na dziesięć minut przedtem, nim wątpić zacznie, dostanie dymisję. Sądzę, iż ambasador ma prawo zmienić naczelnika kancelarii.

— Oczywiście.

— Zatem jesteśmy panami ambasady, a pierwszą naszą czynnością będzie złożyć wizytę

panom Boehmer i Bossange.

— Nie, wcale nie — żywo zaprzeczył Beausire. — Zdaje się, że nie wiesz pan o sprawie zasadniczej, którą ja znam jak się należy, ja, który bywałem na dworach. Ceremonia przybycia ambasadora nie może się obyć przede wszystkim bez uroczystego posłuchania u króla i w tym, na honor, jest całe niebezpieczeństwo. Sławny ów Riza-Bey, który otrzymał posłuchanie u Ludwika XIV jako ambasador szacha perskiego, i miał odwagę ofiarować Jego Arcychrześcijańskiej Mości turkusy wartości trzydziestu tysięcy liwów, Riza-Bey, powiadam, był bardzo mocny w języku perskim i diabli wiedzą, czy znalazłby się uczony we Francji, który byłby w stanie dowieść mu, że nie pochodzi z Ispahanu. Lecz nas poznano by od razu. Powiedziano by nam natychmiast, że mówimy po portugalsku — z kiepska po francusku i skończyłoby się na Bastylli. Miejmy się na baczności.

— Imaginacja pańska za daleko cię prowadzi, drogi kolego — odpowiedział Portugalczyk. — Nikt się z nas na oslep nie rzuci na owe groźne niebezpieczeństwa, zostaniemy wszyscy w naszym pałacu.

— Ale wówczas pan Boehmer nie uzna nas za Portugalczyków ani za ambasadorów.

— Pan Boehmer zrozumie, że przybywamy do Francji z najzwyczajniejszą misją kupienia naszyjnika i że zmiana ambasadora nastąpiła, kiedyśmy już byli w drodze do Paryża. Wręczono nam tylko rozkaz, żeby go zastąpić. Rozkaz ten, w razie potrzeby, okażemy panu Bossange, a poprzednio już przedstawimy panu naczelnikowi kancelarii; postaramy się tylko nie pokazywać go ministrom króla, bo ci są nieufni, ciekawi i zawracaliby nam głowy mnóstwem drobnych formalności.

— Tak, tak — zawtórowało zgromadzenie — lepiej trzymać się z daleka od ministrów.

— A gdyby panowie Boehmer i Bossange zażądali...

— Czego? — pytał Manoel.

— Zadatku — odpowiedział Beausire.

— To by skomplikowało sprawę — odrzekł zakłopotany Portugalczyk.

— Ambasadorowie mają zazwyczaj albo listy zastawne, albo żywą gotówkę — wyjaśniał Beausire.

— Słusznie — potwierdzili zebrani

— Cała sprawa w tym właśnie punkcie szwankuje — kończył Beausire.

— Ty zawsze coś wynajdziesz — rzekł kwaśno Manoel. Zawsze widzisz to, co mogłoby sprawę popsuć, a nigdy nic takiego, co mogłoby jej dopomóc.

— Dlatego właśnie wytykam trudności, ażeby znaleźć na nie radę — odparł Beausire. — I czekajcie, mam ją.

Wszystkie głowy pochylili się w jego stronę.

— Każdy urząd posiada kasę.

— Tak, kasę i kredyt...

— Nie mówmy o kredycie — odparł Beausire — bo nic nie ma trudniejszego nad uzyskanie kredytu. Trzeba by mieć konie, powozy, meble, lokai, mnóstwo rzeczy, które budzą zaufanie. Mówimy lepiej o kasie. Co pan myślisz o kasie ambasady?

— Zawsze uważam Jej Arcypobożną Portugalską Mość, naszą królowę, za wspaniałą monarchinię. Musiała ją dobrze zaopatrzyć.

— To się pokaże. A przypuścimy, że tam nic nie ma.

— I prawdopodobnie — odezwali się z uśmiechem stowarzyszeni.

— To zrobimy inaczej. My, jako ambasadorowie, zapytujemy panów Boehmera i Bossange'a, jakiego bankiera mają w Lizbonie i dajemy im przekaz z podpisami i pieczęcią na ten dcm bankierski i na taką sumę, jakiej zażądatają.

— Ot, wyborny plan — rzekł z godnością don Manoel. — Ja zająłem się samym pomysłem i do szczegółów się nie niżylem.

— A on je świetnie obmyślił — zauważył bankier od faraona, oblizując wargi.

— Teraz przystąpmy do rozdania ról — wniósł Beausire. — Don Manoela widzę jako ambasadora.

— A pan de Beausire będzie moim sekretarzem — tłumaczem — dodał Manoel.

— Jak to? — spytał zaniepokojony Beausire.

— Jako pan de Souza nie mówię po francusku. Znam tego pana, używa tylko własnego języka. Pan przeciwnie, panie de Beausire, pan dużo podróżował, znasz paryskie zwyczaje, biegle władasz portugalskim...

— Mówię bardzo źle — rzekł Beausire.

— Ech, na tyle dobrze, by cię nie wzięto za paryżanina.

— To prawda, lecz...

— A zresztą — dodał don Manoel spojrzawszy przeciągle na Beausire'a — najpożyteczniejsi dostaną największe wynagrodzenie.

— Tak, tak — potwierdzili stowarzyszeni.

— Zgoda, jestem sekretarzem poselstwa.

— Pomówmy jeszcze — przerwał bankier — jak będzie z podziałem.

— Bardzo zwyczajnie — odrzekł don Manoel. — Każdy dostanie dwunastą część z tym zastrzeżeniem, że ja jako autor pomysłu i ambasador, pan Beausire, który zwietrzył interes i który będzie sekretarzem, oraz ten, co sprzedaje naszymi — otrzymamy półtorej stawki.

— Ależ skąd! — zawołali zebrani. — Temu, co sprzedaje tylko połowę udziału!

— Słusznie — rzeki bankier — obłowi się i tak na porękawicznym i rabatach.

Roześmiano się. Ci zaci ludzie rozumieli się doskonale.

— Wszystko więc załatwione — rzekł Beausire. — Ze szczegółami do jutra, bo późno.

Myślał o Oliwii, która pozostała na balu z błękitnym dominem. Pomimo łatwości, z jaką ów pan sypał złotem, kochanek Nicole nie miał do niego zaufania.

— Nie, nie — zawołali stowarzyszeni — najlepiej skończyć od razu. Czego jeszcze trzeba?

— Karety podróźnej z herbami Souzy — odrzekł Beausire. — Malowanie zajmuje wiele czasu i musi długo schnąć zauważył Manoel.

— Jest na to sposób — krzyknął Beausire. — Kareta pana ambasadora połamie się w drodze i zmuszony będzie wsiąść do karety swego sekretarza.

— Masz pan kocz? — spytał Portugalczyk.

— Mam. Pierwszy lepszy. — A herb?

— Też. Pierwszy lepszy.

— Ach, to rzeczywiście upraszcza sprawę. Kareta będzie zabłocona i zamiast herbów pan naczelnik kancelarii zobaczy tylko kurz i błoto.

— A reszta personelu ambasady? — zapytał bankier.

— My przybędziemy wieczorem, to pora najdogodniejsza na pierwszy występ, a wy nazajutrz, kiedy utorujemy już drogę.

— Bardzo dobrze.

— Każdy ambasador prócz sekretarza musi mieć pokojowca — zauważył don Manoel. — To wcale delikatne obowiązeki.

— Panie komandorze — rzekł bankier, zwracając się do jednego z hultajów — obejmiesz pan rolę pokojowca.

Komandor skłonił się.

— A fundusze na koszta reprezentacyjne? — zapytał don Manoel. — Bo ja jestem goły.

— Ja mam trochę grosza — rzekł Beausire — ale to pieniądze mojej kochanki.

— Cóż tam jest w kasie? — zapytali stowarzyszeni.

— Panowie, proszę o klucze! — zawołał bankier. Każdy ze współników miał kluczyk, otwierający jeden z dwunastu zamków, na które zamknięte było podwójne dno niezwykłego stołu. W tym szlachetnym towarzystwie nikt nie mógł zajrzeć do kasy bez zezwolenia swoich jedenastu kolegów.

Zaczęto rachować.

— Sto dziewięćdziesiąt osiem luidorów ponad fundusz rezerwowy — wyliczył pod nadzorem bankier.

— Oddaj je panu de Beausire i mnie, to wcale nie za wiele! — oświadczył Manoel.

— Dajcie nam dwie trzecie, a jedną trzecią zostawcie reszcie ambasady — zdecydował wspaniałomyślnie Beausire, zyskując ogólny poklask.

W ten sposób don Manoel i Beausire otrzymali sto trzydzieści dwa luidory.

Wyznaczywszy spotkanie na jutro — rozeszli się. Beausire zwinął domino pod pachę i pobiegł śpiesznie na ulicę Dauphine spodziewając się, że zastanie panną Oliwię w posiadaniu dawnych cnót, jak i nowych luidorów.

XXVII. AMBASADOR

Nazajutrz przed wieczorem, przez roгатkę Piekielną wjeżdżała czterokonna karetą podróżną tak zapyłona i obryzgana błotem, że nikt na niej nie mógł rozróżnić herbu. Karetą zatrzymała się przed pięknym pałacykiem przy ulicy Jussienne.

Przy bramie oczekiwało dwóch ludzi; jeden ubrany starannie, jakby w stroju ceremonialnym, drugi zaś w liberii paradnej ale pospolitej, jakie od niepamiętnych czasów nosili oficjaliści rozmaitych biur paryskich.

Mężczyzna w stroju ceremonialnym z uszanowaniem podszedł do drzwiczek karety i lekko drżącym głosem rozpoczął przemowę w języku portugalskim.

— Ktoś pan jest? — rozległ się z wnętrza szorstki głos. Zapytanie rzucone zostało we wspaniałej portugalszczyźnie.

— Uniżony sługa, kanclerz ambasady, Ekscelencjo.

— Aha. Jakże źle władasz naszym pięknym językiem, mój drogi naczelniku. Którędy się wchodzi?

— Tędy, jaśnie wielmożny panie, tędy.

— Smutne przyjęcie — rzekł Ekscelencja don Manoel wydymając wargi i opierając się na rękę sekretarza i pokojowca.

— Wasza Ekscelencja raczy mi wybaczyć — odezwał się naczelnik kancelarii z kiepską po portugalsku. — Dziś o drugiej dopiero przybył kurier oznajmiając nam przyjazd Waszej Miłości. Ja w sprawach poselstwa przebywałem poza domem, dopiero po powrocie zastałem list Waszej Ekscelencji. Natychmiast wydałem rozkaz, by otwarto apartamenty. Właśnie je oświetlają.

— Dobrze, dobrze.

— Ach, z jaką radością witam dostojną osobą naszego ambasadora.

— Cicho! Nic nie rozgłaszajmy jeszcze, dopóki nowe rozporządzenia nie nadejdą z Lizbony. Zechciej pan tylko zaprowadzić mnie do sypialni mojej, upadam ze znużenia. Porozumiesz się pan z moim sekretarzem, on ci oznajmi, co trzeba.

Urzędnik nisko się skłonił Beausire'owi, który powitał go dużo łaskawiej, i z miną uprzejmie ironiczną rzekł:

— Mów pan po francusku, będzie to dla ciebie dogodniej, a przy twoich umiejętnościach także i dla mnie.

— Tak, zapewne — odrzekł ciszej naczelnik — bo przyznam się panu, że wymowa moja...

— Już ja to widzę — odparł protekcyjnie Beausire.

— Skorzystam z tej sposobności, skoro tak łaskaw jesteś, panie sekretarzu — dodał wylewnie naczelnik kancelarii — aby pana o coś zapytać... Jak pan sądzisz, czy pan de Souza nie będzie dotknięty, że tak kaleczę jego mowę?

— Wcale nie, jeżeli tylko władasz dobrze językiem francuskim.

— Ja? — radośnie zawołał urzędnik. — Ja? Jestem paryżaninem z ulicy Saint-Honoré.

— No, to świetnie — rzekł Beausire. — Jakże się pan nazywasz? Ducorneau, o ile się nie mylę.

— Tak, panie sekretarzu — Ducorneau; nazwisko dość szczęśliwe, bo można by je wziąć za portugalskie. Pan zna moje nazwisko, to mi bardzo pochlebia.

— Tak. Jesteś pan dobrze notowany, tak dobrze, że ta opinia wstrzymała nas od przywiezienia z Lizbony innego naczelnika kancelarii.

— Och! Nieskończenie wdzięczny jestem, panie sekretarzu. Jakimże szczęściem jest dla mnie

nominacja pana de Souza.

— Ale zdaje mi się, że pan ambasador dzwoni

— Biegnijmy.

Pobiegli Pan ambasador, dzięki gorliwości pokojowca, zdjął ubranie i przywdział wspaniały szlafrok. Sprowadzony naprędce golibroda dopełniał swych czynności. Kilka pudeł i nesesorów podróżnych o dość bogatym wyglądzie leżało na stołach i konsolach. Suty ogień płonął na kominku.

— Proszę wejść, panie naczelniku — odezwał się ambasador rozparty na poduszkach fotela, który stał przed kominkiem.

— Czy pan ambasador nie rozgniewa się, jeżeli będę odpowiadać po francusku? — zapytał po cichu Beausire'a naczelnik kancelarii.

— Nie, nie, śmiało.

Ducomeau powitał go po francusku.

— Ależ, to dobrze się składa, pan ślicznie mówisz po francusku, panie du Corno.

— Bierze mnie za Portugalczyka — pomyślał uszczęśliwiony naczelnik kancelarii.

I ścisnął rękę Beausire'a.

— Jak tam — zapytał Manoel — co z kolacją?

— Zaraz będzie, Ekscelencjo. O dwa kroki stąd znajduje się Palais-Royal. Jest tam doskonały restaurator i za chwilę przyśle Waszej Ekscelencji wyborną kolację.

— Czy rzeczywiście wyborną? Przyznaj no się, panie du Corno.

— Tak jest, panie... A ja, jeżeli Wasza Miłość pozwoli, ośmielę się ofiarować kilka butelek tutejszego wina. Równie dobre znajdzie się chyba tylko w Porto...

— O, nasz naczelnik ma piękną piwniczkę! — podchwycił zartobliwie Beausire.

— Jest to mój jedyny zbytek — pokornie odpowiedział poczciwiec, którego Beausire i Manoel teraz dopiero obejrżeli przy blasku świecy. Oczki miał żywe, policzki zaokrąglone i nos kwitnący.

— Rób, jak ci się podoba, panie du Como — rzekł ambasador. — Przynieś nam swoje wina i zasiądź z nami do kolacji.

— Taki zaszczyt...

— Bez etykiety, dziś jestem podróżnym, jutro dopiero będę ambasadorem. Wtedy pomówimy o interesach.

— Ale Wasza Miłość pozwoli, że się trochę ogamę.

— Jesteś pan dobrze ubrany — rzekł Beausire.

— To jest strój oficjalny, ale nie galowy.

— Zostań, jak jesteś, nam poświęć pan czas, a nie ubrani. Ducomeau, zachwycony, opuścił ambasadę pędząc co tchu, aby choć o dziesięć minut skrócić oczekiwanie ekscelencji. Tymczasem trzech łotrów zamkniętych w sypialni rozpoczęło przegląd sprzętów i papierów urzędowych.

— Czy naczelnik sypia w pałacu? — zapytał Manoel.

— Ach, nie, ten błazen ma przecież dobrą piwnicę i musi gdzieś mieć ładną gospodynię albo gryzetskę, bo to stary kawaler.

— A szwajcar?

— Trzeba będzie go się pozbyć.

— Ja już się tego podejmę.

— A reszta służby?

— Jest tylko służba najemna, którą nasi towarzysze jutro zastąpią.

— A w kuchni i w oficynach?

— Pustki! Poprzedni ambasador nie mieszkał nigdy w pałacu. Miał swój dom w mieście.

— No, a jak z kasą?

— Co do kasy, trzeba zapytać naczelnika kancelarii; to sprawa dość drażliwa.

— Biorę to na siebie — rzekł Beausire. — Jesteśmy już w najlepszej komitywie.

— Cicho! Otóż i on!

Rzeczywiście Ducorneau wracał zdyszany. Zamówił kolację u restauratora z ulicy des Bons-Enfants i zabrał ze swego kredensu sześć wspaniale prezentujących się butelek wina. Jego rozjaśniona twarz wyrażała wszystkie najlepsze skłonności, jakie owe dary słońca, natura i dyplomacja, umieją połączyć, żeby ozłocić to, co cynicy nazywają obliczem człowieka.

— Czy Wasza Ekscelencja raczy zejść do sali jadalnej? — zapytał.

— Nie, nie, tu sobie zjemy kolację, przy kominku.

— Pan ambasador mnie uszczęśliwia. Oto wino

— Topaz! — zawołał Beausire podnosząc butelkę pod światło.

— Siadaj, panie naczelniku, zanim lokaj nakryje. Ducorneau usiadł.

— Którego dnia przyszły ostatnie depesze? — zapytał ambasador.

— Na dzień przed wyjazdem waszego... poprzednika Waszej Ekscelencji.

— Dobrze. Czy sprawy poselstwa nie szwankują?

— Ach, nie, Ekscelencjo!

— A nie ma kłopotów z funduszami?

— Nic o tym nie wiem przynajmniej.

— Nie ma długów?... Mów pan. Gdyby jakie były, zaczniemy od spłacania. Poprzednik mój jest prawdziwym szlachcicem, mogę za niego solidarnie odpowiadać.

— Dzięki Bogu, nie ma potrzeby. Już trzy tygodnie temu długi zostały spłacone, a nazajutrz po wyjeździe byłego ambasadora przysłano tutaj sto tysięcy liwrów

— Sto tysięcy liwrów! — krzyknęli równocześnie Beausire i don Manoel, oszołomieni radością.

— W złocie — odpowiedział naczelnik kancelarii.

— W złocie!!! — powtórzyli ambasador, sekretarz, a nawet lokaj.

— W takim razie — rzekł Beausire, tłumiąc wzruszenie — kasa zawiera...

— Sto tysięcy trzysta dwadzieścia osiem liwrów, panie sekretarzu.

— To mało — chłodno zawyrokował don Manoel. — Szczęście, że Jej Królewska Mość dała nam fundusz dyspozycyjny. Słusznie obawiałem się, że będziemy cierpieli niedostatek.

— Na szczęście, Wasza Ekscelencja przedsięwziął potrzebne ostrożności — odezwał się z uszanowaniem Beausire.

Na wiadomość o pieniądzach wesołość ambasady poczęła wzrastać.

Dobra kolacja, złożona z łososia, ogromnych raków, dziczyzny i kremów, spotęgowała jeszcze dobry humor panów portugalskich.

Pan Ducorneau odprężywszy się jadł za dziesięciu grandów hiszpańskich i okazał, że paryżanin z ulicy św. Honoriusza umie obchodzić się z winami Porto i Xeres, równie jak z winami Brie i Tonnerie. Dziękował też niebu, iż zesłało mu ambasadora, który język francuski przedkładał nad portugalski, a wina portugalskie nad francuskie. Nurzał się w rozkoszy i kiedy wreszcie pan de Souza oświadczył mu, że już może iść spać, Ducorneau, czepiając się w ukłonach sprzętów jak gałązka dzikiej róży liści w gęstwinie, ledwo wytoczył się za drzwi.

Trzej spiskowcy natomiast wybrali się na zwiady pałacu, upewniwszy się poprzednio, że szwajcar już zasnął snem sprawiedliwego.

XXVIII. PANOWIE BOEHMER I BOSSANGE

Nazajutrz ambasada zbudziła się jakby z letargu. Biura, pudła, kałamarze, tętent końskich kopyt na dziedzińcu, wszystko świadczyło o jakimś ogromnym ożywieniu tam, gdzie wczoraj jeszcze czuło się apatię i śmierć. Po całej dzielnicy rozeszła się pogłoska o nocnym przyjeździe wielkiej osoby, pana posła Portugalii. Rozgłos ten potrzebny był zacnej trójce, lecz jednocześnie stanowił dla panów oszustów źródło coraz to nowych obaw. Istotnie, policja panów de Crosne i de Breteuil miała długie uszy, których w podobnych wypadkach nie zatykała, i oczy argusowe, których by nie zamknęła z pewnością, gdyby wyszły sprawy panów dyplomatów z Portugalii. Lecz don Manoel twierdził, że, byle zachować się zuchwale, można będzie nie dopuścić do poszukiwań i podejrzeń przynajmniej przez tydzień. Dwa tygodnie zaś co najmniej upłyną, zanim podejrzania zamienią się w pewność; tak więc przez jakieś dziesięć dni nic nie utrudni działalności stowarzyszenia, które to stowarzyszenie funkcjonując sprawnie powinno załatwić interes przed upływem sześciu dni.

Zaczynało dopiero świtać, gdy dwa najęte powozy przywiozły do pałacu dziewięciu łotrzyków, nowy personel ambasady. Rozgościli się prędko. Jeden zajął miejsce w kasie, drugi w archiwum, trzeci zamienił szwajcara, którego odprawił sam pan Ducomeau pod pozorem, że nie umie po portugalsku. Tak więc pałac został obsadzony przez nową załogę, która miała bronić dostępu profanom. Dla tych, którzy mają tajemnice polityczne lub inne, profanem takim jest przede wszystkim policja.

Około południa don Manoel, czyli Souza, ubrany odpowiednio wytwornie, wsiadł do nader przyzwoitej karety, którą Beausire wynajął za pięćset liwrów miesięcznie, płacąc z góry za dwa tygodnie. Pojechał do panów Boehmer i Bossange w towarzystwie sekretarza i pokojowca. Naczelnik kancelarii otrzymał rozkaz załatwiania wszelkich spraw, dotyczących paszportów, odszkodowań i usług, z tym wszakże zastrzeżeniem, żeby nie płacił rachunków ani nie wydawał kwitów bez porozumienia się z panem sekretarzem. Oszuści pragnęli, by suma stu tysięcy liwrów, główna sprężyna wszystkich operacji, pozostała nietknięta.

Pan ambasador dowiedział się, że jubilerzy nadworni mieszkają przy bulwarze Szkolnym i przyjmują klientów około pierwszej po południu.

Pokojowiec zapukał delikatnie do drzwi jubilera, zamkniętych na krzepkie rygle i jak brama więzienna nabitych wielkimi gwoździami.

Otworzyło się małe zakratowane okienko i ktoś z głębi zapytał lokaja, czego żąda.

— Pan ambasador portugalski życzy sobie pomówić z panami Boehmer i Bossange — odpowiedział pokojowiec.

Na pierwszym piętrze ukazała się jakaś postać, potem ktoś zszedł z pośpiechem na dół. Drzwi się otworzyły. Don Manoel powoli, z godnością wysiadł z karety. Pan Beausire wysiadł pierwszy i podał rękę Jego Ekscelencji. Mężczyzną zaś, który z takim pośpiechem wybiegł na spotkanie Portugalczyków, był sam pan Boehmer, który usłyszawszy, że powóz zatrzymał się przed domem, wyrztał przez okno, a gdy obito mu się o uszy słowo: ambasador, wyskoczył natychmiast, by nie pozwolić czekać Jego Ekscelencji. Kiedy don Manoel wchodził na schody, jubiler witał go z nadskakującą grzecznością. Pan Beausire zauważył, iż stara służąca, tęga i silnie zbudowana, zamykała za nimi niezliczone rygle i zamki, których najwięcej było przy drzwiach od ulicy. Ponieważ spostrzeżenia te czynił z pewną ostentacją, pan Boehmer rzekł doń:

— Wybacz, panie, tak bardzo jesteśmy narażeni w naszym nieszczęsnym zawodzie, iż z przyzwyczajenia musimy być na każdym kroku ostrożni.

Don Manoel zachowywał się obojętnie; Boehmer zauważył to i zwrócił się do niego z tym samym tłumaczeniem, które Beausire przyjął z uprzejmym uśmiechem. Ale ambasador nie rozruszał się i tym razem.

— Proszę o przebaczenie, panie ambasadorze — powtórzył raz jeszcze skonfundowany Boehmer.

— Jego Ekscelecja nie mówi po francusku — wtrącił Beausire — nie rozumie zatem pana; lecz przełożę mu usprawiedliwienie pańskie, jeżeli tylko — dodał z pośpiechem — pan sam nie mówi po portugalsku.

— Nie, panie, nie.

— Wyręczę więc pana.

I Beausire poszwargotał po portugalsku z don Manoelem.

— Jego Ekscelecja hrabia de Souza, ambasador Jej Arcypobożnej Mości, zechciał przyjąć pańskie tłumaczenie i polecił mi zapytać panów, czy to prawda, że jesteście jeszcze w posiadaniu naszyjnika z diamentów?...

Boehmer podniósł głowę i zmierzył wzrokiem Beausire'a jak człowiek, który umie ocenić swych gości. Beausire jednak jako zręczny dyplomata wytrzymał spojrzenie.

— Naszyjnik z diamentów... — z wolna odrzekł Boehmer — bardzo piękny naszyjnik...

— Tak, ten sam, który był zaofiarowany królowej francuskiej — dodał Beausire — a o którym Jej Królewska Mość słyszała.

— Pan jesteś urzędnikiem pana ambasadora?...

— Sekretarzem osobistym, panie.

Don Manoel rozsiadł się z miną wielkiego pana i przyglądał się malowidłom ściennym. Potem wstał i wyrzwał przez okno. Pokój był ładny, a okna wychodziły na Sekwanę.

— Zdaje się, że pan nie zrozumiał ani słowa z tego, co mówiłem — odezwał się Beausire do jubilera.

— Jak to, panie? — odparł Boehmer zaskoczony ostrym tonem Beausire'a.

— Ponieważ widzę, że Jego Ekscelecja zaczyna się niecierpliwie, panie jubilerze.

— Przepraszam najmocniej — odparł Boehmer, cały czerwony — lecz nie mogę pokazywać naszyjnika bez współnika mojego, pana Bossange.

— To każ pan go tu sprowadzić.

Pan Manoel zbliżył się i z miną wyniosłą i lodowatą rozpoczął po portugalsku przemowę, której Beausire wysłuchał z pochyloną głową, po czym obrócił się plecami i zaczął znów wyglądać przez okno.

— Jego Ekscelecja mówi, że dziesięć minut już czeka, a nie przywykł do tego nigdzie, nawet u panujących.

Boehmer uklonił się, ujął za sznurek od dzwonka i pociągnął. Po minucie zjawił się współnik. Pan Bossange zmierzył Portugalczyków oczami i po krótkiej rozmowie z Boehmerem zażądał od niego klucza od kasy ogniotrwałej.

Zdaje mi się — pomyślał Beausire — że porządni ludzie, tak samo jak złodzieje, zachowują względem siebie ostrożności.

Po paru minutach pan Bossange powrócił, niosąc w lewej ręce futerał, rękę prawą miał ukrytą pod ubraniem. Beausire widział tam wyraźnie zarys dwóch pistoletów.

— Nie traćmy fantazji — odezwał się poważnie don Manoel po portugalsku — ale ci kupcy biorą nas raczej za oszustów, niż za ambasadorów.

Mówiąc to, patrzył bystro na jubilerów, aby wyczytać z ich twarzy, czy przypadkiem nie rozumieją po portugalsku. Nic jednak nie dostrzegł, nic prócz naszyjnika tak czarująco pięknego, że blaskiem swoim olśniewał.

Z całą ufnością podano pudełko do rąk Manoela, który nagle odezwał się z gniewem:

— Powiedz pan tym błaznom, że nadużywają swoich kupieckich praw do głupoty. Ja żądam diamentów, a oni mi szkła pokazują. Powiedz im, że wniosę skargę do francuskiego ministra i że, w imieniu mojej królowej, żądać będę uwięzienia tych grubianów, którzy ośmielają się wodzić za nos ambasadora portugalskiego.

I z całą siłą cisnął pudełko na kantorek. Beausire nie potrzebował nawet tłumaczyć. Gest wystarczył.

Jubilerzy usprawiedliwiali się, jak mogli, mówiąc, że we Francji nie pokazuje się oryginalnych diamentów tylko kopie, żeby zadowolić ludzi uczciwych, a nie kusić złodziei. Lecz na to pan de Souza odwrócił się energicznie i ruszył ku drzwiom, odprowadzany niespokojnym wzrokiem kupców.

— Jego Ekscelencja polecił mi panom powiedzieć, iż żałuje, że ludzie noszący tytuł jubilerów dworu francuskiego nie umieją odróżnić ambasadora od pierwszego lepszego chłystka, i że odjeżdża do swego pałacu.

Panowie Boehmer i Bossange znacząco po sobie spojrzeli i kłaniając się zaręczali o swoim szacunku. Pan Souza wyszedł, deptając im nieledwie po nogach. Beausire z dumą wyszedł za swym panem.

Stara otworzyła zamki u drzwi.

— Do pałacu ambasady, ulica Jussienne! — zawołał Beausire do lokaja.

— Do pałacu ambasady, ulica Jussienne — zawołał lokaj do stangreta.

Boehmer usłyszał to przez okienko.

— Nic z tego — mruczał lokaj.

— Sprawa ubita — — odpowiedział Beausire. — Za godzinę te chamy będą u nas.

XXIX. W AMBASADZIE

Wróciwszy do pałacu panowie zastali Ducorneau w kancelarii, najspokojniej zajądającego obiad. Beausire poprosił go na górę do ambasadora i rzekł:

— Pojmujesz, drogi naczelniku, że taki człowiek, jak pan de Souza, nie jest ambasadorem pospolitym.

— Widzę to — odparł naczelnik.

— Jego Ekscelencja — ciągnął dalej Beausire — chce zająć poczesne miejsce w Paryżu, pomiędzy ludźmi dobrego tonu. Mieszkanie w tej obskurnej budzie nie odpowiada człowiekowi tej miary. Wypada poszukać rezydencji prywatnej dla pana de Souza.

— To utrudni tok spraw dyplomatycznych — rzekł naczelnik. — Będziemy zmuszeni biegać z każdym podpisem.

— Ech, Jego Ekscelencja da panu karetę, kochany naczelniku. — Ducorneau o mało nie zemdlął z radości.

— Karetę dla mnie! — zawołał.

— Szkoda, żeś pan nie przyzwyczajony do tego — ciągnął dalej Beausire. — Kanclerz szanującej się ambasady powinien mieć karetę; lecz o szczegółach tych mówić będziemy we właściwym czasie. Na razie złożmy panu ambasadorowi sprawozdanie ze spraw zagranicznych. Gdzież jest kasa?

— Na górze, panie, w apartamentach pana ambasadora.

— Tak daleko od pana?

— To z ostrożności; złodziejom trudniej dostać się na pierwsze piętro.

— Złodzieje — z pogardą wymówił Beausire. — Złodzieje łakomiliby się na taką mizerną sumę.

— Sto tysięcy liwrów — odezwał się Ducorneau. — Do licha! Zaraz poznać, że pan de Souza bogaty. W której kasie ambasady znajdziesz pan sto tysięcy liwrów?

— Może sprawdzimy — rzekł Beausire — bo mi pilno do moich interesów.

— Natychmiast, panie, natychmiast — rzekł Ducorneau.

Po sprawdzeniu okazało się, że suma ta przechowywana była w brzęczącej monecie — pół na pół w złocie i srebrze. Ducorneau podał klucz, któremu Beausire przypatrywał się przez chwilę, podziwiając pomysłowe i skomplikowane wycięcia. Nieznacznie odcisnął go na wosku. Następnie oddając klucz naczelnikowi, rzekł:

— Panie Ducorneau, niechaj on będzie w pańskim ręku. A teraz chodźmy do ambasadora:

Don Manoel w samotności popijał portugalski napój narodowy — czekoladę. Wydawał się bardzo zajęty jakimś papierem pokrytym cyframi. Na widok urzędnika zapytał:

— Czy znasz pan alfabet sekretny dawniejszej korespondencji?

— Nie, Ekscelencjo.

— Otóż życzę sobie, abyś się niezwłocznie wtajemniczył: tym sposobem uwolnisz mnie od wielu nudnych szczegółów. Jak tam z kasą? — zapytał Beausire'a.

— W najlepszym porządku, jak wszystko u pana Ducorneau — odparł Beausire.

— Dobrze, siadaj pan, panie Ducorneau, musisz mi udzielić pewnych informacji.

— Jestem na rozkazy Waszej Ekscelencji — rzekł rozpromieniony naczelnik i przysunął się z krzesłem.

— Sprawa nader ważna, w której potrzebuję, abyś mnie oświecił. Czy znasz w Paryżu uczciwych jubilerów?

— Są panowie Boehmer i Bossange, jubilerzy nadworni — odparł naczelnik.
— Tych właśnie nie chcę widzieć na oczy — powiedział don Manoel. — Mam ich dosyć raz na zawsze.
— Czyżby mieli nieszczęście w czymkolwiek narazić się Waszej Ekscelencji?
— O, i bardzo, panie Ducorneau, bardzo.
— Gdybym mógł się odważyć, gdybym śmiał...
— Mów pan śmiało.
— Zapytałbym, jakim sposobem ci ludzie, cieszący się taką reputacją...
— To są wierutni Żydzi, panie Ducorneau, a ich nieprzyzwoity postępek naraża ich na stratę jednego albo dwóch milionów.
— Oj! — zawołał Ducorneau z wyrazem chciwości.
— Zostałem upoważniony przez Jej Królewską Mość do pertraktacji o naszyjnik diamentowy.
— Tak, tak, słynny naszyjnik, obstalowany przez nieboszczyka króla jegomości dla pani Dubarry; wiem, wiem.
— Jesteś nieocenionym człowiekiem, pan wiesz wszystko. No więc chciałem kupić ten naszyjnik, ponieważ jednak sprawy przybrały taki obrót, nie kupię go.
— Może bym ja się w to wdał?
— Panie Ducorneau!
— O, dyplomatycznie, Jaśnie Wielmożny Panie, bardzo dyplomatycznie.
— Byłoby to możliwe, gdybyś znał tych ludzi.
— Bossange jest ze mną spokrewniony.
Don Manoel i Beausire wymienili spojrzenia. Zapanowała cisza.
Naraz jeden z lokajów otworzył drzwi oznajmiając:
— Panowie Boehmer i Bossange.
Don Manoel zerwał się z siedzenia i zawołał ze złością:
— Odprawić mi tych ludzi!
Lokaj się cofnął, aby spełnić rozkaz.
— Nie, niech pan ich raczej wypędzi, panie sekretarzu — dodał ambasador.
— Na miłość Boga! — błagalnie odezwał się Ducorneau. — Mnie pozwólcie spełnić rozkaz Ekscelencji; złagodzę go przynajmniej, skoro nie mogę go zmienić.
— Jak się panu podoba — rzekł niedbale don Manoel. Beausire zbliżył się do niego w chwili, gdy Ducorneau spiesznie wychodził.
— Masz tobie, to już chyba takie przeznaczenie, ażeby się ta sprawa nie udała — rzekł don Manoel.
— Wcale nie. Ducorneau ją naprawi.
— Popłacz, nieszczęśliwy. U jubilerów mówiliśmy po portugalsku; powiedziałeś przecie, że ani słowa po francusku nie rozumiem. Ducorneau popsuje wszystko.
— Idę tam zaraz.
— Może to niebezpieczne, żebyś się pokazywał, Beausire.
— Przekonasz się, że nie; zostaw mi swobodę działania.
— O, do licha!
Beausire wyszedł.
Ducorneau zastał na dole jubilerów, których grzeczność, jeśli nie zaufanie, zwiększyła się jeszcze od chwili wejścia do ambasady.
Nie spodziewali się ujrzeć znajomej twarzy i tkwili sztywno w pokoju przyjąć.
Spostrzegłszy pana Ducorneau Bossange wydał okrzyk radosnego zdziwienia:
— Ty tutaj! — zawołał.

I zbliżył się, aby go uściskać.

— Ho, ho! Bardzo to uprzejmie z twojej strony — odezwał się Ducomeau. — Poznajesz mnie tutaj, mój bogaty kuzynie. Czy dlatego, że jestem przy ambasadzie?

— Tak, na honor — odrzekł Bossange — wybacz mi, że trzymałem się dotąd z daleka i wyświadczyć mi przysługę.

— Jaka?

— Bądź tak dobry i racz nas objaśnić.

— W jakiej kwestii?

— Odnosnie ambasady.

— Jestem tu naczelnikiem kancelarii.

— To wybornie. Chcemy pomówić z ambasadorem.

— Przychodzę od niego.

— Od niego? Aby nam powiedzieć?...

— Że prosi was, byście się zaraz stąd wynieśli, moi panowie, i to niezwłocznie.

Dwaj jubilerzy, zakłopotani, spojrzeli po sobie.

— Bo — ciągnął z przejęciem Ducomeau — byliście niegrzeczni i ubliżyliście mu, jak się okazuje.

— Wysłuchajże nas.

— To na nic — odezwał się naraz głos Beausire który stanął na progu dumny i obojętny. — Panie Ducomeau, Jego Ekscelencja powiedział, abyś odprawił tych panów. Odprawić ich.

— Panie sekretarzu...

— Proszę wykonać rozkaz — rzekł wyniośle Beausire i wyszedł.

Naczelnik ujął krewniaka za prawe ramię, współnika krewniaka za lewe i popchnął ich lekko ku drzwiom.

— No — powiedział — sprawa przegrana.

— Boże, Boże, jakże ci cudzoziemcy są drażliwi! — zauważył Boehmer, który sam był Niemcem.

— Jak ktoś nazywa się Souza i ma dziewięćset tysięcy liwrów dochodu, ma prawo być takim, jakim chce.

— Widzisz, Boehmer — westchnął Bossange — mówiłem, że jesteś za szorstki w interesach.

— Ech! — odparł uparty Niemiec. — My nie dostaniemy jego pieniędzy, a on naszego naszyjnika.

Zbliżyli się do drzwi wyjściowych. Ducomeau zaczął się śmiać.

— Czy wy wiecie, co to za ryba taki Portugalczyk? — odezwał się wzgardliwie. — Czy wy wiecie, co to jest ambasador, mieszczuchy? Nie wiecie? To ja wam powiem. Ulubieniec pewnej królowej, Jego Ekscelencja ambasador pan Potiomkin, kupował co roku na pierwszego stycznia koszyk wisien dla swej władczyni. Koszyk taki kosztował sto tysięcy talarów. Po tysiąc liwrów wiśnia — czy to nie piękne? Co? Taki pan de Souza gotów kupić kopalnie brazylijskie, aby w ich pokładach znaleźć diamenty takiej wielkości, jak wasze wszystkie razem wzięte. Wyda na to swój dochód dwudziestoletni, dwadzieścia milionów. Lecz co mu zależy, dzieci nie ma. No, wiecie teraz!

I zamykał już drzwi za nimi, gdy Bossange namyślił się:

— Napraw to — rzekł — a dostaniesz...

— Tu się nie bierze łapówek — odparł Ducomeau, zatrząskując drzwi.

Tego samego wieczora ambasador otrzymał list następującej treści:

„Jaśnie Oświecony Panie! Człowiek, który oczekuje na rozkazy i pragnie złożyć

najpokorniejsze usprawiedliwienie, stoi u drzwi pałacu; na rozkaz Waszej Ekscelencji złoży do rąk jednego z J. O. Pana ludzi naszymi, który miał szczęście zwrócić uwagę Ekscelencji.

Racz przyjąć, J. O. Panie, wyrazy najgłębszego szacunku, etc. etc.

Boehmer i Bossange”

— No, więc naszymi już nasz! — rzekł don Manoel po przeczytaniu powyższego pisma.

— Jeszcze nie — odparł Beausire. — Będzie nasz, kiedy go kupimy; kupmy go więc!

— Jak to?

— Wasza Ekscelencja nie mówi po francusku, rzecz ułożona, lecz najpierw pozbadźmy się pana naczelnika.

— Jakim sposobem?

— Jak najprostszym. Trzeba mu dać jakąś misję dyplomatyczną; ja się tym zajmę.

— Mylisz się — rzekł don Manoel. — On tu będzie naszą kaucją.

— Wygada, że pan mówisz po francusku równie dobrze, jak Bossange i ja.

— Nie powie tego; ja go poproszę.

— Zgoda, niech zostanie. Kaź, niech przyjdzie ten z diamentami.

Człowiekiem tym był Boehmer we własnej osobie, Boehmer, który rozpływał się w grzecznościach i usprawiedliwieniach najpokorniejszych. Podał naszymi z miną jakby chciał go zestawić do przebadania. Don Manoel powstrzymał go.

— Starczy już tych prób — rzekł Beausire. — Jesteś pan nieufnym kupcem, ale musisz być uczciwym człowiekiem... Ambasador przebacza panu. Siadaj pan, porozmawiamy.

— Och, jak trudno jest sprzedawać — westchnął Boehmer.

— Jak to trudno kraść — pomyślał Beausire.

XXX. TARGI

Nareszcie pan ambasador raczył obejrzeć naszyjnik. Pan Boehmer pokazywał każdą sztukę diamentów i unosił się nad pięknnością każdego z osobna.

— Pan ambasador — odezwał się Beausire” do którego don Manoel zagadał coś po portugalsku — pan ambasador nic nie ma do zarzucenia doborowi tych kamieni. Kolekcja jest, owszem, zadowalająca. Co się tyczy samych diamentów, to sprawa inna; Jego Ekscelencja naliczył dziesięć uszkodzonych i z małymi skazami.

— Och? — zdumiał się Boehmer.

— Jego Ekscelencja — przerwał mu Beausire — lepiej może niż pan zna się na diamentach; szlachta portugalska bawi się w Brazylii diamentami, tak jak tutaj dzieci szkiełkami.

Istotnie, don Manoel wskazał palcem kolejno kilka diamentów, zwracając uwagę na niedostrzegalne wady, których by nie odkrył nawet najwybredniejszy znawca.

— Jednakże i taki, jaki jest — rzekł Boehmer, zdziwiony, że w wielkim panu spotyka tak znamienitego jubilera — naszyjnik ten jest obecnie najpiękniejszym zbiorem diamentów w całej Europie.

— To prawda — odrzekł don Manoel, a Beausire dodał:

— A więc, panie Boehmer, Najjaśniejsza Królowa Portugalii usłyszała o tym naszyjniku i poleciła Jego Ekscelencji obejrzeć go i ułożyć warunki kupna. Diamenty podobały się Jego Ekscelencji. Za jaką cenę chcesz je sprzedać?

— Milion sześćset tysięcy liwrów — odparł, jubiler. Beausire powtórzył odpowiedź ambasadorowi.

— To za drogo o sto tysięcy liwrów — powiedział don Manoel.

— Panie — rzekł jubiler — nie podobna ściśle oznaczyć zysków na tak cennym przedmiocie; aby dobrać naszyjnik takiej wartości, trzeba było dokonać poszukiwań i podróży, które by mogły przerazić każdego.

— O sto tysięcy liwrów za drogo — powtórzył uparty Portugalczyk.

— Musi tak być — dodał Beausire od siebie. — Jego Ekscelencja nigdy nie targuje się.

Boehmer zawahał się. Nic bardziej nie uśmierza podejrzliwości kupca niż targowanie się kupującego.

— Nie mógłbym — rzekł niepewnie — przystać na obniżenie ceny, bo w takim razie straciłbym cały zysk.

Don Manoel wysłuchał tego w przekładzie Beausire’a i powstał. Beausire zaś zamknął futerał i zwrócił go Boehmerowi.

— W każdym razie porozumiem się jeszcze z panem Bossange. Czy Ekscelencja na to przystaje?

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?... — zapytał Beausire.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, pan ambasador proponował milion pięćkroć sto tysięcy liwrów za naszyjnik. Czy Jego Ekscelencja pozostaje przy tej sumie?...

— Jego Ekscelencja tego, co powie, nigdy nie cofa — odparł Beausire. — Cofa się czasem przed nudą targów.

— Ależ, uzna chyba pan sekretarz, że muszę rozmówić się z moim współnikiem?

— Naturalnie, panie Boehmer.

— Naturalnie — powtórzył po portugalsku don Manoel, który uchwycił sens słów Boehmera — ale i ja potrzebuję szybkiej decyzji.

— Tak jest, Ekscelencjo. Jeżeli wspólnik mój ratyfikuje obniżkę ceny, ja zgadzam się z góry.

— Dobrze.

— Ustalamy więc cenę na półtora miliona.

— Dobrze.

— A więc, jeśli pan Bossange się zgodzi, pozostawałoby jeszcze ułożyć się o sposób wypłaty.

— W tej mierze nie będziesz pan miał trudności — rzekł Beausire. — Jakiej pan żądasz zapłaty?

— Jeżeli można — rzekł śmiejąc się Boehmer — gotówką.

— Co pan nazywasz gotówką? — zapytał chłodno Beausire.

— Och, ja wiem, że nikt nie wyłoży półtora miliona brzęczącą monetą — westchnął Boehmer.

— To by i dla pana zresztą nie było wygodne, panie Boehmer.

— A jednak część musi być gotówką, inaczej nie zgodzę się.

— Słusznie.

Beausire zwrócił się do Manoela:

— Ile Wasza Ekscelencja dałby zaliczki panu Boehmerowi?

— Sto tysięcy liwrów — odparł Portugalczyk.

— Sto tysięcy liwrów — przetłumaczył Beausire — przy podpisaniu umowy.

— A reszta? — zapytał jubiler.

— Po przesłaniu obliżu Jego Ekscelencji z Paryża do Lizbony, chyba że wolisz pan czekać na poświadczenie z Lizbony.

— Och — odpowiedział Boehmer — mamy w Lizbonie komisanta. Napiszemy...

— A tak — odparł Beausire z ironią — napiszcie, panowie, zapytajcie, czy pan de Souza jest wypłacamy i czy Jej Królewską Mość stać na milion czterysta tysięcy liwrów.

— Ależ, panie... — wyjąkał zmieszany Boehmer.

— Więc zgadzasz się pan, czy wolisz inne warunki?

— Te, które pan sekretarz raczył postawić, wydają się dobre. Jakie byłyby terminy spłat?

— Co miesiąc, panie Boehmer, po pięćset tysięcy liwrów rata; w ten sposób miałby pan okazję do przyjemnej podróży.

— Podróży do Lizbony?

— No, dla odebrania półtora miliona warto trochę fatygi?

— Tak, ale...

— Zresztą podróż odbędziesz pan na koszt ambasady razem ze mną lub z panem naczelnikiem kancelarii.

— Mam odwieźć diamenty?

— Rozumie się, chyba że weźmiesz pan weksle, a diamenty wyślesz do Portugalii.

— Sam nie wiem... sądzę... że... podróż byłaby najwłaściwsza i że...

— I ja jestem tego zdania — odrzekł Beausire. — Umowę podpisze się tutaj. Odbierzesz pan swoje sto tysięcy liwrów gotówką, podpiszesz akt sprzedaży i odwieziesz diamenty królowej. Któż tam jest przedstawicielem panów?

— Panowie Nunez i Balboa — bracia.

Don Manoel podniósł głowę.

— To są moi bankierzy — rzekł uśmiechając się.

— To są bankierzy Jego Ekscelencji — rzekł Beausire uśmiechając się także.

Boehmer nie miał już cienia podejrzenia; rozpromieniony złożył głęboki ukłon — jednocześnie pożegnalny i dziękczynny. Nagle myśl jakaś zawróciła go z drogi.

— Cóż tam? — spytał zaniepokojony Beausire.

— A więc słowo? — odezwał się Boehmer.

— Tak, słowo.

— Pod warunkiem...

— Pod warunkiem ratyfikacji układu przez pana Bossange, wszak o tym już mówiliśmy.

— Jest jeszcze inny warunek — oznajmił Boehmer.

— Ach!

— Panie, to nader delikatna sprawa, ale poczucie honoru imienia portugalskiego jest zbyt mocne, by Jego Ekscelencja myśli mojej nie zrozumiał.

— Ileż tu ogródek? Do rzeczy.

— Rzecz w tym, że naszyjnik oferowany był Najjaśniejszej Królowej francuskiej. Nie możemy, panie, na zawsze wypuścić naszyjnika z Francji, nie uprzedziwszy o tym królowej. Szacunek i zwykła lojalność wymagają, abyśmy dali pierwszeństwo Jej Królewskiej Mości.

— To słusznie — rzekł z godnością don Manoel. — Życzyłbym sobie, żeby kupcy portugalscy używali podobnego języka, panie Boehmer.

— Jestem bardzo szczęśliwy i bardzo dumny z przyzwolenia, którego Ekscelencja raczył mi udzielić. Zreasumujmy więc — oto dwa przewidziane warunki: potwierdzenie ugody przez pana Bossange oraz powtórna i ostateczna odmowa Najjaśniejszej Pani. Proszę na to o trzy dni.

— Z naszej zaś strony — odrzekł Beausire — sto tysięcy liwów gotówką i trzy przekazy wekslowe po pięćset tysięcy liwów na poufne zlecenie. Pudełko z diamentami oddane zostanie panu kanclerzowi ambasady lub temu z nas, który towarzyszyć będzie panu do Lizbony do panów Nunez i Balboa — braci. Spłata rachunku w ciągu trzech miesięcy, koszta podróży ponosimy.

— Tak jest, Ekscelencjo, tak jest, panie — odrzekł Boehmer z ukłonem.

— Ach! — zawołał don Manoel po portugalsku.

— Co jeszcze? — spytał, zawróciwszy, zaniepokojony z kolei Boehmer.

— Na szpilki — rzekł ambasador — dla mojego sekretarza lub dla naczelnika kancelarii, dla pańskiego towarzysza — pierścień za tysiąc pistołów, panie jubilerze.

— To bardzo słuszne, Wasza Dostojność — wymamrotał Boehmer — myślałem już o tym wydatku.

Don Manoel pożegnał jubilera gestem wielkopańskim i spiskowcy zostali sami.

— Zachciej mi pan wytłumaczyć — odezwał się podniecony don Manoel — co za diabelski pomysł miałeś z tą podróżą do Portugalii? Czyś pan oszalał? Czyż nie można było dać jubilerom zaliczki i z miejsca odebrać diamentów?

— Pan zanadto poważnie traktujesz swoją rolę ambasadora — odparł Beausire. — Dla pana Boehmera jeszcze nie jesteś całkowicie panem de Souza.

— Ależ... gdyby miał podejrzenia, nie umawiałby się chyba?

— Myśl pan, jak chcesz. Możliwe, że byłby się nie umawiał. Ale kto posiada półtora miliona liwów i zamienia je na kawałek papieru, chce wiedzieć najpierw, czy papier ten jest coś wart.

— I co? Pojedziesz pan do Portugalii? Nie umiesz po portugalsku. Powiadam, żeś oszalał.

— Wcale nie. Sam pan pojedziesz.

— Co to, to nie — zawołał don Manoel. — Wracać do Portugalii, nie, mam swoje powody...

— Oświadczam, że Boehmer nigdy nie oddałby diamentów za papier.

— Papier podpisany przez Souzê?

— A co, czy nie mówiłem, że on ma się już za Souzê?! — zawołał Beausire klasnąwszy w dłonie.

— Wolałbym zgodzić się, że sprawa upadła — odparł don Manoel.

— Bynajmniej. Chodź no tu, panie komandorze — rzekł Beausire do lokaja, który ukazał się w drzwiach. — Wszak wiesz, o co chodzi?

— Tak.

— Podśłuchiwałeś.

— Rozumie się.

— Bardzo dobrze. Czy i pan jesteś tego zdania, że zrobiłem głupstwo?

— Myślę, że masz pan stokrotnie rację.

— Czemu? — zapytał Manoel.

— A to dlatego, że pan Boehmer nie przestawałby śledzić pałacu i ambasadora.

— Cóż z tego?

— To, że mając pieniądze w ręku i diamenty przy sobie nie będzie miał najmniejszych podejrzeń i spokojnie pojedzie do Portugalii, a my tak daleko nie pojedziemy, panie ambasadorze! Prawda, panie kawalerze de Beausire?

— No, ba! Oto mi tęga głowa! — zawołał kochanek Oliwii.

— Opowiedz swój plan — odparł oziębłe don Manoel.

— O pięćdziesiąt mil za Paryżem — rzekł Beausire — nasza tęga głowa, oczywiście zamaskowana, pokaże parę pistoletów pocztylionowi, skradnie nam weksle i diamenty, wygrzmoci pana Boehmera i po harapie.

— Mnie się widzi inaczej — odezwał się pokojowiec. — Wyobrażam sobie, że panowie Beausire i Boehmer odpływają z Bayonne do Portugalii.

— Wybomie!

— Pan Boehmer, jak wszyscy Niemcy, kocha morze i wałęsa się po pokładzie. Przy pierwszej większej fali wypada za burtę i tonie. Diamenty utoną wraz z nim i koniec. Czemużby morze nie miało zabrać naszyjnika za półtora miliona, skoro potrafiło pochować tyle indyjskich galeonów?

— Tak, teraz rozumiem — powiedział Portugalczyk.

— Na szczęście — mruknął Beausire.

— Ale — ciągnął don Manoel — za adoptowanie diamentów wsadzają do Bastylii, a za ułatwienie panu jubilerowi oglądania dna morskiego — wieszają.

— Za kradzież diamentów łapią — odrzekł komandor — ale to nigdy nie daje podstaw do podejrzeń o utopienie człowieka.

— Zobaczymy zresztą na miejscu, co z tego wyniknie — dodał Beausire. — A teraz, panowie, do roboty. Prowadzimy ambasadę wzorowo jak prawdziwi Portugalczycy. Niechże o nas powiedzą: „Jeśli nawet nie byli prawdziwymi ambasadorami — wyglądali na nich”. Zawsze to pochlebne. Przeczekajmy te trzy dni.

XXXI. DOM DZIENNIKARZA

Przy ulicy Montorgueil, w głębi niewielkiego, zamkniętego kratą podwórza, wznosił się wąski dwupiętrowy domek, osłonięty od zgiełku ulicznego drewnianymi okiennicami, tak jakby działa się to na prowincji. Po przebnięciu dwóch czy trzech cuchnących jam, wchodziło się do czegoś w rodzaju składziku; leżały tam stosy zbroszurowanych i ponumerowanych gazet. Był to bowiem dom dość osławionego dziennikarza, „gazeciarza”, jak się naówczas mówiło. Sam redaktor zajmował pierwsze piętro. Wyżej zamieszkiwali ludzie spokojni, którzy tanio płacili za przykrość wysłuchiwanie kilka razy do roku hałaśliwych awantur z agentami policji i obrażonymi przez dziennikarza osobami prywatnymi lub aktorami, traktowanymi jak wyrzutki. W takie dni mieszkańcy domu „za Kratą”, jak go nazywano w dzielnicy, zamykali okna frontowe, aby lepiej słyszeć ujadanie dziennikarza, który uciekał zwykle przed pogonią na ulicę Staro — Augustiańską korzystając z bocznego wyjścia. Ukryte drzwiczki otwierały się i zamykały; hałas ustawał; napastowany zniknął, napastnicy zaś stawali oko w oko z czterema strzelcami gwardii” francuskiej, których stara służąca sprowadzała na gwałt z pobliskiego odwachu koło Hal.

Zdarzało się też, że napastnicy, nie mając na kim wyrzucić złości, darli na strzepy, a nawet palili mokre jeszcze a tak karygodne egzemplarze. Cóż jednak znaczy kawałek gazety dla zemsty, która łaknie kawałka skóry gazeciarza?

Wszelako, za wyjątkiem tych zajęć, spokój w domu za kratą wszedł w przysłowie. Pan Réteau wychodził z rana, zaglądał na bulwar, krążył po ulicach i placach, podpatrywał śmieszności i występki, notował je, ubarwiał i opisywał w gazecie. Pismo wychodziło raz na tydzień i pan Réteau przez cztery dni polował na artykuł, przez dwa dni następne drukował go, a w dniu ukazania się numeru oddawał się zasłużonemu wypoczynkowi.

Nowy numer gazety ukazał się w siedemdziesiąt dwie godziny po balu w Operze, na którym tak dobrze bawiła się panna Oliwia.

Pan Réteau, wstawszy o ósmej, odebrał z rąk służącej świeży egzemplarz w brudnoróżowej okładce, wilgotny i jeszcze śmierdzący farbą. Zabrał się śpiesznie do czytania z pilnością czulego ojca, który rozważa zalety i wady swego ukochanego dziecka.

— Patrz, Aldegondo — odezwał się do starej — udał się numer. Czytałaś już?

— Nie jeszcze; zupa nie gotowa — odparła stara.

— No, jestem naprawdę zadowolony — rzekł gazeciarz, unosząc nad poślaniem chude ramiona.

— Tak — odparła Aldegonda — ale czy pan wie, co mówią w drukarni?

— Co mówią?

— Mówią, że tym razem pan nie wymiga się od Bastylji. Reteau usiadł na łóżku i rzekł spokojnie:

— Ugotuj mi, Aldegondo, smaczną zupę, a do literatury się nie mieszaj.

— Zawsze ten sam, dziarski jak wróbel — odpowiedziała stara.

— Za dzisiejszy numer kupię ci kolczyki — odrzekł gazeciarz, owijając się prześcieradłem wątpliwej białości. — Czy już dużo rozkupiono egzemplarzy?

— Nie jeszcze; moje kolczyki nie będą zbyt świetne, jeżeli tak dalej pójdzie. Czy przypomina sobie pan ten pyszny numer o panu de Broglie: nie było jeszcze dziesiątej, a już sprzedaliśmy sto numerów.

— Ale trzy razy musiałem zmykać na ulicę Staro — Augustiańską — mruknął Réteau. — Przy każdym dźwięku dostawałem gorączki. Ci wojskowi, to tacy brutale.

— A ja powiadam — burczała Aldegonda — że dzisiejszy numer ani się równa z tamtym o panu de Broglie.

— Niech ci będzie — zgodził się Réteau. — Przynajmniej nie nabiegam się tyle i zjem spokojnie zupę. Gzy wiesz dlaczego, Aldegondo?

— Dalibóg nie wiem, panie.

— Bo zamiast napadać na osobę, napadam na całą partią, zamiast jednego wojskowego, atakuję królowę.

— Królowę! Bogu niech będą dzięki — mruknęła stara. — Jeśli tak, może pan być spokojny; jeżeli napadasz pan na królowę, na rękach będą cię nosić, numery rozejdą się, a ja dostanę kolczyki.

— Dzwonią — rzekł Réteau wracając do łóżka. Stara pobiegła do składu załatwić interesanta. Po chwili powróciła rozanielona, z miną triumfatora.

— Tysiąc egzemplarzy — rzekła. — Oto mi zamówienie, tysiąc za jednym zamachem.

— Dla kogo? — zapytał żywo Réteau.

— Nie wiem.

— Trzeba dowiedzieć się. Biegnij.

— O, mamy czas; to nie bagatelka odliczyć i zapakować tysiąc numerów.

— Biegnij szybko, powiadam, i zapytaj lokaja... Czy to lokaj?...

— Posłaniec, Owernijczyk z nosilkami.

— Dobrze, wypytaj go, dokąd zanoszą te numery. Odpowiedź brzmiała, że posłaniec ma to zanieść na ulicę Saint-Gilles, do hrabiego Cagliostro. Gazeciarz aż podskoczył z radości, zerwał się z łóżka i poszedł sam pomagać, gdyż w kantorze był tylko jeden subiekt, wychudły jak śmierć na chorągwi i bledszy od drukarskiego papieru.

Owernijczyk wyszedł uginając się pod ciężarem, a pan Réteau już zabierał się do notatek o powodzeniu numeru, gdy rozległ się nowy odgłos dzwonka w podwórzu.

— Znowu tysiączek egzemplarzy — zauważyła Aldegonda, zepsuta powodzeniem. — Nic dziwnego, jeżeli rzecz idzie o tę Austriaczkę.

— Cicho, Aldegondo, nie drzyj się. Austriaczka, to obelga i wsadzą mię do Bastylii, jak mi to przepowiedziałaś.

— A co — powiedziała zgryźliwie stara — jest nią, czy nie jest?

— My, dziennikarze, puszczaemy to słowo w obieg, ale nie trzeba się popisywać.

Dzwonek zadzwieczał powtórnie.

— Idź no, zobacz, Aldegondo, nie zdaje mi się, aby to było po numery.

— Skąd pan tak z góry wie? — odpowiedziała stara, schodząc na dół.

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że widzę za kratą człowieka z ponurą miną.

Aldegonda nie podzielała jednak jego obiekcji i żwawo poszła otworzyć. Pan Réteau wyglądał z uwagą, którą łatwo zrozumieć, mając opis samej jego osoby i oficyny.

Skromnie ubrany mężczyzna zapytał Aldegondę, czy redaktor gazety przyjmuje.

— Co pan od niego chce? — nieufnie zapytała Aldegonda, uchylając drzwi i gotowa zatrzasnąć je przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa. Gość jednakże brzęknął talarami w kieszeni i serce starej zmiękło.

— Przychodzę zapłacić za tysiąc egzemplarzy gazety, które zabrano dziś dla pana Cagliostro.

— A, jeżeli tak, proszę wejść.

Mężczyzna wszedł za kratę, lecz, nim ją zamknął, inny gość, młody, wysoki i przystojny, przytrzymał kratę, mówiąc:

— Przepraszam, panie.

I nie pytając o pozwolenie, wśliznął się za płatnikiem przysłanym przez hrabiego Cagliostro.

Aldegonda, myśląc tylko o zysku, urzeczona dźwiękiem talarów, przysłała do swego pana.

— Wszystko w porządku — powiedziała. — Otóż i pięćset liwrów od tego pana, który kupił tysiąc egzemplarzy.

— Przyjmijmy je z godnością — rzekł Réteau, parodiując Larive'a w jego najnowszej roli.

Wystroił się więc w niebrzydki szlafrok. Zawdzięczał go szczodrości, a raczej obawom pani Dugazon, którą, od czasu jej słynnej awantury z ujeżdżaczem Astleyem, naciągał na niemałą liczbę różnego rodzaju podarków. Przyszedł płatnik hrabiego Cagliostro, wydobyl sakiewkę i odliczył należność w sześcioliwrowych talarach, układając je w kupkach na stole. Réteau przeliczył skrupulatnie, obejrzał każdą sztukę, czy przypadkiem nie poobrzynana i skończywszy rachunek, wydał kwit. Pożegnał płatnika uprzejmym uśmiechem, zapytując go jeszcze o zdrowie hrabiego Cagliostro.

Jegomość z talarami podziękował jak za normalną uprzejmość i zabierał się do odejścia.

— Proszę powiedzieć jaśnie wielmożnemu hrabiemu, że zawsze gotów jestem spełniać jego rozkazy i dodać, aby był spokojny, umiem dochować tajemnicy.

— To zupełnie zbyteczne — odparł płatnik. — Pan hrabia de Cagliostro jest niezależny, nie wierzy w magnetyzm i rozgłasza awanturę z cebrzykiem dla własnej przyjemności, chcąc" by śmiano się z Mesmera.

— Dobrze — odezwał się głos od progu. — Postaramy się o to, by śmiano się także kosztem pana hrabiego Cagliostro.

Pan Réteau ujrzał w drzwiach osobistość jeszcze bardziej ponurą od poprzedniej.

Był to, jak powiedzieliśmy, mężczyzna młody i silny, lecz Réteau wcale nie podzielał opinii wygłoszonej przez nas o jego przyjemnym wyglądzie. Jego spojrzenie i postawa wydały się dziennikarzowi groźne. Nieznacznie złożył lewą dłoń na rękojęści szpady, a prawą — zacisnął na gałce laski.

— Co pan rozkaże? — zapytał Réteau, dygocąc, co mu się przytrafiało w każdym przykrzejszym wypadku. W rezultacie, ponieważ przykre wypadki nie zdarzały się rzadko, pan Réteau często dygotał.

— Wszak pan Réteau? — zagadnął nieznajomy.

— Tak jest. Zwany de Villette.

— Jesteś pan dziennikarzem?

— Do usług wielmożnego pana.

— Autorem tego artykułu? — zapytał zimno nieznajomy, wyjmując z kieszeni świeżuteńki numer gazety.

— Właściwie, to ja nie jestem autorem tylko wydawcą gazety.

— Bardzo dobrze, to na jedno wychodzi. Bo jeżeli brakło ci odwagi do napisania go, byłeś na tyle nikczemny, żeby go wydać. Mówię: nikczemny, bo jako szlachcic miarkuję słowa nawet w tej speluncie. Ale nie trzeba brać tego dosłownie, ponieważ to nie oddaje mojej myśli. Powinienem powiedzieć: tylko człowiek podły mógł napisać ten artykuł, tylko nędznik mógł go ogłosić.

— Panie!... — wyjąkał Réteau blednąc.

— Tak, tak... źle pańska sprawa wygląda, to prawda — ciągnął młody człowiek podniecając się w miarę, jak mówił. — Posłuchaj więc, mości pismaku: wszystko ma swoją kolej. Przed chwilą dostałeś talary, a teraz dostaniesz cięgi.

— O... zobaczymy!... — krzyknął Réteau.

— Co zobaczymy?... — spytał krótko, po wojskowemu, młody człowiek, rzucając się na swego przeciwnika.

Lecz ten nie pierwszy raz miał do czynienia z tego rodzaju sprawą; a że znał dobrze tajniki

domu, wystarczyło mu tylko trafić do drzwi, zatrzasnąć je za sobą i zasłonić się nimi niby tarczą; potem już z przyległego pokoju, przez słynne wyjście ratunkowe wydostawał się na ulicę Staro — Augustiańską.

Wtedy był ocalony. Jednym obrotem klucza, który miał w pogotowiu, otwierał umieszczoną tam kratę, zatrzaskiwał ją i zmykał, co mu nóg starczyło. Ale był to widocznie dzień feralny dla biednego gazeciarza, bo w chwili, gdy chwycił za klucz, spostrzegł za kratą jakiegoś jegomościa, który wydał mu się równie wielki jak Herkules, a który nieruchomy i groźny zdawał się wyczekiwać. Tak ongiś smok z ogrodu Hesperyd czekał na amatorów złotych jabłek. Réteau chętnie by zawrócił, lecz młodzian z łaską, ten, który pojawił się pierwszy po wysadzeniu drzwi kopnięciem, już go doganiał. Réteau wzięty był w ten sposób w dwa ognie, a raczej we dwa kij. W wąziutkim, ciemnym podwóreczku nie było żadnego schronienia.

— Panie, przepuść pan, proszę — błagał Réteau młodzieńca, strzegącego zbawczej kraty.

— Panie — krzyknął ów młodzian ścigający gazeciarza — panie, trzymaj tego nędznika!

— Bądź spokojny, panie de Charny, tędy nie ucieknie — oświadczył młodzieniec zza kraty.

— Ach, pan także, panie de Taverney! — zawołał Charny, on to bowiem wtargnął za płótnikiem do mieszkania Réteau.

Obaj, czytając z rana gazetę, powzięli tę samą myśl, ponieważ kierowało nimi to samo uczucie i, nic nie mówiąc jeden drugiemu, postanowili myśl tę wprowadzić w czyn. Zdecydowali się pójść do gazeciarza, zażądać satysfakcji, a gdyby jej odmówił, obić go kijem. Ale każdy z nich wpadł w złość ujrzawszy rywala; każdy bowiem odgadywał rywala w mężczyźnie, który doświadczał podobnych uczuć. Dlatego też dość szorstki był ton głosu pana de Charny, kiedy zawołał:

— Ach, pan także, panie de Taverney!...

— To ja — odparł Filip z podobną intonacją — ja sam, lecz przyszedłem za późno, zdaje się. Będę więc tylko asystować przy fecie, jeżeli nie raczy pan otworzyć mi drzwi.

— Na fecie — zamruczał przerażony dziennikarz. — Na fecie. Coś pan powiedział?... Panowie!... Chcecie mnie zarżnąć?

— O!... — rzekł Charny. — Mocne słowa! Nie, mój panie, nikt cię tu nie zarżnie, zerżnie najwyżej, ale pogadamy najpierw, a potem się zobaczy. Czy wolisz, panie Taverney, abym postąpił z tym człowiekiem, jak uważam za stosowne?...

— I owszem — odparł Taverney. — Pan masz pierwszeństwo, ponieważ wcześniej przyszedłeś.

— Dalej, oprzyj się i ani mi się rusz — rzekł Charny, gestem dziękując Taverneyowi. — A więc przyznajesz się, mój panie, żeś napisał i wydrukował paszkwil przeciwko królowej, tę figlarną powiastkę jak ją nazwałeś, która ukazała się dzisiaj w twojej gazecie?...

— To nie przeciw królowej. — O, jeszcze tego brakowało.

— Pan jesteś bardzo cierpliwy — rzekł Filip zza kraty.

— Bądź pan spokojny, łotr nic na tym nie straci, jak trochę poczeka.

— Tak — mruknął Filip — ale ja także czekam. Charny nic na to nie odpowiedział, lecz zwrócił się do nieszczęsnego Réteau.

— Etteniotna — to Antoinette na odwrót... O... nie kłam, mój panie!... Byłoby to tak podłe, że zamiast bić cię lub zabić, obedrę żywcem ze skóry. Odpowiadaj i to zdecydowanie! Chcę wiedzieć, czy sam jesteś autorem tego pamfletu?

— Nie jestem denuncjantem — odparł Réteau prostując się.

— Bardzo dobrze!... To znaczy, że masz współnika. To zresztą ten człowiek, który zakupił tysiąc numerów tej potwarzy, hrabia de Cagliostro, jak sam niedawno mówiłeś. Doskonale! Hrabia zapłaci za siebie, kiedy już ty za siebie zapłacisz.

— Panie, ja go nie oskarżam — zawył Réteau, obawiając się paść ofiarą gniewu jeszcze jednego przeciwnika.

— Ale ty zapłacisz pierwszy — mówił dalej Charny.

I podniósł laską do góry.

— Panie, gdybym miał szpadę — ryknął Réteau. Charny opuścił laskę.

— Panie Filipie — rzekł — pożycz temu łotrowi szpadę, proszę cię.

— O!... Nic z tego, nie pożyczam uczciwej szpady łajdakom, oto moja laska, jeśli nie dosyć pańskiej. Ale nie mogę, na moje sumienie, zrobić nic więcej dla nikogo, nawet dla pana.

— Do krocset... kij — rzekł zrozpaczony Réteau. — Wiedz pan, że jestem szlachcicem!..

— Proszę więc, pożycz pan mnie swojej szpady — rzekł Charny, rzucając jednocześnie swoją pod nogi dziennikarza. — Tej już, niestety, nie będę mógł dotknąć.

Filip nie mógł się teraz wymówić. Wydobył z pochwy szpadę i podał ją panu de Charny przez kratę. Charny przyjął ją z ukłonem.

— A!... To ty jesteś szlachcicem — rzekł, zwracając się w stronę pobladłego Réteau. — Szlachcic i piszesz o królowej francuskiej podobne infamie!... Dalej!... Podnieś „szpadę i udowodnij, że jesteś szlachcicem!..

Lecz Réteau ani drgnął; można by powiedzieć, że tak samo lękał się szpady, leżącej u jego nóg, jak kija, który przed chwilą wisiał nad jego głową.

— Do kata!... — zawołał zdesperowany Filip. — Otwórzże mi pan kratę.

— Przepraszam, panie — odparł Charny — ale sam przystałeś, że ten człowiek najpierw należy do mnie.

— No, więc kończ pan, bo mnie pilno z nim zacząć.

— Musiałem wszystkie inne środki wyczerpać, zanim doszedłem do ostateczności — rzekł Charny — bo razy kijem są równie przykre dla bijącego jak i dla bitego, lecz skoro ten pan przedkłada widocznie kij nad szpadę, dobrze... Niech będzie obsłużony według gustu.

Krzyk Réteau oznajmił po chwili, że Charny dołączył czyny do słów: pięć czy sześć tegich razów wywołało wrzask równoważny bólowi. Na wrzask ten nadbiegł stara Aldegonda. Lecz pan de Charny nie więcej się troszczył o jej lament niż o lament jej chlebobdawcy. Na koniec Charny stanął zmęczony, ponieważ bił, a Réteau upadł zmęczony, ponieważ został obity.

Tymczasem Filip, czując się jak Adam za wrotami raj, gryzł paznokcie i pomrukiwał jak niedźwiedź, który widzi przez kraty świeże mięso.

— No, czyś już pan skończył?... — zawołał.

— Już! — odparł Charny.

— To proszę, oddaj mi pan szpadę, która nie była ci potrzebna i wpuść mnie.

— Panie! Panie! — błagał Réteau, dopatrując się obrońcy w człowieku, który zakończył z nim rachunki.

— Pojmujesz, że nie mogę zostawić tego pana za drzwiami — rzekł Charny — i muszę otworzyć.

— Ależ to zbrodnia! — wrzeszczał Réteau. — Przeszyjcie mnie od razu szpadą i niech już raz będzie koniec.

— Uspokój się już — powiedział Charny. — Sądzę, że ten pan cię nawet nie dotknie.

— Masz słusność, panie — rzekł Filip z najwyższą pogardą. — Ani myślę. Zostałeś obity i dosyć, bo jak głosi maksyma prawna: „Non bis in idem”. Ale pozostały jeszcze egzemplarze edycji i trzeba je zniszczyć.

— Słusznie — odezwał się Charny. — Widzisz pan więc, iż lepiej być we dwóch niż samemu; byłbym o tym zapomniał. Ale jakim trafem znalazłeś się pan u tych drzwi, panie de Taverney?

— To było tak. Zrobiłem rekonesans w dzielnicy i wypenetrowałem, że ten łajdak ma zwyczaj

tędy uciekać, kiedy go przyprą do muru. Pomyślałem więc, że wchodząc przez drzwiczki ukryte zamiast wejściem głównym, i zamykając je za sobą, złapię lisa w jego norze. Podobna myśl o zemście przyszła do głowy i panu, ale bardziej porywczy, mniej dokładnie zasięgnąłeś języka i wszedłeś od frontu. Byłby też pewnie umknął, ale na szczęście, ja się tam zjawiłem.

— Cieszę się z tego bardzo. Pójdź, panie de Taverney... Ten błazen zaprowadzi nas do swoich gazet.

— Tu nie ma gazet — rzekł Réteau.

— Kłamstwo — zawołał Charny z pogróżką.

— Nie, nie, on ma rację. Pisma są już sprzedane, została tylko edycja.

— Niech cały nakład przy nas podrze.

— Niech go spali, to będzie pewniejsze.

Filip aprobując ten sposób zadośćuczynienia, popchnął Réteau w kierunku składu.

XXXII. DWAJ PRZYJACIELE STAJĄ SIĘ NIEPRZYJACIÓLMI

Aldegonda, usłyszawszy krzyki swego pana i znalazłszy drzwi zamknięte, pobiegła po straż. Nim jednak wróciła, Filip i Charny zdążyli już rozniecić wielki ogień z poszarpanych egzemplarzy pisma. Egzekutorzy bliscy byli ukończenia swego dzieła, gdy wraz z Aldegonda ukazała się w bramie straż, a za nią setka uliczników i kumoszek. Gdy pierwsze karabiny stuknęły o posadzkę przedsiönka, zaczynały się palić ostatnie numery gazety.

Na szczęście, Filip i Charny znali drogę, którą nieopatrznie wskazał im Réteau. Wypadli więc na korytarz, zasunęli za sobą rygle, wyszli na ulicę, zatrzasnęli kratę i klucz wrzucili do kanału. Tymczasem Réteau, oswobodziwszy się, wołał ratunku, darł się, że go zabijają. Aldegonda zaś, widząc na szybach odbłask ognia niszczącego papiery, wrzeszczała: „Gore!” Fizylierzy nie znalazłszy napastników i zobaczywszy wygasający ogień, nie uważali za stosowne czynić dalszych poszukiwań i powrócili do kordegardy, pozostawiając Réteau, nacierającego sobie okolice pleców wódką kamforową. Tłum jednak, jak zawsze, ożywiony większą ciekawością od warty, aż do południa oczekiwał na powtórzenie tak zajmującego widowiska. Aldegonda w rozpaczy zlorzeczyła Marii Antoninie, wymyślając jej od Szwabek, a błogosławiła pana Cagliostro jako protektora literatury.

Taverney i Charny, znalazłszy się na ulicy Staro — Augustiańskiej, szli przez jakiś czas razem.

— Panie — rzekł Charny — teraz, kiedy ekspedycja nasza skończona, czy mogę mieć honor być mu w czymś użytecznym?

— Stokrotne dzięki, panie, chciałem cię pytać o to samo.

— Dziękuję. Przybyłem tu w sprawach osobistych, które mnie pewnie w Paryżu zatrzymają na część dnia.

— Ja także, panie.

— Pozwól więc pan, że będę miał zaszczyt pożegnać cię, wieszając sobie szczęścia i honoru, jakim było spotkanie z panem.

— Pozwól mi pan odwzajemnić się tą samą uprzejmością i złożyć życzenie, by sprawa, dla której pan przybyłeś, powiodła się jak najlepiej.

I obaj młodzi ludzie pożegnali się z uśmiechem i grzecznością, w której brały udział tylko usta.

Rozchodząc się, obrócili się do siebie plecami, Filip poszedł w stronę bulwarów, Charny zaś skierował się ku rzece. Kilkakrotnie obejrzeni się jeszcze, aż wreszcie stracili się z oczu. Wtedy Charny, który, jak powiedzieliśmy, udał się w stronę rzeki, skręcił w ulicę Beaurepaire i ulicami du Renard, du Grand-Hurlleur, Jean-Robert, des Gravilliers, Pastourel, Anjou, du Perche, Culture, Sainte-Catherine, Sainte-Anastase przedostał się na ulicę Saint-Louis. Teraz przyspieszył kroku i popędził w kierunku ulicy Neuve-Saint-Gilles.

Jednakże w miarę jak się tam zbliżał, zobaczył nadchodzącego z przeciwnej strony młodego człowieka, który wydawał mu się dziwnie znajomy. Parę razy przystanął pełen wątpliwości, lecz wkrótce zwątpienie rozproszyło się. Nadchodzącym był Filip. Ten znowu poszedł ulicami Mauconseil, aux Ours, du Grenier — Saint-Lazare, Michel-le-Comte, des Vieilles — Audriettes, de l'Homme — Armé, des Rosiers i przeszedłszy obok pałacu Lamoignon przedostał się na ulicę Saint-Louis u zbiegu z ulicą l'Égout Sainte-Catherine. Przy rogu ulicy Neuve-Saint-Gilles dwaj młodzi ludzie spotkali się, stanęli i spojrzeli na siebie wzrokiem, który tym razem już nie ukrywał ich myśli. Kierowała nimi znowu ta sama idea: przychodzili żądać satysfakcji od

hrabiego Cagliostro. Spotkawszy się w tym miejscu, żaden z nich nie mógł wątpić, jaki sprowadza ich zamiar.

— Panie de Charny — odezwał się Filip — oddałem ci sprzedawcę, więc mógłbyś mi zostawić nabywcę. Nie przeszkadzałem ci rozprawić się kijem, pozwólże mi użyć szpady.

— Panie — odparł Charny — sędzę, iż tylko dlatego wyświadczyłeś mi tę grzeczność, iż pierwszy przyszedłem, a nie dla czego innego.

— Tak, lecz tutaj — odrzekł Taverney — przychodzę jednocześnie z panem i z góry już zapowiadam, że nie mam zamiaru ustąpić.

— Któż panu powiedział, że proszę o to; będę bronił mojego prawa i tyle.

— A jakież to pańskie prawo, panie de Charny?...

— Zmusić pana de Cagliostro do spalenia tysiąca egzemplarzy, które kupił od tego nędznika!

— Zechcesz pan może przypomnieć sobie, że to był mój pomysł już przy ulicy Montorgueil.

— Właśnie, pan spaliłeś je tam, a ja każę je podrzeć przy ulicy Neuve-Saint-Gilles.

— Niewymownie mi przykro, ale muszę panu oświadczyć, że stanowczo pragnę pierwszy rozprawić się z hrabią Cagliostro.

I Filip poszedł naprzód, ale Charny go powstrzymał.

— Panie — rzekł — słówko jedno, a sędzę, że dojdziemy do porozumienia.

Filip szybko odwrócił się. W głosie Charny'ego brzmiał ton pogroźki, który mu bardzo odpowiadał.

— Ach! — zawołał. — Zgoda.

— Jeżeli na przykład z żądaniem satysfakcji od hrabiego Cagliostro wybierzemy się przez lasek Buloński, droga będzie wprawdzie dalsza, ale, jak sędzę, zakończy to nasz spór. Prawdopodobnie jeden z nas pozostanie w drodze, a ten, który powróci, nie będzie miał potrzeby się tłumaczyć.

— Uprzedzasz pan myśl moją — odrzekł Filip — tak, to nas pogodzi. Zechcesz mi pan powiedzieć, gdzie się spotkamy?

— Ale, jeżeli towarzystwo moje nie jest dla pana zbyt... nie do zniesienia...

— Jak to?

— Moglibyśmy nie rozstawać się. Kazałem, by mój powóz czekał na mnie na placu królewskim, a to o parę kroków stąd.

— Więc zechcesz pan użyczyć mi miejsca.

— A jakże! Z największą przyjemnością.

I młodzi ludzie, którzy poczuli się rywalami od pierwszego wejrzenia, a stali się nieprzyjaciółmi przy pierwszej okazji, przyspieszonym krokiem udali się w stronę placu królewskiego.

Nim wsiedli do powozu, Charny napisał parę słów i posiał karteluszek do domu.

Konie były rące. W niespełna pół godziny znaleźli się w lasku Bulońskim. Charny zauważył odpowiednie miejsce i kazał stangretowi zatrzymać się.

Dzień był piękny, trochę chłodnawy, powietrze przesycone było zapachem fiołków i świeżych pączków bzu. Poprzez pozółkłe, zeszlóroczne liście wyglądała świeża trawa.

— Ładna pogoda na przechadzkę, prawda, panie de Taverney?

— Tak jest, panie, wspaniała pogoda. I obaj wysiedli.

— Jedź, Dauphin — rzekł Charny do stangreta.

— Panie — odezwał się Taverney — może lepiej nie odsyłać karety, może będzie któremu z nas potrzebna

— Najważniejszy jest sekret, panie. Sekret powierzony służącemu, jutro stanie się przedmiotem rozmów całego Paryża.

— Jak pan uważasz, ale stangret i tak już wie, o co chodzi. Ludzie ci zbyt znają nasze zwyczaje, by nie, domyśleć się, w jakim celu zawożą szlachtę do lasu Boulogne, Vincennes lub Satory. Nie jeździ się tu dla zwykłej przechadzki. Stangret wie, a gdyby nawet nie wiedział, zrozumie, gdy zobaczy któregoś z nas rannego lub zabitego. Nie lepiej więc zatrzymać go, żeby odwiózł tego, co nie będzie mógł wracać o własnych siłach?

— Masz pan słuszość — odrzekł Charny i zawołał:

— Dauphin, zatrzymaj się, zaczekasz!

Stangret, który rzeczywiście domyślał się, co ma nastąpić, i tak nie śpieszył się z odjazdem. Teraz usiadł na koźle w ten sposób, by poprzez drzewa, ogołocone jeszcze z liści, oglądać scenę, w której pan jego miał być jednym z aktorów.

Filip i Charny zapuścili się w las, a po upływie pięciu minut zniknęli prawie w błękitnawej mgiełce. Filip idąc naprzód, trafił na miejsce suche i twarde. Był to podłużny prostokąt wybornie nadający się do celu, który sprowadził tu obu młodzieńców.

— Wydaje mi się, że to dobre miejsce, panie de Charny, jeśli panu ono odpowiada — rzekł Filip.

— Wyśmienite, panie — odparł Charny zrzucając frak. Filip zdjął także surdut; rzucił kapelusz na stronę i dobył szpady.

— Panie — rzekł Charny, nie biorąc jeszcze szpady do ręki — każdemu innemu powiedziałbym parę słów, jeśli nie przeprosin, to przynajmniej grzeczności i zostalibyśmy przyjaciółmi, ale panu, kawalerze, walecznemu żołnierzowi, który powraca z Ameryki, a więc z kraju, gdzie umieją się bić tal: dobrze... nie mogę...

— I ja przed każdym innym — odwzajemnił Filip — usprawiedliwiłbym się, że może dałem powód do urazy, ale panu, chrobremu marynarzowi, który niedawno był przedmiotem podziwu całego dworu za swój czyn bohaterski, mogę powiedzieć tylko jedno — panie hrabio de Charny, zrób mi ten zaszczyt i weź się do szpady.

Hrabia uklonił się i wyjął szpadę z pochwy.

— Panie — rzekł — sędzę, że żaden z nas nie porusza prawdziwej przyczyny sprzeczki.

— Nie rozumiem cię, hrabio — odparł Filip.

— O, przeciwnie, rozumiesz mnie pan i to doskonale, a ponieważ przybywasz pan z kraju, w którym kłamać nie umieją, więc też zarumieniłeś się mówiąc, że mnie nie rozumiesz.

— Baczość! — rzekł Filip. Szpady się skrzyżowały.

Już w pierwszym starciu Filip spostrzegł, że ma wyraźną nad przeciwnikiem wyższość. Lecz pewność ta, zamiast dodać mu zapału, zdawała się studzić go zupełnie. Wyższość ta pozwoliła mu zachować zimną krew — był tak spokojny, jak gdyby znajdował się w sali fechtunku i zamiast szpady, trzymał w ręku floret. Poprzestał na parowaniu ciosów, walka trwała już przeszło minutę, a on nie zaatakował ani razu.

— Oszczędzasz mnie pan — rzekł Charny. — Czy mogę zapytać dlaczego?

I maskując fintę pchnął niechybnie w pierś przeciwnika. Lecz ten odbił pchnięcie błyskawiczną paradą.

Charny, zbijany stale z pozycji, nacierał zawzięcie, Filip ograniczał się ciągle do obrony. Charny był młodszy i bardziej zapalczywy, wstydził się własnego wzburzenia wobec spokoju przeciwnika i postanowił wyprowadzić go z równowagi.

— Mówiłem już, panie, iż żaden z nas nie wspomina o prawdziwej przyczynie pojedynku.

Filip nie odpowiedział.

— Powiem ci, panie, przyczynę. Szukałeś ze mną zwady, a sam dałeś do niej powód; szukałeś zwady, bo jesteś zazdrosny.

Filip milczał.

— Cóż to? — rzekł Charny, zapalając się na przekór zimnej krwi Filipa. — W jakie to sposoby się bawisz, panie de Taverney? Czy masz zamiar zmordować mi rękę? Byłaby to kalkulacja niegodna ciebie. Zabij mnie, do licha, jeżeli zdołasz, ale zabij mnie w porządnej walce.

Filip potrząsnął głową.

— Tak, panie — rzekł. — Szukałem z tobą kłótni, jestem winien.

— Nie o to idzie, do licha. Masz pan szpadę w ręku, używaj jej należycie. A jeśli nie chcesz nacierać, broń się słabiej.

— Panie — odparł Filip — miałem już zaszczyt powiedzieć, że jestem winien i że żałuję.

Ale Charny zanadto był zgorączkowany, by docenić szlachetność przeciwnika i wziął ją tylko za obrazę.

— A! — odrzekł. — Rozumiem teraz, chcesz pan okazać się wspaniałomyślnym! To tak, kawalerze? Dziś lub jutro masz zamiar opowiadać niektórym pięknym paniom, żeś mnie sprowadził na plac i że mi życie darowałeś!

— Panie hrabio, doprawdy obawiam się, czy pan nie tracisz zmysłów.

— Chciałeś pan zabić pana Cagliostro, aby przypodobać się królowej, czy nie tak? Ażeby zaś przypodobać się jeszcze bardziej chcesz zabić i mnie, ale nie pchnięciem szpady, tylko wystawieniem na śmieszność.

— A! To już o słowo za wiele! — krzyknął Filip marszcząc brwi. — A słowo to dowodzi, że masz pan serce nie tak szlachetne, jak myślałem.

— Dobrze, przebij pan to serce — rzekł Charny odslaniając się właśnie w chwili, gdy Filip złożył się do cięcia.

Szpada prześliznęła się wzdłuż żeber rysując krwawą bruzdę pod koszulą z cienkiego płótna.

— No — rzekł Charny wesoło — jestem ranny. Jeśli cię teraz zabiję, będę miał piękną rolę.

— Doprawdy, oszalałeś pan zupełnie, nie zabijesz mnie, a w dodatku będziesz miał rolę całkiem nieciekawą, bo ranny będziesz bez powodu ani korzyści, nikt bowiem nie wie, o cośmy się bili.

Charny natarł tak gwałtownie, iż Filip ledwie zdołał uniknąć pchnięcia; ale odbiwszy cios z rozmachem, wytrącił szpadę z ręki przeciwnika że upadła o dziesięć kroków dalej.

Filip podbiegł szybko i złamał ją silnym naciśnięciem nogi.

— No, panie de Charny — rzekł — nie potrzebowałeś przekonywać mnie o swej odwadze. Musisz mnie bardzo nienawidzić, skoro byłeś tak zawzięty.

Charny nie odpowiadał, bladł w oczach. Filip czekał parę sekund na odpowiedź.

— A więc, panie hrabio — powiedział — kości rzucone, jesteśmy wrogami.

Charny się zachwiał. Filip rzucił się, aby go podtrzymać, lecz hrabia odtrącił jego rękę.

— Dziękuję — rzekł — zajdę może do mego powozu. Szpada przeszła tylko mięśnie. W piersiach nie czuję nic.

— Tym lepiej, panie.

— Mam nadzieję, że prędko się wyleczę.

— To jeszcze lepiej, ale jeśli chcesz wyzdrowieć, żeby powtórzyć walkę, uprzedzam pana, że przeciwnika we mnie nie znajdziesz.

Charny usiłował odpowiedzieć, lecz słowa zamarły mu na ustach; zachwiał się tak, że Filip zaledwie zdążył pochwycić go w ramiona. Podniósł go jak dziecko i na wpół zemdlonego zaniósł do powozu.

— Jedź stępa — rzekł do stangreta Filip.

— A pan? — wyszeptał ranny.

— Och, proszę się o mnie nie troszczyć.

I kłaniając się, zamknął drzwiczki. Patrzył na oddalającą się zwolna karetę a gdy wreszcie zniknęła na zakręcie drogi, poszedł sam drogą najbliższą do Paryża.

Raz ostatni obejrzał się na karetę i spostrzegłszy, że zmierza nie do Paryża, lecz do Wersalu, wypowiedział trzy słowa wyrwane prosto z serca.

— Będzie go żałowała!

XXXIII. DOM PRZY ULICY NEUVE–SAINT–GILLES

Obok posterunku straży Filip znalazł najemną karetkę.

— Ulica Neuve–Saint–Gilles — rzekł do woźnicy. — A żywo!

Mężczyzna w ubraniu cywilnym, ale o marsowym wyglądzie, mężczyzna, który się bił i zachował minę zwycięzcy, jest nie lada gratką dla automedona za dwadzieścia cztery soldy. Dorożkarz nie żałował bata, a dla podekscytowanego Filipa ów bat, chociaż nie był trójzębem Neptuna, berłem świata, był w tej chwili berłem wcale ważnym. W niedługim też czasie przybyli na miejsce.

Fasada pałacyku odznaczała się szlachetną prostotą, jak w większości budowli wzniesionych za panowania Ludwika XIV, kiedy to zarzucono już modne za Ludwika XIII nakładanie na elewacje figielków z marmuru lub cegły.

Przed podjazdem reprezentacyjnego dziedzińca kołysała się na miękkich resorach obszerna landara zaprzęzona w dwa ręce bieguny.

Na koźle drzemał woźnica w szerokiej opończy podbitej lisami, obok kręcili się dwaj lokaje, z których jeden uzbrojony był w szeroki myśliwski kordelas.

Dorożkarz, otrzymawszy od Filipa rozkaz, by wjechał na dziedziniec, krzyknął na szwajcara i niezwłocznie zaskrzypiały zawiasy masywnej bramy. Filip wyskoczył z karety, wbiegł na ganek i zwracając się do lokajów, zapytał obu na raz:

— Czy jest pan hrabia de Cagliostro?

— Pan hrabia wyjeżdża — odparł jeden z nich.

— Muszę z nim pomówić, zanim wyjedzie. Proszę oznajmić kawalera Filipa de Taverney. I udał się za lokajem z takim pośpiechem, że niemal razem z nim wszedł do salonu.

— Kawaler Filip de Taverney — powtórzył za lokajem głos męski lecz łagodny. — Prosić.

Spokojny ten głos wywołał u Filipa nieokreślone bliżej wzruszenie.

— Proszę mi wybaczyć, panie — rzekł witając człowieka wysokiego wzrostu o wyglądzie silnym i czerstwym, tę samą właśnie personę, która ukazywała się nam kolejno u stołu marszałka de Richelieu, przy cebrzyku Mesmera, w pokoju panny Oliwii i na balu w Operze.

— Mam panu wybaczyć, a co mianowicie? — zapytał Cagliostro.

— To, że wstrzymuję jego wyjazd.

— Wypadałoby raczej prosić o wybaczenie, gdybyś się był spóźnił, kawalerze.

— A to dlaczego?

— Bo czekałem na pana. Filip zmarszczył brwi.

— Jak to, pan na mnie czekałeś?

— Tak, byłem uprzedzony o pana odwiedzinach.

— O moich odwiedzinach?

— No, tak, od dwóch godzin. Wszak zamierzałeś pan przyjść przed godziną czy dwiema i tylko wypadek, od woli twej niezależny, opóźnił wykonanie tego zamiaru.

Filip zacisnął pięści, czuł, iż człowiek ten wywiera na niego wpływ niesamowity. Ale Cagliostro, nie zważając zupełnie na nerwowe ruchy Filipa, rzekł:

— Siadaj pan, proszę, panie de Taverney. Ten fotel postawiono specjalnie dla pana.

I podsunął młodzieńcowi fotel ustawiony przed kominkiem.

— Dosyć tych żartów, hrabio — odparł Filip, który usiłował głosowi swemu nadać brzmienie równie spokojne jak głos pana domu, nie umiał jednak poskromić lekkiej tremy.

— Wcale nie żartuję, oczekiwałem pana.

— Dość tej szarlatanerii, mój panie; nie przyszedłem tu sprawdzać twoich umiejętności proroczych, ale jeśli jesteś wróżbitą, tym lepiej dla pana, bo wiesz, co ci mam powiedzieć, i z góry możesz się schronić.

— Schronić... — podchwycił z dziwnym uśmiechem hrabia. — Przed czym, jeżeli łaska?

— Zgadnij pan, skoro jesteś wróżem.

— Zgoda. Aby sprawić panu przyjemność oszczędzę mu trudu wyjaśniania powodu odwiedzin. Przychodzisz pan szukać ze mną zwady.

— Skąd pan to wie?

— Wiem.

— A może zna pan i przyczynę?

— Przyczyną jest królowa. A teraz kolej na pana. Proszę mówić, słucham.

Słowa te wypowiedziane zostały bez kurtuazji gospodarza, lecz suchym i lodowatym tonem przeciwnika.

— Masz pan słuszność, panie — rzekł Filip. — Tak wolę.

— A zatem wszystko składa się jak najlepiej.

— Panie, istnieje pewien pamflet...

— Pamfletów jest dużo, mój panie...

— Ogłoszony przez pewnego... gazeciarza.

— I dziennikarzy jest wielu.

— Chwileczkę, teraz chodzi o pamflet, a później zajmiemy się dziennikarzem.

— Pozwól pan powiedzieć sobie — przerwał z uśmiechem Cagliostro — żeś pan już się nim zajmował.

— Owszem; mówiłem więc, że istnieje pamflet, wymierzony przeciw królowej.

Cagliostro potwierdził ruchem głowy.

— Czy zna pan ten pamflet?

— Tak, panie.

— I kupiłeś pan tysiąc egzemplarzy.

— Nie przeczę.

— Na szczęście nie dostały się do pańskich rąk.

— Na czym opierasz to przypuszczenie? — zapytał Cagliostro.

— Na tym, że spotkałem posłańca, który niósł ową bełę, zapłaciłem mu, wyprawiłem go do siebie i mój służący, uprzedzony zawczasu, powinien był już ją odebrać.

— Czemu pan sam nie doprowadzasz do końca swoich interesów, poszłyby lepiej.

— Nie mogłem sam się tym zająć, bo kiedy mój służący niweczył pańskie osobliwe bibliofilstwo, ja niszczyłem resztę edycji.

— A więc pan jesteś pewny, że ów dla mnie przeznaczony tysiąc egzemplarzy znajduje się u pana?

— Jestem tego pewny.

— To się pan mylisz.

— Jakim sposobem? — rzekł Taverney, czując nagły ucisk serca. — Więc gdzież one są?

— Tutaj — spokojnie odparł hrabia, opierając się plecami o kominek.

Filip poruszył się groźnie.

— A pan — rzekł hrabia flegmatycznie jak Nestor — sądzisz, że ja, wróżbita, jak mnie nazywasz, dałem się tak wyprowadzić w pole? Mniemałeś, że to wielka idea przepłacić posłańca, wszak tak? Otóż ja mam intendenta, który też miewa idee. Płacę mu za to, więc odgadł — oczywiście jako intendent wróżbity umie zgadywać — odgadł, że przyjdiesz pan do dziennikarza, że spotkasz posłańca, że go przekupisz; śledził go więc, a kiedy mu zagroził

odebraniem złota, posłaniec się przeląkł i zamiast iść dalej do pańskiego mieszkania, przyszedł tutaj. Czy wąpi pan jeszcze?

— Wąpię.

— „Vide pedes, vide manus”, powiedziane jest w piśmie, a ja panu powiem: spojrzysz do szafy i dotknij się gazet!

To rzekłszy, otworzył szafę — dębową, przepięknie rzeźbioną, i pobladłemu młodzieńcowi pokazał na głównej półce ów tysiąc egzemplarzy gazet, przesiąkniętych jeszcze zgniłym zapachem papieru.

Filip zbliżył się groźnie do hrabiego, ale ten ani drgnął.

— Panie — rzekł kawaler — wydajesz mi się człowiekiem odważnym; wzywam pana do udzielenia mi satysfakcji ze szpadą w rękę!

— Satysfakcji, za co? — zapytał Cagliostro.

— Za obrazę królowej, za obrazę, której stajesz się współuczestnikiem, zatrzymując choć jeden egzemplarz tego piśmidła.

— Panie — odrzekł Cagliostro nie zmieniając postawy — jesteś doprawdy w błędzie, który mnie zasmuca. Ja lubię nowinki, skandaliczne słuchy, wszystko, co szybko przemija. Zbieram je, aby przypomnieć sobie później o tysiącu rzeczy, o których zapomniałbym. Kupiłem tę gazetę, owszem, ale gdzież pan widzisz zniewagę dla kogoś w tym, że ją kupiłem?

— Mnie pan znieważasz, mnie!

— Pana?

— Tak, mnie, rozumiesz pan?

— Nie rozumiem, na honor.

— Zapytuję więc pana, czemu z takim uporem obstajesz przy kupnie tej ohydnej broszury?

— Wszak powiedziałem już: mam żyłkę kolekcjonerską.

— Kto jest człowiekiem honoru, nie kolekcjonuje infamii.

— Wybacz pan, lecz nie podzielał pańskiej opinii o tej gazecie, pamfletem być ona może, ale nie jest oszczerstwem!

— Ale zgodzisz się pan, że to kłamstwo!

— Raz jeszcze pan się myli, ponieważ królowa była u Mesmera.

— To fałsz, panie.

— Chce pan powiedzieć, że skłamałem?

— Nie chcę, lecz mówię to.

— No, skoro tak, odpowiadam panu jednym słowem. Sam ją widziałem.

— Pan ją widział?

— Tak, jak widzę pana.

Filip spojrział mu prosto w twarz; chciał przeciwstawić szlachetne i szczere spojrzenie płomiennemu wzrokowi Cagliostrowa, lecz znużony walką, odwrócił oczy wołając:

— A jednak, powtarzam, kłamiesz pan!

Cagliostro wzruszył ramionami jakby na obrazę ze strony wariata.

— Pan mnie nie słucha! — uniósł się Filip.

— Przeciwnie, panie, nie uroniłem żadnego słowa.

— A zatem, czy pan nie wie, co to znaczy, zadać komu Warn?

— I owszem, panie — odparł Cagliostro. — Jest nawet przysłowie we Francji, które mówi, że zadanie kłamu równa się policzkowi.

— Dziwię się więc, że dotąd nie podniosłeś pan ręki, skoro jesteś szlachcicem i znasz przysłowie.

— Zanim mię zrobił szlachcicem i nauczył francuskiego przysłowia, Bóg stworzył mnie

człowiekiem i kazał kochać bliźniego.

— Więc, panie, odmawiasz mi zadośćuczynienia ze szpadą w ręku?

— To tylko płacę, com winien.

— A zatem w inny sposób dasz mi satysfakcję?

— A w jaki?

— Nie obejdę się z panem gorzej niż szlachcic ze szlachcicem — będę tylko żądał, byś w obecności mojej spalił wszystkie te egzemplarze, które znajdują się w szafie.

— A ja — odmówię.

— Narazisz mnie pan na chwytnie się środków, których użyłem względem dziennikarza.

— Ach! Obicie laską — rzekł ze śmiechem Cagliostro stojąc bez ruchu jak posąg.

— Ani mniej, ani więcej! Och, nie zawołasz swych ludzi!

— A po co mi ludzie, sam załatwiam swoje sprawy.. Jestem silniejszy od pana, więc się zastanów. Nie wierzysz? Spróbuj — zbliż się z laską do mnie! Ujmę cię za kark i za grzbiet, i cisną o dziesięć kroków od siebie i to, rozumiesz pan, tyle razy, ilekroć spróbujesz do mnie podejść.

— Sztuczka angielskiego lorda, a raczej tragarza, ale zgoda, panie Herkulesie, przyjmuję!

I Filip pijany wściekłością rzucił się na Cagliostro, który nagle wyprężył ramiona, pochwycił młodzieńca jak w klamry ze stali i oszołomionego rzucił na stos poduszek na sofie, w rogu salonu. Następnie, złożony ów dowód zadziwiającej siły, wrócił przed kominek i stanął spokojnie jak przedtem, tak jak gdyby nic nie zaszło.

Filip podniósł się. Był blady i pienił się z wściekłości, ale nagły przypływ zimnego, rozsądku przywrócił mu siły moralne. Poprawił na sobie ubranie i przemówił głosem złowieszczym:

— Istotnie, silny jesteś za czterech, ale logiką masz pan mniej zwrotną niż pięść. Postępując ze mną w ten sposób, zapominasz pan, że zwyciężony i poniżony, wróg twój śmiertelny, od teraz mam już prawo powiedzieć panu: hrabio, szpadę do ręki albo cię zabiję!

Cagliostro ani się poruszył.

— Szpadę do ręki, mówię, lub zginiesz — powtórzył Filip.

— Nie podszedłeś pan jeszcze dość blisko, abym cię zażył jak za pierwszym razem — odpowiedział hrabia. — Nie wystawią się, żebyś mię zranił lub zabił nawet, jak tego biednego Gilberta.

— Gilbert — rzekł Filip zataczając się — powiedziałaś, Gilbert?

— Tak, na szczęście nie masz teraz strzelby, tylko szpadę.

— Panie, wymieniłeś imię...

— Tak, imię, które we wspomnieniach pańskich obudziło, straszne echo.

— Panie!

— Imię, którego usłyszeć nie spodziewałeś się nigdy, byłeś bowiem sam z biednym chłopcem w tej grocie na Azorach, kiedyś go? zamordował; wszak prawda?

— O! — zawołał Filip. — Broń się, broń!

— Gdyby pan wiedział — rzekł Cagliostro, wpatrując się w Filipa — jakby mi łatwo przyszło wytrącić szpadę z twojej ręki.

— Więc spróbujmy... spróbujmyż nareszcie...

— O, próby tej nie będę robił; mam sposób pewniejszy.

— Szpadę do ręki! Po raz ostatni lub zginiesz! — wrzasnął Filip, rzucając się na hrabiego.

Lecz Cagliostro, zagrożony tym razem ostrzem szpady zaledwie trzy cale oddalonym od piersi, dobył z kieszeni flakonik i zawartością jego prysnął w twarz Filipa. Zaledwie płyn ten dotknął twarzy młodzieńca, Filip zachwiał się, wypuścił z rąk szpadę i padając na kolana, jakby nogi mu odmówiły posłuszeństwa, na kilka sekund stracił przytomność. Cagliostro nie pozwolił

mu jednak upaść na ziemię, podtrzymał go, posadził na fotelu i włożył mu szpadę do pochwy.

Kiedy już młodzieniec oprzytomniał, rzekł:

— W twoim wieku, kawalerze, nie przystoi popełniać głupstw; przestań szaleć jak dziecko i posłuchaj mnie.

Filip wstrząsnął się, wyprostował i, zbierając z trudem myśli, wyszeptał:

— Och, panie i to nazywasz bronią szlachecką?

Cagliostro wzruszył ramionami.

— Zawsze ten sam frazes. To jeszcze nie wszystko — powiedzić „szlachcic”. Co nazywasz bronią szlachecką? Czy twoją szpadę, która ci się tak mało przydała do walki ze mną, czy pistolet, który znowu tak dobrze ci służył w zwadzie z Gilbertem? Co nadaje ludziom wyższość, kawalerze? Czy szumne słowo „szlachcic”? Nie. Najpierw rozum, potem siła, w końcu nauka. I tej właśnie broni użyłem przeciw tobie: rozumem zwalczyłem twoje obelgi, sądząc, iż mnie wysłuchasz; siłą pokonałem twoją siłę; nauką poskromiłem moc twoją moralną i fizyczną zarazem; teraz pozostaje mi tylko dowieść ci, że popełniłeś dwa błędy, przychodząc do mnie z groźbą na ustach. Czy zechcesz mnie pan wysłuchać?

— Obez władniłeś mnie pan, ruszyć się nie mogę — rzekł Filip. — Stałeś się panem moich mięśni i mojej myśli, a pytasz, czy będę słuchał, choć nic innego uczynić nie mogę.

Cagliostro wziął złoty flakon z rąk stojącego na kominku brązowego posążku Eskulapa.

— Powąchaj to, kawalerze — rzekł z pełną szlachetności łagodnością.

Filip powąchał i wapory zaciemniające jego umysł rozproszyły się, zdawało mu się, iż słońce, wlewając się do wnętrza jego czaszki, opromieniło jego myśli.

— Och, odradzam się — rzekł.

— I czujesz się pan dobrze, to znaczy swobodny i silny?

— Tak.

— Z pamięcią o przeszłości?

— Och, tak.

— A ponieważ jesteś pan człowiekiem z sercem i rozumem, więc pamięć pańska, powracając, daje mi przewagę w tym, co zaszło między nami.

— Nie — rzekł Filip — bo ja działałem w imię świętej zasady.

— Co pan robiłeś?

— Broniełem monarchii.

— Pan, pan broniłeś monarchii?

— No, tak.

— Pan, któryś jeździł do Ameryki, aby bronić republiki! Boże! Powiedz pan szczerze — albo tam nie broniłeś republiki, albo nie za monarchie, walczysz tutaj.

Filip spuścił oczy, łkanie rozsadało mu piersi.

— Kochaj tych — ciągnął Cagliostro — którzy gardzą tobą; kochaj tych, którzy zapominają o tobie, tych, którzy cię zwodzą: tylko wielkie dusze bywają zdradzane w swych wielkich uczuciach. Prawo Chrystusa każe dobrem odpłacać za zło. Chrześcijaninem jesteś, panie de Taverney!

— Panie! — zawołał Filip z przerażeniem, widząc, że Cagliostro czyta w teraźniejszości, tak samo jak w przeszłości. — Ani słowa więcej, bo jeśli nie monarchii, to królowej broniłem, czyli czcigodnej, niewinnej kobiety. Nawet gdyby nią nie była, jeszcze bym stanął w jej obronie, bo Bóg każe bronić słabszych.

— Słabszych! Królowę nazywasz pan słabą istotą? Tę, przed którą dwadzieścia osiem milionów istot myślących i czujących zgina kolana?

— Panie, ależ ją oczerniają! — Skąd pan to wiesz?

— Wierzę w to.

— I myślisz, że masz po temu prawo? Otóż ja mam prawo sądzić przeciwnie.

— Złym duchem pan jesteś.

— Kto panu to powiedział? — zawołał Cagliostro, a oczy jego nagle rozbliły, aż blask padł na Filipa. — Skąd czerpiesz tę myśl zuchwałą, że pan ma słusność, a ja jestem w błędzie?

Skądże ta hardość wynosić swoje zasady nad moje? Pan bronisz monarchii, pan, dobrze, a jeśli ja bronię ludzkości? Mówisz pan: oddaj, co cesarskiego cesarzowi; a ja wam wszystkim powiadam: oddajcie, co boskiego — Bogu! Republikanie z Ameryki, kawalerze Orderu Cyncynta, przypominam ci o miłości do ludu, o prawie do równości. Wy zdeptaliście naród, by ucałować rękę królowej, ja stratowałbym wszystkie królowe, by podźwignąć lud z poniżenia. Nie przeszkadzam ci w pańskim uwielbieniu, nie utrudniam ci mojej pracy. Pozostawiam ci jasny dzień, słońce niebios i dworów, zostaw mi cień i samotność. Rozumiesz siłę mej mowy, tak jak niedawno pojąłeś siłę mej osobowości. Wołałeś do mnie: giń, ty, który obraziłeś przedmiot mej adoracji; a ja ci mówię: żyj, ty, który zwalczasz to, co ukochałem. A mówię ci to, ponieważ z moimi zasadami czuję się tak silny, że ani ty, ani twój, pomimo wszelkich usiłowań, ani na chwilę nie opóźnicie moich poczynań.

— Przeraza mnie pan — rzekł Filip. — Dzięki tobie pierwszy może w tym kraju dostrzegam głębie przepaści, w którą stacza się monarchia.

— Bądź pan zatem ostrożny, jeżeli widzisz przepaść.

— A pan, który mi to mówisz — odparł Filip, wzruszony ojcowskim tonem Cagliostra — pan, który mi tak straszne odkrywasz tajemnice, nie dość jeszcze wspaniałomyślny jesteś, wiesz bowiem dobrze, iż rzucę się do tej otchłani pierwszy, nie czekając aż wpadną ci, których bronię.

— Ha! Ostrzegłem pana przecież i jak prefekt Tyberiusza, umyłam ręce, panie de Taverney.

— A więc ja! Ja! — zawołał Filip, podbiegając do Cagliostra z gorączkowym zapalem — ja, który jestem człowiekiem słabym i pośledniejszym od pana, użyję broni słabszego — z okiem wilgotnym, z głosem drgającym, ze złożonymi dłońmi, podejść do ciebie błagając na ten raz przynajmniej o łaskę dla tych, których ścigasz. Dla siebie, rozumiesz pan, dla siebie, a ja, który nie wiem czemu, wroga w tobie widzieć nie mogę, dla siebie będę cię prosić, rozrzewnię cię, przekonam i wreszcie wyjednam, że wyzwolisz mnie z tej zgryzoty, iż, widząc zgubę nieszczęsnej królowej, zażegnać jej nie umiałem. To od ciebie uzyskam! Nieprawdaż, panie, zniszczysz ten paszkwil, który łzy wyciśnie kobiecie; uzyskam to, bo, na honor, na tę miłość nieszczęsną, którą tak dobrze znasz, klnę się, że tą szpadą, tak bezsilną przeciw tobie, u nóg twych serce sobie przeszyję.

— Ach — szepnął Cagliostro patrząc na Filipa wzrokiem pełnym wymownego bólu — ach, czemuż wszyscy oni tacy nie są jak pan, wtedy i ja byłbym z nimi i nie zginęliby!

— Panie, panie! Błagam cię, wysłuchaj mej prośby — molestował Filip.

— Przelicz pan — rzekł Cagliostro po chwili milczenia — przelicz, czy jest tysiąc egzemplarzy, i spal je sam, aż do ostatniego.

Filip podbiegł do szafy, dobył z niej gazety, rzucił w płomienie i serdecznie dłonie Cagliostra ściskając, rzekł:

— Bądź zdrow, panie, dzięki ci stokrotne za to, coś uczynił dla mnie.

I wyszedł.

— Bratu — wyrzekł Cagliostro patrząc za odchodzącym — winienem był to zadośćuczynienie za wszystko, co wycierpiała siostra.

Następnie, podnosząc głos zawołał:

— Konie!

XXXIV. GŁOWA RODZINY TAVERNEYÓW

O tej samej godzinie, kiedy pan Taverney junior wił się w udręce przy ulicy Neuve–Saint–Gilies, pan de Taverney senior spacerował po swoim ogrodzie.

Niewolniczo naśladuje gust pana, wielu z dworaków pobudowało sobie pałace przypominające w miniaturze Wersal de Notre’a i Mansarda. Były tam honorowe dziedzińce i oranżerie podziemne, wielkie i małe Trianony, i łazienki Apollina, partery i tarasy — wszystko w skali pięć setnych: staw szwajcarski miał rozmiary miednicy.

Pan baron de Taverney nie był gorszy... Za Ludwika XV wznosił ozdobne pawilony, za Ludwika XVI sprowadzał warsztaty ślusarskie i tokarskie, za Marii Antoniny założył ogród angielski z wiejskimi chatkami dla lalek i sztuczną rzeką dla kacząt.

Obecnie, rad z siebie, dreptał z rękami w zarękawku, a lokaje popychali za nim fotel na kółkach podjeżdżając co pięć minut, by mógł zażyć spoczynku po tej nużącej już dla niego przechadzce. Delektował się tym wypoczynkiem mrużąc oczy od słońca, gdy od strony domu nadbiegł odźwierny, wołając:

— Pan kawaler de Taverney!

— Mój syn! — rzekł starzec z pełną dumy radością. I gestem odprawił lokajów.

— Chodź, chodź, Filipie! — zawołał. — W porę przybywasz, mam pełną głowę świetnych pomysłów. E, cóżeś taki skwaszony... Dąszasz się?

— Ja? Nie, panie.

— Wiesz już o rezultacie afery?

— Jakiej afery?

Starzec rozejrzał się, czy kto nie podsłuchuje.

— Mówię o aferze balowej.

— Jeszcze mniej rozumiem.

— O balu w Operze.

Filip zarumienił się, a stary szelma uśmiechnął.

— Nierozważnyś — rzekł. — Postępujesz jak niedoświadczeni marynarze: skoro tylko wiatr im sprzyja, napinają wszystkie żagle. Posłuchaj no nauki moralnej. Ojciec ci dobrze radzi. Zanadto sobie pozwalasz — ciągnął dalej. — Ty, tak nieśmiały niegdyś, tak delikatny i ostrożny, teraz ją kompromitujesz!

Filip zerwał się.

— O kim chcesz mówić, panie?

— O niej, do licha, o niej!

— O kim?

— Och, myślisz, że nic nie wiem o twojej, o waszej wyprawie we dwoje na bal Opery? To ładnie.

— Panie, zaręczam...

— No, no, nie gniewaj się; jeżeli to mówię, to dla twego dobra; brak ci ostrożności, złapiesz się, do diabła! Tym razem widziano cię z nią na balu, a doczekasz się, że cię zobaczą gdzie indziej.

— Widziano mnie!

— Do kata! Miałeś, czy nie, błękitne domino?

Filip chciał już zaprzeczyć, wyjaśnić, że nie wie o niczym. Są jednakże usposobienia, które nie potrafią bronić się w delikatnych sytuacjach, bo to je przejmują wstrętem. Bronić się będą

tylko wtedy, gdy pewność mają, iż są kochani i że obroną oddają przysługę przyjacielowi.

— Po co — myślał Filip — tłumaczyć się ojcu; a zresztą chcę dowiedzieć się o wszystkim.

Spuścił głowę jak winowajca, który się przyznaje.

— Widzisz więc — mówił starzec z triumfem — poznano cię, byłem tego pewny. W rzeczy samej, pan marszałek de Richelieu, który lubi cię bardzo, a który pomimo osiemdziesięciu czterech lat był na tym balu, śledził, kto mógł ukrywać się pod dominem, z którym królowa szła pod rękę i ciebie jednego mógł o to posądzać, bo wszystkich innych poznał, a on już się na tym zna.

— Gdyby mnie podejrzewano — rzekł chłodno Filip — to jeszcze bym się nie dziwił, lecz że poznano królowę, to jest coś nadzwyczajnego.

— Czyż to było tak trudno poznać, gdy sama się zdemaskowała? O, to już doprawdy przechodzi wszelkie wyobrażenie, takie zuchwalstwo. Widocznie ta kobieta szaleje za tobą.

Filip zapłonął się. Podtrzymywać dalej taką rozmowę stało się dla niego niepodobieństwem.

— Jeżeli nie było to śmiałością — kończył stary Taverney — to stała się rzecz fatalna, Strzeż się, kawalerze. Zbyt wielu jest zazdrosnych i to niebezpiecznych zazdrosnych. Stanowisko faworyta królowej jest bardzo ponętne, a zwłaszcza gdy królowa jest w istocie królem.

I Taverney przez dłuższą chwilę zażywał tabaki.

— Wybaczysz mi moralizatorstwo, prawda, kochasiu? Jestem ci wdzięczny i nie chciałbym, żeby wiew przypadku, bo był to tylko przypadek, rozniósł owo rusztowanie, które skleciłeś tak zręcznie.

Filip wstał zlany potem, z zaciśniętymi pięściami. Zamierzał odejść, aby przeciąć dysputę z satysfakcją, jakiej się doznaje przecinając grzbiet węża; zatrzymało go jednak uczucie bolesnej ciekawości — szalenie pragnie zgłębić zło, ten jakiś nieubłagany bodziec rozdrapywania serca przepelnionego miłością.

— Powiedziałem ci, że nam zazdroszczą — ciągnął starzec — to całkiem jasne. A jednak nie dosięgamy jeszcze szczytu, na który nas windujesz. Chwała ci, żeś dźwignął imię Taverneyów. Bądź tylko roztropny, bo nie dojdziemy i plany twoje rozsypią się po drodze. A wielka byłaby szkoda, doprawdy, bo idziemy dobrze.

Filip odwrócił się. Głęboki wstręt, zadawniona pogarda nadawała w tej chwili rysom jego wyraz, który mógł starca za, dziwić, a może nawet przerazić.

— Po pewnym czasie zażadasz wysokiego stanowiska — ożywił się starzec — a mnie każesz mianować gubernatorem gdziekolwiek, byle niedaleko Paryża; podniesiesz zatem ród Taverney Maison-Rouge do godności parowskiej; wystarasz się dla mnie o order przy pierwszej sposobności. Będiesz mógł zostać księciem, parem i namiestnikiem królewskim. Za parę lat, jeśli żyć będę, każesz mi dać...

— Dosyć, dosyć! — warknął Filip.

— O, jeżeli uważasz, że masz dosyć, to ja nie. Ty masz życie całe przed sobą, ja kilka miesięcy zaledwie. Trzeba, aby mi one zapłaciły za przeszłość nieciekawą i smutną. Zresztą skarżyć się nie mogę. Bóg mi dał dwoje dzieci. To dużo dla człowieka bez majątku, lecz chociaż córka była nieużyteczna dla domu naszego, ty to naprawiasz. Jesteś budowniczym świątyni. Widzę w tobie wielkiego Taverneya, bohatera. Wzbudzasz szacunek we mnie, a to, widzisz, coś znaczy. Prawda, że twoja postawa wobec dworu jest godna podziwu. O, nic zręczniejszego nie widziałem w życiu.

— O co chodzi? — zapytał młodzieniec zaniepokojony pochwałą takiego gada.

— Przyjąłeś znakomitą taktykę nie okazując zazdrości. Na pozór zostawiasz każdemu wolne pole, a sam je w istocie zajmujesz. To śmiałe, ale to dowodzi zmysłu operacji.

— Nie rozumiem — rzekł Filip podrażniony.

— Precz ze skromnością. Widzisz, przypomina to kubek w kubek postępowanie pana Potiomkina, który świat zadziwił swoimi sukcesami. Zdawał on sobie sprawę, że Katarzyna lubi zatracać się w miłostkach, że jeżeli zostawić jej swobodę, fruwać będzie z kwiatka na kwiatek powracając zawsze do najpiękniejszego i najbujniejszego; jeśli się jednak będzie ją prześladować, uleci bezpowrotnie. Sam jej więc podsuwał i zachwalał coraz to nowych faworytów, sam przedstawiał ich najpierw z najlepszej strony, rezerwując sobie czas na zaatakowanie ich słabych punktów; zameczając monarchinię kapryсами przelotnych namiętności, nie dawał jej zubożnąć w przywiązaniu do jego własnej osoby. Przygotowując efemeryczne rządy owych faworytów, których nazwano ironicznie tuzinem Cezarów, Potiomkin zachował dla siebie władzę wieczną i niezniszczalną.

Trzymając się takiego systemu nie zaniedbuj jednak lekkiego nadzoru. Polityka francuska, jak wiemy, nie jest polityką rosyjską.

Były to finezje, które by mogły zaszokować najbardziej szczwanych dyplomatów, ale Filip, uważając, że ojciec dostał pomieszania zmysłów, wzruszył tylko ramionami bez głębszych oznak szacunku.

Taverney skrzyżował ręce na piersiach.

— Może mi powiesz, że nie masz na widelcu swego następcy?

— Mego następcy? — zapytał Filip błędąc.

— A może mi powiesz, iż nie wiesz, ile jest stałości w miłosnych zapędach królowej? Ej, przewidując zmianę jej uczuć, nie chcesz chyba pozostać całkowicie porzuconym i wyrugowanym, co najczęściej się trafia, bo kochając terażniejszość nikt nie może znieść przeszłości.

— Po hebrajsku mówisz, panie baronie.

Starzec wybuchnął śmiechem ostrym i złowieszczym, który wstrząsnął Filipem jak głos złego ducha.

— Chcesz wmówić we mnie, że to nie jest taktyka z twej Strony, gdy oszczędzasz pana de Charny?

— Charny?

— No, tak, twojego domniemanego następcę. Człowieka, który będzie mógł, skoro zaczniesz rządzić, skazać cię na wygnanie, tak jak ty mógłbyś postąpić z panami de Coigny, de Vaudreuil i wszystkimi innymi.

Filipowi krew nabiegła gwałtownie do skroni.

— Dosyć — zawołał — dosyć, panie! Wstyd mi doprawdy, że słuchałem tak długo! Ten, kto mówi, że królowa francuska jest Messaliną, ten, panie, jest występny potwarcą.

— Dobrze! Doskonale! — odparł starzec. — Masz słusność, to twoja rola; lecz mogę ci zaręczyć, że nikt tu nas nie słyszy.

— A co do pana de Charny, widzisz że cię odgadł. Nie ustawaj, Filipie, nie ustawaj. Pochlebiaj, głaskaj, pocieszaj pana de Charny, dopomóż mu delikatnie rozwinąć się z trawki w kwiatek... Możesz być pewny, że szlachcic ten, gdy będzie w łaskach, odpłaci ci to, co teraz dla niego uczynisz.

— Twoja logika, panie, jest przedziwna.

— A, bo co, gniewasz się, że odgadłem. Przebaczysz mi jeszcze. A poza tym lubię pana de Charny i cieszę się...

— Twój pan de Charny w tej chwili jest do tego stopnia moim ulubieńcem, pieszczoszkiem, moim sokołem tresowanym, że przed chwilą wpakowałem mu szpadę na stopę między żebra.

— He! — zawołał Taverney, przerażony widokiem oczu ciskających płomień i wieścią o wojowniczym wybryku. — Czy to ma znaczyć, że biłeś się panem de Charny?

— I że naszpikowałem go, tak.

— Wielki Boże!

— Oto, na jaką modłę pielęgnuję, pieczę i oszczędzam moich następców — kończył Filip.

— Teraz, mój ojczy, skoro już wiesz, przystosuj teorię twoją do mojej praktyki.

Starzec podniósł oczy ku niebu, wybełkotał kilka słów bez związku i opuszczając syna, podreptał do przedsiönka.

— Prędko, natychmiast! Konnego posłańca, niech pędzi dowiedzieć się o pana de Charny, który jest ranny: niech dowie się, jak się miewa i niech mu koniecznie oznajmi, że to ode mnie!

— Ten zdrajca Filip — mówił do siebie, wchodząc do pokoju — nieodrodny brat swojej siostry. A ja wierzyłem w jego poprawę! O, tylko jedna jest głowa w mojej rodzinie... i to moja!

XXXV. CZTEROWIERSZ HRABIEGO PROWANSJI

W tym samym czasie król uspokojony zakończeniem zimy i rad z powodzeń wojennych odpoczywał w swoim gabinecie wśród map i przyrządów pomiarowych i rozmyślał nad wytyczeniem nowych dróg morskich dla okrętów la Perouse'a. Lekkie pukanie do drzwi wyrwało go z marzeń przyjemnych po dobrym i obfitym podwieczorku.

— Czy mogę wejść, mój bracie?

— Hrabia Prowansji! Licho go nadało... — mruknął król, odsuwając otwarty atlas astronomiczny.

— Proszę — powiedział.

Osobistość gruba, niska i czerwona, o ruchliwych oczkach wsunęła się w sposób nadto uniżony jak na brata, a zbyt poufały jak na poddanego.

— Nie przeszkadzam ci?...

— Nie, ale czy masz coś zajmującego do powiedzenia?...

— Ploteczkę, ale tak śmieszna i groteskowa...

— A!... Znowu jakaś obmowa.

— Na honor, tak, mój bracie.

— I co, zabawiała cię?...

— Och!... Na skutek niezwykłości...

— Jakaś złośliwość przeciwko mnie?...

— Bóg mi świadkiem, nie śmiałybym się, gdyby tak było... — Ach! Więc przeciw królowej?...

— Najjaśniejszy Panie, wyobraź sobie, że powiedziano mi poważnie, ale bardzo poważnie, sto... tysięcy...

— Mój drogi, od czasu, gdy mój nauczyciel pochwalił takie krasomówcze wykrętasy jako wzór w guście pani de Sevigne, już mi się one nie podobają. Do rzeczy.

— Otóż, mój bracie — mówił hrabia Prowansji, zmrożony nieco tym mało uprzejmym przyjęciem — powiedziano mi, że któreś tam nocy królowa nie nocowała w pałacu... Ha... ha... ha...

Przymuszała się do śmiechu.

— Byłoby to nader smutne, gdyby było prawdziwe — odparł poważnie król.

— Lecz to nieprawda, wszak tak, mój bracie?...

— Nie.

— Więc i to nieprawda, że widziano królowę, czekającą pod bramą wodociągów...

— Nie.

— Hm, no popatrz, a wieść niesie...

— Co to znaczy wieść, co to jest, gdzie to się znajduje.

— Oto mi myśl głęboka. Istotnie, co to jest wieść.

— Otóż ta istota niezwykła, którą nazywają wieścią, utrzymuje, że widziano królowę z hrabią d'Artois idących pod ręką o wpół do pierwszej w nocy.

— Dokądże?...

— Do domu, który pan d'Artois posiada za stajniami. Czy Wasza Królewska Mość nie słyszał o tej potworności?

— A jakże, mój bracie, słyszałem, nie obeszłoby się bez tego.

— Jak to, Najjaśniejszy Panie?...

- Tak, alboż nie przysłużyłeś się, iżbym o tym usłyszał?..
- Ja?... Cóż ja takiego zrobiłem?...
- A ów czterowiersz, na przykłady wydrukowany w „Merkurym”?...
- Czterowiersz? — bąknął hrabia, jeszcze bardziej czerwony niż przy wejściu.
- No, owa strofa tak zakończona:

A Helena nic o tym nie powiedziała dobremu królowi Manelajowi.

- Ja, Najjaśniejszy Panie!...
- Nie zaprzeczaj, oto rękopis; własne twoje pismo... Co?!... Nie znana się na poezji, lecz na piśmie, o!... Jak ekspert.
- Najjaśniejszy Panie, jedno szaleństwo pociąga za sobą drugie.
- Hrabio, zaręczam ci, że szaleństwo było tylko z twojej strony i dziwi mnie, że filozof mógł je popełnić; szaleństwo, zostawmy tę nazwę dla twoich wierszy.
- Najjaśniejszy Panie, jesteś dla mnie srogi.
- Prawo odwetu, mój bracie. Zamiast pisać wierszyki, mogłeś się wywieść dokładniej, co robiła królowa; ja tak uczyniłem. Wtedy, zamiast czterowiersza przeciwko niej, a tym samym i przeciw mnie, zmuszony byłbyś napisać madrygał dla swojej bratowej. Powiesz mi może, że przedmiot taki nie wzbudza natchnienia; lecz ja wolę niezręczną odę od najlepszej satyry. Horacy mówił to sarno, a „Horacy to twój ulubiony poeta.
- Najjaśniejszy Panie, dobijasz mnie.
- Gdybyś nawet nie był przekonany o niewinności królowej, tak jak ja nim jestem — powtórzył król stanowczo — lepiej byś zrobił czytając swego Horacjusza. Nie onże to tak piękne wypowiedział słowa?... Wybacz, kaleczę piękność wiersza:

*Rectius hoc est
Hoc faciens vivam melius, sic dulcis amicis occurram.
Lepiej czyniąc,
lepiej żyć będę i miłszym będę dla przyjaciół.*

Ty byś to z pewnością przetłumaczył, mój bracie, lecz sądzę, że sens zostałby ten sam.

I dobry król po tej nauczce, ojcowskiej raczej niż braterskiej, czekał, by winowajca usprawiedliwił się chociaż. Hrabia zastanawiał się przez chwilę, lecz bez zakłopotania, raczej jako mówca obmyślający piękne powiedzonko.

- Najjaśniejszy Panie — rzekł — jakkolwiek srogi jest twój wyrok, nie brak mi argumentów na usprawiedliwienie oraz nadziei na przebaczenie.
- Proszę, mów, mój bracie.
- Oskarżasz mnie o pomyłkę, wszak tak, a nie o złe zamiary?...
- Zgoda.
- Jeżeli tak, to Wasza Królewska Mość wiedząc, iż nie ma człowieka, który by się nie mylił, zechce przypuścić, że pomyłka moja nie była bezpodstawna.
- Nigdy bym o to nie posądził twego umysłu, który jest wielki i wzniosły, mój bracie.
- A więc!... Najjaśniejszy Panie, jakże nie miałem się pomylić, słysząc wszystkie te pogłoski?... My, książęta, żyjemy w atmosferze oszczerstw, przesiąkliśmy nią. Nie mówię, iż uwierzyłem, lecz, że mi opowiadano...
- Mniejsza z tym... jeżeli tak jest, lecz...
- Wierszyki?... O!... Poeci są istotami dziwacznymi, a przy tym, czyż nie lepiej

odpowiedzieć łagodną krytyką, która może być przestrożą, niż zmarszczeniem brwi?... Rymowane zarzuty nie obrażają, to nie pamflety, o których zakaz należałoby cię prosić, Sire! Jeden taki pamflet przychodzę właśnie pokazać.

— Pamflet!...

— Tak, Najjaśniejszy Panie. Trzeba też koniecznie zamknąć w Bastylii tego nędznika, autora takiego obrzydlistwa.

Król zerwał się z fotela.

— Czy masz ten pamflet?

— Mam, Najjaśniejszy Panie.

— Daj mi go.

Hrabia Prowansji wydobyl z kieszeni egzemplarz „Historii Etteniotny”, fatalny dowód, że rozpowszechnieniu go nie zapobiegły ani kije pana de Charny, ani szpada Filipa, ani też ogień Cagliostro. Król szybko przebiegł oczami pismo z wprawą człowieka, który przywykł wynajdywać bardziej zajmujące fragmenty w książce lub gazecie.

— To oszczerstwo! — zawołał. — Oszczerstwo!...

— Widzisz więc, Najjaśniejszy Panie, utrzymują, iż siostra moja była u Mesmera.

— Tak, była tam!...

— Była tam!... — zawołał hrabia.

— Za moją zgodą.

— O!... Najjaśniejszy Panie.

— I fakt ten wcale nie skłania mnie do wniosków uwłaczających jej roztropności, sam pozwoliłem bowiem, aby udała się na plac Vendôme.

— Nie pozwoliłeś jednak, Sire, żeby królowa sama poddała się doświadczeniom...

Król tupnął nogą. W chwili, gdy hrabia wymawiał te słowa, Ludwik XVI czytał właśnie ustęp najbardziej obraźliwy dla Marii Antoniny — opis rzekomych jej spazmów, grymasów rozkosznej abnegacji, wszystkiego wreszcie, co charakteryzowało pobyt panny Oliwi i u Mesmera.

— To nieprawda! — rzekł król, błędąc. — O!... Wszak policja powinna coś o tym wiedzieć!...

Zadzwoił.

— Pana de Crosne, sprowadzić natychmiast pana de Crosne.

— Najjaśniejszy Panie, dziś jest dzień raportu tygodniowego i pan de Crosne czeka w l’Oeil-de-Boeuf.

— Niech wejdzie.

— Proszę, pozwól, mój bracie... — rzekł obłudnie hrabia Prowansji udając, że chce wyjść.

— Zostań, jeśli królowa jest winna; no, panie, należysz do rodziny. Jeśli jest niewinna, tym bardziej powinieneś wiedzieć, skoro ją podejrzewasz.

Pan de Crosne wszedł i złożony należne ukłony dwóm najwyższym personom Francji rzekł:

— Raport gotowy, Najjaśniejszy Panie.

— Przede wszystkim, mój panie, jakim sposobem mógł ukazać się w Paryżu tak bezecny pamflet przeciw królowej?...

— „Etteniotna?”... — spytał pan de Crosne.

— Tak.

— Najjaśniejszy Panie, jest to dziennikarz nazwiskiem Réteau.

— Tak. Nazwisko jego znasz, a nie mogłeś przeszkodzić ogłoszeniu paszkwilu lub aresztować autora po fakcie.

— Najjaśniejszy Panie, nie ma nic łatwiejszego nad areszt; pokażę nawet Waszej Wysokości gotowiuteńki w mojej tece rozkaz uwięzienia.

— Dlaczegoż więc nie był wykonany?...

Pan de Crosne spojrział na hrabiego Prowansji.

— Pozwolę sobie pożegnać Waszą Królewską Mość — zauważył hrabia z ociąganiem się.

— Nie, nie, zostań — rzekł król — tu nie ma tajemnic. Mów pan, panie de Crosne, mów bez ogródek.

— Otóż — odpowiedział naczelnik policji — nie kazałem gazeciarza Réteau uwięzić, bo uważałem za konieczne porozumieć się przedtem z Waszą Królewską Mością.

— Słuchamy więc.

— Być może, Najjaśniejszy Panie, lepiej byłoby dać gazeciarzowi worek pieniędzy i wyprowadzić go gdzieś daleko, aby gdzie indziej szukał stryczka.

— Dlaczego?...

— Ponieważ, Najjaśniejszy Panie, gdy ci łajdacy łąą i wychodzi to na jaw, publiczność z prawdziwą przyjemnością ogląda, jak ich chłoszczą, jak im obcinają uszy, a nawet wieszają, ale jeśli na nieszczęście chwycą w garść prawdę...

— Prawdę...

Pan de Crosne uklonił się.

— Tak. Wiem o tym. Królowa była rzeczywiście u Mesmera.

— Nieszczęście, jak mówisz, stało się, ale ja pozwoliłem.

— Och, Sire!

Ten okrzyk oddanego urzędnika mocniej poruszył króla, niż słowa zazdrosnego braciszka.

— No cóż, sądzę, że nie gubi to jeszcze królowej.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ale kompromituje.

— Hm, zobaczymy. Panie de Crosne, czego dowiedziałeś się od swojej policji?

— Wiele rzeczy, Sire, które, pomimo najgłębszego szacunku, jaki winien jestem Waszej Królewskiej Mości, pomimo najgłębszego uwielbienia, jakie żywię dla królowej, potwierdzają niejako pewne zarzuty pamfletu.

— Potwierdzają, mówisz.

— Otóż rzecz tale się ma. Królowa Francji, która w ubraniu zwyczajnej mieszcżki udaje się do tego co najmniej dwuznacznego środowiska, zafrapowana magnetycznymi dziwactwami Mesmera, i to udaje się sama jedna...

— Sama! Podano ci fałszywe informacje!

— Tak dalece dokładne, że opisać mogę szczegóły toalety Jej Królewskiej Mości, Jej chód, gesty, krzyki...

— Krzyki!

Król pobladł i gniótł w ręku broszurę.

— Nawet westchnienia jej odnotowali moi agenci — dorzucił nieśmiało pan de Crosne.

— Westchnienia! Królowa zapomniałaby się do tego stopnia!... Królowa tak łatwo szafowałaby moim honorem królewskim i swoim honorem kobiety!...

— Nie podobna — wtrącił hrabia Prowansji. — Byłby to skandal i Jej Królewska Mość nie jest zdolna...

Na to usprawiedliwienie, które w istocie było wzmocnieniem potępienia, król zawrzał gniewem.

— Czy obstajesz pan przy tym, coś powiedział? — zwrócił się do naczelnika policji.

— Niestety! Co do słowa, Najjaśniejszy Panie.

— Winienem ci, mój bracie — rzekł Ludwik XVI ocierając chustką pot z czoła — winienem ci udowodnić to, co powiedziałem. Honor królowej, to honor całego naszego domu. Nigdy go nie narażam na szwank. Zezwoliłem, by królowa udała się do Mesmera, lecz zastrzegłem, że ma

wziąć ze sobą osobę pewną, bez skazy, świętą niemal.

— Ach — odezwał się pan de Crosne — gdybyż tak było...

— Zapewne — rzekł hrabia Prowansji — gdyby taka kobieta, jak pani de Lamballe, na przykład...

— Właśnie księżnę de Lamballe poleciłem królowej.

— Niestety, Najjaśniejszy Panie, księżnej tam nie było.

— A więc — dodał król wzdrygając się — jeżeli nieposłuszeństwo było tak wielkie, powinienem surowo ukarać i ukarzę.

Głębokie westchnienie zamknęło mu wargi rozdarłszy pierwej serce.

— Jednakże — zawahał się — pozostały mi pewne skrupuły — pan ich, oczywiście, nie podzielasz, no tak, nie jesteś królem, mężem i przyjacielem oskarżonej!... Tak, mam wątpliwości i muszę je zaraz wyjaśnić.

Zadzwoił; stawił się oficer służbowy.

— Dowiedzieć się — rzekł król — czy nie ma u królowej księżnej de Lamballe lub poszukać jej w jej własnych apartamentach.

— Najjaśniejszy Panie, pani de Lamballe przechadza się w małym ogrodzie z Jej Królewską Mością i jakąś inną damą.

— Prosić księżnę, żeby zaraz tu przyszła. Oficer wyszedł.

— Jeszcze dziesięć minut, panowie. Na tyle czasu wstrzymam się z decyzją.

I Ludwik XVI, na przekór zwykłemu swemu usposobieniu, zmarszczywszy brwi spojrział niemal groźnie na obu świadków jego strapień.

XXXVI. KSIĘŻNA DE LAMBALLE

Księżna de Lamballe weszła piękna i posągowo spokojna, przynosząc ze sobą owo nieuchwytnie tchnienie cnoty, wdzięku i bezcielesności, jakie ongiś rozpaczać miała La Valiere nim wpadła w łaski i po ich utracie.

Na widok księżnej uśmiechniętej i skromnej król poczuł przypływ bólu.

— Niestety! — pomyślał. — To, co usłyszysz z tych ust, będzie nieodwołalnym wyrokiem potępienia.

— Siadaj, księżno — rzekł z głębokim ukłonem. Hrabia Prowansji zbliżył się i ucałował jej rękę. Król siedział zamyślony.

— Czego życzysz sobie, Wasza Królewska Mość? — zapytała księżna głosem anielskim.

— Wyjaśnień, pani, jak najdokładniejszych wyjaśnień, moja kuzynko.

— Słucham, Sire.

— Kiedy po raz ostatni jeździłaś, pani, w towarzystwie królowej do Paryża? Poszukaj w pamięci, bardzo proszę.

Pan de Crosne i hrabia Prowansji spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Zrozumcie, panowie — rzeki król. — Wy nie macie wątpliwości, lecz ja wątpię jeszcze i dlatego dopytuję się jak człowiek, który wątpi.

— W środę, Najjaśniejszy Panie — odrzekła księżna.

— Przebaczysz mi, księżno — ciągnął Ludwik XVI — lecz pragnę dowiedzieć się prawdy.

— Pytaj, Sire, a dowiesz się — z prostotą odparła księżna.

— Po co jeździłaś do Paryża, kuzynko?

— Jeździłam z królową do pana Mesmera na plac Vendôme, Najjaśniejszy Panie.

Obaj świadkowie drgnęli, król poczerwieniał z emocji.

— Z królową? Mówisz, z królową? — zawołał, chwytając ją serdecznie za rękę.

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

Monsieur i pan de Crosne przybliżyli się zdumieni.

— Wasza Królewska Mość dała królowej zezwolenie — rzekła pani de Lamballe. — Tak mi przynajmniej oświadczyła Najjaśniejsza Pani.

— I miała słuszność, kuzynko... Nareszcie oddycham, bo pani de Lamballe nigdy nie kłamie.

— Nigdy, Najjaśniejszy Panie — powiedziała księżna ze słodyczą.

— Tak, nigdy! — zawołał pan de Crosne z najgłębszym przeświadczeniem. — Lecz w takim razie, Najjaśniejszy Panie, niech md będzie wolno...

— O, tak, pozwalam, panie de Crosne; badaj, ciągnij za słówka, sadzam drogą moją księżną na ławie oskarżonych, wydaję ci ją.

Pani de Lamballe uśmiechnęła się.

— Jestem gotowa — odparła — lecz, Najjaśniejszy Panie, tortury są zniesione.

— Tak, zniosłem je dla innych — rzekł król z gorzkim uśmiechem — ale nie zniesiono ich dla mnie.

— Pani — zaczął naczelnik policji — zechciej łaskawie powiedzieć królowi, coś robiła z Jej Królewską Mością u pana Mesmera, a najpierw, jak Najjaśniejsza Pani była ubrana.

— Jej Królewska Mość miała na sobie suknię z tafty koloru perłowego, płaszczyk z muślinu haftowanego, zarekawek gronostajowy, różowy aksamitny kapelusz z szerokimi, czarnymi wstęgami.

Rysopsis ten zupełnie nie zgadzał się z opisem wyglądu Oliwii.

Pan de Crosne zmanifestował żywo zdziwienie, hrabia Prowansji przygryzał wargi. Król zatarł ręce.

— Co robiła królowa, wchodząc? — zapytał.

— Najjaśniejszy Panie, słusznie mówisz, wchodząc, gdyż zaledwie weszliśmy...

— Razem?

— Tak, razem i zaledwie przestąpiłyśmy próg pierwszej sali, gdzie nikt nas nawet nie zauważył, gdyż ogólna uwaga zwrócona była na dziwa magnetyczne, kiedy jakaś kobieta, podszedłszy do królowej, podała jej maskę, błagając, aby nie zapuszczała się dalej.

— I zatrzymały się panie? — zagadnął hrabia Prowansji.

— Tak, panie.

— I nie przestąpiłyście, panie, progu drugiego salonu? — zapytał pan de Crosne.

— Nie, panie.

— I pani nie puszczałaś ramienia królowej? — dodał król z resztkami niepokoju.

— Ani nawet na sekundę.

— A więc — zawołał nagle król — co pan myślisz, panie de Crosne? Mój bracie, co ty na to?

— To coś nadzwyczajnego, nadprzyrodzonego — rzekł hrabia z nerwową wesołością, wyraźnie zdradzającą niezadowolenie.

— Nic w tym nie ma nadprzyrodzonego — odpowiedział szybko pan de Crosne, w którym na widok zrozumiałej radości króla obudziły się jakby wyrzuty sumienia. — To, co księżna powiedziała, może być tylko prawdą.

— I co z tego wynika?... — spytał hrabia Prowansji.

— To, Wasza Wysokość, że moi agenci pomylili się.

— Czy pan to mówisz zupełnie poważnie? — zapytał hrabia z tym samym nerwowym odruchem.

— Najzupełniej, Mości Księżę — agenci moi pomylili się; Jej Królewska Mość postępowała tak, jak nam to księżna raczyła powiedzieć i koniec. A co do gazeciarza, skoro zostałem przekonany najczystsą prawdą z ust księżnej, ten łajdak musi nim być także. Wyślę natychmiast rozkaz, aby go z miejsca zamknięto.

Pan de Lamballe, nie pojmując o co chodzi obracała główkę od jednego do drugiego, z niewinną ciekawością, bez podejrzeń i obawy.

— Jeszcze chwilę — rzekł król — chwilę tylko, na powieszenie gazeciarza zawsze będzie dość czasu. Mówiłaś, pani, o kobiecie, która zatrzymać miała królowę u wejścia do sali: księżno, powiedz nam, kto to był?

— Zdaje się, iż Jej Królewska Mość ją zna; a właściwie, żeby nie skłamać, wiem, że ją zna.

— Bo widzisz, kuzynko, muszę z nią pomówić i to koniecznie. Tam gdzieś jest prawda; ona tylko zna klucz całej tajemnicy.

— I ja tak sędzę — rzekł pan de Crosne, na którego król spojrział pytająco.

— Ja bym się nie bawił w komeraże — mruknął hrabia Prowansji. — Ta kobieta — cóż to za bóstwo od rozwiązywania zagadek?

— Moja kuzynko — rzekł — więc królowa wyznała, że zna tę kobietę?

— Nie wyznała, tylko powiedziała.

— Tak, tak, przepraszam.

— Chodzi o to, że i ty, księżno, znasz jej nazwisko — powiedział król.

— Jest to pani de la Motte Valois.

— Ta intrygantka! — zawołał król z odrazą.

— Ta żebraczka — dodał hrabia. — Ho, ho! Trudno ją będzie wybadać, to chytrus.

— I my będziemy chytry — powiedział pan de Crosne. — Co zresztą po chytrłości, skoro

mamy oświadczenie pani de Lamballe. Zatem, na pierwsze słowo królewskie...

— Nie, nie — rzekł Ludwik XVI ze zniechęceniem — mam już dość tej hołoty w otoczeniu królowej. Ona jest tak dobra, że pod pozorem nędzy ściągają do niej wszystkie podejrzone elementy szlachty niższego rzędu z całego królestwa.

— Pani de la Motte jest rzeczywiście Wależjanką — odezwała się pani de Lamballe.

— Niech będzie czym chce, kuzynko, lecz nie chciałbym, aby jej noga tu stanęła! Wołałbym wyrzec się tej niezmierniej radości, jaką by mi sprawiło pełne rozgrzeszenie królowej; tak, wolę z tego zrezygnować, aniżeli zobaczyć przed sobą tę kreaturę.

— A jednakże zobaczysz ją — zawołała błada z gniewu, piękna szlachetnością i oburzenie królowa, ukazując się w drzwiach gabinetu olśnionym oczom hrabiego Prowansji, który uklonił się niezręcznie.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — ciągnęła królowa. — Nie idzie tu o to, aby powiedzieć: chcę lub nie chcę widzieć tej istoty, jest to świadek, któremu bystrość moich oskarżycieli...

Tu spojrzała na szwagra.

— I szczerłość moich sędziów...

Teraz zwróciła się w stronę króla i pana de Crosne.

— Któremu wreszcie własne sumienie, choćby był wyrodkiem, wydrze okrzyk prawdy. Ja obwiniona żądam, izby tej kobiety wysłuchano i wysłuchana będzie!

— Pani — przerwał jej król z pośpiechem — pojmujesz chyba, iż nie pośle się po panią de la Motte, aby sprawić jej ten zaszczyt świadczenia przeciw lub za tobą Czci twojej nie położę na szalę porównania z prawdomównością tej kobiety.

— Nie pošlesz po nią, Najjaśniejszy Panie, bo ona jest tutaj.

— Tu! — zawołał król, oglądając się tak, jak gdyby na zmiję nastąpił. — Tutaj!

— Najjaśniejszy Panie, jak wiesz, odwiedziłam kobietę nieszczęśliwą, która nosi tak świetne nazwisko. Było to, jak wiesz, w dniu, kiedy mówiono tyle różnych...

I królowa spojrzała przez ramię na hrabiego Prowansji, który rad byłby zapaść się na sto łokci pod ziemię, ale który silił się na wyraz potwierdzenia.

— Otóż, Najjaśniejszy Panie, dnia tego zapomniałam u pani de la Motte pudełeczka z portretem, dziś mi je właśnie odniosła i jest tutaj.

— Nie, nie... już jestem przekonany — odezwał się król. — Tak wolę.

— O! Ale mnie to nie wystarcza — rzekła królowa. — Ja ją tu sprowadzę. Zresztą, skądże ten wstręt? Co ona takiego uczyniła? Kim ona jest? Jeżeli ja nie wiem, to proszę mnie uświęcić. Panie de Crosne, pan, który wiesz wszystko, powiedz...

— Nie, nic nie wiem takiego, co mogłoby przemawiać na niekorzyść tej pani — odparł urzędnik. — Uboga jest, to wszystko; być może, iż trochę ambitna.

— Ambicja jest głosem krwi. Jeżeli to tylko pan masz przeciw niej, król może zezwolić, aby zaświadczyła.

— Ja nie wiem — odparł Ludwik XVI — lecz mam jakieś przeczucie; czuję, że ta kobieta będzie dla mnie nieszczęściem, że zatruje mi życie... To chyba dosyć.

— O! Najjaśniejszy Panie, przesady! Biegnij po nią — rzekła królowa do księżnej de Lamballe.

W pięć minut potem Joanna, sama skromność i zawstyżenie, nienaganna w postawie i stroju, wkroczyła z godnością do gabinetu królewskiego. Ludwik XVI, niewzruszony w swej antypatii, obrócił się plecami do drzwi. Oparty łokciami na stole, z głową zatopioną w rękach, zdawał się być obcym w tym otoczeniu.

Hrabia Prowansji świdrował Joannę tak dociekliwymi spojrzeniami, że inna kobieta, naprawdę skromna, nie zdołałaby — niby dotknięta paralizem — wykrztusić ani jednego słowa.

Ale nie z takimi trudnościami Joanna dawała sobie radę. Ani berła monarsze, ani tiara papieska, ani moce niebieskie, ani siły piekielne nie wydusiłyby z tego żelaznego umysłu strachu ani czci.

— Pani — rzekła do niej królowa, podprowadzając ją do króla — zechciej, proszę, powiedzieć, coś uczyniła podczas mojej bytności u pana Mesmera. Zechciej powiedzieć od początku do końca.

Joanna milczała.

— Tylko bez omówień i bez żadnych względów. Mów tylko prawdę, forma pani pojęć będzie tak plastyczna, jak się to pani wryło w pamięci.

Co za rola dla Joanny! Dla niej, która w przenikliwości swej odgadła, że władczyni potrzebuje jej dla niej samej — która czuła teraz, że Maria Antonina została fałszywie posądzona i że usprawiedliwić ją można było nie odbiegając od prawdy!

Ktoś inny, mając takie przekonanie, nie powstrzymałby się od chęci uniewinnienia królowej przy pomocy interpretacji dowodów. Joanna była naturą tak silną i wyrafinowaną, że ograniczyła się tylko do prostego opisu faktów.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła. — Poszłam do pana Mesmera, zaciekawiona jak i cały Paryż. Widowisko wydało mi się dość nieprzyzwoite. Powracałam już, gdy u wejścia strzegłam Jej Królewską Mość, którą miałam zaszczyt widzieć przedwczoraj, a której hojność zdradziła im jej pozycją. Zobaczywszy te rysy dostojne — które w pamięci mojej nie zatra się nigdy — pomyślałam, że obecność królowej jest może niewłaściwa w tym miejscu, gdzie wystawiono na pokaz tyle cierpień i śmiesznych zabiegów. Najpokorniej błagam Jej Królewską Mość o przebaczenie, iż osmielełam się w myśli osądzać jej postępowanie, lecz była to jakby błyskawica, instynkt kobiecy: na klęczkach błagam o przebaczenie, jeżeli przekroczyłam granicę szacunku, jaki winna jestem najdrobniejszym poczynaniom Najjaśniejszej Pani.

Urwała, udając wzruszenie; z opuszczoną głową, odegrała z niezwykłym artyzmem scenę powstrzymywania się od płaczu.

Okpić dał się nawet pan de Crosne. Pani de Lamballe poczuła serdeczną tkliwość dla tej kobiety tak delikatnej, bojaźliwej i rozumnej. Hrabia Prowansji był oszołomiony. Królowa podziękowała spojrzeniem, na które zresztą Joanna pilnie, choć ukradkiem czatowała.

— I cóż, Najjaśniejszy Panie! — rzekła królowa. — Słyszałeś?

Król ani się ruszył.

— Nie potrzebowiałem — rzekł — świadectwa pani.

— Kazano mi mówić — nieśmiało nadmieniła Joanna — obowiązkiem moim było usłuchać.

— Dosyć! — zawołał grubiańsko Ludwik XVI. — Kiedy królowa coś mówi, na potwierdzenie jej słów nie potrzeba świadectw. Kiedy królowa ma moją aprobatę, do nikogo uciekać się nie potrzebuje; wystarczy moje zezwolenie.

Powstał domawiając ostatnich słów, które zmiażdżyły hrabiego Prowansji. Królowa nie omieszkała uzupełnić ich uśmiechem pełnym pogardy.

Król, odwróciwszy się plecami do brata, ucałował rękę Marii Antoniny i księżnej de Lamballe, którą przeprosił za niepotrzebną fatygę.

Pani de la Motte nie poświęcił słowa ni spojrzenia, ponieważ jednak musiał koło niej przejść, a nie chciał urazić królowej niegrzecznością dla osób, które przyjmuje, pożegnał hrabinę lekkim skinieniem głowy. Ta bez pośpiechu odwzajemniła się pełnym wdziękiem dygnięciem.

Pierwsza wyszła z gabinetu pani de Lamballe, za nią królowa wypchnęła panią de la Motte i sama wyszła ostatnia, zamieniwszy z małżonkiem pieszczotliwe spojrzenie.

— Nie zatrzymuję cię, mój bracie — rzekł Ludwik XVI do hrabiego Prowansji. — Mam jeszcze robotę z panem naczelnikiem policji. Dziękuję ci za wysłuchanie tego pełnego, jasnego i

wspaniałego usprawiedliwienia się twojej siostry. Miło mi, że rad jesteś z tego równie jak ja, a to już A teraz, panie de Crosne, siadajmy.

XXXVII. U KRÓLOWEJ

Wyszędłszy z gabinetu Ludwika XVI, królowa zmierzyła w myśli głębię niebezpieczeństwa, które jej zagrażało. Umiała ocenić, ile delikatności i oględności było w zeznaniu Joanny, nie przygotowanym przecież, również jej godny uwagi takt, z jakim po odniesionym sukcesie pozostała w cieniu.

Jednakże Joanna — przez niesłuchanie szczęśliwy traf wtajemniczona w sekrety rodzinne, za którymi latami uganiają się bezskutecznie najwytworniejsi dworacy — pewna już teraz powodzenia, nie próbowała okazywać swej przewagi drobnostkami, które tak często u osób niżej postawionych rażą drażliwość możnych.

Królowa też zamiast zezwolić na odjazd Joanny, zatrzymała ją, mówiąc z miłym uśmiechem:

— To prawdziwe szczęście, hrabino, że przeszkodziłaś nam z panią Lamballe wejść do Mesmera. Bo jaka to jest potwarz ludzka — widziano nas we drzwiach czy też w przedsionku, a już rozgłoszono, że znajdowałam się w tej, jak ją tam nazywają, sali paroksyzmów.

— Lecz — odezwała się księżna de Lamballe — jak się to stać mogło, że, skoro wiadomo, iż królowa tam była, pomylili się agend pana de Crosne? Jest w tym, według mnie, jakaś zagadka. Agenci policyjni twierdzą przecież, że królowa była w sali paroksyzmów.

— To prawda — rzekła królowa w zamyśleniu. — Nie można tu o nic posądzać pana de Crosne, jest bowiem człowiekiem uczciwym i szczerze mi oddanym. Lecz agenci mogli być przekupieni. Droga moja Lamballe, wiesz, że mam nieprzyjaciół. Pogłoska ta musi mieć jakąś podstawę. Opowiedz nam szczegóły, pani hrabino. Ten bezecny paszkwil przedstawia mnie zamagnetyzowaną, w stanie, jakbym miała zatracić wszelką godność kobiecą. Czy są w tym pozory prawdopodobieństwa? A może rzeczywiście była tam wówczas jakaś kobieta?

Twarz Joanny oblała się rumieńcem. Sekret należał jeszcze do niej i jedno jej słówko zniweczyć by mogło jego złowrogi wpływ na losy królowej. Ale odkrywając ów sekret Joanna traciła sposobność stania się użyteczną, a nawet niezbędną dla Jej Królewskiej Mości. Mogła w ten sposób przekreślić własną przyszłość, wołała więc zachować nadal ostrożność.

— Pani! — rzekła. — Była tam rzeczywiście jakaś kobieta, mocno podniecona, która kompromitujące popisywała się kontorsjami i odurzeniem. Lecz, zdaje mi się...

— Zdaje ci się — żywo przerwała królowa — że była to jakaś aktorka lub, jak je nazywają, kobieta z półświatka, a nie królowa Francji, prawda?

— Z pewnością.

— Hrabino! Odpowiedziałaś wybornie królowi; a teraz ja powinnam pomówić o tobie. Jakże wyglądają twoje sprawy? Kiedy zamierzasz wystąpić ze swoimi pretensjami? Ach, czy tam ktoś jest, księżno?...

Weszła pani de Misery.

— Czy raczy Wasza Królewska Mość przyjąć pannę de Taverney? — zapytała.

— Ależ naturalnie. Co za ceremoniantka! Nigdy nie uchybiłaby etykietcie. *Andreo, Andreo!* Chodźże!

— Wasza Królewska Mość zbyt dla mnie łaskawa — powiedziała *Andrea* dygając zgrabnie.

Poznawszy drugą damę z niemieckiego zakładu miłosierdzia *pand de la Motte* uzbroiła się na zawołanie w rumieniec skromności i zawstydenia.

Księżna de Lamballe korzystając z przybyłych królowej posiłków pożegnała się, aby wrócić do *Sceaux*, do księcia de *Panthievre*. *Andrea* zajęła miejsce obok *Marii Antoniny*, utkwivszy spokojnie i badawcze spojrzenie w pani de *la Motte*.

— No, Andreo — odezwała się królowa — otóż i ta pani, którą odwiedziłyśmy w ostatnim dniu mrozów.

— Poznałam panią — odparła, skłaniając głowę, Andrea. Joanna, już znowu dumna, próbowała dopatrzeć się w jej rysach oznak zazdrości. Nic jednak nie dostrzegła, prócz zupełnej obojętności.

Andrea ze wszystkimi namiętnościami kobiety, podobna w tym do królowej, Andrea, która, gdyby była szczęśliwa, przewyższyłaby wszystkie damy dworu dobrocią, rozumem i wspaniałością, zamykała się w sobie nieprzenikniona i skryta, co dwór cały brał za dumną wstydlivość dziewiczej Diany.

— Czy wiesz — zapytała królowa — co powiedziano o mnie królowi?

— Na pewno coś bardzo złego — odparła Andrea — bo nie umiano by wypowiedzieć wszystkiego, co dobre.

— Oto najpiękniejsze określenie, jakie słyszałam kiedykolwiek — odezwała się z prostotą Joanna. — Piękne, mówię, bo, nic nie odejmując, wyraża uczucia całego mojego życia, czego jednak słaby mój umysł nie umiałby wyrazić słowami.

— Opowiem ci to, Andreo.

— Och, wiem już — odpowiedziała. — Dopiero co opowiadał o tym hrabia Prowansji; jedna z moich przyjaciółek słyszała.

— Tak — rzekła z gniewem królowa — najłatwiejszy to sposób rozpowszechniania kłamstwa, oddając hołd prawdzie.

Ale dajmy mu spokój. Mówiłam właśnie z hrabiną o jej położeniu. Kto panią proteguje?

— Ty, Najjaśniejsza Pani — śmiało odrzekła Joanna — pani, która pozwalasz mi przyjść, aby ucałować twą ręką.

— Widać, że ma serce — rzekła Maria Antonina do Andrei. — Lubią tą wybuchowość.

Andrea nic nie odpowiedziała.

— Pani — ciągnęła dalej Joanna — mało kto ośmielił się protegować mnie, kiedy byłam w niedostatku i poniżeniu; lecz gdy zobaczą mnie w Wersalu, wszyscy ubiegać się będą o przypodobanie się królowej, czy też osobie, którą Wasza Królewska Mość raczyła zaszczycić spojrzeniem.

— Jak to — spytała królowa, siadając — czyż nikt się nie znalazł dość zacny albo dość zepsuty, aby się zaopiekować panią dla ciebie samej?

— Była przedtem pani de Boulainvilliers — odrzekła Joanna — kobieta zacna; następnie pan de Boulainvilliers, protektor zepsuty... Lecz od czasu jak wyszłam za mąż, nikt, nikt! — wymówiła z wybornie udanym rozczarowaniem. — O, przepraszam, zapomniałam o uroczym człowieku, szlachetnym księciu...

— Książę! Któż to taki, hrabino?

— Kardynał de Rohan. Królowa poruszyła się żywo.

— Mój nieprzyjaciół — rzekła z uśmiechem.

— Co? Kardynał? Nieprzyjaciół Waszej Królewskiej Mości? — zawołała Joanna. — O, pani!

— Pomyśleć by można, że cię to dziwi, hrabino, że królowa miewa nieprzyjaciół. Jak mało znasz życie dworu.

— Ależ kardynał uwielbia Waszą Wysokość, o ile wiem przynajmniej; i jeżeli się nie mylę, to cześć jego dla dostojnej małżonki królewskiej dorównywa jego oddaniu.

— Och, wierzę ci, hrabino — odrzekła Maria Antonina, wpadając w zwykły, dobry humor — wierzę ci, ale tylko w części. Tak, masz słuszność, kardynał uwielbia mnie. Tak, tak. Dlatego też właśnie jest moim nieprzyjacielem.

Joanna zagrała naiwną parafiankę.

— Ach, jesteś więc protegowaną księcia arcybiskupa Ludwika de Rohan — ciągnęła dalej królowa. — Opowiedz nam to, hrabino.

— To bardzo proste, Najjaśniejsza Pani. Jego Eminencja wspomógł mnie w sposób nad wyraz hojny, a przy tym delikatny i szlachetny.

— Rozumiem. Książę Ludwik jest szczodry, odmówić mu tego nie można... Cóż, Andreo, czy ci się nie zdaje, że pan kardynał mógłby śmiało żywić uwielbienie dla naszej ładniutkiej hrabiny? Ha, hrabino, co na to powiesz?

I królowa wybuchnęła śmiechem szczerym i wesołym, chociaż nie znalazła zachęty u poważnej zawsze panny de Taverney.

— Ta głośna wesołość musi być trochę sztuczna — pomyślała Joanna. — No, zobaczymy.

— Pani — zaczęła z powagą i przejęciem — mam zaszczyt zapewnić Waszą Wysokość, że pan de Rohan...

— Dobrze, dobrze — przerwała jej królowa. — Skoro jesteś jego tak gorliwą przyjaciółką

— O, pani! — odezwała się Joanna z właściwym jej przedziwnym wyrazem skromności i szacunku.

— Dobrze, moja droga — odparła ze słodkim uśmiechem królowa — zapytaj go jednak, co uczynił z moimi włosami: kazał je wykraść pewnemu fryzjerowi, którego zresztą figiel ten drogo kosztował, bo go oddaliłam.

— Zdziwiał mnie Wasza Wysokość — odrzekła Joanna. — Jak to! Pan de Rohan miałby...

— Ależ tak... uwielbienie, zawsze uwielbienie. Po tym, jak nienawidził mnie w Wiedniu, jak używał wszelkich sposobów, aby zerwać moje projektowane małżeństwo, pewnego dnia spostrzegł, że jestem kobietą i jego królową, że on, wielki dyplomata, dostał szkołę, że zawsze będzie miał ze mną porachunki. Zląkł się wtedy o swoją przyszłość, kochany książę. Postąpił tak, jak wszyscy ludzie jego profesji, którzy pieszczą najwięcej tych, których się lękają, a wiedząc, że jestem młoda, i myśląc, że jestem głupia i próżna, zamienił się w Celadona. Po westchnieniach i spojrzaniach omdlewających, uciekł się, jak mówisz, do uwielbienia. Uwielbia mnie, nieprawdaż, Andreo?

— Madame — rzekła Andrea kłaniając się.

— No tak, Andrea także nie chce się narażać; ale ja zaryzykuję, niechże korona raz się na co przyda. Hrabino, ja wiem i ty wiesz, że kardynał mnie uwielbia. Zgadzą się na to obydwie. Powiedz mu, że za to nie mam do niego urazy.

Słowa te, zawierające gorzką ironię, głęboko wtargnęły w zepsute serce Joanny de la Motte.

Gdyby była człowiekiem szlachetnym, czystym i prawym, widziałaby w tym jedynie najwyższą pogardę, wstręt duszy wzniosłej dla poziomych intryg. Istoty tego typu nigdy nie bronią swej reputacji, po prostu nie dostrzegają błota, którym mogą się skalać. Joanna — jako natura pospolita i zdemoralizowana — w wybuchu gniewu królowej przeciw postępowaniu kardynała de Rohan widziała tylko urazę. Przypomniła sobie plotki dworskie, plotki gorszące i półsłówka, które z przedpokojów zamkowych dobiegały do przedmieść Paryża i znajdowały tam głośnie echa.

Kardynał, lubiący kobiety dla cech ich płci, mówił Ludwikowi XV, który miał ten sam stosunek do kobiet, że żona delfina nie jest pełną kobietą. Znane są dziwaczne słowa Ludwika XV w czasie małżeństwa jego wnuka i zapytania, zadawane pewnemu naiwnemu ambasadorowi.

Joanna, kobieta pełna, kobieta od stóp do głów, Joanna — dumna z każdego włoska, który ją upiększał, Joanna czująca potrzebę podobania się i zwyciężania przy pomocy swych wdzięków, nie mogła pojąć w ogóle innego podejścia kobiety do tej delikatnej materii.

— Kryje się w tym żal Jej Królewskiej Mości — mówiła do siebie — a jeśli jest żal, musi być coś więcej. — Pomyślawszy więc, że ze zderzenia tryska światło, rozpoczęła obronę, pana de

Rohan z całą przebiegłością i sprytem, w jaki natura, jak dobra matka, wyposażyła ją tak hojnie.

Królowa słuchała.

— Słucha — pomyślała Joanna, komentując to po swojemu i nie dostrzegając, że jest to ze strony królowej tylko wspaniałomyślność. Nie wiedziała, że na dworze nie mówi się dobrze o ludziach, którzy nie podobają się monarchom i że właśnie to nowe uchybienie obyczajom ogromnie podoba się królowej. Maria Antonina widziała bowiem serce tam, gdzie Bóg umieścił tylko gąbkę wyschłą i zepsutą.

Królowa prowadziła rozmowę z Joanną, siedzącą jak na szpilkach. Czuła, że powinna już iść, ale nie wiedziała jak się pożegnać. Nagle głos młody i dźwięczny rozległ się w przyległym gabinecie.

— Hrabia d'Artois! — zawołała królowa.

Andrea powstała natychmiast, Joanna poszła w jej ślady i kiedy książe szybko wtargnął do pokoju królowej, udałaś że chce się pożegnać.

Książe, spostrzegłszy ładną osóbkę, ukłonił się.

— Pani hrabina de la Motte — rzekła królowa, przedstawiając księciu Joannę.

— Aha! — zawołał książe. — Niechże ja pani nie wypędzam, hrabino.

Na znak królowej Andrea zatrzymała Joannę, gdyż widocznie Maria Antonina pragnęła obdarzyć ją czymś przed wyjściem.

— Powróciłeś więc z polowania na wilki — rzekła królowa podając bratu po angielsku rękę, która to moda zaczynała wchodzić w powszechne użycie.

— Tak, siostrzyczko, i udało mi się, bo zabiłem siedem sztuk — odpowiedział książe.

— Sam zabiłeś?

— Nie jestem pewny — rzekł śmiejąc się — ale tak czy owak zarobiłem siedemset liwrów.

— Jakim sposobem?

— Widzisz, za każdą głowę tego strasznego zwierza płacą po sto liwrów. To drogo, lecz dałbym z całego serca dwieście za głowę gazeciarza, a ty siostrzyczko?

— Ach, więc wiesz już o wszystkim?

— Pan hrabia Prowansji opowiedział mi.

— Już trzeci. Hrabia Prowansji jest niezmordowanym narratorem. Rada bym usłyszeć, jak on ci to przedstawił?

— Tak, żebyś wydawała się bielsza niż gronostaj, bielsza niż Wenus Anadiomene.

— Nie ulega jednak wątpliwości że opowiedział ci całą awanturę?

— Z dziennikarzem, tak, siostrzyczko, lecz wysłaś z tego z honorem. Można by nawet na wzór pana de Bièvre zrobić z tego kalambur: sprawa cebrzyka zmyta.

— Lichy to koncept.

— Nie odrzucaj, siostrzo, paladyna, który ofiarowuje ci kopię i rękę. Aj, siostrzyczko droga, doprawdy, masz szczęście!

— On to nazywa szczęściem, słyszysz, Andreo?

— To szczęście — powtórzył hrabia d'Artois. — Mogłoby się zdarzyć, że nie byłoby tam pani de Lamballe, że nie spotkałybyście tam pani de la Motte, że wreszcie pani de la Motte nie byłoby w Wersalu w chwili, gdy należało przyświadczyć. Powiesz mi pewno, że cnota i niewinność są jak fiołek, który poznaje się nawet nie oglądając. Ale, widzisz, ze świeżych fiołków robi się bukiety, a wyrzuca się je, gdy zwiędną. Taka moja moralność.

— Sliczna.

— Taką biore, jaką znajduję i dowiodłem, że masz szczęście.

— Źle dowiodłeś.

— niesprawiedliwa jesteś uskarżając się na los — rzekł hrabia wykręciwszy się na pięcie, aby

rzucić się na sofę obok królowej — bo przecież wyszedłszy zwycięsko z pamiętnej wyprawy kabrioletem...

— To rai — rzekła królowa, licząc na palcach.

— Wyciągnięta z cebrzyka...

— Zgoda, i to liczę. Dwa. A dalej?

— I z afery balowej — szepnął jej do ucha.

— O jakim balu mówisz?

— O balu Opery.

— Nie rozumiem cię.

Roześmiał się.

— Jakież głupiec ze mnie, wszcząłem rozmową o sekrecie.

— Sekrecie? Doprawdy, bracie, wiem tylko, że mówisz o balu w Operze i jestem bardzo zaintrygowana.

Słowa: bal, opera, obły się o uszy Joanny. Podwoiła uwagę.

— Milczę jak grób — szepnął książę.

— Właśnie, że nie. Porozumiejmy się — dorzuciła królowa. — Mówiłeś o jakiejś historii w Operze. Chcę wiedzieć, co to takiego.

— A ja pragnę milczeć.

— Chcesz mi sprawić przykrość.

— Bynajmniej. Dość już powiedziałem, abyś zrozumiała, przypuszczam.

— Nic nie powiedziałeś.

— Och, siostró, to ty mnie intrygujesz. No... na parol.

— Słowo honoru, nie żartuję.

— Chcesz zatem, abym mówił?

— Natychmiast.

— Ale nie tutaj — rzekł wskazując oczami na Andreeę i Joannę.

— Tutaj, tutaj, nie ma nic do ukrywania.

— Nie byłaś na ostatnim balu w Operze?

— Ja! — zawołała królowa. — Ja, na balu w Operze!

— Cicho, zmiłuj się.

— O, nie, mój bracie, krzyczmy!... Mówisz więc, że ja tam byłam?

— Niezawodnie, że tak, byłaś tam.

— Widziałeś mnie może? — zauważyła z ironią, lecz żartując jeszcze.

— Widziałem cię tam.

— Mnie, mnie?

— Ciebie, siostró. — To za wiele!

— I ja tak myślę.

— A może powiesz, że rozmawiałeś ze mną?

— Doprawdy, chciałem, ale rozdzielił nas tłum masek!

— Oszalałeś!

— Widzisz, wiedziałem, że to powiesz. Nie powinienem był narażać się na to. Moja wina.

Królowa zerwała się z sofy i ogromnie poruszona przeszła się po pokoju. Hrabia patrzył na nią ze zdziwioną miną. Andrea drżała z obawy i niepokoju. Joanna wpijała sobie w ciało paznokcie, aby zachować spokój.

Wreszcie królowa stanęła.

— Mój drogi — odezwała się do księcia — nie żartuj; jak widzisz, mam zły charakter i tracę cierpliwość. Wyznaj, że chciałeś się kosztem moim zabawić.

— Wyznam ci, jeżeli chcesz tego, siostrze.
— Zmiłuj się, powiedz mi, że sam ułożyłeś tę bajkę, wszak prawda? Karolu, tylko bez błazeństw!
— Jak ryba, siostrze.
Przymrużywszy oczy, spojrzął na damy i rzekł:
— Tak, ułożyłem, zechciej mi wybaczyć.
— Nie rozumiesz mnie, bracie — gwałtownie powtórzyła królowa. — Tak czy nie, wobec tych pań, czy cofasz to, coś powiedział? Nie kłam, nie oszczędzaj mnie!
Andrea i Joanna zniknęły za gobelinową zasłoną.
— A więc, siostrze — cicho rzekł książę, gdy już ich nie było — powiedziałem prawdę; czemużeś mnie wcześniej nie ostrzegła?
— Tyś mnie widział na balu w Operze?
— Tak jak cię teraz widzę, a i ty mnie widziałaś Królowa krzyknęła, przywołała Joannę i Andree, pobiegła po nie i ująwszy za ręce przyprowadziła obie z pośpiechem.
— Moje panie, hrabia d'Artois twierdzi — rzekła — że widział mnie w Operze.
— Och — wyszeptała Andrea.
— Nie czas już cofać się — ciągnęła królowa. — Dowiedźże, dowiedź!...
— Więc tak — zaczął książę. — Byłem z marszałkiem de Richelieu, z panem de Calonne, z... dalibóg z mnóstwem osób. Maski ci spadła.
— Maski!
— Miałem ci już powiedzieć: to więcej niż zuchwałość, siostrze — ale zniknęłaś mi, uprowadzona przez kawalera, z którym szłaś pod ręką.
— Kawalera? O, Boże! Doprowadzasz mnie do szaleństwa.
— W błękitnym dominie — dodał książę. Królowa przesunęła ręką po czole.
— Zaraz, kiedy to było? — zapytała.
— W sobotę.
— Boże mój, Boże. O której godzinie widziałeś mnie?
— Około drugiej albo trzeciej.
— Ostatecznie albo ja oszalałam, albo ty jesteś szalony.
— Powtarzam ci, że to ja... może się omyliłem... Jednakże...
— Jednakże...
— Nie dręcz się tak... nie spostrzeżono tego... Przez chwilę sądziłem, że byłaś z królem, lecz osoba ta mówiła po niemiecku, a król zna tylko język angielski.
— Po niemiecku... Niemiec. Och, mam dowody, bracie. W sobotę położyłam się o jedenastej. Hrabia uklonił się z uśmiechem niedowierzania.
— Powie ci to pani Misery. Książę roześmiał się.
— Czemuż nie przywołasz jeszcze Laurenta, szwajcara przy wodociągach; on także będzie świadczył. Ja przecież uląłem to działo, nie strzelajże z niego do mnie.
— O, nie mieć wiary do tego stopnia! — zawołała królowa z wściekłością.
— Gotów jestem ci wierzyć, nie wpadaj w gniew, lecz co z tego? Jeśli ja ci nawet powiem — tak, to inni...
— Inni? Jacy inni?
— Na Boga! Ci, którzy tak samo jak ja, widzieli.
— A, to ciekawe, proszę. Są tacy, co mnie widzieli. A więc pokaż mi ich!
— Natychmiast!... Czy tu jest Filip de Taverney?
— Mój brat? — powiedziała Andrea.
— On tam był, pani — odrzekł książę. — Czy chcesz, siostrze, aby go zapytano?

— Żądam tego usilnie.

Królowa zawołała. Posiano po Filipa aż do jego ojca, od którego wyszedł właśnie po scenie, którąśmy opisali Zwycięski i dumny z przysługi uczynionej królowej, szedł do pałacu. Posłańcy spotkali go w drodze. Na rozkaz królowej przybiegł natychmiast.

Maria Antonina wybiegła mu naprzeciw i stanąwszy przed nim powiedziała:

— Słuchaj pan, czy umiesz mówić prawdę?

— Tak, pani, kłamać nie umiem — odpowiedział.

— A więc powiedz... powiedz otwarcie, czy... czy widziałeś mnie w ciągu tego tygodnia w miejscu publicznym?

— Tak, pani — odrzekł Filip.

Można było słyszeć nieledwie, jak były serca wszystkich zebranych w pokoju.

— Gdzieś mnie widział? — zawołała strasznym głosem królowa.

Filip milczał.

— O, panie, nie szczędź nikogo! Brat mój utrzymuje, że mnie widział na balu w Operze, a pan gdzie mnie widział?...

— Tak jak i Jego Wysokość pan hrabia d'Artois, na balu w Operze.

Królowa, jak piorunem rażona, padła na sofę. Zerwała się zaraz z furią zranionej pantery.

— To być nie może! — zawołała. — Ja tam nie byłam. Uważaj no, panie de Taverney, wydaje mi się, że przybierasz fumi purytanina; to było dobre w Ameryce z panem Lafayette, lecz tu, w Wersalu, jesteście Francuzami, ogładzonymi i bez fochów.

— Wasza Królewska Mość poniża pana de Taverney — odezwała się Andrea, blada z gniewu i oburzenia. — Jeżeli on mówi, że widział, to widział na pewno.

— I ty także — powiedziała Maria Antonina — i ty! Tego tylko jeszcze brakuje, żebyś i ty mnie tam widziała. Na Boga!

Jeżeli mam przyjaciół, którzy mnie bronią, to mam i nieprzyjaciół, którzy mnie zabijają. Jeden świadek nie stanowi świadectwa, panowie.

— W chwili tej, gdy cię widziałem — rzekł hrabia d'Artois — i spostrzegłem, że nie król ci towarzyszy, przypuszczałem, że to siostra pana de Suffren. Jakże się nazywa ten dzielny oficer? Tak dobrze go wtedy przyjąłeś, iż uważałem go za twego przybocznego rycerza.

Królowa zarumieniła się, Andrea zbladła jak śmierć. Spojrzały na siebie obie i zadrzały. Filip posiniał. — Pan de Charny — rzekł.

— Tak, tak, Charny — ciągnął hrabia d'Artois. — Nieprawdaż, panie Filipie, że postawa tego błękitnego domina miała coś wspólnego z postawą pana de Charny?

— Nie zauważyłem tego, Mości Księżę — odrzekł Filip bez tchu.

— Ale — mówił dalej hrabia — przekonałem się, że byłem w błędzie, bo nagle zobaczyłem pana de Charny. Stał tam z panem de Richelieu, naprzeciw ciebie, siostrze, w chwili gdy spadła ci maska.

— I on mnie widział? — zawołała królowa najnieroztropniej.

— Jeżeli tylko nie jest ślepy — odrzekł księżę. Królowa ruchem rozpaczliwym chwyciła za dzwonek.

— Co robisz? — zapytał księżę.

— Chcę wybadać także pana de Charny, chcę do dna ten kielich wychylić.

— Nie sądzę, aby pan de Charny był w Wersalu — mruknął Filip.

— Dlaczego?

— Zdaje mi się, że mówiono, iż jest... niezdrow.

— Ach! — krzyknęła Andrea.

— Sprawa jest tak poważna, że musi przyjść. Ja też jestem niedysponowana, a jednak

poszłabym bosą nogą na koniec świata, żeby...

— Mówisz, że pan de Charny chory, a ja go tu widzę, bracie — rzekła Andrea wyglądając przez okno.

— Widzisz go? — zawołał Filip biegnąc do okna.

— Tak, to on.

Królowa o wszystkim zapominając otworzyła okno z niezwykłą siłą i zawołała:

— Panie de Charny!

Ten obejrzał się i, oszołomiony z podziwu, skierował się ku pałacowi.

XXXVIII. ALIBI

Pan de Charny wszedł nieco blady, lecz trzymając się prosto i bez widocznych oznak cierpienia.

Na widok tego świetnego zgromadzenia wyprężył się w pełnej szacunku postawie światowca a zarazem żołnierza.

— Miej się na baczności, siostró — szepnął królowej hrabia d'Artois — zdaje mi się, że zbyt wiele osób badasz.

— Bracie, świat cały bym badała, aby znaleźć nareszcie kogoś, co by powiedział mi, że się pomyliłam.

Charny, zobaczywszy Filipa, powitał go uprzejmie.

— Jesteś pan dla swego zdrowia katem — cichym głosem rzekł do przeciwnika Filip. — Wychodzić, będąc rannym... widocznie chcesz umrzeć.

— Nie umiera się z zadraśnięcia o krzak w lasku Bulońskim — odparł Charny, szczęśliwy, że mógł odpłacić nieprzyjacielowi ukłuciem moralnym boleśniejszym od rany zadanej szpadą.

Królowa, zbliżając się, przerwała tę rozmowę, która była nie tyle dialogiem, ile podwójnym „a parte”.

— Panie de Charny — rzekła — panowie ci mówią, że byłeś na balu w Operze?...

— Tak, Wasza Królewska Mość — odpowiedział Charny z ukłonem.

— Powiedz nam, co tam widziałeś?...

— Czy Wasza Królewska Mość pytać raczy, co tam widziałem, czy kogo?...

— Dokładnie... kogo widziałeś. Bez żadnych ogródek tylko, panie de Charny, bez żadnych uprzejmych przemilczeń.

— Czy wszystko mam powiedzieć, Najjaśniejsza Pani?... Królowa pobladła i zarumieniła się znowu.

— Zaczynając podług hierarchii? — pytał dalej Charny.

— Dobrze, czy mnie pan widziałeś?...

— Tak jest, w chwili, kiedy nieszczęściem spadła Waszej Królewskiej Mości maska.

Maria Antonina kurczowym ruchem ręki zmięła koronkową chusteczkę.

— Panie — odezwała się głosem, w którym bystrzejszy obserwator odgadłby zbliżający się wybuch płaczu. — Przypatrz mi się dobrze, czy pewny tego jesteś?...

— Pani, rysy Waszej Królewskiej Mości wryte są w sercu każdego z poddanych. Raz zobaczyć Waszą Królewską Mość, to widzieć ją zawsze.

Filip spojrział na Andree, Andree na Filipa. Dwa cierpienia, dwie zazdrości zawarły ze sobą bolesne przymierze.

— Panie — powtórzyła królowa, zbliżając się do Charny'ego — zaręczam panu, że nie byłam na balu w Operze.

— O... pani! — zawołał młodzieniec, nisko schylając czoło. — Czyż Wasza Królewska Mość nie ma prawa iść tam, gdzie się Jej podoba?... I chociażby to piekło nawet było, skoro by noga Jej tam powstała, piekło zostałoby uświęcone.

— Nie żądam, abyś pan czyn mój usprawiedliwiał — rzekła królowa — proszę tylko, abyś uwierzył, że go nie popełniłam.

— We wszystko uwierzę, co tylko Wasza Wysokość mi rozkaże — odrzekł Charny do głębi serca wzruszony tym naleganiem królowej, tą serdeczną pokorą kobiety tak wyniosłej.

— Siostró!... Siostró!... Tego już nadto — szepnął Marii Antoninie hrabia d'Artois.

Scena ta bowiem zmroziła wszystkich obecnych.

— I oni wierzą temu!... Wierzą!... — zawołała królowa, nie posiadając się z gniewu i zniechęcona osunęła się na fotel, ukradkiem ocierając ślad łez, które duma spaliła na brzegach jej powiek. Nagle zerwała się.

— Siostrze, przebac mi — czule odezwał się hrabia d'Artois. — Jesteś wśród wielkich przyjaciół; tajemnica, która przeraża cię nadmiernie, nam jest tylko znana, a z serc naszych nikt jej nie wydrze, chyba z życiem naszym.

— Tajemnica!... Ależ ja jej nie chcę — zawołała królowa.

— Siostrze!...

— Żadnych tajemnic. Chcę dowodu.

— Pani — odezwała się Andrea — ktoś idzie...

— Pani — przeciągłym głosem dodał Filip — to król!

— Król!... Tym lepiej. O!... Król jest jedynym moim przyjacielem. On nie zarzuci mi winy wtedy nawet, gdyby myślał, że zbłądziłam; jak to dobrze, że tu przychodzi.

Król wszedł. Spojrzenie jego kontrastowało z wyrazem wzruszenia i niepokoju na twarzach zebranych osób.

— Najjaśniejszy Panie!... — zawołała królowa. — Przychodzisz w porę. Panie, jeszcze jedna potwarz, jedna jeszcze zniewaga do zwalczania.

— Cóż tam znowu?... — zapytał Ludwik XVI podchodząc.

— Panie, pogłoska, niktzemna płotka. Ona się rozpowszechni. Pomóż mi, pomóż, Najjaśniejszy Panie, bo teraz już nie wrogowie mnie oskarżają, lecz moi przyjaciele.

— Przyjaciele twoi?...

— Ci panowie, mój brat!... Pan hrabia d'Artois, pan de Taverney, pan de Charny niezbitcie dowodzą mi, że widzieli mnie na balu w Operze.

— Na balu w Operze! — krzyknął król, marszcząc brwi. Złowrogie milczenie zawisło nad zgromadzeniem. Pani de la Motte widziała ponury niepokój króla, widziała śmiertelną błądź królowej, jednym jedynym słowem mogłaby zakończyć tę przykrą sytuację, obalić wszystkie oskarżenia przeszłości i uratować królowę na przyszłość.

Ale ani serce nie skłaniało jej do tego, ani interes osobisty nie pozwalał. Powiedziała sobie, że już za późno; że skoro poprzednio zataiła prawdę, skoro nie broniła królowej przy pierwszym oskarżeniu, przyznawszy się do tego zniszczyłaby swą pozycję, nowa faworyta straciłaby wszystkie przyszłe łaski. Milczała więc, a król powtórzył pełen udręczenia:

— Na balu w Operze?... Któż to powiedział?... Czy hrabia Prowansji wie o tym?...

— Ależ to nieprawda — zawołała królowa głosem doprowadzonej do rozpaczki niewinności. — To nieprawda, pan hrabia d'Artois, pan de Taverney się mylą. Myli się pan, panie de Charny. Zresztą — pomylić się można.

Skłonili się wszyscy.

— Dalej!... — krzyknęła królowa. — Sprowadzić tu ludzi moich, wybadać wszystkich... Wszak prawda, że ba ten był w sobotę?... Więc cóż ja robiłam w sobotę?... Niech mi kto powie, bo w głowie mi się mąci, doprawdy i jeżeli tak dalej będzie, gotowa jestem i ja uwierzyć temu, że byłam na tym ohydny balu. Wreszcie, panowie, powiedziałybyśmy gdyby tam była.

Naraz król postąpił parę kroków z okiem rozjaśnionym, wypogodzonym czołem, z wyciągniętymi rękoma.

— To było w sobotę?... — zapytał. — W sobotę, panowie?...

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— EL. — rzekł, uspokajając się coraz bardziej i coraz weselszy. — Po co tu badać innych, zapytać wypada tylko pokojową twoją, Marię. Przypomni sobie może, o której godzinie tego dnia

przyszedłem do ciebie. Zdaje mi się, że było to o jedenastej wieczorem.

— A!... — krzyknęła królowa, upojona radością. — Tak, Najjaśniejszy Panie!...

Rzuciła się w jego objęcia; następnie, spłoniona i zmieszana, czując spojrzenia wszystkich na sobie, ukryła twarz na piersiach króla, który z czułością całował jej piękne włosy.

— No... — odezwał się hrabia d'Artois, osłupiały ze zdziwienia i radości — kupuję sobie okulary, lecz, jak Boga kocham, sceny tej nie oddałbym za milion. Wszak prawda, panowie?

Filip stał oparty o ścianę, blady jak śmierć. Charny, zimny i niewzruszony, ocierał czoło zlane potem.

— Widzicie więc, panowie — odezwał się król, z zadowoleniem obserwując wrażenie, które sprawił — dlaczego niepodobieństwem jest, aby nocy tej królowa mogła być na balu w Operze. Uwierzcie temu, jeżeli wara się podoba; pewny jestem, że królowej wystarczy najzupełniej, iż ja jej wierzę.

— Ha! — dodał hrabia d'Artois. — Niech co chce myśli sobie o tym hrabia Prowansji, ale porywam jego żonę; niech dowiedzie w ten sposób swego alibi, kiedy posądzą ją, że spędziła noc poza domem.

— Bracie!

— Całuję twoje rączki, Najjaśniejsza Pani.

— Karolu, idę z tobą — rzekł król, raz jeszcze całując królowę.

Filip stał jak wryty.

— Panie de Taverney — surowo odezwała się królowa — czy nie towarzyszy pan hrabiemu d'Artois?

Filip wyprostował się nagle. Żyły wystąpiły mu na skroniach, oczy nabiegły krwią. O mało nie zemdlał. Ledwo zdobył się na to, aby uklonić się, spojrzeć na Andree, rzucić złowieszcze spojrzenie Charny'emu i zdławić nierozumny wyraz szalonej boleści. Wyszedł.

Postawiona między bratem a królową, między przyjaźnią a zazdrością, Andrea przeżywała męki. Czuła, że Filip serce by oddał, żeby przeszkodzić sam na sam królowej z panem de Charny i przyznawała się samej sobie, że chyba by pękło jej serce, gdyby spełniając swój obowiązek pobięła pocieszyć Filipa i pozostawiła u królowej Charny'ego z panią de la Motte. Byłoby to właściwie jeszcze gorzej, niż gdyby zostawiła go samego. Odgadywała to po mince hrabiny, skromnej a zarazem poufałej. Trudno wytłumaczyć, co odczuwała. Czy byłaby to miłość?

— Och, miłość — myślała. — Miłość nie rodzi się, nie rośnie tak szybko w zimnej uczuciowo atmosferze dworu. Ta rzadka roślina kwitnie w sercach szlachetnych, czystych, nie skalanych — nie zapanuje korzeni w sercu sprofanowanym wspomnieniami, na gruncie przesiąkniętym łzami. Nie, uczucie panny de Taverney do pana de Charny, to nie była jednak miłość. Usilnie odpychała od siebie tę myśl, przysięgła przecież nigdy nikogo nie kochać. Ale w takim razie, czemuż tak cierpiała, kiedy Charny wypowiadał słowa pełne czci i bezgranicznego przywiązania dla królowej? Czyżby była to zazdrość?

Tak, do tego uczucia przyznawała się przed sobą; nie była zazdrosna o miłość, którą mężczyzna mógł zapłonąć dla innej niż ona kobiety, lecz o kobietę, która zdolna była wzbudzić, przyjąć i usprawiedliwić taką miłość.

Patrzała z melancholią na przechodzących koło niej rozkochanych, pięknych amantów nowego dworu. Kawalerowie ci, dziarscy i ogniści, nie pojowali jej wcale i oddalali się złożywszy jej hold: jedni dlatego, że chłód jej nie był przejawem kokieterii, inni, ponieważ oziębłość ta pozostawała w dziwnej sprzeczności z płochą atmosferą, wśród której żyła Andrea.

A przy tym mężczyźni, uganiając się za łatwymi podbojami czy marząc o miłości, nie dowierzają chłodowi kobiety dwudziestokilkuletniej, pięknej, bogatej i obsypywanej faworami przez królowę, kobiety, co samotna i milcząca przechodzi po drodze, na której szczęściem

najwyższym jest budzenie dokoła siebie możliwie największej wrzawy.

Żyjąca zagadka nie ma w sobie powabu — Andrea wkrótce to spostrzegła. Zauważyła, że oczy prześlizgują się po niej obojętnie nie dostrzegając jej urody, a umysły nie doceniają lub wręcz nie wierzą w przymioty jej rozumu. Widziała więcej: omijanie jej stawało się nawykiem u dawnych znajomych, a instynktem nowych. Nie było już w zwyczaju zbliżać się do panny de Taverney, jak nie było w zwyczaju zbliżać się do Latony lub Diany, niedostępnych za fosą zielonkawej wody. Ktokolwiek pokłonił się pannie de Taverney, wykręcał się zaraz na pięcie i uśmiechał się do innej kobiety, ponieważ uważał, że obowiązek względem Andrei już spełnił. Wszystkie te subtelności nie uszły bystrych oczu dziewczyny. Ona, która doznała wszelkich goryczy, lecz ani jednej rozkoszy, ona, która szła przez lata z coraz dłuższym trenem bladej nudy i czarnych wspomnień, wzywała po cichu kogoś, kto by raczej karał niż przebaczał i w bolesnych bezsennych nocach, dokonując przeglądu rozkoszy przeznaczonych na żer szczęśliwych kochanków wersalskich, wzdychała z śmiertelną udreką.

— A ja, mój Boże, a ja?

Kiedy więc owego wieczoru spotkała Charny'ego, gdy ujrzała, że oczy młodzieńca zatrzymują się na niej z ciekawością i zwolna otaczają ją jak gdyby siecią sympatii, spostrzegła, że nie zachowuje on wobec niej owej dziwnej powściągliwości dworskiego otoczenia. Dla tego mężczyzny była więc kobietą. On przebudził jej młodość i naelektryzował ją życiem. Dzięki niemu marmur Diany i Latony zaróżowił się. Dlatego też panna de Taverney przywiązała się nagle do sprawcy jej odmłodzenia, odnowy jej sił witalnych, uszczęśliwiona patrzyła na młodzieńca, dla którego nie była zagadką. Dlatego tak srogie cierpienia sprawiała jej myśl, że inna kobieta mogłaby podciąć skrzydła jej rozpromienionej fantazji, przywłaszczyć sobie jej sny, które tylko co pojawiły się w złocistych podwojach, dlatego też nie poszła za bratem, chociaż odczuwała jego krzywdę i chociaż brat ten był dla niej bożyszczem, przedmiotem uwielbienia, nieomal kultu.

Panna de Taverney nie chcąc zostawić królowej sam na sam z panem de Charny, nie chciała jednak uczestniczyć w rozmowie po odprawie, jakiej doznał jej brat.

Usiadła w rogu kominka, na wpół odwrócona od grupy, którą tworzyli królowa, stojący obok lekko pochylony Charny i pani de la Motte, wyprostowana we framudze okna, gdzie udana jej nieśmiałość znalazła sobie schronienie, a rzeczywista ciekawość dogodny punkt obserwacyjny. Królowa milczała przez chwilę, nie wiedziała bowiem, jak nawiązać rozmowę po niedawnym drażliwym wyjaśnieniu.

Charny wydał się cierpiący, a postawa ta zjednywała mu królowę.

Nareszcie Maria Antonina przerwała milczenie i odpowiadając na myśl swoją i innych odezwała się nagle:

— To dowodzi, że nie brak nam nieprzyjaciół. Kto by uwierzył, że takie nikczemne rzeczy dzieją się na dworze francuskim, kto by uwierzył, nieprawdaż, panie?

Charny nie odpowiedział.

— Jakie to szczęście żyć na okręcie, na pełnym morzu, wśród swobodnych przestworów — zapalała się królowa. — Ty, panie de Charny, przeżyłeś wiele niebezpieczeństw, sztormy wściekłych fal i ogień angielskich kartaczy, i oto jesteś zdrow, silny, otoczony chwałą. Tak, niech będą błogosławieni wrogowie, którzy zsyłają na nas ogień i żelazo, którzy grożą nam tylko śmiercią.

— Ależ, mój Boże! — odrzekł Charny. — Dla Waszej Królewskiej Mości nie istnieją wrogowie, tak samo jak węże dla orła. Wszystko, co pełza po ziemi, nie może szkodzić tym, którzy wznoszą się ponad obłoki.

— Panie — żywo odpowiedziała królowa — wiem o tym, że powróciłeś z wojny zdrow i cały;

tak samo spośród burz morskich wyszedłeś zwycięski i uwielbiany, gdy tymczasem ci, których dobre imię wrogowie zbrukają oszczerstwem, ci, choć ich życiu co prawda niebezpieczeństwo nie grozi, po każdej takiej burzy tracą siły, przywykają do pochylania czoła z obawy, aby ich, tak jak dziś mnie, nie spotkała podwójna obelga ze strony przyjaciół i wrogów. Ach, gdybyś pan wiedział, jak to ciężko być znienawidzonym.

Andrea czekała z niepokojem na odpowiedź młodego człowieka, lękała się, żeby nie odpowiedział serdeczną pociechą, o którą zdawała się prosić królowa.

Lecz Charny milczał, otarł chustką czoło, szukając oparcia na poręczy fotela i pobladł okropnie.

Królowa widząc to, rzekła:

— Pan, przyzwyczajony do wichrów morskich, dusić się będziesz w atmosferze buduarów wersalskich.

— Nie to, pani — odrzekł Charny. — Ale o godzinie drugiej muszę być na służbie i jeżeli Wasza Królewska Mość nie rozkaże mi zostać...

— Ach, nie — odparła królowa. — Wiemy, co to jest rozkaz, nieprawda, Andreo?

Potem, zwracając się do Charny'ego z miną lekko urażoną, rzekła:

— Jesteś pan wolny, panie Charny.

I pożegnała młodego oficera skinieniem ręki. Charny złożył ukłon jak człowiek, któremu się śpieszy, i zniknął za kotarą. Po upływie kilku sekund usłyszano w przedpokoju coś w rodzaju jęku, następnie głosy kilku osób, nadbiegających z pośpiechem. Królowa znajdowała się blisko drzwi może przypadkowo, a może chciała spojrzeć jeszcze na oddalającego się oficera, którego nagłe odejście wydało jej się dziwne.

Uniosła tkaninę i z głośnym okrzykiem chciała rzucić się naprzód. Lecz Andrea, która nie spuszczała z niej oka, stanęła między królową i drzwiami.

— Najjaśniejsza Pani!

Królowa spojrzała na nią gniewnie i wyniośle, ale ona z mocą wytrzymała ten wzrok. Pani de la Motte wyciągnęła szyję. Między królową a Andrea był mały odstęp i przez ten odstęp mogła zobaczyć zemdlonego pana de Charny, któremu z pomocą nadbiegły służba i warta. Królowa, dostrzegłszy ruch pani de la Motte, z pośpiechem zamknęła drzwi. Za późno jednak, pani de la Motte już widziała.

Maria Antonina zamyślona, z czołem zmarszczonym, usiadła jak człowiek, który wpada w zadumę po głębokim wzruszeniu. Wydawało się, że nie dostrzega koło siebie istot żyjących. Andrea stała oparta o mur, niemniej zamyślona.

Zapanowała chwila milczenia.

— To dziwne! — niespodziewanie odezwała się królowa, a słowa te dreszczem przejęły jej towarzyszkę. — A jednak zdaje mi się, że pan de Charny wątpi jeszcze...

— O czym, pani? — zapytała Andrea.

— Ależ o bytności mojej w pałacu podczas owej nocy balowej.

— O, pani!

— Wszak prawda, hrabino, iż mam słusność — powiedziała królowa — że pan de Charny jeszcze powątpiewa.

— Po słowach króla, niemożliwe — powiedziała Andrea.

— Może myśli, że król przyszedł mi na pomoc na skutek miłości własnej. Nie, nie, on mi nie wierzy, to widać.

Andrea zagryzła wargi.

— Brat mój nie jest takim niedowiarkiem jak pan de Charny — rzekła. — Zdaje się, że jest zupełnie przekonany.

— O, byłoby to źle bardzo — kończyła królowa, nie słuchając odpowiedzi Andrei. — W takim razie młodzieniec ten nie miałby tak szlachetnego i czystego serca, jak myślałam.

Po czym klasnęła w dłonie:

— A jakże ma wierzyć — krzyknęła — jeżeli widział? Hrabia d'Artois, pan Filip widzieli także, tak mówią przynajmniej; wszyscy widzieli i trzeba było dopiero słowa królewskiego, aby uwierzono, a raczej udawano, że wierzą. O! Coś się w tym wszystkim kryje, coś, co ja muszę wyświecić, ponieważ nikt o tym nie myśli. Nieprawdaż, Andreo, że muszę koniecznie wyszukać i odkryć przyczynę tego wszystkiego?

— Wasza Królewska Mość ma słuszność, trzeba szukać, aż się znajdzie — odrzekła Andrea — i pewna jestem, że pani de la Motte podziela moje zdanie. Czy tak, pani?

Pani de la Motte, niespodziewanie zagadnięta, drgnęła i nie odpowiedziała.

— Bo przecie — rzekła królowa — mówią, że i u Mesmera mnie widziano.

— Tam Wasza Królewska Mość była — pośpieszyła wtrącić z uśmiechem pani de la Motte.

— Nie przeczę — odparła królowa — lecz nie robiłam tego, co napisano w pamflecie. Potem widziano mnie w Operze, a tam już wcale nie byłam.

Zastanowiła się chwilę, po czym nagle zawołała gwałtownie:

— Och, znalazłam prawdę.

— Prawdę? — wyjąkała hrabina.

— Niech przyjdzie tu pan de Crosne — przerwała królowa radośnie, zwracając się do wchodzącej pani de Misery.

XXXIX. PAN DE CROSNE

Pan de Crosne, który był człowiekiem o gładkich manierach, znalazł się w nie lada kłopotcie po wyjaśnieniach, jakie nastąpiły między parą królewską. Nie błahy to bowiem powód do turbacji poznać tajemnice kobiety, jeśli w dodatku kobietą ową jest królowa i gdy się ma obowiązek bronić jednocześnie godności korony i troszczyć o reputację.

Pan de Crosne czuł, iż będzie musiał wytrzymać cały ciężar gniewu i oburzenia władczyni, ale rezolutnie okopany za szańcem powinności i ufny, że pancierz jego towarzyskiej ogłady złagodzi pierwsze ciosy, wszedł spokojnie, z uśmiechem na ustach.

Królowa siedziała zachmurzona i poważna.

— Panie de Crosne — rzekła — teraz na nas kolej. Musimy sobie wyjaśnić pewne sprawy.

— Jestem na rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

— Powinieneś znać przyczynę tego, co mnie spotyka, panie naczelniku policji.

Pan de Crosne rozejrzał się nieufnie.

— Nie obawiaj się pan — ciągnęła królowa. — Znasz pan damy tu obecne; no, pan przecież znasz wszystkich!

— Prawie — odpowiedział urzędnik. — Znam osoby, znam okoliczności, lecz nie wiem, o czym Wasza Królewska Mość mówi

— Będę więc miała przykrość objaśnić pana — odrzekła królowa, niemile dotknięta spokojem naczelnika policji. — Mogłabym po cichu, na uboczu, jak to czynią inni, wtajemniczyć pana w moje przypuszczenia; lecz pragnę mówić jawnie. Otóż przypisuję wszystko, co mnie spotyka i na co się uskarżam, złemu prowadzeniu się jakiejś osoby, do mnie podobnej, która robi z siebie widowisko, a pan i jego agenci doszukujecie się wszędzie mnie.

— Podobieństwo do Waszej Królewskiej Mości! — zawołał pan de Crosne tak zaabsorbowany słowami królowej, że nie zwrócił uwagi na zmieszanie Joanny i okrzyk Andrei.

— Czy uważasz to za niepodobieństwo, panie naczelniku policji, a może wolisz przypuszczać, że się mylą lub pana oszukuję?

— Nie mówię tego, lecz jakiegokolwiek byłoby podobieństwo z Waszą Królewską Mością, musi być zawsze taka różnica, że oko wprawne się nie omyli.

— A jednak było inaczej, ponieważ się pomyłono.

— Ja mogę dać przykład takiego podobieństwa do Waszej Królewskiej Mości — przerwała Andrea.

— Tak!...

— Gdy mieszkaliśmy z ojcem w Taverney Maison-Rouge, mieliśmy służącą, która dziwnym trafem...

— Była do mnie podobna?

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

— Co się stało z tą dziewczyną?

— Nie znaleźmy jeszcze całej wielkości duszy Waszej Królewskiej Mości; ojciec mój obawiał się, że to podobieństwo będzie niemile Najjaśniejszej Pani i kiedy osiedliliśmy się, w Trianon, ukrywaliśmy dziewczynę przed oczami dworu.

— Słyszysz, panie de Crosne?... Aha! Zaczyna cię to zajmować!

— Bardzo, Najjaśniejsza Pani.

— Mów dalej, droga Andreo.

— Otóż dziewczynie tej, ambitnej i przewrotnej, sprzykrzyło się ukrywanie, zawarła jakąś

podejrzaną znajomość i pewnego wieczora, gdy wróciłam do siebie, nie zastałam jej w domu. Szukano wszędzie na próżno. Przepadła bez śladu.

— Pewnie cię w dodatku okradła, ten mój sobowtór?

— Nie, Najjaśniejsza Pani, nic takiego nie posiadałam, Joanna słuchała ze zrozumiałą uwagą.

— Nie wiedziałeś pan nic o tym, panie de Crosne? — zapytała królowa.

— Nie, pani.

— A więc istnieje kobieta uderzająco do mnie podobna. Wypadek tej doniosłości zdarza się w królestwie i jest powodem zakłóceń ładu, a pan nie wiesz o tym pierwszy? Przyznajmy się, panie, policja bardzo źle działa.

— Przysięgam, że tak nie jest. Wolno gminowi porównywać władzę naczelnika policji z mocą boską, lecz Wasza Królewska Mość, tak wysoko postawiona, pojmuje doskonale, iż urzędnicy królewscy są tylko ludźmi. Nie kieruję wcale wypadkami, a zdarzają się tak nadzwyczajne, przechodzące pojęcie ludzkie...

— Mój panie, jeżeli człowiek otrzymuje władzę przenikania nieledwie myśli swoich bliźnich, jeżeli opłaca szpiegów, a ci mogą nawet opisać ruchy moje przed lustrem i jeżeli człowiek ten nie jest panem wypadków...

— Wtedy, gdy Najjaśniejsza Pani spędziła noc poza obrębem swych apartamentów, wiedziałem o tym. Policja moja była dobra — wszak prawda? Dnia tego Wasza Królewska Mość odwiedziła damę, którą znajduję obecnie tutaj. Gdy Wasza Królewska Mość ukazała się na zebraniu u Mesmera, wiedziałem także, agenci moi poznali ją od razu. Na balu w Operze tak samo...

Królowa podniosła głowę gwałtownie.

— Błagam o pozwolenie dokończenia. Mówię to samo, co książę d'Artois. Jeżeli szwagier mógł się pomylić, cóż winien agent? Czyż policja nie okazała się dobrze powiadomiona o aferze dziennikarza Réteau, który dostał taką chłostę od pana de Charny?

— Od pana de Charny? — zawołały razem Andrea i królowa.

— Zdarzenie to niedawne, a na grzbiecie gazeciarza są ślady kija jeszcze świeże. Podobne awantury były rozkoszą pana de Sartines, mego poprzednika, gdy je tak dowcipnie opowiadał nieboszczykowi królowa lub jego faworycie.

— Pan de Charny miał do czynienia z tym nędznikiem?

— Dowiedziałem się o tym od policji, tak potępionej przez Waszą Królewską Mość. Nie można też policji odmówić pewnej inteligencji, skoro odkryła i pojedynek, który potem nastąpił

— Jak to! Pan de Charny bił się?! — zawołała królowa.

— Z dziennikarzem? — spytała Andrea.

— O, nie. Dziennikarz zbity przez pana de Charny nie byłby zdołał zadać takiego ciosu szpadą, po którym pan de Charny aż zemdlął w przedpokoju Waszej Królewskiej Mości.

— Ranny! On jest ranny! — zawołała królowa. — Ale gdzie? Kiedy? Chyba mylisz się, panie de Crosne.

— Och, Najjaśniejsza Pani często mi to zarzuca, lecz dzisiaj musi przyznać...

— Przecież był tutaj przed chwilą.

— Wiem o tym.

— O! — rzekła Andrea. — Ja od razu spostrzegłam, że cierpi. Wypowiedziała te słowa głosem, w którym królowa wyczuła wrogość, spojrzała też na nią ostro, lecz Andrea wytrzymała jej wzrok.

— Co, pani, mówisz? Widziałeś, że pan de Charny cierpi i nie odezwałaś się ani słowem?

Andrea milczała. Joanna chcąc ją sobie zjednać, pośpieszyła na pomoc.

— Ja też — powiedziała — zauważyłam, że pan de Charny ślaniał się na nogach, gdy Wasza

Królewska Mość raczyła z nim rozmawiać.

— Tak jest, słaniał się — dorzuciła Andrea, nie zaszczycając nawet spojrzeniem pani de la Motte.

Pan de Crosne, ten, którego badano, przyglądał się do woli kobietom, które, prócz Joanny, nie przypuszczały, iż zdradzają się przed naczelnikiem policji.

Na koniec królowa odezwała się:

— Z kim i o co pojedynkował się pan de Charny? Andrea uspokoiła się.

— Z szlachcicem, który... Lecz, na Boga, nie potrzebuję wymieniać! Przeciwnicy są obecnie najzupełniej pogodzeni, ponieważ przed chwilą rozmawiali ze sobą w obecności Waszej Królewskiej Mości.

— Tu?... W mojej obecności?

— Tu, w tym miejscu... skąd zwycięzca wyszedł pierwszy przed dwudziestu minutami.

— Pan de Taverney! — zawołała królowa z błyskiem gniewu w oczach.

— Mój brat — szepnęła Andrea, wyrzucając sobie egoizm, na skutek którego nic nie pojmowała.

— Tak jest, rzeczywiście — odrzekł de Crosne. — Pan Filip de Taverney bił się z panem de Charny.

Królowa klasnęła w ręce, co było u niej dowodem gniewu.

— To właściwie... nieprzyzwoicie — powiedziała. — Jak to?... Zwyczaje amerykańskie stosować w Wersalu? O, na to nie pozwolę.

Andrea i pan de Crosne pospuszczali głowy.

— Ponieważ ktoś uganiał się wspólnie z panami Lafayette i Washington — mówiła z ironią — dwór mój ma zmienić się, w szranki szesnastego wieku. O nie! Nic z tego nie będzie!... Andreo, powinnaś była wiedzieć o pojedynku brata!

— Dowiedziałam się w tej chwili — odpowiedziała Andrea. — O co się bił?

— Moglibyśmy zapytać pana de Charny, który się z nim pojedynkował — rzekła Andrea, błada, z błyszczącymi oczyma.

— Nie pytam, co zrobił pan de Charny — rzekła królowa wyniośle — pytam o pana Filipa de Taverney.

— Jeżeli brat mój bił się — powiedziała Andrea akcentując każde słowo — nie mogło być to przeciw służbom Waszej Królewskiej Mości.

— To znaczy, że pan de Charny nie walczył w mojej służbie?

— Mam zaszczyt zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości, że mówię jedynie o moim bracie, o nikim innym.

Maria Antonina zachowała spokój, lecz musiała wyteńczyć wszystkie siły.

— Dziękuję, panie de Crosne — rzekła. — Przekonałeś mnie, że policja spełnia swój obowiązek, tylko ja miałam głowę zapróżoną donosami, podejrzeniami, domysłami. Pomyśl, proszę, o podobieństwie, o którym mówiłam. Żegnam.

Podala mu rękę z takim wdziękiem, że odszedł uszczęśliwiony za dwóch, a naładowany wiadomościami za dziesięciu.

Andrea czuła, że słowo „żegnam” stosuje się i do niej, oddała więc ceremonialny ukłon. Królowa skinęła jej głową obojętnie, bez śladów urazy.

Joanna skłoniła się jak przed ołtarzem i zabierała się także do wyjścia.

Pani Misery ukazała się we drzwiach i rzekła do królowej:

— Podobno Wasza Królewska Mość rozkazała przyjść panom Boehmer i Bossange?

— A, prawda, moja dobra Misery, prawda. Niech wejdą. Zostań, pani de la Motte, pragnę pogodzić króla z panią.

Królowa, mówiąc to, starała się w lustrze dojrzeć wyraz twarzy Andrei, która wolno i z powagą opuszczała gabinet; chciała może obudzić w niej zazdrość, faworyzując Joannę.

Andrea znikła za portierą, nie drgnęła ani nie zmarszczyła brwi.

— Stal, ze stali są ci Tavemeyowie — szepnęła królowa z westchnieniem... — Ze stali, lecz i ze złota...

— Dzień dobry, panowie jubilerzy, co przynosicie mi nowego? Wiecie dobrze, że nie mam pieniędzy.

XL. KUSICIELKA

Pani de la Motte wróciła na miejsce i stojąc skromnie, bacznie słuchała, co mówią.

Panowie Boehmer i Bossange, uroczyście wystrojeni, zbliżyli się kłaniając nieustannie, aż do fotela, na którym siedziała Maria Antonina.

— Przyszliście, panowie, zapewne, aby mi opowiadać znów o jakich klejnotach. Żle bardzo trafiliście...

Pan Boehmer zabrał głos, był to orator firmy.

— Najjaśniejsza Pani, nie przychodzimy nic oferować, nie chcieliśmy być natrętni.

— O! — odrzekła królowa. — Obejrzyć klejnoty, nie znaczy jeszcze, aby zaraz je kupić!

— Rozumiemy to, Najjaśniejsza Pani — ciągnął Boehmer szukając przez chwilę zagubionego wątku zdania — lecz przychodzimy obecnie dla spełnienia obowiązku i to nas ośmiela.

— Obowiązku... jakiego? — zapytała królowa zdziwiona.

— Idzie tu jeszcze o ten piękny naszyjnik diamentowy, którego Wasza Królewska Mość nie raczyła nabyć.

— A! O naszyjnik... Znów więc powracamy do niego! — zawołała Maria Antonina ze śmiechem.

Boehmer milczał poważny.

— Rzeczywiście, bardzo był piękny — ciągnęła królowa.

— Tak piękny — powiedział Bossange — ii tylko Wasza Królewska Mość godna go nosić.

— Pociesza mnie to jedynie — odrzekła Maria Antonina z lekkim westchnieniem, które jednak nie uszło uwagi pani de la Motte — że wart jest... półtora miliona, wszak prawda, panie Boehmer?

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

— I że w tych pięknych czasach, w których żyjemy, kiedy serca ludów ostygły jak słońca boże, nie znajdzie się monarcha, który mógłby kupić naszyjnik za półtora miliona liwrow.

— Półtora miliona liwrow — powtórzyła jak wierne echo pani de la Motte.

— A zatem, panowie, czego nie mogłam i nie powinnam kupić, tego nikt inny mieć nie będzie... Powiecie mi, że i pojedyncze sztuki są piękne... Prawda, lecz nie będę zazdrościć nikomu posiadania kilku diamentów, mogłabym zazdrościć jedynie... sześćdziesięciu.

Królowa zatarła ręce z ukontentowania, iż może podrażnić trochę jubilerów.

— Wasza Królewska Mość jest w błędzie — powiedział Boehmer. — Zaraz się to pokaże, gdy opowiemy, w jakim celu przybyliśmy. Naszyjnik został sprzedany!

— Sprzedany? — poruszyła się królowa.

— Sprzedany — powiedziała pani de la Motte, którą ruch jej protektorki nastroił podejrzliwie co do domniemanej obojętności.

— Kto go kupił? — zapytała królowa.

— O, Najjaśniejsza Pani, to tajemnica stanu!

— Tajemnica stanu! — zaśmiała się Maria Antonina. — Znamy się na tym. Strzeż się, panie Boehmer, jak mi nie powiesz, każę panu de Crosne ukraść ci twoją tajemnicę.

I raz jeszcze roześmiała się szczerze, demonstrując swoje zdanie o rzekomym sekrecie, który nie pozwalał jubilerom wymienić nazwiska nabywcy.

— Z Waszą Królewską Mością nie ośmieliłbym się postępować jak z innymi klientami. Przyszliśmy oznajmić, że naszyjnik sprzedany i tak jest rzeczywiście. Zmuszeni jesteśmy zamilczeć imię nabywcy, gdyż istotnie kupno nastąpiło w sekrecie. Przyjechał incognito pewien

ambasador.

Królowa usłyszawszy o ambasadorze, śmiać się zaczęła na nowo.

Zwróciła się do pani de la Motte, mówiąc:

— Wybomy ten Boehmer, bo nawet sam zdaje się wierzyć w to, co mówi No, Boehmer, proszę choć o nazwę kraju, z którego ambasador przybył... Nie, to za wiele — dodała wesoło — : pierwszą literę... nie więcej...

— Jest to Jego Ekscelencja Ambasador Portugalii — powiedział Boehmer, głos zniżając, jakby pragnął, ażeby pani de la Motte nie słyszała.

Królowa przestała się śmiać.

— Ambasador Portugalii? — powiedziała. — Przecież nie ma go tu wcale, panie Boehmer.

— Przybył umyślnie, Najjaśniejsza Pani.

— Do panów... incognito?

— Tak.

— Któż to taki?

— Pan de Souza.

Królowa nie odpowiedziała. Pokiwała głową, potem jakby pogodzona z tym, co zaszło, rzekła:

— Winszuję Jej Królewsko Portugalskiej Mości, diamenty rzeczywiście są przepyszne. Nie mówmy o tym więcej.

— Przeciwnie, Wasza Królewska Mość raczy pozwolić mi...

— Pozwoli nam mówić — przerwał Boehmer, spoglądając na współnika.

Bossange skłonił się.

— Czy zna pani te diamenty, hrabino? — zawołała królowa, zwracając się do Joanny.

— Nie, Najjaśniejsza Pani.

— Bardzo są piękne!... Szkoda, że panowie nie przynieśli ich...

— Oto są — rzekł Bossange skwapliwie.

I wyjął z kapelusza, który trzymał pod pachą, płaskie pudełeczko.

— Zobacz, hrabino, zobacz, jesteś kobietą, to cię zajmie — rzekła królowa.

Odsunęła się od stoliczka, na którym Boehmer rozłożył naszyjnik, tak aby światło, padające na kamienie, wydobyło silniejszy jeszcze blask.

— Przepyszne!... Cudowne!... — wołała Joanna w najwyższym uniesieniu.

— Półtora miliona, które zmieściłyby się na dłoni — odparła królowa z wymuszoną flegmą filozoficzną, jaką by jeden pan Rousseau z Genewy okazał w podobnych okolicznościach.

Lecz Joanna widziała zupełnie co innego w tej obojętności i nie traciła nadziei przekonania królowej, więc po długim oglądaniu rzekła:

— Panowie mieli słuszość — tylko jedna królowa godna jest nosić ten naszyjnik, a tą królową jest Wasza Królewska Mość.

— Pomimo to Moja Królewska Mość nosić go nie będzie — — odparła Maria Antonina.

— Nie byliśmy zdolni wysłać go za granice Francji, aby wprzód nie wyrazić u stóp Waszej Królewskiej Mości żalu naszego z tego powodu. Jest to klejnot, który zna teraz cała Europa i o który toczy się spór. Jeżeli z powodu odmowy królowej Francji którakolwiek inna monarchini ozdobi się nim, nasza duma narodowa wtedy tylko zgodzi się na to, gdy Wasza Królewska Mość ostatecznie i nieodwołalnie odmówi.

— Raz już odmówiłam — odpowiedziała królowa — i odmowa moja jest znana opinii publicznej. Zanadto mnie chwalono, abym tego żałowała.

— O, pani! — powiedział Boehmer. — Jeżeli lud uważał za wzniosłe, że Wasza Królewska Mość wołała okręt od naszyjnika, to szlachta, która tak samo jest francuska, nie zdziwiłaby się, gdyby królowa Francji kupiła naszyjnik, kupiwszy wpierw okręt.

— Nie mówmy więcej o tym — rzekła Maria Antonina, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na klejnoty.

Joanna westchnęła, aby wspomóc westchnienie królowej.

— Wzdychasz, hrabino!... Gdybyś była na moim miejscu, tak samo byś postąpiła.

— Nie wiem — szepnęła Joanna.

— Czy się już napatrzyłaś do syta?... — rzekła królowa.

— Patrzyłabym bez końca, Najjaśniejsza Pani

— Pozwólcie, panowie, nacieszyć się tej ciekawskiej. Diamentom to nic nie zaszkodzi, zawsze, niestety, warte będą półtora miliona.

Słowa te dały wiele do myślenia hrabinie. Królowa żałuje, a więc miała chęć na naszyjnik, czyli ma jeszcze, skoro chęć ta nie została zaspokojona. Taka była logika Joanny.

— Półtora miliona — odezwała się — na szyi twojej, Najjaśniejsza Pani, przyprawiłoby o zazdrość śmiertelną wszystkie kobiety, gdyby nawet były to Kleopatry lub Wenery.

I wyjąwszy szybko z pudełka naszyjnik, zapięła go zrećznie i niespodzianie na aksamitnej szyi Marii Antoniny, tak że ta została w mgnieniu oka oblana fosforycznym blaskiem mieniących się kolorów.

— Och, jak Waszej Królewskiej Mości do twarzy! Maria Antonina zbliżyła się do lustra:

Szyja jej delikatna i kształtna jak u Joanny Gray, ta szyja smukła jak łodyga lilii, jak kwiat Wergilego — ta, która miała spaść pod nożem gilotyny, wyłaniała się spod złotej korony loków i tęczy światła.

Joanna ośmieliła się odsłonić ramiona królowej, dolny rząd naszyjnika spadł na jej alabastrową pierś. Królowa była wspaniała, promieniejąca. Kochankowie i poddani, wszyscy padliby na kolana. Maria Antonina zapomniała się do tego stopnia, że podziwiała sama siebie.

Potem, jakby opanowana grozą, chciała zrzucić naszyjnik z ramion.

— Dość!... — zawołała. — Dość tego!...

— Spoczywał na szyi Waszej Królewskiej Mości — wykrzyknął Boehmer — nie może już należeć do nikogo!...

— Nie podobna — odparła królowa stanowczo. — Mogę pobawić się klejnotami, lecz przedłużać tę grę byłoby grzechem.

— Wasza Królewska Mość ma dość czasu do namysłu — wtrącił Boehmer — przyjdziemy jutro.

— Czy zaraz, czy potem zapłacić trzeba. Dlaczego macie czekać?... Potrzebujecie pieniędzy, a płacą wam zapewne dobrze...

— Tak, Najjaśniejsza Pani — odparł Boehmer, w którym ocknął się kupiec.

— Bierzcie, bierzcie... — zawołała królowa. — Schowajcie diamenty do pudełka!... Prędko!... Prędko!...

— Wasza Królewska Mość zapomina może, że klejnoty podobne, to gotówka i że sto lat naszyjnik tę samą posiadać będzie wartość

— Daj mi, hrabino, półtora miliona — odparła królowa z uśmiechem wymuszonym — a zobaczymy...

— O!... Gdybym je miała!... — zawołała Joanna. — Gdybym miała...

Zamilkła. Długie zdania nie zawsze dorównują przemilczeniu.

Boehmer i Bossange przez kwadrans chowali diamenty; królowa nie obejrzała się nawet.

Widać było po jej pozornej obojętności, po milczeniu, że wrażenie było silne a walka ciężka. Jak zawsze w chwilach depresji, wzięła książkę i przerzucała kartki, nie czytając.

Jubilerzy prosili o zwolnienie, mówiąc:

— A zatem Wasza Królewska Mość odmawia stanowczo?...

— Tak... stanowczo! — odparła Maria Antonina i westchnęła tym razem już otwarcie.

Joanna zauważyła, że stopa królowej drży nad aksamitną poduszką.

— Cierpi — pomyślała.

Nagle królowa wstała, przeszła się po pokoju i zatrzymując się przed Joanną powiedziała ostro:

— Hrabino, zdaje się, że król nie przyjdzie. Odłóżmy na drugi raz naszą prośbę.

Joanna złożyła ukłon i cofała się ku drzwiom.

— Nie zapomnę o pani — dodała królowa z dobrocią. Joanna ucałowała gorąco rękę królowej i wyszła nareszcie zostawiając ją we władzy smutku i oszołomienia.

— Bezsilność i pożądanie — myślała Joanna. — I ona jest królową!... O... nie! Ona jest kobietą.

XLI. AMBICJA POD MASKĄ MIŁOŚCI

Joanna była także kobietą... nie będąc królową.

Tak więc zaledwie znalazła się w powozie, zaczęła porównywać ten piękny pałac w Wersalu i bogate, wspaniałe umeblowanie ze swoim piętrem przy ulicy Saint-Gilles, i wygalowaną służbę królowej ze swoją starą służącą. Natychmiast jednak skromne poddasze i stara sługa rozplynęły się w cieniach przeszłości, jak owe przykre widziadła, które, wydaje się, nigdy nie istniały, a natomiast pojawił się w myśli jej mały pałacyk na przedmieściu św. Antoniego, elegancki, miły, wygodny, ze służbą nie tak świetną jak w Wersalu, lecz równie pełną uszanowania i posłuszną na każde skinienie.

Ten pałacyk i lokaje to był jej Wersal; była tu niemniej królową niż Maria Antonina, a jej życzenia — byle były w miarę rozsądne — ledwie objawione, równie szybko i dokładnie spełniano, jak gdyby władała berłem. Toteż rozpogodzona, z uśmiechem na ustach powróciła do siebie. Nie było jeszcze późno, usiadła zatem przy biurku, napisała bilecik, wsunęła w kopertę wytworną i pachnącą, zaadresowała i zadzwoniła.

Niemal natychmiast na progu ukazał się lokaj.

— Mam słuszość — pomyślała. — Królowa nie jest lepiej obsłużona.

Wyciągnęła rękę:

— List do Jego Eminencji kardynała de Rohan — powiedziała.

Służący wziął list i wyszedł nie rzekłszy ani słowa, z owym milczącym posłuszeństwem służby dobrego domu. Nie upłynęło pięć minut, gdy zapukano do drzwi.

— Proszę wejść — powiedziała pani de la Motte. Ukazał się ten sam lokaj.

— Co to znaczy? — zapytała Joanna, rozgniewana, że rozkazu jej nie wypełniono.

— W chwili, gdy wychodziłem z poleceniem pani hrabiny — odpowiedział sługa — Jego Eminencja zajechał przed pałac. Oznajmiłem, że idę do niego. Wtedy wziął list pani hrabiny, przeczytał, wyskoczył z powozu, wszedł i kazał się meldować.

— Jego Eminencja czeka i prosi, żeby pani raczyła go przyjąć.

Lekki uśmiech ukazał się na ustach hrabiny; namyśliła się w parę sekund, potem rzekła z widocznym zadowoleniem:

— Prosić.

Czy chciała dogodzić ambicji, każąc czekać w przedpokoju księciu kościoła, czy może potrzebowała ułożyć plan jakiś?

Księżę wszedł do buduaru.

Wracając do siebie i prosząc kardynała o przybycie pani de la Motte ułożyła sobie rzeczywiście pewien plan. Fantazja królowej, podobna do błędnych ogników oświetlających pole dla ponurych wydarzeń, fantazja kobiety pięknej odsłoniła intrygantce tajemnice duszy zamkniętej w sobie, a zbyt wyniosłej, żeby zachowywać stale środki ostrożności.

Joanna czuła zawrót głowy na wspomnienie półtora miliona liwrow w diamentach, złożonych na białym atłasie pudełka. Półtora miliona! Czyż to nie księżęca fortuna, zwłaszcza dla żebraczki, wyciągającej niedawno rękę po jałmużnę? Zaiste większa przestrzeń dzieliła Joannę Valois z ulicy Saint-Gilles od Joanny de Valois z przedmieścia św. Antoniego, niż obecną Joannę od Joanny posiadaczki naszyjnika.

Przebyła już połowę drogi prowadzącej do bogactw i zaszczytów! A to, czego pragnęła, nie było mrzonką, jak słowo kontraktu, jak posiadłość ziemska, rzeczy bez wątplenia ważne, ale wymagające czujności umysłu i oczu... Nie... naszyjnik ten znaczył więcej, był majątkiem

widocznym, dotykalmym! A ponieważ królowa potrafiła się go wyrzec, pani de la Motte mogła do niego ograniczyć swoje ambicje.

Błyszczał jej nieustannie przed oczami, jak pokusa pałaca; królowa pragnęła go posiadać, zatem Joanna z Walezjuszków miała także prawo o nim marzyć.

Kardynał, który powinien był urzeczywistnić te rojenia, przerwał je i sam jakby odpowiadając chęciom tajemnym stanął przed panią de la Motte. Och, i on marzył, miał swoje ambicje, które ukrywał pod maską umizgów, pod pozorem miłości.

— Nareszcie widzę panią, najdroższa Joanno! — zawołał. — Tak potrzebną mi stałaś się, tak nieodzowną, iż cały dzień zachmurzył się przed moimi oczyma na myśl, że jesteś daleko. Czy przynajmniej szczęśliwie powróciłaś z Wersalu?

— Jak pan widzisz, książe.

— I zadowolona?

— Zachwycona.

— Więc królowa cię przyjęła?

— Prawie trzy godziny spędziłam w gabinecie Jej Królewskiej Mości.

Kardynał drgnął i ledwo powstrzymał się od okrzyku.

— Istotnie jesteś czarodziejką, nikt ci się oprzeć nie zdoła...

— Oho! Przesadzasz, mości książe.

— Prawdą tylko mówię. Przez trzy godziny zatem obcowałeś pani z królową?

Joanna skinęła głową potakująco.

— Trzy godziny! — powtórzył kardynał. — Ileż to rzeczy kobieta rozumna przez ten czas powiedzieć może!

— Bądź pan pewny, iż nie straciłam czasu na próżno.

— Pewny jestem, żeś przez te trzy godziny ani razu o mnie nie pomyślała!

— Niewdzięczny!

— Doprawdy? — zawołał kardynał.

— Nawet bardziej niż myślałam...

— Czy być może?

— Mówiłam o panu.

— Mówiłaś o mnie, a z kim? — zapytał książe z biciem serca i głosem, którego wzruszenia nie mógł poskromić przy całym swoim opanowaniu.

— Z kimże, jeżeli nie z królową.

I mówiąc tak cenne dla kardynała słowa, Joanna nie patrzyła nawet na niego, jakby jej nie obchodziły wrażenia, które wywoływała.

— Ach, opowiedz, hrabino — rzekł z przejęciem. — Doprawdy tak mię interesuje, co panią spotkało, że nie opuszczaj żadnego szczegółu.

Joanna uśmiechnęła się, wiedziała równie dobrze jak on sam, co interesuje kardynała.

Ale ponieważ opowieść tę ułożyła sobie zawczasu, ponieważ opowiedziałaby ją nawet gdyby nie prosił, zaczęła powoli, każąc z siebie wyciągać sylabę po sylabie, odtwarzać skrupulatnie całą rozmowę, podkreślając szczególnie zbieg okoliczności, który z osoby zupełnie obcej przemienił ją w przyjaciółkę niemal niezbędną. Istotnie w ciągu jednego dnia Joanna de la Motte wtajemniczona została we wszystkie troski królowej, w całą bezsilność władzy.

Kardynał udawał, iż zajmuje go jedynie to, co królowa mówiła o Joannie. Joanna kładła główny nacisk na to, co królowa powiedziała na temat żywo interesujący kardynała.

Zaledwie skończyła sprawozdanie, tenże sam lokaj oznajmił, iż podano kolację.

Joanna dała zapraszający znak oczyma, kardynał przyjął zaproszenie skinieniem głowy. Podał rękę pani domu, która przywykła tak prędko do swej roli i przeszli do sali jadalnej. Po kolacji,

przy której czarodziejka powtarzając po dwadzieścia razy fragmenty opowieści upoiła go nadzieją, kardynał zrozumiał wreszcie, że liczyć się musi z tą kobietą, umiejącą rządzić sercami władców. Zauważył z przestрахem, że Joanna zamiast drożyć się jak każda kobieta, o którą ubiegamy się i której potrzebujemy, uprzedza życzenie swego rozmówcy z wdziękiem jakże dalekim od drapieżnej dumy okazywanej poprzednio na tym samym miejscu. Joanna czyniła honory domu nie tylko jak kobieta panująca nad sobą, ale jak istota świadoma swej władzy nad innymi. Czyż nie obcowała przez cały dzień z kwiatem szlachty francuskiej, czyż królowa, ta niezrównana królowa, nie nazywała ją kochaną hrabiną?

Toteż kardynał sam górujący nad innymi nie próbował nawet opierać się tej przewadze.

— Hrabino — rzekł biorąc ją za rękę — są w tobie dwie kobiety.

— Co to znaczy? — spytała Joanna.

— Jedna wczorajsza, a druga dzisiejsza...

— I którąż woli Wasza Eminencja?

— Nie wiem jeszcze, wiem tylko, że dzisiejsza jest Armidą, Circeą, kimś, komu oprzeć się nie podobna...

— I nie chciałbyś nawet, Wasza Dostojność, jak spodziewam się, chociaż jesteś księciem.

Książę zsunął się z krzesła i padł na kolana przed panią de la Motte.

— Błagasz pan o jałmużnę?

— Tak, czekam na nią...

— Dziś jest dzień łaski — odpowiedziała Joanna. — Hrabina de Valois odzyskała stanowisko, przyjęta została u dworu, niedługo stanie w rzędzie najdumniejszych kobiet Wersalu, może więc podać rękę, komu jej się spodoba.

— Choćby to był książę? — zapytał de Rohan.

— Choćby nawet kardynał — odpowiedziała Joanna. Kardynał wycisnął długi i gorący pocałunek na małej rączce i odpowiedział porozumiewawczo wzrokiem na jej zachęcające spojrzenie, po czym wyszedł do przedpokoju i szepnął parę słów do forysia.

Za parę minut usłyszano turkot oddalającego się powozu.

Hrabina podniosła głowę.

— Na honor, hrabino — powiedział kardynał — spaliłem za sobą okręty.

— Niewielka zasługa — odpowiedziała Joanna — ponieważ znajdujesz się pan w porcie...

XLII. PRAWDA UKAZUJE SIĘ SPOD MASKI

Nie kończące się pogawędki są szczęśliwym przywilejem ludzi, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia. Po szczęściu milczenia lub pożądania, największym bezsprzecznie jest możliwość wypowiedzenia się bez słów.

W dwie godziny po odesłaniu karety, kardynał hrabina znaleźli się w podobnym położeniu. Hrabina uległa, kardynał zwyciężył, a jednak on został niewolnikiem, ona triumfátorem. Mężczyźni oszukują się wzajemnie ściskając sobie kordialnie dłonie; mężczyzna i kobieta oszukują się — całując.

Ale tu nie było oszustwa, ponieważ akceptowali je oboje. Oboje mieli swój cel. A realizacja jego wymagała intymniejszego zbliżenia. Oboje byli więc zadowoleni i kardynał nie starał się nawet ukryć niecierpliwości. Po kilku okrągłych zdaniach znowu skierował zřęcznie rozmowę na sprawy dworu i zaszczyty, jakie oczekują w przyszłości nową faworytę królowej.

— Królowa jest wielkoduszna — mówił — i nie targuje się ze swym sercem, gdy kogoś pokocha. Posiada tę wielką sztukę dawania odrobiny wszystkim, a wszystkiego odrobinie przyjaciół.

— Sądziś więc pan, że jest bogata? — zapytała pani de la Motte.

— To, czego pragnie, potrafi zdobyć słówkiem, uśmiechem, gestem... Żaden minister, z wyjątkiem może pana Turgot, nie odważyłby się odmówić żądaniu królowej.

— A mnie się zdaje — rzekła pani de la Motte — że nie jest tak bogata, jak pan sądziś: biedna królowa, raczej biedna kobieta — na ileż musi zdobyć się wyrzeczeń.

— Jak to rozumiesz, pani?

— Ależ, mój Boże, opowiem panu ni mniej, ni więcej, tylko to, co widziałam.

— Mów, mów, słucham cię...

— Wyobraź sobie pan, jak straszne znosi męczarnie.

— Męczarnie? Jakie męczarnie?

— Drogi książę, czy pan wiesz, co to jest dla kobiety niezaspokojona chęćka? Otóż królowa ma jedną, której zaspokoić nie może.

— Na kogo ma chęćkę?

— Nie na kogo, tylko na co...

— Niech i tak będzie. A więc na co?

— Na diamentowy naszyjnik.

— Aha! Już wiem. Mówisz zapewne o diamentach Boehmera i Bossange'a.

— Tak, właśnie.

— Och, to stara historia, hrabino.

— Stara czy nowa, to prawdziwa rozpacz, żeby królowa nie mogła kupić tego, co miała posiadać zwykła faworyta. Gdyby król Ludwik XV żył dwa tygodnie dłużej, Joanna Vaubernier byłaby właścicielką naszyjnika, którego nie może mieć Maria Antonina.

— Mylisz się, kochana hrabino, królowa mogła go mieć, nie chciała jednak, kilkakrotnie odmawiała przyjęcia.

— O?

— Wierz mi, hrabino; sam król jej proponował i nie przyjął.

Kardynał opowiedział historię z okrętem, Joanna słuchała pilnie, a gdy skończył, zapytała lakonicznie:

— Czegóż to dowodzi?

— Że go wcale nie pragnie.

Joanna wzruszyła ramionami.

— Znasz, książę, kobiety, znasz dwory królewskie i monarchów i wierzysz w podobne frazesy?

— Ba! Przecież podaję fakty...

— Kochany książę, dowodzi to, że królowa pragnęła zabłysnąć szlachetnością; zdobyć popularność. I tak się stało.

— Oto jak pani szacujesz cnoty królewskie. Co za sceptycyzm. A przecież święty Tomasz uwierzył.

— Sceptyk czy apologeta, a ja nadal twierdzę, że królowa rezygnując z naszyjnika już była opętana szaleńczą żądzą posiadania.

— Obstawę przy swoim, moja droga, a wierzaj mi, że królowa pomimo wad swoich, ma jedną wielką zaletę.

— Jaka?

— Bezinteresowność. Ona nie ceni złota, srebra ani drogich kamieni. Zna wartość klejnotów, lecz ładny kwiat przy staniku wart dla niej tyle, ile brylant w uchu.

— Nie przeczę, ale podtrzymuję swoje zdanie: obecnie ma wielką ochotę zawiesić diamenty na szyi.

— A potrafisz to, hrabino, udowodnić?

— Nic łatwiejszego, wszak oglądałam naszyjnik.

— Ty, hrabino?

— Ja sama; nie tylko widziałam, lecz miałam go w ręku.

— I gdzież to było?

— Jak to gdzie? W Wersalu.

— W Wersalu?

— Tak, przynieśli go jubilerzy, aby ostatecznie skusić królowę.

— Czy jest rzeczywiście tak piękny?

— Cudowny!

— Zatem, jako prawdziwa kobieta, uważasz, że można o tym naszyjniku rozmyślać?

— Uważam, że można stracić sen i apetyt.

— Jaka szkoda, że nie mogę ofiarować królowi fregaty!...

— Fregaty?... Co znowu?...

— Dałby mi w zamian naszyjnik, a gdybym go posiadał, mogłabyś spać i jeść spokojnie.

— Żartujesz pan...

— Przysięgam, że mówię serio...

— Zdziwisz się pan, kiedy powiem...

— Słucham.

— Nie chciałabym tego naszyjnika.

— Tym lepiej... hrabino, bo nie mógłbym ci go dać.

— Niestety!... Ani pan, ani nikt inny; czuje to i królowa, i dlatego właśnie go pragnie.

— Powtarzam ci, że król chciał go jej podarować. Joanna poruszyła się niecierpliwie.

— A ja powiadam, że kobiety lubią przede wszystkim podarunki od tych, którzy nie zmuszają do przyjęcia...

Kardynał spojrział uważniej na Joannę.

— Nie rozumiem — odrzekł.

— A więc dajmy temu spokój. Nie ma sensu, książę, zaprzętać sobie głowę tym naszyjnikiem, skoro go nabyć nie możemy...

— O!... Gdybym był królem, a pani królową, zmusiłbym cię do przyjęcia go.

— Otóż, choć nie jesteś, księżę, królem, zmusz królowę, żeby go przyjęła, a przekonasz się, iż nie będzie obrażona.

Księżę spojrział znów na Joannę.

— Czy pewna jesteś, że się nie mylisz? Czy królowa naprawdę pragnie mieć ten naszyjnik?...

— Pragnie namiętnie... Otóż, czy mi się zdaje, kochany księżę, czy też mówiłeś mi kiedyś, iż chciałbyś zostać ministrem?...

— Bardzo być może, iż mówiłem, kochana hrabino.

— Założmy się więc...

— O co?...

— Że królowa zrobi ministrem tego, kto postara się, żeby najdalej za tydzień ten naszyjnik leżał na jej toalecie.

— Ależ... hrabino!

— Mówię, co myślę... Wolałbyś, księżę, żebym myślała po cichu?...

— Przenigdy!...

— Zresztą, to co mówię, pana nie dotyczy. Z pewnością nie wyrzucisz, księżę, półtora miliona dla kaprysu królowej; za drogo kosztowałaby teka ministra, która cię nie ominie i bez tego, a która ci się słusznie należy. To, co mówiłam przedtem, to czcza paplanina. Ot, gadam jak papuga; poraziło mnie słońce, więc wciąż powtarzam, że gorąco. Och, księżę, dla biednej prowincjałki taki dzień faworów to twarda próba. Trzeba być orłem jak ty, żeby patrzeć wprost w światło. Kardynał milczał.

— No, no, tak źle już o mnie sądzisz, że nawet mówić nie raczysz. Tak sama siebie osądzam. Wydawało mi się, że królowa pragnie diamentów, ponieważ patrząc na nie westchnęła, a ja to tak zrozumiałam, bo sama na jej miejscu pragnęłabym bardzo, wybac, proszę, mej słabości.

— Jesteś czarująca, hrabino; w jakimś nie do wiary aliansie łączysz czułość serca z siłą umysłu; chwilami tak mało masz w sobie kobiecości, że mnie przerażasz... Kiedy indziej jesteś tak kobieca, że błogosławię za to niebiososa... i ciebie również.

Kardynał przypieczętował komplement ucałowaniem rączki.

— Nie mówmy już o tym — powiedział.

— Dobrze, nie mówmy — pomyślała Joanna — lecz zdaje mi się, że połknął haczyk...

Istotnie księżę nie wytrzymał.

— Sądzisz więc, że Boehmer próbuje na nowo?

— Tak, z Bossangem — odpowiedziała pani de la Motte niewinnie.

— Bossange... — odezwał się kardynał, jakby przypominając sobie. — Czy to nie jego wspólnik?...

— Tak, taki wysoki, chudy.

— Ach... to ten sam... Gdzie on mieszka?...

— Zdaje mi się, że na wybrzeżu de la Feraille lub de l'École, nie wiem dokładnie; w każdym razie gdzieś w okolicach Pont-Neuf.

— Koło Nowego Mostu, masz słuszność, przejeżdżając tamtędy widziałem nad jakąś bramą szyldzik z tym nazwiskiem.

— Oho!... — szepnęła Joanna. — Rybka się złapała.

Joanna nie pomyliła się, haczyk wbił się głęboko. Rankiem następnego dnia kardynał, wprost z pałacyku na przedmieściu św. Antoniego kazał się zawieźć do Bochmera.

Pragnął zachować incognito, lecz Boehmer i Bossange byli jubilerami dworu i po pierwszym słowie już go tytułowali księciem.

— Niech będzie, jestem rzeczywiście księciem — powiedział kardynał. — Poznaliście mnie,

panowie, lecz proszę, żeby nikt więcej o tym nie wiedział.

— Wasza Dostojność może być pewny... Jesteśmy do usług.

— Chcę nabyć naszyjnik diamentowy; który pokazywaliście, panowie, królowej.

— Jesteśmy w rozpaczy, Eminencjo, pan przychodzi za późno.

— Dlaczego?...

— Naszyjnik już sprzedany.

— Jak to? Wczoraj pokazywaliście go, panowie, królowej.

— Królowa odmówiła przyjęcia i dawniejszy nabywca utrzymał się przy swych prawach.

— A kto jest tym nabywcą? — zapytał kardynał.

— To musi pozostać tajemnicą.

— Za dużo sekretów, panie Boehmer. Kardynał zabierał się do wyjścia.

— Ależ Eminencjo...

— Sądziłem, mój panie — dodał kardynał — że jubiler korony francuskiej powinien być szczęśliwy, sprzedając takie klejnoty we Francji, pan wolisz Portugalię? Jak się panu podoba, panie Boehmer.

— Wasza Eminencja wie o wszystkim? — zawołał jubiler.

— Cóż w tym dziwnego?...

— Bo jeżeli Wasza Eminencja o wszystkim wie, to chyba tylko od królowej.

— A gdyby tak było? — odparł de Rohan, nie prostując domysłów schlebiających jego miłości własnej.

— Och... Eminencjo, to zmienia postać rzeczy...

— Nie rozumiem dlaczego?...

— Czy mogę mówić otwarcie?...

— Proszę.

— To znaczy, że królowa pragnie mieć naszyjnik. — Tak przypuszczacie, panowie?...

— Jesteśmy pewni.

— Dlaczegoż go nie kupuje?...

— No, skoro odmówiła królowi, a jej postanowienie tyle pochwał wywołało, nie chciałyby teraz okazać, że ulega kaprysom.

— Królowa jest wyższa nad to, co ktoś tam bąknie.

— Tak, gdyby to chodziło o lud i dworzan, ale tu mowa o królu...

— Przecież król sam chciał żonie ofiarować naszyjnik?...

— Tak jest, ale podziękował, gdy odmówiła.

— Jakież z tego wnioski, panie Boehmer?...

— Że królowa chciałyby mieć naszyjnik, niby go nie kupując.

— Mylisz się pan — odpowiedział kardynał. — Sprawa wygląda zupełnie inaczej.

— Szkoda wielka, Eminencjo, bo tylko jedna przyczyna zwalniałaby nas ze słowa, które daliśmy panu ambasadorowi Portugalii.

Kardynał zamyślił się.

Najbardziej przemyślnie fortele dyplomatów nie dotrzymają pola dyplomacji kupieckiej...

Dyplomata układa się zwykle o wartości, których nie posiada; kupiec trzyma w szponach przedmiot, wzbudzający pożądanie; kupić coś od niego, a nawet przepłacić, to wciąż jeszcze — prawie go ograbić.

Rohan poczuł, że jest w mocy złotnika.

— Hm!... — rzekł. — Przypuśćmy, że królowa ma chęć kupić naszyjnik.

— To zupełnie co innego. Mogę zerwać rokowania, bo królowa ma prawo pierwszeństwa.

— Ile, panowie, chcecie za naszyjnik?...

— Półtora miliona liwrów.

— A jak rozkładacie spłaty?...

— Nasz negocjator portugalski dawał mi zaliczkę, następnie miałem odwieźć naszyjnik do Lizbony, gdzie zapłacę gotówką.

— Tego się u nas nie praktykuje, panie Boehmer; dostaniesz pan zaliczkę, jeśli będzie w miarę rozsądna.

— Sto tysięcy liwrów.

— No, to się znajdzie... A reszta?...

— Wasza Eminencja pragnie czasu dłuższego — odezwał się Boehmer. — Przy poręczeniu Waszej Eminencji wszystko da się zrobić. Ale zwłoka przynosi stratę. Proszę zważyć, że przy takich sumach koszty szybko rosną. Biorąc pięć procent od półtora miliona otrzymalibyśmy siedemdziesiąt pięć tysięcy liwrów, a taki procent, to ruina dla kupców. Możemy jedynie przyjąć dziesięć procent.

— To by znaczyło, że podług rachuby waszej, sto pięćdziesiąt tysięcy liwrów?...

— Tak, Eminencjo.

— Przypuśćmy, że sprzedajecie naszyjnik za milion sześćset tysięcy liwrów i rozdzielacie pozostałe półtora miliona na trzy raty w ciągu roku. Czy się zgadzacie, panowie?...

— Tracimy na tym interesie pięćdziesiąt tysięcy liwrów.

— Nie wierzę w to. Gdybyście jutro podjęli półtora miliona liwrów, byłibyście w kłopotcie, co z nimi zrobić. Jubiler nie nabywa ziemi za taką sumę.

— Jest nas dwóch, Eminencjo...

— Wiem o tym, jednak dogodniej byłoby panom otrzymywać co cztery miesiące pięćset tysięcy liwrów, to znaczy dwieście pięćdziesiąt tysięcy na każdego.

— Wasza Eminencja zapomina, że diamenty nie są własnością naszą jedynie. O!... Gdyby do nas należały, dosyć byłibyśmy bogaci, aby się nie troszczyć o spłaty ani o lokatę kapitałów!...

— Do kogóż zatem należą?...

— Do kilkunastu wierzycieli. Skupowaliśmy je osobno, ten w Hamburgu, tamten w Neapolu, jeden w Buenos Aires, dwa w Moskwie... Wierzyciele czekają na sprzedaż, bo czas ich spłacić. Rabatu udzielamy z własnych zysków, ale... Eminencjo, od czasu, kiedy sprzedajemy ten nieszczęsny naszyjnik, to znaczy od dwóch lat, straciliśmy dwieście tysięcy. No proszę, jaki może być rabat.

Książę de Rohan przerwał.

— Z tym wszystkim — powiedział — nie widziałem jeszcze naszyjnika.

— To prawda, Eminencjo, oto jest.

I Boehmer ze wszystkimi ostrożnościami rozwinął olśniewające precjoza.

— Przepyszny — wykrzyknął kardynał, pieszcząc z lubością diamenty, które spoczywały na szyi królowej. Błądził palcami po kamieniach aż do syta, jakby chciał wyłapać wszystkie promieniujące z nich fluidy sympatyczne, które mogą mu zyskać przychyłość.

— Więc targ skończony? — rzekł wreszcie.

— Skończony, Eminencjo.

— Ale pana ambasadora Portugalii w tej chwili w Paryżu nie ma?

— Owszem, Eminencjo, pan de Souza przyjechał incognito.

— W tej sprawie?

— Tak, Eminencjo.

— Biedny Souza, znam go dobrze. Biedny Souza!

I wybuchnął śmiechem..

Pan Boehmer uważał za stosowne wtórować wesołości dostojnego klienta. Radowano się dość

długo z daremnych ekspensów Portugalczyka.

Książę de Rohan chciał już wyjść, ale Boehmer go zatrzymał.

— Wasza Eminencja raczy mnie objaśnić, jak będzie z wypłatą? — zapytał.

— Ależ, oczywiście.

— Czy mam się udać do intendenta?

— O nie; będziesz pan miał do czynienia tylko ze mną.

— A kiedy?

— Jutro przyniosę zaliczkę.

— Dobrze, Eminencjo. A kwity?

— Jutro także tu podpiszę.

— Wszystko w porządku, Eminencjo.

— A, panowie, ponieważ jesteście ludźmi strzegącymi tajemnic, pamiętajcie, że jesteście w posiadaniu jednej z najważniejszych...

— Eminencjo, rozumiem i nie zawiodę pańskiego zaufania jako też i Jej. Królewskiej Mości — dodał chytrze.

Książę zaczerwienił się i wyszedł zmieszany, lecz szczęśliwy jak każdy, kto rujnuje się w przychylnym namienności.

Nazajutrz Boehmer z miną pełną powagi udał się, do ambasady portugalskiej. W chwili, gdy miał zapukać do drzwi, pan de Beausire, pierwszy sekretarz, słuchał sprawozdania pana Ducorneau, pierwszego kanclerza poselstwa, a don Manoel de Souza, ambasador, wykladał nowy plan kampanii swojemu współpracownikowi lokajowi. Od ostatniej wizyty Boehmera pałac przy ulicy Jussienne bardzo się zmienił.

Cały personel przybyły w dwóch powozach pocztowych, jak to widzieliśmy, rozmieszczony został według potrzeb i przewidzianych stanowisk w domu nowego ambasadora.

Należy przyznać, że spiskowcy dzieląc się rolami, które odgrywali zadziwiająco dobrze, mieli sposobność do nadzorowania własnych interesów, co zawsze jest pewną zachętą nawet przy najbardziej niemiłych zajęciach. Pan Ducorneau zachwycony był inteligencją całej tej służby, a jednocześnie podziwiał ambasadora, który wolny od przesądów narodowych przyjął obsługę wyłącznie francuską, poczynając od pierwszego sekretarza, aż do trzeciego pokojowca. Z tego też powodu, sprawdzając rachunki z panem Beausire, nie przestawał wychwalać zwierzchnika.

— Widzisz pan, ród Souza — opowiadał Beausire — nie należy do tych zacofanych klanów portugalskich, które trzymają się kurczowo obyczajów XIV wieku, jak to pan jeszcze często znajdziesz tutaj na prowincji. Nie, są to panowie z wielkiego świata, milionerzy, którzy mogliby gdzie indziej zostać królami, gdyby im przyszła na to chętka.

— Ale nie przychodzi? — zapytał bystro pan Ducorneau.

— I po co im to, panie kanclerzu? Czyż z pewną liczbą milionów i tytułem książęcym znaczą się mniej niż król?

— Hm, ależ to doktryny filozoficzne, panie sekretarzu — zdziwił się Ducorneau. — Nie spodziewałem się podobnych maksym o równości w ustach dyplomaty.

— No, bawimy się w paradoksy — odpowiedział Beausire, trochę speszony. — Nie trzeba być zaraz wolterianinem ani Ormianinem na sposób Rousseau, zna się nasz świat filozoficzny i teorie naturalne nierówności stanów i sił.

— Wiesz pan — zawołał naczelnik. — Szczęście to wielkie, że Portugalia jest tylko małym kraikiem!

— A to dlaczego?

— Bo, mając takich ludzi u szczytu, wzrosłaby zbyt szybko.

— Pochlebiasz nam, kochany naczelniku; Nie, my uprawiamy politykę filozoficzną. To

rzadkie, ale mało praktyczne. Ale rzućmy to... Mówisz pan więc, że jest w kasie sto osiem tysięcy? I żadnych długów?

— Ani denara.

— To wzorowo! Proszę o rachunki.

— Oto są. A kiedyż będzie prezentacja u dworu, panie sekretarzu? Prawdę powiedziawszy, w całej dzielnicy jest to powodem rozmów i komentarzy, a nawet zamieszania.

— Nie może być...

— Tak. Od czasu do czasu dokoła pałacu kręcą się jacyś ludzie, którzy pragnęliby, żeby drzwi były szklane.

— Ludzie? Jacy ludzie, miejscowi?

— No, inni także... Pojmuje pan, że skoro misja pana ambasadora jest poufna, policja chciałaby poznać motywy.

— I ja tak myślę — odparł Beausire zaniepokojony.

— Spójrz tylko, panie sekretarzu — zaczął Ducorneau, prowadząc Beausire'a do zakratowanego okna w bocznej ścianie pałacowej oficyny. — Widzisz pan tego człowieka w brunatnym surducie?

— Widzę...

— Jak on się przypatruje, prawda?

— Rzeczywiście... Któż to może być?

— Alboż ja wiem?... Może agent pana de Crosne.

— Możliwe.

— Mówiąc między nami, panie sekretarzu, pan de Crosne jako urzędnik ani się umywa do pana de Sartines. Ten już by dziesięć razy wszystko odgadł, choć macie się na ostrożności.

Zadzwiećwał dzwonek.

— Pan ambasador wola — rzekł spieszenie Beausire, który miał już dość tej rozmowy.

Otworzył drzwi gwałtownie i skrzydłami ich odtrącił dwóch współników, z których jeden z piórem za uchem, drugi z miotłą w ręku, jeden jako oficjalista czwartej rangi, drugi jako posługacz, uważali, iż rozmowa ciągnie się za długo i postanowili wziąć w niej udział, choćby przy pomocy zmysłu słuchu.

Beausire zorientował się, że go podejrzewają i obiecał sobie podwoić czujność. Uściskawszy więc potajemnie ręce swoich dwóch przyjaciół i współzainteresowanych udał się szybko do ambasadora.

XLIII. PAN DUCORNEAU NIE ROZUMIE, CO SIĘ DZIEJE

Don Manoel y Suoza był mniej żółty niż zwykle, ponieważ był bardziej czerwony. Toczył mianowicie dość trudną dyskusję ze swym lokajem — panem komandorem. Dyskusja ta trwała jeszcze i gdy Beausire wszedł, dwa koguty wyrywały sobie ostatnie pióra.

— Otóż jest pan Beausire — zawołał komandor. — Niech on nas pogodzi.

— Cóż się tu stało? — zapytał sekretarz z miną arbitra, porozumiewając się najpierw wzrokiem z ambasadorem, swoim naturalnym sprzymierzeńcem.

— Wiesz pan dobrze — rzekł domniemany lokaj — że Boehmer ma dzisiaj przyjść, by dobić targu.

— Wiem o tym.

— I że trzeba mu wyliczyć sto tysięcy liwrów.

— Naturalnie.

— Te sto tysięcy są własnością stowarzyszenia, wszak prawda?

— Bez wątpienia.

— Otóż pan Beausire przyznaje mi rację — oświadczył komandor, zwracając się do ambasadora.

— Powoli, powoli — przerwał Portugalczyk, nakazując gestem spokój.

— Przyznaję panu rację jedynie w tym względzie — mówił Beausire — że sto tysięcy liwrów są własnością stowarzyszenia.

— Oto i wszystko. Nic więcej nie chcę... A zatem kasa, w której złożona jest ta suma, nie powinna się znajdować w biurze, przyległym do pokoju pana ambasadora.

— Dlaczego? — rzekł Beausire.

— Pan ambasador — ciągnął komandor — obowiązany jest każdemu z nas dać klucz od kasy.

— O, nie! — rzekł Portugalczyk. — Z jakiego powodu?

— Tak, tak, z jakiego powodu? — spytał Beausire.

— Nie dowierzają mi — mówił Portugalczyk, gładząc brodę — czemu ja mam dowierzać innym. Jeżeli mnie posądzacie, że jestem zdolny okraść stowarzyszenie, ja mogę podejrzewać stowarzyszenie, że chce okraść mnie. Wszyscy dobraliśmy się w korcu maku

— Przyznaję — odrzekł lokaj — i utrzymuję, że właśnie z tego powodu mamy równe prawa...

— A więc, kochany panie, jeśli chciałeś zupełnej równości, należało od razu postanowić, że będziemy po kolei grali rolę ambasadorów. Może to byłoby niezbyt prawdopodobne w oczach publiczności, ale stowarzyszeni mieliby pewność... To wszystko, prawda?

— W dodatku — przerwał Beausire — to nie po koleżeńsku, panie komandorze. Czyż don Manoelowi nie należy się przywilej wynalazcy?

— A tak — rzekł ambasador — i pan Beausire dzieli go wraz ze mną.

— Och — odparł komandor — gdy sprawa puszczona w ruch, nie zwraca się już uwagi na przywileje.

— Zgoda, ale nie przestaje się zwracać uwagi na sposób postępowania — dodał Beausire.

— Nie ja jeden wam nie ufam — mruknął komandor zawstydzony. — Taka jest opinia całego stowarzyszenia...

— Wyssana z palca — odparł Portugalczyk.

— O, właśnie — wyssana z palca — dodał Beausire. Komandor podniósł głowę i zły, że mu przeczą, zaczął gwałtownie:

— Widzę, że jestem w błędzie, pytając o zdanie pana de Beausire. Sekretarz nie zaniedbał zmówić się z ambasadorem.

— Panie komandorze — odparł Beausire ze zdumiewającą flegmą — jesteś wierutnym łotrem, któremu należałoby uszy poobcinać... Gdybyś je rzecz jasna posiadał, bo już ci je, o ile mnie pamięć nie zawodzi, wielokrotnie obcinano.

— Co takiego? — spytał, prostując się, komandor.

— Zebraliśmy się spokojnie tutaj, w gabinecie ambasadora i moglibyśmy porozmawiać jak w gronie rodzinnym, a pan mnie obrażasz, posądzając o znowę z don Manoelem.

— I ja także czuję się obrażony — powiedział Portugalczyk zimno, przychodząc z pomocą Beausire'owi

— Żądamy satysfakcji, panie komandorze.

— Och, nie jestem rębaczem, moi panowie! — wrzasnął lokaj.

— Widzę to — odparł Beausire — i dlatego zostaniesz obity, mości komandorze.

— Na pomoc — wrzasnął lokaj, którego kochanek panny Oliwił pochwycił, a Portugalczyk niemal udusił.

Ale w chwili, kiedy godni siebie współnicy zaczęli wymierzać sprawiedliwość trzeciemu, dzwonek z dołu zapowiedział wizytę.

— Puśćmy go — powiedział don Manoel

— Niech wraca na stanowisko — dodał Beausire.

— Dowiedzą się o tym towarzysze — odpowiedział komandor, poprawiając ubranie.

— O mów, mów, co ci się podoba, wiemy, co odpowiedzieć...

— Pan Boehmer! — zawołał z dołu odźwierny.

— Otóż i koniec wszystkiemu, kochany komandorze — rzekł Beausire lekko uderzywszy przeciwnika w kark.

— Nie będziemy już klócić się o sto tysięcy liwrów, bo znikną one razem z panem Boehmerem. Tak, to tak, mości lokaju...

Komandor wyszedł mruczając pod nosem i przybrał uniżoną postawę, żeby godnie wprowadzić jubilera królewskiego.

Beausire z Portugalczykiem zamienili znaczące spojrzenie.

Boehmer i Bossange weszli pokorni i zakłopotani, co nie uszło uwagi obserwatorów z ambasady.

Beausire podał krzesła, bacznie im się przyglądając i czatując na spojrzenie Manoela, by utrzymać z nim kontakt.

Manoel zachowywał minę oficjalną, odpowiednią do godności urzędowej.

Boehmer, jako bardziej przedsiębiorczy, zabrał głos.

Starał się wykazać, że względy polityczne ogromnej doniosłości stoją na przeszkodzie w doprowadzeniu do końca rozpoczętych negocjacji.

Manoel obruszył się.

Beausire chrząknął.

Pan Boehmer plątał się coraz bardziej.

Don Manoel zwrócił uwagę, że umowa była zawarta i że przygotowano pieniądze na zaliczkę.

Boehmer nie ustępował.

Ambasador, ciągle za pośrednictwem Beausire'a, odpowiedział, iż jego rząd powiadomiony został o wyniku pertraktacji i że zerwanie umowy byłoby afrontem dla Jej Królewsko — Portugalskiej Mości.

Boehmer zaoponował, że wielce sobie ważąc wszelkie możliwe następstwa onej refleksji, nie podobna mu powrócić do zamysłów pierwotnych.

Beausire stanowczo odmówił możliwości anulowania umowy i wręcz oświadczył, że wymigiwać się może tylko nieuczciwy kontrahent, człowiek bez honoru.

Bossange zabrał z kolei głos w obronie profesji kupieckiej i całego stanu znieważonego w osobach jego, pana Bossange, i jego współnika. Nie był jednakże mówcą.

Beausire zamknął mu usta, stwierdzając krótko:

— Ktoś zapłacił drożej.

Jubilerzy, nie specjalnie wytrawni politycy, żywiąc w dodatku wygórowane pojęcie o dyplomacji w ogólności, a o dyplomacji portugalskiej w szczególności, zaczerwienili się, pewni, że ich przejrano.

Beausire widząc, że trafił i pragnąc dobić interesu, w którym upatrywał majątek, udał, że naradza się po portugalsku z jego ekscelencją.

— Panowie — rzekł wreszcie do jubilerów — dają wam wyższą cenę, co dowodzi, że diamenty są tego warte. Otóż królowa portugalska nie ścierpiałaby taniego kupna, które naraziłoby na straty szanownych negocjantów. Czy mamy wam postąpić jeszcze pięćdziesiąt, tysięcy liwrów?

Boehmer dał znak przeczący.

— Sto tysięcy, sto pięćdziesiąt tysięcy — ciągnął Beausire decydując, nie kompromitując się dołożyć nawet milion, byle wyciągnąć swój udział z półtora miliona liwrów.

Jubilerzy, porażeni, zdawali się chwilę wahać, ale naradziwszy się między sobą, oznajmili:

— Panie sekretarzu, prosimy, nie kuś nas pan dłużej. Umowa została zawarta. Wola, potężniejsza od naszej, zmusza nas do sprzedania naszyjnika tu, w kraju. Zrozumiesz nas pan bez wątpienia i nie miej do nas żalu, to nie my odmawiamy; ktoś wyżej postawiony niż my, niż panowie, zmusza nas do tego...

Na te słowa Beausire i Manoel nie znaleźli odpowiedzi; przeciwnie, powinszowali jubilerom, starając się okazać zupełną obojętność. Tak byli tym zaaferowani, że nie spostrzegli wcale pana komandora — lokaj ich podsłuchiwał przy drzwiach w przedpokoju, ciekawy, jak się skończy ta sprawa, z której chciano go wykluczyć. Był jednak tak niezgrabny, że przyciskając ucho pośliznął się i z hałasem grzmotnął o drzwi.

Beausire rzucił się do przedpokoju i zobaczył spłoszonego komandora.

— Co tu robisz, gamoniu? — zawołał.

— Panie, przynoszę papiery, które kurier przywiózł dziś rano.

— Dawaj i wynoś się — rzekł Beausire. I wzięwszy depesze wypchnął lokaja.

Były to nic nie znaczące listy z Portugalii i Hiszpanii, normalna korespondencja kancelaryjna, którą zajmował się pan Ducorneau. Zanim jednak dotarły do kancelarii przechodziły przez ręce Beausire'a i Manoela: obaj szefowie chcieli choć trochę zaznajomić się ze sprawami poselstwa.

Posłyszawszy o depeszach, uradowani złotnicy wstali jak ludzie, których pożegnano po kłopotliwej audiencji.

Pozwolono im odejść, a służący dostał rozkaz odprowadzenia ich do bramy.

Zaledwie wyszli z pokoju, gdy Manoel i Beausire spojrzeli po sobie.

— Masz tobie — powiedział Manoel. — Interes przepadł.

— Najzupełniej — odparł Beausire.

— A z tych głupich stu tysięcy liwrów, które są w kasie, wypada na każdego z nas zaledwie osiem tysięcy czterysta...

— Nie warto zachodu — odparł Beausire.

— Prawda. A gdybyśmy... — i wskazał na kasę, do której chciał się tak dorwać komandor.

— Tam jest sto osiem tysięcy.

— Pięćdziesiąt cztery na każdego...

— Dobrze! Stoi — zaczął Manoel. — Dzielimy się.

— Chętnie, lecz komandor nie odstąpi nas teraz, wiedząc, że interes z brylantami nie dopisał.

— Poszukamy na to sposobu — rzekł Manoel znacząco.

— A ja już znalazłem.

— Jaki?

— Bardzo prosty. Komandor wróci i zażąda swego udziału.

— Tak.

— I ściągnie nam cały dom na kark.

— Tak.

— Przywołajmy go więc niby dla wprowadzenia w sekret... a ja już to załatwię.

— Zdaje mi się, że zgaduję. Idź po niego.

— Chciałem właśnie zaproponować, żebyś sam poszedł. Ani jeden, ani drugi nie chciał zostawić swego „przyjaciela” sam na sam z kasą. Zaufanie jest rzadkim klejnotem.

Don Manoel utrzymywał, że godność ambasadora nie pozwala mu na takie postępowanie.

— Daj pokój, dla niego nie jesteś ambasadorem; lecz mniejsza o to.

— Więc pójdziesz?

— Nie, zawołam przez okno.

Beausire otworzył okno, krzyknął na komandora, który właśnie miał zacząć rozmowę z odźwiernym. Słyszając, że go wołają, przybiegł natychmiast i obok pokoju z kasą zastał obu szefów.

Beausire zaczął z uśmiechem:

— Założę się, że wiem, o czym mówiłeś z odźwiernym.

— Ja?

— Opowiadałeś mi, że interes z Boehmerem nie doszedł do skutku.

— Nie, na parol.

— Łżesz.

— Przysięgam, że nie.

— Masz szczęście, gdyż mówiąc o tym, popełniłbyś wielkie głupstwo i stracił sporo pieniędzy.

— A to dlaczego? — zapytał komandor zdziwiony. — Jakie pieniądze?

— Jak to, czyż nie rozumiesz, że my trzej tylko jesteśmy panami tajemnicy?

— Masz rację.

— A zatem my we trzech posiadamy sto osiem tysięcy liwrów, ponieważ wszyscy myślą, że sumę tę wpłacono jubilerom.

— A do licha! To prawda! — zawołał komandor ucieszony.

— Trzydzieści trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy liwry i sześć sous wypada na każdego — rzekł Manoel.

— Więcej, jest jeszcze końcówka — osiem tysięcy liwrów.

— A prawda — rzekł Beausire. — Więc przystajesz?

— Czy się zgadzam — dodał lokaj, zacierając ręce — spodziewam się... Oczywiście, oto słowo...

— Oto słowo, łotrze! — krzyknął Beausire, głosem grzmiącym. — Wiedziałem, że jesteś oszustem. Dalej, don Manoelu, łap tego łotra, wydamy go naszym wspólnikom.

— Łaski! Łaski! — krzyczał nieszczęśliwy. — Ja tylko żartowałem.

— Dalej, dalej — ciągnął Beausire — do ciemnicy go, zanim nie zostanie wymierzona sprawiedliwość.

— Litości! — błagał komandor.

— Uważaj — rzekł Beausire do Manoela, który dusił wiarołomcę — uważaj, żeby Ducorneau nie usłyszał.

— Wszystkich was wydam, jeśli ranie nie puściecie.

— A ja cię zaduszę — rzekł Manoel wściekły, ciągnąc lokaja do toalety.

— Spław gdzieś pana Ducorneau — szepnął na ucho Beausire'owi.

Temu nie trzeba było powtarzać. Wyszedł szybko do sąsiedniego pokoju, podczas gdy ambasador zamykał komandora w schowku.

Chwila upłynęła... Beausire nie wracał.

Don Manoel miał myśl. Był sam, kasa była o dziesięć kroków. Otworzyć ją, zabrać sto osiem tysięcy liwrów, wyskoczyć przez okno i uciec z łupem przez ogród — dla obrotnego złodzieja wystarczyłyby na to maksimum dwie minuty. Don Manoel wyliczył, że Beausire na drogę tam i z powrotem straci z pięć minut.

Rzucił się ku drzwiom pokoju z kasą. Drzwi były zamknięte. Don Manoel silny i wprawny otworzyłby bramę miejską kluczykiem od zegarka.

— Beausire mi nie dowierza — pomyślał — ponieważ posiadam klucz od kasy. Założył rygle na drzwi. To słuszne.

Dobyl szpady i wyważył rygle. Przyskoczył do kasy i wydał okrzyk przeraźliwy.

Kasa stała z rozwartą paszczką. Pusta.

Beausire, który miał drugi klucz, wszedł od tamtej strony i zrabował pieniądze.

Manoel jak szalony pobiegł do portierni. Odźwierny nucił sobie spokojnie.

Beausire miał już pięć minut przewagi.

Na krzyki i wyrzekania Portugalczyka zbiegł się cały dom. Nie chciano mu wierzyć. Uwolnił i sprowadził na świadka komandora. Stowarzyszeni wpadli w furję.

Oskarżyli don Manoela o spisek z Beausire'm, który uciekł z pieniędzmi, aby się z nim później podzielić.

Momentalnie przestały istnieć jakiegokolwiek pozory, zaprzestano maskarady; pocziwy pan Ducorneau, który absolutnie nie pojmował, z kim to się wdał w konfidencję, o mało nie zemdłał widząc dyplomatów, zbierających się pod szopą, by powiesić bezradnego ambasadora.

— Wieszając pana de Souza! — krzyczał naczelnik kancelarii. — To zbrodnia obrazy majestatu, biada wam!...

Postanowiono wrzucić go do piwnicy; za głośno krzyczał. W tym momencie rozległy się trzy uroczyście uderzenia w bramę wjazdową.

Wspólnicy zadrżeli. Zapadło milczenie. Zadźwięczały trzy nowe uderzenia. Ostry głos zawołał po portugalsku:

— Otworzyć panu ambasadorowi Portugalii!

— Ambasador! — zawołałi złoczyńcy, rozbiegając się na wszystkie strony. Za chwilę uciekali w popłochu przez parkany, ogrody i dachy sąsiednich budynków.

Prawdziwy ambasador, który nadjechał, dostał się do swego pałacu dopiero przy pomocy policji, która wyłamała drzwi w asyście ogromnego tłumu, zwabionego ciekawym widowiskiem.

Policja przetrząsnęła dom, aresztowała pana Ducorneau i zaprowadziła go do więzienia Châtelet, gdzie biedak przenocował.

I tak skończyła się przygoda z fałszywym ambasadorem portugalskim.

XLIV. ZŁUDZENIA A RZECZYWISTOŚĆ

Gdyby odźwierny ambasady puścił się w pogoń za Beausire'm, jak mu to przykazywał don Manoel, zachodu miałby niemało. Wydostawszy się z lwiej jamy Beausire drobnym galopkiem dopadł ulicy Coquillière i w pełnym galopie pomknął ulicą Saint-Honoré. Obawiając się pościgu kluczył, lawirował i krzyżował tropy wśród zawiłych uliczek opasujących hale zbożowe i po upływie kilkunastu minut pewien był, że go już nikt nie dogoni. Pewien był również, iż wyczerpał doszczętnie siły i że żaden koń myśliwski nie spisałby się lepiej. Przy ulicy de Viarmes, która obiega rynek, opadł na worek z ziarnem i zdawał się z największą atencją kontemplować kolumnę medycejską, którą Bachaumont wykupił spod młotka burzycieli i ofiarował w darze magistratowi.

Jest niezbitym faktem, że pan de Beausire nie patrzył ani na kolumnę pana Filiberta Delorme, ani na zegar słoneczny, którym ją udekorował pan de Pingré. Z głębi płuc wydobywał z trudem oddech głuchy i chrapliwy niczym świat dziurawego miecha. Przez kilka chwil nie mógł złapać tchu ani dojść do równowagi między uduszeniem z braku powietrza a przekrwieniem. Ochłonął wreszcie i wydał westchnienie, które mogliby usłyszeć wszyscy mieszkańcy ulicy de Viarmes, gdyby nie byli zajęci sprzedażą i odważaniem zboża.

— No, spełnione moje marzenia — pomyślał. — Nareszcie jestem bogaty.

I westchnął ponownie.

— Będę chyba musiał zostać uczciwym człowiekiem. Zdaje się, że nabieram tuszy.

W istocie wcale nie utył, puszył się tylko.

No, teraz — prowadził dalej milczący monolog — wykieruję Oliwię na porządną kobietą, taką jak ja sam. Ona jest taka ładna... i takie ma skromne upodobania...

(Nieborak!)

Nie wzgardzi zacisznym życiem na prowincji, na folwarczku, który będziemy nazywali naszymi dobrami, gdzieś w pobliżu małego miasteczka, gdzie będą nas brali za państwo.

Nicole jest dobra, prostoduszna, ma tylko dwie wady: lenistwo i pychę!

(Tylko tyle? Biedny Beausire! Dwa grzechy śmiertelne.)

Przy takich wadach, które będę mógł zaspokoić, ja, ten szelma Beausire, wychowam sobie doskonałą żoneczkę.

Dalej nie roztrząsał, oddech mu wrócił. Otarł czoło, upewnił się, że sto tysięcy nadal spoczywa w kieszeni i umocniony na ciele i duchu raczył się zastanowić.

Na ulicy de Viarmes szukać go nie będą, ale przecież będą go szukali. O, panowie z ambasady to nie są ludzie skłonni wzniośle wyrzekać się swej części łupu. Podzielią się na grupy, a zaczną od przetrząśnięcia mieszkania zdrajcy.

W tym była cała trudność. Mieszkała tam przecież Oliwia. Napadną ją zniecka, sponiewierają, być może, a kto wie, czy nie posuną się w okrucieństwie aż do zatrzymania jej w roli zakładnika. Czyż te łotry nie wiedzą, że Beausire kocha Oliwię do szaleństwa i czy, wiedząc o tym, nie zechcą spekulować na tej namiętności.

Na krawędzi obu tych śmiertelnych niebezpieczeństw Beausire omal nie oszalał.

Miłość przeważała.

Nie pozwoli, żeby ktokolwiek dotknął przedmiotu jego uczuć. Pomknął jak strzała do domu przy ulicy Dauphine. Pokładał zresztą nieograniczone zaufanie w chyżość swego biegu, przy najwyższym pośpiechu nieprzyjaciele jego nie zdołają go uprzedzić. Mimo wszystko wskoczył do dorożki i pokazawszy woźnicy sześcioliwrowego talara kazał się wieźć na Pont-Neuf.

Konie nie biegły, ale leciały.

Zapadał wieczór.

Beausire kazał zatrzymać się na wiadukcie za pomnikiem Henryka IV. W owym czasie można było podjechać powozem. Było to miejsce schadzek, dość już spopolitowane, lecz uczęszczane. Zdobywając się na ryzyko wystawił głowę spoza zasłony w drzwiczkach i wlepił wzrok w ulicę Dauphine. U wlotu zauważył dwóch mężczyzn wyciągających szyje i zagapionych na jakieś widowisko.

Na obyczajach agentów policji Beausire wyznawał się dostatecznie. Nie darmo studiował je przez lat dziesięć, w celu unikania niepotrzebnych zatargów. Byli to szpicle.

Na Nowym Moście spotykało się tych panów nierzadko, bo — jak mówi ówczesne przysłowie — chcąc w dowolnej porze zobaczyć prałata, nierządnicę i białego konia, trzeba iść na Pont-Neuf, a, jak wiadomo, sutanny, siwe konie i dziewczęta uliczne policja ma zawsze na oku.

Beausire był niespokojny i zakłopotany. Garbiąc się i kulejąc dla niepoznaki wmieszał się w tłum i poszedł w kierunku domu. Ani śladu tego, czego się lękał. Był już blisko i widział okna, w których ukazywała się nieraz Oliwia, jego gwiazda. Okna były zamknięte. Leżała na pewno na sofie i czytała jakąś nieprzyzwoitą książkę albo pałaszowała przysmaki.

Nagle w bramie przeciwnego domu Beausire spostrzegł kaftan strażnika. Co gorsza, innego żołnierza ujrzał w oknie małego salonu. Oblał go pot, zimny pot — tak szkodliwy dla zdrowia. Cofnąć się było za późno, należało przejść koło domu.

Co za widok!

Korytarz zatłoczony pachołkami straży miejskiej, a wśród nich sam pan komisarz z Châtelet cały w czerni. Ludzie ci... zmieszani, przygnębieni, w nieświetnych humorach. Dla Beausire'a wystarczył jeden rzut oka (ma się albo się nie ma umiejętności czytania w twarzach policji), żeby upewnić się, że ludzie ci chybili celu.

Niewątpliwie pan de Crosne, mniejsza o to jak i przez kogo uprzedzony, szykował się złapać Beausire'a i przydybał tylko Oliwię. *Inde irae...*

Stąd rozczarowanie. Zaiste, gdyby Beausire znalazł się tu w zwykłych okolicznościach, gdyby nie posiadał stu tysięcy liwrów w kieszeni, rzucałby się między strażników wołając jak Nisus: *Otom jest, otom jest, jam to wszystko uczynił!*

Ale myśl, że ludzie ci zagarną sto tysięcy, że będą mieli za co płukać gardła przez całe życie, myśl, że ten tak chwacki i tak subtelny wyskok Beausire'a przysporzy korzyści tylko agentom pana inspektora policji, myśl ta zapanowała nad wszelkimi jego skrupułami i uśmierzyła wszelkie tęsknoty miłosne.

— Bądź logiczny... — pomyślał. — Dam się wziąć... dam wziąć sto tysięcy liwrów... Nie pomogę Oliwii... Będą zrujnowany... Dam dowód, że kocham ją jak szalencie... Ale zasłużę, że mi powie: „Jesteś głupie ciele, trzeba było mniej kochać, a ratować mnie...” A zatem w nogi, ubezpieczymy majątek, źródło wszystkiego: wolności, szczęścia, filozofii...

To rzekłszy Beausire przycisnął bilety bankowe do serca i bezwiednie, bo od jakiegoś czasu niosły go same nogi, skierował się tam, gdzie setki razy chadzał szukać Oliwii.

Jak na człowieka tak zaprawionego w logice, rozumowanie było dość płytkie. Siepacze — znając obyczaje złodziejasków równie dobrze, jak Beausire ich własne — byliby go tam na pewno szukali. Ale niebo czy piekło zadecydowało, że tym razem panu de Crosne nie powiedzie się sprawa z Beausire'm.

Na rogu ulicy Saint-Germain de Prés omal nie dostał się pod koła wspaniałej karocy. Tylko dzięki iście paryskiej zręczności udało mu się uskoczyć na czas. Nie ominęły go przy tym połajanki i bicz stangreta, ale któryś z posiadaczy stu tysięcy franków nie przejdzie do porządku nad podobnymi banialukami w kodeksie honorowym, zwłaszcza jeśli ma na karku policję.

Prostując się spojrzął w okno karety i zobaczył Oliwię pogrążoną w ożywionej rozmowie z niezwykle przystojnym, młodym mężczyzną. Krzyknął i chciał biec za powozem, ale powóz ten jechał na ulicę Dauphine, jedyne w Paryżu miejsce, gdzie Beausire wołał chwilowo nie pokazywać się.

A poza tym, skądby się tam wzięła Oliwia?... To przywidzenie i absurd. Widzieć Oliwię tam, gdzie jej nie ma, to już nie zamącenie, ale rozdwojenie wzroku. A należy jeszcze przy tym uwzględnić tę okoliczność, że Oliwia została prawdopodobnie aresztowana w jej własnym mieszkaniu.

Biedny Beausire, załamany moralnie i fizycznie, skręcił w ulicę Fosses Monsieur-le-Prince, przebiegł ogrody Luksemburgu, minął puste już ulice i dopiero za rogatkami poszukał schronienia w małym mieszkanku, którego właścicielka miała dlań wszelkiego rodzaju względy.

W kryjówce tej ulokował się; pieniądze schował pod podłogę i na wybranej tafli postawił nogę łóżka. Zaraz też położył się mieszając przekleństwa z podziękowaniami dla Merkurego, a wszystko zapijając winem grzany z cukrem i cynamonem, napojem bardzo skutecznie przywracającym właściwą transpirację skóry oraz ufność serca. Teraz już był pewny, że policja go nie znajdzie i że nikt nie odbierze mu pieniędzy. Pewny był, że Nicole, choćby ją aresztowano, nie popełniła żadnego przestępstwa i że minęły już czasy zatrzymywania w więzieniu bez przyczyny. Pewny był wreszcie, że mając sto tysięcy wydrze Oliwię z więzienia, nawet gdyby tam zatrzymali jego nierozłączną towarzyszkę.

Gorsza sprawa z personelem ambasady... Ale Beausire przewidując z tej strony nieprzyjemności postanowił, że skoro tylko uwolni Oliwię, wyjadą do Szwajcarii, kraju wolnego, o budującej moralności.

Niestety, z tych marzeń przy gorącym winie nie spełniło się żadne. Tak było widać napisane w księdze przeznaczeń. Częstym błędem ludzkim jest wyobrażanie sobie, że się widzi, kiedy w istocie nie widzi się. Jeszcze większy błąd popełniamy, gdy wyobrażamy sobie, że nie widzimy, chociaż w rzeczywistości widzimy doskonale. Postaramy się to czytelnikowi wytłumaczyć.

XLV. OLIWIA ZACZYNA PYTAĆ, CO Z NIĄ BĘDZIE

Gdyby pan Beausire zaufał swoim oczom, które miał doskonałe, a nie rozumowi, który był wówczas nieco zamglony, byłby sobie zaoszczędził wielu zmartwień i zawodów. W karecie jechała rzeczywiście panna Oliwia, a mężczyznę Beausire poznałby na pewno, gdyby spojrzął po raz drugi.

Panna Oliwia, jak zwykle, wyszła rano na przechadzkę do ogrodu Luksemburskiego, ale zamiast powrócić o drugiej na obiad, spotkała się i wdała w rozmowę z owym dziwnym przyjacielem, którego pozyskała sobie w dniu balu w Operze.

Gdy płaciła za krzesło, ponieważ miała już wracać, i uśmiechała się do właściciela kawiarenki, w której była stałym gościem, Cagliostro, wyłaniając się z alei, podszedł do niej i wziął ją za rękę. Oliwia lekko krzyknęła.

— Dokąd pani idzie? — zapytał.

— Wracam do siebie na ulicę Dauphine.

— Och, to się ucieszą ludzie, którzy tam na panią czekają — odparł.

— Ludzie, którzy na mnie czekają... Co to znaczy? Ależ nikt na mnie nie czeka.

— Ależ tak, pani, co najmniej dwunastu gości.

— Dwunastu gości? — zawołała Oliwia. — Dlaczego nie regiment...

— Gdyby wysłano regiment, byłby regiment.

— Zdumiewasz mnie pan.

— Gorzej byś się zdumiała, gdybym pozwolił ci wrócić do domu. Aresztowano by panią.

— Aresztowano?

— Tak jest. Tych dwunastu, to pachołkowie pana de Crosne. Oliwia zdrząła, niektórzy ludzie zawsze się czegoś boją.

— Nie uczyniłam nic złego. Za cóż by mnie aresztowano? — powiedziała wreszcie po głębszej inspekcji sumienia.

— A wiesz, za co zamyka się do więzienia kobiety? Za intrygi, za fraszki.

— Nie zajmuję się intrygami.

— Może zajmowałaś się dawniej?

— Och, tego nie powiem.

— Słowem, może się mylę, ale to pewne, że cię szukają i chcą aresztować... No więc co? Jedziemy na ulicę Dauphine?

Oliwia zbladła.

— Bawisz się pan mną, jak kot myszą — rzekła. — Jeśli wiesz coś, to powiedz... Może to chodzi o Beausire'a.

I spojrzła na Cagliostra błagalnie.

— Być może... Podejrzewam, że sumienie jego nie jest tak czyste jak pani.

— Biedny chłopak!

— Żałuj go, żałuj, lecz jeśli go złapali, nie naśladow go t nie daj się złapać sama.

— Dlaczego się pan mną zajmuje? Co panu przyjdzie z tej opieki? To nienaturalne — dodała wyzywająco — że człowiek taki, jak pan...

— Nie kończ, proszę, bo powiesz głupstwo, a czas ucieka i agenci pana de Crosne, nie doczekawszy się ciebie, gotowi przyjść aż tutaj.

— Skąd mogą wiedzieć, że jestem tutaj?

— Czy to tak trudno dowiedzieć się. A ja to nie wiedziałem?... Słuchaj. Ponieważ jednak opiekuję się tobą i dobrze ci życzę, nie pytaj o resztę. Szybko! Idziemy na ulicę d’Enfer, tam czeka moja karetka... Co? Jeszcze wątpisz?

— Tak.

— Dobrze.

— Odważymy się na małą nieroztropność, może cię to raz na zawsze przekona. Przejedziemy obok twego mieszkania; siedząc w karecie, przyjrzyj się tym panom i sama osądzisz ich zamiary. Mam nadzieję, że ocenisz wtedy, ile warte moje dobre chęci.

To rzekłszy zaprowadził Oliwię do bramy od ulicy d’Enfer. Karetka podjechała, zabrała oboje i zawiozła na ulicę Dauphine i wtedy to właśnie Beausire zobaczył Cagliostro i Oliwię.

Gdyby był zawołał, gdyby pobiegł za powozem, Oliwia zrobiłaby wszystko, aby się z nim zetknąć i ratować go, jeśli był prześladowany, lub ratować się z nim, jeśli był wolny. Lecz Cagliostro ujrawszy nieboraka, zawczasu odwrócił jej uwagę w inną stronę. Gdy biedna dziewczyna przekonała się, że policja istotnie otoczyła jej dom, rzuciła się na szyję swego obrońcy z rozpaczą, zdolną wzruszyć każdego, tylko nie tego żelaznego człowieka... Ucisnął tylko lekko rękę Oliwii i zapuścił stopy u okien karety.

— Ratuj mnie, pan, ratuj! — powtarzała biedaczka.

— To pani przyrzekam.

— Ale mówisz pan, że policja wie o wszystkim. Oni mnie odszukają.

— Nie, nie, tam, gdzie ja ciebie schowam, nikt pani nie znajdzie; u mnie nie będą cię szukać.

— U pana! — zawołała przestraszona. — Więc jedziemy do pana!

— Nie mów głupstw — odrzekł. — Nie pamiętasz już o naszej umowie? Nie jestem twoim kochankiem i wcale nim zostać nie pragnę.

— Więc co to będzie, więzienie?

— Jeżeli wolisz szpital, możesz wybierać...

— Powierzam się panu — odpowiedziała przerażona. — Rób ze mną co chcesz.

Zajechali na ulicę Neuve-Saint-Gilles, przed dom, w którym Cagliostro przyjmował Filipa de Taverney.

Ulokował ją w małym apartamencie na drugim piętrze, z dala od służby i wszelkiego nadzoru.

— Chciałbym — powiedział — żebyś się czuła bardziej szczęśliwa...

— Szczęśliwa? — zapytała z sercem pełnym smutku. Szczęśliwa bez wolności, bez przechadzki! Tak tu, ponuro, nawet ogrodu nie ma. Ja tu umrę...

I rzuciła rozpaczliwe spojrzenie przez okna.

— Masz słusność — odrzekł. — Chcę, aby ci u mnie na niczym nie zbywało, a tu nie wesoło i w dodatku służba cię zobaczy i może cię niepokoić.

— Sprzedadzą mnie w końcu.

— No... nie obawiaj się; ludzie moi sprzedają tylko to, co chcę od nich kupić, lecz żeby cię uspokoić, dziecko kochane, postaram się o inne mieszkanie dla ciebie. Nie chcę także, abyś z głodu umarła, moja droga. Zadzwoń, jak będziesz czego potrzebować, a stawię się natychmiast, jeśli będę w domu, albo zaraz po powrocie.

Pocałował ją w rękę i wyszedł.

— Panie — zawołała — przede wszystkim pragnę wiadomości od Beausire’a.

— Przede wszystkim — odpowiedział zamykając ją w pokoju.

Oliwia trochę poweselała, zresztą apartament nie był brzydki, a zajmujących książek było w bród.

Schodząc ze schodów, hrabia mówił do siebie w zamyśleniu: — Będzie to profanacja umieścić ją przy ulicy Saint–Claude, lecz tam jedynie nikt jej nie dojrzy... A jeśli trzeba będzie pokazać ją pewnej osobie, to ta osoba zobaczy ją właśnie w domu przy ulicy Saint–Claude. No jeszcze i ta ofiara! Zagaśmy ostatnią iskierkę pochodni, która niegdyś płonęła...

Hrabia włożył szeroki płaszcz, poszukał w sekrerze kluczy, wybrał kilka, obejrzał je z rozrzewnieniem i wyszedł z pałacu, kierując się na piechotę w stronę ulicy Saint–Louis du Marais.

XLVI. OPUSTOSZAŁY DOM

Cagliostro udał się do starego domu, którego czytelnicy nasi może jeszcze nie zapomnieli.

Noc już zapadła, kiedy stanął przed bramą i niewielu tylko przechodniów snuło się po bulwarze.

Skrzypnęły gdzieś zawiasy zamykanej bramy, z ulicy Saint-Louis dobiegł tętent konia, pies szczekał, a raczej wył na dziedzińcu pobliskiego klasztoru... ot i całe życie dzielnicy o tej porze.

Z daleka, aż od Świętego Pawła, chłodny wiatr przywiał cztery melancholijne dźwięki.

Była godzina dziewiąta.

Hrabia zatrzymał się, jak wspominaliśmy, u głównych drzwi, wy dobył klucz i z trudem wcisnął go w otwór zamka.

Przez lata wiatr naniósł tam mnóstwo śmieci. Źdźbła słomy, nasionka, z których nie wyrosły malwy ani bratki, ścierwo musze, zeschnięte w żelaznym grobowcu; wszystko to obróciło się w proch przy obrocie klucza.

Hrabia pchnął drzwi omszałe i spaczne — nie ustąpiły. Nacisnął z całej siły ramieniem; ze zgrzytem złego humoru poruszyły się zardzewiałe zawiasy i oczom jego przedstawił się obraz zniszczenia i smutku.

Dziedziniec wyglądał jak cmentarzysko. Cagliostro zamknął bramę i szedł powoli, a stopy jego grzęzły w gęstym perzu, którym wszystko porosło. Nikt nie widział, jak wchodził. Przez chwilę zapragnął uciec stąd, powrócić do życia, ale pomyślał, że życie to jest równie rozpaczliwe i samotnicze, jak ten dom zrzucony i pusty.

Wstąpił na schody ganku rozsypujące się w gruzy i przy pomocy drugiego klucza dostał się do obszernej sieni.

Zapalił latarkę, którą wziął ze sobą, ale podmuch złowieszczy zgasił ją momentalnie... Tchnienie śmierci unosiło się w tym domu. Zapalił powtórnie i poszedł dalej.

W sali jadalnej sprzęty zbutwiałe, okryte pleśnią i kurzem, straciły kształty pierwotne... Lepka posadzka ugięła się pod stopami. Drzwi pootwierane pozwalały myślom po społu ze wzrokiem zapuszczać się swobodnie w grobową otchłań wnętrza.

Wtem dreszcz przeszedł hrabię. Usłyszał nagle szmer w rogu sali, skąd niegdyś zaczynały się tajemne schody. Ten szmer nic już w tej chwili nie znaczył, ale przed laty zwiastował obecność ukochanej istoty, budził w sercu pana domu życie, nadzieję, radość...

Cagliostro z brwią zmarszczoną, powstrzymując oddech zbliżył się powoli do posągu Harpokratesa i nacisnął sprężynę ukrytą, która otwierała sekretne przejście, niedostępny węzeł komunikacyjny, łączący dom otwarty z domem tajemnym. Sprężyna odskoczyła lekko: zachwiała się tylko zbutwiała drewniana figura.

Zaledwie hrabia wszedł na schody, dziwny szmer powtórzył się. Cagliostro podniósł latarkę i ujrzął dużego węża, spuszczającego się wolno ze schodów i bijącego ogonem o stopnie. Gad spokojnie wlepił wzrok w Cagliostrowa i po chwili wśliznął się do szpary pod rzeźbą. Był to geniusz samotności. Hrabia szedł dalej, a razem z nim szło wszędzie wspomnienie, a raczej cień. Kiedy światło zarysowało na ścianie jego ruchomą sylwetkę, hrabia wzdrygnął się, zdawało mu się, że inny cień, nagle wskrzeszony, idzie wraz z nim odwiedzić to opuszczone miejsce.

To wrażenie nie odstępowało go ani na chwilę. Dotarł tak do kominka, przez który przechodziło się kiedyś ze zbrojowni Balsama do pachnącego ustronia Lorenzy Feliciani.

Mury były nagie, pokoje puste. W kominku, wśród popiołu, błyszczało kilka grudek złota i srebra. Popiół ten, delikatny, miałki i wonny, był pozostałością po meblach Lorenzy. Wszystko,

co do niej należało, Balsamo spalił. Szafy wykładane szyldkretem, łoże inkrustowane porcelaną, klawikord z różanego drzewa, obicia, firanki, ramy, nawet pudełka aloesowe i sandałowe, wydające zapach cudowny — wszystko strawił ogień.

Przez kilka dni faktorzy z dzielnicy Hal i gryzетки z rewiru św. Honoriusza wdychali wonny dym, upojeni dziwnym dla mieszkańców Paryża zapachem, który wiatr zwiewa z wyżyn Libanu oraz równin Syrii.

Ów zapach zachował się jeszcze w pokoju pustym i zimnym. Cagliostro schylił się, wziął szczyptę popiołu i wachał długo z jakąś dziką namiętnością.

— A więc — szepnął — będę mógł wchłaniać resztę tej duszy, która niegdyś związana była z tym prochem.

Spojrzał przez kraty żelazne. Z pokoju Althotasa pożar zostawił tylko osmalone szczyrby. Posępny i piękny widok. Wszystko w tym domu tchnęło upadłą świetnością, świetnością zatartą i utraconym szczęściem.

Rozpamiętując bolesną historię Balsama i Lorenzy, Cagliostro zeszedł z wyżyn filozofii, by odświeżyć się w tej odrobince uczuć ludzkich, którą nazywamy sentymentem, a która nie pochodzi z rozsądku. Sądził, że już się wypłacił z długu wobec ludzkiej słabości, gdy nagle wzrok jego padł na mały jakiś przedmiot, błyszczący pośród gruzów. Schylił się i ze szczeliny posadzki wydobyl małą strzałkę ze srebra, szpilkę jak gdyby niedawno wypadłą z włosów kobiety. Była to włoska szpilka, jakich używały podówczas kobiety do upinania warkoczy, zbyt ciężkich po upudrowaniu.

I oto filozof, mędrzec, prorok pogardzający ludzkością, człowiek, który żądał rozliczeń od niebios; człowiek, który tyle cierpienie zepchnął w głąb duszy własnej, a tyle krwi wycisnął z serc innych, Cagliostro, ateusz, szarlatan i sceptyk, podniósł szpilkę do ust i pewny, że go nikt nie widzi, pozwolił spłynąć łzie, szepcąc:

— Lorenza!

To było wszystko. Demon żył w tym człowieku. Jego żywiołem była walka, pielęgnował ją w sobie dla własnego szczęścia.

Raz jeszcze ucałował drogą relikwię, otworzył okno i przez kraty cisnął kawałek metalu w ogród sąsiedniego klasztoru, w gałęzie, w powietrze, w pył, w nicość.

Ukarzał się w ten sposób za chwilę słabości.

— Żegnaj! — powiedział do nieczułego przedmiotu, z którym rozstawał się na zawsze. — Żegnaj, pamiątko, zesłana, żeby mnie rozrzewnić i zmiękczyć... Odtąd myśleć będę li tylko o ziemi. „Dom ten będzie sprofanowany... Lecz co mówię? Już jest... Otworzyłem go, wniosłem światło w ruiny, widziałem wewnątrz grobowca, rozgarnąłem popioły śmierci... Dom jest więc już znieważony. Niech nim będzie do końca i dla jakiego bądź dobra. Kobieta raz jeszcze przejdzie podwórze, postawi nogę na schodach, kobieta śpiewać może będzie pod sklepieniem, gdzie drży jeszcze echo ostatniego westchnienia Lorenzy. Niech się tak stanie: sprawa tego wymaga. Jeżeli Bóg na tym straci, szatan wygra na pewno...”

Postawił latarkę na schodach.

— Schody i całą część wewnętrzną zwałę. Tajemnica rozwieje się; pałac pozostanie schronieniem, przestanie być sanktuarium.

Szybko skreślił kilka słów na kartce:

„Do pana Lenoir, budowniczego.

Oczyścić podwórze i przedsionek; odnowić wozownię i stajnię; zburzyć pawilon wewnętrzny; obniżyć gmach do dwóch pięter — tydzień czasu...”

No — pomyślał — zobaczymy teraz, czy widać stąd okna prześwietnej pani hrabiny.

Zbliżył się do okna drugiego piętra.

Naprzeciw, najwyżej o sześćdziesiąt kroków, widać było mieszkanie Joanny de la Motte.

— Te dwie kobiety zobaczą się, to nieuniknione — rzekł Cagliostro. — Dobrze.

Zabrał latarkę i zeszedł ze schodów. W godzinę później, już z domu, wysłał notatkę architektowi.

Nazajutrz pięćdziesięciu robotników okupowało pałac. Odgłos młotków i pił rozlegał się dokoła. Zielska i trawy powyrywano i spalono, a wieczorem przechodnie widzieli ogromnego szczura wiszącego za łapę na gałęzi i śmiejących się murarzy, drwiących z siwych wąsów i niezmiernej opasłości zwierzęcia. Spokojny mieszkaniec pałacu, zawałony odłamkiem kamienia w swej norze, wyciągnięty został na pół żywy i powieszony przez wesołych Owerniaków. Ze wstydu czy z uduszenia zdechł.

Przechodzień taką wygłosił mowę pogrzebową:

— Oto ten, co przez dziesięć lat był szczęśliwy.

Sic transit gloria mundi.

Po tygodniu dom został odnowiony, jak to Cagliostro zlecił budowniczym.

XLVII. JOANNA PROTEKTORKA

W dwa dni po wizycie u Boehmera książę kardynał de Rohan otrzymał list następującej treści:
„Jego Eminencja Kardynał de Rohan wie zapewne, gdzie będzie na kolacji dziś wieczorem?”

— Od mojej hrabianki — rzekł, wachając bilecik. — Oczywiście pójdę.

A oto dlaczego pani de la Motte pragnęła widzieć kardynała.

Spomiędzy pięciu lokajów, oddanych przez Eminencję na jej usługi, wyróżniła jednego czarnookiego bruneta o kwitnącej cerze sangwinika połączonej z solidniejszą karnacją wątrobiarza; Dla lotnej obserwatorce były to wszystko symptomy ustroju aktywnego, pojętnego i zacieklego wezwała go i w ciągu kwadransa wymogła na jego uległości i przenikliwości wszystko, co chciała.

Człowiek ten śledził kardynała i opowiedział, że Eminencja po dwakroć odwiedzał panów Bossange'a i Boehmera.

Joanna wiedziała już. Kardynał de Rohan przecież się nie targuje, a taki kupiec jak Boehmer nie wypuści podobnego nabywcy. Naszyjnik niezawodnie był sprzedany.

Boehmer sprzedał, kardynał kupił... ale jej, powiernicy i swojej kochance, nie wspomniał o tym ani słowem... Zły to znak... Joanna zmarszczyła czoło, przygryzła wąskie usta i napisała bilecik.

Kardynał stawiał się wieczorem, poprzedzony koszem tokaju i przeróżnych nowalijek, tak jak gdyby wybrał się na kolacją do Guimardki lub panny Dangeville.

Niuanse takie nie uchożyły uwagi Joanny. Nie kazała podawać nic z tego, co przysłał kardynał, a zaczawszy rozmowę z pewną czułością, kiedy zostali sami, rzekła:

— Ach, Eminencjo, bardzo mą martwię jedną rzeczą...

— Co takiego, droga hrabino? — zapytał de Rohan z nienaturalną afektacją, która udaje tylko przejęcie.

— Smucę się, Eminencjo, że już mnie nie kochasz, żeś mnie nigdy nie kochał...

— O, hrabino!

— Nie tłumacz się, książę, to szkoda czasu...

— Mojego? — zapytał kardynał z galanterią.

— Przeciwnie, mojego — powiedziała twardo pani de la Motte. — Zresztą...

— O, hrabino — przerwał kardynał.

— Nie rozpaczaj, książę, dla mnie to obojętne zupełnie..

— Obojętne, czy kocham cię, czy nie?

— Tak.

— Powiedz mi, dlaczego?

— Dlatego, że i ja pana nie kocham.

— A wiesz, hrabino, to wcale zachęcające, co mi tu raczysz mówić.

— Rzeczywiście, nie zaczynamy od duserów, ale to jest fakt i musimy go przyjąć takim jaki jest.

— Na czym opierasz to przypuszczenie?

— Na tym, że nigdy pana nie kochałam więcej, niż pan kochał mnie...

— O, co do mnie, nie mów tak, hrabino! — zawołał książę. — Ja miałem dla ciebie wiele uczucia. Nie kładź mnie do tej samej beczki.

— No, książę, miejmy dla siebie tyle szacunku, żeby mówić prawdę.

— Cóż jest prawdą?

— To, że nie miłość nas łączy.

— A tylko co?

— Interes.

— Interes? Fi, hrabino!

— Wiesz, księżę, co chłop normandzki powiedział do syna na szubienicy? „Jeżeli ci nie dogadza, to choć innym jej nie obrzydź.” Łatwo to powiedzieć „fi”, Eminencjo.

— Dobrze, hrabino. Przypuśćmy, że jesteśmy oboje nastawieni merkantylnie. W czym ja mógłbym ci pomagać lub pani mnie?

— Najpierw i przede wszystkim mam wielką ochotę wyklócić się z panem.

— Proszę, hrabino!

— Nie ufasz mi, księżę, a zatem i nie szanujesz.

— Ja? Kiedyż to było?

— Czy zaprzeczysz, że wyciągnąwszy ze mnie z ręcznicę szczegóły, które i bez tego miałam szczerą ochotę wypowiedzieć...

— O czym, hrabino?

— O upodobaniu pewnej wielkiej damy do niektórych przedmiotów; postanowiłeś zaspokoić je, nie wspomniawszy nic przede mną.

— Wyciąganie szczegółów, zaspokajanie upodobań pewnej damy! Hrabino, nie rozumiem, jesteś zagadką, sfinksem! Aha, przyjrzałem się twarzy i szyi kobiecej, lecz nie widziałem jeszcze lwich pazurów... Zapewne pokażesz mi je obecnie.

— Nic panu nie pokażę, ponieważ nie masz już ochoty oglądać. Powiem ci tylko rozwiązanie zagadki: szczegóły, to co działo się w Wersalu; upodobanie pewnej damy, to brylanty; pewna dama, to królowa, a zadowolenie jej gustu, to kupno słynnego naszyjnika, który nabyłeś wczoraj od Boehmera i Bossange'a.

— Hrabino! — szepnęła kardynał błądy i zmieszany. Joanna patrzyła na niego uparcie.

— Przerażasz się, księżę? A czy wczoraj nie skończyłeś targu z jubilerami z ulicy Szkolnej?

Kardynał milczał. Rohan nie kłamał nawet przed kobietą. Zaczzerwienił się tylko, a ponieważ Joanna wiedziała, iż tej nieprzyjemności nigdy się kobiecie nie wybacza, wzięła go za rękę i odezwała się słodko:

— Przebacz, drogi księżę, chciałam ci tylko powiedzieć, że mnie nie znasz. Myślałeś, że jestem głupia i zła, wszak prawda?

— O, hrabino!

— Na koniec...

— Ani słowa więcej, hrabino; pozwól mi teraz mówić. Od dziś widzę jasno, z kim mam do czynienia. Spodziewałem się znaleźć w tobie ładną i dowcipną kobietę i rozkoszną kochankę; lecz ty jesteś kimś dużo więcej. Posłuchaj.

Joanna przysunęła się do kardynała nie puszczać jego ręki.

— Zostałaś moją kochanką, przyjaciółką, nie kochając mnie. Wszak sama to powiedziałaś? — ciągnął Rohan.

— I powtarzam to — dodała pani de la Motte. — Miałaś więc jakiś cel?

— Naturalnie.

— Jaki był ten cel, hrabino?

— Czy muszę go wyjaśniać?

— Nie, widzę go na dłoni. Chcesz przyczynić się do mojej fortuny, bo wiesz, że skoro ją osiągnę, przede wszystkim przysłużę się twojej. Czy się mylę?

— Nie mylisz się, Eminencjo, do tego właśnie dążyłam. Wierzaj mi tylko, że szłam do celu bez wstrętu, przeciwnie, droga była bardzo przyjemna...

— Milutka z ciebie kobieta, hrabino, dobrze się z tobą rozmawia o interesach. Otóż zgadłaś; jestem z całym szacunkiem oddany pewnej osobie.

— Stwierdziłam to na balu w Operze, mój książę.

— Uczucie to nie będzie nigdy odwzajemnione! Niech mnie Bóg strzeże, żebyś miał w to uwierzyć.

— Ech — powiedziała Joanna — kobieta zapomina czasem, że jest królową, a o ile wiem, tyleś pan wart, ile kardynał Mazarini.

— To także był przystojny mężczyzna — rzekł śmiejąc się de Rohan.

— I doskonały pierwszy minister — odparła Joanna spokojnie.

— Hrabino, przy tobie nie potrzeba myśleć ani mówić. Myślisz i mówisz za swoich przyjaciół. Tak, pragnę zostać ministrem. Wszystko za mną przemawia: urodzenie, znajomość spraw publicznych, przychylność dworów obcych i sympatie ludu francuskiego.

— Wszystko — rzekła Joanna — oprócz jednej, jedynej rzeczy...

— Oprócz nienawiści, chcesz powiedzieć.

— Tak, ze strony królowej, i to jest prawdziwa przeszkoda. Co lubi królowa, to i król wreszcie pokocha; co jest nienawistne, o tym i on słyszeć nie zechce.

— A ona mnie nienawidzi?

— No...

— Mówmy szczerze, nie wolno nam zatrzymywać się na tak pięknej drodze.

— A więc, Eminencjo, królowa nie bardzo cię lubi.

— A więc jestem zgubiony! I naszymi nie pomoże.

— Otóż co do tego, mylisz się, książę.

— Naszyjnik już kupiony!

— Tym lepiej, królowa dowie się, że pan ją kocha...

— O, hrabino!

— Wszak postanowiliśmy nazywać rzeczy po imieniu.

— Prawda. Więc nie tracisz nadziei, że zostanę pierwszym ministrem?

— Pewna jestem nawet.

— Byłbym niewdzięczny nie zapytawszy, jakie będą wtedy twoje wymagania?

— Powiem ci, książę, jak będziesz w możliwości je zadowolić.

— Dobrze, przypomnę ci...

— Dziękuję. A teraz siadajmy do stołu.

Kardynał ujął rękę Joanny i uściśnął z uczuciem, o jakim marzyła przed kilku dniami. Ale czas ten minął. Zabrała rękę.

— No i co, hrabino?

— Siadajmy do kolacji, powtarzam, książę.

— Nie jestem już głodny.

— No to rozmawiajmy.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— To pożegnajmy się...

— Jak to, odprowadzasz mnie? Czy takie ma być nasze przymierze?

— Jeżeli mamy być wzajemnie sobie wierni, bądźmy wierni samym sobie.

— Masz słuszość, hrabino, przebac, że cię nie zrozumiałem, przysięgam, że to ostatni raz.

Wziął jej rękę, podniósł do ust z szacunkiem i nie widział szatańskiego uśmiechu hrabiny, gdy mówił: „Ostatni raz”.

Joanna wstała i odprowadziła księcia do przedpokoju. Rohan przy rozstaniu szepnął do hrabiny:

— No i co mam robić?

— Czekaj, aż wrócę.

— Jedziesz do Wersalu?

— Tak, jutro.

— A kiedy będę miał odpowiedź?

— Natychmiast.

— A więc, protektorko moja, oddaję ci się zupełnie.

— Pozwól mi działać.

Z tymi słowy zawróciła do swego pokoju, położyła się do łóżka i patrząc na ślicznego Endymiona z marmuru, oczekującego przybycia Diany, wyszeptała:

— Stanowczo swoboda warta więcej.

XLVIII, JOANNA PROTEGOWANA

Władczyni takiej tajemnicy, pewna tak świetnej przyszłości, wsparta o dwie takie potęgi, Joanna czuła, że świat poruszy z posad. Przyznała sobie dwa tygodnie zwłoki, by w nowych warunkach smakować soczyste grono, które los zawieszał nad jej głową. Pokazała się u dworu już nie jako prosząca, nie jak żebraczka, wyciągnięta z nędzy przez panią de Boulainvilliers, lecz jako prawdziwa sukcesorka Walezjuszów, ze stutysięczną rentą, jako żona księcia i pana, jako faworyta królowej... aby potem w tej epoce intryg i burz rządzić państwem po owładnięciu króla poprzez Marię Antoninę...

Taka oto panorama rozwijała się w niewyczerpanej wyobraźni pani de la Motte.

W oznaczonym dniu skoczyła po prostu do Wersalu. Nie posiadała audiencjonalnej karty wstępu, ale ufna w swa szczęście pewna była, że wola jej przełamie etykiety.

I nie zawiodła się. Dworacy, nastawieni na odgadywanie życzeń państwa, zdążyli już zauważyć, że Maria Antonina chętnie przebywa w towarzystwie ładniutkiej hrabiny.

Dlatego jeden z woźnych pałacowych, pragnąc zwrócić na siebie uwagę królowej, stanął w przejściu, gdy wracała z kaplicy i niby od niechcenia odezwał się do jednego z panów, będących na służbie:

— Co uczynić, proszę pana, z hrabiną de la Motte, która nie posiada pozwolenia na audiencję?...

Królowa rozmawiała po cichu z panią de Lamballe. Usłyszawszy nazwisko de la Motte, przerwała rozmowę i odwróciła się pośpiesznie:

— Czy pani de la Motte Valois jest tutaj? — zapytała.

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

— Kto to mówił?...

— Ten oto woźny pałacowy.

Woźny uklonił się skromnie.

— Przyjmę hrabinę de la Motte Valois — rzekła królowa i poszła dalej. Zwróciła się jeszcze do woźnego:

— Zaprowadzisz ją do gabinetu kąpielowego.

Joanna, której woźny powtórzył, co królowa mówiła, sięgnęła do woreczka, lecz woźny wstrzymał ją z uśmiechem.

— Pani hrabino — rzekł — chciej pamiętać, aby w inny sposób mnie wynagrodzić.

Joanna schowała pieniądze.

— Masz słuszność, przyjacielu, dziękuję ci...

— Dlaczego — pomyślała — nie miałabym zaprotegować woźnego, który mi usłużył, skoro przecież robię to samo dla kardynała.

Maria Antonina przyjęła Joannę chłodno: żałowała być może, że tak łatwo udzieliła posłuchania.

— Królowa przypuszcza — myślała przyjaciółka pana de Rohan — że przychodzę żebrać... Gdy zacznę mówić, z pewnością się rozchmurzy... albo też każe mnie za drzwi wyrzucić.

— Nie miałam jeszcze sposobności mówić z królem o pani — rzekła królowa.

— O!... Wasza Królewska Mość była aż nadto dobrą dla mnie, nie pragnę niczego więcej... Przychodzę...

— Z czym pani przychodzisz? — przerwała królowa. — Nie prosiłaś o przyjęcie... Coś pilnego zatem skłoniło cię do przybycia?

— Pilnego i to nadzwyczaj... lecz mnie to nie dotyczy...

— Może mnie?... Mów więc, hrabino, słucham. Królowa zaprowadziła Joannę do łazienki, gdzie na nią oczekiwały pokojowe.

Hrabina widząc tak liczny orszak, nie rozpoczynała rozmowy.

Maria Antonina weszła do wanny i odprawiła służbę.

— Pani!... — rzekła Joanna. — Nie wiem, czy się ośmielę...

— Dlaczego?... Lecz domyślam się...

— Mówiłam już Waszej Królewskiej Mości, jak bardzo zobowiązana jestem kardynałowi de Rohan.

Królowa ściągnęła brwi.

— Nie wiem — powiedziała.

— Sądziłam...

— Mniejsza, mów dalej, hrabino.

— Otóż Jego Ekscelencja raczył przedwczoraj być u mnie.

— Ach!

— Chodziło o wsparcie dla ubogich.

— Bardzo pięknie, hrabino. Ja także coś dodam... tym twoim ubogim.

— Wasza Królewska Mość mnie nie rozumie. Miałam zaszczyt nadmienić, że o nic nie proszę Kardynał, podług zwyczaju, zachwalał dobroć królowej, łaskawość jej niewyczerpaną...

— I żądał, abym wzięła w opiekę jego protegowanych?

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

— Uczynię to nie dla kardynała, ale dla nieszczęśliwych, którzy mają zawsze prawo do mojego współczucia. Powiedz jednak kardynałowi, że nie mogę dać wiele...

— Niestety!... Mówiłam mu to i stąd pochodzi nieśmiałość, o której wspomniałam Waszej Królewskiej Mości.

— Ach!...

— Opowiedziałam kardynałowi całą wielkość miłosierdzia królowej, boleść Waszej Królewskiej Mości na widok nędzy, której wesprzeć nie można...

— Dobrze, dobrze...

— Mówiłam kardynałowi, że królowa jest niewolnicą swej dobroci. Poświęca się dla ubogich, którzy nieraz płacą jej niewdzięcznością. A przy tym obwiniałam siebie...

— Z jakiego powodu? — zapytała Maria Antonina słuchając pilnie, czy to dlatego, że bajeczka Joanny zainteresowała ją, czy też wyczuwając wyostrozonym umysłem, że za tą przydługą przedmową kryją się motywy bliżej jej osobiście dotyczące.

— Powiedziałam, że królowa dała mi znaczną sumę przed kilku dniami, że od dwóch lat ciągle w ten sposób postępuje z proszącymi o wsparcie, i że gdyby królowa była mniej tkliwa na nędzę, mniej wspaniałomyślna, posiadałaby obecnie miliony w kasie i nic by jej nie przeszkodziło kupić ów cudowny naszyjnik diamentowy, tak szlachetnie, tak wzniosie, lecz ośmielę się powiedzieć, tak niesłusznie pogardzony.

Królowa zaczerwieniła się i spojrzała bystro na Joannę. Oczywiście cała przemowa odnosiła się do słów ostatnich. Byłaby to zasadzka? Czy tylko czcze pochlebstwo? Z pewnością w takim stawianiu sprawy mogło kryć się jakieś niebezpieczeństwo. Ale w twarzy Joanny było tyle jaśniejszej słodyczy, niewinności, tyle czystej prawdy, iż nie można było posądzić jej o perfidię i służalczość.

A ponieważ jedną z głównych cech charakteru królowej była szlachetność, która niezmiernie wiąże się z siłą moralną, a ta znowu z umiłowaniem prawdy — Maria Antonina westchnęła:

— O tak, naszyjnik jest prześliczny, chciałam powiedzieć, był prześliczny i rada jestem, iż kobieta znająca się na tym, pochwała, żem go się wyrzekła.

— O gdyby pani wiedziała — zawołała Joanna, przerywając w porę królowej — jak łatwo poznać uczucia ludzi, jeśli się interesujemy tymi, których ci ludzie kochają!...

— Co pani chcesz przez to powiedzieć?

— Ze dowiedziawszy się o bohaterskim wyrzeczeniu się naszyjnika przez Waszą Królewską Mość, pan de Rohan zbladł śmiertelnie.

— Jak to, zbladł śmiertelnie?...

— Łzy oczy mu napęłniły... Nie wiem, czy, jak wszyscy utrzymują, pan de Rohan jest pięknym mężczyzną i wytwornym panem, wiem tylko, że w owej chwili twarz jego ożywiona ogniem wewnętrznym i zalana łzami, wywołanymi bezinteresownym, co mówię... nadludzkim wyrzeczeniem się naszyjnika przez Waszą Królewską Mość, twarz ta nie wyjdzie nigdy z mojej pamięci.

Królowa odczekała chwilę, by wylać wodę z dzioba złoconego łabędzia, który pływał w marmurowej wannie.

— Radzę ci, hrabino — odezwała się królowa — abyś nie dała poznać panu de Rohan, iż go znajdujesz takim pięknym i doskonałym. Prałat to bardzo światowy, pasterz, który więcej pragnie owieczek dla siebie niż dla Stwórcy.

— O!... Pani...

— Czyż go obmawiam?... Czyż sam nie szuka z tego chwały?... Widziałaś zapewne, jak podczas nabożeństwa wznosi piękne ręce w górę i porusza nimi, aby wydawały się bielsze. Istotnie, ręce ma piękne, a dewotki patrzą na te ręce i na pierścień pasterski; błyszczący na jego palcu, oczami, które iskrzą się mocniej niż diament kardynała.

— Zdobycze kardynała — ciągnęła królowa podniecona — są niezliczone, często nawet skandaliczne. Prałat jest kochliwy, jak tamci za czasów Frondy. Niech kto chce uwielbia go za to, ja nie mogę.

— Nie wiem, Najjaśniejsza Pani — przerwała Joanna, zadowolona z poufałości rozmowy — nie wiem, czy kardynał miał na myśli dewotki, gdy tak gorąco mówił o cnotach Waszej Królewskiej Mości, lecz wtedy pięknych rąk nie wznosił w górę, trzymał je na sercu.

Królowa poruszyła głowę, śmiejąc się z przymusem.

— Oho — pomyślała Joanna — czyżby lepiej mi poszło niż przypuszczałam? Czyżby sprzymierzeńcem naszym miał być ten gniew?... No, mielibyśmy mnóstwo ułatwień.

— Mów dalej, hrabino — rzekła królowa.

— Wasza Królewska Mość odbiera mi odwagę; niezwykła skromność, która odpycha uwielbienie...

— Uwielbienie kardynała? O, tak.

— Dlaczego, Najjaśniejsza Pani?

— Bo wydaje mi się ono bardzo podejrzane, hrabino.

— Nie wypada mi — odparła Joanna z szacunkiem — bronić tego, który miał nieszczęście popaść w niełaskę Waszej Królewskiej Mości i jest oczywiście winny, ponieważ nie podoba się królowej.

— Nie chodzi o podobanie się. Pan de Rohan mnie obraził. Ale ponieważ jestem królową i chrześcijanką, z tej podwójnej racji przebaczam urazy...

Wypowiedziała te słowa z majestatyczną dobrocią, jej tylko właściwą. Joanna zamilkła.

— Nie masz nic więcej do powiedzenia?

— Nie śmiem przeczyć królowej.

— Więc inne masz zdanie o kardynale?

— Zupełnie inne, Najjaśniejsza Pani.

— Nie mówiłabyś tak, gdybyś wiedziała, w czym zawinił książe Ludwik.

— Wiem tylko, co uczynił, aby usłużyć Waszej Królewskiej Mości.

— Tak, tak, słowami, grzecznościami, komplementami — ciągnęła królowa. — Jesteś, jak widzę, szczerą przyjaciółką pana de Rohan; nie chcę już napadać na niego przy pani.

I królowa roześmiała się.

— Pani — zaczęła Joanna — wolałam gniew Waszej Królewskiej Mości niż tę ironię. Uczucie kardynała jest pełne szacunku i gdyby wiedział, jak je wyśmiewają, umarłby z rozpaczy.

— Ho, ho! To się bardzo zmienił!

— Wasza Królewska Mość raczyła wspomnieć przed kilku dniami, iż kardynał już od lat dziesięciu był szalony...

— Żartowałam, hrabino — rzekła królowa surowo. Zdawało się królowej, że Joanna już się nie odezwie; myliła się jednak. Dla takich jak ona kobiet, z naturą tygrysa i węża, skupienie myśli i milczenie jest zwykle wstępem do ataku.

— Wszak mówiłaś o diamentach — odezwiała się królowa niebacznie. — Przyznaj, że miałaś to właśnie na myśli.

— Dzień i noc o nich myślę — podjęła Joanna z radością generała, który spostrzegł na polu bitwy decydujący błąd przeciwnika. — Takie przepyszne, tak będą do twarzy Waszej Królewskiej Mości.

— Jak to mnie?

— No tak, Waszej Królewskiej Mości.

— Przecież już sprzedane?

— Tak, sprzedane.

— Ambasador portugalski je nabył? Joanna zaprzeczyła ruchem głowy.

— Więc to nieprawda? — zapytała królowa z radością.

— Nieprawda, Najjaśniejsza Pani.

— Któż je zatem kupił?

— Pan de Rohan. Królowa podskoczyła, ale zaraz spoważniała.

— Ach, to tak — rzekła.

— Tak, Najjaśniejsza Pani — mówiła Joanna z uniesieniem. — To, co uczynił pan de Rohan, to był wspaniały poryw, ktoś o takiej duszy jak Wasza Królewska Mość nie może nie czuć sympatii dla dobroci i wrażliwości. Za ledwie pan de Rohan dowiedział się ode mnie — przyznaję się do tego — o chwilowych kłopotach królowej: „Jak to! — zawołał. — Królowa Francji pozbawia się ozdoby, której nie odmówiłaby sobie żona generalnego dzierżawcy? Jak to! Monarchini byłaby narażona na oglądanie w tych diamentach choćby szyi pani Necker?”

Pan de Rohan nie wiedział, że ambasador portugalski pertraktował z jubilerami. Powiedziałam mu o tym, wtedy oburzenie jego miary nie miało. — „Tu już nie chodzi o przyjemność królowej — mówił — lecz o godność majestatu. Znam ja dobrze dwory zagraniczne, ich fomy i próżność. Żartowano by z ubóstwa królowej Francji, że nie jest nawet w stanie dogodzić słusznemu upodobaniu. I ja miałbym pozwolić na coś podobnego? Nigdy!” Nagle wybiegł z pokoju a w godzinę później dowiedziałam się, że kupił naszyjnik.

— Za półtora miliona?

— Za milion sześćkroć sto tysięcy.

— I po cóż go nabywał?

— Ponieważ nie mógł należeć do królowej, nie chciał, aby należał do innej kobiety.

— Pewna jesteś, pani, że pan de Rohan kupił naszyjnik nie w hołdzie dla którejś z kochanek?

— Jestem pewna, że wolałby go zniszczyć, niż widzieć, że lśni na szyi innej kobiety.

Maria Antonina wpadła w zadumę. Na jej szlachetnej twarzy widać było wszystko, co się rozgrywa w jej duszy.

— Pan de Rohan postąpił ładnie — powiedziała — zacie i delikatnie.

Joanna chłoneła wyrazy.

— Podziękuj, hrabino, panu de Rohan.

— Uczynię to z radością.

— Dodaj, pani, że przekonałam się o jego przyjaźni jako kobieta uczciwa; jak to mawiała Katarzyna, przyjmuję wszystko od przyjaźni na zasadach rewanżu. Nie przyjmuję więc daru od pana de Rohan...

— Jak to, Najjaśniejsza Pani?...

— Lecz pożyczkę... Pan de Rohan zechciał wypożyczyć pieniądze czy użył kredytu swego dla zrobienia mi przyjemności. Zwrócę mu to. Boehmer żądał zaliczki z pewnością?

— Tak, pani.

— Ile? Dwieście tysięcy liwrów?

— Dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

— Jest to moja kwartalna pensja, przeznaczona przez króla... Przesłano mi ją dziś rano, wiem, że trochę przedwcześnie, ale przysłano już.

Królowa zadzwoniła gwałtownie, pokojowe nadbiegły, owinęły ją w cienkie, ogrzane batysty, a następnie ubrały.

Pozostawszy sama z Joanną w swoim pokoju, powiedziała do hrabiny:

— Otwórz, proszę, tę szufladkę.

— Pierwszą?

— Nie, drugą. Czy jest pugilares?

— Jest, Najjaśniejsza Pani.

— Zawiera on dwieście pięćdziesiąt tysięcy liwrów. Niech pani przeliczy.

Joanna przeliczyła.

— Oddaj to kardynałowi i podziękuj. Powiedz mu, że co miesiąc otrzyma taką sumę. W ten sposób będę miała naszyjnik, który mi się podobał i chociaż będę musiała oszczędzać, nie narażę przynajmniej szkatuły królewskiej...

Zamyśliła się na chwilę.

— Skorzystałam nawet dużo — ciągnęła — poznawszy przy tej sposobności przyjaciela pełnego delikatności i poświęcenia...

Wyciągnęła rękę.

— I przyjaciółkę, która mnie odgadła — dodała podając rękę Joannie, a ta ucałowała ją z namaszczeniem.

Następnie, gdy hrabina miała już wychodzić, królowa, zawahawszy się, zaczęła cicho, jakby obawiając się słów własnych:

— Hrabino, uwiadomisz pana de Rohan, iż będzie mile widziany w Wersalu i że sama mu podziękuję.

Joanna wypadła z gabinetu pijana z radości i dumy. Cisnęła banknoty do siebie jak jastrząb swoją zdobycz.

XLIX. PUGILARES KRÓLOWEJ

Cały ciężar fortuny — dosłownie i w przenośni — jaką wiozła Joanna de Valois, dał się najbardziej odczuć koniom, które ją unosiły. Musiały pędzić jak na wyścigach, te nędzne szkapy najęte wraz z kareta. Stangret poganiany przez hrabinę pozwalał jej myśleć, że unoszą ją najlotniejsze elizejskie rumaki i że pan ich zasłużył na dwa talenty złota, a one jeszcze na potrójną porcję pęczaku.

Kardynał nie wyszedł jeszcze z domu, gdy pani de la Motte, na oczach całego świata, zajechała przed pałac. Kazała się oznać z większą ostentacją niż nawet u królowej.

— Powracasz, pani, z Wersalu? — zapytał.

— Tak, Eminencjo.

Kardynał chciał wzrokiem przeniknąć Joannę; widziała jego smutek i niepewność, nic jej jednak nie wzruszyło, milczała.

— Jakież nowiny? — dodał.

— Co chcesz wiedzieć, Eminencjo? Mów proszę, żebym tylko nie doznała zbyt wielu wyrzutów.

— A, hrabino, mówisz to w sposób...

— Zasmuczający, nieprawdaż?

— Zabójczy.

— Chciałbyś pan, abym się widziała z królową?

— Tak.

— Widziałam ją... Żądałeś, abym mówiła o panu z królową, która tylekroć podkreślała swą niechęć i która nie lubi nawet słyszeć pańskiego imienia?

— Widzę, że trzeba się wyrzec nadziei...

— O nie, mówiłyśmy z królową o kardynale de Rohan.

— To znaczy, pani byłaś łaskawą wstawić się za mną?

— Rzeczywiście.

— Jej Królewska Mość... raczyła słuchać?

— Zaraz to panu wyjaśnię.

— Nie mów nic, hrabino, domyślałam się, że Najjaśniejsza Pani okazała wstręt niepokonany.

— No, nie tak znów straszny... Wspomniałam o naszymyjniku.

— Ośmieliłaś się pani dać do zrozumienia...

— Że kupiony dla niej?... Tak.

— O, hrabino, jesteś niezrównana! Królowa słuchała cierpliwie?

— Ależ tak. — Powiedziałaś zatem, że ofiaruję jej te diamenty?

— Odmówiła stanowczo.

— Jestem zgubiony!

— Odrzuciła podarunek, lecz pożyczkę...

— Pożyczka!... Potrafiłaś więc tak delikatnie rzecz tę obrócić.

— Tak delikatnie, że przyjęła.

— Ja pożyczam królowej, ja!... Hrabino, czy to możliwe?

— To większe ma znaczenie niż podarunek, prawda? — Ależ tysiąc razy większe!

— Myślałam tak samo. Dostyc, że Najjaśniejsza Pani zgadza się.

Kardynał wstał, po czym znów usiadł, przysunął się do Joanny i biorąc jej rękę:

— Nie zwódź mnie — rzekł. — Pomyśl, że jednym słowem możesz mnie uczynić najnędnym z ludzi.

— Nie igra się z namiętnością, Eminencjo; to są rzeczy smutne, a człowiek na pańskim stanowisku i o pańskich zasługach nie może być śmieszny.

— To prawda. Zatem wszystko, co mi powiedziałaś...

— Jest najświętszą prawdą.

— Więc łączy mnie z królową tajemnica?

— Tajemnica... do grobowej deski.

Kardynał podbiegł do Joanny i uściskał ją serdecznie za rękę.

— Lubię taki przyjacielski uścisk — rzekła hrabina.

— Jestem szczęśliwy, aniele mój opiekuńczy. — Nie przesadzaj, Eminencjo.

— Tak, radość, wdzięczność moja...

— Przesadzasz w jednym i w drugim. Czy pragnąłeś jedynie pożyczyć królowej półtora miliona? Kardynał westchnął.

— Buckingham wymagał czegoś więcej od Anny Austriackiej, po zasypaniu perłami komnaty królewskiej.

— Nie śmiem marzyć nawet o tym, co otrzymał Buckingham.

— Wytłumaczysz to królowej, Eminencjo, ponieważ kazała oznajmić, że z przyjemnością ujrzy cię w Wersalu.

Zaledwie wymówiła te słowa, gdy kardynał zbladł, jak młodzieniec przy pierwszym pocałunku miłości.

— To tak się rzeczy mają! — pomyślała Joanna. — — Marzyłam o parostwie, o stu tysiącach dochodu, zmieniam zdanie i muszę mieć tytuł księżnej i pół miliona renty. O, skoro panem de Rohan kieruje nie ambicja, nie chciwość, lecz miłość!

Kardynał opamiętał się wkrótce.

Radość nie zabija nikogo, a ponieważ posiadał zmysł praktyczny, uznał za stosowne pomówić z Joanną o interesach, by zapamiętała, że pozwolił sobie tak długo mówić o uczuciach.

— Przyjaciółko moja — zaczął, obejmując ją — jak królowa myśli spłacać pożyczkę, którą jej zaproponowałaś?

— Pytasz mnie pan dlatego, iż królowę podejrzewa się powszechnie o brak pieniędzy?

— Tak jest.

— Otóż królowa ma zamiar wypłacać panu tak jak Boehmerowi, z tą różnicą, że gdyby od niego wprost kupiła, cały Paryż wiedziałby, co jest niepodobieństwem, po głośnym rzeczeniu się tej sumy na budowę okrętu, a gdyby król jeszcze okazał niezadowolenie, naród by słusznie mógł się oburzyć. Królowa chce zatem wejść w posiadanie diamentów partiami i partiami płacąc. Pan ułatwisz jej to, będziesz kasjerem delikatnym i pobłażliwym w razie, gdyby nie była w stanie jakiej raty na czas dostarczyć. Obecnie zaś jest nad wyraz zadowolona i płaci gotówką. Nie żądaj pan więcej.

— Jak to! Płaci?

— Królowa, jako kobieta rozumna, wie dobrze, że pan masz masę długów; nie należy też do przyjaciółek, przyjmujących prezenty; za rozumna jest na to. Gdy jej powiedziałam, że wyłożyłeś już pan dwieście pięćdziesiąt tysięcy liwrow...

— Powiedziałaś jej?

— Po cóż miałam milczeć? — To mogło ją zniechęcić.

— Właśnie, że to był powód do przyjęcia. „Nic darmo” — takie jest godło królowej.

— O, mój Boże!

Joanna spokojnie wyjęła pugilares z kieszeni.

— Co to jest? — zapytał de Rohan.

— Pugilares, w którym są bilety bankowe na dwieście pięćdziesiąt tysięcy liwrów.

— Naprawdę?

— Królowa przesyła je panu wraz z podziękowaniem.

— Och!...

— Sama rachowałam.

— Nie o to mi chodzi.

— Więc czemu się pan tak przypatrujesz?

— Patrzę na pugilares; nie widziałem go u pani.

— Podoba się panu? Nie jest przecież ani kosztowny, ani, ładny.

— Nie wiem dlaczego, ale bardzo mi się podoba.

— Ma pan dobry gust.

— Mówisz tak, bo żartujesz ze mnie.

— Wcale nie, mówię, bo ma pan taki sam gust jak królowa.

— Więc ten pugilares?...

— Należał do królowej, Eminencjo.

— Czy bardzo ci na nim zależy?

— O bardzo!

Pan de Rohan westchnął.

— Pojmuję — powiedział

— Jednak, jeżeli to panu sprawi przyjemność... — rzekła hrabina z uśmiechem, który by obalamucił świętego.

— Bez wątpienia, lecz nie chciałbym pani pozbawiać...

— Weź go pan, proszę.

— Hrabino! — zawołał kardynał w porywie radości. — Jesteś przyjaciółką najsubtelniejszą, najdomyślniejszą, naj...

— Tak, tak.

— Niech to zostanie między nami.

— Na wieki. Aż po grób, jak się to zwykle mówi... Nie, zasługę to ja mam tylko jedną...

— Jaka?

— Tę, że zajęłam się pańskimi sprawami bardzo gorliwie i z dużą dozą szczęścia.

— Jeśli tylko tyle masz pani szczęścia, to moja droga i ja mogę się pochwalić, że coś dla ciebie uszczknałem, bo gdy byłaś w Wersalu, ja także pracowałem dla ciebie.

Joanna spojrzała na kardynała zdziwiona.

— Och, drobnostka, moja droga — rzekł. — Bankier mój zaproponował mi kupno akcji na jakieś tam przedsiębiorstwo, nie wiem, osuszania czy eksploatacji błot. Widziałem, że to zyskowne i przyjąłem.

— Bardzo roztropnie pan zrobił!

— Przekonasz się, że w pamięci stawiam cię na pierwszym miejscu.

— Choćby na drugim, to i tak nad moje zasługi.

— Wziąłem dwieście akcji, z których czwartą część dla ciebie.

— O, Eminencjo!

— Posłuchaj dalej. We dwie godziny bankier mój powrócił. Wieść, że ja wziąłem taką masę akcji, spowodowała nagłą hossę — sto na sto. Przyniósł mi zatem sto tysięcy liwrów.

— To śliczny interes!

— Oto twoja część, kochana hrabino, chciałem powiedzieć, droga przyjaciółko.

Wyjął z pugilaresu królowej dwadzieścia pięć tysięcy liwrów i wsunął w rękę Joannie.

— Słusznie, Eminencjo, ręka rękę myje. To mi pochlebia najwięcej, że myślałeś o mnie.

— Zawsze tak będzie — odrzekł kardynał, całując ją w rękę.

— Możesz być pewny wzajemności, Eminencjo. Do zobaczenia w Wersalu.

I pożegnała kardynała zostawiwszy mu wykaz terminów, w których królowa obowiązała się płacić.

Pierwszy przypadał za miesiąc, na sumę pięćkroć sto tysięcy.

L. SPOTYKAMY SIĘ ZNOWU Z DOKTOREM LOUIS

Być może czytelnicy nasi będą nam wdzięczni, że przeniesiemy się teraz do przedpokoju małych apartamentów w Wersalu, skoro tylko przypomną sobie, w jak bardzo przykrym położeniu zostawiliśmy tam pana de Charny, walecznego marynarza, który nie bał się ludzi ani żywołów, a który uciekł ze strachu, aby nie zemdleć w obecności trzech kobiet: królowej, Andrei i pani de la Motte.

Dotarwszy do połowy przedpokoju pan de Charny rozumiał, że nie zrobi ani kroku dalej, zachwiał się, wyciągnął ręce przed siebie i stracił przytomność; gdyby go nie pochwyciono, runąłby na ziemię. Młody oficer doszedł do siebie dość szybko i nawet nie domyślał się, że wszystko to widziała królowa i że gotowa była biec z pomocą, gdyby jej nie powstrzymała Andrea, nie przez zimne poczucie przyzwoitości, ale raczej przez rozpaloną zazdrość.

Dobrze się zresztą stało, iż królowa usłuchawszy Andrei, wróciła do pokoju, bo zaledwie drzwi się za nią zamknęły, usłyszała przytłumiony głos strażnika:

— Król idzie!

Rzeczywiście król wychodził ze swoich apartamentów na taras zamkowy, pragnąc przed posiedzeniem rady ministrów obejrzeć swoje powozy do polowania, uważał bowiem, że od niejakiego czasu nie są utrzymywane z należytą starannością. W otoczeniu świty wszedł do przedpokoju i tu raptem zatrzymał się zobaczywszy jakiegoś wojskowego przechylonego przez parapet okna oraz dwóch gwardzistów służbowych, którzy usiłowali mu przyjść z pomocą, ogromnie zaambarasowani, ponieważ nie zdarzyło im się widzieć oficerów mdlejących ni stąd ni zowąd.

— Panie! Co się panu stało? — zapytał król.

Ale Charny nie mógł zdobyć się na wypowiedzenie słowa. Król zrozumiał, że to coś poważnego, zbliżył się.

— Ten człowiek zemdleł! — zawołał.

Na głos króla gwardziści wyprostowali się machinalnie i puścili pana de Charny, który padł, a raczej osunął się z jękiem na płyty posadzki.

— Panowie, co wy robicie! — zawołał król. Pospieszono z ratunkiem, podniesiono pana de Charny, który omdlał ponownie i posadzono go na fotelu.

— Ależ — powiedział król, poznając młodego oficera — wszak to pan de Charny.

— Pan de Charny? — powtórzyli obecni.

— Tak, to on, siostrzeniec pana de Suffren. Słowa te wywarły skutek magiczny.

W jednej chwili oblano Charny'ego różnymi wodami pachnącymi, jak gdyby go otaczało co najmniej dziesięć kobiet. Przywołano doktora, który skwapliwie zbadał chorego. Zawsze ciekawy spraw nauki, współczujący każdemu cierpieniu, król wziął udział w konsultacji. Doktor rozpiął kamizelkę i koszulę, aby młody człowiek mógł oddychać swobodniej, lecz znalazł to, czego nie szukał.

— Ranny! — zawołał król z wzrastającym zajęciem i zbliżył się chcąc zobaczyć na własne oczy.

— Tak, tak — wyszeptał de Charny, próbując się podnieść i wodząc dokoła błędnym wzrokiem. — Dawna rana otworzyła się.. Ale to nic... nic...

I uścisnął nieznacznie palec doktora.

Lekarz powinien rozumieć wszystko; to nie był jednak doktor dworski, tylko chirurg wersalskiej czeladzi. Chciał sobie dodać powagi.

— Rana dawna?... Tak się panu podoba mówić; brzegi są zanadto świeże, krew za czerwona, rana ta nie ma więcej nad dwadzieścia cztery godziny.

Charny, któremu to zaprzeczenie powróciło siły, zerwał się na nogi i rzekł:

— Nie potrzebuję, abys mnie pan uczył, kiedy byłem ranny; mówiłem raz i powtarzam, że jest dawna.

Teraz dopiero spostrzegł i poznał króla. Zapiął kamizelkę, zawstydzony, że miał tak dostojnego świadka słabości.

— Och, Jego Królewska Mość! — powiedział.

— Tak, panie de Charny, ja sam, i błogosławię niebu, że przyszedłem tutaj, aby ci pomóc choć trochę.

— Małe draśnięcie, Najjaśniejszy Panie, stara rana, nic więcej.

— Dawna czy świeża — rzekł Ludwik XVI — lecz płynie z niej krew szacowna, krew walecznego szlachcica...

— Któremu dwie godziny spoczynku przywróca zdrowie — szepnął Charny. Mówiąc to, chciał się podnieść, lecz przeliczył się z siłami, zakręciło mu się w głowie i padł z powrotem na fotel.

— On jest poważnie chory — rzekł król.

— O, tak, lecz sądzę, że będzie go można ocalić — powiedział doktor dyplomatycznie, licząc na przyszły awans.

Król był zacnym człowiekiem, domyślił się, że Charny coś ukrywa i nie chciał w to wnikać. Ktoś inny może badałby doktora, który miał wielką ochotę mówić, ale Ludwik XVI uważał, że tajemnica to rzecz święta i należy tylko do właściciela.

— Nie chcę — rzekł — aby panu de Charny miało się coś niedobrego przydarzyć, gdyby wracał w tym stanie do domu. Da mu się opiekę w Wersalu. Niech poślą w tej chwili po jego wuja, pana de Suffren. Temu panu — wskazał na doktora — proszę podziękować za pomoc i przywołać mojego domowego chirurga, doktora Louis. Zdaje się, że ma teraz służbę.

Jeden z oficerów pobiegł wykonać rozkazy królewskie, dwóch innych wzięło pana de Charny i przeniosło na koniec galerii, do pokoju oficerów gwardii królewskiej. Całe to zdarzenie trwało o wiele krócej niż rozmowa królowej z panem de Crosne.

Pana de Suffren wezwano, a doktor Louis przyszedł zastąpić przygodnego lekarza.

Doktora Louis już znamy. Wiemy, że był to człowiek rozumny i skromny, o inteligencji nie błyskotliwej wprawdzie, lecz użytecznej; dzielny pracownik na przeogromnej niwie nauki — gdzie to wszelkie zaszczyty spadają na żniwiarza, choć nie mniej godzin chwały jest oracz. Zza pleców chirurga, który badał właśnie chorego, wysunął się pan de Suffren. Słynny marynarz nie mógł zrozumieć tego omdlenia, tej nagłej niemocy. Ujął za rękę pana de Charny, zajrzał mu w zapadłe oczy i zawołał:

— Dziwne, dziwne doprawdy! Wiesz, doktorze, że siostrzeniec mój nigdy nie chorował?

— To niczego nie dowodzi, panie bailly — odrzekł doktor.

— To chyba powietrze w Wersalu jest tak niezdrowe, bo, powtarzam, przez dziesięć lat widziałem chłopaka na morzu i zawsze był rześki i prosty jak maszt.

— To z powodu rany — odezwał się jeden z oficerów.

— Jakiej rany? — wykrzyknął admirał. — Oliwier nigdy w życiu nie był ranny.

— Och, przepraszam — odrzekł oficer, pokazując skrwawioną koszulę. — Sądziłem...

— Dobrze, dobrze — przerwał doktor, trzymając za puls chorego. — Czyż będziemy spierali się o powód choroby? Widzimy co jest i starajmy się uzdrowić, jeśli to możliwe.

Komandor lubił mowę stanowczą, odzwyczyił swoich chirurgów okrętowych od owijania słów w bawełnę.

— Czy to jest niebezpieczne? — zapytał, starając się pokryć wzruszenie.

— Tyle co zadrażnienie brzytwą podbródka.

— To dobrze. Podziękujcie, panowie, królowi. Oliwierze kochany, przyjdę cię odwiedzić.

Oliwier poruszył palcami i powiekami, jakby chciał podziękować wujowi, że odchodzi i lekarzowi, że zostaje. Rad był, że leży już w łóżku, że nareszcie dostał się pod opiekę dobrego i rozumnego człowieka. Udał, że zasypia.

Doktor odprawił wszystkich.

Oliwier rzeczywiście zasnął podziękowawszy niebu za wszystko, co mu się przydarzyło, a raczej czego ostatecznie uniknął w tak poważnych okolicznościach. Wkrótce dostał silnej gorączki Gorączka odrodzicielka cudowna, owa odwieczna życiodajna siła, która krwią spływa w żyły człowieka i która wysługując się zamiarom boskim czyli dobru ludzkości, albo wszczepia zdrowie choremu, albo porywa żyjącego spośród zdrowych.

Rozpalony gorączką Oliwier nadal przetrawiał w myślach zajścia z Filipem, z królową, z królem, pomieszało mu się to wszystko, począł majaczyć. Po kilku godzinach słyhać go było nawet w galerii, gdzie stała warta. Zmiarkowawszy to doktor zawołał swego lokaja i kazał mu wziąć pacjenta na ręce. Oliwier krzyczał żałośnie.

— Zarzuć mu kołdrę na głowę.

— Co z nim robić? — rzekł lokaj. — Ciężki jest i broni się. Zawolałam do pomocy którego z panów gwardzistów.

— Czyś zmokła kura, czy co, że się boisz chorego? — zawołał stary lekarz. — Jeżeli za ciężki na twoje siły, niezdatny jesteś do służby u mnie. Powrócisz do Owernii...

Groźba poskutkowała. Charny krzyczał, wił się, bredził, wywijął rękami, lecz Owernijczyk porwał go jak piórko i wyniósł ku wielkiemu zdziwieniu straży przybocznej.

Oficerowie wypytywali doktora Louis.

— Panowie — rzekł głośno, starając się przekrzyczeć wrzaski Charny'ego — zrozumcie, że nie mogę co godzina iść milę drogi dla odwiedzenia pacjenta, poleconego mi przez króla, a wasza galeria jest na końcu świata...

— Dokąd go zabierasz, doktorze?

— Do siebie, moi kochani, bo jestem leń. Mam tu, jak wiecie, dwa pokoje, w jednym z nich umieszczę chorego. A pojutrze, jeśli nikt nie przeszkodzi, dam wam wiadomość.

— Ależ, doktorze — rzekł oficer — z nami byłoby nale; kochamy wszyscy pana de Suffren i...

— Tak, tak, znam ja te koleżeńskie usługi. Ranny ma pragnienie, koledzy są troskliwi, dają mu, co chce, a potem umiera. Niech diabli wezmą taką przyjaźń panów gwardzistów. W ten sposób wyprawiono mi już na tamten świat z dziecięciu pacjentów.

Doktor jeszcze mówił, a Oliwiera już nie można było dosłyszeć.

— Owszem — zastanowił się czcigodny lekarz — to dobrze, to bardzo mądrze pomyślane... Żeby tylko król nie zechciał go odwiedzić, a jak zobaczy... to i usłyszysz... Do diabła, nie można się wahać. Idę uprzedzić królowę... Niech poradzi...

Pocziwy doktor, powziąwszy postanowienie, z szybkością człowieka liczącego się z czasem skropił twarz chorego zimną; wodą, położył go do łóżka i zabezpieczył, aby się nie potłukł, spadając.

Następnie pozamykał okiennice, drzwi zamknął na dwa spusty, klucz włożył do kieszeni i poszedł do królowej, przekonawszy się jeszcze, czy bredzeń Oliwiera nie słyhać z zewnątrz. Dla wszelkiego bezpieczeństwa zamknął z chorym i Owernijczyka.

Wychodząc spotkał panią Misery, przyslaną przez królową po wiadomości. Nalegała, że koniecznie musi zobaczyć rannego.

— Chodź, pani — rzekł — bo i ja wychodzę.

— Ale, doktorze, królowa oczekuje!...

— Idę właśnie do królowej.

— Królowa pragnie...

— Królowa dowie się o wszystkim, czego sobie życzy. Ja ci to mówię, pani. Chodźmy prędzej!

I ruszył przodem tak żwawo, że dama dworu musiała dopędzać go biegnąc.

LI. AEGRI SOMNIA

Maria Antonina oczekiwała powrotu pani de Misery, lecz nie czekała na doktora. Ten jednak wszedł bezceremonialnie.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł głosem podniesionym — chory, którym się Wasze Królewskie Moście interesują, miewa się o tyle dobrze, o ile to możliwe przy gorączce.

Królowa wiedziała doskonale, iż doktor ma wstręt do ludzi, którzy, jak się wyrażał, wrzeszczą na całe gardło, a są tylko na wpół chorzy. Wyobrażała sobie, że Charny trochę przesadza. Kobiety mocne mają skłonność uważać mocnych mężczyzn za słabeuszy.

— Ta jego rana — powiedziała — to śmiechu warte...

— Ej, ej — przerwał doktor.

— Jakieś zadrapanie...

— Bynajmniej, Najjaśniejsza Pani. Zresztą zadrapanie czy rana, to wszystko jedno, ważne jest, że gorączkuje.

— Biedny chłopiec!... Czy to silna gorączka?

— Niezwykle silna.

— Nie przypuszczałam — przeraziła się królowa — żeby tak... zaraz gorączka...

Doktor patrzył pilnie na królowę.

— Gorączka gorączce nierówna — odpowiedział.

— Mój drogi Louis, cóż to, straszysz mnie pan? Zawsze taki pełen otuchy... Zupełnie cię dzisiaj nie poznaję...

— Nic nadzwyczajnego.

— Ech, wierzysz się pan, oglądasz na prawo i lewo, masz minę, jakbyś chciał zwierzyć mi jakąś wielką tajemnicę.

— Wcale nie twierdzą, że tak nie jest.

— Czy to sekret w związku z gorączką?

— Tak jest.

— Z gorączką pana de Charny?

— Owszem.

— I przychodzisz, aby mi powiedzieć o tym?

— Oczywiście.

— Mówże prędko! Wiesz, że jestem ciekawa. No, zaczynaj od początku.

— Otóż, proszę pani...

— Czekaam, doktorze.

— Nie, to ja czekam.

— Na co?

— Żeby mi Wasza Królewska Mość raczyła zadawać pytania. Opowiadam fatalnie, lecz zapytany, prawie jak z książki.

— A więc zaczynam. Co jest panu de Charny?

— Nie tak, to zły początek. Zapytaj, Najjaśniejsza Pani, dlaczego zabrałem pana de Charny do jednego z dwóch moich ciasnych pokoików, zamiast go zostawić w galerii lub w kordegardzie?

— Dobrze, pytam o to, gdyż to rzeczywiście bardzo dziwne.

— Otóż, nie chciałem zostawić pana de Charny ani tu, ani tam, ponieważ gorączka pana de Charny jest... ekstraordynaryjna.

W wyrazie twarzy królowej odbiło się głębokie zdziwienie.

— Pan de Charny w gorączce gada głupstwa.
— O, mój Boże! — zawołała królowa, składając ręce.
— A w dodatku — ciągnął Louis, podchodząc bliżej — biedny chłopiec wygaduje mnóstwo rzeczy wcale niestosownych dla uszu panów ze straży królewskiej lub kogokolwiek bądź innego.
— Doktorze!
— Ba, nie trzeba było mnie wypytywać, kiedy pani nie chciała, abym odpowiadał.
— Mów, mów, kochany doktorze! — odezwała się królowa, biorąc za rękę zacnego lekarza.
— Może ten młody człowiek jest ateuszem i bluźni w gorączce?..
— Wcale nie, wcale nie. Przeciwnie. Ma swoją religię bardzo głęboko zaszczepioną.
— To jest egzaltacja.
— Och, och, to doskonale określenie... egzaltacja.
— Pan de Charny jest mi polecony jako siostrzeniec naszego bohatera, pana de Suffren. Mnie osobiście oddał wielką przysługę. Chcę być dla niego jak krewna, jak przyjaciółka... Powiedz pan prawdę całą; powinnam i chcę ją usłyszeć.

Królowa wypowiedziała to z najzimniejszą krwią i całkowicie opanowanym wyrazem twarzy, nie zdradzając swych uczuć, co jest dla wielkich tego świata — przywykłych do poszanowania własnej godności — koniecznym atrybutem władzy.

— Ja nie mogę powiedzieć — odparł: Louis — ponieważ jednak Wasza Królewska Mość tak bardzo pragnie poznać prawdę, znam tylko jeden sposób: niech Wasza Królewska Mość sama posłucha. Jeżeli ten młody człowiek mówi coś niedorzecznego, królowa nie będzie się gniewać ani na niedyskrecję, która wyświeciła tajemnicę, ani na nieroztropność, która mogła ją zatuszować.

— Cenię twoją przyjaźń, doktorze — zawołała królowa. — A odkąd to pan de Charny mówi dziwne rzeczy w gorączce?..

— Które Wasza Królewska Mość powinna koniecznie usłyszeć, aby je zrozumieć i ocenić — dodał pocziwy doktor.

Ujął delikatnie rękę wzruszonej królowej.

— Pamiętaj pan jednak — zawołała królowa — że nie mogę tu zrobić ani kroku, nie mając za plecami jakiegoś uczynnego szpiega.

— Dzisiejszego wieczora będzie pani zdana wyłącznie na moje towarzystwo. Należy przejść mój korytarzyk, który ma drzwi po obu stronach. Zamknę te, którymi wejdziemy i nikogo w pobliżu nas nie będzie.

— Zdaję się całkowicie na kochanego doktora — rzekła królowa. Wzięła go za rękę i wyszła z nim cichaczem, zaciekawiona do najwyższych granic.

Doktor dotrzymał obietnicy. Nigdy żaden król wyruszający w pole lub na rekonesans z obleżonego miasta, nigdy żadna królowa, wymykająca się na sekretną przygodę, nie byli tak zręcznie i niepostrzeżenie eskortowani przez żadnego kapitana gwardii ani wyższego oficera pałacowego.

Doktor zamknął drzwi pierwsze i zbliżywszy się do drugich, nasłuchiwał.

— Więc tam jest twój pacjent? — zapytała królowa.

— O nie! W drugim pokoju. Gdyby tu się znajdował, słysząc by go było na końcu korytarza. Proszę tylko posłuchać już pod tymi drzwiami.

Dochodziły rzeczywiście niewyraźne jęki.

— On jęczy, cierpi, doktorze.

— Ależ, gdzie tam, nie jęczy. Mówi zupełnie wyraźnie. Pozwól, Najjaśniejsza Pani, zaraz otworzę drzwi.

— Ależ, za nic w świecie nie wejść do niego! — zawołała cofając się królowa.

— Ja też tego nie chcę, proszę tylko wejść do pierwszego pokoju, a stamtąd, nie zdradzając się, można słyszeć wszystko.

— To ukrywanie się, te przygotowania strachem mnie przejmują — szepnęła królowa.

— A co będzie, jak pani usłyszy wszystko? — odparł doktor i wszedł sam do pokoju chorego.

Charny leżał na łóżku w wojskowych spodniach, u których poczciwy doktor porozpinał sprzączki; nogi zgrabne i muskularne, w białych jedwabnych pończochach z zapinkami z opalu i perłowej macicy, miał sztywno wyciągnięte, ręce w pomiętych batystowych mankietach zwisały jak u trupa. Usiłował unieść z poduszki głowę cięższą niż gdyby była z ołowiu. Pot kroplisty spływał mu na czoło i zlepiał na skroniach zwichrzone kędziory.

Oslabiony, złamany, bezsilny był już tylko czystą myślą, samym uczuciem, odbłaskiem; ciało jego żyło już tylko tym promieniem ożywianym wciąż i podsycanym w mózgu jak knot w lampie alabastrowej.

Porównanie to nie jest chybione, bo nikły ów płomień — to jedno, co jeszcze w nim żyło — oświecał w sposób fantastyczny i trochę zamazany niektóre epizody, z których pamięć, nie potrafiłaby już złożyć długich poematów.

Charny opowiadał właśnie o spotkaniu w dorożce z damą niemiecką, na drodze z Paryża do Wersalu.

— Niemka! Niemka! — powtarzał bezustannie.

— Tak, Niemka, wiemy już o tym — rzekł doktor. — W podróży do Wersalu.

— Królowa Francji! — krzyknął naraz chory.

— Co? — rzekł Louis, zaglądając do pokoju królowej. — Ciągłe to samo. Co pani na to?

— Ach, to straszne — rzekł Charny. — Kochać anioła, kobietę, kochać do szaleństwa, życie dla niej poświęcić... a podchodząc bliżej mieć przed sobą królowę w aksamitach i złocie... tylko metal i draperię... bez serca!

— O, co praw! — przerwał doktor, udając, że się śmieje. Charny snuł dalej swe myśli:

— Kochałbym kobietę zamężną, kochałbym ją tak dziką miłością, która każe zapomnieć o wszystkim... Ha... powiem jej... Czeka nas kilka pięknych dni na tej ziemi. Ci, co pozostają poza obrębem tej miłości, czy wari są owych dni? Pójdź, umiłowana, dopóki ty mnie kochać będziesz, a ja ciebie, zwiąże nas życie wybranych!...

A potem... I cóż ma być potem? Tak, przyjdzie śmierć, czyli życie, jakie jest w tej chwili naszym udziałem... Korzystajmy więc z prawa do miłości.

Rozumowanie wcale niezłe jak na taką gorączkę — mruknął doktor. — Tylko moralność mniej ścisła.

— Ale jej dzieci!... — zawołał nagle Charny z wściekłością. — Ona nie porzuci swych dzieci.

— Otóż i przeszkoda, *hic nodus* — rzekł z przedziwną mieszaniną litości i drwiny Louis, ocierając choremu pot z czoła.

— Och — mówił młodzieniec, na nic nie zważając — dzieci... dzieci... Można je zabrać w połę płaszczu podróżnego.

— No cóż, Charny — ciągnął dalej — skoro uniesiesz w ramionach matką lżejszą od piórka piegży, skoro podnosząc ją, zamiast ciężaru poczujesz wstrząs miłości... czyżbyś nie unioś dzieci Marii?... Ach! — Charny krzyknął przeraźliwie.

— Dzieci królewskie, to brzemień nieporównane. Połowa świata odczułaby pustkę...

Louis opuścił pacjenta i zbliżył się do królowej. Stała zmieniona i drżąca. Ujął jej rękę, była zimna.

— Miałeś pan rację, doktorze — rzekła. — To więcej niż majaczenie, to straszliwe niebezpieczeństwo, które zagraża mi, gdyby usłyszano...

— Słuchaj, Najjaśniejsza Pani! Słuchaj jeszcze! — przerwał doktor.

— Nie, ani słowa więcej.

— Uspokaja się... Słuchaj pani, modli się.

Charny uniósł się, złożył ręce i utkwiał wzrok błędny w przestrzeni.

— Mario — mówił głosem dźwięcznym i miękkim — Mario, ja czuję, że mnie kochasz. Och, nie powiem nikomu. O Mario, w powozie nóżka twoja dotknęła mojej. Czuję, że umieram... Rączka twoja spoczęła na mojej na chwilę... Nie powiem więcej, to sekret mego życia. Krew moja może płynąć z rany, Mario, tajemnica z niej nie wypłynie. Nieprzyjaciół zamaczał szpadę w mej krwi, domyśla się mojej tajemnicy, ale twojej nie, nigdy. Nie obawiaj się niczego, Mario. Nie mów nawet, że mnie kochasz, nie trzeba; rumieniec cię zdradzi. Nie mów mi nic więcej...

— Oho — rzekł doktor — to już nie gorączka; widzisz, pani, jaki spokojny... To jest...

— To jest? — zapytała królowa przerażona.

— To jest ekstaza, zachwycenie — rodzaj pamięci Istotnie, to pamięć duszy, która przypomina sobie niebo.

— Dostyc już słyszałam — szepnęła królowa, nie wiedząc, co z sobą począć i pragnąc tylko uciec.

Doktor wstrzymał ją za rękę.

— Pani, pani! — zawołał. — Co chcesz uczynić?

— Nic, nic, doktorze.

— A jeżeli król zechce odwiedzić pana de Charny?

— O, Boże! To byłoby nieszczęście.

— Co mu powiem wtedy?

— O, doktorze, zlituj się, doktorze, zlituj się, puść mnie. Ani myśleć, ani mówić nie mogę. To było straszne widowisko.

— Tak, zaraziłaś się pani gorączką od tego ekstatyka — rzekł doktor cicho. — Jakże puls bije! Królowa nie odpowiedziała, wyrwała rękę i znikła w ciemności.

LII. ŁATWIEJ ZBADAĆ CHOROBEŃ CIAŁA NIŻ SERCA

Doktor patrzył zamyślony na oddalającą się królowę, następnie zaczął mruzczyć pod nosem.

— Są w tym zamku tajemnice, wobec których nauka jest bezsilna. Są takie, które mogą uleczyć uzbrojony w lancet, dobrawszy się do żyły. Przeciwno innym zbroję się w wyrzuty sumienia i dobieram się do serca... Ale czy to pomoże?

Atak minął. Doktor zakrzętnął się koło chorego, nasunął powieki na znieruchomiałe oczy i dla odświeżenia natarł skronie wodą z octem. Ściągnięte rysy rannego wygładzały się zwolna, łkania zamieniły się w ciche westchnienia, namiętne wyznania w pojedyncze sylaby. Widząc to doktor rzekł:

— Tak, tak. To była nie tylko sympatia, to był wpływ bezpośredni, gorączka wzmogła się jakby na skutek odwiedzin, chory je wyczuł. Tak, tak. Atomy ludzkie wędrują jak pył zapładniający w świecie roślinnym. Tak, myśli mają swe niewidzialne powiązania, serca — tajemne kontakty.

Naraz drgnął, odwrócił się i nadślułchiwał, naprężony, i czujny.

— A któż tam znowu?...

Słychać było rzeczywiście jakiś szmer jakby szelest sukni w końcu korytarza.

— Nie podobna, żeby to była królowa — mruknął. — Nie zmieniła chyba postanowienia nieodwołalnego podobno?... Przekonamy się...

Po cichu otworzył drugie drzwi, wychodzące także na korytarz, wychylił głowę i ujrzał o dziesięć kroków dalej kobietę w długim faldzistym płaszczu, zeszywniałą jak zimny posąg rozpacz. Było ciemno, słabe światełko nie rozjaśniało długiego korytarza, tylko przez okno słaby blask padał na tę postać, wyłaniającą się z mroku, gdy chmury nie zakrywały księżyca.

Doktor cofnął się ostrożnie, przeszedł przez pokój i bezszelestnie, lecz raptownie, otworzył drzwi, za którymi ukrywała się kobieta. Krzyknęła, wyciągnęła ręce, natknęła się na rękę doktora.

— Kto tam? — zapytał głosem, w którym więcej było politowania niż groźby, ponieważ w bezruchu postaci odgadła że osoba ta słucha raczej sercem niż uchem.

— To ja, doktorze — odpowiedział głos słodki i smutny.

Głos ten nie był obcy doktorowi, lecz budził w nim tylko jakieś dawne i niepewne wspomnienie.

— To ja, Andrea de Taverney.

— Boże wielki, co się stało?... Czyżby ona zasłała?...

— Ona!... — krzyknęła Andrea. — Co za ona?... Doktor zrozumiał, że zachował się nierozważnie.

— Przepraszam panią, lecz widziałem przed chwilą kobietę oddalającą się, może to pani była?...

— Ach tak — rzekła Andrea. — Była tu jakaś kobieta przede mną, wszak prawda?...

W pytaniu Andrei było tyle rozognionej ciekawości, że doktor nie miał już złudzeń co do uczucia, które je podyktowało.

— Dziecko kochane — powiedział — nie rozumiemy się; o kim mówisz?... Czego chcesz ode mnie?... Wytlumacz się!

— Doktorze — odparła Andrea głosem tak smutnym, że go poruszył do głębi — dobry, kochany doktorze, nie próbuj mnie zwodzić. Ty, który zawsze mówisz mi prawdę, przyznaj, że była tu przed chwilą kobieta, bo i ja ją widziałam.

— A któż pani mówi, że nikt nie był?...

— Ale kobieta, doktorze, tu była kobieta.

— Naturalnie, że kobieta, jeżeli nie twierdzisz, że kobietą jest się tylko do lat czterdziestu.

— Więc ta, która tu była, miała już lat czterdzieści? — zawołała Andrea oddychając swobodniej..

— Mówiąc czterdzieści, darowałem jej jeszcze jakie pięć lub sześć latek, trzeba być grzecznym dla przyjaciół, a pani Misery jest moją przyjaciółką, bardzo nawet serdeczną.

— Pani de Misery?...

— A tak.

— Więc to ona przychodziła?...

— Po cóż, u diabła, miałbym pani mówić nieprawdę?...

— O!... Bo ja...

— Doprawdy, wszystkie kobiety jednakowe, trudno z wami dojść do ładu, byłem pewny na przykład, że ciebie, moje dziecko, mam doskonale, a tymczasem pokazuje się, że nie... To można oszaleć.

— Kochany, pocziwy doktorze!

— No, dość. Do rzeczy. Andrea spojrzała niespokojnie.

— Czy ona czuje się gorzej? — zapytał.

— Kto taki?...

— Na Boga żywego!... Przecie królowa.

— Królowa?...

— No tak, pani de Misery właśnie przychodziła po mnie, bo królowa dostała napadu duszności... palpacji. Przykra to choroba, moja panienko, nieuleczalna. Powiedz mi więc, co nowego, skoro od niej przychodzisz. Chodźmy tam jak najprędzej.

Doktor zrobił ruch, jakby chciał odejść, lecz Andrea zatrzymała go i odetchnąwszy głęboko powiedziała:

— Nie przychodzę od królowej, kochany doktorze. Nie domyślałam się nawet, że jest cierpiąca. Biedna królowa, gdybym była wiedziała... Lecz przebac mi pan, sama nie wiem, co mówię.

— Widzę to dobrze.

— Nie tylko nie wiem, co mówię, ale i co robię.

— Ale ja już wiem: słabo ci.

Rzeczywiście Andrea puściła ręce doktora i zachwiała się.

Doktor podtrzymał ją, starając się orzeźwić i uspokoić. Andrea wysiłkiem woli wróciła do równowagi. Jej żelaznego charakteru nie załamały nigdy cierpienia fizyczne ani moralne.

— Wiesz, doktorze — rzekła — że jestem nerwowa, że panicznie lękam się ciemności. Zbłądziłam w tych źle oświetlonych zakamarkach i stąd pochodzi mój dziwny nastrój.

— Po kiegoż licha narażasz się pani na ciemności?... Kto panią zmusza, jeżeli nikt cię nie wysłał ani też nic cię tu nie ciągnie?...

— Nie powiedziałam nic, kochany doktorze, powiedziałam nikt.

— Aha!... Spór o słówka, kochana pacjentko. Tu nie jest na to miejsce. Chodźmy gdzie indziej, jeżeli to ma trwać długo.

— Dziesięć minut, doktorze, więcej nie wymagam...

— No dobrze, niech będzie dziesięć minut, tylko nie na stojąco, moje nogi nie gustują w takich dialogach. Chodźmy, pani, usiądziemy.

— A gdzie?...

— Choćby, jeśli chcesz, na ławce w korytarzu.

— Ale nikt nas nie usłyszy?

— Nikt.

— Ani nawet ten ranny, tam? — pytała dalej lękliwie, wskazując doktorowi pokój oświetlony łagodnym błękitnym poblaskiem, który próbowała przeniknąć wzrokiem.

— Nie — rzekł doktor — nawet ten biedny chłopak. Jeśliby ktoś nas już mógł usłyszeć, to na pewno nie on.

Andrea załamała ręce.

— O Boże, więc tak z nim źle?

— No, dobrze nie jest. Ale mów, pani, co cię tu sprowadza. Mów prędko, bo wiesz, że królowa czeka.

— Ależ, doktorze — odpowiedziała z westchnieniem Andrea — zdaje się, że cały czas o tym mówimy.

— Jak to, o panu de Charny?

— No tak, przysłałam się dowiedzieć o jego stan. Doktor Louis przyjął te słowa lodowatym milczeniem.

Mógł ich się spodziewać, porównywał jednak w tej chwili postępek Andrei z postępkem królowej i widział, że obie kobiety powodowane są jednym uczuciem, a po symptomach poznawał, że uczuciem tym jest gwałtowna miłość.

Andrea nie wiedziała o bytności królowej i nie mogła odczytać w myślach doktora całej smutnej życzliwości i litości pobłażliwej, wzięła więc jego milczenie za naganą, być może nawet zbyt ostrą i jak zawsze żywo przeciwstawiła się presji.

— To, co uczyniłam — rzekła — nie powinno cię dziwić, doktorze; pan de Charny jest chory wskutek rany otrzymanej w pojedynku z moim bratem.

— Z bratem pani!... — wykrzyknął doktor Louis. — To pan de Taverney zranił pana de Charny?...

— Tak, rzeczywiście.

— Ależ ja nic nie wiedziałem!...

— Teraz pojmuje pan, że chcę i powinnam być u niego, i zapytać przynajmniej, czy bardzo cierpi.

— Masz słuszość, drogie dziecię — powiedział pocziwiec, uszczęśliwiony, że może być pobłażliwym. — Nie wiedząc o tym, jakże mogłem odgadnąć prawdziwą przyczynę... — zaakcentował ostatnie słowa, chcąc dać poznać Andrei, że przyjmuje jej tłumaczenie, lecz niezupełnie wierzy.

— Doktorze kochany — rzekła Andrea, położywszy mu obie ręce na ramieniu i patrząc mu prosto w oczy — dokończ tę myśl.

— Ależ, już ją powiedziałem; skąd u mnie myśli uboczne.

— Pojedynki wśród szlachty to nic nadzwyczajnego, zdarzają się prawie co dzień.

— Jest coś, co może nadać temu większe znaczenie, bo, w przypadku, jeśli nasi młodzi ludzie bili się o kobietę...

— O kobietę, doktorze?...

— Tak jest. O ciebie, kochana pani, na przykład...

— O mnie?...

Andrea westchnęła boleśnie. — Nie, doktorze, to nie o mnie bił się pan de Charny.

Doktor udał, że wierzy odpowiedzi, chciał jednak dowiedzieć się koniecznie, co to westchnienie znaczyło.

— Teraz rozumiem, dlaczego pani przysłała — powiedział. — To brat panią przysłał.

— Tak, tak, doktorze, brat mnie przysłał! — Zawołała Andrea.

Doktor spojrzął jej prosto w oczy.

— OL.. Ty, duszo nieprzenikniona, będę jednak wiedział, co masz w sercu — mruknął, a głośno dodał:

— A więc powiem całą prawdę, jaka należy się osobie zainteresowanej. Powtórz to pani bratu i niech się ma na baczości, aby w razie... Rozumiesz?...

— Nic a nic, doktorze, a przede wszystkim nie mogę pojąć, co znaczy: „Mieć się na baczości w razie”...

— Zaraz ci wytłumaczę. Król nie lubi pojedynków. Król, co prawda, nie każe ściśle przestrzegać zarządzeń, lecz jeżeli fakt pojedynku staje się powszechną tajemnicą i wybucha skandal, Jego Królewska Mość skazuje winnych na wygnanie lub na więzienie.

— Wiem o tym.

— A jeżeli, na nieszczęście, nastąpi śmierć, o... w takich przypadkach król nie zna litości. Tak więc poradź, pani, bratu, żeby na pewien czas zabezpieczył się.

— Doktorze!... — zawołała Andrea. — Doktorze, więc pan de Charny jest bardzo chory?...

— Posłuchaj, kochana panienko, obiecałem ci prawdę, oto ją masz: widzisz biednego chłopca, który śpi, a raczej jęczy tam w pokoju?...

— Tak, widzę — odparła Andrea złamanym głosem.

— Otóż, jeżeli mi się nie uda ocalić go do jutra, jeżeli gorączka, która go nieustannie pożera, nie ustąpi, człowiek ten za dwadzieścia cztery godziny przestanie żyć.

Andrea czuła, że nie powstrzyma krzyku, ścisnęła ręką gardło, paznokcie wpiła w ciało, aby tym bólem fizycznym stłumić rozpacz, rozdzierającą serce. Doktor Louis nie widział żadnej zmiany na twarzy Andrei, która panowała nad sobą jak Spartanka.

— Brat mój nie będzie uciekał. Walczył z panem de Charny jak człowiek honoru i jeżeli go ranił, to jedynie broniąc się, a jeżeli zabił, to Bóg go osądzi.

— Nie przysłała tu z powodów osobistych — stwierdził w duchu doktor. — Z pewnością przysłała ją królowa. No, no, czyżby Jej Królewska Mość aż tak daleko posunęła swą lekkomyślność?

— Co też królowa mówi o tym pojedynku? — zapytał.

— Nie wiem — odparła Andrea. — Cóż to królowę może obchodzić?...

— Ale pan de Taverney jest jej bardzo miły?... Tak rai się zdaje przynajmniej.

— Pan de Taverney wyszedł cało z tej sprawy. Mam nadzieję, że Jej Królewska Mość weźmie w obronę brata mego, jeżeli go obwinia...

Doktor Louis, pokonany na obu frontach, zaniechał domysłów.

— Nie jestem fizjologiem — myślał — jestem tylko chirurgiem. Po cóż u diabła, znając tak dobrze grę mięśni i nerwów, mam się koniecznie wdawać w odgadywanie kaprysów i namiętności kobiecych?...

— Powiedziałem ci, panienko — odpowiedział Andrei — wszystko, coś chciała wiedzieć. Każ zmykać lub zostać panu de Taverney, to należy do ciebie. Co do mnie, moją powinnością jest ocalić rannego tej nocy... bo inaczej śmierć go porwie niechybnie w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Bądź zdrowa, panienko...

Po czym zamknął drzwi łagodnie, ale stanowczo.

Andrea drżącą ręką potarła czoło; ujrzała się naraz sama, sama ze straszną rzeczywistością...

Widziała już śmierć, o której tak obojętnie mówił doktor, jak okryta białym całunem wynurzyła się z ciemności i zdążyła do pokoju chorego.

Powiew śmiertelny zmroził jej ciało, uciekła do swego pokoju, zamknęła drzwi na klucz i padła na kolana przy łóżku.

— Boże mój! — zawołała z dziką energią, zalewając się łzami. — Boże wielki!... Nie jesteś niesprawiedliwy, nie jesteś nieczuły, nie jesteś okrutny!... Ty, który wszystko możesz, nie daj mu umrzeć, wszak on nic złego nie uczynił, a tak jest kochany gorąco na tym świecie!... O mój Boże!... My biedne istoty ludzkie wierzymy w miłosierdzie Twoje, choć drżymy przed mocą Twego gniewu... A ja!... A ja... która cię błagam, już dosyć cierpiałam, bez żadnej winy z mej strony. Nigdy nie skarżyłam się nawet Tobie; nigdy nie zwątpiłam o dobroci Twojej. Dziś proszę Cię, błagam i żądam życia dla jedynej istoty... O!... Jeżeli mnie nie wysłuchano, o Boże!... Powiem, żeś nadużył wobec mnie swej potęgi, że jesteś bogiem gniewu I zemsty... O!... Błuznię, Boże!... Przebacz i nie karz mnie za to. Łaski!... Łaski!... O Boże, dobroci i miłosierdzia.

Andrea poczuła, że ći się jej w oczach, że opuszczają ją siły, zachwiała się i padła na wznak. Z włosami rozpuszczonymi leżała na podłodze jak martwa.

Gdy ocknęła się z omdlenia, przypomniała sobie wszystkie swe cierpienia i majaki. — O Boże!... — szepnęła ponuro. — Nie miałeś nade mną litości, ukarałeś mnie, a ja go kocham!... O tak, kocham... Czy to nie wystarczy?... Czy mi go teraz zabierzesz?...

LIII. MALIGNA

Bóg wysłuchał widocznie modlitwy Andrei Charny nie umarł w ataku gorączki. Nazajutrz, podczas gdy ona chciwie czatowała na wiadomości, młodzieniec, dzięki staraniom lekarza, zaczął powracać do życia. Zapalenie zwalczone siłami żywotnymi i lekarstwami, ustępowało. Zaczęła się rekonwalescencja.

Z tą chwilą Charny przestał być głównym obiektem zainteresowania doktora Louis. Dla lekarza istota żyjąca niewiele znaczy, gdy czuje się dobrze.

Po upływie ośmiu dni, kiedy i Andrea uspokoiła się już zupełnie, Louis, któremu leżały na sercu wynurzenia chorego podczas kryzysu, postanowił przenieść Oliwiera w jakieś oddalone miejsce, obawiając się dalszych jego majaczeń.

Lecz Charny zbuntował się z miejsca. Wlepił w doktora oczy roziskrzone gniewem i oświadczył, że jest u króla i nikt nie ma prawa wypędzić człowieka, któremu Jego Królewska Mość raczył udzielić przytułku.

Doktor nie grzeszył cierpliwością wobec pacjentów, a zwłaszcza wobec kapryśnych rekonwalescentów, przywołał czterech lokajów i kazał im zabrać chorego. Charny uczeplił się łóżka, uderzył pięścią jednego z ludzi pomstując na innych, jak Karol XII pod Bender.

Doktor Louis próbował perswazji. Charny z początku odpowiadał logicznie, lecz gdy lokaje nastawali w dalszym ciągu, szarpnął się gwałtownie, aż otworzyła się rana, aż z upływem krwi odbiegł i rozsądek. Ponowny atak maligny okazał się gwałtowniejszy nawet od pierwszego.

Zaczął wrzeszczeć, że chcą go oddalić, aby go pozbawić widzeń sennych, ale to na nic, bo wizje będą się doń wszędzie uśmiechać, że jest kochany i że, czy doktor chce czy nie chce, będą go odwiedzać; że ukochana zajmuje taką pozycję, iż nikt przeszkodzić jej nie zdoła. Przerażony doktor odprawił czym prędzej służbę, opatrzył ranę i postanowił najpierw zająć się ciałem a potem dopiero rozsądkiem. Materię doprowadził szybko do stanu zadowolającego, nie mógł jednak powstrzymać powracającej maligny i przestraszył się, że chwilowe zaćmienie umysłu może zamienić się w stały obłąd.

W ciągu doby sen pogorszył się tak dalece, że doktor zdecydował się na użycie najsilniejszych remediów. Chory gubił nie tylko siebie, ale i królowę; już nie mówił, ale krzyczał; przypominając sobie, fantazjował; co gorsza jednak, w przerwach między atakami wariował silniej niż w malignie.

Zakłopotany doktor Louis nie mógł powołać się na wolę królewską, bo chory też się nią zasłaniał. Postanowił więc opowiedzieć wszystko królowej i skorzystawszy z chwili, gdy Charny zasnął, zmęczony przywoływaniem sennych widziadeł i opowiadaniem marzeń, udał się wprost do królowej.

Maria Antonina przyjęła go zamyślona, lecz pogodna, przypuszczała bowiem, że doktor przynosi jej dobre nowiny. Wielkim też było dla niej zaskoczeniem, gdy na pierwsze zapytanie Louis odpowiedział krótko, że z chorym jest bardzo źle.

— Jak to!... — zawołała królowa. — Przecież wczoraj czuł się zupełnie dobrze.

— Nie, pani, i wczoraj było źle.

— A jednak przesłałaś mi przez Misery pomyślną wiadomość.

— Łudziłem siebie i innych.

— Cóż to znaczy? — odparła królowa, mocno blednąc. — Jeśli stan jest poważny, po cóż kryć przede mną? Czegóż niani się obawiać, doktorze? Tylko nieszczęścia, tak, niestety, powszechnego. Jeżeli chory miewa się lepiej, po cóż wzbudzać niepokój zupełnie zrozumiałą, bo

przecież chodzi o wiernego sługę Najjaśniejszego Pana. Powiedz otwarcie: tak czy nie. Jaki jest stan? Czy zachodzi niebezpieczeństwo?

— Mniejsze dla niego niż dla innych, Najjaśniejsza Pani.

— Co znaczą te zagadki, doktorze? — zniecierpliwiła się królowa. — Mów jaśniej.

— To niełatwo — odpowiedział Louis. — Mogę tylko zapewnić Waszą Królewską Mość, że cierpienie pana de Charny jest czysto duchowe. Rana jest tu nieznacznym dodatkiem w cierpieniach, pobudką dla gorączki.

— Więc pan de Charny cierpi duchowo?

— Tak, pani. Nazywam cierpieniem duchowym wszystko, czego skalpelem dotknąć nie można. Wybacz, Najjaśniejsza Pani, że nie powiem nic więcej.

— Chcesz mi powiedzieć, że hrabia?... — nalegała królowa.

— Czy pani rozkazuje mówić?

— Naturalnie, pragnę tego.

— A zatem hrabia jest zakochany do obłądu; oto, co chciałem powiedzieć. Wasza Królewska Mość kazała, więc usłuchałem.

Królowa wzruszyła ramionami, co miało znaczyć: „A to śliczna historia!”

— Pani sądzi, że można wyzdrowieć z tego jak z rany? — podjął doktor. — O nie, złe się umacnia i z chwilowego obłądu pan de Charny wpadnie w śmiertelną monomanię. A wtedy...

— A wtedy co, doktorze?

— Zgubi pani młodzieńca.

— Naprawdę, doktorze, dziwne masz koncepta. Ja zgubię tego młodzieńca! Czy ja jestem winna, że mu się w głowie pomieszało?

— Oczywiście że pani.

— Obrażasz mnie, doktorze.

— Jeśli pani nie jesteś przyczyną już w obecnej chwili — ciągnął doktor nieustraszony — będziesz nią później.

— Udziel więc porady, przecież to pańska powinność — rzekła królowa trochę ułagodzona.

— To znaczy, że mam wypisać receptę?

— Jeżeli uważasz to za stosowne.

— Oto jest, proszę. Trzeba leczyć młodzieńca balsamem lub żelazem. Niech kobieta, której imię bezustannie powtarza, zabije go lub uzdrowi.

— Wpadasz w ostateczności, drogi doktorze — przerwała królowa niecierpliwie. — Zabić... uzdrowić... wielkie zaiste słowa! Czyż można zabić mężczyznę oziębłością, czy podobna uleczyć biednego szaleńca uśmiechem?

— Ach, jeśli pani również nie dowierza — rzekł doktor — nie pozostaje mi nic innego, jak polecając się łasce Waszej Królewskiej Mości pozostawać jej kornym i powolnym sługą.

— A czyż to właściwie chodzi o mnie?

— Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć, powtarzam tylko, że pan de Charny jest szaleńcem rozumującym i że taki wysiłek mózgowy może doprowadzić do obłądu i zabić, a szaleństwo może mu przywrócić rozum i uleczyć go. Otóż, jeśli pani zechcesz uwolnić pałac od krzyków, marzeń i skandalów, musisz coś postanowić.

— Więc cóż mam uczynić?

— Dziecinne pytanie. Ja tylko wypisuję recepty, a nic nie radzę. Zali mogę mieć pewność, że słyszałem to, co słyszałem i widziałem, to, na co patrzyły moje oczy?

— Przypuśćmy, że zrozumiałam pana. Ale co z tego wyniknie?

— Efekt może być dwojaki: pierwszy, najlepszy dla pani jak i dla nas wszystkich, że chory, ugodzony w serce tym niezawodnym sztyletem, który nazywamy rozsądkiem, ujrzy koniec

grożącej mu agonii... Drugi... Ach, pani, wybacz mi moją winę, że widziałem aż dwa wyjścia z tego labiryntu... Dla Marii Antoniny, królowej Francji, jest tylko jedno.

— Rozumiem cię. Mówiłeś szczerze, doktorze. Trzeba, aby kobieta, dla której stracił rozum, przywróciła mu go tak czy inaczej.

— Tak jest.

— Trzeba, aby miała odwagą pójść do niego, wyrzucić mu jego marzenia, to jest węza, który go toczy w głębi serca.

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

— Uprzedź pan jedną z moich dam honorowych, pannę de Taverney, na przykład.

— Pannę de Taverney? — zapytał doktor.

— O, właśnie. Urządź to tak, aby twój pacjent zachował się przyzwoicie.

— Dobrze, Najjaśniejsza Pani.

— Bez żadnych względów?

— Tak trzeba.

— O, jak to przykro — rzekła królowa — iść i nie być pewną, czy niosę śmierć, czy życie człowiekowi...

— Ja co dzień jestem w tym położeniu, Wasza Królewska Mość, gdy spotykam chorobę nieznaną. Daję lekarstwo i nie jestem pewny, czy zabiję chorobę czy chorego?

— Pan, pan jesteś pewny, że zabijesz chorego, czy nie tak? — zapytała królowa wzdygając się.

— Ech — odrzekł lekarz ponuro. — A jeżeli nawet człowiek umrze dla honoru kobiety, iluż ich co dzień umiera dla kaprysu króla?... Chodźmy, pani, chodźmy już!

Królowa westchnęła i poszła sama za doktorem, nie mogąc znaleźć Andrei. Była jedenasta rano. Charny, ubrany, spał w fotelu po nocy spędzonej niespokojnie.

Okiennice starannie pozamykane przepuszczały zaledwie słabe światło. Urządzenie pokoju miało działać uspokajająco na rozdrażnione nerwy, tę główną przyczynę cierpienia.

Doktor Louis, który dotychczas skrzętnie unikał wszystkiego, co mogłoby wzmocnić pobudliwość nerwów, mimo to zdecydował się na cios stanowczy, nie cofnął się przed próbą, która mogła chorego zabić, aczkolwiek mogła go również i uleczyć.

Królowa w stroju porannym, uczesana z zaniehdbaną elegancją, przebiegła szybko korytarz prowadzący do pokoju pana de Charny. Doktor zalecił jej, aby bez wahania, bez ociągania, odważnie pojawiła się dla wywołania gwałtownego wrażenia.

Przekreśliła więc tak szybko rzeźbioną gałkę od pierwszych drzwi przedpokoju, że ktoś schylony przy drzwiach pokoju Charny'ego, kobieta, otulona w mantyle, miała zaledwie czas wyprostować się i przybrać postawę osoby spokojnej, pomimo że twarz jej i drżące ręce zdradzały zmieszanie.

— Andrea! — zawołała królowa zdziwiona. — Ty tutaj?

— Tak, ja! — odpowiedziała blada i drżąca Andrea. — Ja, Wasza Królewska Mość. Ale przecież i Wasza Królewska Mość tu się znajduje?

— Och, och, znowu komplikacje — mruknął do siebie doktor.

— Szukałam cię wszędzie — rzekła królowa. — Gdzie byłaś? Słowa te wypowiedziała bez zwykłej dobrotliwości. Było w nich coś, jakby wstęp do indagacji, jakby oznaka podejrzenia. Andrea zlekka się; bała się przede wszystkim, by ten nieoględny krok nie dał klucza do jej uczuć, tak strasznych dla niej samej. Pomimo całej dumy, postanowiła skłamać po raz drugi.

— Jestem tu, jak pani widzi.

— Widzę, lecz po co?

— Pani — odrzekła Andrea — powiedziano mi, że Wasza Królewska Mość kazała mnie szukać, więc przyszedłam.

Królowa nie pozbyła się jeszcze podejrzeń.

— Jakim sposobem odgadłaś, dokąd idę?

— Bardzo łatwo. Wasza Królewska Mość wyszła z doktorem Louis i przechodziła przez boczne skrzydło, a wobec tego nie mogła podążać w innym kierunku.

— To trafny domysł — odparła królowa, niezupełnie przekonana, ale znacznie łagodniej, — Trafny domysł!

Andrea zdobyła się jeszcze na dalszy wysiłek.

— Pani — rzekła z uśmiechem. — Jeżeli Wasza Królewska Mość życzyła sobie nie być widzianą, nie trzeba było idąc tutaj ukazywać się w odkrytych galeriach. Skoro królowa przechodzi przez taras, panna de Taverney widzi ją z okna swego pokoju, a nie trudno wcale wyprzedzić osobą, którą się widzi z daleka.

— Masz zupełną słuszność — powiedziała królowa — sto razy słuszność. To moja wada nieznośna, że nigdy niczego nie odgadnę; sama jestem niedomyślna i trudno mi uwierzyć w domysłność innych.

Królowa pragnęła, by jej pobożano, zapewne dlatego, że potrzebowała powiernicy.

Zresztą — czując, że sama kochać potrafi, wierzyła w przyjaźń; natura jej nie składała się, jak u kobiet pospolitych, z mieszaniny kokieterii i nieufności. Kobiety nie ufające sobie, nie dowierzają innym. To właśnie jest największym nieszczęściem zalotnie, że nigdy nie wierzą w prawdziwą miłość swych kochanków.

Maria Antonina szybko zapomniała o wrażeniu, jakiego doznała spotkawszy Andreę pod drzwiami pokoju pana de Charny. Wzięła za rękę pannę de Taverney, kazała jej otworzyć drzwi i weszła raptownie do pokoju chorego, zostawiając Andreę i doktora za sobą. Ledwie królowa znikła, panna de Taverney wzniosła w niebo oczy pełne bólu i gniewu.

Widząc ten wyraz zacieklego wyrzutu, pocziwy doktor wziął ją pod rękę i przeszedł się z nią po korytarzu, mówiąc:

— Czy sądzisz, że jej się uda?

— O czym mówisz doktorze?

— Czy uda jej się namówić biednego szaleńca, aby dał się stąd przenieść, gdyż w przeciwnym razie umrze, jeśli gorączka potrwa dłużej?

— Wyzdrowiałby zatem, gdyby go przenieść gdzie indziej — zawołała Andrea.

Doktor spojrzał na nią, zdziwiony i niespokojny:

— Myślę, że tak.

— O, niechże jej się uda! — zawołała biedna dziewczyna.

LIV. POWRÓT DO ZDROWIA

Królowa podeszła prosto do fotela, na którym siedział Charny. Ten, na skrzyp podłogi, uniósł głowę.

— Królowa! — szepnął, próbując powstać.

— Tak, panie, królowa — rzekła Maria Antonina — która wie, jak dbasz o utratę rozumu i zdrowia, królowa, którą znieważasz zarówno we śnie jak i na jawie, a która troszczy się o swój honor i o pańskie bezpieczeństwo. Oto dlatego przychodzi do pana, choć nie tak powinieneś ją przyjmować.

Charny wstał wstrząśnięty i przygnębiony, a przy ostatnich słowach osunął się na kolana, zdruzgotany bólem fizycznym i moralnym, i pochylony jak winowajca nie chciał ani nie mógł się podnieść.

— Czyż to podobna? — ciągnęła królowa, wzruszona milczeniem i pokorą nieszczęśliwego. — Czy podobna, żeby szlachcic, słynny dotąd ze swej prawości, targnął się jak wróg na reputację kobiety? Bo pamiętasz to chyba, panie de Charny, że przy pierwszym naszym spotkaniu nie królowę widziałeś we mnie i nie jako królowa występowałam — byłam tylko kobietą potrzebującą opieki i nie powinieneś być nigdy o tym zapominać.

Charny, poruszony do głębi słowami pochodzącymi z serca, chciał wyszeptać coś na swoją obronę, ale Maria Antonina nie dała mu przyjść do słowa.

— Jak postąpią nieprzyjaciele moi — powiedziała — jeżeli pan, pan dajesz przykład zdrady?

— Ja zdrady?... — wyjąkał Charny.

— Panie, może zechcesz wybrać: albo jesteś szaleńcem i będę zmuszona odjąć panu możliwość szkodenia, albo jesteś zdrajcą i zostaniesz ukarany.

— Pani, nie mów, że jestem zdrajcą. W ustach królów oskarżenie takie poprzedza wyrok śmierci, w ustach kobiety hańbi Królowo, odbierz mi życie; kobieto, oszczędź mnie.

— Czy jesteś przy zdrowych zmysłach, panie de Charny? — odezwała się królowa, a głos jej się załamał.

— Tak, pani.

— Czy pojmujesz cały ogrom zła, jakieś mi wyrządził, całą zbrodnię popełnioną względem króla?

— Boże, mój Boże — jęknął nieszczęśliwy.

— Bo zbyt łatwo zapominacie, mości panowie szlachta, że król jest małżonkiem kobiety, którą znieważacie podnosząc na nią swój wzrok; że król jest ojcem waszego przyszłego władcy, delfina, syna mojego. Król jest człowiekiem większym i lepszym od was wszystkich, człowiekiem, którego kocham i szanuję.

— Och — jęknął głucho Charny i aby nie upaść, zmuszony był wesprzeć się ręką o podłogę.

Jęk ten wzruszył królowę. W zagasłym wzroku młodzieńca wyczytała, iż otrzymał cios śmiertelny, jeśli nie wyciągnie zaraz pocisku, którym go ugodziła. Więc też dobra i miłosierna jak zawsze, wystraszona słabością i bladością winowajcy chciała zawołać o pomoc. Zastanowiła się jednak, że doktor i Andrea mogliby tłumaczyć opacznie zaśląbnięcie Charny'ego. Podniosła go zatem sama.

— A teraz — rzekła — rozmówmy się jak królowa z człowiekiem. Doktor Louis dokłada wszelkich starań, aby pana uleczyć; pańska rana, nic nie znacząca, pogarsza się jedynie na skutek dziwactw pańskiego umysłu. Kiedyż pozwolisz pan tej ranie zagoić się? Kiedyż przestaniesz

niepokoić zacnego doktora gorszącym widowiskiem szaleństwa? Kiedyż na koniec opuścisz pan zamek?

— Pani! — jęknął Charny. — Wasza Królewska Mość wypędza mnie... Idę, już idę!

I tak gwałtownie porwał się do wyjścia, że, straciwszy równowagę, zachwiał się i upadł w ramiona królowej, która zastąpiła mu drogę. Zaledwie poczuł dotknięcie piersi gorącej, na której się oparł, zaledwie ugiął się pod mimowolnym uściskiem dłoni, które go podtrzymywały, gdy przytomność opuściła go zupełnie. Marię Antoninę owiał oddech pałający, oddech z ust, które rozwarły się nie mogąc wydobyć słowa i nie śmiejąc złożyć się do pocałunku.. Oparzona tym dotknięciem, zwyciężona tą słabością królowa nie zdążyła złożyć bezwładnego ciała na fotelu i chciała uciec, lecz głowa Charny'ego opadła w tył i uderzyła o drewniane oparcie. Na wargach wystąpiła lekka różowa piana, a z czoła spadła na ręce Marii Antoniny różowa i ciepła kropla.

— Och, tym Lepiej — szepnął — tym lepiej! Umieram, zabity przez ciebie...

Królowa naraz zapomniała o wszystkim. Zawróciła, objęła młodzieńca i podniosła, przycisnęła martwiejącą głowę do łona, a zimną rękę przytknęła do serca.

Miłość dokonała cudu. Charny ożył. Otworzył oczy, lecz widzenie znikło. Kobieta przestraszyła się, że zamiast ostatecznego pożegnania pozostawi po sobie pałac wspomnienie. Podbiegła do drzwi tak szybko, że Charny zaledwie zdążył chwycić kraj jej sukni.

— Na miłość boską, pani, którą nad Boga szanuję...

— Zegnaj, żegnaj — mówiła królowa.

— Pani, błagam o przebaczenie!

— Przebaczam ci, panie de Charny.

— Pani, ostatnie spojrzenie!

— Panie de Charny! — rzekła królowa, drżąc ze wzruszenia i z gniewu. — Jeżeli jesteś człowiekiem honoru, to dziś wieczorem lub jutro umrzesz, albo opuścisz ten pałac.

Tak sformułowany rozkaz jest w ustach królowej prośbą. Charny upojony złożył ręce i na klęczkach przyczołgał się do nóg Marii Antoniny. Ta drzwi już otworzyła, chcąc jak najprędzej uciec przed niebezpieczeństwem.

Andrea, która jak urzeczona wbiła wzrok w drzwi od pokoju chorego, ujrzała naraz Charny'ego na klęczkach, a królowę ślaniającą się. Jego oczy jaśniały nadzieją i dumą, jej — spuszczone były ku ziemi. Ugodzona w serce, zrozpaczona, przejęta nienawiścią, Andrea nie pochyliła głowy. Widząc królowę powracającą, wyrzucała Bogu, że nadto wyposażył tę kobietę nie tylko dał piękność i koronę, ale, co więcej, pozwolił na półgodzinną rozmowę z panem de Charny.

Doktor widział zbyt wiele, by zwracać uwagę na cokolwiek. Zaprzątnięty całkowicie wynikiem pertraktacji zapytał po prostu:

— No cóż, Najjaśniejsza Pani?

Królowa milczała przez chwilę, żeby ochłonąć i odzyskać głos, zduszony biciem serca.

— Co postanowił? — powtórzył doktor.

— Wyjedzie — szepnęła królowa.

I nie zważając na Andreę, która zmarszczyła brwi, ani na doktora, który zacierał ręce, przeszła szybko korytarz i galerie, i otuliwszy się machinalnie w płaszcz obsyty koronkami powróciła do swoich apartamentów.

Andrea uścisnęła rękę doktora, śpieszącego do pacjenta; następnie krokiem chwiejnym jak chód cienia, z głową spuszczoną, ze zmęczonym wzrokiem i nieładem w myślach powróciła także do siebie. Nie przyszło jej nawet do głowy zapytać królowę o rozkazy. Dla natury takiej jak Andrea, królowa była niczym, rywalka wszystkim.

Charny, powróciwszy pod opiekę doktora, wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Silny aż do przesady, odważny aż do fanfaronady, zasypał lekarza pytaniami na temat prędkiego powrotu do zdrowia, diety leczniczej i wyjazdu. A mówił tak prędko i gorączkowo, że poczciwy doktor zląkł się, czy zamiast uzdrowienia nie wpadł w recydywę na skutek nowej manii gorszej jeszcze od pierwszej. Wkrótce jednak przekonał się, że Charny podobny był do rozpalonego żelaza, które ciemnieje po wyjęciu z ognia i nie bije już w oczy kolorem jaskrawym, lecz jest jeszcze na tyle gorące, by spalić, czegokolwiek się dotknie.

Louis spostrzegł, że młodzieniec powraca do równowagi i mówi logicznie. Rzeczywiście, Charny tak dalece okazał się rozsądny, iż sam tłumaczył doktorowi przyczynę nagłej zmiany postanowienia.

— Królowa — mówił — zawstydzisz mnie, pomogła mi więcej niż cała nauka twoja wraz z wybornymi lekarstwami; bo widzisz, drogi doktorze, poruszyć moją miłość własną, to znaczy poskromić mnie, jak konia dzikiego wędzidłem.

— Tym lepiej, tym lepiej — mruknął lekarz.

— A tak, przypominam sobie, że pewien Hiszpan, a wiesz jak oni lubią przechwałki, opowiadał mi kiedyś dla wykazania swej siły woli, że ranny w pojedynku potrafi zatrzymać krew płynącą z rany, jedynie usilnie tego pragnąc. Śmiałem się z Hiszpana, nie wierząc mu; a jednak ja jestem taki sam — gdyby gorączka, którą mi wyrzucasz, chciała powrócić, przysięgam ci, że ją odpędzę mówiąc tylko: gorączko, ustąp!...

— Znamy przykłady takich fenomenów — rzekł doktor poważnie. — W każdym razie pozwól, że powinszuję panu. Czy czujesz się zupełnie zdrow na duchu?

— Och, tak.

— Otóż poznasz pan teraz, jaki związek zachodzi pomiędzy duchowym i fizycznym ustrojem człowieka. Jest to przepyszna teoria i napisałbym o tym dzieło, gdybym tylko miał czas. Zdrow na umyśle odzyskasz siły w przeciągu tygodnia.

— Dziękuję ci, kochany doktorze, dziękuję.

— No, a kiedy zamierzasz wyjechać?

— Kiedy tylko każesz, choćby natychmiast.

— Poczekajmy do wieczora. Temperujmy się. Zaczynać od ostateczności, to ryzykować niepotrzebnie.

— A więc czekajmy do wieczora.

— Czy daleko wyjedziesz?

— Choćby na koniec świata.

— Za daleko trochę jak na pierwsze wyjście — rzekł doktor z flegmą. — Dosyć będzie do Wersalu, na teraz. Cóż pan na to?

— Niech będzie do Wersalu, kiedy tak chcesz.

— Sądzę — mówił doktor — że nie potrzebujesz opuszczać ojczyzny dla wyleczenia się z rany.

Zimna krew doktora ostrzegła Charny'ego, aby miał się na baczności.

— Masz rację, doktorze — nie trzeba daleko szukać. Posiadam przecież własny dcm w Wersalu.

— Cóż, tego nam tylko potrzeba. Dziś wieczorem przeprowadzimy tam pana.

— Nie zrozumiałeś mnie, doktorze; miałem zamiar objechać moje dobra.

— No, to tak mów. Chyba te dobra nie leżą na końcu świata?

— No, nie. Na granicy Pikardii, o piętnaście a może i osiemnaście mil stąd.

— To bardzo blisko.

Charny uściśnął rękę doktora, jakby dziękując mu za delikatność. O zmierzchu czterech lokajów, których tak niegrzecznie odprawił za pierwszym razem, przeniosło pana de Charny do karety, która czekała przy bocznej bramie.

Król cały dzień polował i po kolacji udał się już na spoczynek. Charny uważał za niezgodne z etykietą wynieść się bez zezwolenia, lecz doktor uspokoił go, obiecując wytłumaczyć wyjazd koniecznością zmiany powietrza.

Młodzieniec, nim wsiadł do karety, z jakąś bolesną satysfakcją do ostatniej chwili obserwował okna pokojów królowej. Jego samego nikt nie mógł widzieć. Lokaj idący z pochodnią przodem oświetlał drogę, zostawiając orszak cały w ciemności.

Spotkano na schodach kilkunastu oficerów, przyjaciół i kolegów, uprzedzonych zawczasu o wyjeździe. Odprowadzony aż do karety przez wesołych kompanów, Charny wpatrywał się w okna; w komnatach królowej świeciły jasno. Jej Królewska Mość nie czuła się zdrowa tego wieczoru i przyjmowała damy w sypialni.

Pokoje Andrei były posępne i ciemne. Ukryta za firankami, wzburzona: i zrozpaczona śledziła bacznie każde poruszenie chorego i jego asysty. Wreszcie pojazd ruszył, ale tak powoli, że słychać było każdy dźwięk podkowy o bruk.

— Jeżeli nie może być moim — szepnęła Andrea — nie będzie przynajmniej niczym.

— Jeżeli mu przyjdzie znowu ochota umierać — mówił doktor, wracając do siebie — przynajmniej nie skona pod moją opieką ani na moich rękach. Niech diabli porwą wszystkie dolegliwości duszy. Nie jestem przecież lekarzem Antiocha i Stratoniki, żeby leczyć podobne choroby.

Charny zdrowo i szczęśliwie dojechał do domu. Doktor odwiedziwszy go tego wieczoru, znalazł go w dobrym stanie i zapowiedział, że to ostatnia jego wizyta.

Charny zjadł z apetytem skrzydełko kurczęcia i trochę orleańskich konfitur.

Nazajutrz odwiedzili go pan de Suffren i pan de Lafayette, przysłany przez króla. Powtarzało się to w ciągu kilku następnych dni, po czym zapomniano o młodym oficerze.

Zaczął od przechadzki po ogrodzie, a po tygodniu mógł już dosiąść spokojnego konia. Zażądał też pozwolenia doktora na wyjazd do swoich dóbr. Doktor Louis oświadczył, że wyjazd jest najlepszą metodą kuracji, że droga do Pikardii jest gładka jak lustro i że mogąc podróżować byłoby niedorzecznością pozostawać w Wersalu.

Wówczas Charny rozkazał załadować rzeczy swoje na furgon. Złożył pożegnalną wizytę królowi, który okazał mu tyle łaskawości oraz uprosił pana de Suffren, aby ten złożył w jego imieniu zapewnienie wiernopoddańczych uczuć i należnej czci dla królowej, która była tego dnia cierpiąca i nie przyjmowała nikogo. Nareszcie wsiadł do powozu, czekającego przy bramie zamku królewskiego i pojechał do małego miasteczka Villers-Cotterets, skąd zamierzał dostać się do zamku de Boursonnes, odległego o milę od miasteczka, wsławionego już pierwszymi wierszami Demoustiera.

LV. DWA SERCA ZBROCZONE

Następnego ranka, po dniu pamiętnych wydarzeń w gabinecie doktora Louis, panna de Taverney, stosownie do zwyczaju, weszła do buduaru królowej w godzinie małej toalety, tuż przed mszą dworską. Maria Antonina nie przyjmowała jeszcze nikogo. Czytała właśnie bilecik pani de la Motte i uśmiechała się.

Andrea, blebsza jeszcze niż wczoraj, miała w całej swojej postawie wyraz powagi i owej zimnej powściągliwości, która zmusza największych nawet potentatów do liczenia się z najmniejszymi. Ubrana z prostotą i surowością, w ciemnej sukni, wyglądała na zwiastunkę nieszczęścia. Dla kogo: dla siebie, czy dla innych?

Królowa była roztargniona; nie zwróciła uwagi na powolny i poważny chód Andrei, nie zauważyła ani zaczerwienionych oczu, ani bladości oblicza.

Skinęła głową przyjaźnie i rzekła:

— Dzień dobry, mała.

Andrea czekała, aż królowa zacznie rozmowę, pewna, że jej milczenie i oziębłość zostaną wreszcie dostrzeżone.

Tak się też stało. Nie odebrawszy innej odpowiedzi, jak tylko głęboki dyg, królowa odwróciła nieco głowę i spostrzegła tę twarz bladą i cierpiącą.

— O, Boże mój! Co ci jest, Andreo? — zawołała. — Czy cię nieszczęście jakie spotkało?

— Tak, pani, nieszczęście — odpowiedziała młoda kobieta.

— Co takiego?

— Jestem zmuszona opuścić Waszą Królewską Mość...

— Opuszczasz mnie, odjeżdżasz?

— Tak, pani.

— Dokąd jedziesz? Co cię zmusza do tego?

— Zawiodłam się w mych uczuciach... Królowa podniosła głowę.

— Rodzinnych. — dodała Andrea z rumieńcem na twarzy. Królowa zaczerwieniła się takie; spojrzenia dwóch kobiet skrzyżowały się jak ostrza stali. Królowa ochłonęła pierwsza.

— Nie bardzo rozumiem — rzekła. — Wczoraj jeszcze byłaś szczęśliwa.

— O nie, Najjaśniejsza Pani — odrzekła Andrea stanowczo.

— Dzień wczorajszy był jednym z najniezwyklejszych w moim życiu.

— Ach — rzekła królowa, zamyślając się i dodała:

— Wytłumaczcie mi!

— Nie będę nużyła Waszej Królewskiej Mości szczegółami, które nie są tego warte. Nie mam żadnego oparcia w rodzinie, nie spodziewam się niczego od życia; przychodzę zatem prosić o uwolnienie, gdyż pragnę zająć się jedynie zbawieniem duszy.

Królowa podniosła się i choć widać było, że prośba ta uraża jej dumę, ujęła Andreę za rękę i zapytała:

— Powiedz, co znaczy ta dziecinada? Miałaś przecież brata i ojca tak samo wczoraj jak i dzisiaj? Czy byli mniej nudni i dokuczliwi niż dzisiaj? Przypuszczasz, że mogłabym wybawić cię z kłopotów. Czyż przestałam już być matką rodziny dla tych, co matki nie posiadają?

Andrea drżała jak winowajczyni, pochyliła się przed królową i rzekła:

— Dobroć Waszej Królewskiej Mości przejmuję mnie wdzięcznością, lecz nie odwiedzie mnie od raz powziętego zamiaru. Potrzebuję samotności, postanowiłam porzucić dwór, nie

narażaj mnie pani na zaniedbywanie się w moich obowiązkach względem monarchini na skutek braku stosownego powołania.

— I do tych nieomylnych wniosków doszłaś właśnie wczoraj?

— Racz, Najjaśniejsza Pani, pozwolić mi zamilczeć...

— Uwalniam cię — rzekła królowa z goryczą. — Zbyt wiele jednak pokładałam w tobie zaufania, żeby nie spodziewać się wzajemności. Ale kogoś, kto chce koniecznie milczeć, trudno ciągnąć za słowa. Zachowaj tajemnicę swoją, panno i bądź szczęśliwsza w oddaleniu niż byłaś tutaj. Pamiętaj tylko, że przyjaźni mojej nie zniweczą czyjeś kaprysy i że nie przestanę uważać cię za przyjaciółkę. A teraz, Andreo, idź, jesteś wolna.

Andrea ukloniła się ceremonialnie i wyszła. Królowa ją przywołała.

— Dokąd się udajesz, Andreo?

— Do opactwa Saint-Denis, Najjaśniejsza Pani.

— Do klasztoru! O, to bardzo słusznie. Nie masz zapewne nic sobie do wyrzucenia, ale czy nie uważasz, że niewdzięczność twoja i obojętność dla mnie, to już za wiele? Dość zawiniłaś względem mnie. Idź, już idź, panno de Taverney.

I stało się tak, że bez wyjaśnień, na które w dobroci serca liczyła królowa, bez łez i konwencyonalnej pokory, Andrea skorzystała skwapliwie z pozwolenia i znikła.

Maria Antonina zauważyła, że panna de Taverney zamierza natychmiast opuścić zamek.

Rzeczywiście udała się ona do domu ojca i, jak się spodziewała, zastała tam Filipa. Brat marzył, siostra działała. Na widok Andrei, która o tej porze powinna być na pokojach królewskich, Filip podbiegł zdziwiony i wylękł.

Przeraził go smutek, rozlany na jej twarzy, przywykł bowiem do tego, że siostra witała go zawsze z uśmiechem i radością.

Andrea zawiadomiła brata, iż porzuciła służbę przy królowej, że została zwolniona na żądanie i że wstępuje do klasztoru.

Filip załamał ręce jak człowiek, którego ugodził cios niespodziewany.

— Czy i ty także, moja siostrze?

— Jak to i ja także? Co mówisz?

— Przekłete jest dla rodziny naszej zbliżenie się do Burbonów — zawołał. — Więc do tego przyszło, że chcesz wykonać śluby, zostać zakonnice? Ty, najmniej płocha z kobiet, lecz najmniej także zdolna poddać się surowej regule ascezy! Powiedz szczerze, co masz do zarzucenia królowej?

— Nic jej nie zarzucam, Filipie — odpowiedziała Andrea chłodno. — Ty, który tak liczyłeś na łaskę królewską i miałeś do tego większe niż ktokolwiek prawo, dlaczego tak prędko opuściłeś dwór? Dlaczego trzech dni nie mogłeś wytrzymać? Ja wytrzymałam trzy lata...

— Królowa miała niekiedy kaprysy, Andreo?

— Jeżeli tak jest, Filipie, ty, jako mężczyzna, mogłeś to znosić. Ja, kobieta, nie powinnam i nie chcę; jeśli ma kaprysy, od tego są służące...

— To, co mówisz, kochana siostrzyczko, nie tłumaczy mi, z jakiego powodu miałaś niesnaski z królową.

— Żadnych, przysięgam. A ty, Filipie, czy poróżniłaś się z nią? A jednak uciekłaś. Wierzaj mi, to kobieta niewdzięczna.

— Trzeba jej wybaczyć, Andreo. Zepsuto ją trochę pochlebstwem, ale z gruntu jest dobra.

— Świadczy o tym postępowanie z tobą, Filipie.

— Cóż zrobiła takiego?

— Więc już zapomniałeś? O, ja mara lepszą pamięć. Dlatego dzisiaj odpłacam za siebie i za ciebie, Filipie.

— Za drogo płacisz, Andreo. W twoim wieku, przy twojej urodzie, nie wyrzeka się tak łatwo świata. Strzeż się, najdroższa, opuszczasz go młodo, będziesz żałowała na starość; ale kiedy zapragniesz w swoim czasie wrócić, zmartwisz tylko przyjaciół, z którymi rozdzieliło cię nagłe szaleństwo.

— A jak ty rozumowałeś? Ty, oficer, ambitny i zdolny do poświęceń, czy dbałeś o rozgłos i korzyści tam, gdzie inni zdobywali tytuły i złoto? Ty usuwałeś się w cień i bmałeś w długi. Czyś nie dowodził wtedy przede mną: „Ona jest fantastką, Andreo, ona jest kokietką, ona jest przewrotna: nie będę jej służył”. Na dowód tej teorii wyrzekłeś się świata, choć nie wstąpiłeś do klasztoru, i z nas dwojga ty jesteś bliższy ślubów niepowrotnych. Ja dopiero zamierzam świat opuścić, ty już to uczyniłeś.

— Masz słuszność, siostrzo moja, gdyby nie ojciec...

— Ojciec? A, Filipie, nie wspominaj go — odrzekła Andrea z goryczą. — Czyż ojciec nie powinien być opiekunem dzieci albo przyjąć w starości od nich opiekę? Takie są prawa ojcostwa. A co nasz czyni? — pytam. Czy przyszło ci kiedy na myśl zwierzyć się z czymś panu de Taverney? Czy sądzisz, że on powierzyłby ci którąś ze swoich tajemnic? O nie — mówiła dalej Andrea ze smutkiem — pan de Taverney siebie tylko kocha i żyje tylko dla siebie.

— Wiem o tym, Andreo, lecz nie powinien być osamotniony w chwili śmierci.

Słowa te, wymówione łagodnie lecz stanowczo, przypomniały młodej kobiecie, że w sercu jej za wiele miejsca zajęły gniew, gorycz i żal do świata.

— Nie wyobrażaj sobie — powiedziała — że jestem wyrodną córką. Wiesz dobrze, że jestem siostrą kochającą, lecz w życiu moim każdy, kto mnie spotkał, zabijał we mnie ów instynkt sympatii. Bóg obdarzył mnie przy urodzeniu, jak każdą istotę żyjącą, ciałem i duszą; darów tych każdy ma prawo używać dla zdobycia szczęścia na ziemi i w niebie. Był człowiek, którego nie znałam i zabrał mi duszę; to był Balsamo. Był drugi, którego zaledwie znałam, a był mniej niż człowiekiem dla mnie, i ten zawładnął mym ciałem; to był Gilbert. Powtarzam ci, Filipie, że chcąc być dobrą i przywiązaną córką, trzeba mieć dobrego ojca... Przejdźmy teraz do twoich spraw i obrachujmy, co ci przyniosła służba u wielkich tego świata, tobie, któryś ich kochał...

Filip spuścił głowę.

— Oszczędź mnie — rzekł. — Kochałem ich, to prawda, bo widziałem w nich istoty do mnie podobne. Przecież sam Bóg powiedział: „kochajcie jedni drugich”.

— O, Filipie! — odpowiedziała. — Nie przytrafi się nigdy na tym świecie, aby serce kochające znalazło wzajemność? Wybrani przez nas, wybierają innych.

Filip podniósł bladą twarz i patrzył na siostrę badawczo i z wyrazem zdziwienia.

— Dlaczego mi to mówisz? Do czego prowadzasz? — zapytał.

— Nie, nie, Filipie — odpowiedziała obawiając się zwierzeń i wyznań. — Jestem dotknięta, braciszku. W głowie mi się mąci, nie zważaj na to, co mówię.

— A jednak...

Andrea przysunęła się do Filipa i ujęła go za rękę.

— Dość już o tym, braciszku, proszę cię odwieź mnie do klasztoru. Wybrałam Saint-Denis; bądź spokojny, nie złożę na razie ślubów. Zamiast szukać zapomnienia, jakie chce znaleźć większość kobiet, ja pragnę w odosobnieniu pamiętać i rozpamiętywać... Za mało dotąd myślałam o Bogu, który jest jedynym królem, jedynym panem, jedyną pociechą i ucieczką naszą. Oddam mu się w opiekę i dzisiaj, gdy go pojmuję, więcej uczynię dla mojego szczęścia, niż gdyby wszystkie potęgi tej ziemi zmówiły się, aby mi dać szczęśliwe życie. Samotności pragnę, bracie mój, samotności: to przedsiomek wiekuistego szczęścia. W ciszy Bóg przemawia do serca człowieka, w ciszy człowiek rozmawia z Bogiem!

Filip powstrzymał Andree gestem.

— Pamiętaj — powiedział — że nie zgadzam się na ten rozpaczliwy krok. Nie powiedziałaś mi przyczyny, nie mogę być sędzią tego postanowienia.

— Rozpacz! — zawołała z pogardą. — Mówisz o rozpacz! Dzięki Bogu nie wyjeżdżam z tego powodu. Ja miałabym czegoś żałować? Rozpaczać? Nie.

— Już sam nadmiar pogardy świadczy, że stan ten nie może trwać długo — podjął Filip. — Nie przyznajesz się do rozpacz, a więc, Andreo, kieruje tobą tylko gniew.

Szyderczy śmiech Andrei zmienił się w uśmiech dumny.

— Gniew — odpowiedziała. — Chyba nie wierzysz w to, iż panna de Taverney jest tak słaba, że ustępuje miejsca na świecie na skutek gniewu. Gniew — to broń kokietek... i głupich... Łzy szybko gaszą płomień podobnych uczuć... Nie, nie ma we mnie gniewu. Chciałabym, żebyś mi uwierzył, a tak się stanie, gdy wejrzysz w głąb swej duszy i zapytasz o powód żalu do świata. Odpowiedz mi szczerze, Filipie, jeżeli byś jutro uciekł do eremu trapistów, jak nazwałbyś przyczynę, która by cię popchnęła do tego kroku?

— Nazwałbym ta nieuleczalnymi cierpieniem, siostrzo moja — powiedział Filip z cichą powagą nieszczęścia.

— O tak, Filipie, oto nazwa stosowna, ja też ją przyjmuję. A więc i mnie nieuleczalne cierpienie ciągnie do samotności.

— Jak to dobrze — odrzekł Filip — że nie różnią się losy siostry i brata. Bóg nam wyznaczył równą dozę szczęścia i niedoli, Jesteśmy dobranym rodzeństwem, Andreo.

Andrea czekała, że Filip owładnięty wzruszeniem zada jej dalsze pytania; być może, że to serce niezłomne otworzyłoby się na wezwanie miłości braterskiej.

Lecz Filip wiedział z doświadczenia, że wielkie dusze wystarczają sobie; nie próbował zatem zdobywać gwałtem warowni, w której zasklepiła się Andrea.

— O której godzinie którego dnia chcesz wyjechać? — zapytał.

— Jutro, dziś nawet, jeżeli czas jeszcze.

— Czy przejdiesz się ze mną po parku, ostatni raz?...

— Nie!

Zrozumiał z uścisku ręki, towarzyszącego odmowie, że młoda kobieta nie chciała się rozrzewniać.

— Będę gotów — odpowiedział.

Pocałował ją w rękę, nie mówiąc ani słowa. Obawiał się, aby gorycz, przepelniająca serce, nie wydobyła się na usta.

Andrea usunęła się do swego pokoju, by poczynić przygotowania; po chwili odebrała bilecik od Filipa.

„Możesz odwiedzić ojca o piątej wieczorem. Pożegnanie jest konieczne. Pan de Taverhey nie przebaczyłby zaniedbania powinności”.

Odpowiedziała mu:

„O piątej będę u pana de Taverney w ubraniu podróżnym. O siódmej możemy już być w Saint-Denis. Czy poświęcisz mi wieczór dzisiejszy?”

Zamiast odpowiedzi Filip zawołał przez okno, sąsiadujące z pokojem Andrei, tak, aby mogła usłyszeć:

— Konie do karety na godzinę piątą!

LVI. MINISTER SKARBU

Wiemy już, że królowa zanim przyjęła Andreę, czytała bilecik pani de la Motte i że uśmiechała się.

Bilecik zawierał te tylko słowa, poprzedzone zwykłymi formułkami najgłębszego uszanowania:

„... Wasza Królewska Mość może być pewna, że będzie miała kredyt otwarty, a towar będzie Jej oddany przez osobę zaufaną”.

Królowa uśmiechnęła się więc, a potem spaliła bilecik Joanny.

Potem, zasepionej nieco po rozmowie z panną de Taverney, pani de Misery doniosła, że pan de Calonne prosi o zaszczyt przedłożenia królowej swych usług.

Nie będzie od rzeczy przedstawić czytelnikowi nową osobistość. Poznał ją wprawdzie już z historii, ale powieść, chociaż z mniejszą ścisłością układa perspektywy i rzuty ogólne, może dorzucić więcej szczegółów absorbujących wyobraźnię.

Pan de Calonne, człowiek bystrego, a nawet bardzo bystrego umysłu, należał do pokolenia drugiej połowy wieku XVIII, tego pokolenia, które, nieskłonne do łez, choć rozumujące, przyłożyło się do nieszczęść zawisłych nad Francją.

Interes osobisty mieszał z pojęciem interesów ogółu, za Ludwikiem XV mawiał: „Po nas choćby koniec świata” i dlatego właśnie szukał wszędzie kwiatów, by przystroić nimi ostatni dzień.

Na sprawach państwowych znał się, był przy tym dworakiem.

Ile tylko było w tej epoce kobiet sławnych z intelektu, bogactwa i urody, wszystkie uczył hołdem podobnym do tego, jaki pszczoła składa kwiatom, wyróżniającym się słodyczą i aromatem.

Streszczenie całej ówczesnej wiedzy obejmowała w tym okresie konwersacja siedmiu do ośmiu mężczyzn oraz dziesięciu do dwunastu kobiet. Pan de Calonne był w stanie rozprawić z d'Alembertem, rozumować z Diderotem, szydzić z Voltairem i marzyć z Rousseau. W końcu czuł się dość mocny, by śmiać się w nos z popularności pana Neckera, chociaż ów minister był człowiekiem rozumnym i dalekowzrocznym... „Sprawozdanie o stanie finansów” powinno było otworzyć oczy całej Francji. Calonne przyjrząwszy się mu ze wszystkich stron ośmieszył je w oczach tych nawet, których wprawiało w największe osłupienie.

Król i królowa, u których nazwisko Neckera budziło lęk, ze drżeniem słuchali, jak szydził zeń elegancki i dowcipny mąż stanu, który na wszystkie przytoczone cyfry odpowiadał niezmiennie:

— Na cóż zdadzą się dowody, gdy nie jesteśmy w stanie niczego dowieść?

Rzeczywiście pan Necker wykazał jedynie swą niemożność zawiadywania nadal finansami. Pan de Calonne objął je bez namysłu, jako ciężar zbyt lekki na jego barki; od pierwszej jednak drwili, można powiedzieć, ugiął się pod brzemieniem.

Pan Necker żądał reform. Reformy te, choć umiarkowane, przestraszyły ogół. Zyskiwało na nich niewiele, a i ci co zyskiwali, skorzystać mieli bardzo mało. Wielu na nich traciło, a w dodatku traciło dużo. To, czego Necker chciał — słuszny podatków, obciążenie dóbr ziemskich i dochodów duchowieństwa — oznaczało niemożliwą do przeprowadzenia rewolucję. Rozdrabniało naród i osłabiało go z góry, kiedy należało skupić wszystkie siły, żeby doprowadzić do ogólnego odrodzenia.

Cel, do którego dążył Necker, był niemożliwy do urzeczywistnienia właśnie dlatego, że on go wskazywał. Mówić o poskromieniu nadużyć do tych, którzy z tego ciągnęli korzyści, nie jest to

narażać się na ich zajadłą opozycję? Czyż uprzędzamy nieprzyjaciela o chwili, w której mamy zamiar przypuścić szturm do fortecy?

Zrozumiał to Calonne i w tym wypadku okazał się rzetelniejszym przyjacielem narodu niż Necker, pochodzący z Genewy.

Mówimy tu o faktach spełnianych, bo Calonne zamiast oddalać nieuniknioną katastrofę, przyspieszał jej wybuch.

Plan jego był śmiały, olbrzymi, pewny. Chodziło o zrujnowanie w przeciągu dwóch lat króla i szlachty, którzy mogliby wegetować jeszcze z jakie dziesięć lat, a po bankructwie powiedzieć im:

— A teraz, panowie, płacie na ubogich, bo oni są głodni i pochłoną tych, którzy ich dobrowolnie nie zechcą nakarmić.

Jakim sposobem król nie spostrzegł od razu konsekwencji tego planu a nawet samego planu? On, który trząsał się ze wściekłości czytając sprawozdanie, nie przejrzał swojego ministra? Dlaczego nie dokonał wyboru pomiędzy dwoma systemami i wolał rzucić się na los szczęścia? Jest to jedyny faktyczny rachunek, z którego Ludwik XVI powinien odpowiadać przed potomnością.

Co wpłynęło na to, że król miał przepaskę na oczach i że królowa, tak zawsze przewidująca i tak dokładna w swych spostrzeżeniach, okazała się równie jak jej małżonek zaślepiona postępowaniem ministra — historia, a jeszcze bardziej powieść dostarczą kilku nieodzownych szczegółów.

Pan de Calonne wszedł do gabinetu królowej.

Piękny, słusznego wzrostu i szlachetnych manier, umiał on wywoływać uśmiech na ustach monarchini, a wyciskać łzy z oczu swoich kochanek.

Pewny, że Maria Antonina wzywa go z powodu nagłej potrzeby pieniężnej, stanął przed nią pogodny, z uśmiechem na ustach. Wielu na jego miejscu przyszłoby z czołem zmarszczonym, aby potem przyzwolenie ich miało więcej uroku.

Królowa z nadzwyczajną uprzejmością prosiła ministra, aby usiadł i rozmawiał łaskawie o rzeczach nic nie znaczących.

— Czy mamy pieniądze, kochany panie de Calonne? — zapytała.

— Ależ bez wątpienia, Najjaśniejsza Pani, mamy, mamy je zawsze

— A to wybornie się składa — ciągnęła królowa. — Pan jeden tylko potrafi odpowiadać w ten sposób na moje życzenia. Jesteś niezrównanym ministrem skarbu.

— Jakiej sumy potrzebuje Wasza Królewska Mość? — rzekł Calonne.

— Powiedz mi pan najpierw, jakim cudem znalazłeś pieniądze tam, gdzie, jak pan Necker utrzymywał, nie ma ich wcale?

— Pan Necker miał słusność, Najjaśniejsza Pani, skarb był pusty. Nie mylił się. Do tego stopnia jest to prawdą, że w dniu, kiedy objąłem ministerium, to jest piątego grudnia 1783 roku — takie daty zostają w pamięci — odbierając protokolarnie skarb publiczny, znalazłem w kasie jedynie dwa worki, zawierające po tysiąc dwieście liwrów. Nie było ani szeląga więcej.

Królowa roześmiała się.

— Otóż, Najjaśniejsza Pani, gdyby pan Necker zamiast krzyczeć: „Nie ma pieniędzy!” zabrał się do pożyczania, jak ja to uczyniłem; gdyby zapewnił sobie sto milionów pierwszego zaraz roku, a sto dwadzieścia drugiego; gdyby zaciągnął nową pożyczkę, osiemdziesiąt milionów, na rok trzeci, wtedy pan Necker byłby prawdziwym ministrem skarbu. Pierwszy lepszy potrafi zawołać: „Nie ma pieniędzy w kasie”, ale nie każdy: „Są i będą zawsze!”.

— Ja też tego panu wieszowałam, panie Calonne. Powiedz mi tylko, jak pospłacasz długi? W tym cała trudność.

— O pani — odpowiedział Calonne z niezbadanym uśmiechem — zaręczam ci, że się spłaci.

— Ufam panu w zupełności — rzekła królowa — lecz pomówmy jeszcze o finansach. Nauka u pana jest pełna pożytku; kolce i ciernie dla innych, pod pańską ręką są drzewem owocującym.

Calonne uklonił się.

— Czy masz pan jakiś nowy pomysł? — zapytała królowa. — Proszę, powiedz, niech pierwsza usłyszę.

— Mam myśl, która, jeśli będzie urzeczywistniona, napędzi dwadzieścia milionów do kieszeni Francuzów i siedem milionów do kieszeni Najjaśniejszej Pani... przepraszam, do szkatuły Jego Królewskiej Mości.

— Błogosławione miliony; i tu i tam ujrzą je z radością. Kiedyż i którędy przy płyną?

— Wasza Królewska Mość wie zapewne, że moneta złota nie posiada wartości jednakowej we wszystkich krajach europejskich.

— Wiem o tym. W Hiszpanii, na przykład, złoto jest droższe niż we Francji.

— Wasza Królewska Mość ma rację i to rozkosz prawdziwa rozmawiać z nią o finansach. Złoto w Hiszpanii kosztuje od lat kilku osiemnaście uncji na grzywnie drożej niż we Francji. W rezultacie eksporterzy zarabiają na każdej grzywnie złota, wywiezionego z Francji, około czternastu uncji srebra.

— To bardzo dużo! — rzekła królowa.

— Gdyby kapitaliści wiedzieli to, co ja wiem, za rok najdalej nie byłoby już u nas ani jednego luidora w złocie.

— Chcesz pan zapobiec temu?

— Bezwzględnie, pani. Podniosę wartość złota na piętnastu grzywnach o cztery uncje i dam piętnaście procent zysku. Pojmuje Wasza Królewska Mość, że wtedy ani jeden luidor nie zostanie w ukryciu, gdy się rozgłosi, że właśnie taki procent mennica płaci dostawcom złota. Po przetopieniu monety starej, bijąc monetę z grzywny, zamiast obecnej wartości trzydziestu luidorów otrzymamy trzydzieści dwa.

— Zysk w chwili obecnej i zysk w przyszłości! — zawołała królowa. — Pyszna myśl!

— Tak sądzę i rad jestem nieskończenie, iż zyskała akceptację Waszej Królewskiej Mości.

— Miej pan zawsze takie pomysły, a z pewnością spłacisz wszystkie nasze długi.

— Pozwól, Najjaśniejsza Pani, zapytać — przerwał minister — czego życzysz sobie ode mnie?

— Czy można by, panie ministrze, dostać niezwłocznie...

— Jak wysoką sumę?

— Och, może zbyt wysoką!

Calonne uśmiechnął się zachęcająco.

— Pięćset tysięcy liwrów — rzekła królowa.

— Ach, Najjaśniejsza Pani, zląkłem się, myślałem, że chodzi o prawdziwie wielką sumę.

— Zatem pan może?...

— Naturalnie.

— Bez wiedzy króla...

— O, Najjaśniejsza Pani, to niepodobieństwo! Co miesiąc przedstawiam rachunki królowi; wprawdzie nie ma zdarzenia, aby je kiedy sprawdzał... i to mi czyni zaszczyt...

— Kiedyż mogę otrzymać?...

— Na który dzień Wasza Królewska Mość potrzebuje?

— Dopiero piątego przyszłego miesiąca.

— Rozliczenie zrobimy drugiego, trzeciego Najjaśniejsza Pani otrzyma pieniądze.

— Dziękuję, panie de Calonne.

— Najszcześliwszym się czuję, gdy mogę być użytecznym Waszej Królewskiej Mości. Błagam pokornie o pozbycie się skrupułów, gdy chodzi o moją kasę. Pochlebia to miłości własnej generalnego kontrolera finansów.

Podniósł się i uklonił z szacunkiem; królowa podała mu rękę do ucałowania.

— Słówko jeszcze — rzekła.

— Słucham, Najjaśniejsza Pani.

— Mam wyrzuty sumienia z powodu tych pieniędzy.

— Wyrzuty sumienia...

— Tak, biorę je dla dogodzenia fantazji.

— Tym lepiej. Przynajmniej połowa tej sumy przyniesie zysk dla naszego przemysłu, handlu czy dla sztuk pięknych.

— W miły sposób pan mnie pocieszasz, bo widzisz, panie de Calonne, byłoby to dla mnie prawdziwym zmartwieniem, gdyby biedny lud płacił za moje kaprysy...

— O, jeżeli tylko o to chodzi — rzekł minister ze złowrogim uśmiechem, wypunktowując każde słowo — niech się Wasza Królewska Mość nie obawia, bo przysięgam, że nie lud będzie płacił za jej fantazje.

— Dlaczego? — zapytała królowa zdziwiona.

— Ponieważ Lud nic już nie posiada, a tam, gdzie nic nie ma, król traci swe prawa — odpowiedział minister nie zmieszany. Uklonił się i wyszedł.

LVII. ODZYSKANE ZŁUDZENIA — STRACONA TAJEMNICA

Zaledwie pan de Calonne opuścił królowę, dało się słyszeć dyskretne pukanie do drzwi buduaru, a za chwilę weszła Joanna.

— Najjaśniejsza Pani — rzekła cicho — „on” jest tam, czeka.

— Kto, kardynał? — zapytała królowa, zdziwiona wyrażeniem „on”, tak wiele znaczącym w ustach kobiety.

Nie zdążyła nic dodać, a już Joanna wprowadziła pana de Rohan, sama zaś pożegnała królowę, uściskawszy nieznacznie rękę swojego protegowanego.

Książę został sam z Marią Antoniną; postąpił trzy kroki i złożył należny ukłon.

Królowa, widząc szacunek i takt w zachowaniu kardynała, uczuła się wzruszoną i wyciągnęła rękę do stojącego wciąż jeszcze ze spuszczonej oczyma.

— Książę — powiedziała — powiadomiono mnie o jego postępkach, który zmazał wiele win.

— Pozwól mi, Najjaśniejsza Pani — rzekł książę, drżąc ze wzruszenia — pozwól mi łaskawie zapewnić, że winy moje, o których Wasza Królewska Mość wspomina, okazałyby się znacznie mniejsze, gdyby mi wolno było usprawiedliwić się.

— Nie zabraniam panu wcale tego — odrzekła królowa, z godnością — lecz cokolwiek byś powiedział, rzucić to może cień na przywiązanie i szacunek, jaki mam dla mego kraju i rodziny. Usprawiedliwiając siebie, musiałbyś mnie zranić, panie kardynale. Ale nie dotykajmy tego niezagasłego ognia. Widzieć pana w nowym świetle, które objawiło mi przyjaciela pełnego szacunku, oddanego...

— O tak! Oddanego... aż do śmierci — przerwał kardynał.

— Niech i tak będzie, jeśli się panu podoba. Ale na razie — mówiła Maria Antonina — chodzi o coś zupełnie innego. Wszak pragniesz mi służyć aż do zrujnowania się, panie kardynale? Bardzo to piękne z twojej strony, aż nadto piękne... Na szczęście zapobiegłam już tej katastrofie. Ani życiem, ani ruiną majątkową nie zapłacisz pan za oddanie się na moje usługi, chyba że, jak to mówią, sam siebie zrujnujesz. To już twoja rzecz. W każdym razie, ponieważ jesteśmy teraz przyjaciółmi, więc jako przyjaciółka radzę ci, bądź oszczędny, to cnota konieczna dla pana: zyskasz tym łaskę króla, bo on nie lubi marnotrawców.

— Zostanę skąpcem dla przypodobania się Waszej Królewskiej Mości.

— Król — podjęła Maria Antonina, z delikatną subtelnością w głosie — nie lubi skąpców także.

— A więc będę, czym Wasza Królewska Mość rozkaże — przerwał kardynał ze źle ukrywaną namiętnością.

— Otóż mówiłam — przerwała królowa poważnie — że nie zrujnujesz się pan z mojej przyczyny. Poręczyłeś za mnie i tym mnie zobowiązałeś, lecz, dzięki Bogu, mogę jeszcze zapłacić, com komu winna, nie zajmuj się zatem tą sprawą, która zacząwszy od pierwszej wypłaty mnie tylko jedną obchodzić powinna.

— Lecz, aby sprawa ta została ukończona — rzekł kardynał — pozostaje mi jeszcze oddać naszyjnik Waszej Królewskiej Mości.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni pudełko i podał z ukłonem.

Królowa wzięła pudełko nie spojrzawszy na nie, co zdradzało właśnie chęć obejrzenia i drżąc z radości odłożyła je na toaletkę, tak żeby mieć je pod ręką.

Kardynał ośmielił się trochę i zaczął prawić grzeczności, czego łaskawie słuchała; na koniec chciał nawrócić do poprzedniego tematu, o pojednaniu z królową.

Ona zaś, ponieważ postanowiła nie patrzeć przy nim na brylanty, a paliła ją chęć obejrzenia ich, słuchała z roztargnieniem. Przez roztargnienie takie nie cofnęła mu ręki, którą ucałował z zachwytem i wreszcie pożegnał królową, widząc, że jej zawadza, co także go uradowało. Zwykły przyjaciel przecież nigdy nie żenuje, obojętny tym mniej.

Tak odbyła się ta rozmowa, która zagoiła wszystkie rany w sercu kardynała. Wyszedł zachwycony, upojony nadzieją i gotów okazać pani de la Motte wdzięczność bez granic za rokowania, tak pomyślnie doprowadzone do skutku.

Joanna oczekiwała nań w karecie o sto kroków od bramy i w karecie przyjęła płomienne zapewnienia przyjaciela.

— No cóż — powiedziała, gdy minął pierwszy wybuch wdzięczności — kim pan zostajesz: Richelieu czy Mazarinim? Czy usta Austriaczki udzieliły zachęty dla ambicji czy dla miłości? Rzucasz się w objęcia polityki czy w intrygę?

— Nie żartuj, hrabino — rzekł książę. — Rozum tracę z radości!...

— Już?

— Nie opuszczaj mnie tylko, a za trzy tygodnie zostanę ministrem.

— Przekleństwo!... Aż za trzy tygodnie? Jakżeż to długo czekać, termin zaś pierwszej wypłaty przypada za dni piętnaście!...

— O, szczęście nigdy samo nie przychodzi. Królowa ma pieniądze... i zapłaci; cała moja zasługa ogranicza się do dobrych chęci... To za mało, hrabino, na honor, to zbyt mało. Bóg świadkiem, że pogodzenie się z królową opłaciłbym chętnie ceną pięciuset tysięcy liwrów!

— O, bądź pan spokojny — przerwała Joanna z uśmiechem — będziesz miał i tę przyjemność. Czy bardzo pan jej pragnie?

— Przyznaję, że wolałbym, bo widzisz, hrabino, gdyby królowa zawdzięczała mi...

— Eminencjo, mam przeczucie, że cię nie ominie ta satysfakcja. Czy aby jesteś na nią przygotowany?

— Rozkazałem na ten cel posprzedawać ostatnie posiadłości moje i wydzierżawić na rok przyszyły dochody i beneficja.

— I masz pan pięćset tysięcy liwrów w gotówce?

— A jakże, mam, ale po zapłaceniu nie wiem, co dalej pocznę...

— Rachujmy na to — zawołała Joanna — że wypłata obecna daje nam trzy miesiące spokoju. A co się przez ten czas stać może, to tylko Bóg jeden wie! Dwa miesiące u steru rządu uregułuje pańskie rachunki i postawi cię na nogi.

— O, hrabino, co za przypuszczenia!...

— Nie broń się, Eminencjo. Nie ty, to kuzyni pańscy to zrobią...

— Masz rację, jak zawsze zresztą. Dokąd się teraz udajesz?

— Idę do królowej — muszę się przekonać, jakie wrażenie pozostawiła wizyta pańska.

— Bardzo dobrze. Ja zaś wracam do Paryża.

— Ciekawam, po co? Pokaż się pan lepiej wieczorem znów na pokojach; dobra taktyka każe nie opuszczać placu boju.

— Na nieszczęście, muszę stawić się na spotkanie. Wyznaczono mi je dziś rano przed wyjazdem.

— Na schadzkę?

— Na dość poważną, sądząc z bileciku, jaki odebrałem. Przeczytaj sama...

— Charakter pisma męski — rzekła hrabina i czytała:

„Eminencjo!

Pewna osoba chce z panem pomówić o zwrocie sumy pieniężnej, bardzo znacznej. Osoba ta przedstawi się panu kardynałowi dziś wieczorem w pałacu jego, w Paryżu, prosząc o audiencję”.

— To anonim!... Jakiś żebrak...

— O nie, hrabino, nikt by nie śmiał z lekkim sercem żartować ze mnie w ten sposób, by nie narazić się na chłostę z rąk służby.

— Cóż więc pan przypuszcza?

— Sam nie wiem skąd, lecz wydaje mi się, iż znam to pismo.

— No, to jedź. Zresztą nie ryzykujesz nic, jeśli spotkasz się z ludźmi, którzy obiecują ci pieniądze. Byłoby gorsze, gdyby nie zapłacili... A teraz żegnam Waszą Eminencję.

— Do szczęśliwego zobaczenia, hrabino.

— Ale, ale, Eminencjo, jeszcze parę słówek...

— Co takiego?

— Jeżeli przypadkiem wpadną ci w ręce pieniądze...

— To co, hrabino?

— Dostaniesz coś, o czym pan zapomniałeś, czego się nie spodziewasz, skarb jaki odszukany...

— Rozumiem, rozumiem, filutko. Mam podzielić się z tobą, wszak prawda?

— Zgadłeś, Eminencjo.

— Przynosisz mi szczęście, hrabino, czemu więc nie miałbym pamiętać o tobie? Sprawa załatwiona. A co drugie?

— Tylko to: bądź pan ostrożny i nie naruszaj swych pięciuset tysięcy liwrów.

— Och, nie lękaj się niczego!

Rozstali się i kardynał wracał do Paryża w błogiej atmosferze niezmiernego szczęścia.

Od dwóch godzin świat zmienił się dla niego zupełnie, życie stało się inne...

Zakochanego obdarowała królowa bardziej, niż śmiał marzyć, ambitnemu pozwalała żywić nadzieję na więcej.

Król, jeśli go żona zręcznie poprowadzi, stanie się dla kardynała narzędziem przyszłej fortuny, której już odtąd nic nie powinno powstrzymać.

Książę Ludwik miał pełną głowę pomysłów, czuł w sobie geniusz polityczny, którego nie posiadał żaden z rywali. Planował rozliczne reformy i zbliżał już w duchu duchowieństwo z ludem, aby stworzyć w ten sposób trwałą większość, dzięki której mógłby rządzić długo w oparciu o siłę i prawo.

Postawił na czele tego ruchu reformatorskiego królowę, którą uwielbia i której przywróci w miejsce rosnącej stale niechęci, niezwykłą popularność.

Takie były marzenia prałata, a marzenia te jedno czułe słówko Marii Antoniny mogło zamienić w rzeczywistość.

Wówczas wietrznik wyrzeknie się swych podbojów, światowiec przekształci się w filozofa, próżniak zostanie pracownikiem niezmordowanym. Dla mocnych charakterów to nic trudnego zamienić dnie i noce, poświęcone miłostkom i hulankom, na życie obowiązku i pracy.

Daleko powiózł pana de Rohan ów zaprzęg ognisty, który nazywamy dumą i miłością.

Natychmiast po przybyciu do Paryża, książę zabrał się do dzieła. Spaliwszy na początek całą szkatułkę listów miłosnych, polecił intendentowi wprowadzić różne zmiany; sekretarzowi rozkazał temperować pióra, a sam zabrał się do pisania rozprawy o zasadach polityki angielskiej, którą znał i rozumiał doskonale.

Godzinę całą pracował już i czuł, że dopisuje mu wena, gdy naraz w gabinecie odezwał się dzwonek, co oznaczało przybycie poważnego interesanta.

Wszedł pokojowiec.

— Kto tam jest? — zapytał prałat.

— Osoba, która pisała dziś rano do Waszej Eminencji.

— Ten list bez podpisu?
— Tak, Eminencjo.
— Ale ta osoba ma chyba nazwisko. Idź, zapytaj! Pokojowiec wyszedł i powrócił za chwilę.
— Hrabia Cagliostro — powiedział. Książę zadrżał.
— Niech wejdzie.
Hrabia wszedł, drzwi się za nim zamknęły.
— Boże wielki! — wykrzyknął kardynał. — Kogoż to ja widzę?
— Prawda, Eminencjo — rzekł Cagliostro z uśmiechem — że nie bardzo się zmieniłem?
— Czy podobna... — mruzczał de Rohan — czy to możliwe... Józef Balsamo żyje... on, który, jak mówiono, znalazł śmierć w płomieniach... Józef Balsamo.
— Hrabia de Foenix, obecnie zmieniony, żyje i to bardziej niż kiedykolwiek.
— Dlaczego zmieniłeś pan nazwisko... Dlaczego porzuciłeś dawniejsze?
— Dlatego właśnie, że dawne wiele smutnych i przykrych wydarzeń przypominało innym i mnie samemu.
— Pan, na przykład, Eminencjo, czyż nie kazałbyś drzwi zamknąć przed Józefem Balsamo?
— Ja? Ależ nie, mój panie.
Kardynał, osłupiały, zapomniał nawet prosić Cagliostra, by usiadł.
— Okazuje się — podjął tenże — iż Wasza Eminencja ma lepszą pamięć i więcej uczciwości niż wszyscy razem ludzie na ziemi.
— O, panie, wyświadczyłeś mi ongi taką przysługę...
— Przyjrzyj mi się pan — przerwał Balsamo. — Oto masz przed sobą doskonały dowód działania mych kropeł.
— No, panie, wszak jesteś człowiekiem wyjątkowym, wyższym nad ród ludzki, pan, który szafujesz złotem i obdarzasz zdrowiem...
— Zdrowiem — nie przeczę, lecz złotem?... O nie, już nie!
— Czy już nie produkujesz pan złota?
— Nie, Eminencjo.
— Czemu?
— Ponieważ zgubiłem ostatnią cząsteczkę owej nieodzownej ingrediencji, którą otrzymałem od — mistrza mojego, mędrca Althotasa, po jego wyjeździe z Egiptu. Była to jedyna rzecz, na którą nie posiadałem recepty.
— Czy mistrz pański zachował ją dla siebie?
— Nie... a raczej tak; zachował dla siebie, ponieważ zabrał tajemnicę do grobu.
— Czemuż nie przedłużyłeś życia temu człowiekowi, jedyemu posiadaczowi tak ważnej tajemnicy, skoro sobie zapewniłeś życie i młodość wieczną, jak sam powiadasz?
— Cóż, mogę walczyć z chorobą, goić śmiertelne rany, ale nic nie poradzę, gdy nieprzewidziany wypadek sprowadzi zgon, zanim zostaną wezwany.
— Więc to wskutek wypadku skończył życie Althotas?
— Sądziłem, że wiesz o tym, Eminencjo. Wiedziałeś przecież o mojej śmierci?
— Ach, więc ów pożar przy ulicy Saint-Claude, po którym przepadłeś bez wieści...
— Zabił samego tylko Althotasa, a raczej mędrzec życiem znużony, zapragnął nareszcie umrzeć.
— To niepojęte, doprawdy!
— Owszem, bardzo naturalne. Mnie samemu ze sto razy przychodziła do głowy myśl podobna...
— A jednak żyjesz pan...

— Ponieważ wybrałem dla siebie wiek, graniczący z młodością. Dobre zdrowie, namiętności, uciechy cielesne uprzyjemniają mi życie; Althotas przeciwnie, wybrał starość.

— Czemuż nie zrobił tak jak pan?

— Bo był człowiekiem wyższym, ze wszystkich spraw tego świata pragnął tylko nauki. Młodość, burząca się krew, namiętności i rozkosze przeszkadzałyby mu w kontemplacji. O, tak, Eminencjo, trzeba być wolnym od żądz, żeby myśleć głęboko, żeby pogрузić się w nienaruszalny spokój ducha. Althotas to ofiara zamiłowania do nauki. Ja zaś żyję jak światowiec; marnuję czas i nic zgoła nie tworzę. Jestem jak roślina.... nie śmiem rzec jak kwiat... Nie żyję, wegetuję jedynie.

— O! — szepnął kardynał. — Na widok pana zmartwychwstałego, odżyją moje dawne wspomnienia. Powracam powoli myślą do tego czasu, kiedy to magiczna władza słów pańskich potęgowała uczucia moje i podnosiła w oczach moich wartość istoty stworzonej... Przypominasz mi cudowne marzenia wieku młodzieńczego. Czy wiesz pan, że dziesięć lat upłynęło już od czasu, jakęś mi się ukazał po raz pierwszy?

— Wiem o tym doskonale i widać to po nas obydwóch. Ja nie jestem już mędrcom, lecz uczonym. Pan nie jesteś już owym pięknym młodzieńcem, lecz pięknym i dostojnym księciem kościoła. Czy przypominasz sobie, Eminencjo, ów dzień, jak to w gabinecie moim, zmienionym dzisiaj do niepoznania, obiecywałem ci miłość kobiety, z której włosów czytała moja jasnowidząca?

Kardynał pobladł, po czym zaczerwienił się gwałtownie. Przestrasch i radość miały na przemian jego sercem.

— Pamiętam, pamiętam, choć niedokładnie — rzeki.

— Zobaczmy — rzekł Cagliostro z uśmiechem — czy i teraz jeszcze mógłbym uchodzić za wieszczka. Poczekaj, zastanowię się.

Zasłonił oczy i wpadł w zadumę.

— Dziewczę jasnowłose, ideał twoich młodzieńczych snów — rzekł po chwili w natchnieniu — gdzie jest obecnie?... Co robi?... A! Na Boga! Widzę ją. Tak, widzę... lecz pan ją dziś widziałeś. co więcej, niedawno ją opuściłeś...

Kardynał przyłożył zlodowaciałą rękę do bijącego serca.

— Panie — rzekł tak cicho, że Cagliostro zaledwie usłyszał. — Panie, przez litość...

— Czy chcesz pan mówić o czym innym? — zapytał grzecznie wróżbita. — Proszę, rozporządzaj, księżę, moją osobą.

I rozparł się dość wygodnie na sofie, choć kardynał do tej pory zapomniał mu wskazać miejsce.

TOM III

LVIII. DŁUŻNIK I WIERZycIEL

Kardynał wydawał się lekko wystraszony.

— No, Eminencjo — rzekł gość. — Skoro już odnowiliśmy naszą znajomość, możemy porozmawiać.

— Tak — odpowiedział prałat starając się nadać twarzy wyraz weselszy. — Pomówmy o tym zwrocie, o którym...

— O którym wspominałem w moim liście, prawda... Wasza Eminencja pragnąłby się dowiedzieć...

— Och, to był pretekst, jak sędzę...

— Ależ nie, bynajmniej nie pretekst, rzeczywistość i to bardzo poważna. O zwrot ten warto się upomnieć, warto, gdyż chodzi o pięćset tysięcy liwrow, co jest sumką niegorszą...

— Suma, którąś mi pan łaskawie pożyczył! — zawołał, błędząc, kardynał.

— Tak jest, pożyczyłem tę kwotę Waszej Eminencji — rzekł Balsamo skłaniając głowę. — Miło to widzieć u tak wysokiego dostojnika tak doskonałą pamięć.

Kardynał zrozumiał, zimny pot spłynął mu z czoła na policzki, spróbował jednak uśmiechnąć się.

— Myślałem przez jakiś czas, że Józef Balsamo, człowiek nadnaturalny, zabrał dług do grobu, tak samo jak spalił niegdyś mój rewers.

— Wasza Eminencjo — rzekł hrabia z powagą — życie Józefa Balsamo jest równie niezniszczalne jak ów papier, o którym mniemałeś, że spłonął. Śmierć nie podoła eliksirowi życia, ogień — amiantowi.

— Nie rozumiem — odparł kardynał, któremu ciemno robiło się przed oczyma.

— Zaraz, książę, zrozumiesz, jestem o tym przekonany — rzekł Cagliostro.

— Jakim sposobem?...

— Poznając swój podpis! — odpowiedział Cagliostro i podał księciu papier złożony we czworo.

— Mój rewers!...

— Tak, Eminencjo, pański rewens — odparł Cagliostro uśmiechając się zimno i sztywno kłaniając.

— Ależ, widziałem, jak pan go rzuciłeś do ognia.

— Owszem wrzuciłem ten papier do ognia — odparł hrabia — lecz jak Waszej Eminencji wspominałem traf chciał, że kwit zamiast na zwyczajnym papierze, napisany był na amiancie i leżał w popiele nienaruszony.

— Panie — rzekł kardynał wyniośle, gdyż przedstawienie kwitu uważał za oznakę nieufności — możesz pan być pewien, że nie zaparłbym się długu, gdyby nawet ten papier nie istniał, niepotrzebnie mnie pan oszukiwał.

— Nie miałem nigdy zamiaru, oszukiwać cię, książę, przysięgam.

Kardynał kiwnął głową.

— Kazałeś mi pan mniemać, że rewers został zniszczony.

— Tylko dlatego, byś, książę, spokojnie i beztrząsco mógł używać owych pięćset stu tysięcy liwrow — odpowiedział ze wzruszeniem ramion Balsamo.

— Dlaczegoś w takim razie nie zgłaszał się wcześniej po odbiór tej sumy?...

— Wiedziałem przecież, w czyich rękach są pieniądze. Różne wypadki, karty, złodzieje, stopniowo zostałem ogołocony ze wszystkiego co posiadałem, ale widząc, że mam pieniądze w pewnych rękach, byłem cierpliwy i czekałem ostatniej chwili.

— I ta ostatnia chwila już nadeszła?...

— Tak jest, mości książę.

— Czy nie mógłbyś pan jeszcze poczekać?...

— Niestety, to nie jest możliwe — odpowiedział Cagliostro.

— Więc żądasz pan zwrotu pieniędzy?...

— Tak, Eminencjo.

— Kiedy?...

— Jeśli łaska, jeszcze dziś. Kardynał był w rozpaczy.

— Panie hrabio — rzekł jękając się. — Nieszczęśliwi książęta tej ziemi nie improwizują majątku z taką szybkością jak wy, czarodzieje, którzy macie do usług duchy światła i ciemności.

— Eminencjo, zaręczam, że nie żądałbym tak znacznej sumy, gdybyś jej w chwili obecnej nie posiadał.

— Co?... Posiadam obecnie pięćkroć sto tysięcy liwrów, jak?!... — zawołał kardynał.

— Tak, trzydzieści tysięcy w złocie, dziesięć tysięcy w srebrze, resztę w biletach kasowych.

Kardynał zbladł.

— Leżą one w tej oto szafie, roboty Boule'a — ciągnął dalej Cagliostro.

— Skądże pan wiesz?...

— Ech, Eminencjo, wiem nawet, ileś ofiar musiał, książę, ponieść dla zebrania tej sumy. Słyszałem, żeś zdobył tę kwotę za podwójną jej wartość.

— Och, prawda!...

— Ale...

— Ale co?... — zawołał nieszczęśliwy kardynał.

— Ale ja — mówił Cagliostro — w ciągu ostatnich dziesięciu lat, miałem mnóstwo kłopotów, ba, byłem kilkanaście razy bliski głodowej śmierci, choć nosiłem przy sobie ten papier, wartości pół miliona; a jednak czekałem, żeby nie naprzykrzać się Waszej Eminencji. Zdaje mi się więc, że między nami wszystko wyrównane!...

— Wyrównane!... — odparł kardynał. — Ależ, nie mów pan tego!... Wszak łaskawie pożyczyłeś mi tak wielką sumę... Wszystko wyrównane! Bynajmniej, jestem i będę zawsze zobowiązany. Zechciej mnie pan tylko objaśnić, czemuż to czekałeś przez lat dziesięć? Przecież przez ten czas tyle razy mogłem bez trudu wywiązać się z długu...

— A dzisiaj?... — zapytał Cagliostro.

— Dziś — zawołał kardynał — przyznać muszę, że zwrot pieniędzy... bo wszakże wymagasz pan zwrotu...

— Niestety, tak!...

— Wielce jest dla mnie kłopotliwy. Cagliostro wzruszył ramionami jakby oświadczał:

— Po co to wszystko, skoro inaczej być nie może.

— Ale ty, panie, który wszystko potrafisz odgadnąć — zawołał kardynał — który umiesz czytać w głębi serca, a na — wet, co gorzej, w głębi szaf, wiesz zapewne, dlaczego teraz właśnie zależy mi na pieniądzu i na jaki je przeznaczyłem użytek.

— Mylisz się, Eminencjo — odpowiedział oschle Cagliostro — nie wiem nic o pańskich zamiarach, własne moje tajemnice tyle przyniosły mi zmartwień, rozczarowań i przykrości, że nie zajmuję się cudzymi sekretami, jeśli nie jestem bezpośrednio zainteresowany. W interesie moim leżało dowiedzieć się, czy masz pan pieniądze, ale na co je przeznaczałeś, to już mnie nie obchodzi. Przyznam zresztą, że wołałem tego nie wiedzieć. Być może przyczyna pańskich

kłopotów wydawałaby mi się tak ważna i tak godna szacunku, że osłabiłoby to moją stanowczość i zgodziłbym się jeszcze na zwłokę, ale to mogłoby mnie narazić na poważne szkody. Powtarzam więc, że wolę nie znać przeznaczenia tych pieniędzy.

Słowa te podrażniły dumę kardynała:

— Panie! — zawołał. — Nie sądź pan przynajmniej, że pragnę cię rozczulić osobistymi kłopotami; pilnujesz swej własności zabezpieczonej tym oto — rewersem podpisanym moją ręką. Wystarczy! Odbierzesz pan swoje pięććroć sto tysięcy liwrów!

Cagliostro uklonił się.

Kardynałowi było jednakże przykro pozbywać się w jednej minucie pieniędzy uzbieranych z takim trudem.

— Wiem — rzekł — że skrypt ten jest zobowiązaniem, lecz nie ustala terminu płatności.

— Wybacz, Wasza Eminencjo — odparł hrabia — ale odwołam się do literalnego brzmienia rewersu. Napisane jest tak:

„Potwierdzam, że pożyczyłem od pana Józefa Balsamo pięććroć sto tysięcy liwrów i zobowiązuję się je zwrócić na pierwsze żądanie.

Podpisano: Ludwik de Rohan.”

Dreszcz przebiegł przez ciało kardynała. Nie tylko zapomniał o długu, lecz nawet o treści rewersu.

— Wasza Eminencja raczy zauważyć — ciągnął dalej Cagliostro — że nie żądam niemożliwości. Nie jesteś pan w stanie zapłacić, niechaj i tak będzie. Żałuję tylko, że zdajesz się, książę, zapominać, jak to Józef Balsamo dobrowolnie pożyczył pieniądze panu de Rohan, człowiekowi dlań wówczas nieznanemu, ale będącemu w ostatecznej potrzebie. Ten prawdziwie wielkopański gest mógłby być przykładem postępowania nawet dla członka tak znakomitego rodu. Ale nie mówmy już o tym. Żegnam.

Cagliostro składał powoli kwit i przygotowywał się do odejścia.

Kardynał zatrzymał go.

— Panie hrabio, żaden z Rohanów nie ścierpi lekcji wspaniałomyślności, a w tym przypadku jest to lekcja uczciwości. Proszę, daj mi oblig, a zapłacę.

Teraz zawahał się Cagliostro.

Trupio błada twarz kardynała, nabrzmiałe powieki i ręce drżące budziły w nim widocznie żywe współczucie.

Kardynał zrozumiał to i pomimo całej swej dumy liczył przez chwilę na pomyślny obrót sprawy. Nagle oczy hrabiego załśniły ponuro, czoło schmurzyło się, wyciągnął rękę i podał kardynałowi kwit.

Książę de Rohan, nie dając po sobie poznać ciosu, szybko podszedł do szafy, wskazanej przez Cagliostra, wyjął z niej paczkę asygnat i biletów wód i lasów, potem ukazawszy palcem kilka woreczków ze srebrem oraz wysunawszy szufladkę ze złotem rzekł:

— Hrabio, oto pańskie pół miliona liwrów, zostają panu jeszcze dłużny dwakroć sto pięćdziesiąt tysięcy procentu, jeżeli nie — zażadasz procentu składanego, co stanowiłoby sumę daleko większą. Polecę, by intendent wydał panu zabezpieczenie na tę kwotę i proszę o trochę cierpliwości.

— Eminencjo — odparł Cagliostro — pożyczyłem księciu de Rohan pięććroć sto tysięcy, więc książę de Rohan winien mi jest tylko tyle i ani grosza więcej. Gdybym myślał o procentach, zastrzegłbym to w rewersie. Jako mandatariusz czy też sukcesor Józefa Balsamo, boć ten umarł, mogę przyjąć tylko sumy wyrażone w kwitach. Płacisz je pan, przyjmuję z podziękowaniem i pozwolę sobie złożyć wyrazy uszanowania. Zabieram teraz bilety kasowe, a że potrzebna mi jest dzisiaj całość sumy, po złoto i srebro przyślę. Racz je, książę, trzymać w pogotowiu.

To rzekłszy Cagliostro skłonił się i wyszedł.

— Mnie tylko może dotknąć takie nieszczęście — westchnął kardynał. — U królowej nie pojawi się jakiś nieoczekiwany Józef Balsamo i nie zażąda zwrotu pożyczonych pięćkroć stu tysięcy liwrów...

LIX. RACHUNKI GOSPODARSKIE

W przededniu pierwszej wypłaty królowa nie otrzymała jeszcze gotowizny. Pan de Calonne nie wywiązywał się z obietnic, gdyż król nie podpisał rachunków. Minister był zresztą bardzo zajęty i trochę o królowej zapomniał; ta zaś sądziła, że godność jej nie pozwala przypominać się kontrolerowi finansów. Skoro otrzymała przyrzeczenie, należało czekać.

Zaczynała jednak niepokoić się i szukała już okazji rozmówienia się z panem de Calonne bez narażenia się na dyshonor, kiedy otrzymała od niego list.

„Dziś wieczorem jeszcze — pisał minister — sprawa, którą mi Wasza Królewska Mość łaskawie raczyła zlecić, wchodzi na posiedzenie rady. Jutro rano przedłożę żądane fundusze”.

Maria Antonina natychmiast odzyskała humor; zapomniała o wszystkim, nawet o tym przykrym jutrze. Jakby pragnąc odosobnić się od wszelkich zależności materialnych, wybrała się po obiedzie na samotną przechadzkę, wkrótce jednak dołączyli się do niej pani de Lamballe i hrabia d'Artois. Król w tym czasie udał się na posiedzenie rady.

Jego Królewska Mość był — w złym nastroju: poczta przyniosła złe wiadomości. W Zatoce Lwiej zatonał okręt, kilka prowincji odmówiło płacenia podatków, piękna mapa kuli ziemskiej, mapa, którą król sam własnoręcznie wygładził i powerniksował, pękła od gorąca i Europa rozpadła się na dwie połowy. Król Jegomość dąsał się na wszystkich, nawet na pana de Calonne, który na próżno z uśmiechniętą miną podsuwał swój pachnący portfel.

Król, milczący i kwaśny, wziął kawałek papieru i zaczął bazgrać „kratki”, co miało oznaczać „burzę”, tak samo jak „osóbki” lub „konie” oznaczały „piękną pogodę”.

Rysowanie podczas narad stało się u króla nałogiem. Ludwik nie lubił patrzeć ludziom w oczy; peszył się. Pióro w ręku dodawało mu pewności siebie. Od czasu do czasu, kiedy mówca zapalał się w ferworze argumentacji, król, przerywając kreślenie, ukradkiem rzucał nań wzrokiem, tak, by podchwycić błysk oczu i nie zapomnieć o człowieku przy ocenie idei. Gdy zabierał głos sam, a mówił dobrze, rysowanie odbierało jego mowie wszelkie pozory egzaltacji, nie potrzebował uciekać się do gestów; mógł wybuchać lub przygasać, kiedy chciał, zawijas na papierze zastępował w razie potrzeby zapaly krasomówcze. I tym razem zaczął więc rysować, a ministrowie przystąpili do odczytywania projektów i not dyplomatycznych. Król nie przerywał ni słowem, jakby nie znał się na tych sprawach, podniósł dopiero głowę, gdy przyszła kolej na rachunki bieżące.

Pan de Calonne otworzył memoriał w sprawie pożyczki projektowanej na rok przyszły. Król rysował namiętnie kratki.

— Ciągłe pożyczać — rzekł — nie wiedząc, jak się odda, to wielki problem, panie de Calonne!

— Najjaśniejszy Panie — odparł pan de Calonne. — Pożyczka jest jak rów odwadniający: w jednym miejscu woda znika, aby w drugim wytrysnąć tym obficie; ilość jej w dodatku podwaja się dzięki przesiąkaniu podziemnych substancji... Zamiast pytać, jak oddamy, pytać należałoby, czy znajdziemy kredytorów? W tym właśnie leży problem, o którym Wasza Królewska Mość mówi.

Król milcząco rysował coraz grubsze krechy, ale plan pana de Calonne uzyskał aprobatę kolegów i król, westchnąwszy, podpisał.

— Teraz — rzekł pan de Calonne ze śmiechem — skoro już mamy pieniądze, możemy wydawać.

Król spojrział dziwnie na ministrów i skrzywił się, a na papierze pojawił się ogromny kleks.

Pan de Calonne przedstawił mu wykaz wydatków — pensji, gratyfikacji, wsparć, zapomóg i żołdów.

Lista była krótka, ale szczegółowa. Król przebiegł oczyma stronice i zatrzymał się przy sumie ogólnej.

— Milion sto tysięcy liwrów w tak krótkim czasie. Jakim sposobem?

Przy tych słowach odłożył pióro.

— Czytaj, Najjaśniejszy Panie, czytaj i racz zauważyć, za jedna tylko pozycja wynosi pięćset tysięcy liwrów.

— Jaka pozycja, panie kontrolerze generalny?

— Przedpłata dla Jej Królewskiej Mości.

— Dla królowej? — zawołał Ludwik XVI. — Pięćset tysięcy liwrów dla królowej! Ech, panie, to niemożliwe!

— Wybacz, Najjaśniejszy Panie, lecz liczby są dokładne.

— Pięćset tysięcy liwrów! — powtórzył król. — To musi być omyłka. W zeszłym tygodniu... nie, dwa tygodnie temu, wypłacono królowej pensję kwartalną.

— Najjaśniejszy Panie, jeżeli królowej potrzeba pieniędzy — a wszak wiadomo, na co je wydaje — nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Król, który poczuł potrzebę pochwalenia się swą oszczędnością i który pragnął uzyskać dla królowej kilka oklasków, gdy zjawi się w Operze, zawołał:

— Nie, nie, królowa nie żąda takiej sumy; królowa powiedziała mi, że woli jeden statek więcej niż klejnoty. Królowa myśli, że skoro Francja pożyczka, aby nakarmić biednych, my, bogaci, powinniśmy pożyczać Francji. Jeśli więc rzeczywiście królowa potrzebuje pieniędzy, większą mieć będzie zasługę, gdy poczeka, a ręczę, że czekać będzie cierpliwie.

Ministrowie pochwalili to patriotyczne uniesienie króla, któremu sam boski Horacy nie dałby w tej chwili przydomku „Uxorius”. Jeden tylko pan de Calonne, wiedząc o kłopotach królowej, nalegał, lecz król rzekł:

— Uważam, panie de Calonne, że pan więcej się o nas troszczysz, niż my sami. Uspokójże się pan.

— Najjaśniejszy Panie, królowa posądzi mnie o brak gorliwości przy wykonywaniu jej zleceń.

— Będę pana bronił przed królową.

— Najjaśniejszy Pan zauważyć raczy, że królowa tylko wtedy żąda pieniędzy, gdy ją potrzeba przynagla.

— Królowa sama przyzna, że biedni bardziej potrzebują pieniędzy.

— Najjaśniejszy Panie...

— Pozycja załatwiona — przerwał stanowczo król, biorąc do ręki pióro.

— Najjaśniejszy Pan wykreśla tę pozycję? — zapytał przerażony pan de Calonne.

— Wykreślam — odpowiedział z powagą Ludwik XVI — i zdaje mi się, że słyszę aż tutaj podziękowania królowej za dobre zrozumienie jej życzeń.

Pan de Calonne zagryzł wargi; Ludwik XVI, zadowolony z bohaterskiego poświęcenia, podpisał nie patrząc na resztę pozycji, po czym narysował piękną zebkę, otoczoną zerami i powtórzył kilkakrotnie:

— Wygrałem dzisiejszego wieczoru pięćset tysięcy liwrów: iście królewski zarobek! Panie de Calonne, zanieś pan tę dobrą nowinę królowej.

— Ach, mój Boże, Sire — rzekł minister — byłbym niepokieszony, gdybym pozbawił Waszą Królewską Mość radości tej enuncjacji. Każdemu według zasług.

— Niech i tak będzie. No, to zamykamy posiedzenie, napracowaliśmy się uczciwie. Aha, oto królowa powraca. Chodźmy na jej spotkanie, Calonne!

— Wybacz, Najjaśniejszy Panie, ale protokół wymaga jeszcze pewnych dopełnień.

Przy tych słowach minister wyśliznął się na korytarz. Raźnie i z triumfującą miną doszedł król do Marii Antoniny, która śpiewała wsparta na ramieniu hrabiego d'Artois.

— Pani — rzekł król — widzę, że udała ci się przechadzka dzisiejsza?

— Wyśmienicie... A jakże poszły zajęcia Waszej Królewskiej Mości?

— Osądź łaskawie sama: wygrałem dla ciebie pięćset tysięcy liwrów.

— Calonne jednakże dotrzymał słowa — pomyślała królowa.

— Wyobraź sobie — dodał Ludwik XVI — że Calonne wstawił dla ciebie kredyt na pięćset tysięcy!...

Maria Antonina uśmiechnęła się.

— Ja zaś... wykreśliłem. Oto jak się zarabia pół miliona jednym pociągnięciem pióra.

— Jak to? — rzekła królowa blednąc. — Wykreśliłeś?

— Kategorycznie, wyjdzie ci to tylko na dobre. Dobry wieczór, pani, dobry wieczór!

— Najjaśniejszy Panie!

— Jestem głodny, wracam. Przecież uczciwie zarobiłem na kolację.

— Najjaśniejszy Panie, posłuchaj!

Ale Ludwik XVI zakręcił się na pięcie i uciekł zachwycony swym dowcipem; królowa stała jak wryta, zmartwiona i przerażona.

— Proszę cię, mój bracie, każ mi sprowadzić pana de Calonne — rzekła po chwili do hrabiego d'Artois. — Spłatali mi jakiegoś figła.

W tejże chwili przyniesiono od ministra bilecik następującej treści:

„Wasza Królewska Mość zapewne wie już, że król odmówił kredytu: jest to niezrozumiałe i niebywałe... Opuściłem posiedzenie chory i przybity”.

— Przeczytaj — rzekła królowa, podając bilecik hrabiemu d'Artois.

— A niektórzy twierdzą, że trwonimy skarb! — zawołał książę. — Zaiste, to był postępек...

— Mężowski — dokończyła królowa. — Żegnaj cię, bracie.

— Przyjmij, kochana siostró, wyrazy ubolewania. Jest to dla mnie przestroga na jutro.

— Sprowadź mi natychmiast hrabinę de la Motte — powiedziała po namyśle królowa do pani de Misery. — Niechaj jej szukają, aż znajdą!

LX. MARIA ANTONINA — KRÓLOWA JOANNA DE LA MOTTE — KOBIEȚA

Goniec, wysłany po panią de la Motte do Paryża, zastał ją, choć jej nie znalazł, u kardynała de Rohan.

Joanna złożyła wizytę Jego Wielbności, została na obiedzie i na kolacji i rozprawiała z kardynałem na temat niewczesnej reprzyzy, kiedy zjawił się posłaniec królowej z zapytaniem, czy nie ma tu przypadkiem hrabiny.

Szwajcar, człek nader przezorny, odpowiedział, że Jego Eminencja przebywa poza domem, a pani hrabiny nie było, radził jednakże, by kurier zostawił zlecenia, gdyż pani de la Motte prawdopodobnie zawita wieczorem.

— Niech przyjeżdża jak najrychlej do Wersalu — oświadczył posłaniec i odjechał, pozostawivszy podobny ordynans wszędzie, gdzie można się było spodziewać „koczowniczej” hrabiny.

Szwajcar, nie szukając daleko, posłał swą żonę, by przekazała komu należy orędzie królowej. Hrabina z miejsca przerwała filozoficzną dysputę nad płynnością pieniądza i zażądała pary dobrych koni. Kardynał sam ją usadowił w koczku bez herbów i komentował jeszcze dziwne posłannictwo, gdy hrabina dojeżdżała już do Wersalu.

Czekano tam na nią i bezzwłocznie zaprowadzono do Marii Antoniny.

Królowa była sama w swojej sypialni; domownicy rozeszli się już na spoczynek, tylko pani de Misery czytała coś w sąsiednim buduarze. Maria Antonina haftowała, a raczej trzymała w ręce robotę, pilnie nad słuchując każdego szmeru.

Joanna de la Motte weszła.

— A, jesteś, hrabino? To dobrze! Mam nowinę...

— Chyba pomyślną?

— Osądź pani sama: król nie dał zaliczki.

— Odmówił panu de Calonne?

— Odmówił... Król od dawna nie chce mi dawać pieniędzy, to, doprawdy, mnie tylko zdarzyć się może. — Boże mój! — westchnęła hrabina.

— Trudno uwierzyć, a jednak odmówił... Ale nie myślmv o tym, czego zmienić nie można. Musi pani natychmiast wracać do Paryża.

— Słucham, Najjaśniejsza Pani.

— Powie pani kardynałowi, który tak usilnie starał się zrobić mi przyjemność, że przyjmuję od niego do przyszłego kwartału pięćkroć sto tysięcy liwów. Nadużywam... hrabino, ale nie mam wyjścia.

— Najjaśniejsza Pani, zginęliśmy. Kardynał już nie ma pieniędzy!

Królowa podskoczyła, jak gdyby urażono ją lub obrażono.

— Nie ma... pieniędzy? — wyjąkała.

— Tak, Najjaśniejsza Pani. Wierzyciel, o którym pan de Rohan najzupełniej zapomniał, zjawił się, a że chodziło o dług honorowy, zapłacić musiał.

— Dług ten wynosił pięćkroć sto tysięcy liwów?

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani.

— Ależ może...?

— To była reszta pieniędzy. Nie ma już sposobu. Królowa, przygnębiona niespodziewanym nieszczęściem, zamilkła.

— Przecież nie śnię — powiedziała po chwili. — Wszystkie te nieprzyjemności mnie muszą spotykać... Ale skąd wiesz, hrabino, że pan de Rohan oddał pieniądze?

— Opowiadał mi o tym przed niespełną godziną; dla kardynała była to niepowetowana strata, bo musiał wydać wszystko, wszystko, co posiadał.

Królowa przycisnęła dłonie do czoła.

— Trzeba jednakże coś postanowić — rzekła.

— Cóż zamierza uczynić królowa? — pomyślała Joanna.

— Widzisz, hrabino, straszną mam teraz nauczkę, że kryjąc się przed królem, popełniłam ten krok nierozważny tylko dla blichtru i z próżności, bo mogłam doskonale obyć się bez tego naszyjnika.

— Prawda, Najjaśniejsza Pani, ale gdyby królowa zawsze tylko miała na uwadze potrzeby, a nie upodobania...

— Przede wszystkim, powinnam mieć na uwadze spokój i szczęście mego domu. To pierwsze niepowodzenie nauczyło mnie, na jak wielkie nieprzyjemności byłabym narażona, ile by czekało mnie przykrości na drodze, którą wybrałam... Nie chcę tego, chcę postępować szczerze i iść prostą drogą...

— Najjaśniejsza Pani...

— I na początek próżność moją złożę na ołtarzu powinności, jakby to powiedział pan Dorat.

Westchnąwszy dodała:

— A jednak naszyjnik ten był bardzo piękny.

— I jest piękny, Najjaśniejsza Pani, a równocześnie naszyjnik taki to brzęcząca moneta.

— Odtąd jest dla mnie garstką kamieni; wiesz, że dzieci, gdy przestają się bawić, wyrzucają kamyki i zapominają o nich...

— Co pani chcesz powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, kochana hrabino, że odwieziesz kamienie przyniesione przez pana de Rohan panom Boehmer i Bossange.

— Mam im oddać klejnoty?

— Tak, oddać.

— Ależ Najjaśniejsza Pani dała dwieście pięćdziesiąt tysięcy liwrow zadatku.

— Jeśli liczyć jak król, zarabiam te dwieście pięćdziesiąt tysięcy, hrabino.

— Co? — zawołała hrabina. — Najjaśniejsza Pani chce stracić ćwierć miliona?... Wszak jest zupełnie prawdopodobne, że jubilerzy nie będą chcieli oddać pieniędzy, którymi już inaczej rozporządzili.

— Jestem na to przygotowana i zostawię im zadatek pod warunkiem, że zwolnią mnie od umowy. Jubilerzy skorzystają na tym — dostaną czwartą część miliona nie pozbywając się naszyjnika, a mnie będzie lżej, hrabino. Naszyjnik przyniósł mi same troski, obawy i podejrzenia. Nigdy diamenty te nie będą miały dość ognia na osuszenie wszystkich łez, które popłyną z ich powodu.

— A pan de Rohan?

— Kardynał chciał mi zrobić przyjemność, powiedz mu, że mam większą przyjemność zrzekając się tego naszyjnika. Jako człowiek rozsądny zrozumie to, a jako dobry kapłan pochwali mnie i utwierdzi w moim wyrzeczeniu.

Przy tych słowach królowa podała Joannie pudełko z klejnotami. Hrabina odtrąciła je nieznacznie i rzekła:

— Najjaśniejsza Pani, może udałoby się wyjednać zwłokę?

— Prosić... nigdy!

— Ja mówię, wyjednać...

— Hrabino, prosić — to znaczy poniżyć się, wyjednać, to — zostać poniżoną. Rozumiem, że można upokorzyć się dla szczęścia osoby ukochanej, dla ratowania istoty żyjącej, choćby nawet psa, ale dla zachowania kamieni, płonących jak węgiel i tylko tyle... — nie, do tego nie nakłoni mnie niczyja rada. Zabierz, hrabino” klejnoty, zabierz, proszę!

— Zastanów się, Najjaśniejsza Pani, ile rozgłosu nadadzą sprawie jubilerzy, choćby przez grzeczność użalając się nad losem królowej. Odmowa taka równie kompromituje jak przyjęcie, bo wszyscy dowiedzą się, że królowa miała klejnoty.

— Nie dowiedzą się: nie jestem nic winna jubilerom; nie przyjmę ich więcej; chyba to niewiele, milczenie za ćwierć; miliona... Nieprzyjaciele moi zamiast zarzucić mi marnotrawstwo będą mogli tylko powiedzieć, że wspieram handel. Zabierz, hrabino, klejnoty; zabierz i podziękuj panu de Rohan za jego dobre chęci.

Z rozkazującym gestem wręczyła pudełko hrabinie, która zważyła je w ręku z dziwnym, szczególnym niepokojem.

— Szkoda każdej chwili — mówiła dalej królowa.. — Ina krócej niepokoić się będą jubilerzy, tym pewniej zachowają tajemnicę. Jedź zaraz i nie pokazuj nikomu naszyjnika.. Lepiej jednak jedź najpierw do siebie, gdyż odwiedziny u Boehmera o tej porze mogą wywołać podejrzenia, policji, która na pewno śledzi, co się u mnie dzieje. Kiedy powrót pani do domu zmyli agentów, wstąp do jubilerów, a nie zapomnij, proszę, o pokwitowaniu.

— Stanie się według woli Najjaśniejszej Pani.

Hrabina schowała pudełko pod salopę i wsiadła do powozu, zachowując ostrożność, zaleconą przez swą dostojną „wspólniczkę”.

Posłuszna rozkazom królowej hrabina zajęczała do siebie i odesłała powóz pana de Rohan, aby nie zdradzić się przed stangretem. Potem przebrała się w strój skromniejszy, bardziej stosowny do nocnej wyprawy.

Panna służąca, ubierając hrabinę, zauważyła że pani jest zamyślona i roztargniona, że nie zwraca nawet uwagi na szczegóły toalety tak ważne dla damy dworu.

Istotnie, Joanna nie myślała o strojach. Zastanawiała się, czy oddanie naszyjnika nie będzie błędem i czy błąd ten nie wpłynie na uszczuplenie fortuny, o której marzył książę de Rohan i na którą mógł liczyć wtajemniczony w domowe sekrety królowej. Zastosować się do rozkazu Marii Antoniny nie poradziwszy się pierwszej pana de Rohan, czy nie byłoby to uchybieniem w pierwszych zasadach spółki?... Kardynał wolałby samego siebie sprzedać, niż narazić królowę na utratę tak pożądanego przedmiotu!

— Muszę poradzić się kardynała — pomyślała Joanna. — Nie można inaczej. Milion czterysta tysięcy liwów! — dodała w myśli. — Przecież nigdy nie będzie ich miał...

Obejrzała się.

— Możesz iść spać, Rozalio — odprawiła pokojówkę. Służąca wyszła, a pani de la Motte monologowała dalej.

— Taka suma, taki majątek! Ile szczęścia, ile blasku może mieć takie życie! Mały błyszczący wąż w pochewce — jakież to doskonały symbol...

Otworzyła futerał i blask płomienny olśnił ją: podniosła naszyjnik z atlasowej wyściółki, zwinęła go i zamknęła w złożonych dłoniach.

— Milion czterysta tysięcy żywą gotówką, tyle dziś zapłaciliby każdy jubiler!

— Jakież to dziwne kaprysy przeznaczenia. Mnie, małej Joannie Walezjance, do niedawna nieznaney nikomu żebracze, wolno ujmować dłoń pierwszej w świecie królowej, wolno mi trzymać w ręku półtora miliona liwów, kwotę, której nie wysyła się bez zbrojnej eskorty albo bez rękojmi — i to we Francji rękojmi nie mniejszej niż królowej i kardynała.

I ja to trzymam w ręku. Boże! Jakie to ciężkie i jakie zarazem lekkie. Żeby unieść wartość tych klejnotów w złocie, trzeba by pary koni, żeby mieć to w biletach bankowych, które nie zawsze mają pokrycie, ile trzeba podpisów, ile kontroli.

A przecież bilet to tylko papier — ogień, powietrze, woda mogą go zniszczyć. Bilet nie w każdym kraju ma kurs, po czasie traci swą cenę, a zawsze zdradza swe pochodzenie, wyjaśnia nazwisko właściciela. A diament oprze się wszystkiemu i każdy w Londynie, Madrycie czy nawet Brazylii oceni go, wysławi i kupi. A gdzie jest drugi tak czystej wody i tej wielkości. — Ach, jakie prześliczne, każdy z osobna i wszystkie razem. Każdy, stosunkowo, może jeszcze więcej wart niż całość.

O czym ja myślę? — otrząsnęła się. — Co robić? Iść do kardynała, czy też, jak chciała królowa, odnieść naszyjnik Boehmerowi?

Wstała trzymając ciągle diamenty, które rozgrzewały się i mieniły płomiennie.

— Więc powrócę do tego zimnokrwistego jubilera, który je będzie ważyć i oczyszczać szczoteczka? Wrócę i po co? Mogły błyszczeć na szyi Marii Antoniny... Boehmer będzie się gniewał, lecz wkrótce się udobrucha. Jeszcze by też! Dostanie towar i czwartą część miliona... Ale, ale, zapomniałam, w jakiej formie mam żądać kwitu. Przecie to ważne... musi być zredagowany dyplomatycznie... Trzeba, żeby kwit nie zobowiązywał w niczym ani Boehmera, ani królowej, ani kardynała, ani też mnie. Nie, sama podobnego aktu nie ułożę. Muszę poradzić się kogoś.

Kardynał?... Oj, nie... Gdyby kardynał bardziej mnie kochał, gdyby był bogatszy, gdyby mi darował te klejnoty...

Usiadła na kanapce, wciąż jeszcze trzymając naszyjnik owinięty na ręce. W rozpalonej głowie myśli błąkały się bezładnie, niektóre straszyły ją i z całej siły próbowała je od siebie odepchnąć. Wreszcie uspokoiła się, utkwiała oczy w jeden punkt, znieruchomiła. Minuty mijały niepostrzeżenie, a myśl jednostajna i uporczywa powracała natrętnie, rysując obraz coraz bardziej wyrazisty. Im bardziej chciała się wyzwolić, tym głębiej zapadała w otchłań, jak pływak, który ugrzęźnie w mule rzeczonym. Obawy pierzchły, zwątpienie przekształciło się w pewność niezachwianą.

Wybiła druga po północy.

Joanna wstała blada jak kapłanka w wieszczej ekstazie i zadzwoniła na służącą.

— Sprowadź mi fiakra — rzekła do służącej — albo lektykę, jeśli nie będzie powozu.

Niedaleko, przy rogu ulicy Vieux-Temple, pokojówka znalazła dorożkarza. Mimo późnej godziny pani de la Motte odjechała sama.

W dziesięć minut później dorożka zatrzymała się przed domem pana Reteau de Villette.

LXI. KWIT BOEHMERA I REWERS KRÓLOWEJ

Wyniki nocnej wizyty u pana pamflecisty Reteau de Villette ujawniły się już wczesnym rankiem. O siódmej rano, w liście do królowej, hrabina de la Motte przesała pokwitowanie jubilerów. Dokument ten brzmiał:

„My, niżej podpisani, oświadczamy, że odebraliśmy naszyjnik diamentowy, sprzedany pierwotnie JKMości za milion sześćset tysięcy liwów, ponieważ nie odpowiadała życzeniu królowej. Za nasze trudy i koszta otrzymaliśmy wynagrodzenie — dwieście pięćdziesiąt tysięcy liwów, którą to sumę wypłacono nam do rąk.

Podpisano: Boehmer i Bossange.”

Królowa, spokojna już o sprawę, która tak długo ją dręczyła, schowała kwit do szkatułki i przestała o tym myśleć.

W dziwnej sprzeczności z tym listem w dwa dni później odwiedził jubilerów pan de Rohan, niespokojny, czy dotrzymany został termin pierwszej raty umówiony między spółką Boehmer i Bossange a Marią Antoniną.

Kardynał zastał Boehmera w jego własnym domu przy ulicy Szkolnej. Gdyby nastąpiła zwłoka lub odmowa, w dniu terminu zapłaty w domu jubilera byłby rwetes od samego rana, a tymczasem w domu było cicho i pan de Rohan ucieszył się widząc, że lokaje mają miny zadowolone, a spasiony pies merda ogonem. Boehmer przyjął dostojnego klienta z wyszukaną uprzejmością.

— Cóż — zapytał kardynał. — Dziś upływa termin pierwszej raty — czy królowa zapłaciła?..

— Nie, mości książe — odpowiedział Boehmer. — Jej Królewska Mość chwilowo nie posiada pieniędzy. Król odmówił panu de Calonne podpisania zaliczki. Wszyscy o tym mówią.

— No właśnie, ta odmowa mnie tutaj sprowadza.

— Ale — rzekł Boehmer — Jej Królewska Mość ma najlepsze chęci; nie mogąc zapłacić, dała nam gwarancję, a my niczego więcej nie żądamy.

— Tym lepiej!... — zawołał kardynał. — Dała gwarancję, powiadacie?... To bardzo dobrze! Ale jaką?

— Najzwyklejszą i najdelikatniejszą — odpowiedział Boehmer — iście królewską.

— Zapewne za pośrednictwem przemyślnej hrabiny de la Motte?

— Otóż nie, Wasza Wielbność... Pani de la Motte wcale się u nas nie pokazywała i to nam bardzo pochlebilo, panu Bossange i mnie.

— Nie pokazywała się?.. Wiesz jednak, panie Boehmer, że ona w tym maczała palce. Nie chcę nic ujmować Jej Królewskiej Mości, ale każdy dobry pomysł pochodzi od hrabiny.

— Niech Wasza Eminencja sam osądzi, jak łaskawa i delikatna okazała się Jej Królewska Mość. Kiedy rozeszły się pogłoski o odmowie króla, napisaliśmy do hrabiny de la Motte.

— Kiedyż to było?... — przerwał kardynał.

— Wczoraj, mości książe.

— Cóż odpisała hrabina?...

— Wasza Eminencja nic o tym nie wie?... — zapytał Boehmer z odcieniem poufałości, pełnej jednakże uszanowania i dyskrecji.

— Nie wiem, od trzech dni nie miałem zaszczytu oglądać hrabiny — odparł nobliwie książe.

— Pani de la Motte odpowiedziała tylko jednym słowem: „Zaczekajcie!”

— Listownie?

— Nie, mości książe, ustnie... Prosiłiśmy panią de la Motte o chwilę posłuchania u Waszej Eminencji i o uprzedzenie królowej, że zbliża się termin płatności pierwszej raty.

— Słowo „Zaczekajcie” jest zupełnie naturalne — rzekł kardynał.

— Czekaliśmy też i wczoraj wieczorem otrzymaliśmy od królowej list przez bardzo tajemniczego posłańca.

— List do pana, panie Boehmer?...

— List, a raczej formalny rewers.

— Pokaż pan!...

— Och, mości książe, pokazałbym, ale przysięgliśmy, wspólnik mój i ja, że nikt tego nie zobaczy...

— A to dlaczego?...

— Tak rozkazała królowa. Proszę sobie wyobrazić, Eminencjo, że Jej Królewska Mość nakazuje nam sekret.

— A, to co innego!... Szczęśliwi jesteście, panowie jubilerzy, że posiadacie listy królowej.

— Za milion trzykroć sto pięćdziesiąt tysięcy liwrow — zażartował Boehmer — można chyba...

— Są rzeczy, których by za dziesięć milionów, za sto milionów nawet, kupić nie można — przerwał sucho prałat — Więc należność pańska jest zagwarantowana?...

— Jak najlepiej.

— Królowa uznaje dług?...

— Zupełnie formalnie.

— A kiedy przyrzeka zapłacić?...

— Za trzy miesiące pięćkroć sto tysięcy liwrow, resztę, w przeciągu półrocza.

— A... procenty?

— Wasza Eminencjo, jedno słówko królowej zabezpiecza je. Jej Królewska Mość raczyła napisać: „Załatwimy ten interes między nami” — Wasza Eminencja rozumie? — „między nami” „A nie będziesz pan miał przyczyny żałować”. I podpisała się. Od tej chwili jest to dla mego wspólnika i dla mnie sprawa honorowa.

— No więc nic wارا nie jestem winien, panie Boehmer; wkrótce zrobimy nowy interes...

— Jak tylko Wasza Eminencja zechce zaszczycić nas swym zaufaniem...

— Ale w tym wszystkim jest ręka naszej miłej hrabiny...

— Jesteśmy pani de la Motte nader wdzięczni i postanowiliśmy, pan Bossange i ja, podziękować za jej względy, kiedy odbierzemy całkowitą należność i będziemy przy pieniądzach.

— Tss... nie zrozumiałeś mnie, panie Boehmer — rzekł kardynał.

Kardynał wszedł do karety, odprowadzony ukłonami całego domu.

Teraz już można zdjąć z posągu zasłonę, gdyż dla nikogo nie jest tajemnicą, jak Joanna de la Motte odplaciła się swej dobrodziejce; każdy domyśli się, po co hrabina pożyczła pióra od pana Reteau de Villette, pamflecisty.

Jubilerzy zostali uspokojeni, rozwiały się skrupuły królowej, kardynał pozbył się wątpliwości. Trzy miesiące pozostało na ukrycie kradzieży, w ciągu trzech miesięcy plugawe owoce dojrzeją na tyle, by mogła je zerwać zbrodnicza dłoń.

Następnego dnia Joanna zjawiała się u kardynała. Pan de Rohan zaciekawiony wypytywał, jakim sposobem królowa zdołała zaspokoić pretensje jubilerów, na co pani de la Motte oświadczyła, że królowa zawarła jakąś umowę ściśle poufną, ponieważ nawet gdy płaci, musi się kryć, a domaganie się kredytu jest znacznie bardziej przykre.

Kardynał uznał słusność tego rozumowania i pytał tylko, czy królowa pamięta jeszcze o jego dobrych intencjach.

Obraz wdzięczności królowej Joanna odmalowała tak barwnie, że pan de Rohan wpadł w zachwyt, pogłaskany raczej jak galant niż jak poddany. Pokierowawszy umiejętnie rozmową Joanna postanowiła spokojnie powrócić do domu, nawiązać kontakt z jakimś handlarzem drogich kamieni, sprzedać część diamentów za jakie sto tysięcy talarów i przedostać się do Anglii lub Rosji, gdzie mogłaby żyć wygodnie przez pięć lub sześć lat, gdy zaś te fundusze się wyczerpią, w dalszym ciągu sprzedawać diamenty ha sztuki, nie narażając się i nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Lecz sprawy nie układały się po jej myśli: dwaj znawcy, którym pokazała pierwsze sztuki, przyjęli ją z takim zdziwieniem i z tyloma ostrożnościami, że hrabina mocno się przestraszyła. Jeden z argusów proponował nader mało, drugi unosił się nad rzadkością i pięknnością kamieni zaznaczając, że podobne widział tylko w naszyjniku Boehmera. Joanna zreflektowała się, że każdy dalszy krok może ją zdradzić, że najmniejsza nieogłędność grozi jej zgubą, a zguba to znaczy — pręgierz i dożywotnie więzienie.

Na razie ukryła diamenty w niedostępnym schowku i postanowiła przygotować się do walki, uzbroić się w broń odporną tak pewną, w broń zaczepną tak ostrą, by na wypadek wojny z miejsca obezwładnić przeciwników. Lawirować pomiędzy namiętnością kardynała, który zawsze będzie chciał wiedzieć, a niedyskrecją królowej, która zawsze będzie się chwalić swym wyrzeczeniem — niebezpieczeństwo było niemałe.

Jedna wymiana zdań pomiędzy królową a kardynałem i wszystko się wykryje. Pewną pociechą mogło być dla Joanny, że kardynał zaślepiony, jak wszyscy zakochani, wpadnie w każdą zasadzkę, którą chytryść zastawi w cieniach miłości. Należało jednak przysposobić taką pułapkę, by schwytać na raz obydwie zainteresowane osoby. Należało, żeby królowa, odkrywszy kradzież, nie śmiała się skarżyć, żeby kardynał dojrzał swą zgubę, o ile przejrzy oszustwo. Należało rozegrać mistrzowską partię przeciwko dwom przeciwnikom, którzy już z góry mieli za sobą przewagę ugruntowanej opinii.

Nie przerażało to Joanny — należała do rzędu tych nieustraszonych, którzy dochodzą w złym do bohaterstwa, w dobrym aż do przestępstwa. Jedna tylko myśl zaprzętała ją teraz: jak zapobiec spotkaniu królowej z kardynałem?...

— Nie zobaczą się nigdy!... — postanowiła. — Ba, przecież kardynał starać się będzie usilnie o widzenie z królową. Nie czekajmy aż zacznie się starać, nakłońmy go, żeby chciał ją zobaczyć, żeby prosił... tak, aż skompromituje się.

— Ale cóż z tego, jeśli skompromituje się tylko kardynał? Na tę myśl pani de la Motte struchlała.

— Jeżeli on tylko skompromituje się, królowa wywinie się ze wszystkiego: ona śmiało rąbie prawdę, ona, królowa, potrafi zerwać maskę z oszustów!

Co począć, żeby królowa nie mogła oskarżać? Jak zabronić jej mówić, jej, tak dostojnej i odważnej? By zamknąć te usta, trzeba wystąpić z inicjatywą oskarżenia.

Tylko ten nie odważy się postawić przed sądem lokaja za kradzież, kto lęka się, że lokaj wykaże jego zbrodnię, równie jak kradzież hańbiącą. Trzeba mieć pewność, że kompromitacja księcia de Rohan wobec królowej skompromituje również samą królowę.

Byle tylko przypadek nie zbliżył do siebie tych dwóch osób, którym zależy na odkryciu tajemnicy.

Joanna złękła się na chwilę ogromu skały, która nad nią zawisała. Jak tu żyć zadyszana, niespokojna, w ciągłym strachu.

Lecz jak uniknąć tej męczarni? Uciec z kraju, iść dobrowolnie na wygnanie, wywieźć za granicę naszyjnik królowej?...

Ucieczka — rzecz łatwa! Dobry powóz można dostać w dziesięć godzin, w czasie snu Marii Antoniny, w przerwie między kolacją pana de Rohan z przyjaciółmi a godziną jego obudzenia się. W niespełna dziesięć godzin na wielkiej drodze, której bruk naprasza się bez końca iskier spod kopyt rumaków, Joanna będzie wolna, bezpieczna, ocalona!

Ale jakież upokorzenie, jaka hańba! Wolna i bezpieczna, lecz wygnana i zbiegła bez prawa powrotu, Joanna nie będzie już damą z wyższego świata — będzie złodziejką, której sprawiedliwość nie sięga, choć potępia, której żelazo kata nie dotknie, gdyż jest za daleko, lecz którą opinia piętnuje i ściera na pył.

Nie, nie ucieknie. Szczyt zuchwalstwa i szczyt przebiegłości niby dwa wierzchołki Atlasu, niby ziemskie bliźnięta podobne są do siebie i nierozłączne.

Joanna postanowiła pozostać, okupić się zuchwalstwem. Dostrzegła możliwość zawiazania między kardynałem a królową solidarności strachu, ceny milczenia, gdyby nawet spostrzegli kradzież w ich zaufanym kręgu.

Joanna postawiła sobie pytanie, ile w ciągu dwóch lat przynieść jej mogą względy królowej i miłość kardynała; dochód z tej dwoistej przychylności wyliczyła na pięćset do sześciuset tysięcy liwrow, po czym fawory, powodzenie i pozycja zamienią się w niesmak, niełaskę i opuszczenie.

Wygram na tym planie siedem do ośmiukroć sto tysięcy liwrow — pomyślała.

Okaze się, jak myśląca ta dusza utorowała krętą drogę, która zaprowadzić miała ją do hańby, innych do rozpacz.

— Pozostać w Paryżu — streściła swój program hrabina — trzymać się mocno, śledzić grę pary aktorów; wyznaczać im role korzystne dla moich interesów; wybrać spośród dobrych chwil najlepszą do ucieczki, czy to przy wykonaniu polecenia królowej, czy na skutek przewidzianej w lot niełaski... zapobiec, by kardynał nie widywał się sam na sam z Marią Antoniną...

W tym największa trudność. Rohan zakochany, książę, wielki jałmużnik, ma prawo odwiedzać królowę kilka razy w roku; królowa — zalotna, żądna hołdów, a wreszcie wdzięczna kardynałowi, nie wymknie się, jeśli ją będą osaczać.

Wypadki następczą sposób na rozłączenie tych dwóch dostojnych osobistości; należy dopomóc wypadkom.

Najlepiej, najrzęczniejsz będzie podsycić w królowej dumę, tę, która wieńczy cnotę. Nie można wątpić, że któryś śmielszy krok kardynała urazi istotę delikatną i drażliwą. Kobiety takie, jak królowa, rwą się do hołdów, lecz utracają ataki.

Tak, ten środek nie zawiedzie! Przypilić pana de Rohan, by się czupurnie oświadczył, wywołać w umyśle Marii Antoniny lęk i antypatię, raz na zawsze oddalić — nie księcia od księżniczki lecz mężczyznę od kobiety. Ukuje się z tego broń na kardynała pomiesza mu się szyki, niech tylko spróbuje wstąpić w szranki.

No, dobrze. Ale raz jeszcze... jeżeli podjudzimy królowę na kardynała, on tylko ucierpi; królowa zostanie bez skazy, pozwoli to jej więc wystąpić z oskarżeniem i poprzeć je całą powagą władzy.

Potrzebny więc argument przeciwko królowej i przeciwko kardynałowi; potrzebny miecz obosieczny, który tnie na lewo i prawo, który wyjęty z pochwy rani.

Potrzeba mi oskarżenia, na które królowa spleonie ze wstydu, kardynał poblednie, a które w oczach świata obmyje z podejrzeń Joannę, powiernicę obojga winnych; potrzeba mi kombinacji, by schroniwszy się w razie potrzeby, Joanna mogła oznajmić:

— Nie pozywajcie mnie, bo ja was pozwę; nie gubcie mnie, bo i ja was mogę zgubić; pozostawcie mi majątek, a ja pozostawię wam honor.

— Warto nad tym pomyśleć — rzekła przewrotna hrabina — i pomyślę. Czas mój od dnia dzisiejszego będzie bardzo drogi.

Hrabina rozsiadła się na fotelu, przysunęła się do okna w słońcu — i w obecności Boga, przy świetle boskiej pochodni zaczęła szukać.

LXII. UWIĘZIONA

W tym samym czasie innego rodzaju scena rozgrywała się przy ulicy Saint–Claude w domu naprzeciwko mieszkania Joanny.

Pan de Cagliostro — jak sobie przypominamy — umieścił w dawnym pałacyku Balsama Oliwię, zbiegłą i ściganą przez policję pana de Crosne.

Mocno zaniepokojona panna Oliwia z radością przyjęła pomoc i tak wywinąwszy się zarazem od policji i pana Beausire siedziała samotna, ukryta i spłoszona w tym tajemniczym ustroniu, które skrywało tyle okropnych dramatów, bardziej, niestety, straszliwych niż tragikomiczna przygoda panny Nicole Legay.

Cagliostro otoczył ją opieką troskliwą i dyskretną, a młodej kobiecie miła była protekcja wielkiego pana, który niczego nie żądał, choć, jak się zdaje, spodziewał się wiele.

Tylko na co właściwie oczekuje Cagliostro? — zastanawiała się biedna pustelnica.

Pan de Cagliostro, który poskromił Beausire'a i który triumfował nad agentem policji, był dla Oliwii istnym zbawcą. Był również amantem bardzo widocznie zakochanym, gdyż okazywał jej szacunek.

Miłość własna nie pozwalała Oliwii na inne domysły jak tylko ten, że Cagliostro zamierza z czasem uczynić ją swoją kochanką. Wierzyć, że ktoś ją kocha miłością pełną szacunku, jest cnotą kobiet, które już jej nie mają. Serce, które nie liczy już na miłość ani na szacunek, musi być bardzo oschle, zwiędłe, obumarłe.

Oliwia, w głębi swej siedziby przy ulicy Saint–Claude, budowała zamki na lodzie, zamki urojone, w których, przyznać należy, biedny Beausire nader rzadko znajdował miejsce.

Rano, wystrojona we wszystkie fintifluszki, w które Cagliostro wyposażył jej garderobę, udawała wielką damę i przepowiadała sobie rolę Celimeny, lecz było to tylko wypełnienie czasu oczekiwania na Cagliostra, który dwa razy w tygodniu przychodził dowiadywać się, jak znosi taki tryb życia.

Wtedy, w pięknym salonie, wśród błyskotliwego przepychu przyznawała się w duchu, że dotychczasowe jej życie było tylko pomyłką, i że wbrew twierdzeniu moralisty, iż cnota przynosi szczęście, naprawdę jest odwrotnie: szczęście przynosi nieodzownie cnotę.

Lecz szczęście takie nie mogło trwać długo, brakowało jednego koniecznego czynnika — nieszczęścia.

Oliwia była szczęśliwa, lecz Oliwia nudziła się.

Książki, obrazy, instrumenty muzyczne zbyt mało dostarczały rozrywki. Książki nie były dość swawolne, swawolne zaś zbyt prędko zostały przeczytane. Obrazy, jak to obrazy, są zawsze takie same, wystarcza więc obejrzenie ich raz jeden — tak sądziła Oliwia, nie my — zaś instrumenty muzyczne wydają tylko zgrzyt a nie dźwięk, gdy dotknie ich niewprawna ręka...

Wkrótce też Oliwia śmiertelnie znudziła się tym szczęściem; łzami żalu skrapiała wspomnienie tych miłych godzin, spędzanych w oknie przy ulicy Dauphine, kiedy to magnetyzując wzrokiem przechodniów zmuszała wszystkich do zadzierania głowy.

A jakież urocze były przechadzki po dzielnicy Saint–Germain, gdy zalotny pantofelek podnosił na dwa cale rozkosznie kształtną nóżkę, a każdy krok pięknej dziewczyny był triumfem, wywołującym u smakoszy okrzyki bojaźni, gdy zdawało się, że upada, lub pożądania, gdy ukazywał się kawałek łydki.

Tak sobie myślała w zamknięciu Nicole. Co prawda, agenci pana naczelnika policji byli to ludzie straszni, co prawda szpital, w którym kobiety dogasają w brudnej niewoli, nie wart był

chwilowego i wspaniałego więzienia przy ulicy Saint-Claude. Lecz od czego jest się kobietą, która ma prawo do kaprysów, jeśli nie od tego, by gwałcić od czasu do czasu dobre i zamieniać je na złe chociażby tylko we śnie?...

Zresztą, dla znudzonego wszystko wydaje się czarne. Nicole zaczęła żałować Beausire'a, gdy żałować zaczęła wolności. W świecie kobiet nic się nie zmieniło od owego czasu, kiedy córki Judy, w przeddzień małżeństwa z miłości, uchodziły w góry oplakiwać utracone dziewictwo.

Dobrnęliśmy do ponurego dnia, kiedy Oliwia, pozbawiona wszelkiego towarzystwa i wszelkich wrażeń, od dwóch już tygodni wstąpiła w krytyczny okres choroby z nudów. Wyczerpawszy wszelkie urozmaicenia, nie śmiejąc wychodzić ani wyglądać oknem, poczęła tracić apetyt — żołądka tylko, nie wyobraźni — ten owszem, podwajał się w miarę, jak zmniejszał tamten.

W takiej to chwili niepokojów duchowych odwiedził ją niespodziewanie Cagliostro.

Wszedł, jak zwykle, boczną furtką, przeszedł przez świeżo założony ogródek i zapukał do okiennic pokoju Oliwii. Cztery przerywane stuknięcia były umówionym znakiem, żeby młoda kobieta odsunęła rygiel, który kazała założyć dla zabezpieczenia przed gościem posiadającym klucz. Dla zachowania cnoty, która w pewnych okolicznościach Oliwii mocno dokuczała, ostrożność taka wcale nie była zbyteczna.

Na znak Cagliostra Oliwia otworzyła z pośpiechem, pragnęła widocznie pogadać.

Żywa, jak wszystkie gryzетки paryskie, skoczyła na spotkanie dostojnego dozorca, chwyciła go za ręce, raczej żeby uszczyptać niż popieścić i głosem gniewnym, ochrypłym i urywanym oświadczyła:

— Panie, ja się tu nudzę, wiedz pan o tym! Cagliostro spojrział na nią i pokręcił głową.

— Nudzisz się, biedne dziecko; niestety, nuda to choroba brzydka.

— Nie podoba mi się tutaj, umieram.

— Doprawdy?

— Tak, tak, nachodzą mnie złe myśli.

— No, ba — rzekł Cagliostro, uspokajając ją jak rozgrymaszonego pieska. — Na mnie nie gniewaj się, jeśli ci tu niedobrze, gniewaj się na pana ministra policji, który jest twoim wrogiem.

— Panie, pańska zimna krew jest oburzająca. Złość się pan, to wolę, ale nie praw mi tych wszystkich grzeczności; chcesz mnie pan uspokoić, a doprowadzasz do wściekłości...

— Przyznaj, panno, żeś jest niesprawiedliwa — rzekł Cagliostro, siadając z daleka od niej, pod pozorem szacunku lub obojętności, które tak świetnie zwodziły Oliwię.

— Łatwo to panu powiedzieć — zawołała. — Przychodzisz, odchodzisz, oddychasz swobodnie, masz mnóstwo przyjemności, które sam sobie wybierasz, ja zaś ginę w tej ciasnocie, w której mnie zamknąłeś, ja nie oddycham, lecz drzę... Uprzedzam pana, że pomoc jego w tej postaci jest nieprzydatna, skoro nie przeszkadza mi umierać.

— Umierać, pani? No, no! — uśmiechnął się Cagliostro.

— Powiadam, że obchodzisz się pan ze mną brzydko, zapominasz, że kogoś kocham prawdziwie, namiętnie!

— Pana Beausire'a?

— Tak, kocham go; nigdy tego przed panem nie kryłam, możeś sobie wyobraził, że zapomnę mego najdroższego Beausire'a.

— Tak sobie tego nie wyobrażałem, toteż dobrze nałamałem głowy zanim udało mi się zdobyć o nim wiadomość i oto ją pani przynoszę.

— Ach! — krzyknęła Oliwia.

— Pan de Beausire — rzekł Cagliostro — jest nader miłym młodzieńcem.

— Ho, ho! — zauważyła Oliwia, która nie wiedziała, do czego prowadzą te pochwały.

— Jest młody i przystojny.

— Prawda?

— Pełen wyobraźni...

— I ognia!... Trochę był względem mnie grubianin, ale... kto kocha, ten się złości...

— Złote słowa. Posiadasz pani tyleż serca, co dowcipu; tyleż dowcipu, co piękności; ja zaś, który wiem o tym, którego każda miłość interesuje — to już taka moja mania — postanowiłem zbliżyć panią... do pana de Beausire.

— Lecz przed miesiącem powzięłeś pan inne postanowienie — powiedziała Oliwia, śmiejąc się z przekąsem.

— Posłuchaj mnie, dziecko. Gdzież jest mężczyzna wolny, tak jak ja, który widząc ładną kobietę nie starałby się jej podobać; lecz musisz przyznać, że jeśli zalecałem się do ciebie, to tylko przez krótki czas.

— Rzeczywiście — odparła Oliwia z tą samą powagą — przez niecały kwadrans.

— Musiałem przecież dać spokój, widząc jak bardzo kochasz pana de Beausire.

— Och! Drwisz pan sobie ze mnie!

— Nie, na honor! Opierałaś się pani tak mocno.

— Prawda?... — zapytała Oliwia, zachwycona, że ją przyłapano na gorącym uczynku opierania się. — Przyznasz pan, że opierałam się znakomicie!

— Był to wynik owej wielkiej miłości — rzekł flegmatycznie Cagliostro.

— No, ale pańska miłość nie była zbyt uparta — odparła Oliwia.

— Nie jestem jeszcze ani tak stary, ani tak brzydki, ani na tyle głupi lub ubogi, bym miał narażać się na odmowę lub niepowodzenie; zawsze byś dawała pierwszeństwo panu de Beausire, czułem to i zastosowałem się do tego.

— O, bynajmniej! — zawołała zalotnie. — Ta pańska spółka, do której mię pan wciągnął, to prawo podawania mi ręki, odwiedzania mnie, dogadzania mi — w sposób przyzwoity i uczciwy, czyli nie ma w tym resztek nadziei?...

I przy tych słowach Oliwia, której oczy próżnowały zbyt długo, spojrzała zdradliwie na swego gościa.

— Przyznać muszą — rzekł Cagliostro — że bystrości pani trudno się oprzeć.

I spuścił wzrok, jakby bojąc się, że go przepali podwójny strumień ognia tryskający z oczu Oliwii.

— Powracając do Beausire'a — rzekła dziewczyna urażona powściągliwością hrabiego. — Cóż on robi, gdzie jest ten biedny mój przyjaciel?

Cagliostro wciąż jeszcze patrzył na nią lękliwie.

— Mówiłem, że chciałem was połączyć.

— Nie, tego pan nie mówiłeś — przerwała Oliwia z pogardą. — Ale ponieważ pan teraz tak twierdzisz, przyjmuję. Mów pan dalej. Czemuś go pan nie sprowadził, byłby to czyn miłosierny. On przecież jest wolny.

— Ponieważ — odparł Cagliostro, którego ironia Oliwii wcale nie zdziwiła — do pana de Beausire, który podobnie jak ty, posiada zbyt wiele dowcipu, policja ma ostatnio także maluteńką anse.

— On także? — zawołała Oliwia blednąc, gdyż poczuła żądło prawdy.

— Także!... — powtórzył grzecznie Cagliostro.

— Cóż takiego zrobił? — wyjąkała młoda kobieta.

— Doskonały figiel, pyszną, przedowcipną sztuczkę; ja bym to nazwał żarcikiem, lecz ludzie tetryczni, jak na przykład pan de Crosne, wszak wiesz, co to za ciamajda ten pan de Crosne, nazywają to kradzieżą.

— Kradzież?... Boże mój! — krzyknęła wystraszona Oliwia.

— Ach, to ładna kradzież, co dowodzi, że Beausire ma gust do ładnych rzeczy.

— Panie, czy on uwięziony?

— Nie uwięziony, lecz opisany.

— Możesz mi pan przysiąc, że Beausire nie jest uwięziony, że nie grozi mu niebezpieczeństwo?

— Mogę przysiąc, że nie jest uwięziony, ale czy nie jest w niebezpieczeństwie?... Rozumiesz przecież, drogie dziecko, że skoro kogoś opiszą i wyznaczą nagrodę, to wiele osób czatuje nań i szuka, a z wyglądem pana de Beausire, z jego postawą i jego wszystkimi znanymi przymiotami, bardzo łatwo dostać się w łapy policji. Pomyśl tylko o zasadzce pana de Crosne! Przez ciebie znalazłby Beausire'a — przez Beausire'a ciebie.

— Tak, tak, niech się ukrywa. Biedny chłopak! I ja będę się kryć. Panie, pomóż mi pan wyjechać z Francji. Widzisz, tu zamknięta duszę się i obawiam, żebym nie popełniła jakiejś niedorzeczności.

— Co pani nazywasz niedorzecznością?

— No, pokazać się ludziom, użyć świeżego powietrza...

— Nie dziwacz, moja droga, już i tak jesteś blada, stracisz jeszcze piękne zdrowie i pan Beausire przestanie cię kochać. Ależ używaj sobie powietrza, baw się przypatrując przechodniom.

— Ha — zawołała Oliwia — i pan powstajesz przeciwko mnie, pewnie i pan mnie opuścisz. Może coś panu zawiniłam?

— Mnie, cóż znowu? Nie szalej! Czym mogłeś mi zawinić? — odparł Cagliostro z mrozną powagą.

— Bo... Ja wiem, że mężczyzna, gdy mu się kobieta podoba, magnat tak znakomity jak pan, tak przystojny jak pan, ma prawo gniewać się, zniechęcić się nawet, jeśli taka wariatka jak ja, odpycha go. Och, nie opuszczaj mnie, panie, nie gub mnie, nie miej do mnie nienawiści.

I młoda kobieta z równym przestachem jak kokieterią objęła Cagliostra za szyję.

— Biedactwo — rzekł hrabia, składając przelotny pocałunek na jej czole — jakże się ona boi!... Nie sądz tak źle o mnie. Byłaś w niebezpieczeństwie — okazałem ci przysługę, miałem pewne zamiary, zaniechałem ich i koniec... Równie mało żywię dla ciebie nienawiści, jak ty dla mnie wdzięczności. Ja myślałem o sobie, ty o sobie — jesteśmy skwitowani.

— O panie, ileż dobroci! Co za wspaniałomyślność! — I Oliwia zamiast jednej, drugą rękę zarzuciła na szyję hrabiego, lecz ten popatrzył na nią ze zwykłym spokojem i rzekł:

— Widzisz, Oliwio, gdybyś mi teraz nawet ofiarowała prześliczną swą miłość, musiałbym...

— Co? — zapytała zarumieniona.

— Nawet gdybyś mi ofiarowała prześliczną swą osobę, odmówiłbym, gdyż uznaję tylko uczucia prawdziwe, czyste i wolne od wszelkich rozliczeń. Sądziłaś, że jestem wyrachowany i że masz względem mnie obowiązki. Ja zaś uważam, że jesteś bardziej wdzięczna niż czuła, bardziej przestraszona niż zakochana. Niech zostanie po staremu. Spełniam w tym twoje życzenie.

Oliwia opuściła piękne ramiona i oddaliła się poniżona, zawstydzona i zawiedziona tą wspaniałomyślnością Cagliostra, na którą wcale nie liczyła.

— Więc to rzecz postanowiona — rzekł hrabia. — Pozostajemy przyjaciółmi; będziesz mi ufać, będziesz rozporządzać moim domem, moją kieszenią, moim kredytem i...

— I — przerwała Oliwia — powiem sobie, że są na świecie ludzie zacniejsi od wszystkich, których znałam.

Wyrazy te powiedziała z wdziękiem i godnością, co wywarło nawet wrażenie na tej duszy spiżowej, której ciało nazywało się niegdyś B a l s a m o .

— Każda kobieta — pomyślał — jest dobrym stworzeniem, trzeba tylko potrać odpowiednią strunę.

Zbliżył się do Nicole i rzekł:

— Dziś wieczorem przeniesiesz się na górne piętro pałacu; tam w belwederze jest apartament złożony z trzech pokoi. Okna wychodzą na bulwar i na ulicę Saint-Claude, na Menilmontant i na Belleville. Będą cię mogli odwiedzać niektórzy sąsiedzi; są to ludzie spokojni, nie potrzebujesz się ich obawiać, nie mają żadnych stosunków i nie będą zastanawiać się nad tym, kim jesteś. Nie narażaj się tylko, by widzieli cię przechodnie, gdyż ulicę Saint-Claude odwiedzają czasem agenci pana de Crosne. Tam przynajmniej będziesz miała słońce...

Oliwia ucieszona klasnęła w rączki.

— Czy chcesz, abym cię tam zaprowadził? — zapytał Cagliostro.

— Teraz?

— Tak. Czy ci to nie na rękę?

Oliwia przenikliwie spojrzała na Cagliostra: do serca jej, a raczej do głowy, próżnej i zepsutej, wróciła niejasna nadzieja.

— Chodźmy — odparła.

Hrabia wziął latarkę i otwierając przed nią rozmaite drzwi, po schodach wprowadził ją na trzecie piętro. Znaleźli się w mieszkaniu opisanym przez Cagliostra. Mieszkanko było urządzone, pachnące, jakby zamieszkałe.

— Mogłabym sądzić — zawołała — że mnie tu oczekiwano!

— Nie ciebie, lecz mnie; lubię ten pawilonik i często tu sypiam. W spojrzeniu Oliwii pojawił się płowy błysk, jaki spostrzega się czasem w źrenicach kotów.

Już miała rzucić jakieś ogniste słówko, lecz Cagliostro powstrzymał ją, mówiąc:

— Nie zabraknie ci tu niczego, pokojówka przybędzie za chwilę. Dobranoc, moja panno.

I osłodziwszy głęboki ukłon czułym spojrzeniem, znikł.

Biedna uwięziona padła na łóżko w wytwornej alkwie. Zdziwiona była i przygnębiona.

— Stanowczo nie pojmuję, co się ze mną dzieje — szepnęła patrząc na drzwi, za którymi skrył się ów człowiek, tak przedziwnie niezrozumiały.

LXIII. OBSERWATORIUM

Oliwia położyła się do łóżka zaraz po odejściu służącej przysłanej przez Cagliostro, lecz spała mało, gdyż po rozmowie z hrabią najrozmaitsze myśli kłębiły się w jej głowie, marzenia na jawie przeplatały z majakami sennymi. Długo nie umie zaznać szczęścia, kto po wielkim smutku i biedzie — zdobywa znienacka radość i bogactwo. Oliwia żałowała Beausire'a, lecz podziwiała hrabiego, którego zrozumieć nie mogła; nie uważała go za nieśmiałego ani też nie posądzała o nieczułość. Bała się również, iż nawiedzi ją podczas snu jakiś sylf eteryczny i najlżejszy skrzyp podłogi przyprawiał ją o wzruszenie znane każdej bohaterce romansu, która sypia w Wieży Północnej.

O brzasku pierzchły te strachy, którym zresztą nie można odmówić powabu.

My, którzy nie boimy się, że wywołamy podejrzenia pana de Beausire, możemy przyznać, że godzinę zupełnego bezpieczeństwa przyjęła Nicole z maleńką dozą zalotnej niechęci. Odcień to nieprzekładalny dla pędzla, z wyjątkiem Watteau, ani pióra, które nie kładło podpisu — Marivaux albo Crebillonsyn.

W dzień Oliwia pozwoliła sobie spać rozkoszując się przenikaniem do pokoju purpurowych promieni wschodzącego słońca, świergotem ptaszków skaczących po tarasie i ocierających się skrzydełkami o liście róży i kwiaty hiszpańskiego jaśminu.

Wstała późno, bardzo późno, po dwóch czy trzech godzinach miłego snu, kiedy trochę jeszcze odrętwiała po wypoczynku, lecz rozbudzona gwarem ulicznym — poczuła się rzeško, zbyt rzeško, by leżeć i próżnować.

Z samej potrzeby ruchu obiegła wszystkie kąty nowego apartamentu szperając niejako i węsząc, w jaki sposób ów sylf, niepojęty w swej naiwności, nie zdołał trafić do drzwi ukrytych i wśliznąć się trzepocąc skrzydłami do jej alkowy. A przecież wiadomo, że sylfy owych czasów, dzięki hrabiemu de Gabalis, zachowały nadal opinię niewinnych geniuszy.

Oliwia nie mogła napatrzeć się przepychowi mieszkania, tym bardziej zaskoczona, że przedtem zajmował je mężczyzna, a nie kobieta. Znajdowało się tam wszystko, co może uprzyjemniać życie, a przede wszystkim zaś było tyle słońca, światła i powietrza, że nawet więzienie zmieniłoby się w ogród, gdyby kiedykolwiek światło i powietrze docierało do więzienia.

Opisalibyśmy chętnie dziecięcą, czyli prawdziwą radość, z jaką Oliwia wybiegła i położyła się na taflach kamiennych, wśród mchu i kwiatów, podobna do węża, który wyczołgał się z nory. Opisalibyśmy, gdybyśmy mieli tylko zamiar przedstawić jej zdziwienie, przy każdym bowiem poruszeniu odkrywała jakieś nowe zjawisko.

Jak już mówiliśmy, położyła się na podłodze, żeby, nie będąc widzianą z zewnątrz, przyglądać się przez kraty tarasu wierzchołkom drzew, domom w dzielnicy Popincourt i kominom, temu mglistemu oceanowi, którego nierówne fale piętrzyły się po jej prawej ręce.

Upieszczona słońcem, nastawiając ucha na dość rzadki, niestety, turkot karet na bulwarze, spędziła w ten sposób dwie szczęśliwe godziny. Wypiła filiżankę czekolady i przeczytała gazetę nie pomyślawszy o przyjemności wyjrzenia na ulicę.

Bo też była to niebezpieczna przyjemność. Agenci pana de Crosne, psie dusze w ludzkim ciele, uwijając się całymi dniami jak ogary, mogli ją spostrzec. Jakże przykre przebudzenie po tak słodkim śnie. W położeniu poziomym, choć przyjemnie, trudno jednak wytrwać, Nicole oparła się więc na jednym ramieniu.

Zobaczyła teraz drzewa orzechowe w Menilmontant, wielkie rozłożyste drzewa na cmentarzu, mnóstwo domów różnokolorowych, piętrzących się na zboczu od Charonne aż do wzgórz Chaumont, wśród bukiecików zieleni lub skał gipsowych, porośniętych krzakami i ostem.

Tu i ówdzie, po wąskich wstęgach ścieżek, wijących się na szyi owych pagórków lub po białych drózkach wśród winnic, przesuwali się drobne stworzenia: chłopcy jadący na osłach, dzieci pochylone przy wrywaniu chwastów, kobiety odsłaniające grona winne dla dostępu słońca.

To życie wiejskie bawiło Nicole, zawsze tęskniła za pięknym Taverney, odkąd opuściła wieś dla upragnionych uciech stolicy.

Nasyciła się wreszcie widokiem wsi, a ponieważ zajęła pozycję wygodną i wśród kwiatów bezpieczną, nie narażającą jej na wrogie spojrzenie, przeniosła wzrok z pagórków na dolinę i z dalekich horyzontów na domy położone naprzeciw. Wszędzie, to znaczy na przestrzeni trzech najbliższych domów, okna były zamknięte lub wyglądały niezbyt zachęcająco.

Tu starzy rentierzy wystawiali na okna klatka z ptactwem i hodowali stada kotów; tam widocznie wszyscy wyjechali; obecny był chyba tylko mieszkaniec najwyższego piętra, Owernijczyk. Coś ciekawszego znalazła wreszcie w trzecim domu, za firankami z żółtego jedwabiu: kwiaty i jakby na uzmysłowienie wygodnego bytowania — miękki fotel, wałkoniący się w oczekiwaniu na swego marzyciela lub marzycielkę. Zdawało się Oliwii, że w ciemnej czeluści owego pokoju, czerniejącej intensywnie przy blasku słonecznym, dostrzega jakiś wahadłowo poruszający się cień.

Ciekawość jej poprzestała na tym; ukryła się jeszcze lepiej wśród kwiatów i przywoławszy pokojówkę wszczęła z nią rozmowę, ażeby urozmaicić rozkosze samotności rozkoszą towarzystwa istoty myślącej, a nade wszystko mownej.

Lecz panna służąca, wbrew regule, była wyjątkowo negadatiwa. Podała swej pani nazwę Belleville, Charonne, cmentarza Pere Lachaise, wymieniła kościoły św. Ambrożego i św. Wawrzyńca, pokazała zakręt bulwaru i jego spadek ku brzegowi Sekwany, ale kiedy przyszła kolej na sąsiadów, służąca nic zgoła nie wiedziała.

Nie wyjaśniła się tajemnica owego mieszkania z żółtymi firankami, ruchomego cienia ani pustego fotela.

Oliwia postanowiła jednak znajomość tę nawiązać, odesłała więc zbyt dyskretną służącą, aby bez świadka oddać się obserwacji.

Wkrótce nadarzyła się sposobność. Sąsiedzi pootwierali drzwi i odpoczywali po jedzeniu lub ubierali się do wyjścia. Oliwia policzyła: było ich sześciu, idealnie niedobrych, jak przystało na ludzi, którzy wybrali sobie taką ulicę do zamieszkania.

Kilka godzin zeszło Oliwii na przypatrywaniu się ich gestom i zajęciom. Odbiła przegląd wszystkich. Jeden tylko cień nie odsłonił oblicza, choć usadowił się na fotelu przy oknie i pogrążył w zadumie.

Była to kobieta.

Wkrótce pojawiła się obok fryzjerka i przez półtorej godziny na ciemieniu i skroniach nieznajomej budowała istny gmach babiloński, w którym znalazły pomieszczenie rośliny, minerały, a znalazłyby się i zwierzęta, gdyby się wmieszał w to Leonard i gdyby kobieta owej epoki zgodzić się chciała na) przekształcenie jej głowy w arkę Noego wraz z całym żywym” inwentarzem.

Potem kobieta owa ufryzowana, wypudrowana, jaśniejąca bielą koronek, usiadła ponownie w fotelu i oparła kark na spiętrzonych twardych poduszkach, aby utrzymać równowagę między tą częścią ciała a resztą i zachować pomnik nienaruszony, nawet gdyby trzęsienie ziemi zachwiało

cokołem. Nieruchoma ta kobieta podobna była do owych bóstw indyjskich, zatopionych w sobie i zapatrzonych w jeden punkt na skutek wyczerpanej pracy myśli.

Oliwia zauważyła, że ufryzowana dama bardzo była ładna; nóżka jej, oparta o framugę okna i obuta w różowy atłasowy pantofelek, była maleńka i zgrabna; ramiona miała ślicznie toczone, a kragła pierś wypełniała gorset i staniczek. Najbardziej godne uwagi było wyczerpanie jej myśli, obezwładniające ciało.

Kobieta, którą myśmy od razu poznali, lecz której Oliwia znać nie mogła, nie przypuszczała, że ją ktokolwiek widzi; nigdy nie otwierano okien naprzeciwno; pałacyk pana de Cagliostro nie odkrył jeszcze nikomu swych tajemnic, a prócz rzemieślników, którzy go odświeżali, nikt nie pokazywał się w jego oknach.

Trzeba tu wyjaśnić, że Cagliostro kazał przygotować ów apartament jak dla siebie samego, ale nigdy tam nie sypiał, skłaniał więc, gdy o tym mówił.

Dama z piękną fryzurą pozostawała pogrążona w myślach i Oliwia doszła do wniosku, że przedmiotem rozważań tak ładnej osoby mogą być tylko kłopoty miłosne. Wiek, uroda, samotność, nuda, ileż węzłów sympatii można było zadzierzgnąć między dwiema duszami, które może szukały siebie wzajemnie na skutek tajemniczych i niezwalczonych wyroków przeznaczenia.

Oliwia nie mogła oderwać oczu od samotnej myślicielki. W tym pociągu kobiety do kobiety była pewna czystość moralna. Takie subtelne uczucia pospolitsze są, niżli się mniema, u tych nieszczęśliwych istot, których potrzeby ciała stają się główną siłą motoryczną życia.

W pięknej pustelnicy Oliwia dopatrywała się swej siostry duchowej. W wyobraźni odtworzyła sobie romans na podobieństwo romansu własnego; w pojęciu prostodusznej dziewczyny wydawało się dziwne, żeby piękna elegantka zgodziła się zamieszkać przy ustronnej ulicy Saint-Claude nie doświadczywszy w życiu jakiejś tragedii głębokiej lub nie nosząc w sercu nie zaleczonej rany.

Kiedy już wyrzeźbiła ze spizu i diamentów swą baśń romantyczną, Oliwia, jak wszystkie uczuciowe natury, dała się porwać dziełu własnej fantazji i na skrzydłach czarodziejskich wzbiła się ku swej towarzyszce, u której ramion powinny były zaraz wyrosnąć skrzydła.

Lecz dama z arką na głowie nie poruszyła się ani na włos, zdawała się drzemać; od dwóch godzin tkwiła nieruchomo w fotelu.

Oliwia była w rozpacz; sam Adonis lub Beausire nie doczekałby się tylu umizgów, ile poświęciła nieznajomej. Zniechęcona, przeskakując z serdecznych uczuć do gniewu, dziesięć razy otwierała i zamykała okno, dziesięć razy płoszyła ptaszki, podawała sygnały w gestach tak wyrazistych, że najępsze nawet z narzędzi pana de Crosne musiałyby je zauważyć i zainteresować się. Po tylu trudach doszła Nicole do przekonania, że piękna dama widziała i rozumiała wszystkie znaki, lecz wzgardziła nimi, była więc głupia lub próżna. Głupia? Czy można być głupią mając oczy tak bystre i przebiegłe, nóżkę tak ruchliwą, a rączkę tak niespokojną?... Nie. Próżną... to co innego! Zadziierać nosek mogła wówczas kobieta wysokiego rodu względem mieszczki.

Oliwia, poznając w licach młodej kobiety rysy arystokratki i wniosując, że jest to osoba dumna i niezdolna do wzruszeń — dała spokój. Wdzięcznie nadażana odwróciła się i przy zachodzącym słońcu ułożyła się znowu w towarzystwie kwiatów. Były to przecież towarzyski równie szlachetne, ładne, wytworne i upudrowane, równie zalotne jak największe damy, lecz były dostępne, pozwalały dotykać się, wdychać swój zapach i oddawały w woni i dotyku jakby pocałunki przyjaźni, lub miłości.

Nicole nie wiedziała, że ową rzekomo dumną kobietą jest Joanna de Valois, hrabina de la Motte, zajęta od wczoraj wyszukiwaniem pomysłu, jak z jednej strony zapobiec widzeniu się

Marii Antoniny z kardynałem de Rohan, a z drugiej wyprowadzić w pole kardynała, by w rzeczywistości nie widząc się z królową wierzył, że stale się z nią spotyka i był z tego powodu ukontentowany. Myśli tak poważne mogły być wystarczającym usprawiedliwieniem, że młoda kobieta, wpadłszy w zadumę, nie poruszyła głową w ciągu dwóch śmiertelnie długich godzin.

Gdyby Oliwia wiedziała o tym, nie ukryłaby się z gniewu wśród kwiatów i nie wyrzuciłaby z pośpiechu i nieostrożności doniczki jasiońca, która spadła na bruk z wielkim łoskotem. Oliwia przestraszona wyrzała, czy nie stała się jaka szkoda. W tej chwili zamyślona dama ocknęła się na ten niespodziewany hałas i zobaczyła na bruku rozbitą doniczkę, następnie w poszukiwaniach przyczyny spojrzała na taras pałacu.

Ujrzała Oliwię. Spostrzegłszy ją, krzyknęła przenikliwie; w krzyku tym przebijała się radość i przestrasz; zerwała się z miejsca, choć dotąd siedziała jak martwa.

Spojrzenia obu kobiet skrzyżowały się wreszcie i odnalazły.

W pierwszym odruchu Joanna zawołała:

— Królowa!

Potem składając dziękczynnie ręce i bojąc się poruszyć, by widzenie nie znikło — szepnęła.

— Szukałam środka — i oto go mam.

W tej chwili Oliwia usłyszała poza sobą szelest; odwróciła się szybko i ujrzała wchodzącego do pokoju hrabiego Cagliostro. Musiał zauważyć, jak kobiety przypatrywały się sobie.

— Widziały się — rzekł sam do siebie. — Dobrze. Oliwia szybko opuszczała balkon.

LXIV. DWIE SĄSIADKI

Od chwili kiedy obie kobiety wymieniły spojrzenia, Oliwia, oczarowana wdziękiem sąsiadki, nie udawała już obojętności; ostrożnie poruszając się wśród kwiatów, uśmiechami odpowiadała na uśmiechy.

Cagliostro nie omieszkął przestrzec Oliwii, aby się miała na baczności.

— Przede wszystkim — rzekł — nie wdawaj się w sąsiedzkie znajomości.

Uwaga ta spadła jak ciężar ogromny na serce Oliwii, która już w samej wymianie z nieznajomą ukłonów i gestów znajdowała wiele uroku.

Nie utrzymywać stosunków sąsiedzkich, to znaczyło odwrócić się od tej ślicznej kobiety o słodkich, błyszczących oczach i ruchach pełnych wdzięku, to znaczyło wyrzec się rozkoszy rozmowy na migi, to znaczyło — zerwać z przyjaciółką. Wyobraźnia Oliwii sięgała już tak daleko, że dopatrywała się w Joannie istoty upragnionej i bliskiej. Oliwia zapewniła nieszczerze opiekuna, że zastosuje się do jego rady i nie będzie zawierać żadnych znajomości z sąsiadkami, lecz gdy tylko Cagliostro opuścił pokój, usadowiła się na balkonie, tak żeby sąsiadka mogła ją widzieć. Nieznajoma również tego widocznie pragnęła, gdyż po pierwszych uśmiechach Oliwii odpowiadała ukłonami i przesyłanymi końcem palców całusami.

Oliwia z równym zapałem odpowiadała na te awanse. Wkrótce zauważyła z radością, że nieznajoma nie opuszcza teraz swego miejsca przy oknie, że nie zapomina nigdy pożegnać ją odchodząc, a przywitać powróciwszy.

W podobnej sytuacji zrozumiałe było pragnienie wzajemnego bliższego poznania się.

Gdy Cagliostro po dwóch dniach znów złożył wizytę Oliwii, powiedział z niezadowoleniem, że jakaż nieznajoma osoba przychodziła do pałacyku.

— Jak to? — zapytała rumieniąc się Oliwia.

— Zjawiała się tu jakaś dama młoda, ładna, elegancka i mówiła z lokajem, który zmuszony był otworzyć na uporczywe dzwonicie. Dopytywała się, kto jest ta młoda osoba, która zajmuje pawilonik na trzecim piętrze. Mówiła więc o tobie, moja droga, opisała cię jak najdokładniej... A więc cię zna. Jesteś odkryta. Bądź ostrożna... Agentami policji są zarówno kobiety jak mężczyźni, a ja nie mógłbym cię ochronić, gdyby pan de Crosne zażądał, żeby cię wydać.

W opisie Cagliostrowa poznała Oliwia wizerunek sąsiadki; była jej nad wyraz wdzięczna za dowód życzliwości i postanowiła odplacić się jej możliwie najgrzeczniej.

— Nie boisz się? — zapytał Cagliostro.

— Nikt mnie nie widział — odparła Nicole.

— Jednakże trudno byłoby odgadnąć, że w pawiloniku mieszka kobieta. Uważaj, uważaj!

— Ależ, hrabio! — zawołała Oliwia. — Jakże możesz się obawiać... Jeżeli mnie widziano, o czym zresztą wątpię — nic zobaczą mnie po raz wtóry, a gdyby się nawet i to trafiło, to tylko z daleka, bo przecież dom jest niedostępny.

— Niedostępny, dobre słowo. Tak, wejść tu rzeczywiście nie można — odparł hrabia — chyba przeskoczyć przez mur, co nie jest rzeczą łatwą lub przejść przez małą furtkę, co jest niemożliwe, bo tylko ja mam klucz.

To mówiąc pokazał Oliwii mały kluczyczek.

— Oczywiście, nie mam zamiaru cię gubić, nie pożyczę więc nikomu tego klucza, a ponieważ nic byś pani nie zyskała, dostawszy się w ręce pana de Crosne, nie pozwolisz chyba przeskakiwać muru... Uprzedziłem cię, moje dziecko, twoją teraz jest rzeczą zastosować się do tego lub nie.

Oliwia rozplywała się we wszelkiego rodzaju zapewnieniach, myśląc tylko, jakby najrychlej odprawić hrabiego, który zresztą nie nastawał na przeciąganie wizyty.

Nazajutrz, już o szóstej rano, była na balkonie, by odetchnąć czystym powietrzem porannym i z ciekawością zaglądała w okna sąsiadki. Ta zazwyczaj wstawała około jedenastej, lecz dnia tego zaraz po Oliwii ukazała się w oknie. Zdawałoby się, że i ona z niecierpliwością oczekiwała na tę okazję.

Obie kobiety powitały się ukłonem; Joanna wychyliła się przez okno i uważnie rozejrzała po ulicy; nie było tu nikogo; o tej porze nawet okna wszystkie były jeszcze zamknięte.

Wówczas złożyła ręce na kształt trąbki, przyłożyła do ust i głosem przeciągłym, z wyraźną intonacją, choć niezbyt głośno, zawołała:

— Chciałam cię odwiedzić, pani!

— Cyt! — zawołała Oliwia cofając się z przestachem i kładąc palec na ustach.

Joanną schowała się prędko za firanki, sądząc, że się zjawił ktoś niedyskretny, lecz widząc uśmiech Nicole, ukazała się znowu.

— Czy można widzieć się z panią?

— Niestety, nie można — oznajmił gest Oliwii.

— Czekaj, pani — odparła Joanna. — Czy nie można by przesłać listu?

— O, nie! — zawołała wystraszona Oliwia.

Joanna namyślała się przez kilka chwil. Oliwia po wzroku sąsiadki odgadła, że ta wpadła na jakiś nowy pomysł. W podzięcie posłała jej całusa, a Joanna odwzajemniwszy się czule zamknęła okno i znikła.

Powróciła po dwóch godzinach, gdy słońce przygrzewało już pełną siłą; bruk uliczny pałał jak piaski pustyni.

Joanna ukazała się w oknie, trzymając w ręku małą kuszę, śmiała się i dawała znaki Oliwii, aby się nieco odsunęła. Oliwia usłuchała i ze śmiechem, cofnęła się za okiennicę. Pocisk nie doleciał i spadł z łoskotem na chodnik. Oliwia krzyknęła z zalem. Joanna wzruszyła ramionami, przez chwilę szukała oczyma swego pocisku na ulicy, potem znikła na kilka minut. Oliwia wychyliła się przez balkon; jakiś łazęga szperał na prawo i lewo. Czy znalazł kulkę? Oliwia nie wiedziała, cofnęła się, by nie spostrzeżono jej samej.

Następna próba Joanny udała się: druga kulka wystrzelona z kuszy wpadła do pokoju. Owinięta była w karteczkę następującej treści:

„Zaciekawiasz mnie, piękna pani. Jesteś prześliczna i mam dla ciebie wiele sympatii. Czy jesteś uwięziona? Czy wiesz, że na próżno starałam się, aby cię odwiedzić?... Czy ów czarnoksiężnik, który pilnuje cię niewidzialnie, pozwoli mi kiedykolwiek pomówić z panią, abym ci mogła wyrazić, ile współczucia żywię dla biednej ofiary męskiej tyranii?...

Wyobraźnię moją, jak widzisz, oddaję na usługi przyjaźni. Czy chcesz być moją przyjaciółką?... Zdaje się, że wychodzić ci nie wolno, lecz możesz pisać, a ponieważ ja wychodzę, kiedy mi się tylko podoba, czekaj, gdy będę przechodzić pod balkonem i rzuć bilecik. Gdyby posługiwanie się kuszą okazało się niedogodne lub niebezpieczne, użyjemy prostszego sposobu: o zmroku spuścisz nitkę z przywiązany listem, ja bilecik twój odwiążę, mój zaś przyczepię.

Jeżeli oczy twoje nie kłamią, mogę liczyć na twoją życzliwość, a wtedy, we dwie, zwyciężymy świat.

Twoja przyjaciółka.

P. S. Czy widziałaś, co się stało z pierwszą kulką?”

Joanna nie podpisała się, a nawet zmieniła charakter pisma.

Oliwia nie posiadała się z radości i odpowiedziała w następujących słowach:

„Pani! Kocham cię tak samo, jak i ty mnie. Jestem rzeczywiście ofiarą niegodziwości mężczyzn, lecz ten, który mnie tu trzyma, jest moim protektorem, nie zaś tyranem. Odwiedza mnie w tajemnicy raz na dzień. Kiedy indziej ci wszystko wyjaśnię. Wolę użycie nici niż strzelanie z kuszy. Nie mogę, niestety, wychodzić; jestem pod kluczem, lecz to dla mojego dobra. Mogłabym ci, pani, wiele opowiedzieć, gdybym kiedykolwiek miała szczęście rozmawiać z tobą. Tylu szczegółów opisać nie podobna. Nikt nie podniósł twojego pierwszego bileciku, chyba przechodzący właśnie zbieracz gałganów; lecz tacy nie umieją czytać, ołów pozostaje dla nich ołowiem.

Twoja przyjaciółka Oliwia Legay”.

Stanąła przy oknie i pokazała motek nici, kiedy zaś wieczór nadszedł, opuściła bilecik, jak było umówione.

Joanna stała pod balkonem, wzięła nitkę, odwiązała kartkę i poszła do domu, aby przeczytać tę korespondencję.

Po półgodzinnej przerwie przyczepiła do tej samej nitki następujący liścik:

„Kto chce, może zrobić wszystko. Niezbyt czujnie cię pilnują, skoro zawsze cię widzę samą, możesz więc przyjmować gości lub wychodzić. Czy dom twój zamyka się na klucz? Kto ten klucz posiada?... Czy ten, który cię odwiedza?... Czyż tak bardzo strzeże tego klucza, że nie możesz wziąć go na chwilę i zrobić z niego odcisku?... Nie namawiam cię do złego, chcę tylko dopomóc ci w uzyskaniu odrobiny swobody; przechadzka przy boku kochającej przyjaciółki, która pocieszać cię będzie w twym nieszczęściu, bardzo cię pokrzepi, a może z czasem zupełnie odzyskasz wolność?... Pomówimy o tym obszernie przy pierwszym spotkaniu”.

Oliwia napawała się listem. Czowała, że na myśl o wolności dostaje gorączki; serce jej nęcił smak zakazanego owocu.

Zauważyła, że hrabia, przychodząc do niej z książką lub miłym drobiazgiem, stawiał latarkę na komódce, obok zaś kładł klucz. Oliwia z góry już przygotowała kawałek miękkiego wosku i przy pierwszych odwiedzinach Cagliostro wykonała odcisk klucza. Hrabia nie odwrócił nawet głowy, gdy Oliwia pośpiesznie oddawała się tej manipulacji; oglądał właśnie na balkonie świeżo rozkwitłe kwiaty i Oliwia mogła spokojnie wykonać swój zamiar.

Zaledwie hrabia odszedł, Oliwia spuściła pudełeczko z odciskiem klucza i bilecik dla Joanny.

Nazajutrz koło południa kusza, ten pośpieszny środek korespondencji, dostarczyła liścik następującej treści;

„Najmilsza, dziś o jedenastej wieczór, to jest po odejściu zazdrośnika, zejdz i odsuń rygle, a znajdziesz się w objęciach tej, która mieni się szczerą twoją przyjaciółką”.

Oliwia skakała z radości. Nawet w wiosnie pierwszych miłości liściki Gilberta nie cieszyły jej tak bardzo.

Nie dostrzegając u hrabiego żadnych oznak podejrzenia, Oliwia zeszła o jedenastej i spotkała się z Joanną.

Po czułym przywitaniu siadły obie do karety oczekującej na rogu bulwaru i odbyły dwugodzinną przejażdżkę, w ciągu której zdołały wielokrotnie wymienić uściski, pocałunki, wszystkie sekrety i projekty na przyszłość.

Joanna doradziła Oliwii, aby powróciła do protektora choćby dla uniknięcia podejrzeń. Wiedziała już, że opiekunem tym był Cagliostro. Bała się geniuszu tego człowieka i powodzenie swych planów widziała jedynie w zachowaniu najgłębszej tajemnicy.

Oliwia zwierzyła się bez reszty: opowiedziała o panu de Beausire, o policji... przyznała się do wszystkiego.

Joanna oświadczyła, że jest panną z dobrego domu i że żyje z kochankiem bez wiedzy rodziny.

Jedna wiedziała więc wszystko, a druga nie wiedziała o niczym: takie były warunki przyjaźni zaprzysiężonej między dwiema kobietami.

Od tego dnia nie potrzebowały już wcale kuszy czy nitki. Joanna miała klucz i dysponowała Oliwia do woli. Wykwintna wieczerza, ukradkowa przejażdżka, ponętom tym Oliwia nigdy nie umiała się oprzeć.

— Czy pan de Cagliostro nie domyśla się niczego? — pytała niekiedy Joanna.

— Co?... Gdybym mu powiedziała, nie uwierzyłby mi — odparła pewna siebie Oliwia.

„Po tygodniu powtarzające się wieczorne wypadki stały się przyzwyczajeniem, potrzebą, rozkoszą. Po tygodniu usta Oliwii o wiele częściej wymawiały imię Joanny niż kiedykolwiek przedtem imiona Gilberta i Beausire’a.

LXV. SCHADZKA

Pan de Charny, zlustrowawszy pobieżnie swe dobra, z rozkazu lekarza zamknął się w mieszkaniu i nie przyjmował nikogo. Przestrzegał tego tak ściśle, że nikt z całej okolicy nie oglądał bohatera owej bitwy morskiej, bohatera, o którym rozprawiała cała Francja i którego pragnęły zobaczyć wszystkie dziewczęta, jako że był nie tylko waleczny, ale ponoć i bardzo urodziwy,

Charny nie był jednakże tak chory, jak mówiono. Chory był tylko na serce, ale, mój Boże, co to była za choroba — ten ból ostry, przeszywający, nieubłagany, ból wspomnień i żalu. Miłość jest nostalgią, tęsknotą. Nieobecny oplakuje raj idealny zamiast konkretnej, materialnej ojczyzny. A zresztą, jakkolwiek czuli jesteśmy na poezję, ukochana kobieta jest chyba rajem trochę bardziej materialnym niż kraina aniołów.

Pan de Charny nie wytrzymał i trzech dni. Zirytowany, że wszystkie marzenia jego rozplywają się w przestrzeni, rozgłosił znany nam zakaz lekarza, postawił na straży przy drzwiach zaufanego sługę i nocą wyjechał z zamku na koniu rączym, choć nienarowistym. Po ośmiu godzinach znalazł się w Wersalu i za pośrednictwem lokaja, wynajął mały domek na tyłach parku.

Domek ten zwany Wilczarnią — opustoszały od czasu tragicznej śmierci jednego z łowczych, który poderżnął sobie w nim gardło — przypadł do gustu panu de Charny, pragnącemu ukryć się tutaj lepiej jeszcze niż w swych posiadłościach.

Domek urządzony był przyzwoicie i miał dwa wyjścia: jedno na pustą zawsze uliczkę, drugie na aleję okrężną parku. Z okien od strony południa Oliwier mógł zapuszczać się w szpalery grabiny, gdyż okna te, obrośnięte winem i bluszczem, były wydłużone aż do podłogi, więc właściwie bez trudu przechodziło się tędy do parku królewskiego.

To wyjątkowo bliskie sąsiedztwo było przywilejem łowczego, który bez wielkich zachodów mógł doglądać danieli i bazantów Jego Królewskiej Mości.

Ta samotność podobała się panu de Charny; czy tylko dla pięknego widoku? To się okaże...

Kiedy Charny już się usadowił, a lokaj zaspokoił jako tako powszechną ciekawość sąsiadów, zapomniano o nim, on zaś rozpoczął życie, na myśl o którym dreszcze przechodzą każdego, kto” na tej ziemi kiedykolwiek kochał lub słyszał tylko o miłości.

Po dwóch tygodniach znał wszystkie obyczaje zamku; wiedział, o której godzinie ptaki przylatują pić do sadzawki, o której przechodzi jeleń z lekliwie wyciągniętą szyją, kiedy panuje cisza, a kiedy wychodzą na spacery królowa lub jej towarzyszki; znał też rozkład obchodów patroli — słowem, choć z dala, żył życiem mieszkańców Trianon, świątyni bóstwa, jego niewczesnych adoracji.

Ponieważ pogoda sprzyjała, a noce urocze i pachnące dawały i oczom więcej swobody, i duszy więcej tematów do marzeń, długie tęskne godziny spędzał wśród jaśminów kwitnących przed oknami, śledząc dalekie szmery i migotliwą grę pałacowych świateł, prześlizgujących się przez liście. Lecz wkrótce owe szmery i blaski wydały mu się zbyt oddalone. Przez łączkę, po trawnikach dochodził do skraju zarośli, by spod granicy mrocznego cienia i wspaniałej księżycowej poświaty przypatrywać się czarnym i białym sylwetkom przesuwającym się za firankami pokoju królowej.

Tak więc widywał ją co dzień, a ona o niczym nie wiedziała. Poznawał ją z odległości ćwierci mili, gdy przechadzała się z damami lub z gromem zaprzyjaźnionych panów, bawiąc się chińską parasoleczką, osłaniającą jej duży, kwiatami przybrany kapelusz.

Postawa i chód zawsze ją zdradzały; pan de Charny znał Wszystkie jej toalety i poprzez gęstwę natrętnych liści poznawał sutą morową suknię, zieloną w czarne pasy, falującą ponętnie przy każdym poruszeniu.

Wieczorami, kiedy dostojne mary znikwały wypędzone późną godziną, pan Charny przemyczał się na czaty aż do posągów perystylu i śledził do ostatka ruchy ukochanego cienia; powracał wreszcie do siebie i przez wyręb między ogromnymi drzewami patrzył, jak w oknach Marii Antoniny światło jarzące zapala się, a potem gaśnie; wtedy zaczynał żyć wspomnieniami i nadzieją, tak jak dotąd żył przyglądaniem się i podziwianiem.

Pewnego wieczoru, po dwóch już godzinach takich dumań nad nieobecnym cieniem, Oliwier zamierzał udać się na spoczynek, gdy nagle usłyszał ciche skrzypnięcie klamki.

Powrócił do swej czatowni i słuchał.

Było już późno, dalekie zegary wydzwaniały północ; Charny czekał, zdziwiony odgłosem, który był dlań nowością.

O dwadzieścia pięć kroków od domku Oliwiera znajdowała się mała furtecinka, którą otwierano tylko podczas wielkich polowań dla przenoszenia koszy z dziczyzną. Zamek przy tej furteczce był buntowniczy i zgrzytliwy.

Charny zauważył, że osoby, które otworzyły drzwi, wyszły w milczeniu i skierowały się w aleję ciągnącą się obok jego okien. Szły przyspieszonym krokiem, ze spuszczonej głowami i nawet nie zauważyły domku wśród krzewów.

Po szeleście jedwabi Oliwier poznał, że są to kobiety.

Kobiety w obszernych mantylach skręciły w aleję znajdującą się na wprost okien pana de Charny i nagle ukazały się w pełnym blasku księżyca. Oliwier stłumił krzyk radości — po ruchach i uczesaniu poznał Marię Antoninę; widział zresztą dolną część twarzy, choć bardzo mu przeszkadzał cień od kapelusza. Królowa trzymała w ręku różę.

Wzruszony, z bijącym sercem, Charny ześliznął się z okna. Biegł po trawie, aby nie wywołać szmeru, ukrywał się za drzewami i śledził wzrokiem obie kobiety, które coraz to zwalniały kroku. Cóż mógł począć? Królowa miała przy boku towarzyszkę, nie groziło jej więc żadne niebezpieczeństwo. Ach, czemu nie była sama?... Byłby zniósł wszystkie tortury, byle tylko zbliżyć się i powiedzieć na klęczkach: „Kocham cię!” Ach, czemu nie groziło jej jakieś okropne niebezpieczeństwo?... Z rozkoszą oddałby własne życie dla jej ocalenia.

Gdy tak myślał i marzył o tysiącnych czułych szaleństwach, obie kobiety zatrzymały się nagle; jedna z nich, niższa, powiedziała kilka słów i odeszła. Szła spiesznie, dokąd i w jakim celu — Charny nie wiedział.

Królowa została sama. Tupiąc nóżkami po piasku oparła się o drzewo i otuliła w płaszcz; głowę nawet przykryła kapiszonem, który dotąd w szerokich fałdach spadał na ramiona i plecy.

Charny, ujrawszy ją samą i zamyśloną, skoczył, chcąc upaść przed nią na kolana.

Lecz spostrzegł, że co najmniej trzydzieści kroków dzieli go od niej, że nim dojdzie, ona, nie poznawszy go, przestraszy się, krzyknie lub ucieknie, że krzyk jej sprowadzi najpierw towarzyszką, potem strażników, którzy szukać będą po całym parku i znaleźć mogą sprawcę przestרחu, a nawet jego schronienie, wtedy zaś wszystko skończyłoby się dla niego na zawsze — tajemnica, szczęście i miłość. Zatrzymał się i dobrze uczynił, gdyż, zaledwie powściągnął nierozważny odruch, zjawiała się ponownie towarzyszka królowej i to nie sama. Charny zobaczył za nią mężczyzną słusznej postawy, w obszernym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem. Mężczyzna ten, którego widok napełnił pana de Charny gniewem i zazdrością, nie zbliżał się krokiem zwycięzcy. Szedł chwiejnie, z wahaniem, jakby po omacku, chociaż jako przewodniczkę miał powiernicę królowej, a jako cel samą królowę oczekującą pod drzewem. Gdy spostrzegł Marię Antoninę, wzruszenie i niepewność, które Charny zauważył, powiększyły się jeszcze.

Nieznajomy zdjął kapelusz i zamiótł nim prawie ziemię. Podchodził coraz bliżej, wreszcie wszedł w cień kłaniając się nisko i kilkakrotnie.

Zdziwienie pana de Charny zmieniło się w osłupienie, lecz po chwili ogarnęło go inne jeszcze wzruszenie, bardziej bolesne.

Czego królowa szuka o tak późnej godzinie w parku? Co tu robi ten mężczyzna? Dlaczego czekał w ukryciu? Dlaczego królowa posłała po niego swą towarzyszkę, a nie poszła doń sama? Charny tracił zmysły.

Nagle przypomniał sobie, że królowa zajmowała się w tajemnicy polityką, że miała stosunki z dworami niemieckimi, intrygi, o które król był zazdrosny i których surowo zabraniał.

Może tajemniczy ten kawaler był kurierem przysłanym z Schoenbrunn lub z Berlina; może był powiernikiem misji sekretnej, jednym z owych niemieckich polityków, których Ludwik XVI nie znosił na swym dworze od czasu, gdy cesarz Józef II pozwolił sobie podczas pobytu we Francji na krytyczny wykład filozofii i polityki dla użytku swego szwagra, króla arcychrześcijańskiego.

Ta myśl, jak okład z lodu przyłożony do rozpalonej głowy, ochłodziła biednego Oliwiera, przywróciła mu rozum i uśmierzyła pierwszy gniew, zwłaszcza że królowa w dalszym ciągu zachowywała postawą pełną, godności i umiaru.

Nieskazitelne wyobrażenia młodzieńca psuła trochę oddalona o trzy kroki towarzyszka, czujna i niespokojna jak wierna duenna z obrazu Watteau.

Niepokój był zresztą bardzo uzasadniony, boć równie jest niebezpieczne być przydybaną na schadzce miłosne, jak szkodliwe dać się złapać na schadzce politycznej; a nikt nie jest tak podobny do zakochanego jak spiskowiec. Obaj mają jednakowo szerokie płaszcze, jednakowo wrażliwe ucho i jednakowo niepewne nogi.

Charny miał mało czasu na głębsze przemyślenie dylematu, gdyż towarzyszka przerwała rozmowę. Kawaler zrobił ruch, jakby chciał paść do nóg, widocznie posłuchanie było skończone.

Charny skrył się za grubą pień; był przekonany, że przejdą koło niego, błagał więc duchy leśne, aby nakazały ciszę niebu i ziemi, sam zaś wstrzymywał oddech. W tej chwili zdawało mu się, że jakiś przedmiot jasny zsunął się z mantyli królowej; mężczyzna schylił się prędko, podniósł to i uciekł, gdyż inaczej nie można nazwać chyżości jego odejścia.

Ale towarzyszka królowej zatrzymała go w biegu.

— Czekaj pan! — zawołała stłumionym głosem.

Kawaler był nader posłuszny; zatrzymał się natychmiast.

Kobiety trzymając się pod ręce przeszły obok kryjówki Charny'ego. Poczł zapach perfum, których używała królowa — rezeda pomieszana z werweną — podwójne upojenie: dla zmysłów i dla wspomnień.

Kobiety przeszły i znikły.

Po chwili przeszedł nieznajomy, którym Charny w ostatnich minutach mniej się zajmował. Namiętnie całował różę zupełnie świeżą, pachnącą, zapewne tę samą, którą królowa wchodząc do parku trzymała w ręku i która przed chwilą z rąk jej wypadła.

Róża i namiętne pocałunki!... Gdzie tu legacje i tajemnice stanu?

Charny znów stracił zmysły. Chciał już rzucić się na nieznajomego, i wyrwać mu różę, gdy ukazała się towarzyszka królowej.

— Służę, Wasza Dostojność, chodźmy! — zawołała.

Charny pomyślał, że tajemniczym mężczyzną jest jakiś książę krwi i oparł się o drzewo, aby nie upaść na trawnik. (Nieznajomy pobiegł w kierunku głosu i zniknął z damą.)

LXVI. RĘKA KRÓLOWEJ

Charny nie miał już sił znieść nowego nieszczęścia; cios był zbyt mocny. Czyż po to Opatrzność sprowadziła go do Wersalu, dała mu tę uroczą i znakomitą kryjówkę, by rozpałić w nim zazdrość, by wskazać mu ślady zbrodni urągającej wszelkiej uczciwości małżeńskiej, wszelkiej godności królewskiej, wszelkiej wierności?...

Nie można już było wątpić: mężczyzna przyjęty w parku jest nowym kochankiem królowej.

Charny, rozgorączkowany i zrozpaczony, na próżno chciał wmówić w siebie, że kawaler, który otrzymał różę, był ambasadorem, a róża była tylko poręką tajnego układu, znakiem, mającym zastąpić kompromitujący list.

Nie było argumentu zdolnego przełamać podejrzenie! Oliwierowi nie pozostawało nic innego jak roztrząsać własne postępowanie. Dlaczego wobec tak wielkiego nieszczęścia pozostał bierny?

Po krótkim namyśle zrozumiał, że nakaz instynktu był słuszny.

„ W przełomowych momentach życia działamy instynktownie, to znaczy łącząc nawyki z rozważą; u ludzi dobrze zorganizowanych odbywa się to błyskawicznie i z determinacją. Charny nie działał, bo nie jego dotyczyły sprawy królowej, bo, okazując ciekawość, wydałby swą miłość, skompromitowałby władczynię i siebie samego, bo występując przeciwko zdrajcom, sam byłby zdrajcą. Był bierny, bo napadając człowieka zaszczyconego zaufaniem monarszym, wszczynałby nikczemną burdę, szykował niejako zasadzkę, czego królowa nigdy by mu nie wybaczyła.

Wreszcie wyrazy „Wasza Dostojność”, wypowiedziane przez usłużną towarzyszkę, były jakby zbawienną przestrogą, która, choć nieco spóźniona, wywiodła Charny’ego z błędu, ocaliła w chwili największego uniesienia.

Bo i cóż by się z nim stało, gdyby stanął naprzeciw owego nieznajomego ze szpadą w ręku i usłyszał, że tytułują go „Wysokością”? Jakiegoż ciężaru nabrałaby wina spadając z takiej wysokości!...

Pan de Charny miał się przez całą noc i połowę dnia następnego. Kiedy wybiło południe, nie był już w stanie myśleć, z gorączkową niecierpliwością czekał nadejścia nocy, która objawi może nowe, dalsze rewelacje.

Z ogromnym niepokojem usiadł biedny Charny przy oknie, które stało się dlań jedynym miejscem, zaczarowanym kręgiem życia. Obserwując go przez zieleń można by sądzić, że jest to stary portret, ukryty za firankami, jakie pobożna troskliwość potomków zarzuca w starożytnych zamczyskach na poźółkłe konterfekty antenatów.

Zapadł wreszcie zmrok i przyniósł wzburzonemu wartownikowi ponure żądze i myśli szaleńcze.

Znane szmery miały teraz dla niego nowe, niezwykle znaczenie; z dala ujrzał królowę, przechodzącą przez ganek i poprzedzaną przez kilku ludzi, niosących pochodnia — wydawało mu się, że królowa jest zamyślona, niepewna, przejęta niepokojem i wzruszeniem.

Powoli pogasły światła. Park zaległa cisza i słodycz. Zdawałoby się, że drzewa i kwiaty, które wysilają się we dnie, aby podobać się przechodniom i pieścić ich wzrok, w nocy, a gdy nikt ich nie widzi, starają się odzyskać swą świeżość, zapach i rzeźkość.

Charny pamiętał godzinę schadzki. Północ wybiła. Serce rozsadzało mu piersi.

Oparł się ciałem o balustradę, aby przytłumić bicie serca. Wkrótce — mówił w duchu — otworzy się furtka, skrzypną rygle...

Nic nie przerywało ciszy.

— Że też nie przyszło mi do głowy — pomyślał — że nie ma powodu, by te same zdarzenia miały powtarzać się w ciągu dwóch dni kolejnych. Nic w tej miłości nie było obowiązującego, jak tylko sama miłość, a jakąż to nieroztropność przywiązywać się tak do kogoś, żeby nie móc wytrzymać dwóch dni. Jeśli szła się w to wmiesza, tajemnica wyda się niechybnie.

— Tak, królowa nie narazi się dziś na wczorajszą nieostrożność.

Wtem zamek skrzypnął i drzwi się otworzyły. Bładość śmiertelna powlokła twarz Oliwiera.

— Musi nim być bardzo zajęta! — szepnęła.

Kobiety, podobnie jak wczoraj, przemknęły się obok domku.

Charny, także jak wczoraj, poszedł za nimi, kryjąc się za drzewami. Przysięgał sobie, że będzie ostrożny, silny i niewzruszony, że nie zapomni o tym, iż jest poddanym, a ona królową; iż jest mężczyzną, czyli obowiązującym do szacunku, a ona kobietą, czyli uprawnioną do względów.

A ponieważ nie dowierzał swemu porywczemu, łatwo zapalnemu charakterowi, odrzucił szpadę w kępę malw za kasztanem.

Kobiety zatrzymały się tam, gdzie wczoraj. Charny znów poznał królowę, która tak samo zakryła czoło kapturkiem, gdy tymczasem usłużna przyjaciółka oddaliła się, by przyprowadzić nieznanego.

Lecz gdzie on się ukrywał? Powiernica skierowała się do miejsca, gdzie za wysokim żywopłotem ukryty był pawilon zwany „łazienkami Apollina”. Lecz jakim sposobem mógł się tam schować obcy człowiek, którędy wchodził? Charny przypomniał sobie, że w tej części parku znajdowała się również mała furteczka, nieznanemu miał zapewne klucz od tych drzwi; tędy wślizgiwał się pod osłoną łazienek i czekał tam, aż po niego przyjdą. Widocznie tak było umówione, gdyż Jego Dostojność tamtędy też uciekał po schadzce z królową.

Po kilku chwilach Charny zobaczył wczorajszy kapelusz i płaszcz. Nieznajomy nie szedł już tak nieśmiało; stawiał ogromne kroki, nie śmiał biec, lecz gdyby szedł prędzej, byłby to już bieg.

Królowa usiadła na płaszczu, który rozpostarł dla niej pod drzewem ów nowy Raleigh, czujna zaś przyjaciółka trzymała straż jak i nocy poprzedniej. Rozkochany pan, ukłękawszy na murawie, z pośpieszną namiętnością rozpoczął wyznania.

Królowa widocznie pod wpływem melancholijnego sentymentu spuściła głowę. Charny nie rozeznawał słów kawalera, lecz w tonie ich wyczuwał poezję i uczucie. Każdą intonacją można było przełożyć na żarliwe oświadczenia.

Królowa nie odpowiadała, elokwencja nieznanego podwajała się. Chwilami zdawało się biednemu Oliwierowi, że słowa wibrujące harmonijną i pieszczotliwą pożądlivością, zadźwięczą z mocą, a wtedy skonałby z wściekłości i zazdrości — lecz nie, ilekroć głos się rozjaśniał, znaczący gest towarzyski na podsłuchach zmuszał płomiennego oratora do ściszenia tonu elegii.

Królowa milczała uparcie. Nieznajomy, popierając prośby nowymi zakłęciami — czego domyślał się Charny po rytmicznych akcentach i melodii słów — odbierał tylko słodkie potakiwanie milczenia, łaskę zbyt nikłą dla ust rozognionych, które zakosztowały już smaku miłości.

Nagle królowa wyrzekła słów kilka — tak się przynajmniej zdawało. Słowa te musiały być ciche, gdyż tylko nieznanomy je usłyszał, uniesiony radością i zachwytem.

— O dzięki ci, dzięki, moja najśłodsza, Najjaśniejsza Pani, a więc do jutra!...

Królowa zupełnie zasłoniła twarz.

Charny uczył zimny pot, który wielkimi kroplami spadał z jego czoła.

Królowa wyciągnęła obie ręce; nieznanomy chwycił je gorączkowo i złożył na nich pocałunek tak czuły i tak długi, że Charny przecierpiał wszystkie katusze, które okrutna ludzkość wykradła barbarzyństwu piekiel.

Królowa natychmiast wstała i podała ręką swej przyjaciółce; szybko przeszły koło posterunku Oliwiera. Nieznajomy oddalił się również i Charny, którego niewypowiedziany ból przykuł do miejsca, usłyszał równoczesne skrzyknięcie obu furtek.

Trudno opisać stan Charny'ego po tym strasznym odkryciu; przez całą noc biegał po parku wyrzucając alejom, że są współniczkami zbrodni. Oprzytomniał dopiero, gdy, biegnąc w zaślepieniu, upadł potknąwszy się o szpadę, którą odrzucił poprzednio z obawy, że jej użyje.

To ostrze, o które zawadził nogą, przypomniało mu nagle o jego godności, obudziło poczucie siły. Człowiek rozjątrzony i rozgorączkowany, gdy trzyma w ręku szpadę, może w obłąkaniu przebić nią siebie lub tego, który go obraził, nie może jednak być słaby. Z orężem w dłoni, Charny znów stał się sobą, człowiekiem mocnym i zrównoważonym. Przestał, biegać bezmyślnie po parku, lecz poszedł wprost do alei, tam gdzie widoczne były jeszcze ślady stóp obu kobiet i nieznajomego.

Obejrzał miejsce, na którym siedziała królowa. Mech jeszcze pomięty przyświadczył Oliwierowi i jego nieszczęściu a szczęściu innego. Lecz zamiast jęczeć i pozwolić sobie na nowy przypływ gniewu, Charny zastanowił się nad rodzajem tej ukrytej miłości i nad osobą, która tę miłość wzbudziła.

Przyglądał się z zimną rozważą śladom nieznajomego, jakby badał tropy drapieżnika. Znalazł drzwi za łazienkami Apollina, a wdrapawszy się na mur, ujrzał ślady kopyt końskich.

— Przybywa tędy — pomyślał Oliwier. — Przybywa z Paryża, nie z Wersalu. Przybywa sam, a i jutro przybędzie, skoro powiedziano: „Do jutra”. Do jutra więc trawić w sobie muszę nie lzy płynące z oczu, lecz krew tryskającą z serca. Jutro, to ostatni dzień mego życia, jeżeli nie jestem tchórzem i jeżeli kiedykolwiek kochałem.

— No, no — rzekł klepiąc się łagodnie po sercu, jak jeździec klepie rwącego rumaka — spokoju, bo próba się jeszcze nie skończyła.

To rzekłszy rozejrzał się raz jeszcze wokoło odwracając oczy od zamku, gdyż lękał się, że w oknach wiarołomnej królowej będzie światło, a światło to byłoby jeszcze jednym kłamstwem. Bo przecież oświetlony pokój, to pokój zamieszkały. Po cóż kłamać, gdy ma się prawo do bezwstydu i niesławy, kiedy tak mała jest przestrzeń między hańbą ukrytą a zgorszeniem publicznym.

Okno królowej było oświetlone.

— Udaje, że jest w domu, a wałęsa się po parku z kochankiem! Doprawdy zbyt skromność — rzekł Oliwier cedząc słowa z gorzką ironią.

— Ta królowa zbyt jest łaskawa tak się przed naradą tając. Prawda, może lęka się sprzeciwu męża.

Weiskając paznokcie w dłonie Charny równym krokiem pomaszerował do domu.

— Powiedzieli: „Do jutra” — dodał. — Tak, do jutra dla wszystkich, bo jutro będziemy na schadzce w czwórce, moja pani.

LXVII. KOBIETA I KRÓLOWA

Następnego dnia tok wydarzeń był taki sam: o oznaczonej godzinie, gdy północ wybiła, otworzyła się furtka i zjawiły się obie kobiety, punktualne niby duchy z opowieści arabskiej, posłuszne mocy talizmanu.

Charny powziął postanowienie dzisiejszej nocy poznać owego szczęśliwego mężczyznę, któremu królowa okazywała tyle względów. Wierny dotychczasowemu choć niezbyt staremu zwyczajowi, Charny szedł, kryjąc się za drzewami, lecz gdy doszedł do miejsca, w którym dwukrotnie spotykali się kochankowie, nie zastał nikogo.

Towarzyszka poprowadziła królowę w stronę łaźienek Apollina.

Straszliwy niepokój, nowe zupełnie cierpienie, o władnęły młodzieńcem. W niewinnej prostocie ducha nie wyobrażał sobie, że zbrodnia może posunąć się do takiej miary.

Królowa, śmiejąc się i szepcząc, podeszła do mrocznego schroniska, na progu którego czekał z wyciągniętymi rękami dostoyny nieznajomy.

Weszła podawszy mu ręce. Krata żelazna zamknęła się za nimi. Wspólniczka pozostała na zewnątrz, wsparta o złamaną kolumnę obrośniętą bluszczem.

Charny przeliczył się z siłami, takiemu nieszczęściu oprzeć się nie był w stanie.

W chwili, kiedy w przystępie wściekłości chciał rzucić się na powiernicę królowej, zdemaskować ją, poznać, zelżyć, zadusić może, fala krwi uderzyła mu do skroni; zachwiał się i upadł ze słabym jękiem, który zaniepokoił na chwilę wartę przy drzwiach łaźienek.

Na skutek otworzenia się rany Charny dostał krwotoku i stracił przytomność. Chłód rosy, wilgoć ziemi i dojmujący ból przywróciły go jednak do życia; wstał chwiejnie, poznał, gdzie się znajduje i dlaczego; przypomniał sobie wszystko.

Warta znikła, nie słychać było żadnego szmeru. Zegar, wydzwaniający drugą godzinę, oznajmił mu, że omdlenie musiało trwać długo.

Królowa, kochanek, powiernica zniknęli. Mieli dość czasu do uciezki. Charny, przechylwszy się przez mur, ujrzał ślady kopyt końskich. Te ślady i kilka połamanych gałęzi obok furtki łaźienek stanowiły dla Charny'ego dostateczny dowód. Noc była jednym pasmem cierpienia, a i ranek nie przyniósł spokoju. Błady jak trup, postarzały o lat dziesięć, Oliwier przywołał lokaja i kazał podać sobie czarne aksamitne ubranie.

W tym stroju zamożnego mieszczanina, ponury i zboląły, udał się do Trianon w godzinie zmiany straży, to jest około dziesiątej.

Królowa wychodziła właśnie z kaplicy po wysłuchaniu mszy. Szła, a po obu stronach zniżały się kornie głowy i szpady.

Charny zauważył, że niektóre damy czerwieniły się ze złości na widok urody królowej.

Z włosami zaczesanymi nad skronią i delikatnymi rysami twarzy była rzeczywiście piękna. Uśmiechała się, a oczy jej o nieco zmęczonym wyrazie świeciły łagodnym blaskiem.

Nagle przy końcu szpaleru spostrzegła pana de Charny. Zarumieniła się i lekko krzyknęła ze zdumienia.

Charny nie pochylał głowy; patrzył wprost w oczy królowej, która w jego wzroku wyczytała nową tragedię. Podeszła do niego.

— Sądziłam, żeś pan w swych dobrach, panie de Charny.

— Powróciłem już, Najjaśniejsza Pani — odparł krótko, prawie niegrzecznie.

Spojrzała na niego zdumiona; niuanse takie nigdy nie uchodziły jej uwagi. Po tej wymianie spojrzeń i słów prawie obelżywych, zwróciła się w stronę dam.

— Dzień dobry, hrabino — rzekła przyjaźnie do hrabiny de la Motte.
I mrugnęła do niej poufale.

Charny drgnął. Pilnie wpatrywał się to w jedną, to w drugą. Joanna, zaniepokojona taką natarczywością, odwróciła głowę. Charny obserwował ją jak obłąkany, aż znowu zobaczył jej twarz, następnie starał się przyjrzeć nieznajomej od stóp do głów i zapamiętać postawę.

Królowa, kłaniając się na prawo i lewo, nie spuszczała obojga z oczu.

— Biedny chłopak — pomyślała królowa — padło mu chyba na mózg.

I znowu do niego podeszła.

— Jak się pan miewa, panie de Charny? — zapytała słodkim głosem.

— Dziękuję, Najjaśniejsza Pani, bardzo dobrze, lecz, dzięki Bogu, gorzej aniżeli Wasza Królewska Mość...

Przy tych słowach skłonił się tak dziwnie, że królowa się przestraszyła.

— W tym coś jest — spostrzegła się Joanna.

— Gdzie pan obecnie mieszka? — zapytała znów królowa.

— W Wersalu — odparł Oliwier. — Od jak dawna?

— Od trzech nocy — odparł młody człowiek, kładąc na te słowa nacisk głosem i gestem.

Królowa nie zdradziła najmniejszego wzruszenia. Joanna drgnęła.

— Czy pan chciałby mi coś powiedzieć? — zapytała królowa z anielskim wyrazem twarzy.

— O, Najjaśniejsza Pani! — odparł Charny. — Zbyt wiele mam do powiedzenia Waszej Królewskiej Mości.

— Chodź pan! — zawołała ostro w odpowiedzi.

— Uwaga! — pomyślała Joanna.

Królowa szła szybkim krokiem do swych apartamentów. Charny, przejęty nie mniej niż ona, maszerował o krok za nią.

Pani de la Motte wydało się szczęściem, że królowa, chcąc pokazać, że nie pragnie rozmowy sam na sam, zaprosiła do siebie jeszcze kilka osób. Pomiedzy te osoby wśliznęła się Joanna.

Królowa weszła do saloniku i odprawiła panią de Misery i całą służbę.

Dzień był chmurny, lecz upalny; słońce nie mogło przedrzeć się przez woal obłoków.

Królowa otworzyła okno wychodzące na mały taras i siadła przy toaletce, na której leżał stos listów. Czekala.

Osoby, które jej towarzyszyły, zrozumiały, że królowa pragnie zostać sama i oddaliły się.

Charny niecierpliwym i gniewnym gniótł kapelusz w rękach.

— Mówże pan, mów — rzekła królowa. — Zdajesz się pan być wzruszony.

— Jakże tu zacząć? — rzekł Charny, jakby myślał głośno. — Jakże będę śmiało oskarżać honor, oskarżać wiarę, oskarżać majestat?

— Coś pan powiedział? — zapytała Maria Antonina, odwracając się szybko, z ogniem w oczach.

— A jednakże nic innego nie mogę powiedzieć, tylko to, com widział — mówił dalej Charny.

Królowa wstała.

— Panie — powiedziała szyderczo — wczesna godzina nie pozwala mi przypuszczać, żeś pan pijany; a jednak przybierasz pan taką postawę, która niezbyt przystoi szlachcicowi na trzeźwo.

Sądziła, że go zmiażdży tą lekceważącą apostrofą, lecz on, niewzruszony, mówił dalej:

— Do rzeczy! Czym właściwie jest królowa? Kobietą. A ja czym jestem? Mężczyzną, zarówno jak i poddanym.

— Panie!

— Najjaśniejsza Pani, tego, co mam powiedzieć, nie gmatwajmy gniewem, który skończyć się może na szaleństwie. Zdaje mi się, że zdążyłem już przekonać Waszą Królewską Mość o moim

szacunku dla monarszego majestatu, lękam się również, że zdążyłem przekonać kobietę o mojej bezrozumnej miłości do osoby królowej. A więc wybieraj, pani, jak chcesz, kogo z dwojga — królowę czy kobietę ma ten wielbiciel oskarżyć o hańbę i wiarołomstwo.

— Panie de Charny — zawołała blednąc Maria Antonina — jeżeli pan natychmiast stąd nie wyjdzie, każę cię wyrzucić mej straży.

— Ale zanim będę wypędzony, powiem, dlaczego jesteś, pani, występłą królową i kobietą bez czci — zawołał rozwścieczony Charny. — Od trzech dni śledzę cię co noc w parku!...

Zamiast wybuchnąć gniewem, jak się tego spodziewał Oliwier, królowa podniosła głowę, podeszła do niego i wzięła go za rękę.

— Panie de Charny — powiedziała spokojnie — przykro mi niewymownie, że widzę pana w takim stanie; oczy pańskie błyszczą złowrogo, ręce drżą, błąd jesteś... Cierpisz pan, może przywołać kogo?

— Widziałem panią, widziałem! — wołał. — Widziałem cię z tym mężczyzną, jakieś mu dała różę, jak on całował ci ręce i jakieś weszła z nim do łazienek Apollina.

Królowa ręką przetarła czoło, jakby chcąc przekonać się, że nie śni i rzekła:

— Siadaj pan, upadniesz, jeżeli cię nie podtrzymam. Siadaj... proszę!

Charny istotnie upadł na fotel, królowa zaś usiadła obok niego na taboreciku i trzymając go za rękę spojrziała przenikliwie.

— Uspokój się pan, utemperuj się, a potem powtórz raz jeszcze, coś powiedział.

— Chcesz mnie pana zabić? — szepnął nieszczęśliwy.

— Czekaj. Będę cię pytała. Kiedyś pan powrócił ze swych dóbr?

— Dwa tygodnie temu.

— Gdzie mieszkasz?

— Wynająłem domek łowczego.

— Ach, tak. „Wilczarnię”, dom samobójcy? Charny potwierdził gestem.

— Mówisz o mężczyźnie, któregoś widział ze mną?

— Mówię przede wszystkim o pani, którą widziałem.

— Gdzie?

— W parku.

— Kiedy? O której godzinie?

— Po raz pierwszy we wtorek, o północy.

— Widziałeś mnie pan?

— Jak w tej chwili. Widziałem też tę, która pani towarzyszyła.

— Towarzyszyła mi? Poznałyś pan tę osobę?

— Zdawało mi się tu przed chwilą, że ją tu widział, lecz twierdzić stanowczo nie mogę. Co do twarzy — wszakże zakrywa się ją, gdy się chce popełnić zbrodnię.

— Dobrze — odparła spokojnie królowa. — Nie poznałeś mojej towarzyszki, lecz mnie...

— O!... Najjaśniejsza Pani, ciebie widziałem. Królowa tupnęła niespokojnie.

— A ten towarzysz, któremu dawałam różę... przecież widziałeś pan, że mu dała różę?

— Tak... ten kawaler, nie mogłem go nigdy dogonić. — Znasz go pan?

— Tytułują go „Wasza Dostojność”, to jest wszystko, oo wiem o nim.

Królowa uderzyła się dłonią w Czoło.

— Mów pan dalej. We wtorek dałam różę... a we środę?..

— We środę dałaś, Najjaśniejsza Pani” obie ręce do ucałowania.

— Ach! — szepnęła, przygryzając wargi. — A wczoraj, to jest we czwartek?

— Wczoraj spędziłaś z nim półtorej godziny w grocie Apollina; towarzyszka pozostawiła was samych.

Królowa gwałtownie wstała.

— I pan widziałeś mnie? — spytała oddzielając każdą sylabę.

Charny podniósł jedną rękę, jak do przysięgi.

— Och, on przysięga! — zawołała z gniewem. — Przysięga! Charny uroczyście powtórzył gest.

— Mnieś pan widział, mnie? — zapytała uderzając się w piersi Maria Antonina.

— Tak, ciebie, pani. We wtorek miałaś, pani, suknię z mory zieloną w pasy złote, we śróde suknię niebieskordzawą. Wczoraj, wczoraj miałaś suknię jedwabną koloru feuille-morte, tę samą, którą nosiłaś wtedy, gdy po raz pierwszy rękę twoją całował. To byłaś ty, Najjaśniejsza Pani! Męczy mnie ból i wstyd, gdy przysięgam, lecz na życie moje, na honor, na Boga! To byłaś ty!

Królowa przechadzała się wielkimi krokami po tarasie, nie obchodziło ją, że z dołu obserwowano jej wzruszenie i niepokój.

— A jeśli przysięgnę — rzekła — jeśli przysięgnę na mego syna, na Boga... Przecież i ja mam Boga, jak ty...

Och, nie wierzy mi! Nie będzie wierzył! Charny pochylił głowę.

— Szaleńcze! — zawołała królowa, wstrząsając z energią jego ramię i pociągając go z powrotem do pokoju. — Widać wielką rozkoszą jest oskarżać niewinną kobietę, kobietę bez zarzutu; widać jest niemałym zaszczytem zniesławiać królowę.

Czy uwierzysz, skoro ci powiem, że nie mnie widziałeś? Czy uwierzysz, kiedy przysięgnę na Boga, że od trzech dni po czwartej godzinie nie wychodziłam? Czy chcesz, abym ci dowiodła przez moje damy i przez króla, że byłam w domu, a nie gdzie indziej? Nie, nie wierzy, nie chce uwierzyć.

— Widziałem — odparł chłodno Charny.

— A, wiem już, wiem! — zawołała nagle królowa. — Przecież już raz spotkała mnie podobna potwarz. Czyż nie widziano mnie na balu Opery? Cały dwór był zgorszony! Czyż nie widziano mnie u Mesmera w konwulsjach, gdy m gorszyła pospólstwo i kokoty? Wiesz dobrze o tym ty, który biłeś się za mnie!

— Najjaśniejsza Pani, biłem się wówczas, gdyż nie wierzyłem, dziś gotów byłbym bić się, ponieważ wierzę.

Królowa z rozpaczą wyciągnęła ręce ku niebu; dwie duże łzy stoczyły się jej z policzków na łono.

— Boże mój — rzekła — natchnij mnie myślą, która by wyratowała mnie. Nie chcę, o Boże, żeby on mną pogardzał!

Ten akt strzelisty wzruszył Charny'ego. Rękami zasłonił sobie oczy.

Królowa milczała przez chwilę.

— Panie de Charny — powiedziała wreszcie — winienes mi satysfakcję. Zrobimy tak: trzy noce z rzędu widywałeś mnie w parku z jakimś mężczyzną. Wiesz jednak, że już nadużywano nadzwyczajnego do mnie podobieństwa, że kobieta jakaś, nie wiem jaka, ma w twarzy i ruchach coś podobnego do mnie, nieszczęśliwej królowej; lecz jeżeli pan wolisz wierzyć, że to ja włóczyłam się po nocy w parku, idź jeszcze raz do parku o tej samej godzinie, wracaj tam razem ze mną. Jeżeli to ja byłam na schadzce, nie znajdziesz mnie, bo wszakże będę z tobą; jeżeli to była inna kobieta — zobaczymy ją. A jeżeli ją zobaczymy, panie, czyż nie będziesz żalować, żem tak przez ciebie cierpiała?

Charny przycisnął ręce do serca i rzekł:

— Zbyt łaskawa jesteś, Najjaśniejsza Pani, zasługuję na śmierć. Wasza Królewska Mość zabija mnie swą dobrocią.

— Och, dam panu dowody! — zawołała królowa. — Nikomu ni słowa z naszej rozmowy! Dziś, o dziesiątej wieczór, oczekuj mnie pan przy domku łowczego... Przyjdę, aby cię przekonać o pomyłce. Żegnam pana... Nie daj nic poznać po sobie!

Charny przykleknął w milczeniu i wyszedł. W końcu drugiego salonu minął Joannę, która pożerała go wzrokiem.

LXVIII. KOBIE TA I SZATAN

Joanna zauważyła zmieszanie Charny'ego, niezwykłą troskliwość królowej i skwapliwość obojga do rozmowy.

Dla kobiety tego pokroju było to dostateczne dla domyślenia się wielu rzeczy; nie mamy potrzeby dodawać tego, co każdy już rozumiał. Po spotkaniu zaaranżowanym przez Cagliostro między Joanną a Oliwii komedia trzech ostatnich nocy nie wymaga komentarzy.

Gdy Joanna weszła do pokoju królowej, śledziła i słuchała uważnie, chciała bowiem z twarzy Marii Antoniny wyczytać dowody tego, co podejrzewała.

Lecz królowa nauczyła się nie ufać nikomu i nie dawała nic poznać po sobie. Joanna musiała więc poprzestać na domysłach. Poleciała jednemu ze swych lokai iść za panem de Charny; wkrótce służący powrócił z wiadomością, że pan hrabia znikł w domku przy końcu parku obok szpaleru z grabiny.

— To więcej jak pewne — pomyślała Joanna. — To człowiek zakochany i wszystko widział.

Usłyszała, gdy królowa rzekła do pani Misery: „Czuję się dziś niedobrze, położę się o ósmej”.

Dama dworu nalegała, ale królowa odparła: „Nie przyjmę nikogo”.

— To jasne — pomyślała Joanna — tylko idiotka nie rozumiałaby.

Królowa wzruszona przejściem z panem de Charny wkrótce odprawiła wszystkich. Joanna po raz pierwszy była z tego zadowolona.

— Karty się pomieszały — rzekła w duchu do siebie. — Muszę prędko jechać do Paryża, pora zepsuć to, co zmajstrowałam.

I zaraz opuściła Wersal. Przybywszy do domu na ulicę Saint-Claude, znalazła wspaniałe srebro dopiero co przysłane od kardynała. Podarunek był wysokiej ceny, ale Joanna, ledwie rzuciwszy nań okiem, spojrzała zza firanki w okno Oliwii. Ta spała, widocznie znużona, było bardzo gorąco.

Joanna udała się do kardynała; zastała go promieniejącego, nadętego i hardego z radości i dumy. Siedział przy biurku, arcydziele Boule'a, pisał, darł i przepisywał list, który ciągle jednakowo zaczynał, by nigdy nie skończyć. Gdy zameldowano hrabinę, Jego Eminencja zawołał:

— Droga hrabino!

I pośpieszył na jej spotkanie.

Hrabina, pozwoliwszy wycalować się po rękach i ramionach, wygodnie usiadła w fotelu chcąc dyplomatycznie poprowadzić rozmowę. Kardynał zaczął od zapewnień wdzięczności, w których nie zabrakło szczerości krasomówcy.

Joanna przerwała mu:

— Wiesz pan, że jesteś bardzo delikatnym kochankiem, za co ci dziękuję.

— Dziękujesz, pani?

— Nie dziękuję za wspaniały prezent, który otrzymałam dziś rano, lecz dziękuję, żeś nie posłał go do małego domku. To rzeczywiście bardzo delikatnie, pan nie frymarczy sercem.

— Komu należy się pochwała za delikatność, jeżeli nie pani?... — odparł kardynał.

— Kardynale, pan nie jest szczęśliwym człowiekiem, pan jest bogiem triumfującym.

— Tak i mnie się zdaje; szczęście przestrasza mnie i przeszkadza mi. Nie mogę patrzeć na innych mężczyzn. Przypominam sobie tę baśń pogańską o Jowiszu znużonym swymi promieniami.

Joanna uśmiechnęła się.

— Przybywasz pani z Wersalu?
— Tak, Eminencjo.
— Widziałaś ją?
— Opuściłam ją w tej chwili...
— Nie mówiła nic? — Cóż miała mówić?!
— Wybacz, pani... przemawia przez usta moje nie ciekawość, lecz szal...
— Nie pytaj pan o nic.
— Słowa pani zdają się oznajmiać jakąś niedobłą nowinę.
— Wasza Eminencjo, nie wymagaj, abym mówiła.
— Hrabino! Hrabino! — zawołał blednąc kardynał. — Zbyt wielkie szczęście podobne jest do kulminacyjnego punktu koła fortuny; od samego szczytu zaczyna się upadek. Nie oszczędzaj mnie, pani, jeżeli jest jakieś nieszczęście... Ale wszakże go nie ma?...
— Przeciwnie, księżę, nazwałabym to szczęściem — odparła Joanna.
— To? Cóż takiego? Co chcesz powiedzieć? Co jest szczęściem? — dopytywał się kardynał.
— To, że was nie odkryto — odparła sucho Joanna.
— O! — rzekł kardynał, śmiejąc się. — Przy odpowiedniej ostrożności, przy pojętności dwóch serc i jednego rozumu...
— Jeden rozum i dwa serca nie mogą przeszkodzić oczom zazierającym przez liście.
— Widziano nas? — zawołał wystraszony kardynał de Rohan.
— Mam wszelkie prawo tak przypuszczać.
— Więc... skoro widziano, poznano niezawodnie.
— O, tego nie przypuszczam. Gdyby was poznano, gdyby tajemnica wiadomą była komukolwiek, to Joanna Walezjanka byłaby teraz na końcu świata, a pan, pan powinieneś już nie żyć.
— To prawda, lecz, hrabino, tajemniczość twoja smaży mnie na wolnym ogniu. Przypuszczam, że widziano... No, ale nic innego jak ludzi, przechadzających się po parku. Czyż to jest zabronione?
— Zapytaj pan króla!
— Król wie?
— Gdyby król o tym wiedział, znajdowałbyś się pan w Bastylii, ja zaś w szpitalu, ale ponieważ uniknięcie nieszczęścia równa się podwójnemu szczęściu, przybyłam uprzedzić pana, że nie wolno raz jeszcze ryzykować i kusić Boga.
— Co pani mówi? — zapytał kardynał. — Co to ma znaczyć, hrabino?
— Nie rozumie pan?
— Boję się.
— Ja zaś bałabym się, gdybyś mnie pan nie uspokoił.
— Więc co robić?
— Nie jeździć do Wersalu. Kardynał zachnął się.
— W dzień, nieprawda? — rzekł z uśmiechem.
— Po pierwsze we dnie, po drugie w nocy. Kardynał de Rohan drgnął, puścił rękę hrabiny i rzekł:
— Nie mogę!
— Moja kolej patrzeć ci w oczy... Powiedziałaś pan zdaje się: „Nie mogę”. Czego pan nie możesz?... Dlaczego?..
— Dlatego, że w sercu moim żyje miłość, która tylko razem z życiem moim zginie.

— Widzę to — rzekła z ironią w głosie hrabina. — Aby zaś prędzej zginąć, chcesz pan powrócić do parku! Tak, jeśli pan tam się uda, miłość twa zginie razem z życiem; życie i miłość przetnie tylko jedno uderzenie...

— Cóż za strachy, odważna hrabino?

— Jestem odważna jak zwierzę. Nie boję się, póki nie widzę niebezpieczeństwa.

— Ja zaś mam odwagę mego rodu. Jestem szczęśliwy dopiero w obliczu niebezpieczeństwa.

— Dobrze, lecz w takim razie pozwólże sobie powiedzieć..

— Nie, hrabino — zawołał zakochany prałat. — Poświęcenie zrobione, los rzucony. Chętnie życiem przypłacę miłość. Jadę do Wersalu!

— Sam jeden? — zapytała hrabina.

— Opuścisz mnie, pani? — rzekł z wyrzutem w głosie kardynał de Rohan.

— Ja pierwsza!

— Lecz ona przybędzie?

— Mylisz się pan... ona nie przybędzie.

— Pani przysłała, aby mi to oznajmić? — zapytał kardynał drętwiejąc.

— To jest cios, który od pół godziny staram się złagodzić.

— Nie chce mnie już widywać?

— Nie chce, a ja jej to poradziłam...

— Pani — rzekł kardynał głosem zbolałym — ładnie topić nóż w sercu tak czułym jak moje?

— Bardziej nieładnie byłoby, księżę, gdybym z braku dobrej rady doprowadziła do zguby dwie zbłąkane istoty. Uprzedzam, niechaj skorzysta, kto zechce.

— Wolałbym umrzeć, hrabino!

— To rzecz łatwa i od pana tylko zależy!

— Umrzeć, żeby tylko umrzeć — rzekł kardynał ponuro — wolę los potępieńca. Niech będzie błogosławione piekło, gdzie znajdę moją współniczkę.

— Świętobliwy księżę, bluźnisz — przerwała hrabina — poddany — strącasz z tronu królowę, mężczyzno — gubisz kobietę.

Kardynał chwycił hrabinę za rękę i rzekł: — Przyznaj, królowa nie mówiła tego! Królowa nie wyrzeka się mnie!

— Mówię to w jej imieniu.

— Królowa żąda tylko zwłoki?

— Możesz pan i tak rozumieć, lecz szanuj jej rozkaz.

— Wszak nie tylko w parku można się widywać; mnóstwo jest miejsc pewniejszych... wreszcie królowa była też u ciebie, hrabino.

— Mości księżę, ani słowa więcej! Dźwigam na sobie ciężar śmiertelny — twoją tajemnicę! Jak długo mam ją nosić? Czego nie dokona twoja nieostrożność, ludzka niedyskrecja, przypadek lub złość, tego dokonać mogą wyrzuty sumienia. Słuchaj, ona zdolna jest w przystępie rozpaczy wyznać wszystko królowi...

— Boże mój! Czyż to możliwe? — zawołał kardynał de Rohan.

— Gdybyś ją widział, zlitowałbyś się nad nią. Kardynał wstał.

— Co począć? — zapytał.

— Dać jej pociechę milczenia.

— Pomyśli, że o niej zapomniał. Joanna wzruszyła ramionami.

— Obwini mnie o nikczemność!

— O nikczemność dla jej ocalenia? Nigdy!

— Czy kobieta przebacza to, że można obejść się bez jej widoku?

— Nie sądź o niej tak, jak o mnie czy innych.

— Sądzę, że jest wielka i silna. Kocham ją za jej odwagę i jej szlachetność serca. Może więc liczyć na mnie, jak i ja na nią liczę. Zobaczę ją raz jeszcze; powiem, co myślę, a co ona potem postanowi, wypełnię jak święte śluby!

Joanna wstała.

— Jak się panu podoba — rzekła. — Idź, lecz sam. Klucz od parku rzuciłam do Sekwany. Jedź pan do Wersalu, ja zaś wyjadę do Holandii lub do Szwajcarii. Im dalej będę od bomby, tym mniej mogę się obawiać wybuchu.

— Hrabino, ty mnie opuścisz, ty mnie zostawisz? Ależ z kim będę o niej rozmawiał?

Joannie przypomniała się scena z Moliera. Nigdy głupszy Walery nie podsuwał chytrzejszej Dorynnie bardziej dogodnych odpowiedzi.

— Zostanie panu park i echo — powiedziała. — Nauczysz je pan imienia Amaryllis.

— Hrabino, miejże litość! Jestem w rozpacz! — zawołał kardynał z głębi serca.

— A zatem — odparła Joanna z grubiańską energią chirurga, który naznacza amputację — jeżeli pan jesteś w rozpacz, panie de Rohan, nie baw się pan w dzieciństwa bardziej niebezpieczne niż proch, niż pomór, niż śmierć. Jeżeli ci do tego stopnia zależy na tej kobiecie, zachowaj ją, zamiast gubić; jeżeli nie brak ci serca i rozumu — nie wciągaj za sobą w przepaść tych, którzy okazywali ci tyle przyjaźni. Ja nie mogę igrać z ogniem. Przysięgnij mi, że nie będziesz się starał widzieć królowej. Tylko widzieć — wcale nie mówię, że nie będziesz za parę tygodni z nią rozmawiał! Jeżeli przysięgniesz, zostanę i nadal będę ci służyć. Jeżeli zaś wszystko postawić chcesz na kartę, wyjeżdżam za dziesięć minut, a wtedy radź sobie jak potrafisz.

— To straszne — jęknął kardynał. — Ten cios mnie przygniata. Och, to mnie zabije!

— No, no — szepnęła Joanna — kochałeś się tylko z miłości własnej.

— Dziś kocham z... miłości! — odparł.

— Musisz więc dziś cierpieć — rzekła Joanna — taka kolej rzeczy. No, mości księżę, decyduj się, mam zostać, czy jestem w drodze do Lozanny?

— Zostań, hrabino i znajdź dla mnie lekarstwo. Rana jest zbyt bolesna.

— Przysięgasz mi posłuszeństwo?

— Słowo Rohana.

— Dobrze, mam środek uspokajający: nie wolno widywać się, lecz wolno pisywać!

— Naprawdę?! — zawołał uradowany kardynał. — Będę mógł otrzymywać od niej listy?

— Napisz pan.

— A ona odpisze?

— Postaram się o to.

Kardynał okrywał pocałunkami ręce Joanny, nazywając ją swoim aniołem opiekuńczym. Śmiać musiał się do rozpuku szatan, zamieszkały w sercu hrabiny.

LXIX. NOC

Tegoż dnia około godziny czwartej po południu jakiś jeździec zatrzymał się na skraju parku.

Przyjechał widocznie dla przyjemności, gdyż zamyślony jak Hipolit i jak Hipolit piękny rzucił cugle na kark rumaka i jechał stępa. Zatrzymał się w miejscu, w którym od trzech dni osadzał konia pan de Rohan. Grunt tutaj zdeptyany był kopytami, a trawa wypasiona. Jeździec zsiadł z siodła i zbliżył się do muru.

— Oto są ślady wdrapywania się; oto drzwi niedawno otwierane; wszystko jest tak, jak myślałem. Kto wojował w stepach Savannah, musi znać się na tropach.

— Dwa tygodnie już upłynęły, jak powrócił pan de Charny, lecz od dwóch tygodni nikt go nie oglądał... Oto drzwi, których użył, by wejść do Wersalu.

Przy tych słowach jeździec westchnął głośno, ujawniając rozpacz.

— Zostawmy bliźniemu jego szczęście — szepnął, przyglądając się uważnie wymownym śladom na trawniku i na murze. — Co Bóg daje jednym, tego innym odmawia. Bądź wola Twoja.

— A jednakże potrzeba mi dowodów... Za jaką cenę, jakim sposobem je uzyskać?... O, to bardzo proste! Podczas nocy, wśród krzaków trudno będzie odkryć ukrytego obserwatora... tej nocy będę czekał wśród zarośli.

Jeździec wskoczył na siodło i niespiesznie odjechał.

W tym czasie Charny, posłuszny rozkazom królowej, zamknął się w domu i oczekiwał wiadomości.

Nadeszła noc, lecz żadnej zmiany nie przyniosła.

Wybiło wpół do jedenastej. Nikt się nie zjawił. Widocznie królowa zakpiła sobie lub w pierwszej chwili oszołomiona i zawstydzona przyrzekła to, czego dotrzymać nie mogła; i, o zgrozo, obiecała — wiedząc, że nie dotrzyma.

Charny ze zwykłą u ludzi zakochanych podejrzliwością wyrzucał sobie, że był tak łatwowierny.

— Jakże mogłem — zawołał — uwierzyć kłamstwu, jakże mogłem, kiedy widziałem na własne oczy, poświęcić niezbitą pewność złudnej nadziei!

Z wściekłością zawodu przeżuwał tę złowrogą myśl, gdy nagle dobiegł go szmer jakiś, jakby ktoś garścią piasku rzucił w okno od strony parku.

Kobieta w szerokiej czarnej mantyli stała wśród krzewów i zwracała ku niemu twarz bladą i niespokojną.

Nie mógł powstrzymać krzyku radości i żalu. Kobieta, która nań czekała, kobieta, która go przywołuje, to królowa!

Jednym skokiem, znalazł się w parku przy Marii Antoninie.

— Ach, jesteś pan! To dobrze — szepnęła wzruszona. — Cóż pan robił?

— To ty, pani! Czyż to możliwe? — zawołał Charny, padając na kolana.

— A więc tak mnie oczekiwałeś?

— Czekałem od strony ulicy, Najjaśniejsza Pani.

— Ależ, po co miałam przychodzić tamtędy, kiedy przez park daleko bliżej.

— Nie śmiałem przypuszczać, że raczysz przyjść, pani — odparł Charny z odcieniem namiętnej wdzięczności w głosie.

— Nie możemy tu zostać — przerwała — zbyt tu jasno. Masz pan szpadę?

— Mam.

— Dobrze! Którędy weszli ludzie, których pan widziałeś?

— Tymi drzwiami...

— O której godzinie?

— O północy.

— Należy więc przypuszczać, że i dzisiaj przyjdą; wszak nie wspominałeś pan nikomu?

— Nikomu.

— Wejźmy w gęstwinę i czekajmy.

Królowa dość szybkim krokiem skierowała się w stronę lasu.

— Pojmujesz pan chyba — rzekła po chwili, jakby odgadując myśli pana de Charny — że nie opowiedziałam tej historii, panu ministrowi policji. Od czasu jak poskarżyłam się, powinien był pan de Crosne wymierzyć mi już sprawiedliwość. Jeżeli osoba jakaś, która wykorzystuje moje imię i podobieństwo do mnie, nie została dotąd aresztowana, jeżeli cała ta tajemnicza sprawa nie została jeszcze wyświetlona, to albo z powodu niedołęstwa pana de Crosne, albo też dlatego, że pan de Crosne jest w zмовie z moimi wrogami. Nikt nie odważyłby się w moim parku odgrywać bezecnej komedii, o której pan mówiłeś, gdyby nie miał pomocy bezpośredniej lub co najmniej domyślnego współudziału. A więc ci, co popełnili przestępstwo, są dość niebezpieczni i sama muszę podjąć starania o zdemaskowanie ich. Co pan o tym sądzisz?

— Pozwól, Najjaśniejsza Pani, abym nic nie mówił. Jestem w rozpacz. Nie mam już podejrzeń, lecz nie opuszcza mnie obawa.

— Pan jesteś przynajmniej uczciwym człowiekiem! — zawołała królowa, — Masz pan odwagę w oczy powiedzieć, co myślisz. Jest to zaleta, która ranić może niewinnych, ale takie rany się goją.

— Pani! Bije jedenasta; truchleję.

— Idź, przekonaj się pan, czy nie ma nikogo — rzekła królowa, chcąc pozbyć się towarzysza. Charny posłusznie obszedł lasek aż do muru.

— Nie ma nikogo — rzekł powróciwszy.

— Gdzie odbywała się scena, o której mi pan mówiłeś?

— Najjaśniejsza Pani, gdym wracał ze zwiadu w parku, straszna boleść ścisnęła mi serce: spostrzegłem cię w miejscu, gdzie przez trzy noce z rzędu... widziałem fałszywą królową Francji.

— Tutaj? — spytała królowa, odchodząc ze wstrętem ze swego miejsca.

— Tak, pani, tu pod tym kasztanem!

— Chodźmy więc stąd; skoro trzy razy tu się schodzili, to i dziś tu powrócą.

Charny poszedł za królową; serce biło mu tak głośno, że obawiał się, iż zgłuszy skrzyp otwierających się drzwi.

Królowa milcząca i dumna oczekiwała dowodu — dla okazania swej niewinności.

Północ wybiła... Drzwi się nie otwierały.

Upłynęło jeszcze pół godziny. Maria Antonina co chwila dopytywała się, czy oszuści zjawiali się punktualnie.

Trzy uderzenia zegara na wieży kościoła św. Ludwika obwieszczały za kwadrans pierwszą.

Zniecierpliwiona królowa tupnęła nogą.

— Zobaczysz pan, że dziś nie przyjdą... — rzekła. — Takie nieszczęście tylko mnie może się zdarzyć.

Przy tych słowach spojrzała na Charny'ego, jakby chciała się z nim pokłócić, jeśli zauważy w oczach jego oznaki triumfu lub ironii. Jednakże Charny, w miarę jak wracały podejrzenia, stawał się coraz bardziej poważny, smutniał i bladł — wreszcie na twarzy jego osiadł wyraz melancholijnej cierpliwości, właściwej męczennikom i aniołom.

Królowa wzięła go za rękę i poprowadziła pod kasztan, gdzie pierwzej zatrzymali się.

— Mówisz pan — spytała cicho — że to było tutaj?

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani.

— Tu dała mu różę?

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

Królowa była tak słaba, tak zmęczona tym oczekiwaniem w wilgotnym parku, że oparła się o drzewo, a głowę pochyliła na piersi. Nogi jej ugięły się, usiadła, a raczej osunęła się na trawę. Charny nie podał jej ręki, stał ponury i nieporuszony.

Królowa ukryła twarz w dłoniach i Charny nie spostrzegł łez, które przeciekły między długimi, białymi palcami. Nagle podniosła głowę.

— Ma pan słuszość — powiedziała — jestem potępiona. Obiecałam dać dowód, żeś mnie oczemil; Bóg jednak nie chciał tego, poddaję się więc...

— Najjaśniejsza Pani — szepnął Oliwier.

— Zrobiłam to — mówiła dalej — czego nie zrobiłaby żadna kobieta. Nie mówię o królowej. O, panie, jakąż władzę ma królowa, skoro nie może zapanować nad jednym tylko sercem! Czym jest królowa, kiedy nie może zasłużyć sobie na szacunek uczciwego człowieka! No, panie, pomóż mi przynajmniej podnieść się, abym mogła odejść, nie pogardzaj mną do tego stopnia, byś odmówić miał podania mi ręki.

Charny oszalały padł przed nią na kolana.

— Pani — rzekł uderzając czołem o ziemię. — Gdybym nie był nieszczęśliwcem, który cię kocha, przebaczyłabyś mi, prawda?

— Pan — zawołała gorzko królowa — pan mnie kochasz, a myślisz, żeś pozbawiona czci! Ty, który przecież masz rozum, oskarżasz mnie, żeś tutaj dała kwiat, tam pocałunek, tam jeszcze miłość innemu mężczyźnie! O, nie kłam pan przynajmniej. Pan mnie nie kochasz!

— Pani, tu, gdzie siedzisz, widziałem widmo, widmo zakochanej królowej, tu, gdzie ja jestem, było widmo kochanka. O pani! Wydrzyj mi serce, bo te dwa obrazy piekielne żyją w nim, pożerają je.

Królowa wzięła go za rękę, przyciągnęła do siebie z uniesieniem.

— Widziałeś... słyszałeś... to ja byłam... ja... — rzekła głosem przytłumionym. — Tak, to ja byłam, nie szukaj już więcej. No... jeżeli na tym miejscu, pod tym samym kasztanem siedziałam jak teraz siedzę, a ty kłęczysz u nóg mych jak tamten, jeżeli ściskam twą rękę, przyciągam cię do mej piersi i biorę w objęcia, czy uwierzysz, że tak samo pieściłam tamtego? Jeżeli twierdzisz, że mówiłam to samo tamtemu, to powiem ci, panie de Charny, że kochałam, Kocham i Kochać będę tylko jednego człowieka na świecie... a tym jednym jesteś ty!... Mój Boże, mój Boże! Czy to wystarczy, aby cię przekonać, że nie może być bezcną ta, w której sercu żyje podobna miłość?

Charny jęknął jak człowiek konający. Oddech królowej upajał go, jej gorąca ręka parzyła, dotknięcie jej piersi przyprawiało go o szaleństwo.

— Pozwól mi podziękować Bogu — szepnął. — Gdybym nie myślał o Bogu, za wiele myślałbym o tobie.

Królowa wstała powoli patrząc na łzy Charny'ego.

— Czy chcesz mego życia? — zapytał na wpół przytomny. Królowa, nie przestając wpatrywać się w niego, milczała.

— Podaj mi rękę — odezwała się wreszcie — i prowadź wszędzie, gdzie oni byli. Najpierw tutaj... tu, gdzie dano różę.

Odpięła od gorsu różę, rozgrzaną przepalającym ją żarem.

— Weź ją!

Powąchał, ucałował kwiat i przycisnął do piersi.

— Tu — mówiła dalej królowa — tamta podała rękę do pocałowania.

— Obie ręce! — zawołał upojony Charny i ukrył twarz w gorących dłoniach królowej.

— Więc i to miejsce zostało oczyszczone — powiedziała królowa z łagodnym uśmiechem.

A potem poszli do łazienek Apollina.

Charny, jakby niebo zważyło mu się na głowę, zatrzymał się przerażony, osłupiał.

— Chodzę tam zwykle tylko w dzień — mówiła — lecz obejrzyjmy drzwi, którymi uciekał ów kochanek królowej.

Promienna, radosna, uwieszona u ramienia najszcześliwszego z ludzi, którym Bóg kiedykolwiek błogosławił, lekkim krokiem, prawie biegnąc przebyła trawnik i zatrzymała się u furtki, za którą widoczne były ślady kopyt końskich.

— Tędy — rzekł Charny.

— Mam wszystkie klucze — rzekła królowa. — Otwieraj, panie de Charny, przekonamy się.

Wyszli i pochyłili się nad śladami.

Błady promień księżyca rozświetlił piękną twarz królowej, która wsparta na ramieniu Charny'ego zwiędzała otaczające ich krzaki.

Kiedy obejrzała już wszystko dokładnie, przyciągnęła kawalera do siebie. Drzwi łazienek Apollina zamknęły się. Wybiła druga.

— Do widzenia — powiedziała kobieta. — Wracaj do siebie... Do jutra!

Skinęła mu w milczeniu ręką i przez szpalery grabiny pobiegła w kierunku pałacu.

Między krzewami przy furtce podniósł się jakiś mężczyzna i zniknął w kępie przydrożnych drzew.

Mężczyzna ów odchodząc zabierał tajemnicę królowej.

LXX. POŻEGNANIE

Królowa uśmiechnięta i piękna udała się na mszę. Straż otrzymała rozkaz wpuszczania wszystkich. Była niedziela i Jej Królewska Mość obudziwszy się oświadczyła:

— Jaki piękny dzień, jak dobrze jest żyć!

Z większą niż zwykle przyjemnością zeszła do parku odetchnąć wonią ulubionych kwiatów, rozdzieliła hojniejsze niż zazwyczaj podarki, bardziej niż kiedykolwiek śpieszyła ofiarować swą duszę Bogu.

Mszy wysłuchała nader uważnie, nigdy nie schylała tak nisko swej dostojnej głowy.

Kiedy królowa modliła się żarliwie, mnóstwo ludzi, jak zawsze w niedzielę, ustawiało się przy drodze od kaplicy do apartamentów; nawet w przedpokojach i na klatce schodowej panował nieopisany tłok.

Wśród dam hrabina de la Motte wyróżniała się wytworną skromnością stroju; na prawym skrzydle dwuszeregu, jaki uformowali panowie zacnego rodu, stał hrabia de Charny, któremu wieszowano wyzdrowienia, powrotu i wesołego oblicza.

Aromat łaski jest tak subtelny, tak łatwo roznosi się w powietrzu, że woń tę znawcy potrafią rozpoznać, określić i ocenić na długo przed otwarciem kadzielniczki. Przed sześciu dopiero godzinami Oliwier zdobył łaski królowej, a już cały świat pragnął zaliczyć się do przyjaciół Oliwiera.

Całe lewe skrzydło szpaleru zwinęło się i rozpięchło, wszyscy zbiegli się wokół młodzieńca, by okazać mu swe rewerencje.

Oliwier przyjmował powinszowania z wyrażeni człowieka upojonego szczęściem, gdy nagle, wodząc oczami po otaczającej go grupie, spostrzegł w pewnym oddaleniu twarz bladą i posępną mężczyzny, który nie podzielał ogólnego ożywienia. Stał chmurny, w mundurze zapiętym na wszystkie guziki, z dłonią na rękojeści szpady.

Był to Filip de Taverney.

Od czasu gdy Taverney złożył grzecznościową wizytę ranionemu w pojedynku przeciwnikowi, od czasu zaanektowania Charny'ego przez doktora Louis, między rywalami nie było żadnych kontaktów.

Na widok Filipa, spoglądającego spokojnie, bez specjalnej uprzejmości ale i bez wrogości, Charny uklonił się i otrzymał w odpowiedzi powściągliwy ukłon. Oliwier precyzyjnie się wówczas przez gromadkę otaczających go panów mówił:

— Przepraszam, panowie, pozwólcie mi spłacić dług grzeczności.

I podszedł wprost do Filipa, który nie poruszył się z miejsca.

— Panie de Taverney — rzekł z wyszukaną grzecznością — zobowiązany jestem podziękować ci za troskliwość, jaką raczyłeś pan okazać o moje zdrowie, nie mogłem wcześniej, przyjechałem wczoraj dopiero.

Filip spojrział na niego, zarumienił się i spuścił oczy.

— Będę miał honor — mówił dalej Charny — złożyć panu jutro wizytę i spodziewam się, że nie żywisz pan do mnie urazy.

— Bynajmniej, panie — odpowiedział Filip.

Charny wyciągnął rękę do Filipa, gdy nagle odgłos bębna oznajmił nadejście królowej.

— Królowa, panie — rzekł powoli Filip jakby nie dostrzegając przyjacielskiego gestu Oliwiera. I słowa te przypieczerował ukłonem bardziej melancholijnym niż zimnym.

Charny zdumiony wrócił na prawą stronę. Filip pozostał na miejscu.

Królowa nadchodziła niefrasobliwa, rozdzielając uśmiechy, przyjmując prośby i wypatrując Charny'ego a gdy zobaczyła go z daleka, nie spuściła już z niego oczu z tą zuchwałą śmiałością w okazywaniu przyjaźni, którą nieprzyjaciele nazywali bezwstydem.

Przechodząc odezwała się głośno:

— Proście, panowie, proście, nie zdołam dziś odmówić żadnej suplice.

Ton i znaczenie tych słów przejęły Oliwiera do głębi. Zadrzał ze wzruszenia. Jakże wdzięczny był za nie Marii Antoninie.

Nagle ze słodkiej i dość niebezpiecznej kontemplacji wyrwały królowę słowa wypowiedziane głosem wzruszonym, lecz surowym.

— Najjaśniejsza Pani!...

Obejrzała się i ujrawszy Filipa, zaskoczona, zachnęła się lekko. Być może zresztą, znalazłszy się między tymi dwoma mężczyznami, wyrzucała sobie, że dla jednego z nich ma uczucia tak wiele, dla drugiego — tak mało.

— To pan, panie de Taverney — zawołała ochłonawszy. — Chcesz mnie o coś prosić? Słucham, mów.

— O dziesięć minut posłuchania, Najjaśniejsza Pani — rzekł Filip nie rozchmurzywszy się ani na chwilę.

— Choćby w tej chwili, panie — odparła królowa rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na Charny'ego, jakby lękała się mimo woli widzieć go obok dawnego przeciwnika.

I prędko odeszła zostawiając Charny'ego na miejscu. Filip podążył za nią.

Przyjąwszy resztę prośb i wydawszy parę rozkazów, wróciła do siebie.

Po kwadransie wprowadzono Filipa do biblioteki, gdzie Jej Królewska Mość udzielała w niedzielę audiencji.

— Proszę, wejdz, panie de Taverney — zawołała nadrabiając miną. — Wejdz pan i rozpogódź się, gdyż przyznać muszę, zawsze mnie ogarnia niepokój, gdy ktoś z rodziny Taverneyów pragnie ze mną mówić. Uspokój mnie prędko, że nie przynosisz żadnej zlej nowiny.

Taverney, bledszy jeszcze po tej niespodziewanej przemowie niż podczas sceny z Charny'm, odpowiedział krótko, widząc, jak mało było w niej życzliwości.

— Najjaśniejsza Pani, mam zaszczyt oznajmić, że tym razem przybywam z dobrą nowiną.

— Więc to jednak nowina?

— Niestety, tak, Najjaśniejsza Pani.

— Ach, mój Boże!... — zawołała królowa z tą swobodną wesołością, która tak gnębiła pana de Taverney. — Mówisz pan, „niestety”.

— Najjaśniejsza Pani — odparł z godnością — tych kilka słów uspokoi Waszą Królewską Mość stanowczo; nigdy już czoło jej nie zachmurzy się nie tylko widokiem, ale nawet z powodu jakiegokolwiek Taverneya Maison-Rouge. Dziś jeszcze ostatni z tego rodu wyjedzie stąd, zniknie, aby nigdy nie odwiedzić już Francji.

Królowa porzuciła nagle wesołość, w którą uzbroiła się przeciw spodziewanym wzruszeniom i zapytała.

— Wyjeżdżasz pan?...

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

— Pan... także? Filip skłonił się.

— Siostra moja musiała z żalem opuścić Waszą Królewską Mość — rzekł — i ja jestem tu zupełnie zbyteczny, dlatego wyjeżdżam.

Królowa zmieszana się nagle, bo przypomniała sobie, że Andrea prosiła o zwolnienie nazajutrz po wizycie u doktora Louis, to znaczy kiedy pan de Charny otrzymał pierwszy znak sympatii.

— Rzecz szczególna — powiedziała cicho i zamyśliła się. Filip stał jak posąg marmurowy i czekał na gest odprawy.

— Dokąd się pan udajesz?...

— Chcę pojechać do pana de la Perouse — odparł Filip.

— Wiesz pan, że przepowiadają mu straszną śmierć?...

— Czy straszną — nie wiem, lecz wiem, że rychłą.

— I pomimo to jedziesz?... Uśmiechnął się z łagodną wyniosłością.

— Właśnie dlatego udaję się do pana de la Perouse.

Królowa znowu zamyśliła się. Filip nadal czekał.

Szlachetna odwaga Marii Antoniny zmieniła się nagle w zuchwałość; wstała, podeszła do młodzieńca i skrzyżowawszy białe ręce na piersiach zapytała:

— Dlaczego pan wyjeżdżasz?...

— Bo pragnę podróżować — odparł spokojnie Filip.

— Przecież objechałeś pan świat cały — zdziwiła się królowa, oszukana jego postawą.

— Objechałem rzeczywiście świat nowy, lecz chcę poznać i stary.

Królowa z gestem rezygnacji powtórzyła to, co niegdyś mówiła o Andrei:

— Ludzie z żelaza, ci Taverneyowie. I pan, i siostra pańska jesteście strasznymi ludźmi, przyjaciółmi, których po pewnym czasie można znienawidzić. Wyjeżdżasz pan nie z chęci podróżowania, ale dlatego, żeby mnie opuścić. Siostra pańska twierdziła, że odczuwa powołanie do służby bożej, choć ogniste serce ukrywa pod rzekomym popiołem. Zresztą chciała odjechać i odjechała; niech Bóg jej błogosławi!... Ale pan mógłbyś tu być szczęśliwy i również chcesz wyjechać!... Ach, słusznie mówiłam, że Taverneyowie przynoszą mi nieszczęście!...

— Nie potępiaj nas, Najjaśniejsza Pani, gdyby Wasza Królewska Mość uważniej raczyła czytać w naszych sercach, znalazłaby w nich może przywiązanie bez granic.

— Słuchaj — rozgniewała się królowa — jesteście nienaturalni, pan jesteś kwakier, a siostra twoja filozofka; ona wyobraża sobie świat jako raj, do którego wchodzi się pod warunkiem świętości, ty uważasz świat za piekło, gdzie spotyka się tylko czartów. Oboje uciekacie z tego świata — jedno, bo znajduje to, czego nie szukało, drugie, bo nie znajduje tego, czego szukało. Ech, drogi panie, pozwól ludziom być takimi, jakimi są, nie wymagaj od rodzin królewskich nadludzkiej doskonałości. Bądź wyrozumiały, a nie bądź egoistą. Poniosła ją egzaltacja i Filip odzyskał przewagę.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł — egoizm jest cnotą, jeśli służy uwzniośleniu tego, co uwielbiamy.

Królowa zarumieniła się.

— Wiem — powiedziała — że kochałam Andreę, a ona mnie porzuciła; zależało mi na panu, a i pan mnie opuszczasz. Upokarza mnie to — ja nie żartuję — gdy dwie osoby tak wzorowe porzucają mój dom.

— Nic nie zdoła upokorzyć tak dostojnej osoby jak ty, Najjaśniejsza Pani — odparł zimno Taverney. — Wstyd nie sięga czół tak wzniosłych.

— Szukam w pamięci — rzekła królowa — co by mogło pana dotknąć?...

— Ależ, nic mnie nie dotknęło — odparł prędko Taverney.

— Masz zatwierdzony stopień, los pański zapowiada się pomyślnie, okazywałam ci niejakię względy...

— Powtarzam Waszej Królewskiej Mości, że nic mnie nie dotknęło na dworze.

— A jeżeli poproszę, abyś pan został... jeżeli rozkażę?...

— Bolesć tylko sprawi mi Wasza Królewska Mość, gdyż zostać nie mogę.

Królowa zamyśliła się po raz drugi, milczała dość długo i jak zawsze po takiej chwili wytchnienia wybuchnęła.

— Jesteś podejrzliwy, ktoś ci się nie podoba? I utkwiała wzrok w oczach Filipa.

— Na nikogo się nie skarżę.

— Byłeś pan w zatargach z panem de Charny — zawołała królowa zapalając się jeszcze bardziej. — Naturalnie, niechętnie przebywa się z ludźmi, których się nie lubi; więc to tak, zobaczyłeś pana de Charny i postanowiłeś rzucić dwór?...

Filip nie odpowiedział, a królowa, nie poznając się na jego prawości i myśląc, że ma do czynienia z pospolitym zazdrośnikiem, dokuczała mu dalej:

— Dziś zaledwie dowiedziałeś się pan o przyjeździe pana de Charny i dziś już prosisz o zwolnienie?...

Filip zsiniał. Prześladowany tak nielitościwie, zdeptany niemal nogami, zadał cios okrutny:

— Najjaśniejsza Pani — odparł sucho — nie od dziś wiem o przybyciu pana de Charny, a i wczoraj, około drugiej nad ranem, widziałem go w okolicach łaźni Apollina.

Królowa zbladła. W spojrzeniu jej był lęk zmieszany z uwielbieniem dla człowieka, który w gniewie zachował tak przedziwną galanterię. Głos jej się załamał.

— Dobrze, jedź pan, nie będę go zatrzymywała. Filip skłonił się po raz ostatni i wyszedł. Królowa padła na fotel.

— O, Francjo! — powiedziała. — Kraino serc szlachetnych!

LXXI. ZAZDROŚĆ

Ostatnie trzy noce wypadły zupełnie inaczej niż wyobrażał sobie kardynał.

Żadnych wiadomości, żadnej nadziei na spotkanie. Milczenie po wybuchu namiętności wydawało się ciemnością lochu po jasnej światłości dnia. Kardynał spodziewał się, że kochanka jego, w pierwszym rzędzie kobieta a potem dopiero królowa, zechce przekonać się, co warta była ich miłość i czy wytrzyma podobną próbę. To iście męskie uczucie okazało się obosieczne, zraniło właśnie samego kardynała.

Pan de Rohan — nie widząc nic a słysząc tylko milczenie, jak powiada pan Delille — począł obawiać się, czy owa próba nie wypadła dlań niekorzystnie. Stąd męczarnie, strach i niepokój, trudne do pojęcia dla tych, co nie zaznali nigdy cierpień nerwowych, kiedy każda fibra w mózgu zamienia się w ogniste go węża, który miota się i skręca.

Był to stan nader męczący. Przed południem kardynał dziesięć razy posyłał do mieszkania pani de la Motte, dziesięć razy do Wersalu. Dziesiąty posłannik sprowadził mu nareszcie Joannę, która pilnowała dotąd królowej i Charny'ego i która uradowała się niepokojem kardynała, gdyż rosły dzięki temu widoki na powodzenie jej przedsięwzięcia. Spostrzegłszy hrabinę kardynał uniósł się:

— Jak to?!... — zawołał. — Jesteś pani tak spokojna! Wiesz, że wije się jak na mękach, a ta, co nazywa się niby przyjaciółką, pozwala mi zamęczyć się na śmierć!

— Cierpliwości, Wasza Wielbność, cierpliwości... — odparła Joanna. — Spełniam w Wersalu daleko pożyteczniejsze dzieło niż tutaj.

— Jakże można być tak okrutną? — zawołał kardynał, uspokajając się stopniowo na myśl o wiadomościach. — No, co się tam dzieje?

— Oddalenie jest chorobą dotkliwą niezależnie od tego, czy mieszka się w Paryżu, czy w Wersalu.

— No, to już coś! Dziękuję, dziękuję, ale...

— Co, ale?

— Ale... Dowody!

— Ach, Boże mój! — zawołała Joanna. — Czego się panu zachciewa! Dowodów! Cóż to znaczy? Żądasz od kobiety dowodu winy?... Czy jesteś przy zdrowych zmysłach?

— Nie żądam przecież dowodu do procesu — odparł kardynał — pragnę zakładu miłości.

— Zdaje mi się, że Wasza Wielbność ma zbyt wiele wymagań i zbyt łatwo zapomina.

— Wiem, co powiesz... wiem, powinienem być zadowolony, zaszczycony... No tak, ale miejże serce, hrabino. Czy zgodziłabyś się, gdyby cię... po okazaniu, no, pewnych łask, odrzucono?

— Powiedziałeś pan... pewnych łask — rzekła hrabina drwiąco.

— Och, możesz mnie, pani, bezkarnie chłostać, gdyż nie powinienem narzekać, a jednak narzekam...

— A ja, mości książę, nie odpowiadam za pańskie nieukontentowanie — przerwała Joanna — gdy wynika z przyczyn niepoważnych czy śmiesznych.

— Niedobra jesteś, hrabino. Nie śmiej się z moich uniesień, pomagaj mi zamiast mnie dręczyć.

— Nie mogę pomóc, nie widzę żadnego sposobu.

— Nie widzisz, pani, sposobu? — zapytał z naciskiem. — Sądzę, że nie wszyscy są tego zdania.

— Ej, panie, gniew na nic się nie przyda, nie porozumiemy się nigdy. Wasza Wielebność przebaczy mi tę uwagę.

— Tak, gniew niepotrzebny... Ale to twoja zła wola, pani, przywodzi mnie do tego.

— A czy nie jesteś niesprawiedliwy?

— Nie, wiem, że jeśli mi nie pomagasz, widocznie nie możesz...

— Sądziś mnie dobrze, więc dlaczego oskarżasz?

— Boś mi pani powinna wyjawić całą prawdę.

— Prawdę? Powiedziałam, com wiedziała.

— Nie mówiłaś, pani, że królowa jest przewrotna, że jest zalotna, że pozwala się uwielbiać, a potem odtrąca i doprowadza do rozpacz?

Zdziwiona Joanna patrzyła na kardynała.

— Wytłumacz się pan — zawołała drżąc nie ze strachu, lecz z radości. W istocie zazdrość kardynała dawała jej w ręce nowy sposób rozwiązania trudnej sprawy.

— Przyznaj, pani — mówił unosząc się kardynał — przyznaj, że królowa nie chce mnie widzieć.

— Ja tego nie mówię — odparła.

— Przyznaj, że jeżeli mnie odtrąca dobrowolnie, to tylko dlatego, aby nie wywołać niezadowolenia kochanka, któremu nie podobało się moje nadszalenie.

— Ależ, Eminencjo! — zawołała słodko Joanna, a ton jej mowy był tak obiecujący, że można było domyślać się niejednego.

— Posłuchaj mnie — mówił dalej pan de Rohan. — Kiedy ostatnio byłem z królową w parku, zdawało mi się, że ktoś chodził za krzakami.

— Urojenie!...

— Powiem, co podejrzewam.

— Nie mów nic, kardynale, gdyż obrażasz królowę, a gdyby nawet obawiała się szpiegostwa kochanka, czego nie przypuszczam, czy miałbyś pan prawo robić jej wyrzuty o przeszłość, skoro ją dla pana poświęca?

— Przeszłość, przeszłość!... To wielkie słowo, lecz znaczenie jego upada, skoro ta przeszłość jest jeszcze teraźniejszością i zdaje się być przyszłością!

— Ej, mości książę, mówisz tak do mnie jak do faktora, który nastęrczył kiepski interes. Podejrzenia pańskie obrażają królowę, a więc i mnie również.

— Powiedz więc, czy ona mnie kocha choć trochę?

— Wszakże nie trudno się dowiedzieć — odparła hrabina wskazując na stół z przyborami do pisania. — Siadaj i zapytaj sam.

— A oddasz list? — zapytał kardynał. — Któż podjąłby się tego, jeżeli nie ja?

— I obiecujesz odpowiedź?

— Gdybyś nie otrzymał odpowiedzi, nie wiedziałbyś przecież, czego się trzymać.

— Tak... to rozumiem, taką to cię kocham, hrabino!

— A co? — powiedziała z przebiegłym uśmiechem. Kardynał usiadł i zaczął pisać. Pióro miał dobre i pisał łatwo, lecz tym razem podarł z dziesięć zaczętych listów; nie podobały mu się.

— Jeżeli będzie tak dalej — zauważyła Joanna — nie skończysz nigdy.

— Bo, widzisz, hrabino, nie dowierzam mej miłości. Jest tak wielka, że mogę łatwo popaść w egzaltację i znudzić królowę.

— Ach — roześmiała się Joanna z ironią — napisz jak polityk, a dostaniesz bilet dyplomatyczny. Jak chcesz.

— Masz słusność, hrabino; jesteś kobietą wielkiego rozumu, rzadkiej dobroci! Nie chcę też przed tobą mieć żadnych tajemnic.

Joanna uśmiechnęła się.

— Sądzę, że niewiele masz przede mną do ukrywania.

— Czytaj, kiedy ja będę pisał. Czytaj prędko; moje serce płonie, więc i pióro gotowe przepalić papier.

Napisał list tak ognisty, tak szalony, tak pełen namiętnych wyrzutów i niebezpiecznych oświadczeń, że hrabina, która czytała przez ramię, pomyślała:

— Sama bałabym się mu to podyktować.

Kardynał odczytał raz jeszcze, po czym zapytał Joannę:

— Czy dobrze?

— Jeżeli naprawdę pana kocha — odparła zdrajczyni — będziesz o tym jutro wiedział.

— Do jutra... dobrze...

Joanna wzięła list zapieczętowany, a pozwolewszy ucałować się kardynałowi odjechała do domu, gdzie położyła się wygodnie i oddała rozmyślanom.

Sprawa przybrała taki obrót, jakiego się od pierwszej chwili spodziewała.

Jeszcze chwila, a komedia się skończy.

Kogo z dwójga wziąć na tarczę — królowę czy kardynała? Po tym liście kardynał nie oskarży hrabiny de la Motte, gdy będzie musiał zapłacić za naszyjnik.

Gdyby nawet królowa zdołała porozumieć się z kardynałem, nie będą mieli dość odwagi, aby zgubić panią de la Motte, w której rękach spoczywa skandaliczna tajemnica. Królowa nie będzie chciała rozgłosu i uwierzy w nienawiść kardynała, ten zaś uwierzy w zalotność królowej; rozprawa odbywać się będzie przy drzwiach zamkniętych, a jeżeli tylko jakieś podejrzenie padnie na hrabinę de la Motte, uzyska w ten sposób asumpt do wyjazdu z Francji i zrealizowania pięknej sumki półtora miliona.

Kardynał będzie wiedział, że Joanna wzięła te kamienie; królowa też się domyśli, lecz kto poważy się rozgłaszać sprawę będącą w tak bliskim związku z parkiem i łazienkami Apollina.

Ale na ten system obrony nie starczy jednego listu. Kardynał miał lekkie pióro, można będzie wydostać od niego więcej. Co się tyczy królowej, kto wie, czy wspólnie z panem de Charny nie kuje ona miecza dla Joanny de la Motte!

Całe to zamieszanie zakończyć się może tylko ucieczką. Joanna z góry opracowywała plan.

Zacznie się od terminu zapłaty i skargi jubilerów. Królowa zwróci się najpierw do pana de Rohan.

W jaki sposób? Oczywiście za pośrednictwem Joanny, jej pomoc jest nieunikniona. Joanna uprzedzi więc kardynała i wezwie go do zapłacenia. Jeżeli jej odmówi, zagrozi mu ogłoszeniem jego listów... a wtedy zapłaci? Skoro dług będzie uiszczony, niebezpieczeństwo zniknie. Co do rozgłosu, uśmierzy się go, jest jeszcze intryga, na którą można liczyć... Kupić cześć królowej i honor księcia kościoła za półtora miliona — to bardzo tanio. Pomyślała, że jeśli zechce może mieć trzy miliony.

Pewność Joanny była niezachwiana. Intryga nie zawiedzie, skoro kardynał żyje w przekonaniu, że miał w parku wersalskim trzy nocne schadzki z królową. Żadna siła w świecie, żadna powaga nie zdoła go przekonać o pomyłce. Trzeba tylko usunąć jedyny dowód oszustwa, dowód niezaprzeczalny, dowód żywy, ale ten Joanna usunie.

W tej fazie rozmyślań podeszła do okna i spostrzegła niespokojną Oliwię.

Serdecznie pozdrawiając swą współniczkę Joanna dała znak, by Oliwia zeszła wieczorem. Na to urzędowe zawiadomienie Oliwia uradowana skryła się w pokoju, a Joanna wróciła do dumań.

Każdy intrygant dąży do zniszczenia narzędzia, którym nie można się już posłużyć. Zwykle nie udaje się to, ponieważ narzędzie krusząc się wydaje jęk zdradzający tajemnicę, bądź niezupełnie złamane, użyte zostaje przez kogoś innego.

Joanna zastanowiła się, że Oliwia, mocno kochająca życie i świat, nie da się złamać bez głośnej skargi.

Trzeba by koniecznie wymyślić jakąś bajkę, która by ją zniewoliła do ucieczki, i drugą bajkę, dla której uciekłaby chętnie. Trudności mnożą się, ale właśnie w przełamywaniu trudności jest przyjemność nie mniejsza niż w deptaniu róż.

Oliwia była wprawdzie zachwycona towarzystwem nowej przyjaciółki, lecz zachwyty był względny, gdyż tylko za oknami swego więzienia odczuwała czar tej znajomości. Szczera Nicole nie kryła się, że wolałaby normalną, dzienną rzeczywistość, słońce i prawdziwe życie, niż terażniejsze eskapady nocne i udawanie królowej.

Fikcją życia była Joanna, jej przyjaźń i pieszczoty; rzeczywistością były pieniądze i Beausire. Teorię tę należało wykorzystać.

Należało przede wszystkim przekonać Nicole, że koniecznie trzeba usunąć dowody oszustwa, popełnionego w parku wersalskim.

Nadeszła noc; przyjaciółki spotkały się przy umówionych drzwiach. Na rogu bulwaru wsiadły do karety i pojechały powoli w stronę Vincennes. Na razie nie było powodu do obaw.

Nicole w skromnej sukni i szerokim płaszczu, Joanna w przebraniu gryzетки, nie zwracały niczyjej uwagi. Policja bez specjalnego upoważnienia nie zajrzałaby również do karety z herbem Walezjusów.

Oliwia ucałowała Joannę, która oddawała zawsze w dwójnasób dowody czułości.

— Ach, jakżem się nudziła! — zawołała Oliwia. — Szukałam cię, wzywałam.

— Nie mogłam widzieć się z tobą, kochana, naraziłabym cię i siebie na niebezpieczeństwo... wielkie niebezpieczeństwo.

— Jak to?

— Dotąd jeszcze drzę cała.

— Opowiedz mi czym prędzej.

— Nudzisz się tutaj, prawda?

— Tak jest, niestety!

— Chciałaś wychodzić, aby się trochę rozerwać.

— I pomogłaś mi jak dobra przyjaciółka.

— I wyszła z tego sprawa z tym młodym oficerkiem z dworu królewskiego, trochę narwanym, ale miłym, który podkochuje się w królowej...

— No tak.

— Z mojej strony była to lekkomyślność, że namówiłam cię do niewinnej rozrywki, pożartowania sobie z biednego chłopaka i — wykorzystując twoje podobieństwo do królowej — wprowadzenia go w błąd, że królowa ma dla niego sympatię.

— Niestety — westchnęła Oliwia.

— Nie wspomnę już nic o tych dwóch przechadzkach nocnych w parku w towarzystwie tego biedaka...

Oliwia westchnęła po raz drugi.

— O tych dwóch przechadzkach, podczas których tak dobrze grałaś swoją rolę, że biedny kochanek wziął rzecz na serio.

— To było nieładnie — odparła Oliwia. — Oszukiwałyśmy go, a on wcale na to nie zasługiwał, to bardzo mity kawaler.

— No, właśnie, ale posłuchaj, nie w tym tkwi zło. Obdarować go różą, pozwalać się nazywać Najjaśniejszą Panią, dać ręce do ucałowania — to są zwykłe pustoty, ale moja mała Oliwio, zdaje się, że to jeszcze nie wszystko...

Oliwia oblała się pąsem, lecz ciemność nocy nie pozwalała dostrzec tego Joannie. Zresztą, jako kobieta rozumna, patrzyła w inną stronę.

— Jak to? — zapytała Nicole. — Dlaczego sądzisz, że to nie wszystko?

— Wszak widzieliście się potem raz jeszcze — powiedziała Joanna.

— Byłaś przecież obecna i wtedy.

— Wybacz, Oliwio, jak zwykle znajdowałam się z dala od was, udając, że was pilnuję, aby pomóc ci w twojej roli; nie mogę wiedzieć, co tam zaszło w grocie. Wiem tylko, coś mi powiedziała, a opowiedziałaś mi, żeście się przechadzali i rozmawiali, że były róże i całowanie rączek w dalszym ciągu. Ja, moja droga, wierzę w to, co mi mówią.

— No, więc? — zapytała Oliwia szeptem.

— Oj, jak się zdaje, ten szaleniec opowiada, że królowa przystała na coś więcej... Widzisz, upojony, odurzony, rozanielony chełpi się, że królowa dała mu namacalny dowód odwzajemnionej miłości Doprawdy, ten nieborak zupełnie zwariował.

— Boże mój, Boże! — chlipnęła Oliwia.

— Zwariował, bo przecież kłamie, prawda?

— Tak — wybełkotała Oliwia.

— Nie narażałabyś się chyba na takie niebezpieczeństwo, nie powiedziawszy mi o tym?

Oliwia cierpła ze strachu.

— Jakież byłby sens — ciągnęła nielitościwie Joanna — gdybyś ty, kochająca pana Beausire'a, zaprzyjaźniona ze mną, ty, do której zaleca się hrabia de Cagliostro i która korzystasz z jego dobrodziejstw, a nie chcesz słuchać jego wyznań, gdybyś ty przez jakiś kaprys dała temu wariatowi... prawo mówić, że... Nie, to naprawdę szaleniec.

— Ale wreszcie — zawołała Nicole — cóż za niebezpieczeństwo?!

— Słuchaj, wariat niczego się nie boi i nikogo nie oszczędza. Dopóki mowa o różach lub ucałowaniu ręki, niewielka bieda; królowa rozporządza różami ze swego parku, w rękę pocałować ją może każdy poddany. Lecz jeżeli prawdą jest, że na trzeciej schadzce... Ach, moje dziecko, ja wcale nie żartuję...

— I co będzie? — zapytała Oliwia szcękając zębami.

— Najpierw okaże się, że nie jesteś królową, potem, że przywłaszczyłaś sobie jej tytuł i nadużyłaś podobieństwa do Najjaśniejszej Pani, żeby popełnić tego rodzaju... płochość... To nazywa się zbrodnią obrazy majestatu, a taka rzecz może człowieka daleko zaprowadzić.

Oliwia ukryła twarz w dłoniach.

— Ponieważ jednak, jak powiadasz, nie uczyniłaś tego, czym się ten wariat chwali, a będziesz musiała to udowodnić, no, za dwa pierwsze figle czeka cię najwyżej dwa do czterech lat więzienia i wygnanie.

— Więzienie! Wygnanie! O Boże! — krzyknęła Oliwia.

— To można jeszcze naprawić, ale na wszelki wypadek myślę zachować środki ostrożności i ukryć się.

— Czyż i ciebie mogą napastować?

— Ma się rozumieć! Przecież ten szaleniec oskarży i mnie. Ach, Oliwio, nasz żarcik drogo nas będzie kosztować.

Oliwia rozplakała się.

— A ja! Ja ani na chwilę nie mogę usiedzieć spokojnie. O głowo zakuta! Widzisz, chyba opętana jestem! O, ja szalona! Po jednym nieszczęściu sama zaraz szukam drugiego!

— Nie rozpaczaj, ale staraj się uniknąć skandalu.

— Och, tak, zamknę się u mego opiekuna! Możemy wyznać mu wszystko!

— Cóż za pomysł?... Człowiek, który tak jest tobie oddany, który cię kocha i czeka tylko na twoje skinienie, aby cię uwielbiać, i ty mu powiesz, że z kim innym pozwoliłaś sobie na krok nierozważny. Uważasz, mówię „krok nierozważny”, bo o to cię będzie podejrzewał.

— Mój Boże, masz słuszność!

— Co gorsza, rozgłos tej sprawy, śledztwo, poszukiwania policji obudzą skrupuły twego opiekuna i kto wie, czy nie wyda cię, aby się zasłużyć u dworu?...

— Ach!

— Przypuśćmy, że cię tylko wypędzi, cóż się wtedy z tobą stanie?

— Jestem zgubiona!

— A pan Beausire, jak myślisz, gdyby się dowiedział o wszystkim, to co?... — pastwiła się Joanna, śledząc wrażenie, wywołane ostatnim ciosem.

Oliwia podskoczyła strącając z głowy kapturek.

— On mnie zabije! — zawołała. — Och, nie. Ja zabiję się sama.

I zwracając się do Joanny dodała z rozpaczą:

— Ty nie możesz ratować mnie, nie, sama jesteś zgubiona.

— Mam — odpowiedziała po namyśle Joanna — w głębi Pikardii, zupełnie na ustroniu, mały kawałek ziemi, zaciszny folwarczek. Gdyby przed rozgłoszeniem tej sprawy można było dostać się tam niepostrzeżenie — pozostawałaby jeszcze nadzieja...

— Ależ ten wariat zna ciebie i wszędzie cię odnajdzie!

— Ach, nie. Jeśli ty wyjedziesz i dobrze się schowasz, manie już nic nie grozi. Powiem temu panu, że jest nikczemnikiem, a przecież dowieść niczego nie potrafi.

— Wyjadę, kiedy tylko zechcesz — zawołała Oliwia.

— Myślę, że to będzie najrozsądniej, ale musisz poczekać aż wszystko urządzię, ale tymczasem nie pokazuj się nikomu, nawet mnie unikaj. A teraz wracajmy.

— Dobrze. Ile czasu potrzeba ci na przygotowania?

— Nie wiem jeszcze. Ale pamiętaj — do dnia wyjazdu nie pokażę się przy oknie; gdy więc mnie zobaczysz, bądź zaraz gotowa.

— Dzięki ci, dzięki, moja jedyna przyjaciółko.

Powoli wracały na ulicę Saint-Claude. Oliwia nie śmiała odzywać się, Joanna zaś milczała tyle znając do obmyślenia. Przed domem ucałowały się serdecznie i Oliwia pokornie przeproszała przyjaciółkę, że lekkomyślnością swą takie wywołała nieprzyjemności.

— Kobieta jestem — odparła pani de la Motte, parafrazując łacińskiego poetę — i żadne kobiece słabostki nie są mi obce.

LXXII. UCIECZKA

Oliwia przyrzekła i dotrzymała przyrzeczeń, Joanna obiecała i wykonała.

Od tego dnia Nicole żyła znów jak uwięziona; ukryła się przed całym światem i nikt nie mógł podejrzewać, że mieszka w tym domu. Zasłonięta firanką lub parawanikiem siedziała cały czas u okna nie bacząc na wesołe igraszki promieni słonecznych.

Joanna przygotowała wszystko. Wiedząc, że nazajutrz przypada termin płatności pierwszej raty — pięciuset tysięcy liwrow, usiłowała zatrzeć za sobą wszelkie ślady, aby wtedy, gdy nastąpi wybuch, nie było żadnej poszlaki. Na straszną tę chwilę gotowała się z całym skupieniem.

Ukartowała chytrze ucieczkę, lecz po namyśle odrzuciła tę alternatywę. Stanowiłoby to niezbity dowód winy. Wytrwać na stanowisku, pod ciosami przeciwnika, wytrwać spodziewając się śmierci, ale z pełnymi szansami na zwycięstwo — takie było postanowienie Joanny.

Oto dlaczego nazajutrz po widzeniu się z Oliwią hrabina około drugiej po południu ukazała się w oknie, by dać znać pseudo–królowej, że tego jeszcze wieczoru nastąpi wyjazd.

Trudno opisać strach i radość Oliwii. Konieczność ucieczki świadczyła o niebezpieczeństwie, możliwość ucieczki zapowiadała ocalenie. Oliwia, przesławszy Joannie wymownego całusa, zabrała się do przygotowań, to znaczy zapakowania kilku cennych ruchomości swego protektora.

Joanna oddaliła się również, by wyszukać powóz, któremu mogłaby powierzyć przyszłość panny Nicole.

To było wszystko, najbystrzejszy obserwator nic by już więcej nie zauważył. Okno zostało zamknięte, story zapuszczone; dopiero późnym wieczorem jakieś zbłąkane światełka, jakieś głosy tajemnicze i szmery, jakieś niezwykle zamieszanie poprzedziły zupełną ciemność i ciszę.

Jedenasta wybiła u św. Pawła. Wiatr przywiał od rzeki te dźwięki żałobne, kiedy Joanna zajęczała na ulicę św. Ludwika w karetce pocztowej, zaprzężonej w trzy dzielne konie. Przyjechał z nią jakiś człowiek owinięty szerokim płaszczem.

Joanna poleciła stangretowi zatrzymać się u wylotu ulicy Złotego Króla.

— Niechaj powóz tu zaczeka, kochany panie Reteau — powiedziała Joanna. — Za jakieś pół godziny przyprowadzę pewną osobę, którą zawieziesz do mego podmiejskiego domu w Amiens. Woźnicy dasz podwójny tryngeld, a osobę tę przekażesz pod opiekę memu dzierżawcy Fontaine, który już wie, jak dalej postąpić.

— Dobrze, pani hrabino.

— Zapomniałam zapytać, czy masz pan przy sobie broń?

— Mam, pani hrabino.

— Pannie tej grozi niebezpieczeństwo ze strony pewnego wariata... może zechce zatrzymać ją w podróży.

— Co wtedy?

— Strzelaj do każdego, kto stanie wam w drodze

— Dobrze, pani hrabino.

— Żądałeś ode ranie dwudziestu luidorów gratyfikacji, już wiesz za co, chętnie dam ci sto oraz opłacę kosztą podróży do Londynu, gdzie spotkamy się najdalej za trzy miesiące.

— Dobrze, pani.

— Oto sto luidorów. Nie zobaczymy się teraz, bo roztropnie zarobisz, jeżeli przedostaniesz się do Saint-Valery i natychmiast odpłyniesz do Anglii.

— Może pani polegać na mnie.

— To dla twego dobra.

— Dla naszego, chcesz pani powiedzieć — odparł pan Reteau, całując w rękę hrabinę. — A więc czekamy.

— A ja sprowadzę damę.

Reteau wsiadł do powozu, a Joanna lekkim krokiem poszła do siebie.

Cała dzielnica pogrążona była we śnie. Joanna zapaliła świecę jako hasło dla Oliwii, że należy zejść.

— Ostrożna dziewczyna — pomyślała Joanna, widząc że w oknach Oliwii panuje zupełna ciemność.

Trzykrotnie podniosła i opuściła świecę. Nie otrzymała w odpowiedzi żadnego ruchu, usłyszała tylko coś, jakby westchnienie, a może słowo tak rzucone w ciemność.

— Widocznie zejdzie nie zapalając światła — pomyślała Joanna. — Tym lepiej.

I sama zeszła na ulicę.

Drzwi się nie otwierały... Widocznie Oliwia biedziła się z pakunkami.

— Głupia — zirytowała się hrabina. — Tyle czasu tracić dla jakichś gałganków.

W dalszym ciągu nikt się nie zjawiał. Joanna poszła do drzwi głównych, przyłożyła ucho do okutych desek i nasłuchiwała. Nic.

Minał kwadrans.

Joanna wyszła aż na bulwar, by przypatrzeć się oknom. Wydało jej się, że słabe światełko miga poza storami.

— Cóż ona robi, nieszczęsna, co robi?... Boże mój, czyżby nie zauważyła moich znaków?... Powtórzę je chyba!...

Rzeczywiście Joanna powróciła do swego pokoju i na nowo zaczęła manipulacje ze świecą. Nie było żadnego znaku.

— Musiała, pokraka, zachorować i ruszyć się nie może — rozjątrzyła się Joanna. — Mniejsza z tym... Żywa czy umarła musi dziś wyjechać.

Zbiegła ze schodów z szybkością ściganej pantery. W ręku trzymała klucz, który przywracał Oliwii wolność. Wkładała już klucz do zamku, gdy przysłała refleksja.

— A może jest kto u niej?... Nie może być... Zresztą usłyszę głos na schodach i zdążę zejść. Lecz jeżeli spotkam kogo na górze?... Och... a zresztą cóż wielkiego. Odważnym szczęście sprzyja.

Trzask kopyt końskich o bruk dodał jej animuszu. Przekręciła klucz i furtka otworzyła się. Rozkład domu znała; zlustrowała wszystko dokładnie, czekając na Oliwię. Schody były na lewo.

Cicho było i ciemno... doszła więc spokojnie do sieni przy mieszkaniu Nicole.

Przez szparę sączyło się światło, za drzwiami słychać było niespokojne stąpanie.

Joanna zadyszana, ale starając się powstrzymać oddech, słuchała. Nie rozmawiano, Oliwia była więc sama, chodziła widocznie i porządkowała. A więc nie jest chora, tylko spóźniła się.

Joanna ostrożnie zapukała do drzwi.

— Oliwio, Oliwio! — zawołała niegłośnie. — Przyjaciółko kochana!... Otwórz!

Drzwi otworzyły się i strumień światła padł na Joannę. Ujrzała przed sobą mężczyznę, trzymającego w ręku kandelabr. Krzyknęła przeraźliwie i zakryła twarz.

— Oliwia?... — zapytał mężczyzna. — Co się stało? Przy tych słowach odchylił kapiszon hrabiny.

— A!... Pani hrabina de la Motte! — zawołał z doskonale udanym zdziwieniem.

— Pan de Cagliostro!... — szepnęła Joanna, chwiejąc się, bliska zemdlenia.

Spomiędzy różnych niebezpieczeństw, jakie ją mogły czekać, to nie przyszło jej na myśl. Z początku nie wydawało się zresztą nazbyt groźne, gdy jednak przyjrzała się ponuremu

wyglądowi tego dziwnego i skrytego człowieka, strwożyła się nie na żarty. Cofnęła się i miała ochotę rzucić się do ucieczki.

Cagliostro podał jej uprzejmie rękę i zapraszał do zajęcia miejsca.

— Czemu zawdzięczam zaszczyt pani odwiedzin?... — zapytał statecznie.

— Panie — wyjąkała intrygantka, nie mogąc oderwać oczu od Cagliostro — panie... przyszedłam tu, szukając...

— Pozwól, pani, że zadzwonię na służbę i skarzę ją za opieszałość, to grubiaństwo nie wskazać drogi tak godnej osobie!

Joanna zadrżała i zatrzymała rękę hrabiego.

— Trafiałś, pani, zapewne na tego hultaja Niemca, który upija się i zaniedbuje obowiązki odźwiernego. Nie poznał pani chyba.

— Nie gniewaj się, hrabio, na niego — rzekła swobodnie już Joanna, nie domyślając się pułapki — proszę cię.

— A więc to on pani otworzył?...

— Zdaje się... ale przyrzekłeś pan nie gniewać się na niego.

— Dotrzymam chętnie obietnicy — odparł śmiejąc się, Cagliostro — lecz, hrabino, zechciej wyjaśnić mi cel twych odwiedzin.

Rada, że znalazł się wykręt, Joanna obmyśliła spieszenie nowe kłamstewko.

— Przyszedłam — odpowiedziała — aby zasięgnąć pana rady co do pewnych pogłosek.

— Jakich pogłosek, hrabino?...

— Kwestia to delikatna — rzekła Joanna mizdrząc się. — Jesteś pan przyjacielem Jego Eminencji kardynała de Rohan.

— Rzeczywiście, pani, jestem w dość dobrych stosunkach z kardynałem — rzekł głośno.

— Chciałam więc poinformować się co do...

— Co do czego?... — zapytał Cagliostro z odcieniem ironii.

— Powiedziałam, że kwestia jest drażliwa, panie hrabio, nie nadużywaj mego położenia... Wiesz pan może, że kardynał de Rohan okazuje mi pewną życzliwość, pragnęłabym wiedzieć, na co mogę liczyć; Mówią, hrabio, że umiesz czytać w głębiach niedocieczonych... w najciemniejszych głębiach serca i rozumu...

— Mów trochę jaśniej, hrabino — rzekł Cagliostro — abym rzeczywiście mógł czytać w mrokach twego serca i rozumu.

— Panie, mówią, że Jego Eminencja kocha kogoś innego; mówią, że kocha osobę postawioną bardzo wysoko, mówią nawet...

Oczy Cagliostro błysnęły tak ponuro, że Joannę aż odrzuciło.

— Pani — rzekł — czytam naprawdę w ciemnościach, lecz trzeba mi pomagać, jeżeli dobrze mam czytać. Zechciej mi więc pani odpowiedzieć na następujące pytania:

— Jakim sposobem szukałaś mnie tutaj? Wszak nie tu mieszkam. Jakim sposobem weszłaś?... Wszak nie ma tu ani pijanego odźwiernego, ani też służby. A jeśli nie mnie szukałaś, to kogo?...

— Nie odpowiadasz? — spytał po przerwie, wpatrując się w przerażoną hrabinę. — Pomogę pani pamięci.

— Weszłaś przy pomocy klucza, który masz w kieszeni... oto jest. Przyszłaś, szukając młodej kobiety, którą z dobroci ukrywałem tu,

Joanna trzęsła się jak liść.

— A gdyby tak było — zapytała cicho — jakąż popełniłam zbrodnię?... Czyż nie wolno kobiecie odwiedzać kobiety?...

— Mówisz, pani, tak — odparł Cagliostro — bo wiesz do — brze, że kobiety tej już nie ma.

— Nie ma jej... — powtórzyła Joanna drętwiąc. — Oliwii już nie ma?...

— Jak to, pani, nie wiesz, że odjechała?... Kiedyś sama pomagała do jej porwania?...

— Do porwania?... Ja?... — zawołała Joanna, w którą znów wstępowała otucha. — Porwano ją, a pan mnie obwiniasz?...

— Obwiniam; co więcej, przekonam panią o prawdzie moich słów — odparł hrabia.

— Proszę — powiedziała bezczelnie.

Wziął ze stołu bilecik i podał go Joannie. Adresowany był do Cagliostro.

„Panie i szlachetny protektorze!...

Wybacz mi, że cię opuszczam, ale wiesz, że kocham nada wszystko pana de Beausire; przybył właśnie, aby mnie zabrać. Idę więc z nim. Żegnaj mi i przyjmij wyrazy wdzięczności.”

— Beausire!... — — zawołała osłupiała Joanna. — Beausire!... Przecież on nie znał jej adresu!...

— Owszem, pani, znał go — odparł Cagliostro, podając drugi bilecik, który wyjął z kieszeni.

— Oto papier, jaki znalazłem na schodach, gdym, jak zwykle, siedł w odwiedzinach. Widocznie liścik ten wypadł z kieszeni pana de Beausire.

Hrabina zalterowana czytała:

„Pan de Beausire znajdzie pannę Oliwię na ulicy św. Klaudiusza, przy rogu bulwaru. Niech ją natychmiast zabierze. Radzi tak szczerą przyjaciółką. Najwyższy czas wyjechać.”

— Ale któż napisał ten bilecik? — zapytała.

— Najwidoczniej pani, szczerą przyjaciółką Oliwii.

— A jakże on się tutaj dostał? — zapytała znów, patrząc z wściekłością na niewzruszonego Cagliostro.

— Czyż przy pomocy pani klucza wejść nie można? — zapytał Cagliostro.

— Ależ ja mam ten klucz, nie pan Beausire.

— Kto ma jeden klucz, może mieć dwa — zauważył hrabia niedbale.

— Pan masz dowody bardzo przekonujące — powiedziała powoli Joanna — ja zaś mam tylko podejrzenia.

— O, ja też — rzekł Cagliostro. — A moje podejrzenia tyleż warte, co pani.

I wykonał prawie niedostrzegalny gest pożegnania.

Joanna wyszła... Na schodach przedtem pustych i ciemnych, teraz jarzyło się od świateł i stało ze dwudziestu kamerdynerów, którym Cagliostro głośno i kilkakrotnie powtórzył:

— Pani hrabina de la Motte.

Wyszła dysząc wściekłością i zemstą, jak bazyliżka zje jadłem i ogniem.

LXXIII. LIST I POKWITOWANIE

Następnego dnia upływał termin płatności pierwszej raty wyznaczonej jubilerom przez królowę.

Ponieważ Najjaśniejsza Pani zalecała ostrożność, panowie Boehmer i Bossange czekali cierpliwie, aż przyniosą im pięćset tysięcy liwrow do domu.

Suma taka stanowi nawet dla najbogatszych kupców wpływ niemały, przygotowali więc najstaranniej wykaligrafowane pokwitowanie. Kwit jednak nie przydał się na nic. Nikt nie przyszedł go wykupić.

Oczekując na posłańca królowej jubilerzy spędzili noc markotnie. Maria Antonina miewała jednak zdumiewające pomysły, zapewne musiała się ukrywać, może więc posłaniec stawi się dopiero po północy.

Nadszedł świt i niestety, marzenia jubilerów rozwiały się. Pan Boehmer pojechał do Wersalu zostawiając w karecie współnika. Prosił o wprowadzenie do królowej, na co odpowiedziano mu, że jeśli nie ma karty audiencjonalnej, posłuchania nie otrzyma.

Zdziwiony i niespokojny zaczął natarczywie nalegać, a że umiał żyć i miał talent zostawiania tu i ówdzie małego upominku, postawiono go w miejscu, kędy królowa przechodzi, wracając z Trianon.

Maria Antonina, pozostając jeszcze pod wrażeniem widzenia z Charny'm, wracała wesoła i uradowana, gdy nagle spostrzegła Boehmera z obliczem zmartwionym, ale pełnym szacunku. Królowa uśmiechnęła się, co jubiler uznał za dobry znak, zdobył się więc na odwagę i poprosił o chwilę posłuchania. Najjaśniejsza Pani wyznaczyła je na drugą po południu, to jest zaraz po obiedzie. Boehmer zaniósł tę pomyślną nowinę współnikowi, który, cierpiąc na fluksję, nie chciał pokazywać Jej Królewskiej Mości tak nieprzystojnej twarzy.

— Nie ma wątpliwości — mówili do siebie roztrzásając każde słowo i gest Najjaśniejszej Pani. — Nie ma wątpliwości, że dostaniemy pieniądze. Jej Królewska Mość wyznaczyła drugą godzinę, bo o tej porze będzie sama.

I dyskutowali, jak towarzysze w bajce, czy odbiorą należność w asygnatach, czy w monecie.

Punktualnie o drugiej jubiler zgłosił się i wprowadzono go do buduaru królowej.

— Co nowego, panie Boehmer? — zawołała Maria Antonina już z daleka. — Czy chcesz znowu mówić ze mną o klejnotach? Doprawdy, wiesz, że nie masz szczęścia, mój panie.

Boehmer myślał, że królowa obawia się podsłuchujących, rozejrzał się więc z miną przebiegłą i odparł:

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani.

— Czegóż pan szukasz? Masz pan jaką tajemnicę? — zapytała zaciekawiona królowa.

Jubiler milczał zdumiony podobną skrytością.

— Zapewne taka tajemnica jak ostatnio: klejnot rzadkiej piękności i wartości. Nie trwóż się pan, przecież nikt nas tu nie podsłuchuje.

— W takim razie, czy mogę powiedzieć Waszej Królewskiej Mości?...

— Mów, mów, panie Boehmer!

Jubiler przybliżył się z wdzięcznym uśmiechem, pokazując zęby trochę żółtawe.

— Mogę powiedzieć Waszej Królewskiej Mości, że zapomniała o nas wczoraj

— Zapomniałam o was? Jak to? — zapytała królowa.

— Wczoraj był termin płatności...

— Termin płatności! Jaki termin?

— Wybacz Wasza Królewska Mość, że ośmielałam się... może popełniam niestosowność... może Najjaśniejsza Pani nie jest przygotowana... to byłoby nam przykro, ale...

— Ależ, panie Boehmer! — zawołała królowa. — Nie rozumiem nic zgoła.

— Wasza Królewska Mość widocznie zapomniała, co wcale nie jest dziwne przy tylu sprawach.

— Ale co zapomniałam?

— Wczoraj był termin płatności pierwszej raty za naszyjnik — bąknął nieśmiało Boehmer.

— Więc sprzedałeś pan ten naszyjnik? — zapytała królowa.

— Ależ... — wymamrotał Boehmer, patrząc osłupiały na królowę — ależ zdaje mi się, że tak.

— A ci, którzy go kupili, nie zapłacili. Tym gorzej, panie Boehmer. Powinni byli zrobić jak ja; nie mogąc zapłacić za naszyjnik, powinni oddać go, zostawiając panu zadatek.

— Co takiego? — wybełkotał jubiler, chwając się jak nieostrożny podróżny, któremu słoneczna spieka poraził mózg. — Co Wasza Królewska Mość raczyła powiedzieć?

— Mówię, że gdyby dziesięciu kupujących ten naszyjnik zwracało go tak jak ja, zostawiając panu za kłopot dwieście tysięcy liwrow zadatku, zarobiłbyś pan dwa miliony i naszyjnik w dodatku.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł jubiler, oblewając się potem — powiada, że zwróciła nam naszyjnik?...

— No, tak — odparła spokojnie królowa.. — Cóż panu jest?

— Najjaśniejsza Pani zaprzecza, że kupiła naszyjnik?

— Cóż za komedię odgrywamy? — zapytała surowo królowa.

— Czyż przez ten nieszczęsny naszyjnik ciągle ktoś musi tracić głowę?

— Bo zdawało mi się — rzekł Boehmer drżąc na całym ciele — że słyszałem z ust Waszej Królewskiej Mości, że oddała nam naszyjnik, że Najjaśniejsza Pani mówi... że zwróciła...

Królowa założyła ręce na piersiach.

— Na szczęście — rzekła — mam czym panu odświeżyć pamięć, gdyż, jak widzę, panie Boehmer, jesteś zapominalski, że już nie wyrażę się dobitniej.

Powiedziawszy to podeszła do kasetki, wyjęła bilecik, przebiegła go szybko oczami i podała jubilerowi.

— Styl dość jasny, jak mniemam.

I usiadła, by lepiej przyjrzeć się czytającemu.

Na twarzy jubilera zarysował się najpierw wyraz niedowierzania, lecz szybko zmienił się w wyraz dojmującego przestachu.

— No cóż? Uznajesz pan to pokwitowanie, świadczące w należytej formie, że odebrałeś naszyjnik?... A może zapomniałeś pan, jak się nazywasz?

— Ależ, Najjaśniejsza Pani — zawołał dusząc się ze strachu i złości — to nie jest mój podpis!

— Zapierasz się? — zawołała królowa.

— Stanowczo! Gdybym nawet wolność mą i życie miał postradać, nie mogę nic innego powiedzieć; nie otrzymałem naszyjnika. Choćby tu stał kat i pień do ścięcia, powiem, Najjaśniejsza Pani, to samo: to nie jest mój kwit.

— Więc jakże — odparła błędąc królowa. — Czy ja pana okradłam? Czy ja mam pański naszyjnik?

Boehmer poszperał w portfelu i wyjął list, który podał królowej.

— Sądzę — rzekł głosem wzburzonym, lecz pełnym uszanowania — że Najjaśniejsza Pani nie napisałaby tego rewersu, gdyby życzyła sobie zwrócić nam naszyjnik.

— Jak to?! — zawołała królowa. — Co to za świstek? Ja tego nie pisałam. To nie moje pismo!

— Wszak jest podpis! — krzyknął Boehmer niby rażony piorunem.

— Marie Antoinette de France... Ależ pan zmysły postradałeś! Przecież nie jestem Francuzką! Jestem arcyksiężniczką Domu Austriackiego! Któż mógł uwierzyć, że ja pisałam! Ech, panie Boehmer, to szyte zbyt grubymi nićmi, oświadczyć to pan swoim fałszerzom.

— Moim fałszerzom?... — jęknął jubiler bliski omdlenia. — Najjaśniejsza Pani podejrzewa mnie?

— A pan podejrzewasz mnie, Marię Antoninę — odparła królowa wyniośle.

— A ten list? — zauważył jeszcze, wskazując bilecik, który trzymała królowa.

— A to pokwitowanie? — odparła monarchini, wskazując na papier, którego nie wypuszczała z rąk.

Boehmer zmuszony był oprzeć się o fotel. Pokój wirował mu w oczach. Oddychał ciężko, żyły na karku nabrzmiały mu. Spurpurowiał, zdawało się, że dostanie apopleksji.

— Oddaj mi pan pokwitowanie — powiedziała królowa — uważam je za dobre... i weź sobie ten list z podpisem „Marie Antoinette de France”. Prokurator objaśni pana, jaką wartość ma ten podpis.

Przy tych słowach wyrwała z jego rąk pokwitowanie, cisnęła mu list, odwróciła się i wyszła do sąsiedniego pokoju, zostawiając samotnie nieszczęśliwego, który o niczym już nie myślał i wbrew wszelkiej etykietce upadł na fotel.

Po chwili przyszedł do siebie, zerwał się na równe nogi, wybiegł jak oszalały i opowiedział Bossange’owi awanturę w taki sposób, że ściągnął na siebie gwałtowne podejrzenie współnika. Kiedy jednak kilkakrotnie i wiernie powtórzył szczegóły, Bossange zaczął jęczeć i rwać perukę, a Boehmer z kolei wrywać sobie włosy, co dla przechodniów, którzy zaglądali do karety, przedstawiało teatrum dość komiczne.

Nie można jednak przesiedzieć całego dnia w karecie; a ponieważ pod czupryną znajduje się czaszka, a w niej powinny być myśli, jubilerzy postanowili wspólnie włamać się do pałacu i wybłagać coś w rodzaju wyjaśnienia.

W stanie godnym pożałowania poszli też zaraz w stronę zamku, gdy nagle zaszedł im drogę jeden z oficerów dworskich z wezwaniem do Jej Królewskiej Mości. Oczywiście skwapliwie usłuchali rozkazu.

Wprowadzono ich natychmiast.

LXXIV. KRÓL NIE RACZY, KSIĄŻĘ NIE MOŻE... ROHAN JESTEM

Królowa oczekiwała ich niecierpliwie, a spostrzegłszy, zawołała:

— A i pan Bossange. Sprowadzasz pan posiłki, panie Boehmer. Bardzo dobrze.

Boehmer nie miał siły odpowiedzieć. W takich przypadkach najlepiej wypada gest. Boehmer padł do nóg Marii Antoniny.

Ruch to był wymowny. Bossange natychmiast poszedł w ślady swego współnika.

— Panowie — rzekła królowa — uspokoiłam się już i nie będę się gniewała. Mam też pewną myśl. Nie ulega wątpliwości, że, tak panowie jak i ja, jesteśmy ofiarami nieporozumienia, które zresztą przestaje już dla mnie być nieporozumieniem.

— Ach, Najjaśniejsza Pani! — zawołał Boehmer zachwycony słowami królowej. — Już nas Najjaśniejsza Pani nie posądza o... — jakież brzydki wyraz... — o fałszerstwo!

— Równie przykry jest dla mnie jak i dla pana, zapewniam go o tym — rzekła królowa. — Nie, nie podejrzewam pana. Ale odpowiadaj pan na moje pytania. Nie otrzymałeś pan diamentów?

— Nie odebraliśmy ich — odpowiedzieli równocześnie jubilerzy.

— No, was raczej nie interesuje, komu je wręczyłam dla przekazania panom. To moja sprawa. Czy nie widzieliście, panowie, hrabiny de la Motte?

— Widzieliśmy ją, Najjaśniejsza Pani.

— Nie oddała panom nic w moim imieniu?

— Nic, Najjaśniejsza Pani. Powiedziała tylko: „Czekajcie”.

— A kto przyniósł list ode mnie?

— Ten list — odparł Boehmer — ten list przyniósł nam w nocy jakiś nieznaną posłaniec królewski.

— Aha, więc dowód, że nie przybywał ode mnie. Zadzwoń, zjawił się kamerdyner.

— Poproś panią hrabinę de la Motte — rozkazała królowa spokojnie.

— I nie widzieliście panowie nikogo? — mówiła dalej. — Może kardynał de Rohan?

— Tak, Najjaśniejsza Pani; kardynał de Rohan zachodził dowiadywać się...

— Bardzo dobrze — odparła królowa. — Nie szukajmy dalej. Jeśli i kardynał de Rohan w sprawę tę jest wmieszany, nie potrzebujecie się martwić, panowie, odgaduję wszystko: pani de la Motte, mówiąc „Czekajcie”, chciała... Nie, nie odgaduję i odgaduję nie chcę... Idźcie tylko, panowie, do kardynała de Rohan i opowiedzcie mu to, coście mnie powiedzieli; nie traćcie czasu i wspomnijcie, że wiem o wszystkim.

Bossange zdobył się na małą uwagę:

— Wasza Królewska Mość ma w ręku fałszywe pokwitowanie, a fałszowanie kwitów jest zbrodnią...

Maria Antonina ściągnęła brwi.

— Rzeczywiście, kiedyście panowie nie otrzymali naszyjnika, kwit nie ma wartości prawnej — powiedziała królowa — ale dla sprawdzenia fałszu muszę skonfrontować was z osobą, którą upoważniłam do zwrotu diamentów.

— Słusznie... Najjaśniejsza Pani — odparł Bossange. — My, uczciwi kupcy, nie lękamy się światła prawdy.

— Idźcie więc, panowie, szukać tego światła prawdy u kardynała de Rohan; on tylko może was objaśnić.

— I Wasza Królewska Mość pozwoli nam przynieść odpowiedź?

— Będą wiedziała wcześniej od was; już ja was wyprowadzę z kłopotów. Idźcie!

Odprawiła ich, a gdy odeszli, trawiona niepokojem posyłała gońca za gońcem po hrabinę de la Motte.

Nie będziemy jej towarzyszyć w tych poszukiwaniach i podejrzeniach, ponieważ musimy pośpieszyć za jubilerami na spotkanie upragnionej prawdy.

Kardynał był w domu. Z bezsilną wściekłością odczytywał bilecik przysłany przez hrabinę de la Motte z Wersalu.

List był niemiły. Odejmował kardynałowi wszelką nadzieję: nalegał nań, aby zapomniał o wszystkim, zabraniał pokazywać się w Wersalu, odwoływał się do jego szlachetności, by nie starał się wznowić związków, które stały się już niemożliwością.

Czytając te słowa de Rohan skręcał się ze złości, sylabizował każdą zgłoskę, jakby na papier przrzuczał odpowiedzialność za cierpkość, którą pokryła go okrutna ręka.

— Kokietka, kapryśnica, zdrajczyń! — wołał w rozpacz. — Ech, zemścę się!

Dorzucał epitety, które przynoszą ulgę małym sercom w wielkich miłosnych cierpieniach, ale które samej miłości nie leczą.

— Oto — rzekł — cztery jej listy; jeden więcej niesprawiedliwy i bardziej drakoński od drugiego. Zbalamuciła mnie dla kaprysu, mnie, toż to despekt! Może bym go nawet darował, gdyby nie poświęciła mnie dla nowej zachcianki.

I zawiedziony nieszczęśnik odczytywał z zapalem listy, których szorstkość sięgała granic nieskończoności.

Ostatni był arcydziełem okrucieństwa; przeszywał na wskroś serce kardynała, który był do tego stopnia zakochany, że na przekór samemu sobie z jakąś bolesną rozkoszą udrećcał się odczytywaniem po raz setny tych gorzkich wyrazów, nadesłanych — według zapewnień hrabiny de la Motte — z Wersalu.

W tej właśnie chwili kazali się zameldować jubilerzy. Kardynała mocno zdziwiły ich nalegania; trzykroć już odprawił kamerdynera, a ten po raz czwarty wrócił z oznajmieniem, że panowie Boehmer i Bossange nie chcą odejść, chyba że ich wyrzucą.

— Co to znaczy? — pomyślał kardynał. — Niech wejdą. Weszli; ich zmieszane twarze świadczyły o ciężkiej walce moralnej i fizycznej, jaką musieli stoczyć.

— Cóż to znaczy, panowie! — zawołał kardynał. — Cóż to za grubiaństwo nachodzić mię — czy coś się wam ode mnie należy?

Ton przywitania oblał współników lodowatą wodą.

— Czy scena u królowej ma się powtórzyć i tutaj? — zapytał spojrzeniem pan Boehmer pana Bossange.

— O nie!... — odparł Bossange, poprawiając odważnie perukę. — Jestem gotów na wszystko.

I postąpił groźnie naprzód; Boehmer, bardziej ostrożny, pozostał w tyle.

Kardynał myślał, że zwariowali i powiedział im to bez ogródek.

— Wasza Eminencjo — rzekł zrozpaczony Boehmer, wzdychając przy każdej sylabie — prosimy o sprawiedliwość i miłosierdzie. Oszczędź nam swego gniewu i nie zniewalaj nas do uchybienia w szacunku należnym najdosłojniejszemu księciu.

— Panowie — odparł de Rohan — jeżeli brak wam piątej kleпки, to każę was wyrzucić oknem, jeżeli zaś nie macie bzika, to w takim razie wyrzucę was za drzwi. Wybierajcie!...

— Wasza Eminencjo, nie jesteśmy wariaci, lecz okradzeni.

— Cóż mnie to obchodzi?... — odparł kardynał de Rohan. — Przecież ja nie jestem szefem policji.

— Ale miałeś pan naszyjnik w swoich rękach — rzekł Boehmer płacząco. — Będiesz, książę, musiał świadczyć...

— Miałem naszyjnik? — zapytał kardynał. — Czyż ten naszyjnik został skradziony?...

— Tak jest, Wasza Eminencjo.

— I cóż na to królowa? — zawołał ze współczuciem kardynał.

— Królowa przysłała nas do pana.

— To bardzo uprzejmie ze strony Najjaśniejszej Pani. Ale cóż ja wam poradzę, biedacy?

— Księżę pan może wiele dla nas uczynić; może powiedzieć nam, co się stało z naszyjnikiem.

— Ej, panie Boehmer, mógłbyś tak mówić, gdybym należał do bandy złodziejów, która skradła naszyjnik królowej.

— Nie królowej go ukradziono.

— Boże mój, komuż więc?

— Królowa powiada, że go nie miała.

— Jak to nie miała! Wszakże dała wam rewers.

— Jej Królewska Mość twierdzi, że rewers jest sfalszowany.

— Be, be, głowę straciliście, panowie. Królowa zapewne dlatego zaprzeczała, że ktoś trzeci was słuchał — rzekł kardynał.

— Nikt nie słuchał... Ale to nie wszystko...

— Cóż jeszcze?

— Królowa nie tylko zaprzeczyła, nie tylko oznajmiła, że kwit jest sfalszowany, lecz pokazała nam nasze pokwitowanie, jakobyśmy naszyjnik odebrali.

— Wasze pokwitowanie? Jak to?

— Równie fałszywe jak i tamto. I Wasza Miłość wie o tym dobrze.

— Sfalszowane oba kwity... I mówisz pan, że ja wiem o tym?

— Bezwarunkowo, Eminencjo!... Bo wszakże przyszedłeś utwierdzić nas o tym, co hrabina de la Motte nam powiedziała, a wiedziałeś, że naszyjnik sprzedaliśmy i że jest w ręku królowej.

— No, no, to sprawa bardzo poważna — rzekł kardynał, gładząc ręką czoło — porozumiejmy się... Kupiłem w imieniu królowej naszyjnik i dałem ćwierć miliona zadatku... Potem otrzymaliście rewers od królowej. Takeście mi powiedzieli; były tam terminy wyznaczone przez nią i poręczone jej podpisem.

— Jej podpisem?... Mówisz, księżę, że to jest podpis królowej?

Jubilerzy pokazali list, który kardynał przebiegł oczami.

— Ależ — zawołał — dziećmi jesteście, czy co?! Marie Antoinette de France... Przecież królowa jest córką Domu Austriackiego! Okradziono was: pismo i podpis są sfalszowane.

— Więc w takim razie hrabina de la Motte musi znać oszusta i złodzieja! — zawołali zrozpaczeni jubilerzy.

Logika tego twierdzenia zastanowiła kardynała.

Zadzwoił i dał rozkaz taki sam jak królowa.

Ludzie rozbiegli się w pogoni za Joanną, której powóz nie mógł być jeszcze daleko.

Ale Boehmer i Bossange, uciekając się do obietnic królowej, jak dwie spłoszone przepiórki kwilili:

— Naszyjnik, gdzie jest naszyjnik?!

— Ogłuszycie mnie — rzekł zagniewany kardynał. — Czy ja wiem, gdzie jest wasz naszyjnik! Wręczyłem go Najjaśniejszej Pani, to wszystko.

— Naszyjnik, jeżeli nie mamy pieniędzy, naszyjnik! — jęczeli Boehmer i Bossange.

— Panowie, to nie moja sprawa — powiedział kardynał doprowadzony do wściekłości i gotów wyrzucać jubilerów za drzwi.

— Pani, pani de la Motte! — chrzyplieli kupcy. — Tak, tak, ona nas zgubiła!

— Pani de la Motte jest osobą uczciwą i wara ją podejrzewać, bo każę was wybatożyć.

— Ale przecież ktoś jest winien — odparł zrozpaczony Boehmer. — Ktoś przecież napisał te dwa sfałszowane dokumenty.

— Czyż ja je wystawiłem? — zapytał wyniośle kardynał.

— Wasza Eminencjo, przecież tego nie mówimy, prosimy tylko o objaśnienie.

— Czekaście, niech sam je otrzymam.

— Wasza Eminencjo, cóż mamy odpowiedzieć Najjaśniejszej Pani, która także na nas podnosi głos?...

— I co mówi?

— Że Wasza Eminencja albo pani de la Motte ma naszyjnik, a nie ona.

— Tak! — zawołał kardynał blady ze wstydu i złości. — Powiedzcie więc królowej, że... Albo nie... nie mówcie lepiej nic; i tak już dość zgorszenia. Ale jutro... jutro będę w Wersalu; jedźcie tam, a zobaczycie, że pójdę do królowej i zapytam, czy naszyjnik nie jest w jej posiadaniu, usłyszycie, co powie, a jeżeli zaprzeczy w mojej obecności... w takim razie... Rohan jestem... zapłacę.

— Więc jutro?... Nieprawdaż, Wasza Eminencjo? — wyjąkał Boehmer.

— Jutro o jedenastej rano w Wersalu — odparł kardynał.

LXXV. SZERMIERKA I DYPLOMACJA

Nazajutrz około dziesiątej rano wjechał do Wersalu powóz z herbami pana de Breteuil.

Czytelnicy, którzy znają historię Balsamo i Gilberta, przypomną sobie, że pan de Breteuil był rywalem i nieprzyjacielem księcia de Rohan i tylko czyhał na sposobność zadania kardynałowi śmiertelnego ciosu.

Dyplomacja ma tę przewagę nad szermierką, że dobre lub złe odparcie ciosu szpady nastąpić musi w ułamku sekundy, gdy tymczasem politycy, jeśli trzeba, mogą przygotowywać cios przez lat piętnaście albo i więcej.

Pan de Breteuil, który już przed godziną prosił o posłuchanie u króla, zastał monarchę przy ubieraniu się na mszę.

— Śliczna pogoda — rzekł Ludwik XVI. — Prawdziwy dzień Wniebowzięcia, ani jednej chmurki na niebie.

— Przykro mi niezmiernie — zaczął minister — że muszę zachmurzyć pogodę Najjaśniejszego Pana. Jestem doprawdy zakłopotany; nie wiem, jakby ta Waszej Królewskiej Mości opowiedzieć, sprawa ta nie należy do mojego resortu... Chodzi o kradzież, co raczej powinno martwić jedynie pana ministra policji...

— Kradzież? — zawołał król — Jesteś pan strażnikiem pieczęci, a złodzieje prędzej czy później ze sprawiedliwością spotkać się muszą. Sprawa więc należy do pańskiego wydziału, do ministerium sprawiedliwości, mów pan, słuchana.

— Czy Wasza Królewska Mość słyszała o naszyjniku diamentowym?

— O naszyjniku Boehmera?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Naszyjnik, którego nie chciała królowa?... I dzięki temu mam piękny okręt „Suffren.”

— Właśnie o nim mówię, Sire — zauważył pan de Breteuil, nie zważając, że wywoła skandal. — Właśnie ten naszyjnik skradziono.

— O, to szkoda! — odparł król. — To była rzecz drogocenna, lecz łatwo poznać takie kamienie; policja na pewno je znajdzie.

— Najjaśniejszy Panie, nie idzie tylko o samą kradzież, lecz i o pogłoski... Najjaśniejszy Panie, twierdzą, że naszyjnik zatrzymała królowa.

— Jak to zatrzymała? W mojej obecności odmówiła kupna, nie chciała wcale nań patrzeć. Plotki, baronie, królowa nie zatrzymała naszyjnika.

— Najjaśniejszy Panie, niedobrze się wyraziłem; potwarz rzucana na monarchów jest zawsze tak niejasna, że wyrazić ją byłoby obrazą dla uszu królewskich. Słowo zatrzymała...

— Panie de Breteuil — przerwał z uśmiechem król — nie powiedzieli chyba, że królowa naszyjnik ukradła.

— Najjaśniejszy Panie — odparł żywo pan de Breteuil — mówią, że królowa dobiła później targu zerwanego w twej obecności; mówią — nie potrzebuję chyba nadmieniać, jak dalece szacunek mój i przywiązanie dla dworu gardzą tak nieszczelnymi domysłami — że jubilerzy mają rewers Jej Królewskiej Mości, w którym Najjaśniejsza Pani potwierdza, że naszyjnik zatrzymuje... Król zbladł.

— Tak mówią?... — powtórzył. — Ale czegoż nie mówią? Pomimo to jednak dziwię się bardzo. Gdyby nawet królowa poza moimi plecami kupiła naszyjnik, nie widziałbym w tym nic złego. Królowa jest kobietą, a naszyjnik był rzadkiej piękności.

Dzięki Bogu królowa może wydać półtora miliona na swą toaletę. Pochwałę ją. Wina byłaby tylko w tym, że przemilczała transakcję, ale mieszanie się w tę sprawę nie należy do króla, to rzecz męża. Mąż strofuje żonę, jeśli chce. Nikomu nie przyznaję prawa do wtrącania się, nawet przez obmowę.

Baron pochylił się na słowa króla tak szlachetnie i wzniosłe. Ale był to tylko pozór mocy, w chwilę już po jej okazaniu Ludwik XVI zawahał się i zaniepokoił.

— Cóż pan mówił o kradzieży? Zdaje mi się, żeś pan powiedział... kradzież... Gdyby naszyjnik był w rękach królowej, nie mogłoby być mowy o kradzieży. Gdzie logika?...

— Gniew Najjaśniejszego Pana — odparł baron — nie dał mi dokończyć...

— Mój gniew, ja w gniewie? — dobry król zaczął się śmiać. — Mów pan, mów wszystko; powiedz nawet, że królowa sprzedała naszyjnik Żydom... Biedna królowa często potrzebuje pieniędzy, nie zawsze ode mnie dostaje.

— Na to właśnie chciałem zwrócić twoją uwagę, Najjaśniejszy Panie. Królowa żądała od pana de Calonne pięćset tysięcy liwrów, a Wasza Królewska Mość odmówił podpisu. Mówią, że suma ta służyć miała na zapłacenie pierwszej raty za naszyjnik. Królowa nie miała pieniędzy, więc nie mogła zapłacić. Właśnie tu zaczyna się sprawa, którą obowiązek nakazuje mi opowiedzieć Waszej Królewskiej Mości.

— Co? — zawołał król. — Tu się sprawa dopiero zaczyna? Cóż więc jest? Mój Boże!

— Mówią, Najjaśniejszy Panie, że królowa udała się do kogoś o pożyczkę pieniężną.

— Dziwy jakiegoś pan mówi, panie de Breteuil. A, już zgaduję... Intryga zagraniczna; królowa żądała pieniędzy od brata lub od kogoś z rodziny... Czuję w tym Austrię.

— Lepiej byłoby, gdyby tak było — odparł de Breteuil.

— Jak to lepiej by było... Więc od kogóż królowa żądała pożyczki?

— Nie śmiem, Najjaśniejszy Panie...

— Dziwię ci się, mój panie — rzekł król przybierając ponownie ton królewski. — Mów pan natychmiast, nazwij mi tego wierzyciela!

— Pan de Rohan, Najjaśniejszy Panie.

— Ze też pan nie wstydzisz się wymieniać pana de Rohan, największego bankruta w królestwie.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł de Breteuil, spuszczać oczy.

— Ton mowy pańskiej nie podoba mi się wcale — odparł król. — Musisz się pan wytłumaczyć, panie strażniku pieczęci.

— Za nic w świecie, Najjaśniejszy Panie; nic nie zdoła wycisnąć z ust moich słów, ubliżających czci mego króla i mojej królowej.

Ludwik XVI zmarszczył brwi.

— Schodzimy bardzo nisko, panie de Breteuil; ten raport policyjny cuchnie.

— Wszelka potwarz rodzi jadowite wyziewy, Sire, dlatego trzeba, żeby się królowie oczyszczali i to za pomocą radykalnych remediów, jeśli nie chcą, żeby trucizna zabiła ich nawet na tronie.

— Pan de Rohan — szepnął król. — Ależ to nieprawdopodobne... Kardynał pozwala to mówić?

— Wasza Królewska Mość raczy przekonać się; pan de Rohan umawiał się z jubilerami Boehmerem i Bossange i ustalił warunki zapłaty.

— Czyżby tak było rzeczywiście? — zawołał król zdjęty smutkiem i zazdrością.

— Dowieść tego łatwo może najzwyczajniejsze śledztwo; zobowiązuję się wysledzić wszystko...

— Zobowiązujesz się pan?

— Tak, biorę to na moją odpowiedzialność, Najjaśniejszy Panie.

Król wielkimi krokami chodził po pokoju.

— Okropne to sprawy — rzekł — lecz nie widzę jeszcze kradzieży.

— Najjaśniejszy Panie, jubilerzy mają pokwitowanie, podpisane przez królową, musi ona więc mieć naszyjnik...

— A! — zawołał król, a w głosie jego brzmiała nadzieja. — Królowa zaprzecza... Breteuil...

— Najjaśniejszy Panie, czy kiedykolwiek dawałem do zrozumienia, że podejrzewam królowę? Człubym się bardzo nieszczęśliwy, gdybym przypuszczał, że Wasza Królewska Mość nie widzi mego szacunku i przywiązania dla najniewinniejszej z niewiast.

— W takim razie oskarżasz pan tylko pana de Rohan?... To ciężkie oskarżenie, baronie.

— Może upadnie ono wobec śledztwa, lecz to jest konieczne potrzebne. Pomyśl, Najjaśniejszy Panie, że królowa twierdzi, że nie ma naszyjnika, a jubilerzy obstają, jakoby naszyjnik królowej sprzedali; naszyjnika znaleźć nie można, ludzie mówią o kradzieży... i słowo to kładą obok nazwiska królowej i pana de Rohan.

— Prawda, panie de Breteuil, ta sprawa musi być wyjaśniona. Ależ, Boże mój! Czy to tam pod galerią nie przechodzi właśnie pan de Rohan?

— Chyba nie, Najjaśniejszy Panie; pan de Rohan teraz jeszcze nie może iść do kaplicy. Nie ma jeszcze jedenastej, a ponieważ Jego Eminencja odprawia dziś mszę świętą, byłby w szatach pontyfikalnych... To nie on. Wasza Królewska Mość ma jeszcze pół godziny czasu. Pozwól mi, Najjaśniejszy Panie, udzielić ci rady: nie rozgłaszaj tej sprawy nie pomówiwszy z królową.

— Słusznie — zauważył król — ona powie mi prawdę. Usiądź pan, panie de Breteuil i opowiedz mi wszystko: okoliczności obciążające i łagodzące.

— Przygotowałem już wszystko i mam nawet w portfelu dowody.

— Zatem do dzieła, tylko jeszcze zapowiem, aby nam nie przeszkadzano; wyznaczyłem dwa posłuchania na dzisiaj, odłożę na kiedy indziej.

Król wydał rozporządzenia, po czym znów wyjrzał przez okno.

— Ale teraz — rzekł — naprawdę już idzie kardynał. Breteuil wstał, przybliżył się do okna i ujrzał pana de Rohan w stroju kardynała-arcybiskupa. Szedł do pokojów, wyznaczonych mu w Wersalu, ilekroć celebrował nabożeństwo w kaplicy.

— Dobrze, że jest — zawołał król wstając.

— Bardzo dobrze — powtórzył baron. — Wytłumaczenie nastąpić może bez zwłoki.

I zaczął przedstawiać królowi dokumenty z piekielną gorliwością człowieka, który chce zgubić drugiego.

W portfelu starannie zebrane było wszystko, co mogło przyczynić się do upadku kardynała. Król coraz więcej widział dowodów winy pana de Rohan, lecz nie widział wcale dowodów niewinności królowej. Był zrozpaczony. Męczarnię tę znosił około kwadransa, gdy nagle rozległ się krzyk w sąsiedniej galerii. Król nadstawił ucha, baron przerwał czytanie.

Oficer ordynansowy zapukał do drzwi gabinetu.

— Co tam? — zapytał monarcha, którego nerwy napięte były do ostatnich granic na skutek raportu pana de Breteuil.

— Najjaśniejszy Panie, Jej Królewska Mość pragnie widzieć się z Najjaśniejszym Panem.

— Widocznie coś zaszło — rzekł król blednąc. — Idę do królowej, czekaj pan tu na nas.

— Dobrze... zbliżamy się do rozwiązania sprawy — szepnął strażnik pieczęci państwa.

LXXVI. SZLACHCIC, KARDYNAŁ I KRÓLOWA

W chwili kiedy pan de Breteuil wchodził do króla, pan de Charny, blady i wzruszony, kazał prosić królowę o posłuchanie.

Maria Antonina ubierała się, wtem ujrzała przez okno swego buduaru Charny'ego i zanim jeszcze oficer przedłożył prośbę o zaanonsowanie go, rozkazała, by go przyprowadzono.

Charny wszedł drżąc cały, ujął rękę królowej i zawołał:

— O, pani, jakież nieszczęście! Czy wiesz, pani, czego dowiedziałem się przed chwilą?... Czy wiesz, co sobie z ust do ust podają, o czym może król już wie lub czego lada chwila może się dowiedzieć?

Królowę przebiegł dreszcz — pomyślała o owej nocy niewypowiedzianych rozkoszy... może oczy zazdrosne i nieprzyjazne dojrzały ją w parku wersalskim z panem de Charny...

— Mów pan, jestem dość silna — odparła.

— Mówią, że Wasza Królewska Mość kupiła naszyjnik u Boehmera i Bossange'a.

— Oddałam go — odpowiedziała żywo.

— Posłuchaj, pani. Mówią, że udawałaś tylko chęć oddania, gdyż sądziłaś, że będziesz mogła zapłacić, król tymczasem odmówił podpisania asygnacji, przedstawionej przez pana de Calonne; wtedy udać się miałaś po pieniądze, a ten ktoś — to twój kochanek!...

— Ty?! — zapytała królowa z wyrazem bezgranicznej ufności. — Ty, panie! Niechaj mówią, co chcą! Nie tak im słodko rzucić w obeldze tytuł kochanka, niż uznać za prawdę niewdzięczny tytuł przyjaciela.

Charny zatrzymał się, wzruszyły go odważne słowa tchnące prawdziwą miłością, a płynące wprost z serca szlachetnej kobiety. Milczenie podwoiło jednak niepokój królowej.

— O czym pan chcesz mówić? — zawołała. — Potwarz posiada język, którego nie rozumiem. A ty, czy rozumiesz?

— Pani, racz być uważna, gdyż sprawa nie jest błaha. Wczoraj byłem z wujem moim, panem de Suffren, u jubilerów nadwomych. Wuj przywiózł z Indii brylanty, chciał je ocenić. Panowie Boehmer i Bossange opowiedzieli komandorowi wstrętną historię, którą rozgłaszają wrogowie Waszej Królewskiej Mości. Pani, jestem w rozpacz. Kupiłaś naszyjnik? Powiedz mi. Nie zapłaciłaś? Powiedz mi także. Ale nie pozostawiaj mnie w przekonaniu, że pan de Rohan zapłacił za ciebie!

— Pan de Rohan? — powtórzyła królowa.

— Tak jest, pan de Rohan, który uchodzi za kochanka królowej, od którego królowa pożycza pieniądze, pan de Rohan, którego pewien nieszczęśnik, nazwiskiem Charny, widział w parku wersalskim, gdy klękał przed królową, gdy całował jej rękę, gdy...

— Panie?... — zawołała Maria Antonina. — Jeżeli w to wierzysz, gdy mnie nie ma, najwidoczniej nie kochasz mnie nawet wtedy, gdy jestem...

— Och! — odparł młody człowiek. — Niebezpieczeństwo jest groźne, nie przychodzę prosić o szczerłość ani odwagę, przychodzę błagać o przysługę!

— Ależ, jakie niebezpieczeństwo, mówże!

— Jakie? Och, pani, trzeba być bez zmysłów, by go nie zrozumieć! Jeżeli kardynał odpowiada i płaci za królowę, to ją gubi. Nie mówię tu o śmiertelnym ciosie, jaki może zadać panu de Charny ufność podobna do tej, którą książę de Rohan... budzi w królowej. Nie, z takich cierpień umiera się, ale się nie skarży na nie.

— Oszalałaś! — zawołała rozgniewana królowa.

— Nie, Najjaśniejsza Pani, to ty, nieszczęsna, jesteś zgubiona. Ja, ja sam widziałem cię w parku... Nie myślę się, nie myślę. Dziś objawiła się, dziś poznałem zabójczą prawdę! Pan de Rohan chęłpić się może...

Królowa chwyciła Charny'ego za rękę.

— O szalony, człowieku szalony!... — zawołała z przejęciem. — Wierz w złość, wierz w pozory, wierz w nieprawdopodobieństwo, ale, na miłość boską, po wszystkim, co ci powiedziałam, jak możesz wierzyć, że jestem występna. Występna... Z kim? Występna... Ja, która myśląc o tobie, błagam Boga o przebaczenie za tę jedną myśl, która równa się zbrodni. O panie de Charny, jeżeli nie pragniesz mej zguby, jeżeli nie chcesz, żebym jutro umarła, nie mów nigdy, że mnie podejrzewasz lub uciekaj, oddal się tak daleko, żebyś nie mógł słyszeć upadku mego ciała w chwili śmierci. Oliwier załamywał ręce w rozpacz.

— Racz mnie posłuchać — rzekł — jeżeli chcesz, by moja przysługa była skuteczna!

— Twoja przysługa! — zawołała królowa. — Pana, który jesteś okrutniejszy dla mnie niż moi wrogowie — oni tylko mnie oskarżają, pan zaś, pan mnie podejrzewasz!... Przysługa ze strony człowieka, który mną pogardza. Nigdy!

Oliwier, przybliżywszy się, ujął ręce królowej.

— Przekonasz się — rzekł — że nie jestem stworzony do jęków i płaczu. Chwila jest stanowcza. Dziś wieczór będzie już za późno na wykonanie tego, do czego jesteśmy zmuszeni... Czy chcesz wyzwolić mię od rozpacz, a siebie od hańby?

— Panie!

— Nie będę w obliczu śmierci dobierał wyrazów... Jeżeli mnie nie wysłuchasz, oboje dziś wieczór oddamy życie: ty ze wstydu, a ja na widok twej śmierci! Do ataku, Najjaśniejsza Pani, jak w bitwie. Wprost na wroga. Wprost na niebezpieczeństwo. Uderzymy razem. Jeżeli zginiesz, nie będziesz sama. Słuchaj, uważaj mnie za brata. Mów... potrzebujesz pieniędzy... na zapłacenie naszyjnika?

— Ja?

— Nie zapieraj się, pani! Nie mów, że nie posiadasz naszyjnika.

— Przysięgam ci...

— Nie przysięgaj, jeżeli chcesz, bym cię kochał.

— Oliwierze!

— Pani, pozostaje ci tylko jeden sposób uratowania twojej czci i miłości. Naszyjnik kosztuje milion sześćkroć sto tysięcy liwrów, dałaś zadatek, oto jest półtora miliona, weź, proszę. Nie pytaj, lecz bierz i zapłać.

— Sprzedałeś swoje dobra, swoje posiadłości? Oliwierze!...

Rujnujesz się dla mnie! Jesteś dobry i szlachetny, nie będę się drożyć z wyznaniem. Oliwierze, kocham cię!

— Przyjmij!

— Kocham cię.

— Więc pan de Rohan ma zapłacić? Pani, nie wspaniałomyślność twoja... lecz okrucieństwo mnie zabija... Przyjmiesz pieniądze od kardynała...

— Dajże pokój, cóż znowu! Jestem królową, panie de Charny. Jeżeli poddanych moich obdarzam miłością i fortuną, sama nic nie przyjmuję.

— Lecz cóż poczujesz?

— Ty mi powiedz, co począc? Jak sądzisz, co myśli pan de Rohan?

— Że jesteś jego metresą.

— To okrucieństwo, Oliwierze!

— Mówię tak jak człowiek przed śmiercią.

— Co myślą jubilerzy?

— Myślą, że skoro królowa nie jest w stanie zapłacić, zapłaci za nią pan de Rohan.

— A co ludzie mówią?

— Mówią, że masz naszyjnik; że go chowasz do czasu, aż ktoś zapłaci — czy to kardynał z miłości, czy też król z obawy skandalu.

— Dobrze. A teraz ty sam, Charny, patrz mi w oczy, odpowiedz szczerze: co myślisz o scenach, które widziałeś w parku wersalskim?

— Myślę, że powinnaś, Najjaśniejsza Pani, przekonać mnie o swej niewinności — odparł niezłomny szlachcic.

Królowa otarła czoło chusteczką.

— Księżę Ludwik, kardynał de Rohan, Wielki Jałmużnik Francji! — rozległ się głos na korytarzu.

— On — szepnął Charny.

— W porę dla ciebie przychodzi — powiedziała królowa.

— Przyjmiesz go?

— Chciałam posiać po niego. Wejdz do mego buduaru i drzwi przymknij tylko, żebyś mógł słyszeć... Prędko, zbliża się.

Przy tych słowach popchnęła pana de Charny do swego pokoju, przymknęła drzwi i kazała prosić kardynała.

Pan de Rohan stanął na progu cały w purpurze i złocie.

W pewnej odległości za nim widać było barwny poczet.

Wśród świty znajdowali się również panowie Boehmer i Bossange, nieco skrępowani w niezwykłych paradnych strojach.

Królowa podeszła do kardynała próbując uśmiechnąć się, lecz uśmiech wkrótce zamarł na jej wargach.

Ludwik de Rohan był poważny, a nawet smutny. W postawie jego czuło się spokój człowieka śmiałego, który występuje do walki oraz ledwo dostrzegalną pogrózkę kogoś, kto zamierza przebaczyć.

Królowa wskazała mu taboret, lecz kardynał nie usiadł.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł kłaniając się i starając nie okazać wzruszenia — miałem kilka ważnych rzeczy do zakomunikowania, lecz Najjaśniejsza Pani widocznie mnie unika.

— Ja unikam pana?... Ależ bynajmniej, chciałam nawet posłać po niego.

— Czy jestem sam z Najjaśniejszą Panią? — zapytał cicho kardynał. — Czy mogę mówić swobodnie?

— Jak najswobodniej, kardynale, jesteśmy sami.

Mocny jej głos miał widocznie przedrzeć się do pokoju, gdzie ukryty był Charny. Dumna była ze swej odwagi, cieszyła się, że za chwilę Oliwier odzyska ufność.

Kardynał wahał się jeszcze; przysunął sobie taboret i siadł blisko królowej, tak by umieścić się możliwie najdalej od wejścia.

— Po cóż tyle przygotowań? — spytała królowa siląc się na ton żartobliwy.

— Czy król tu teraz nie wejdzie? — zapytał pan de Rohan.

— Ależ nie bój się pan ani króla, ani kogo innego — odparła żywo Maria Antonina.

— O ja lękam się tylko Najjaśniejszej Pani — rzekł głosem wzruszonym kardynał.

— No, tym bardziej nie ma powodu do obaw, nie jestem taka straszna. Mów pan zwięźle, głośno i wyraźnie, lubię szczerłość, jeżeli zaś będziesz mnie chciał oszczędzać, pomyślę, że nie jesteś człowiekiem honoru. Och, bez gestów, mówiono mi, że masz pan do mnie żal. Mów,

proszę, lubię wojnę, w żyłach moich płynie krew, która się nie trwoży. Wiem to samo o panu...
Co masz mi do zarzucenia?

Kardynał wstał i odetchnął głęboko.

LXXVII. WYJAŚNIENIA

Charny, ukryty w buduarze, słyszeć mógł każde słowo rozmawiających. Nareszcie dojsć miało do upragnionych wyjaśnień.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł kardynał kłaniając się — wie zapewne, co się dzieje z naszym naszyjnikiem?

— Nie, panie, właśnie nie wiem i chciałabym się dowiedzieć od pana.

— Dlaczego Wasza Królewska Mość od tak dawna zmusza mnie do porozumiewania się przez pośrednictwo? Czemu, jeśli królowa nienawidzi mnie i ma do tego powód, nie raczy mi tego wytłumaczyć sama?

— Nie wiem, jak rozumieć pańskie słowa, mości kardynale; nie mam wcale powodu nienawidzić cię. Ale nie takie problemy, spodziewam się, mają być przedmiotem naszej rozmowy, zechciej więc łaskawie udzielić mi wiadomości o tym nieszczęsnym naszyjniku. Ale przedtem jeszcze, gdzie jest pani de la Motte?

— Chciałem właśnie zapytać o to, Najjaśniejsza Pani.

— Przepraszam, ale zdaje mi się, że tylko pana pytać można o panią de la Motte.

— Tylko mnie? Dlaczego?

— Nie pragnę pańskiej spowiedzi, kardynale, lecz chciałam mówić z panią de la Motte. Posyłałam po nią dziesięć razy i pozostałam bez wieści; przyznasz pan, że takie nagłe zniknięcie jest dziwne...

— I mnie zadziwiło to zniknięcie. Kazałem prosić do siebie panią de la Motte i też zostałem bez wiadomości.

— Więc zostawmy hrabinę, a mówmy o nas.

— O, nie, Najjaśniejsza Pani, mówmy najpierw o niej, gdyż ogarnęły mię pewne bolesne wątpliwości. Czyżby Wasza Królewska Mość wyrzucała mi jakieś awanse wobec hrabiny?

— Niczego jeszcze nie wyrzucałam panu, księżę — ale cierpliwości!

— Och, Najjaśniejsza Pani, bo podobne podejrzenia wyjaśniałyby ową drażliwość twej duszy. Rozpaczając, mógłbym jednak pojąć ową dziwną surowość, z jaką mnie karzesz.

— Ot i znowu przestajemy się rozumieć. Płaczesz coś, kardynale. Mieliśmy wyjaśnić sprawę, a nie zaciemniać jej. Do rzeczy!

— Najjaśniejsza Pani! — zawołał kardynał, złożonywszy błagalnie ręce i stając przed królową. — Zrób mi tę łaskę... nie zmieniaj tematu rozmowy: dwa słowa tylko, a zrozumielibyśmy się!

— Doprawdy, panie, mówisz obcym dla mnie językiem. Wróćmy do francuskiego, proszę. Gdzie jest naszyjnik, który zwróciłam jubilerom?

— Naszyjnik, który Wasza Królewska Mość zwróciła jubilerom?

— No tak, co z nim zrobiłeś.

— Ależ ja nic nie wiem!

— To chyba proste: pani de la Motte wzięła naszyjnik, aby oddać go w moim imieniu; jubilerzy twierdzą, że go nie odebrali. W rękach moich znajduje się pokwitowanie odbioru; jubilerzy twierdzą, że podpis jest sfałszowany. Pani de la Motte mogłaby wszystko wytłumaczyć... ale nie można jej znaleźć, trzeba więc uciec się do dedukcji. Pani de la Motte chciała oddać naszyjnik, pan zaś, który w swej życzliwości uparłeś się kupić go dla mnie, pan, który sam mi go przyniosłeś proponując, że za mnie zapłacisz...

— A Wasza Królewska Mość stanowczo odrzuciła moją propozycję — rzekł kardynał westchnąwszy.

— No, tak. Pan więc, który obstawałeś w postanowieniu, że naszyjnik musi być moim, nie zwróciłeś go jubilerom, aby mi oddać go przy sposobności. Pani de la Motte była uległa, choć wiedziała, że obrzydł już mi i że nie mogąc zań zapłacić, nie chcę zatrzymać go; widocznie spiskowała wraz z panem w swej gorliwości, dziś zaś obawia się mego gniewu i nie pokazuje się wcale. Czyż nie tak było? Czyż niedobrze odtworzyłam tę ciemną historię? Pozwól, że zarzucę ci lekkomyślność i i nieposłuszeństwo... Zresztą na tym skończy się reprimenda. Przyrzekam również wybaczyć pani de la Motte, niech opuści miejsce pokuty. Ale, na miłość boską, mów jasno, książę, proszę cię. Bo wyjaśnić potrzeba wszystko. Nie chcę, aby jakikolwiek cień padał na moje życie. Nie chcę, rozumiesz pan?

Królowa mówiła tak żywo i tak dobitnie, że kardynał nie mógł ani nie śmiał przerwać. Dopiero, gdy skończyła, odparł tłumiąc westchnienie:

— Najjaśniejsza Pani, odpowiem teraz na wszystkie jej domysły. Nie mogłem trwać w postanowieniu, aby naszyjnik do pani powrócił, gdyż byłem przekonany, że znajduje się w jej rękach. Nie spiskowałem wcale z panią de la Motte w kwestii naszyjnika; nie mam naszyjnika, tak samo jak nie mają go jubilerzy, tak samo, jak pani go nie masz.

— Ależ to niemożliwe! — zawołała przerażona królowa. — Nie masz pan naszyjnika?

— Nie mam, Najjaśniejsza Pani.

— Nie doradzałeś hrabinie de la Motte, żeby nie oddawała?

— Bynajmniej, Najjaśniejsza Pani.

— Pan jej nie ukryłeś?

— Nie, Najjaśniejsza Pani.

— A jakże pan tłumaczysz sobie to całe zajście?

— Zmuszony jestem przyznać, że nie tłumaczę go sobie wcale. Zresztą nie po raz pierwszy skarzę się królowej, że mnie nie rozumie.

— Kiedyś pan się skarżył? Nie przypominam sobie.

— Bądź łaskawa, pani i racz odczytać w pamięci moje listy.

— Pańskie listy? — zapytała zdziwiona królowa. — Czy pisywałeś pan do mnie?

— Zbyt rzadko, aby wyjawić wszystko, co miałem w sercu. Królowa wstała.

— Zdaje mi się, że oszukujemy się oboje; skończmy te żarty. Co pan mówi o jakichś listach? Jakie listy? I co pan masz na sercu czy w sercu, bo nie wiem, jakieś pan powiedział?

— Boże mój! Czyżbym zbyt głośno wyjawiał tajemnicę mej duszy?

— Jaką tajemnicą? Czy pan jesteś przy zdrowych zmysłach, kardynale?

— Pani!

— Bez wykrętów. Mówisz pan jak człowiek, który pragnie zastawić pułapkę lub chce mnie zawstydzić przy świadkach.

— Przysięgam, Najjaśniejsza Pani, że nic nie powiedziałem, ale czy rzeczywiście ktoś nas słyszy?

— Nikt absolutnie. Wytłumacz się więc, kardynale, jeśli jesteś przy zdrowych zmysłach, udowodnij.

— O Pani! Czemu tu nie ma hrabiny de la Motte, ona by mi pomogła — ona, nasza przyjaciółka — obudzić, jeśli nie przywiązanie Waszej Królewskiej Mości, to przynajmniej pamięć.

— Nasza przyjaciółka?... Przywiązanie moje?... Moja pamięć?... Tracę głowę!

— Najjaśniejsza Pani, błagam cię — obruszył się kardynał dotknięty cierpkością głosu królowej. — Błagam cię, oszczędzaj mnie. Wolno ci nie kochać już, lecz nie obrażaj.

— Boże mój! — zawołała blednąc królowa. — Boże!.. Co ten człowiek mówi?

— Dobrze więc — zaczął znowu kardynał de Rohan rozjątrzając się coraz bardziej — dobrze, sędzę, że byłem dość dyskretny i dość ostrożny, żeby inaczej się ze mną obchodzić. Czy winy, które wyrzucam ci, są lekkie? Ale, po co powtarzam się! Powinienem wiedzieć, że kiedy królowa mówi nie chcę już, jest to prawo równie nie do obalenia, jak kiedy kobieta mówi chcę.

Królowa jęknęła i chwyciła gwałtownie kardynała za koronkowy mankiet.

— Powtórz pan — zawołała głosem załamującym się. — Powiedziałam nie chcę już i powiedziałam chcę. Do kogo powiedziałam jedno, a do kogo drugie?

— Ależ do mnie jedno i drugie.

— Do pana?

— Zapomnij, żeś powiedziała jedno, ja o drugim nie zapomnę nigdy.

— Jesteś nędznikiem, panie de Rohan, jesteś kłamcą!

— Ja?

— Jesteś podły, spotwarzasz kobietę!

— Ja?

— Jesteś zdrajcą! Znieważasz królowę!

— A pani jesteś kobietą bez serca, królową bez czci!

— Szalenciec!

— Doprowadziłaś mnie do tego, że oszalałem dla ciebie. Pozwoliłaś mi żywić nadzieję.

— Nadzieję?! Boże, czyż ja jestem obłąkana, czy on jest zbrodniarzem?...

— Czyż ja śmiałybym prosić o nocne spotkania? Kto to wymyślił?

Królowa krzyknęła z wściekłości, cichy jęk odpowiedział z buduaru.

— Czyż ja — mówił dalej pan Rohan — śmiałybym wejść sam w nocy do parku wersalskiego, gdybyś nie przysłała panią de la Motte?

— Boże!

— Czyż ja śmiałybym skraść klucz przy domku łowczego?

— Boże!

— Czyż ja śmiałybym prosić ciebie o różę, tę oto ubóstwianą, zeszlą różę, spaloną moimi pocałunkami?

— Boże!

— Czyż przymusiłem cię do tego, byś zeszyła nazajutrz i podała mi do ucałowania obie ręce, których dotknięcie doprowadza mnie dotąd do szaleństwa. Tak, jestem szalony.

— Och, dosyć tego, dosyć!

— Czyż ja nareszcie w najbardziej nieposkromionej pysze ośmieliłbym się marzyć o tej trzeciej nocy, pod jasnym niebem, wśród słodkiego milczenia, o nocy występnej miłości?

— Panie — zawołała królowa, cofając się — bluźnisz!

— Boże mój! — odparł kardynał, oczy ku niebu podnosząc. — Ty tylko wiesz, czy nie byłbym poświęcił majątku, wolności, życia, byleby kochała mnie dłużej ta zwodnicza kobieta.

— Panie de Rohan, jeśli pragniesz zachować wszystko o czym mówisz, musisz wyznać tu zaraz, że chciałeś mnie zgubić, że sam wymyśliłeś te szkaradzieństwa, że nie przychodziłeś w nocy do Wersalu...

— Przychodziłem — odparł z godnością kardynał.

— Umrzesz, jeśli tak będziesz mówić!

— Rohan nigdy nie kłamie, przychodziłem.

— Panie de Rohan, panie de Rohan, zaklinam cię w imię Boga, powiedz, żeś mnie nie widział w parku.

— Umrę, jeżeli trzeba, jak mi grozisz, lecz ciebie tylko widziałem w parku wersalskim, do którego wprowadzała mnie pani de la Motte.

— Raz jeszcze — zawołała królowa chwiejąc się, śmiertelnie blada — odwołaj!

— Nie!

— Po raz drugi, przyznaj, żeś sam uknuł to bezeceństwo?

— Nie!

— Po raz ostatni, panie de Rohan, powiedz, może pana oszukano, powiedz! Przecież to potwarz, urojenie, niepodobieństwo — sama już nie wiem co! Przyznaj, że jestem niewinna!

— Nie, nie mogę!

Królowa wyprostowała się groźnie.

— Skoro odrzucasz sprawiedliwość boską — powiedziała uroczyście — będziesz miał odtąd do czynienia ze sprawiedliwością królewską.

Kardynał skłonił się w milczeniu.

Królowa zadzwoniła tak gwałtownie, że wbiegło naraz kilka niewiast.

— Oświadczyć Najjaśniejszemu Panu — powiedziała ocierając usta — że proszę, aby był łaskaw zaraz tu przyjść.

Wezwany oficer udał się z poleceniem do króla. Kardynał zdecydowany na wszystko, czekał w rogu pokoju.

Maria Antonina dziesięć razy podchodziła do drzwi buduaru i zatrzymywała się, jakby u drzwi tych odzyskiwała zmysły.

Nie upłynęło dziesięć minut, a król stanął w progu, trzymając rękę za koronkowym żabotem.

Przez drzwi w głębi orszaku widać było przerażone twarze panów Boehmera i Bossange'a.

LXXVIII. ARESZTOWANIE

Zaledwie król ukazał się na progu, królowa wykrzyknęła gorączkowo:

— Najjaśniejszy Panie, kardynał de Rohan opowiada tu rzeczy niewiarygodne; zechciej poprosić go, by raczył powtórzyć.

Kardynał zbladł. Położenie było tak szczególne, że stracił kontenans. Jakże on, domniemany kochanek, on, wierny poddany, mógł wyznać przed mężem i królem, jakie prawa przypisywał sobie wobec królowej i kobiety.

Ale król zwracając się wprost do kardynała pogrążonego w myślach ułatwił mu odpowiedź.

— A zatem o pewnym naszyjniku masz md pan powiedzieć rzeczy nie podobne do wiary. Mam więc słuchać jakichś nieprawdopodobieństw. Mów pan, słucham.

Pan de Rohan postanowił już. Z dwójga złego wybierze mniejsze i z dwóch niebezpieczeństw wybierze zaszczytniejsze dla pary monarszej, a jeśli przycisną go do muru w drugiej sprawie, trudno, postara się wyjść z honorem i po rycersku.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, to sprawa naszyjnika.

— Ależ kardynale — rzekł król — podobno pan kupiłeś ten naszyjnik?

Kardynał spojrział na królowę i nic nie odpowiedział.

— Tak, czy nie? — zapytała królowa. — Mów prawdę, panie, tylko o prawdę pytamy.

Pan de Rohan odwrócił głowę i nie odpowiedział.

— Skoro pan de Rohan odmawia odpowiedzi, zechciej pani odpowiedzieć — rzeki król zwracając się do królowej — wszak pani musi też coś wiedzieć. Kupiłaś, pani, naszyjnik? Tak, czy nie?

— Nie!... — odparła stanowczo królowa. Książę drgnął.

— Oto odpowiedź królowej — zawołał król surowo. — Co pan na to, kardynale?

Przez usta de Rohana przemknął wzgardliwy uśmiech.

— Nic pan nie mówisz? — zapytał go król.

— O co mnie oskarżają, Najjaśniejszy Panie?

— Jubilerzy powiadają, że sprzedali naszyjnik panu albo królowej: pokazują rewers Jej Królewskiej Mości.

— Rewers sfalszowany — nadmieniła królowa.

— Jubilerzy powiadają, że, wobec odmowy królowej, posiadają twoją rękojmię. Co to znaczy... panie kardynale?...

— Nie odmawiam zapłaty, Najjaśniejszy Panie. To widocznie prawda, jeśli królowa pozwala tak mówić.

I podkreślił myśl drugim spojrzeniem bardziej jeszcze pogardliwym od pierwszego. Królowa skuliła się. Na pogardę kardynała nie zasłużyła, nie było to więc obelgą, była to jednak zemsta człowieka prawego i to ją przerażało.

— Mości kardynale — rzekł król — pozostaje jeszcze sprawa fałszu. Ktoś śmiał sfalszować podpis królowej Francji.

— I drugi fałsz — zawołała królowa — nie godzien szlachcica: sfalszowano podpis jubilerów, że odebrali naszyjnik.

— Wolno, Najjaśniejszy Panie — rzekł pan de Rohan — przypisać mi oba fałszerstwa; sfalszować jeden podpis czy dwa, cóż za różnica.

Królowa uniosła się, ale król wstrzymał ją gestem.

— Ostrożnie, kardynale — rzekł — pogarszasz pan swą sprawę. Miałeś usprawiedliwić się, a pan zdajesz się oskarżać.

Kardynał zastanawiał się przez chwilę; nagle, jak gdyby upadając pod ciężarem tajemniczej potwarzy, która zagrażała jego czci, zawołał:

— Usprawiedliwić się?... Nigdy!

— Panie, jubilerzy mówią, że skradziono im naszyjnik; pan, chcąc za naszyjnik zapłacić, przyznajesz się do winy.

— Któż w to uwierzy? — zapytał kardynał ironicznie.

— A więc, panie, jeżeli przypuszczasz, że w to nie uwierzą, to znaczy, że uwierzą...

I łagodną twarz króla wykrzywił gniew.

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie, co mówią; nic nie wiem, co się stało, lecz mogę śmiało twierdzić, że nie miałem naszyjnika, mogę zapewnić, że znajduje się u kogoś, kto nie chce się przyznać i zmusza mnie do powtórzenia słów Pisma: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie”.

Usłyszawszy to królowa chwyciła gwałtownie rękę króla, lecz ten rzekł:

— Spór powstał między tobą, pani, a kardynałem; pytam raz jeszcze, czy masz pani naszyjnik?...

— Nie mam, przysięgam na cześć mojej matki, na życie mego syna! — odparła królowa.

Król, ucieszony tą odpowiedzią, zwrócił się do kardynała:

— A więc sprawa toczy się między panem a sprawiedliwością, chyba że zechcesz odwołać się do mojej łaski.

— Łaska królów jest dla winowajców, Najjaśniejszy Panie, ja wolę sprawiedliwość ludzką.

— Nie chcesz się pan przyznać?...

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Ależ panie — zawołała królowa — milczenie pańskie obraża mój honor!

Kardynał milczał.

— No, ale ja milczeć nie będę — mówiła królowa — milczenie to pali mnie; okazuje mi wspaniałomyślność, bez której się obejdę. Zechciej przyjąć do wiadomości, Najjaśniejszy Panie, że zbrodnia pana de Rohan nie tyczy sprawy kupna i kradzieży naszyjnika.

Kardynał de Rohan podniósł głowę; blady był śmiertelnie.

— Co to znaczy?... — zapytał zaniepokojony król.

— Najjaśniejsza Pani — szepnął kardynał.

— O!... Nie ma pobudki, nie ma bojaźni ani słabostki, która mogłaby zamknąć mi usta!... Mam tu... w sercu powody, dla których niewinności mej będę dochodzić na forum publicznym!...

— Niewinności twej!... — zawołał król. — Ej, pani! A któż byłby tak zuchwały lub tak czelny, żeby zmusić cię do takich słów.

— Błagam, Najjaśniejsza Pani — rzekł kardynał.

— A!... Drżysz pan!... Dobrze, więc zgadłam: pańskie knowania lubią ciemności. Ja pragnę światła! Najjaśniejszy Panie, zechciej zażądać od pana de Rohan, aby powtórzył wszystko to, co przed chwilą tutaj powiedział.

— Pani, pani!... — zawołał kardynał. — Bacz, że przebierasz miarę!...

— Co takiego?... — zapytał wyniosłe król. — Któż tak odzywa się do królowej?!... Chyba to nie ja, mój panie?

— Najjaśniejszy Panie — powiedziała Maria Antonina — pan kardynał tak przemawia do królowej, bo zdaje mu się, że ma do tego prawo.

Król zsiniał.

— Ty, panie? — rzekł półgłosem.

— On — odezwała się królowa lekceważąco — on!

— Czy pan de Rohan ma na to dowody? — zapytał król zbliżywszy się do kardynała.

— Pan de Rohan twierdzi, że posiada listy — dodała królowa.

— Chciałbym je widzieć — nalegał król.

— Listy! — zawołała królowa zapalczywie — listy!

Kardynał ręką przeciągnął po czole, na które wystąpił perlisty pot; zdawało się, że pytał Boga, jak mógł swemu stworzeniu użyzyć tyle zuchwalstwa, tyle przewrotności. Nie odezwał się jednakże.

— O! To jeszcze nie wszystko — zawołała królowa, podrażniona tą wielkodusznością. — Pan kardynał miewał nawet schadzki...

— Pani, przez litość! — zawołał król.

— Przez wstyd! — rzekł kardynał.

— Panie — kontynuowała królowa — jeżeli nie jesteś najpodlejszym z ludzi, jeżeli uznajesz cokolwiek świętego, masz dowody — pokaż.

Kardynał de Rohan powoli podniósł głowę.

— Nie, panie, nie mam.

— Nie dodawaj, panie, nowych zbrodni do starych. Nie będziesz mnie zniesławiał raz po raz. Miałeś pan pomocnicę, miałeś współniczkę, miałeś świadka całego zajścia: wymień ją!

— Któż to taki?... — zapytał król.

— Pani de la Motte!... — zawołała królowa.

— A!... — rzekł król, zadowolony skądinąd, że uprzedzenia jego do Joanny były słuszne. — Wezwać tę kobietę i poddać badaniu.

— A tak — odpowiedziała królowa — ale ona znikła. Zapytaj tego pana, gdzie ją podział. Jest zainteresowany w tym, żeby jej nie pokazywać na arenie.

— Są inni — odparł kardynał! — którym bardziej może zależało na jej usunięciu... Trudno ją będzie znaleźć.

— Ale pan, który jesteś niewinny — wybuchnęła królowa — powinienes pomóc nam przy szukaniu winnych.

Kardynał de Rohan raz jeszcze spojrzął na królowę, po czym odwrócił się i założył ręce na piersiach.

— Panie — zawołał król obrażony — udasz się pan do Bastylii!

Kardynał skłonił się i zapytał głosem niewzruszonym: r — Czyż w tych szatach duchownych? W obecności całego dworu?... Zechciej zastanowić się, Najjaśniejszy Panie. Wyniknie z tego godny pożałowania skandal. Tym więcej odbije się na tych, którzy zawinili.

— Taka jest moja wola — rzekł król.

— Będzie to niezasłużone cierpienie, Najjaśniejszy Panie; zbyt wczesnie skazujesz. Tortury przed wniesieniem oskarżenia są bezprawne.

— Tak ma być — odparł król otwierając drzwi i szukając oczami kogoś, komu mógłby powierzyć wykonanie rozkazu.

Najbliżej stał pan de Breteuil. Oczy jego rozpromieniły się: w niepokoju królowej, w zmieszeniu monarchy, w postawie kardynała zobaczył upadek swego wroga.

Król powiedział mu coś po cichu, lecz nim jeszcze skończył mówić, kanclerz, przywłaszczając sobie obowiązki kapitana gwardii, krzyknął głośno:

— Aresztować kardynała de Rohan!

Księżę kardynał drgnął. Szmer, który dobiegł jego uszu, poruszenie wśród dworzan, nagłe wkroczenie straży wydały mu się złą wróżbą.

Pan de Rohan minął królowę nie składając ukłonu, co mocno wzburzyło dumną krew arcyksiężną. Skłonił się nisko przed królem, a pana de Breteuil raczył nie zauważyć z takim wyrazem wyższości i politowania, że baron zwątpił w efekty swej zemsty.

Zalękniony oficer gwardii spoglądał pytająco na kardynała.

— Tak, panie — oznajmił księżę. — To ja jestem aresztowany.

— Zaprowadzić pana do jego apartamentu, po mszy zadecyduję, co dalej — odezwał się król wśród grobowego milczenia.

Kardynał oddalił się wzdłuż galerii w asyście porucznika z kapeluszem w ręku.

— Czy wiesz, pani — zapytał król zdyszany, gdyż z trudem panował nad sobą — że ta cała sprawa skończy się publicznym skandalem, który zdruzgoce honor winowajców?

— Dzięki!... — zawołała królowa, ściskając z wdzięcznością rękę króla. — Dzięki, znalazłeś jedyny środek, który mnie dostatecznie usprawiedliwi.

— Dziękujesz mi?...

— Z całej duszy! Postąpiłeś po królewsku! Możesz być pewny, że ja również.

— Dobrze!... — odparł król uradowany. — Raz przecież położymy kres tym wszystkim podłościom. Kiedy zgnieciemy węża, będziemy wreszcie żyli spokojnie.

Złożył pocałunek na czole żony i wrócił do siebie.

Przy końcu galerii kardynał spostrzegł panów Boehmera i Bossange'a na wpół omdlałych, podtrzymujących się wzajemnie. Spostrzegł również swego laufra przerazonego i czatującego na jakiś znak.

— Panie — rzekł kardynał do eskortującego oficera — ponieważ zostanę tu cały dzień, a to wywoła dużo niepokoju, czy nie mógłbym zawiadomić moich domowników, że jestem aresztowany?...

— Byleby tylko nikt nie spostrzegł — odparł oficer. Kardynał podziękował; powiedział coś po niemiecku do gońca, wydarł kartkę z brewiarza, napisał kilka słów, a skręciwszy bilecik upuścił go na ziemię za plecami oficera.

— Chodźmy — rzekł do gwardzisty. I wyszli.

Goniec rzuciwszy się na bilecik jak sęp na swoją zdobycz, wybiegł z pałacu, siadł na konia i w cwał popędził do Paryża. Kardynał przez okna na schodach widział, jak odjeżdża.

— Ona mnie gubi — szepnął — ja ją ocalam. Dla ciebie, królu mój, tak czynię. Przez Ciebie, Boże mój, który każesz nam odpuszczać winy, przebaczam.

LXXIX. RAPORTY

W chwili kiedy król powróciwszy uszczęśliwiony do swego gabinetu podpisywał rozkaz odstawienia kardynała do Bastylii, wsunął się do gabinetu pan hrabia Prowansji; wchodząc dawał panu de Breteuil jakieś znaki, których ten, pomimo najlepszych chęci, nie mógł zrozumieć.

O pana de Breteuil wcale zresztą nie chodziło, znaki miały zwrócić uwagę króla, który podpisując rozkaz patrzył w lustro.

Pomysł nie chybił celu. Król spostrzegł znaki, pożegnał pana de Breteuil i zapytał brata:

— Coś tam spiskował z panem de Breteuil?

— Ależ, Najjaśniejszy Panie!

— No, chyba te gesty, ten niepokój coś oznaczają?

— Zapewne, ale...

— Możesz mi nie mówić, mój bracie — rzekł król dotknięty.

— Najjaśniejszy Panie, dowiedziałem się właśnie o aresztowaniu kardynała de Rohan.

— Hm. Czymże ta wiadomość mogła cię zaniepokoić, mój bracie? Czy wątpisz o przestępstwie księcia? Czyż niesłusznie czynię, iż żądam odpowiedzialności nawet od możnych?

— Niesłusznie... bynajmniej, mój bracie, nie chcę tego powiedzieć.

— Byłbym mocno zdziwiony, panie hrabio Prowansji, gdybyś przyznawał słusność człowiekowi, który zniesławia królowę. Mówiłem z królową przed chwilą, wystarczyło jedno jej słowo...

— Och, Najjaśniejszy Panie, broń Boże, bym miał oskarżać królowę. Jej Królewska Mość, siostra moja — wiesz o tym dobrze — ma we mnie najbardziej oddanego przyjaciela. Ileż to razy bronilem jej. Nie chcę robić wyrzutów nawet przed tobą, mój bracie.

— Więc stwierdzasz, że często ją oskarżają.

— Najjaśniejszy Panie, jestem niepokieszony, że chwytasz mnie za słowa. Chciałem tylko powiedzieć, że królowa sama by nie wierzyła, że mogę powątpiewać o jej niewinności.

— Więc w takim razie pochwalasz, że upokorzyłem kardynała i że proces, i skandal, który stąd wyniknie, położą kres wszystkim potwarzom, jakich nie ośmielono by się rozgłaszać o którejkolwiek z dam dworu, a jakie krążą bezkarnie o królowej, ponieważ wyższa jest rzekomo ponad wszelkie nikczemności.

— — Tak, Najjaśniejszy Panie, przyklaskuję ochoczo twojemu postępowaniu i mówię, że sprawa naszyjnika jest na najlepszej drodze.

— Ależ, mój bracie, to jasne, że kardynał de Rohan, by po — „chwalić” się poufałą przyjaźnią królowej, w jej imieniu rzekomo zawarł umowę o kupno diamentów, których przyjęcia odmówiła; a potworne jest, że pozwalał powtarzać jakoby znajdowały się w jej posiadaniu. Ludzie chętnie w takie potwarze wierzą. A przy tym wiadomo, że potwarz nie zatrzymuje się w połowie drogi. Lekkomysłność kardynała de Rohan kompromituje królowę, ale opowiadanie o tej lekkomyślności uderza w jej honor.

— O, tak, Najjaśniejszy Panie, stanowczo twierdzę, że jeśli chodzi o sprawę naszyjnika, słusznie postąpiłeś.

— Jak to? — zapytał zdziwiony król. — Czy istnieje jakaś inna sprawa?

— Najjaśniejszy Panie, zapewne królowa mówiła... to niemożliwe, aby ci królowa nie powiedziała...

— Ale co takiego?

— Najjaśniejszy Panie...

— A, myślisz o fanfaronadach kardynała de Rohan, o jego niedomówieniach, o tych mniemanych listach?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, nie...

— Więc o czymże?... Może o rozmowach, na które królowa zezwoliła kardynałowi de Rohan, aby omówić kwestię naszyjnika...

— Nie, Najjaśniejszy Panie, nie o tym.

— Wiem tylko — rzekł król — że mam do królowej zupełnie zaufanie, na które zasłużyła szlachetnością charakteru. Wszak Jej Królewska Mość mogła całe to zajście przede mną zataić, łatwo było zapłacić lub pozwolić zapłacić. Przecinając z miejsca gorszące sekrety królowa odwołała się jednak do mnie. Mnie kazała przywołać, mnie powierzyła obronę swej czci; wybrała mnie na swego spowiednika, na sędziego, a więc powiedziała mi wszystko.

— Hm — powiedział hrabia Prowansji, bynajmniej nie zbity z tropu, ponieważ nie dowierzał sile ufności królewskiej. — Znów neglizujesz moją przyjaźń i mój szacunek dla królowej, mojej siostry. Skoro jesteś tak drażliwy, nie powiem nic, w obawie, że potraktujesz mnie, który bronię, jako wroga lub oskarżyciela. Zauważ, jak mijasz się z logiką. Wyznanie królowej odkryło ci prawdę, usprawiedliwiającą moją siostrę; a nie chcesz, nie wiem dlaczego, wyświecić do końca spraw, które jeszcze wyraźniej wskazałyby na niewinność Jej Królewskiej Mości.

— Widzisz, mój bracie — rzekł zakłopotany król — zawsze rozpoczynasz opowiadanie swoje tyloma omówieniami, że nie mogę się w tym rozeznąć.

— Krasomówcze zwroty, Najjaśniejszy Panie, retoryka. Bardzo przepraszam, ale to wina mej edukacji. Cycero mnie zepsuł!

— Ech, mój bracie, Cycero nigdy nie jest mętny, gdy broni dobrej sprawy, a że i ty bronisz dobrej — wyrażaj się jaśniej, na miłość boską.

— Krytykować mój sposób mówienia, to kazać mi zamilknąć.

— Otóż to, *irritabile genus retorum* — zawołał król nie dostrzegając podstępu. — Do rzeczy, adwokacie, do rzeczy. Co wiesz więcej niż mi powiedziała królowa?

— Ach, Boże, nic i wszystko... Musimy najpierw wiedzieć, co tobie królowa mówiła.

— Królowa powiedziała mi, że nie ma naszyjnika i że nie podpisała pokwitowania dla jubilerów.

— Dobrze.

— Powiedziała mi, że wszystkie opowiadania o rzekomym porozumieniu się z panem de Rohan są fałszem wymyślonym przez wrogów.

— Dobrze, bardzo dobrze.

— Powiedziała mi wreszcie, że nic nie upoważnia księcia de Rohan do przypuszczeń, jakoby był kimś więcej niż poddanym, człowiekiem obojętnym i obcym.

— Ach, powiedziała to.

— I to tonem, który nie dopuszczał repliki, kardynał też nic nie odpowiedział.

— Skoro kardynał nie odpowiedział, to znaczy, że przyznaje się do kłamstwa, a to obala również inne pogłoski, że to niby królowa obdarzała niektórych swych poddanych szczególnymi względami.

— Ach, Boże! Cóż znowu? — zapytał król z niesmakiem. — Niedorzeczność, jak się zaraz okaże. Z chwilą gdy wiadomo, że pan de Rohan nie chadzał z królową na spacer...

— Czyż opowiadają, że pan de Rohan przechadzał się z królową? — zapytał król.

— No, to już królowa sprostowała, a pan de Rohan zaprzeczył milczeniem, tylko... wiesz, ludzie złośliwi śledzą... Zastanawiano się, po co królowa w nocy przechadza się po parku wersalskim...

— Królowa... w nocy... w parku wersalskim!...

— I z kim się przechadza... — dodał chłodno hrabia Prowansji.

— Z kim? — szepnął król.

— Nic dziwnego, wiadomo, że wszystkie oczy zwracają się na królowę, a ze względu na blask majestatu widzą ją lepiej w nocy niż w dzień.

— Słuchaj, mój bracie, mówisz bezceństwa.

— Właśnie powtarzam to z oburzeniem, bo jestem pewny, że prawda się wykryje.

— Jak to, więc opowiadają, że królowa w nocy przechadzała się w towarzystwie po parku?

— Nie w towarzystwie, lecz sam na sam; gdyby mówiono w „towarzystwie”, nie warto byłoby o tym nawet wspominać.

Król rozgniewał się nagle.

— Masz mi zaraz dać dowód na to, co powtarzasz.

— O, bardzo łatwo, bardzo łatwo — odparł hrabia Prowansji. — Są na to cztery świadectwa: pierwsze pochodzi od łowczego, który widział dwa dni, a raczej dwie noce pod rząd, jak królowa wychodziła z parku wersalskiego przez furtkę przy Wilczarni. Oto dokument podpisany przez niego własnoręcznie. Król wziął papier, przeczytał i oddał go bratu.

— A oto raport nocnego stróża Trianon: ten zeznaje, że noc przeszła bez zakłóceń, że raz ktoś strzelił, zapewne kłusownik polujący w lesie Satory, że w parku było spokojnie, tylko Jej Królewska Mość przechadzała się pod rękę z jakimś szlachcicem. Jak widzisz bardzo dokładny protokół.

Król znowu przeczytał i ręce mu opadły.

— Trzecie świadectwo — mówił nieustraszony hrabia Prowansji — pochodzi od szwajcara przy bramie zachodniej. Szwajcar ten poznał królowę, gdy wychodziła przez furtkę przy domku łowczego. Mówi, jak była ubrana, lecz twierdzi, że nie mógł poznać mężczyzny, z którym Najjaśniejsza Pani rozstawiała się. Sądząc z postawy musiał to być jakiś oficer. I to jest napisane czarno na białym i podpisane. Dodaje nawet coś ciekawszego, mianowicie, że towarzyszyła królowej pani de la Motte, jej przyjaciółka.

— Pani de la Motte... przyjaciółka królowej! — zawołał z gniewem król. — Tak napisane, „przyjaciółka królowej”?...

— Nie gniewaj się, Najjaśniejszy Panie, to poczciwy człowiek, może trochę zbyt gorliwy.

— Ostatnie świadectwo — mówił dalej hrabia Prowansji — jest zupełnie jasne. — Złożył je majster ślusarski, który sprawdza, czy po capstrzyku wszystkie bramy są zamknięte. Przecież go znasz. Twierdzi on, że widział królowę jak wchodziła z jakimś mężczyzną do łazienek Apollina.

Król bladej i drżący wyrwał papier z rąk brata i czytał, hrabia Prowansji zaś mówił dalej:

— Co prawda pani de la Motte czekała podobno o jakie dwadzieścia kroków przed wejściem, a królowa w towarzystwie owego pana nie bawiła wewnątrz dłużej niż godzinę.

— Kto to był, nazwisko! — zawołał król,

— Najjaśniejszy Panie, raport nie wymienia nazwiska, ale jest jeszcze jeden dokument. Racz rzucić okiem na zeznania gajowego, który wtedy właśnie czatował przy murze, obok łazienek Apollina.

— Datowane następnego dnia — rzekł król.

— Tak, tak. — Otóż gajowy widział królowę wyglądającą przez furtkę; wsparta była na ramieniu pana de Charny.

— Pana de Charny! — zawołał król, nieprzytomny z wściekłości i wstydu. — Czekaj tu, hrabio, czekaj, zaraz dowiemy się prawdy.

Przy tych słowach król wybiegł ze swego gabinetu.

LXXX. OSTATNIE OSKARŻENIE

Maria Antonina, zaledwie król opuścił jej pokój, otworzyła drzwi do buduaru, gdzie ukrywał się Oliwier, zamknęła drzwi od swoich apartamentów i padła na fotel, oczekując w milczeniu, jaki wyrok wyda pan de Charny, najsurowszy jej sędzia.

Niedługo czekała; hrabia wyszedł z buduaru bledszy i smutniejszy niż kiedykolwiek.

— Pani — rzekł — widzisz, że wszystko staje na przeszkodzie naszej przyjaźni. Po dzisiejszym skandalu nie ma już dla mnie spokoju, a dla pani wytchnienia. Nieprzyjaciele, zadawszy ci pierwszy cios, rzucają się na ciebie jak muchy na zranioną łąkę, by ssać krew.

— Jakże długo szukasz pan właściwego określenia — powiedziała królowa ze smutkiem — i nie znajdujesz.

— Zdaje mi się — odparł Oliwier — że nie dałem Waszej Królewskiej Mości powodu do powątpiewania w moją szczerość. Nieraz była zbyt cierpka, co proszę mi wybaczyć.

— A więc — mówiła królowa mocno przejęta — nie wystarcza panu nawet ten rwetes, jaki wywołuję, nawet ten niebezpieczny atak na jednego z największych panów w królestwie, rozbrat z kościołem, postawienie swej opinii pod sąd publiczny i namiętności parlamentu... Wszystko to nie wystarcza? Nie mówię nawet o tym, że raz na zawsze podważyłam zaufanie króla, bo cóż to znaczy dla pana? Bo czym jest dla ciebie król — jedynie moim mężem!

Uśmiechnęła się z goryczą, lecz łzy jej popłynęły z oczu.

— O! — zawołał Charny. — Jesteś pani najzacniejszą, najszlachetniejszą z kobiet! Nie odpowiedziałem idąc za głosem serca, bo czuję się tak marny wobec ciebie

— Panie de Charny, uważasz, że jestem występna?

— Pani...

— Panie de Charny, uwierzyłeś w słowa kardynała?

— Pani!

— Panie de Charny, zaklinam cię, powiedz, jakie wrażenie zrobiło na tobie zachowanie się pana de Rohan?

— Przyznać muszę, że to nie jest człowiek słaby, jak pani twierdzisz; że pan de Rohan mówił rozsądnie, choć mniemasz, iż zmysły postradał; on kochał panią i kocha jeszcze, a jest ofiarą pomyłki, która wiedzie go do zguby, a ciebie, pani... ciebie do utraty czci.

— Boże mój!

— Stoi przed nami groźne widmo, pani de la Motte, ohydna kobieta, która zniknęła w chwili, gdy przywrócić by mogła wszystkim spokój, honor i pewność... Kobieta ta jest twoim złym duchem, jest hańbą dla królestwa, kobieta, której nierozważnie odkryłaś swe tajemnice, może nawet intymne...

— O panie, co przez to rozumiesz?! — zawołała królowa.

— Pani, kardynał jasno powiedział i dowiódł, że porozumiewałaś się z nim co do kupna naszyjnika.

Królowa zarumieniła się.

— Och, przepraszam, widzisz, mówiłem, że jestem niegodny. Chciałem łagodzić, a jątrzę.

— Panie de Charny — powiedziała twardo królowa. — Jeżeli uwierzył król, muszą uwierzyć i inni, nie będę przystępniejsza dla przyjaciół niż dla męża. Zdaje mi się, że mężczyzna niechętnie widzi kobietę, dla której nie ma szacunku. Nie mówię tu o panu — dodała prędko — bo ja nie jestem kobietą, jestem królową, pan zaś nie jest dla mnie mężczyzną, lecz sędzią.

Charny skłonił się tak nisko, że królowa musiała uznać w tym akt skruchy wiernego poddanego.

— Radziłam panu — powiedziała nagle — byś wyjechał; była to dobra rada. Z dala od dworu, do którego nie przystają pańskie obyczaje, pańska prawość i brak doświadczenia; lepiej oceniłbyś osoby grające komedię w tym teatrze. Iluzja to rzecz ważna, panie de Charny, dla tłumu trzeba nosić maskę i koturny. Zbyt pobłażliwa, zaniedbałam utrzymać dla tych, którzy mnie kochają, mający urok władzy królewskiej. Korona od wszystkiego zwalnia: od czystości, łagodności, rozumu a zwłaszcza od serca. Królowa rozkazuje, po cóż ma starać się o miłość.

— Nie umiem wyrazić ci, pani — rzekł wzruszony Charny — jak bardzo boli mnie twoja surowość. Zapomniałem może, iż jesteś moją królową, lecz oddaj mi, pani, tę sprawiedliwość, że nie zapomniałem nigdy, iż jesteś kobietą, najgodniejszą mego szacunku i...

— Nie kończ pan, ja nie żebrzę... Tak, powiedziałam, że powinieneś pan oddalić się, przeczuwam bowiem, że i pańskie nazwisko wtrącone będzie w te sprawy,

— To niemożliwe!

— Mówisz pan, niemożliwe! Zastanów się nad potęgą tych, którzy od sześciu miesięcy pastwią się nad moją czią, nad moim życiem. Sam mówiłeś, że kardynał jest przekonany, choć został wprowadzony w błąd. Ludzie, którzy tworzą tak przekonujące dowody, którzy tak zręcznie potrafią wprowadzać w błąd, są też w stanie dowieść, że jesteś niewinnym poddanym króla, a dla mnie bezecnym przyjacielem. Nie trać czasu, niebezpieczeństwo jest wielkie. Jedź do swych dóbr, unikaj skandalu, który wyniknie z procesu, jaki mi wytoczą: nie chcę cię wciągać w swój los, nie chcę, żebyś przeze mnie narażał swą przyszłość. Ja, dzięki Bogu, niewinna i silna, ja — bez skazy — mogę się bronić. Ciebie czekać mogłaby ruina, hańba, więzienie... Zabierz te pieniądze tak wspaniałomyślnie mi ofiarowane. Jedź i bądź przekonany, że oceniłam każdy szlachetny przebłysk twojej duszy, że nie obraziły mnie twe powątpiewania, że cierpienia twoje nie były mi obojętne. Jedź i szukaj gdzie indziej tego, czego nie może ci już dać królowa Francji: wiary, nadziei i szczęścia. Tygodnie upłyną, nim rozejdzie się wiadomość o aresztowaniu kardynała, nim zbierze się parlament, nim odbędzie się śledztwo. Wyjeżdżaj więc, wuj pański ma obecnie dwa statki w porcie: jeden w Cherbourgu, drugi w Nantes... Wybieraj, którym zechcesz się oddalić. Zależało mi tylko na jednym... tego mi brakło... czuję się zgubiona!

Po tych słowach królowa wstała, co wyglądało na odprawę po posłuchaniu.

Charny przybliżył się do królowej.

— Wasza Królewska Mość — rzekł głosem wzruszonym — wskazała mi powinność moją. Ale nie w moich posiadłościach i nie poza granicami Francji czyha niebezpieczeństwo: ono czai się w Wersalu, gdzie cię, pani, podejrzewają, ono jest w Paryżu, gdzie cię będą sędzić. Aby wypełnić podejrzenia, aby uzyskać usprawiedliwienie, trzeba obrońców, ponieważ zaś trudno by ci przyszło znaleźć świadka tak wiernego jak ja, pozostaję. Oskarżyciele będą mówić, zobaczymy naszych wrogów oko w oko.

Tak, pozostaję, a Wasza Królewska Mość śmiało może zaufać mi swe myśli: wszak wiadomo, że ja nie uciekam, wszak wiesz, że nie obawiam się niczego, a nie potrzeba wygnania, aby mnie nie widywać. Chcesz, pani, abym wyjechał dla ciebie, a nie dla mnie: nie obawiaj się, chcę cię bronić i ratować, a nie obrażać cię i szkodzić; wszak nie widywałaś mnie, gdy przez tydzień cały mieszkałem blisko ciebie, śledząc ruch każdy, licząc kroki twoje, żyjąc twoim życiem? Tak będzie i teraz... Wypełnić twej woli i wyjechać — nie mogę! Zresztą cóż ci na tym zależy — czyż pomyślisz o mnie choć raz?

Królowa odsunęła się.

— Jak się panu podoba — rzekła. — Ale czyś mnie pan zrozumiał? Nie zmieniaj znaczenia mych słów; nie jestem zalotnicą, panie de Charny... Mówić, co myśli, myśleć, co mówi — oto zaleta prawdziwej królowej, ja taką jestem.

Pewnego dnia wybrałam cię pośród innych; nie wiem, co ciągnęło moje serce ku tobie; czułam potrzebę silnej i pewnej przyjaźni, dałam ci to poznać... Dziś zmieniło się, nie myślę już tak, jak myślałam. Dusze nasze nie są już siostrami, mówię więc szczerze: oszczędzajmy się nawzajem.

— Rozumiem cię, Najjaśniejsza Pani — odparł Charny. — Nie wierzyłem nigdy, że mnie pani wybierzesz, nie liczyłem na to... Ale stracić cię teraz? Jestem pełen trwogi i zazdrości. Nie odbierzesz mi swego serca. Ono należy do mnie. Bądź kobietą, bądź dobra, nie korzystaj z mej słabości; przed chwilą robiłaś mi wyrzuty z powodu moich wątpliwości, teraz zabijasz mnie swymi podejrzeniami.

— Serce dziecka, serce kobiety — rzekła królowa — chcesz, bym na tobie polegała! Piękni z nas obrońcy! Słaby... o tak, jesteś słaby, lecz ja, niestety, nie jestem wcale silniejsza!

— Nie kochałbym ciebie, gdybyś była inna — szepnął de Charny.

— Co? — zawołała królowa żywo i namiętnie. — Kobieta którą parlament będzie sądził, którą opinia skarże, którą mąż i król wypędzi może, królowa zgubiona i przeklęta, znajduje jeszcze kogoś, który ją kocha?!

— Znajduje sługę, który ją uwielbia, który składa jej w ofierze swą krew serdeczną w zamian za tę jedną łzę, błyszczącą w jej oku.

— Ta kobieta — zawołała królowa — jest błogosławiona, jest dumna, jest najszczęśliwszą z kobiet. Ona jest zbyt szczęśliwa, panie de Charny... Nie wiem nawet, jak mogła skarżyć się... Przebacz jej!

Charny upadł do nóg Marii Antoniny i w uniesieniu pełnym czci całował jej stopy.

W tej chwili otworzyły się drzwi sekretne od korytarzyka i na progu stanął drżący i słaniający się król.

Mężczyzna oskarżony przez hrabiego Prowansji klęczał u nóg Marii Antoniny...

LXXXI. OŚWIADCZYNY

Spojrzenie, które wymienili w tym momencie królowa i Charny, wzruszyłyby najokrutniejszego wroga.

Charny wstał powoli i z największą rewerencją skłonił się królowi.

Serce Ludwika XVI biło silnie pod koronkowym żabotem.

— A! — rzekł głucho. — Pan de Charny!

Hrabia uklonił się raz jeszcze, królowa czuła, że jest zgubiona. Nie mogła wydobyć głosu, a król mówił dalej z niezwykłym spokojem:

— Panie de Charny, niechwalebnie jest dla szlachcica, gdy go złapią na gorącym uczynku kradzieży.

— Kradzieży? — szepnął Charny.

— Kradzieży! — powtórzyła z przerażeniem królowa, której nagle przypomniał się naszyjnik.

— Tak, kradzieży — odpowiedział król. — Klęczeć przed cudzą żoną — to kradzież, a jeżeli żona ta jest królową, przestępstwo takie nazywa się obrazą majestatu. Rozkażę, by powtórzył to panu strażnik pieczęci.

Hrabia chciał odpowiedzieć, chciał się bronić, kiedy królowa, nie mogąc znieść, by człowiek przez nią kochany cierpiał, przyszła mu z pomocą.

— Najjaśniejszy Panie — zawołała popędliwie — zdaje mi się, że wkroczyłeś na drogę fałszywych podejrzeń i błędnych domysłów. Z podejrzeniami tymi źle trafiłeś, uprzedzam cię. Widzę, że szacunek odbiera mowę panu de Charny, lecz ponieważ znam jego serce, nie pozwolę go oskarżać, muszę go bronić.

Zatrzymała się zdyszana, zmęczona podnieceniem i przerażona, że musi uciec się do kłamstwa t że jak na złość żadne nie przychodzi jej do głowy. Ale to wahanie się, tak przykre dla dumy królewskiej, było ratunkiem dla kobiety. Zyskiwała w ten sposób cenne minuty.

Instynktownie chwytając się zwłoki przeszkodziła królowi do dalszego wysuwania podejrzeń, zmieniła kierunek jego myśli, umocniła zaś umysł hrabiego.

— Czyż chcesz pani we mnie wmówić — zapytał Ludwik XVI spadając do roli niespokojnego męża — że pan de Charny nie klęczał tu przed panią? Żeby zaś klęczeć, trzeba...

— Trzeba, panie — powiedziała surowo królowa — aby poddany prosił królowę Francji o łaskę... Wszak to dość często przy dworze się zdarza!

— Prosił o łaskę! — zawołał król.

— I to o łaskę, której zadośćuczynić nie mogłam — dodała królowa. — Inaczej nie byłby pan de Charny nalegał, przysięgam, a ja byłabym mu kazała wstać, gdybym mogła wypełnić życzenia tego szlachcica, którego szczególnie szanuję.

Charny odetchnął: wyraz twarzy króla zmienił się, a czoło stopniowo wygładzało. Niebezpieczeństwo zostało odsunięte.

Tymczasem Maria Antonina szukała wykrętu, szukała rozpaczliwie, z wściekłością, że musi kłamać i że nie może nic wymyśleć. Sądziła, że może zaspokoi ciekawość swoim oświadczeniem, że śledztwo na tym się skończy. Omyliła się: nie była dość zręczna, kłamstwo w obecności ukochanego było dla niej męczarnią. Pokazać się w roli tak śmiesznej i tak fałszywej, to znaczyło potwierdzić wszelkie podejrzania, uprawdopodobnić wszelkie intryżki, wszelkie parkowe awanturki, przyznać się niemal do winy. Było to gorsze niż śmierć. Wahala się jeszcze. Życie oddałaby za to, ażeby Charny wynalazł kłamstwo, lecz on, prawy szlachcic, nie myślał wcale o tym. W swej delikatności obawiał się nawet okazywać chęci bronięcia królowej.

— Pani, zechciej objaśnić mnie, o jaką to łaskę prosił pan de Charny, że aż klękać musiał przed panią? — zapytał król. Ale chcąc złagodzić szorstkość zapytania dodał: — Może byłbym szczęśliwszy od pani, może pan de Charny nie potrzebowałby klękać przede mną?

— Mówiłam, Najjaśniejszy Panie, że pan de Charny prosił o rzecz niemożliwą.

— O co?

— O co można prosić na kolanach? — pytała królowa sama siebie. — Czego można żądać, a czego ja bym dać nie mogła?

— Najjaśniejszy Panie, prośba pana de Charny dotyczy tajemnicy rodzinnej.

— Nie ma przed królem tajemnicy: jest on, panem królestwa, ojcem rodziny, dbałym o honor, o bezpieczeństwo swych poddanych — swoich dzieci; nie przestaje być ojcem wtedy nawet — dodał Ludwik XVI z groźną godnością — gdy te dzieci wyrodne napadają na honor swego ojca.

Królowa drgnęła pod wpływem tych słów.

— Pan de Charny — zawołała zmieszana, drżąca — pan de Charny chciał otrzymać ode mnie przyzwolenie...

— Przyzwolenie?

— Na ślub.

— Doprawdy? — rzekł król, nie zauważywszy, jak bardzo królowa cierpi z powodu tych nierozważnych słów, jak blady jest Charny z powodu cierpień królowej. — A czemuż to nie można ożenić pana de Charny? Czy nie pochodzi z dobrej szlachty? Czy nie ma pięknego majątku? Czyż nie jest dzielny i przystojny? Jeżeli nie chcą go przyjąć do rodziny lub jeżeli odmawia mu kobieta, chyba jest to księżniczka krwi lub osoba zamężna; innej możliwości nie widzę. Powiedz mi, pani, nazwisko kobiety, z którą ożenić się pragnie pan de Charny, a jeśli nie jest tak, jak przypuszczam, podejmuję się usunąć wszelkie przeszkody... aby panią zadowolić.

Pierwsze kłamstwo musiało pociągnąć dalsze.

— Nie, panie, nie. Istnieją przeszkody, których nawet pan nie zwyciężysz.

— Tym bardziej ciekaw jestem... chciałbym wiedzieć, co jest niemożliwe dla króla — zawołał Ludwik XVI z ukrytym gniewem.

Charny spojrział na królowę, która chwiała się na nogach. Postąpił krok ku niej, lecz sztywność króla wstrzymała go. Jakimże prawem mógł on podeprzeć ją, kiedy mąż i król nie śpieszył jej z pomocą.

— Jakaż jest siła — myślała — której król zwyciężyć nie może? Tą myśl jeszcze, tą radę ześlij, mój Boże!

Oświeciła ją nagła myśl. Bóg zsyłał jej ratunek. Tych, które należą do Boga, nawet król nie może mu odebrać.

— Najjaśniejszy Panie, osoba, którą pan de Charny pragnie poślubić, jest w klasztorze.

— O, to jest powód — zawołał król. — Trudno odebrać własność Bogu, aby ją w ludzkie powierzyć ręce. Lecz dziwi mnie, skąd w panu de Charny tak nagle obudziła się miłość: nie słyszałem dotąd o tym, nawet wuj jego nie wspominał mi, a wszak jemu nie odmówiłbym niczego. Jakże się nazywa kobieta, którą pan kochasz, panie de Charny? Powiedz, proszę?

Królowa cierpiała okropnie. Miała usłyszeć nazwisko, kłamstwo wychodzące z ust Oliwiera? A kto wie, czy Charny nie wymieni nazwiska osoby, którą kiedyś kochał lub, co gorsze, którą mógłby pokochać w przyszłości.

W obawie przed takim ciosem Maria Antonina postanowiła uprzedzić hrabiego i zawołała:

— Najjaśniejszy Pan zna osobę, z którą pan de Charny pragnie się ożenić... Jest nią... panna Andrea de Taverney.

Charny krzyknął i zakrył twarz rękami, królowa chwyciła się za serce i padła na fotel.

— Panna de Taverney! — powtórzył król. — Panna de Taverney, która wstąpiła do klasztoru w Saint-Denis?

— Tak, Najjaśniejszy Panie — szepnęła królowa.

— Wszak ona nie wykonała jeszcze ślubów?

— Lecz ma zamiar...

— Zapobiegniemy temu — odparł król, a po chwili dodał z małym odcieniem nieufności — dlaczegożby miała wypełnić śluby?

— Jest biedna — odpowiedziała Maria Antonina. — Wzbogaciłeś, panie, tylko jej ojca — dodała cierpko.

— Można to zło naprawić, pani, skoro pan de Charny ją kocha...

Królowa zadrżała i rzuciła na pana de Charny namiętne, spojrzenie, jakby błagała, żeby królowi zaprzeczył.

Charny patrzył na Marię Antoninę i milczał.

— Dobrze więc — rzekł Ludwik XVI, biorąc milczenie za potwierdzenie. — Zapewne i panna de Taverney pana kocha, wyposażę ją więc; przeznaczę dla niej pięćkroć sto tysięcy liwrów, których kilka tygodni temu odmówiłem panu de Calonne. Podziękuj pan królowej, panie de Charny. Gdyby nie opowiedziała tego zajścia, nie miałbyś pan widoku urzeczywistnienia swych marzeń.

Charny postąpił kilka kroków i skłonił się, biały jak posąg, który za dotknięciem ręki Pigmaliona na chwilę się ożywił.

— O, warto, żebyś pan raz jeszcze klęknął — rzekł król z lekkim odcieniem niskiej, gminnej ironii, która zbyt często tłumiła odziedziczoną po przodkach szlachetność.

Królowa wstrząśnięta podała mimo woli Charny'emu obie ręce: ukląkł i złożył pocałunek na białych, zimnych jak lód palcach. Modlił się jednocześnie, żeby chwila ta była ostatnią w jego życiu.

— Pozostawmy teraz Jej Królewskiej Mości starania o pańskie szczęście, a pan, panie de Charny, zechciej iść za mną.

Król poszedł naprzód z takim pośpiechem, że Charny zdążył jedynie obejrzeć się od progu i ujrzał niewymowny ból w oczach królowej.

Drzwi zamknęły się za nimi, zaporą dla niewinnej miłości odtąd nieprzebyta.

LXXXII. SAINT-DENIS

Królowa sama musiała rozprawić się z rozpaczą. Tyle na raz uderzyło w nią ciosów, że nie wiedziała już, który jest dotkliwszy. Przeszło godzinę pozostawała w stanie całkowitego upadku ducha, gdy nagle uprzytomniła sobie, że niebezpieczeństwo bynajmniej nie zmalało. Trzeba wyrwać się z prostracji i szukać wyjścia z tej matni.

Król, dumny ze zwycięstwa odniesionego nad pozorami, pośpieszył rozgłosić je. Lecz istniała możliwość, że nowina po rozgłoszeniu wywoła efekt, który zniweczy wszelkie zyski kłamliwego wykřętu.

Królowa czyniła sobie gorzkie wyrzuty z powodu tego kłamstwa; jakże chętnie odwołałaby swoje słowa, jakby zazdrościła Andrei urojonego szczęścia, na które ta może nawet nie przystać.

Powstała nowa trudność. Nazwisko panny de Taverney było tarczą przed królem, ale czego można spodziewać się po istocie tak kapryśnej, tak samowolnej i niezależnej? Czyż można przypuszczać, że ta dumna dziewczyna zechce wyrzec się swej wolności i poświęcić dla królowej, którą tak niedawno porzuciła jako nieprzyjaciółka? Cóż więc się stanie? Jeśli Andrea odmówi, co bardzo jest prawdopodobne, cały gmach runie. Królowa okaże się lichą intrygantką, Charny pospolitym gachem i kłamcą, a potwarz zmieni się w oskarżenie niezaprzecznego cudzołóstwa. Maria Antonina była bliska obłędu. Potrzebowała rady.

Komu by zawierzyć? Kto jest przyjaciółką królowej? Pani de Lamballe? Kobieta rozumna, ale to rozum czysty, zimny i nieubłagany. Po co zresztą niepokoić tę dziewczynę wyobraźnię? Damy dworu, pochlebczynie w pomyślności, drzące przed niełaską, jak zachowają się, kiedy królowa żądać będzie pomocy?

Pozostawała tylko panna de Taverney. Było to serce twarde jak diament, lecz prawe i czyste. Ona tylko mogła zrozumieć wielkie cierpienie królowej.

Maria Antonina postanowiła pomówić z Andrea. Przedstawi jej całe nieszczęście, błagać ją będzie o pomoc. Zapewne spotka ją odmowa, gdyż Andrea nie należy do łatwo poddających się. Lecz po usilnych prośbach da się wzruszyć. A może pozyska się jakąś zwłokę? Gdy pierwsze wzburzenie przeminie, król zapomni może, uspokojony pozorną zgodą narzeczonych... Czas, podróż jakaś wszystko załatwi... Gdyby pan de Charny i panna de Taverney oddalili się na jakiś czas, na tak długo, aż hydra potwarzy zostanie nasycona, łatwo potem ogłosić, że zwrócili; sobie słowo, a nikt nie domyśli się, że projekt małżeństwa był tylko pozorem.

W taki sposób nie naruszy się ani wolności panny de Taverney, ani wolności Charny'ego. Królowa nie będzie miała wyrzutów sumienia, że dla uratowania własnej czci poświęciła życie dwojga ludzi, z drugiej strony ocalony zostanie honor królowej, a więc i honor jej męża i dzieci. Przekáže go bez skazy przyszłej królowej Francji. Takie myśli krążyły po głowie Marii Antoniny.

Trzeba przyznać, że w chwili okropnego niebezpieczeństwa rozumowała bardzo logicznie, godząc przyzwoitość z własnym i cudzym interesem.

Przygotowana w ten sposób pomyślała Maria Antonina o wyjeździe. Chętnie uprzedziłaby Charny'ego, by nie popełnił jakiego fałszywego kroku, lecz obawiała się szpiegów, polegała zresztą na prawości, przywiązaniu i rozsądku Oliwiera i była przekonana, że uzna każdy jej postępek za słuszny.

Nadeszła godzina trzecia, to jest czas obiadu ceremonialnego, przedstawień i wizyt.

Królowa ukazała wszystkim twarz spokojną i swobodną; uprzejmość nic nie ujmowała jej dumie. Wobec wrogów przyjmowała nawet wyraz wyniosłości, na jaki trudno się zdobyć winnym i upokorzonym.

Chyba nigdy na dworze nie było tak licznego zjazdu, nigdy nie było tylu ciekawych śledzących królowę. Maria Antonina wytrwała na stanowisku. Przeszkadzała wrogom, zachęcała przyjaciół, zamieniała obojętnych na gorliwych, gorliwych na wielbicieli. Była tak wspaniała, że król jej winał.

Kiedy skończyły się ceremonie, pozbyła się chwilowego, wymuszonego uśmiechu, wróciła do siebie, to znaczy do cierpień.

Przebrała się, włożyła szarą jedwabną suknię oraz szary kapelusz z niebieskimi kwiatami, z jedną tylko damą dworu wsiadła do powozu i bez orszaku udała się do Saint-Denis. Była to pora, w której zakonnice, powróciwszy z refektarza, rozeszły się po swoich celach na medytacje.

Królowa kazała poprosić do parlatorium panną Andreę de Taverney.

Andrea okryta białym, wełnianym płaszczem kłęczała właśnie przy oknie i patrząc na księżyc wyłaniający się spoza rozłożystych lip, wśród tej poezji zapadającej nocy wzbudziła w sobie wolę modlitwy, pragnąc w aktach strzelistych, które słała Bogu, znaleźć ulgę dla duszy. Cierpiała, lecz nie żałowała swego wyrzeczenia się świata. Cierpienie takie jest rozkoszą dusz silnych, które umieją poświęcić szczęście dla dumy.

Andrea z własnej przecież woli opuściła dwór; z własnej woli zerwała ze wszystkim, co by miłość jej podtrzymywać mogło.

Dumna jak Kleopatra nie zniósłaby, gdyby pan de Charny myślał o innej kobiecie, chociażby kobietą tą była sama królowa.

Nie miała żadnego dowodu, że Charny kocha inną, ale widziała, że koło niej przechodzi obojętnie, że składa hołdy królowej, która je przyjmuje, rzecz to na pewno niewinna, ale on składa — ona przyjmuje.

Tu w ukryciu, ten, którego kocha, jest tylko obłokiem, sylwetą, wspomnieniem — nigdy jej nie obraża, uśmiecha się do niej. Tylko się uśmiecha i uśmiecha się tylko do niej.

Rozmyślenia nad czystą miłością, niebiańskie marzenia, stwarzały dla płochliwej Andrei świat bogatszy niż świetne zabawy wersalskie, gdzie schylać się musiała przed rywalkami i ukrywać starannie miłość.

W dzień Świętego Ludwika, w porze wieczornych rozmyślań w celi, doniesiono Andrei o przybyciu królowej. Królowa wyraziła chęć pomówienia z panną Andrea de Taverney.

Rzecz dziwna! Serce Andrei, zmiękczone miłością, silnie zabiło na wspomnienie Wersalu; wczoraj jeszcze przeklinała go, a teraz, w miarę jak się odeń oddalała, zaczynała tęsknić.

— Królowa — szepnęła Andrea. — Królowa tu, w Saint-Denis!... Królowa mnie wzywa!...

— Spiesz się — powiedziano.

Spieszyła się rzeczywiście. Na ramiona narzuciła płaszcz zakonny, zapięła pasek na luźnej, wełnianej sukni, a nie spojrzawszy nawet w małe lusterko wyszła za siostrą furtianką, którą po nią przysłano. Po drodze jednak zapał jej ostygł, zreflektowała się i strofowała za świeckie tęsknoty; kiedy weszła do parlatorium oświetlonego jaskrawo i stanęła w gronie sióstr konwerek, była biada i spokojna.

Ale gdy zakonnica pełniąca służbę wygłosiła jej nazwisko, gdy ujrzała Marię Antoninę siedzącą na fotelu ksieni, otoczoną pokorną czołobitnością dumnej kapituły, Andrea doznała bicia serca, aż przez chwilę kroku nie mogła postąpić.

— A chodźże, chodźże, moja panno, chcę z tobą pomówić — zawołała królowa uśmiechając się.

Andrea zbliżyła się i pochyliła głowę.

— Pozwolisz, pani?... — zapytała królowa, zwracając się do przełożonej.

Ta odpowiedziała niskim ukłonem i wyszła z salonu, za nią podążyły wszystkie zakonnice.

Królowa pozostała sama z Andream, której serce biło tak silnie, że, gdyby nie jednostajny głos zegara, wyraźnie słyszeć by je można.

LXXXIII. OBUMARŁE SERCE

Rozmowę rozpoczęła królowa. Wymagała tego etykieta.

— A więc jesteś, moja panno — powiedziała z przekornym uśmiechem. — Dziwnie mi wyglądasz w stroju zakonnicy. Gdy się widzi dawną towarzyszkę, utraconą dla świata, na którym jeszcze żyjemy, nasuwa się mimo woli myśl o śmierci. Jest to surowa przestroga, czy nie podzielasz mego zdania?

— Najjaśniejsza Pani! — odparła Andrea. — Któż śmiałyby dawać ci przestrogi? Śmierć nawet nie ostrzega królowej, do chwili gdy przyjdzie ją zabrać. I nie może być inaczej...

— Dlaczego?... — Najjaśniejsza Pani, królowa z natury swego stanowiska cierpieć może tylko w nieuniknionej konieczności. Ma wszystko, co życie upiększyć może. Wszystko, co innym życie ulepszyć by mogło, królowa zabiera sobie. — Takie jest prawo — dodała pośpiesznie. — Taki jest przywilej monarchów. Poddani, ich dobra, honor i życie należą do królowej.

— Dziwne to zasady — powiedziała Maria Antonina. — Z królowej tego kraju robisz jakąś bajkową ludożerczynię, połykającą fortunę i szczęście prostych obywateli. Czyż ja taka jestem, Andreo?... Czyż rzeczywiście możesz się skarżyć na mnie?...

— Wasza Królewska Mość raczyła zadać mi to samo pytanie, gdy opuszczałam ją — odparła Andrea. — Odpowiedziałam jak teraz: Nie, Najjaśniejsza Pani!

— Często się zdarza — podjęła królowa — że rani nas czyjaś krzywda. Czyżbym zasłużyła na ostre słowa, którymi mnie witasz?... Andreo, wybrałaś sobie schronienie przed złymi namiętnościami świata. Tu Bóg nas uczy dobroci, umiarkowania, zapominania krzywd, cnót, których daje najlepszy wzór sam. Czyż przychodząc spotkać siostrę w Chrystusie, mam znaleźć surowe oblicze i słowa żółci?... Przybywam jak przyjaciółka i mają mnie spotkać wymówki, wyrzuty lub ukryta nienawiść nieubłaganego wroga?...

Andrea zdziwiła się łaskawości, tak niezwykłej u Marii Antoniny. Królowa była wobec dworu wyniosła i cierpka, jeśli spotykała opór.

— Wasza Królewska Mość dobrze wie — rzekła — że wrogiem jej nie może być nikt z Taverneyów.

— Rozumiem — odparła królowa. — Nie możesz mi wybaczyć, że byłam oziębła dla twego brata, który mię pewnie obwinia o lekkomyślność i kaprysy.

— Brat mój jest zbyt subordynowanym poddanym, aby śmiał oskarżać królowę — powiedziała Andrea, starając się o zachowanie spokoju.

Królowa spostrzegła, że jej miódowa słodycz, którą chciała ugłaskać surową Andreę, budzi podejrzenie, zaprzestała więc grzeczności.

— Będąc w Saint-Denis, gdzie mówić musiałam z przełożoną — powiedziała — postanowiłam zobaczyć się z panią i zapewnić ją o mojej dla niej przyjaźni.

Andrea odczuła zmianę tonu; obawiała się teraz, że obraziła królowę tak dla niej dobrą; przestraszyła się, że odkryła jej niechcący bolesną ranę serca, tak trudną do ukrycia przed okiem kobiety.

— Wasza Królewska Mość obdarza mnie honorem i radością — powiedziała z melancholią.

— Nie mów tak, Andreo — zawołała królowa, ściskając jej rękę — rozrywasz mi serce. Czyż nie wolno nędznej królowej mieć przyjaciółki, czyż nie wolno rozporządzać jej duszą, czyż nie wolno spowiadać oczom tak miłym jak twoje, nie podejrzewając, że ukrywają one interes lub urazę?... Tak, tak, Andreo, może zazdrościsz władczyniom, tym właścicielkom majątków,

honoru i życia poddanych!... O, tak, królowe posiadają złoto i krew swych ludów, ale nie posiadają nigdy serca!... Serca wziąć nie mogą, muszą czekać, aż ktoś im je zaofiaruje!...

— Zapewniam cię, Najjaśniejsza Pani — odparła Andrea, wzruszona tą gorącą przemową — że kochałam Waszą Królewską Mość bardziej...

— Kochałaś mnie... — zawołała królowa — to znaczy, że już mnie nie kochasz.

— Ależ, Najjaśniejsza Pani!...

— Nie żądam tłumaczenia, Andreo... Przeklęty niech będzie klasztor, w którym gasną tak prędko uczucia pewnych serc.

— Nie wiń, Najjaśniejsza Pani, mego serca — odparła Andrea. — Ono już umarło.

— Serce twoje umarło?... Ty, Andreo, ty, młoda i piękna, mówisz, że serce twoje umarło?... Nie igrzaj z grobowymi wyrazami... Nie mogło umrzeć serce, gdy ktoś tak się umie uśmiechać, tak jest piękny jak ty, Andreo.

— Najjaśniejsza Pani, powtarzam, że przy dworze i na świecie nie ma już miejsca dla mnie; tu żyję jak trawa, jak roślina; doznaję radości, które sama tylko rozumiem. Dlatego też przed chwilą nie pojmowałam cię, Najjaśniejsza Pani, bo jesteś wspaniała i uśmiechnięta, a ja lękliwa i smutna; jestem zakonnica, oczy moje zamknęły się, blask twój mnie raził. Błagam cię, Najjaśniejsza Pani, o przebaczenie: wszak nie tak wielką jest zbrodnią zapomnienie o marnościach świata; spowiednik mój chwali mnie codziennie z tego powodu, nie bądź więc, Najjaśniejsza Pani, surowsza od niego.

— Jak to, podoba ci się w klasztorze?... — zapytała królowa.

— To życie daje mi szczęście.

— I wcale już nie tęsknisz do uciech świata?

— Wcale!

— Boże mój — pomyślała królowa — gotowa mi odmówić. Poczula, że wstrząsają nią dreszcze.

Spróbuję ją skusić — jeżeli zaś i to zawiedzie, ucieknę się do próśb. O, nieba!... Prosić ją, żeby wzięła Oliwiera, prosić ją o to! Czy można być bardziej nieszczęśliwą!

— Andreo — powiedziała, ukrywając wzruszenie — twoje zadowolenie z życia w klasztorze odbiera mi nadzieję...

— Jaką nadzieję, Najjaśniejsza Pani?...

— Nie mówmy o niej, kiedy zdecydowałaś tak stanowczo... Był to dla mnie cień radości, lecz, niestety, znikł... Dla mnie już teraz wszystko jest cieniem... Nie myślmy już o tym.

— Ależ, Najjaśniejsza Pani, zechciej mi wytłumaczyć, o jakiej radości mówisz

— Na nic się nie zda... Porzuciłaś świat, nieprawda?...

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani.

— Zupełnie bez żalu?

— Bez żalu!

— I jesteś zadowolona?

— Bardziej niż kiedykolwiek myślałam!...

— Najlepszy więc dowód, że zbyt wiele są moje objaśnienia, Bóg jednakże świadkiem, że pragnęłam uczynić cię szczęśliwą.

— Mnie?...

— Tak, ciebie, niewdzięczna, która mnie skrzywdziłaś... Dziś jednak poznałaś inne rozkosze, lepiej znasz swe upodobania, swe powołanie. Zrzekam się więc...

— Racz mnie, Najjaśniejsza Pani, objaśnić jakimś szczegółem.

— No, po prostu pragnęłam zabrać cię z powrotem.

— Och — zawołała Andrea z wyrazem goryczy — ja miałabym powrócić na dwór!... Ależ, nie, nie, Najjaśniejsza Pani, nie powrócę, choć mi niewymownie przykre nieposłuszeństwo wobec Waszej Królewskiej Mości.

Królowa drgnęła, poczuła w sercu ból niewypowiedziany. Ona — potężny okręt rozbija się o atom granitu.

— Odmawiasz, pani?... — zapytała szeptem, a chcąc ukryć zmieszanie, rękami zasłoniła twarz.

Andrea, myśląc, że królowa czuje się urażona, uklękła przed nią, chcąc tym dowodem szacunku złagodzić ranę zadaną przyjaźni czy dumie.

— Cóż byś, Najjaśniejsza Pani, miała za pociechę ze mnie, smutnej, biednej niedołęgi, od której każdy ucieka, która nie potrafiła nawet obudzić w kobietach zwyczajnego niepokoju rywalizacji, w mężczyznach zaś zwykłej sympatii, wynikającej chociażby z różnicy płci. O, Pani Najjaśniejsza i Najdroższa. Pozostaw biedną zakonnice... Jeszcze nawet Bóg jej nie przyjął, gdyż zbyt jest ułomna, a wszakże Bóg przyjmuje kaleki fizyczne i moralne!... Pozostaw mnie, Najjaśniejsza Pani, w osamotnieniu i niedoli, pozostaw...

— Ach!... — powiedziała królowa podnosząc głowę. — Propozycja moja zadaje kłam temu, coś właśnie powiedziała, Andreo. Małżeństwo, o którym mówić ci chciałam, wyniosłoby cię do rzędu najpierwszych dam Francji.

— Małżeństwo — wyjąkała Andrea.

— Odmawiasz?... — spytała królowa, coraz bardziej tracąc odwagę.

— Odmawiam, Najjaśniejsza Pani, odmawiam!...

Maria Antonina, ze ściśniętym sercem, gotowała się przystąpić do błagań, zmieszana i niepewna podniosła się z fotela, nie wiedząc jak zacząć.

— Racz, Najjaśniejsza Pani — powiedziała Andrea przytrzymując suknię królowej, w obawie, że Maria Antonina chce odejść — wyjawić mi nazwisko człowieka, który by chciał mnie wziąć za dozgonną towarzyszkę; tyle razy czułam się upokorzona, że nazwisko tego wspaniałomyślnego człowieka — tu uśmiechnęła się z goryczą — będzie kojącym balsamem, który będę odtąd przykładając na wszystkie rany mej dumy.

Królowa zawahała się, trzeba było jednak dojść do celu.

— Nazwisko... Pan de Charny — powiedziała tonem obojętnym.

— Pan de Charny! — zawołała Andrea gwałtownie. — Pan Oliwier de Charny!

— Tak jest, pan Oliwier de Charny — odparła królowa, ze zdziwieniem patrząc na dziewczynę.

— Siostrzeniec pana de Suffren?... — zapytała Andrea, a twarz jej oblała się szkarłatem i oczy zaiskrzyły jak gwiazdy.

— Tak jest — odparła Maria Antonina, zdumiona nagłą zmianą w rysach Andrei.

— Więc chcesz mnie, Najjaśniejsza Pani, wydać za pana Oliwiera de Charny?...

— Tak, za niego.

— A on... się zgadza?...

— On prosi o rękę pani.

— Przyjmuję, przyjmuję! — zawołała Andrea z uniesieniem. — Więc on mnie kocha... kocha... I ja go Kocham!...

Królowa, śmiertelnie blada, cofnęła się z jękiem i opadła na fotel. Andrea jakby straciła rozum, zalana łzami całowała jej kolana, ręce i suknie.

— Kiedy pojedziemy?... — zapytała wreszcie, gdy oprzytomniała na tyle, żeby zdobyć się na słowa.

— Chodźmy — odpowiedziała królowa, czując że życie z niej uchodzi i pragnąc umrzeć, ale... otoczona czią.

Oparła się na Andrei, której usta paliły jej lodowatą twarz.

— O, mój Boże, czyż dla jednego serca nie dosyć jeszcze cierpienia! — załkała cicho nieszczęśliwa władczyni życia i honoru trzydziestu milionów poddanych.

— A jednak składam ci dzięki, mój Boże, bo wybawiasz dzieci me od hańby i dajesz mi prawo umierać... w płaszczu królewskim.

LXXXIV. DLACZEGO BARON NABIERAŁ TUSZY

Podczas gdy królowa rozstrzygała w Saint-Denis los panny de Taverney, Filip z rozdartym sercem przygotowywał się do wyjazdu. Nie chciał być świadkiem nieuniknionej niesławy królowej, jedynej ubóstwianej kobiety. Spieszył się. Przynagłał i popędzał służbę, by jak najprędzej siodłano konie, nabijano broń i pakowano niezbędne przybory podróżne. Dopilnował wszystkiego, a gdy skończył, kazał uprzedzić ojca swego, pana de Taverney, że pragnie z nim mówić.

Staruszek wracał właśnie z Wersalu drepcząc na cienkich nóżkach, które dźwigały wydatnie zaokrąglony brzuszek.

Baron od kilku miesięcy tył, z czego był dumny, rozumując dość logicznie, że otyłość jest dowodem pełnego zadowolenia. Zadowolenie pana de Taverney komentować można rozmaicie.

Baron powracał z pałacu wesoły. Wieczorem zebrał plon dziennego skandalu, który zdarzył się na dworze. Uśmiechem do pana de Breteuil wystąpił przeciwko księciu de Rohan, uśmiechał się do panów Guemenee i de Soubise przeciwko panu de Breteuil, do hrabiego Prowansji przeciwko królowej, do pana d'Artois przeciwko hrabiemu Prowansji, do stu osób przeciwko stu innym, zawsze przeciw, nigdy za. Zebrał zapas złośliwych plotek i wracał zadowolony.

Kiedy mu powiedziano, że syn pragnie z nim pomówić, nie czekając na Filipa poszedł go odwiedzić.

Filip obawiał się, że po wyjeździe obojga męczenników baron będzie czuł się osamotniony jak dzieci, którym odbierają pieska i które nie mają co dręczyć, toteż był mocno zdziwiony, gdy usłyszał wesołą paplaninę barona:

— A, mój Boże, on wyjeżdża... — Byłem tego pewien — mówił dalej baron — nawet byłbym się założył. To dobry pomysł, mój Filipie, wybornie zagrane.

— Co pan mówi? — zapytał Filip. — Co za dobry pomysł?

Staruszek zaczął nucić i skakać na jednej nodze, podtrzymując rękami okrągły brzuszek, a równocześnie dawał synowi znaki, aby oddalił lokaja.

Filip zrozumiał ojca i uczynił zadość jego życzeniom. Baron wypchnął Champagne'a za drzwi i zamknawszy je za nim podszedł do syna.

— Podziwiać tylko, podziwiać — rzekł.

— Nie wiem, panie — odparł oschle Filip — czy zasłużyłem na pochwały, których mi nie szczędzisz.

— Och, och! — zauważył mizdrząc się staruszek.

— Wesołość pańską mogę chyba przypisać tylko memu bliskiemu odjazdowi.

— Ha! ha! — śmiał się na różne tony baron. — Ta, ta, ta! Nie ukrywaj się przede mną, nie trudź, bo mnie i tak nie oszukasz... He, he, he...

Filip skrzyżował ręce i pomyślał, czy baron nie dostał czasem bzika.

— Ja mam oszukiwać? Po co? — zapytał.

— Z tym twoim wyjazdem... Myślisz, że wierzę w chęć rozłączenia się z nią?

— Nie wierzysz pan?

— Champagne'a tu nie ma, więc powtarzam, nie ukrywaj się; przyznaję zresztą, że ci nic innego nie pozostało, dobrze więc, że tak czynisz. Prawda, że to zadziwiające, iż wszystko już odgadłem, ale, widzisz, mój Filipie, zrozumiałem, że pozorujesz wyjazd i powinszować ci muszę tego pomysłu.

— Pozoruję! — zawołał zaintrygowany Filip.

Staruszek zbliżył się do syna i palcami kościstymi dotykając jego piersi rzekł tonem poufałym:

— Słowo honoru, bez tego fortelu wszystko by się wykryło. Bierzesz się do rzeczy w stosownej chwili, jutro byłoby za późno. Idź więc prędko, moje dziecko, zabieraj się co tchu!

— Panie — odrzekł Filip tonem lodowatym — oświadczani ci, że nie rozumiem ani słowa z tego, co zaszczyt miałem usłyszeć z ust twoich.

— A gdzie ukryjesz swe konie? — zagadnął baron, nie odpowiadając na pytanie. — I dokąd właściwie zamierzasz niby pojechać?

— Udaję się do Taverney Maison-Rouge.

— Dobrze, bardzo dobrze. Udajesz się niby to do Maison-Rouge... nikt tego nie dociecze... Bądź jednakże ostrożny... dużo jest oczu zwróconych na was oboje.

— Na nas oboje?

— Widzisz, ona jest gwałtowna — podchwycił staruszek — zapal jej może być zgubny; bądź ostrożny, bądź od niej rozsądniejszy.

— Cóż to? — zawołał Filip rozgniewany. — Zdaje mi się, że pan kosztem moim wynajdujesz sobie zabawkę. Doprawdy, nie bardzo to łaskawie, skoro jestem tak zmartwiony i rozdrażniony, że narażasz mnie na zapomnienie o przynależnym ci szacunku?

— O! Zwalniam cię. Jesteś nadto dojrzały, aby wiedzieć, z czego możemy czerpać korzyść, a to już spłaci dług szacunku. Powiedz mi lepiej, pod jakim adresem przesłać ci mam wiadomość o ważniejszych wypadkach?

— Będą w Taverney Maison-Rouge — odparł Filip w przekonaniu, że staruszek odzyskuje rozum.

— Też ci wykoncypował adres... Taverney... osiemdziesiąt mil! Czy sądzisz, że gdy zajdzie potrzeba uprzedzenia cię lub przesłania ci dobrej rady, zabijać będę ludzi i konie posyłając tak daleko? Daj mi jakiś adres o kwadrans stąd, przede nie brak ci pomysłów! Jeżeli ktoś dla miłostek czyni to co ty, jest człowiekiem bogatym w fortele i wybiegi!

— Miłostki? Pomysły? Ależ bawimy się w zagadki, a pan chowa rozwiązanie dla siebie.

— Nie znam drugiej takiej osoby, która by równie umiała dochować tajemnicy jak ty! — zawołał ojciec z wyrzutem. — Zdawałoby się, że obawiasz się zdrady nawet z mojej strony, to śmieszne! Dobrze, dobrze, zachowaj swe sekrety dla siebie, zachowaj tajemnicę, żeś wynajął domek łowczego...

— Ja wynająłem domek łowczego?

— Zachowaj tajemnicę przechadzek nocnych w towarzystwie dwóch uroczych przyjaciółek.

— Ja odbywałem przechadzki? — szepnął blednąc Filip.

— Zachowaj tajemnice pocałunków formujących się jak miód z kwiatów i rosy.

— Panie! — zawołał Filip wściekły z zazdrości. — Czyż nie umilknie pan?

— Dobrze. Przecież wiem o wszystkim, co czyni, a nic nie mówi... Słuchaj! Domyślałeś się chyba, że wiem? I to powinno cię było natchnąć zaufaniem. Te twoje poufałe z królową stosunki, twoje zabiegi uwieńczone pomyslnym skutkiem, twoje wycieczki do łaźni, to wszystko, mój Boże, zapewnia nam szczęście i majątek. Filipie, nie obawiaj się ojca, wyznaj mu wszystko!.

— Panie! — zawołał Filip, ukrywając twarz w dłoniach. — To oburzające.

Ale baron wpadł w zapał.

— Widzisz — mówił — to było arcydzieło. Dziś wieczorem sto osób mówiło mi: to Rohan; dwieście: to Charny. Nikt nie powiedział: to Taverney. Winszuję ci, zresztą jej też. Jej, że dobrze wybrała, tobie, że ją trzymasz.

Baron cieszył się szczerze, że syn wstępuje coraz wyżej po stopniach drabiny protekcji. Z tego zadowolenia przybyło panu baronowi de Taverney w ciągu kilku tygodni sporo funtów tłuszczu...

Filip wściekły na tę nową kałużę bezceństw miał już wybuchnąć, gdy nagle turkot kół i hałas na dziedzińcu zwróciły jego uwagę. Wtem rozległ się głos Champagne'a:

— Nasza panienka, nasza panienka!

— Jaka panienka? — zapytał Taverney.

— Moja siostra — odparł Filip, poznając Andreę wysiadającą z powozu przy świetle pochodni.

— Twoja siostra? — powtórzył starszek. — Andrea? Czyż to możliwe?

W tejże chwili zjawił się Champagne z oznajmieniem, że panna Andrea de Taverney czeka na brata w salonie.

— Chodźmy — rzekł baron.

— To ze mną chce mówić Andrea — odparł Filip, kłaniając się ojcu — pozwól więc, panie, że pójde sam.

Naraz zajechał drugi powóz.

— A teraz któż to przybywa? — szepnął baron. — Wieczór dzisiejszy jest pełen przygód!

— Pan hrabia Oliwier de Charny! — krzyknął odźwierny do lokaja.

— Zaprowadzić pana de Charny do salonu — rzekł Filip do Champagne'a. — Pan baron przyjmie go, ja przejdę z siostrą do buduaru.

Dwaj panowie wolno zstępowali ze schodów.

— Po co przyjechał hrabia? — myślał Filip.

— Czego chce Andrea? — myślał baron.

LXXXV. OJCIEC I NARZECZONA

Salon pana de Taverney znajdował się na parterze.

Na lewo od salonu był buduar, który miał wyjście osobne na korytarz i schody, prowadzące do pokojów Andrei.

Na prawo znajdował się mały salonik, przez który wchodziło się do dużego salonu.

Filip wszedł szybko do buduaru, gdzie czekała nań Andrea; z przedpokoju przyśpieszył kroku, aby prędzej znaleźć się w objęciach ukochanej siostry.

Zaledwie otworzył drzwi, Andrea wstała, a objąwszy go za szyję ucałowała serdecznie, tak swobodnie i tak wesoło, jak już dawno nie całował nikt jej smutnego i nieszczęśliwego brata.

— Na miłość boską, co się stało? — zapytał Filip.

— Coś pomyślnego, o, bardzo pomyślnego, mój braciszku.

— I przyjechałaś, by mi to oznajmić?

— Przyjechałam na zawsze! — zawołała Andrea z taką radością w głosie, że słowa jej zamieniły się prawie w krzyk.

— Ciszej, ciszej, kochana siostrzyczko — rzekł Filip. — Mury tego domu odwykły od radosnych okrzyków, a zresztą obok, w salonie, jest ktoś, kto mógłby cię usłyszeć.

— Jest ktoś? Któż to taki? — zapytała.

— Pan hrabia de Charny — oznajmił właśnie w tej chwili kamerdyner.

— On! On! — zawołała Andrea, podwajając czułości dla brata. — O, wiem, po co tu przybył. O, wiem aż tak dobrze, że dostrzegam nieład mej toalety. Idę się przebrać zanim będę musiała wejść do salonu i wysłuchać prośby pana de Charny...

— Nie żartujesz, siostrzyczko?

— Nie, nie, idę się przebrać. Królowa przywiozła mnie tak prędko; nie zdążyłam zdjąć szat zakonnych. Muszę ubrać się w toaletę... Och, w strój narzeczonej.

I ucałowawszy brata Andrea wybiegła wesoło, znikając na schodach prowadzących do jej pokoju.

Filip stanął przy drzwiach salonu, w którym znajdował się Charny. Oliwier poważnie przechadzał się po pokoju, zastanawiał się nad czymś i niecierpliwił.

Po chwili wszedł baron de Taverney i skłonił się Oliwierowi z wyszukaną, choć wymuszoną grzecznością.

— Czemu — spytał — zawdzięczać mam zaszczyt niespodziewanych odwiedzin pańskich, panie hrabio?

— W ważnej sprawie przybywam. Raczy mi pan wybaczyć, że nie towarzyszy mi mój wuj, pan komandor de Suffren, powinienem był go prosić.

— Jak to? Ależ, wybaczam, wybaczam, panie de Charny — odparł baron.

— Wymagała tego przyzwoitość wobec prośby, którą chcą panu wyłuszczyć.

— Prośby? — zapytał baron,

— Panie baronie de Taverney, mam zaszczyt prosić pana o rękę córki pańskiej, panny Andrei de Taverney — rzekł Charny, starając się ukryć wzruszenie.

Baron podskoczył. Oczy jego zdawały się chłonać każdy wyraz pana de Charny.

— Oho — pomyślał — Filip nabrał takiego znaczenia, że jeden rywal już pragnie korzystać i stara się o jego siostrę.

Głośno zaś i z uśmiechem odpowiedział.

— Oświadczyły pańskie niezmiernie mi pochlebiają, dlatego też pragnę, aby pan stanowczą otrzymał odpowiedź i zaraz pośle uwiadomić moją córkę.

— Panie baronie — odparł Charny — zdaje się, że to zbytuczne: królowa raczyła mówić z panną de Taverney, a odpowiedź jej była przychylna.

— Ach! — zauważył baron zachwycony. — Królowa...

— Królowa — dokończył Charny — sama raczyła udać się do Saint-Denis.

Baron wstał, a wyprostowawszy się rzekł:

— Muszę więc wtajemniczyć pana w pozycję materialną panny de Taverney.

— Zbytuczne, panie baronie — rzekł oschle Charny — wszak ja jestem dość majątny, a nie kupuje się kobiety z takimi zaletami, jak panna de Taverney. Kwestii powyższej odnośnie osoby panny Taverney poruszać nie potrzebujemy, nieodzownie jednak należy ją rozważyć, jeśli chodzi o mnie.

Zaledwie słów tych domówił, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Filip; był blady i zgnębiony. Jedną rękę trzymał za kamizelkę, drugą miał konwulsyjnie zaciśniętą.

Charny skłonił się ceremonialnie, na co Filip odpowiedział równie sztywno,

— Panie — rzekł Filip — mój ojciec słusznie chciał z panem pomówić o interesach rodzinnych: jesteście sobie winni pewne wyjaśnienia. Gdy baron oda się do swego gabinetu, aby przynieść potrzebne papiery, ja będę miał zaszczyt pomówić w tej kwestii z panem.

Filip spojrzeniem stanowczym pożegnał barona, który odszedł niechętnie, przewidywał bowiem jakieś zajście.

Filip odprowadził ojca aż do drzwi małego salonu po to jedynie, aby się upewnić, czy w pokoju tym nie będzie nikogo. Potem zajrzał do buduaru, a przekonawszy się, że i tam nie ma nikogo, rzekł krzyżując ręce na piersiach.

— Panie de Charny, jak pan śmie prosić o rękę mojej siostry?

Oliwier cofnął się i zarumienił.

— Czy dlatego — mówił dalej Filip — aby lepiej ukrywać miłości z kobietą, której pan nadskakujesz? Czy dlatego, aby nie mówiono, że masz pan kochankę?

— Panie — szepnął Charny chwiejąc się.

— Czy dlatego, by, ożeniwszy się z kobietą żyjącą blisko pańskiej kochanki, mógł pan każdej chwili widywać się z tamtą?

— Przekraczasz pan granice...

— Może właśnie dlatego chcesz pan zostać moim szwagrem — rzekł Filip zbliżywszy się do Charny'ego. — Chcesz, żebym nie wydał tajemnicy waszych miłości...

— Ostrożnie, ostrożnie, panie! — zawołał przestraszony Charny.

— Tak, tak; wynajęłaś pan domek łowczego, przechadzki tajemnicze odbywały się po parku wersalskim w nocy; ścisnęło się rączki, wzdychało, zamieniało się czułe spojrzenia przy, furtce parkowej...

— Panie, na litość boską, powiedz, żenię wiesz o niczym!

— Nie wiem! — powtórzył z gorzką ironią Filip. — Jak mam nie wiedzieć, kiedy ukryty byłem za krzakami przy łazienkach Apollina, gdy wychodziłaś pan, prowadząc pod rękę królowę. Charny postąpił o krok i jak człowiek śmiertelnie raniony szukał oparcia.

Filip ze spokojem pozwalał mu cierpieć. Zmuszał go do pokuty.

— Trudno — rzekł wreszcie. — Nawet pomimo tego, coś pan powiedział, proszę o rękę panny de Taverney. Gdybym był kalkulatorem, jak powiadasz, mój panie, byłbym człowiekiem nikczemnym. Ale trzeba ratować królowę.

— W jakim to sposób królowa jest zgubiona? — zapytał Filip. — Czy dlatego, że pan de Taverney widział, jak ścisnęła dłoń pana de Charny i ze łzami szczęścia patrzyła w niego jak w

tęczę? To, że ja wiem o uczuciach królowej dla pana, nie gubi jej; nie widzę powodu, żeby poświęcać moją siostrę i nie pozwolę jej poświęcić, mój panie!

— Panie — odparł Oliwier — czy wiesz pan, dlaczego odmowa pańska zgubi królowę? Dlatego, że dziś rano, gdy aresztowano pana de Rohan, król zastał mnie u jej nóg.

— Boże! — jęknął Filip.

— A królowa, pytana przez zazdrosnego męża, co znaczy ten widok, odpowiedziała, że na klęczkach proszę o rękę panny de Taverney. Oto powód, panie, czy teraz mnie rozumiesz?

Dwa jęki przerwały słowa Oliwiera: jeden pochodził z buduaru, drugi z przyległego salonu.

Oliwier pobiegł w stronę buduaru; ujrzał tam Andreę. Była w bieli jak oblubienica.

Słyszała wszystko i zemdląła.

Filip wpadł do saloniku, gdzie spostrzegł leżącego na ziemi barona de Taverney; wieść o stosunkach Charny'ego z królową zniweczyła wszystkie jego nadzieje.

Baron, dotknięty apopleksją, wydał ostatnie tchnienie.

Przepowiednia Cagliostra ziściła się.

Filip, który rozumiał wszystko, nawet hańbę tej nagłej śmierci, opuścił w milczeniu trupa, a wszedł do buduaru, gdzie Charny wzruszony i drżący patrzył na piękną dziewczynę leżącą bez czucia; Charny nie śmiał jej dotknąć.

Filip z oczyma nabiegłymi krwią zdobył się na kilka słów stanowczych.

— Baron de Taverney umarł, po jego śmierci ja jestem głową rodziny; jeżeli siostra moja żyć będzie, zostanie pańską małżonką.

Charny spojrział na trupa barona z przestachem, na ciało Andrei z rozpaczą.

Filip załamywał ręce i rozpaczliwie wzywał miłosierdzia bożego.

— Hrabio de Charny — rzekł, gdy burza w nim nieco ucichła — daję panu słowo w imieniu mojej obecnej, lecz nieprzytomnej siostry: poświęci ona szczęście swe dla królowej, a ja może dam dla niej swe życie. Żegnam cię, panie de Charny, żegnam mój szwagrze.

Skłonił się w milczeniu Oliwierowi, który nie wiedział, jak, wydostać się z salonu, nie przechodząc obok jednej z ofiar.

Filip prędko zbliżył się do siostry, podniósł ją i zaczął cucić, a Charny pośpiesznie opuścił buduar.

LXXXVI. PO SMOKU ŻMIJA

Czas powrócić do tych osób naszej powieści, które okoliczności i wypadki, a wreszcie i prawda historyczna, na drugim postawiły planie.

Oliwia namówiona przez Joannę przygotowywała się do ucieczki, kiedy Beausire zawiadomiony listem bezimiennym, pragnąc odzyskać Nicole, zjawił się, aby zabrać ją od Cagliostro; pan Reteau de Villette daremnie więc czekał na końcu ulicy Roi-Dore.

Aby odnaleźć szczęśliwych kochanków, do których pan de Crosne miał tyle interesów, Joanna poruszyła wszystkie sprężyny.

Joanna sama pragnęła czuwać nad swą tajemnicą i nie pozostawiać jej w ręku obcych; ażeby zaś sprawa wzięła pomyślny obrót, należało przede wszystkim usunąć Nicole.

Trudno opisać rozpacz i cierpienia hrabiny, gdy każdy z zaufanych jej osnawiał, że wszelkie poszukiwania okazały się bezowocne.

W tym samym czasie odbierała rozkaz po rozkazie, aby stawić się u królowej w sprawie naszyjnika.

W nocy, dobrze zawoalowana, wyjechała hrabina do Barsur-Aube gdzie miała małą posiadłość.

Przybyła tam boczną drogą i nie poznano jej, skorzystała więc ze swobody, aby rozważyć trudne swoje położenie.

W ten sposób zyskała kilka dni, których użyć pragnęła dla wzmocnienia i obwarowania gmachu swych kłamstw.

Król i królowa dowiedzieli się o bytności hrabiny w Barsur-Aube dopiero wtedy, gdy ta dostatecznie już była do walki przygotowana.

Wysłano umyślnego, który miał ją gwałtem do Wersalu sprowadzić; od niego dowiedziała się o aresztowaniu kardynała de Rohan. Kogokolwiek innego zgnębiłyby takie kroki zaczepne, lecz Joanna wszystko stawiała na kartę. Dowiedziawszy się o uwięzieniu kardynała i o hałasie, jakiego narobiła Maria Antonina, rozważała wszystko jak najspokojniej.

Kiedy wysłaniec królewski chciał ją zaprowadzić do króla, Joanna ze zwykłą swą przebiegłością spytała:

— Panie, wszak pan kocha królowę?

— Czy wątpisz o tym, hrabino? — odparł.

— To pięknie. A więc w imię tej miłości wiernego poddanego, w imię szacunku, jaki pan żywisz dla królowej, zaklinam cię, panie, abyś mnie najpierw do niej zaprowadził.

Wysłaniec chciał coś powiedzieć, lecz Joanna przeszkodziła.

— Przekonana jestem, że pan lepiej wie ode mnie, o co właściwie idzie, dlatego też rozumiesz, że potajemne widzenie się z królową jest koniecznością.

Wysłaniec przejęty potwarzami, jakie od pewnego czasu obiegały Wersal, mniemał, że przysłuży się królowej sprowadzając do niej panią de la Motte.

Stały naprzeciw siebie dwie przeciwniczki. Z jednej strony królowa wyniosła, dumna, pyszna w swej rzetelności wobec złego ducha, którego jeszcze nie rozumiała, ale którego zdradziecki wpływ na jej sprawy przeczuwała już, królowa niepocieszona po klęsce miłosnej, zgębiona głośnym skandalem i obelgami, których nie mogła odeprzeć, królowa gotująca się z najwyższą pogardą i źle hamowanym gniewem zdeptać głowę węża, który ją ukąsił.

Z drugiej strony pani de la Motte, układna, spuszczaająca oczy, zginająca się w powolnych i uroczyście ukłonach, zaciskająca usta, przepełniona nienawiścią kobiety ku kobiecie,

tajemnicza w poczuciu swej przewagi, przebiegła i pełna pomysłów, podniecona rozpaczą, gotowa do zadania śmiertelnego pchnięcia.

Królowa poprosiła na świadków dwie damy dworu, a pani de la Motte pomyślała:

— O tych świadków zaraz się odprawi.

— A! Jesteś pani nareszcie! — zawołała królowa. — A jednak cię znaleziono.

Joanna ukłoniła się.

— Ukrywałaś się, pani — rzekła królowa.

— Ja miałam się ukrywać, Najjaśniejsza Pani? Ależ bynajmniej, gdybym się kryła, nie znaleziono by mnie przecież — odparła Joanna łagodnie jakby wzruszona.

— Nazywaj to, pani, jak chcesz, lecz bądź co bądź uciekłaś. — Opuściłam Paryż, to prawda, Najjaśniejsza Pani...

— Bez mego pozwolenia...

— Obawiałam się, że Wasza Królewska Mość odmówi mi urlopu, potrzebnego mi do załatwienia pewnych spraw w Barsur–Aube, gdzie byłam od sześciu dni i gdzie znalazł mnie wysłannik królewski. Zdawało mi się wreszcie, że obecność moja nie jest tak nieodzowna, bym musiała prosić o pozwolenie wyjazdu na tydzień.

— Masz, pani, słuszność. Dlaczego jednak obawiałaś się odmowy? O jakiz urlop miałaś mnie prosić? Czy pełnisz tu jakie obowiązki?

Pogarda tych słów dotknęła Joannę boleśnie, lecz czając się, jak tygryska przebita strzałą, rzekła z pokorą:

— Najjaśniejsza Pani, prawda, że nie mam obowiązków dworskich, lecz Wasza Królewska Mość szaszczycała mnie zaufaniem tak dla mnie szacownym, iż uważałam się bardziej związana z dworem z wdzięczności niż inni z powinności.

Joanna długo szukała stosownego wyrażenia, znalazła „zaufanie” i zaakcentowała je.

— Z tego zaufania wyliczymy się zaraz — powiedziała królowa z większą jeszcze pogardą. — Czy widziałaś pani króla?

— Nie widziałam, Najjaśniejsza Pani.

— Zobaczysz go, pani. Joanna skłoniła się:

— Będzie to dla mnie wielki zaszczyt.

Królowa starała się ochłonać i namyślała się, od czego zacząć, żeby uzyskać przewagę.

Joanna skorzystała z przerwy, aby zauważyć:

— Mój Boże! Jakże surowa jest dziś dla mnie Wasza Królewska Mość, drzę cała.

— To dopiero początek — odparła królowa. — Czy słyszałaś, że pan de Rohan jest w Bastylii?

— Mówiono mi.

— Domyślasz się chyba, pani, dlaczego tam się znajduje? Joanna spojrzała na królowę, a zwróciwszy wzrok na damy, które najwidoczniej jej przeszkadzały, rzekła:

— Nie domyślam się, Najjaśniejsza Pani!

— Lecz pamiętasz, pani, że mówiłaś mi o pewnym naszyjniku?

— Tak, Najjaśniejsza Pani, o naszyjniku z diamentów.

— Czy proponowałaś mi, pani, w imieniu kardynała układ z jubilerami?

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani.

— Czy zgodziłam się, czy też odmówiłam przyjęcia tej propozycji?

— Najjaśniejsza Pani odmówiła.

— A! — zawołała królowa z odcieniem radosnego zadowolenia i zdziwienia.

— Najjaśniejsza Pani dała jubilerom zadatek, dwakroć sto tysięcy liwrow — rzekła Joanna.

— Dobrze, co więcej?

— Później Wasza Królewska Mość, nie mogąc zapłacić na skutek, odmowy ze strony pana de Calonne, odesłała kasetkę z naszyjnikiem jubilerom Boehmerowi i Bossange.

— Odesłała przez kogo?

— Przeze mnie.

— A pani co z nim zrobiłaś?

— Ja — powiedziała powoli Joanna, świadoma wagi każdego słowa — ja wręczyłam klejnoty kardynałowi de Rohan.

— Panu de Rohan! — zawołała królowa. — A to dlaczego? Przecież miały być oddane jubilerom.

— Dlatego, że sądziłam, iż ubliżę kardynałowi, jeżeli nie pozwolę mu zakończyć sprawy, którą on tak bardzo się zajmował.

— Jakim więc sposobem otrzymałaś pokwitowanie od jubilerów?

— Pan de Rohan mi je wręczył.

— A skąd wziął się u jubilerów list, rzekomo mój?

— Pan de Rohan prosił mnie o przekazanie listu.

— Więc wszędzie i zawsze mieszał się w to pan de Rohan! — zawołała królowa.

— Nie wiem, jakie mają znaczenie słowa Waszej Królewskiej Mości i do czego mieszał się kardynał — powiedziała Joanna z roztargnieniem.

— Chcę powiedzieć, że pokwitowanie jubilerów jest sfalszowane.

— Sfalszowane? — powtórzyła prostodusznie Joanna. — Sfalszowane... O! Najjaśniejsza Pani...

— Chcę powiedzieć — przerwała królowa — że list, rzekomo przeze mnie pisany, jest również falsyfikatem.

— Och! — zawołała Joanna udając jeszcze większa zdziwienie.

— Chcę wreszcie powiedzieć — dodała królowa — że skonfrontuję panią z panem de Rohan, aby sprawę całą wyświecić.

— Po cóż konfrontować mnie z kardynałem? — zapytała Joanna.

— Chciał dowieść pani, żeś go oszukała.

— O, w takim razie ja żądam konfrontacji!

— Odbędzie się, odbędzie, bądź pani spokojna. Więc nie wiesz pani, gdzie znajduje się naszyjnik?

— Skądże bym miała wiedzieć?

— Zaprzeczasz, pani, jakobyś dopomagała kardynałowi w intrygach?

— Wasza Królewska Mość może pozbawić mnie swej łaski, ale nie ma prawa mnie znieważać. Jestem z rodu Walezjuszów.

— Kardynał podtrzymywał wobec króla pewne insynuacje, które miał udowodnić.

— Nie rozumiem.

— Kardynał oświadczył, że pisywał do mnie. Joanna w milczeniu patrzyła na królowę.

— Słyszysz pani? — zawołała Maria Antonina.

— Słyszę, Najjaśniejsza Pani.

— I jakaż jest odpowiedź pani?

— Odpowiem na konfrontacji z panem kardynałem.

— Jeżeli znasz prawdę, nie czekaj, a pomóż nam.

— Prawdą jest, że Wasza Królewska Mość obwinia mnie i krzywdzi.

— To nie jest odpowiedź.

— W tym miejscu nie dam innej odpowiedzi — powiedziała Joanna patrząc na damy dworu. Królowa zrozumiała, ale nie ustąpiła. Ciekawość nie mogła przeważyć godności własnej.

— Pana de Rohan umieszczono w Bastylii, gdyż chciał za wiele mówić — powiedziała. —
Bądź więc pani ostrożna, aby cię nie spotkał ten sam los z powodu upartego milczenia.

Joanna zacisnęła pięści do bólu, lecz uśmiechnęła się.

— Cóż znaczy dla czystego sumienia prześladowanie? Czyż Bastylia udowodni występki,
którego nie popełniłam?

Królowa gniewnie patrzyła na Joannę.

— Czy będziesz pani mówiła? — zapytała.

— Nie mam nic do powiedzenia, chyba tylko Najjaśniejszej Pani.

— Czy nie mówisz pani do mnie?

— Wasza Królewska Mość nie jest sama.

— Ach, tak! — zawołała królowa. — Chcesz pani mówić w cztery oczy; obawiasz się
skandalu zeznań publicznych, a sama zniesławiasz mnie podejrzeniami.

Joanna wyprostowała się.

— Nie mówmy lepiej o tym. Wszystko, co robiłam, było dla dobra Najjaśniejszej Pani

— O! To zuchwalstwo!

— Z pokorą znoszę obelgi mej władczyni — spokojnie odpowiedziała Joanna.

— Dziś jeszcze nocować będziesz w Bastylii, hrabino de la Motte.

— Tak jest. Ale zanim udam się na spoczynek, będę prosić Boga, by zachował spokój i honor
Waszej Królewskiej Mości.

Królowa nie posiadając się z gniewu wstała i przeszła do sąsiedniego pokoju mocno
trzasnąwszy drzwiami.

— Skoro zwyciężyłam smoka, zniszczę i żmiję — rzekła sobie w duchu.

— Wiem, co myśli królowa — pomyślała Joanna — i zdaje mi się, że wygrałam.

LXXXVII. JAK PAN DE BEAUSIRE POLUJĄC NA ZAJĄCA SAM ZOSTAŁ UPOLOWANY

Panią de la Motte osadzono w więzieniu. Dla króla, który instynktownie nienawidził tej kobiety, była to ogromna satysfakcja.

Śledztwo prowadzone było z wielką żarliwością.

Pan de Rohan od chwili aresztowania ciągle prosił o skonfrontowanie go z panią de la Motte.

Życzeniu jego stało się zadość.

Kardynał mieszkał w Bastylji po ksiączęmu, miał wszystko, czego pragnął, prócz wolności.

Proces z początku niewielkie miał rozmiary, ze względu na wysokie stanowiska wmieszanych osób. Dziwiono się, że księcia posadzono o kradzież, ale sympatia doń zamieniła się w prawdziwy entuzjazm, gdy rozeszły się pogłoski, jakoby kardynał padł ofiarą intryg dworskich.

Zainteresowani byli wszyscy: zrujnowani kupcy, pragnący wydobyć się z kłopotów, obwinieni, by oczyścić się z zarzutów i sędziowie, w których ręku spoczywał honor i życie królowej ze względu na miłość własną i koneksje polityczne. W całej Francji zawrzało. Po tonacjach zgielku królowa mogła policzyć swoich stronników i nieprzyjaciół.

Jego Książęca Mość kardynał de Rohan, jeden z pierwszych panów królestwa, nie rozumiał, że miłość ludu pozyskał tylko dlatego, ponieważ prześladował go ktoś jeszcze możniejszy. Ostatnia ofiara absolutyzmu, książę Ludwik, stał się de facto jednym z promotorów rewolucji.

Rozmowa pana kardynała z panią de la Motte naświetliła pewne ważne okoliczności. Hrabina, której wolno było mówić po cichu, gdy szło o królowę, oświadczyła:

— Oddal wszystkich, a gotowa jestem dać objaśnienia, których pan żadasz.

Pan de Rohan pragnął zostać z hrabiną sam i wypytać o wszystko, lecz odmówiono mu, przystano tylko, by prawnicy porozumieli się z hrabiną.

Gdy zapytali ją o naszyjnik, odparła, że nie wie, co się z nim stało, chociaż, być może, doręczono go jej.

Adwokaci wyrazili oburzenie na takie zuchwalstwo z jej strony, a pani de la Motte zapytała, czy usługi oddane kardynałowi i królowej nie warte są miliona.

Gdy adwokat powtórzył jej słowa kardynałowi, pan de Rohan zbladł i opuścił głowę, bo domyślił się, że wpadł w sidła piekielnego ptasznika.

Kardynał nosił się nawet z myślą zatuszowania skandalicznej afery, zgubnej dla czci królowej, lecz przyjaciele jego oraz jej nieprzyjaciele judzili go do dalszych kroków zaczepnych.

Argumentowano, że honor jego postawiony jest na kartę, że ciąży na nim zarzut kradzieży, a bez wyroku parlamentu nie będzie miał dowodu niewinności.

Pragnąc uzyskać wyrok uniewinniający, trzeba było koniecznie udowodnić stosunki kardynała z królową, to znaczy potwierdzić jej zbrodnię.

Joanna oświadczała, że nie oskarży królowej ni kardynała pod warunkiem, że nie będą wymagać objaśnień w sprawie naszyjnika, w przeciwnym bądź razie uczyni to, czego by nie chciała, dowiedzie mianowicie, że w interesie królowej i kardynała leży oskarżenie jej, hrabiny „de la Motte, o kłamstwo.

Kiedy i to powtórzono kardynałowi, wyraził tylko pogardę dla niecnej intrygantki. Dodał wszakże, iż rozumie poniekąd motywy postępowania hrabiny, wcale jednak nie pojmuje zachowania się królowej.

Słowa te, powtórzone z komentarzami Marii Antoninie, rozgniewały ją niezmiernie. Zażądała, by przeprowadzono specjalne śledztwo dla wyjaśnienia subtelnych aspektów sprawy.

Wtedy to wyszły zarzuty o nocnych przechadzkach, co dało niemałe pole do popisu potwarcom i plotkarzom. Teraz prawdziwe niebezpieczeństwo zawisło nad królową.

Joanna obstawała, że nic o tym nie wie, lecz twierdziła tak w obecności ludzi królowej, przy ludziach zaś kardynała powtarzała uparcie:

— Jeżeli nie dacie mi spokoju, wydam wszystko.

To przemilczanie i wstrzemięźliwość pasowały ją niemal na bohaterkę i tak zagmatwały sprawę, że najbardziej otrzaskani inkwircenci drżeli przy odczytywaniu zeznań, a żaden sędzia śledczy nie śmiał przedłużyć badania. Czy kardynał, w chwili słabości, zdradził się ze swej „tajemnicy serca”? Chyba nie, był to przecież człowiek szlachetny, a jednak wieść o schadzkach kardynała z królową nabrała rozgłosu. Wszystko, co powiedział hrabia Prowansji, wszystko, co Filip i Charny widzieli lub słyszeli, wszystkie te sekrety, zdumiewające dla innych prócz pretendenta jak brat królewski, lub rywali jak Filip i Charny, cała tajemnica tych miłostek tak uwłaczających rozprzestrzeniła się i nasiąknęła wulgarnym odorem, tracąc cały dostojny aromat swego pochodzenia.

Nie trudno domyśleć się, że królowa znalazła zapalonych obrońców, a kardynał de Rohan gorliwych popleczników. Oszczerców nie zadowalał dylemat: „Czy królowa skradła naszyjnik”. Teraz stawiano kwestię inaczej: „Czy królowa powinna była zezwolić na kradzież osobie wtajemniczonej w jej karygodne wybryki miłosne.”

Taki to obrót nadała sprawie przewrotność pani de la Motte. W taki to sposób królowa wstąpiła na drogę, u której końca czekała jedynie hańba.

Lecz królowa postanowiła walczyć, a król podtrzymywał ją na duchu. Ministerium z całym aparatem też nie zasypiało sprawy.

Królowa pamiętała, że książe de Rohan jako człowiek prawy nie mógł dążyć do zhańbienia kobiety. Przypomniała sobie pewność, z jaką przysięgał, że miewał schadzki w Wersalu. Nie był więc jej bezpośrednim wrogiem i tak samo jak ona dążył do honorowego wyjścia z tej afery.

Królowa przystała na roztrząsanie zarzutu wiarołomstwa i oskarżyła z kolei Joannę o chytrą i podstępą kradzież.

Joanna spostrzegła, że pozycja jej została zachwiana. Królowa poddając się oskarżeniu zmuszała kardynała do naśladowania jej; jeśli dwoje ludzi szlachetnych dojdzie do porozumienia, nawet gdyby upadli, zmiażdżą biedną Joannę, księżniczkę ze skradzionym milionem, z którego nie mogła skorzystać, by przekupić sędziów. Wszystko obracało się przeciw niej. Arystokracja nie przyznawała się do niej, lud, który nie znosi awanturników, nie stanął po jej stronie.

Tak stały sprawy, gdy nowe zdarzenie zmieniło z gruntu tok procesu.

Pan de Beausire i panna Oliwia żyli zamożnie i szczęśliwie w jakimś wiejskim ustroniu. Pewnego razu pan Beausire pozostawiając panią w domu udał się na polowanie i najniespodziewaniej w świecie wpadł na dwóch agentów pana de Crosne, który węszył w całej Francji. Kochankowie nie wiedzieli wcale, co się dzieje w Paryżu, myśleli tylko o sobie” zajęci byli tylko sobą. Panna Oliwia tyła jak łasica w spichrzu, a pan Beausire w łaskach fortuny zatracił ową niespokojną dociekliwość, cechę wyróżniającą ptaki drapieżne i ludzi o długich rękach.

Jak powiedzieliśmy Beausire wyszedł upolować zająca i wpadł na to, czego wcale nie szukał. To samo zdarzyło się agentom pana de Crosne: szukali oni Oliwii, a znaleźli pana de Beausire. Na polowaniu tak czasem bywa.

Jeden z owych panów gończych, jako człowiek z polotem, kiedy poznał Beausire’a, zamiast aresztować go po grubiańsku, przedstawił swemu towarzyszowi następujący projekt.

— Skoro Beausire może chodzić na polowanie, musi być wolny i bogaty. W kieszeni nie nosi więcej niż kilka luidorów, lecz w domu może mieć kilkaset. Niech wraca do siebie, pójdziemy za

nim i nałożymy nań okup. Jeżeli Beausire'a odstawimy do Paryża, otrzymamy co najwyżej sto luidorów, a jeszcze nas skrzyczą, że zapelniamy więzienie taką hołotą. Pospekulujmy na własny rachunek.

Z takim postanowieniem zaczęli polować, podobnie jak i pan de Beausire, na zające i kuropatwy, nie spuszczając ani na chwilę z oka prawdziwej zdobyczy.

Beausire zauważywszy nieznajomych, którzy polują na jego gruncie i zazdrosny o swą zwierzynę jak każdy ziemianin, nasłał na nich napotkanego przypadkowo gajowego. Sam był zbyt ostrożny i nie dowierzał nowym znajomościom.

— Panie de Linville — oświadczył gajowy. — Ci panowie powołują się na pańskie pozwolenie.

— Ha — rzeki jeden z agentów — to pan już teraz nie nazywasz się Beausire?

Nieborak zmieszał się. A tak się przecież znakomicie ukrywał. Wolał raczej odprawić gajowego.

— Kochany Beausire — odezwał się nagle zmyślny agent — zaproś nas pan do siebie na śniadanko.

— Do mnie? Ale... — bąknął Beausire.

— Wszak nie okażesz się pan na tyle nieuprzejmy, panie Beausire.

Beausire nie wiedział, co począć, szedł więc z obu agentami w stronę domu.

Dom był ładnie położony, widoczny z jednej tylko strony, z trzech innych osłaniały go drzewa, krzaki i wzgórze.

— Jak tu świetnie można się ukryć — zauważył jeden z agentów z zachwytem.

Beausire'a dreszczem przejął ten żart. Pierwszy wszedł do domu przy akompaniamencie szczekania psów, policjanci szli tuż za nim, bezustannie się ceremoniując.

LXXXVIII. TURKAWKI W POTRZASKU

Beausire nie wiedział wprawdzie nic o sprawie naszyjnika, lecz wiedział aż nadto wiele o balu w Operze i o wizycie u Mesmera, i wołał agentom nie pokazywać pani domu.

Wchodząc tylnymi drzwiami chciał uprzedzić Oliwię, aby miała się na baczności. I uczyniłby nader roztropnie, gdyby mógł to uczynić. Zresztą młoda kobieta, która właśnie leżała na kanapie z jakimś romansidłem w ręce, usłyszawszy szczekanie psów zerwała się i wyrzała na podwórze, a spostrzegłszy Beausire'a w towarzystwie, chwalebnie nie wybiegła na jego spotkanie.

Niestety, nie dane było dwom turkawkom wyrwać się z sępich szponów. Należało zarządzić śniadanie, a lokaj, który nie grzeszył nadmiarem mądrości ani sprytem — wieśniacy nie są lotni — kilkakrotnie zapytał, czy po zlecenia ma udać się do pani.

Na wyraz „pani” łapacze nadstawili uszu, żartowali z ukrytej damy, będącej dla pustelnika osłodą wszystkich radości, jakich dostarcza samotność i pieniądze. Beausire pozwalał żartować, lecz Oliwii nie pokazał.

Podano sute śniadanie. Przy deserze, kiedy z czubów już trochę się kurzyło, agenci postanowili zagrać w otwarte karty.

Zręcznie zwrócili rozmowę na temat, jak przyjemnie jest odnajdywać dawnych znajomych.

Beausire, otwierając flaszkę likieru, zapytał nieznajomych, kiedy i gdzie go widzieli...

— Byliśmy — odparł jeden — przyjaciółmi jednego z pańskich współników, przy pewnej sprawie w ambasadzie portugalskiej.

Beausire zbladł.

Kiedy wspomina się podobne sprawy, czuje się powróż w miejscu krawatki.

— Tak — zauważył drżący Beausire. — I mówisz pan do mnie w imieniu przyjaciela?

— Doskonale się składa — powiedział agent do swego towarzysza. — Wstęp twój wydaje mi się najprzyzwoitszy; żądać zadośćuczynienia w imieniu nieobecnego przyjaciela jest czynem nader moralnym.

— Co więcej — dodał kolega moralisty, uśmiechając się krzywo — zastrzegamy sobie prawa do reszty.

— Więc?... — zapytał Beausire.

— Więc, kochany panie Beausire, byłoby nam niezwykle przyjemnie, gdybyś jednemu z nas zwrócił sumę należną naszemu przyjacielowi. Zdaje się coś około dziesięciu tysięcy liwrów.

— Co najmniej, gdyż nie mówi się o procentach — dodał agent poważniejszy.

— Panowie — odparł Beausire, przestraszony stanowczym żądaniem — nie tak to łatwo na wsi o dziesięć tysięcy liwrów.

— Rozumiemy to, drogi panie i nie żądamy bynajmniej niemożliwości. Wiele możesz pan dać natychmiast?...

— Mam coś około pięćdziesięciu luidorów, nie więcej.

— Weźmiemy je natychmiast i podziękujemy za pańską uprzejmość.

— A!... — pomyślał Beausire, zachwycony ich przystępnością. — Czyż przypadkiem oni nie boją się mnie tak samo jak ja ich?...

Zastanawiał się nad tym, że ci panowie nie mogą posunąć zbyt daleko swej natarczywości, bo musieliby przyznać się do współnictwa, co nie byłoby najlepszą rekomendacją dla władz. Przekonany był, że okażą zadowolenie i zachowają zupełne milczenie, a po zapłaceniu natychmiast się wyniosą.

Lecz przeliczył się. Goście czuli się jak w domu i z zadowoleniem rozparli się dla lepszego trawienia. W tej chwili byli łagodni, bo gniew mógłby ich utrudzić.

— Dobry kamrat z Beausire'a — rzekł jeden z agentów. — Miło wziąć sześćdziesiąt luidorów!...

— Zaraz wam wyliczę.

Beausire powstał, aby iść po pieniądze. Ale panowie ci mieli nałogi komorników. Dobry agent, jak dobry pies myśliwski, nie puszcza swej zdobyczy.

— Panie Beausire, kochany panie Beausire!...

— Cóż takiego?... — zapytał Beausire.

— Ależ nie zostawiaj nas samych — rzekli tonem błagalnym i przymuszali go prawie, żeby usiadł.

— Jakże chcecie, żebym wam dał pieniądze, kiedy mi nie pozwalacie iść po nie.

— Pójdziemy z panem — odparł bardziej stanowczy agent z przerażającą czułością.

— Ależ to jest pokój... mojej żony! — zawołał Beausire. Beausire sądził, że argument taki wystarczy zbirom, lecz przeciwnie był on iskrą wzniecającą ogień.

— Dlaczego właściwie chowasz pan swoją żonę? — zapytał agent poważny.

— O!... Zbyt ostro mówicie, moi panowie — zawołał Beausire.

— Chcemy zobaczyć twoją żonę! — odparł zbir stanowczy.

— A ja wam oświadczam, że was każę wyrzucić — zawołał Beausire, sądząc, że pijanych poskromi.

Usłyszawszy to obaj wybuchnęli tak głośnym śmiechem, że powinien był przestrzec gospodarza, lecz upór Beausire'a był trudny do zwalczania.

— Teraz — rzeki — nie dostaniecie ani grosza. Wynocha! Ryknęli jeszcze głośniejszym śmiechem. Beausire zatrzęsł się z wściekłości.

— Rozumiem — odparł głucho. — Narobicie hałasu, będziecie rozpowiadali, lecz gubiąc mnie i sami się zgubicie.

Śmiali się coraz mocniej, a ostatni żart wydał im się doskonały. Taka była ich odpowiedź.

Beausire chciał ich zastraszyć, wybiegł więc na schody nie jak człowiek idący po pieniądze, lecz jak wściekły, szukający broni. Agenci zerwali się z miejsc i wierni swym zasadom, skoczyli za Beausire'm i nałożyli nań ciężkie łapy.

Beausire krzyknął, drzwi otworzyły się i na progu stanęła kobieta zmieszana i wystraszona.

Agenci, ujrawszy ją, puścili Beausire'a i także krzyknęli, ale był to krzyk radości, zwycięstwa, niemal dziki.

Odnaleźli nareszcie kobietę ładną podobną do królowej Francji!...

Beausire sądził, że nagle zjawienie się kobiety rozbroi ich, lecz jakże prędko rozczarował się.

Agent stanowczy zbliżył się do panny Oliwii i tonem niezbyt uprzejmym rzekł:

— A!... Aresztuję panią.

— Aresztować!... — zawołał Beausire. — A to dlaczego?

— Dlatego, że tak żąda pan de Crosne — odparł agent poważny — a my jesteśmy w służbie pana de Crosne.

Gdyby piorun uderzył w kochanków, nie mogliby się bardziej przerazić.

— Widzi pan — rzekł stanowczy do Beausire'a — co wynikło z pańskiej nieuprzejmości.

— Nie masz racji — zauważył kolega poważny — bo gdyby Beausire był grzeczny i pokazał nam panią, na jedno by wyszło.

Beausire ukrył w dłoniach rozgnioną twarz. Zapomniał nawet o tym, że lokaj i służba byli świadkami całego zajścia. Nagle myśl jakaś błoga powstała w jego głowie.

— Przyszliście mnie aresztować?

— Przybyliśmy przypadkowo — odparli dobrodusznie.

— Wszystko jedno, mogliście mnie aresztować, a dla sześćdziesięciu luidorów daliście mi wolność.

— O!... Bynajmniej. Naszym zamiarem było żądać co najmniej jeszcze sześćdziesiąt.

— To nasze ostatnie słowo. Za sto dwadzieścia luidorów zostawimy panu wolność — dodał drugi.

— A pani?... — zapytał, drżąc, Beausire.

— O!... Pani, to rzecz inna!... — odparł stanowczy.

— Pani warta dwieście luidorów, nieprawdaż? — zapytał nieśmiało Beausire.

Agenci znów śmiać się zaczęli. Śmiech tym razem zrozumiały był dla Beausire'a.

— Trzysta — rzekł — czterysta... tysiąc nawet, ale nie bierzcie jej. Nie odpowiadacie, bo wiecie, że mam pieniądze, chcecie więc skorzystać i słusznie... Dam dwa tysiące, czterdzieści osiem tysięcy liwrów, majątek dla was dwóch, ale darujcie jej wolność.

— Widocznie bardzo kochasz tę kobietę — zauważył stanowczy.

Teraz Beausire zaczął śmiać się, lecz śmiech jego, śmiech zaiste enigmatyczny, przeraził ich. Przestraszyli się, że miłość wywoła wybuch rozpacz i postanowili zachować ostrożność. Wyjęli pistolety i opierając rury na piersiach Beausire'a oznajmili:

— Nie oddamy ci tej kobiety... nawet za sto tysięcy talarów.

Pan de Rohan zapłaci za nią pięćset tysięcy liwrów, królowa nawet milion.

Wyraz oczu Beausire'a rozczuliłby zwierzę drapieżne.

— Naprzód — zawołał stanowczy. — Musisz tu mieć jakiś powóz lub brykę, każ pan zaprząć dla pani. A że jesteśmy uczciwi — nie oszukamy. W drodze udamy, że nie widzimy, pan zeskoczysz, a my po godzinie dopiero zauważymy pańską nieobecność. Cóż, dobrze tak?

Beausire odparł:

— Pójdę tam, gdzie ona. Póki życia starczy, nie opuszczę jej.

— A i później nie — dodała Oliwia przejęta najokropniejszym strachem.

Po kwadransie kariolka Beausire'a wyjechała z domu, a w niej dwoje uwięzionych kochanków i dwaj agenci.

LXXXIX. BIBLIOTEKA KRÓLOWEJ

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie sprawiła na panu de Crosne taka zdobycz. Agenci nie otrzymali miliona, ale na pewno byli kontenci.

Minister policji zatarł ręce, co u niego było oznaką zadowolenia i udał się do Wersalu; za jego karetką jechała druga, szczelnie zamknięta i zaryglowana.

Zajechawszy do Trianon pan de Crosne kazał zameldować się królowej, którą poprzednio już prosił o posłuchanie.

Królowa od miesiąca mocno interesowała się sprawami policji, natychmiast więc zgodziła się na audiencję i od rana już czekała w swym ulubionym pałacyku.

Skoro tylko ujrzała wesołą minę pana de Crosne, wiedziała, że pomyślne przynosi nowiny. Biedna kobieta ostatnio widywała tylko twarze ponure i milczące.

Minister policji ucałował rękę Marii Antoniny i spytał:

— Czy Wasza Królewska Mość ma w Trianon jaką salką, w której, przez innych nie widziana, mogłaby wszystko widzieć?

— Mam bibliotekę — padła odpowiedź. — Jest tara przepierzenie z otworami. Dawniej w towarzystwie pani de Lamballe i panny de Taverney, gdy jeszcze przy mnie była, zabawialiśmy się często obserwując pocieszne gesty księdza Vermond, gdy irytował się czytając pamflet na siebie.

— Bardzo dobrze, Najjaśniejsza Pani — rzekł pan de Crosne. — Teraz drugą sprawą. Mam na dole karetę; chciałbym, aby wprowadzono ją do pałacu i opróżniono bez świadków, tak żeby nikt oprócz Waszej Królewskiej Mości nie widział, co przywozłem.

— Ależ nic łatwiejszego — odparła królowa. — Gdzie znajduje się ów powóz?

— W pierwszym podwórzu, Najjaśniejsza Pani. Królowa zadzwoniła.

— Niechaj powóz, wskazany przez pana de Crosne, zajedzie pod wielką sień; potem niechaj z obu stron zamkną podwoje, aby było zupełnie ciemno, gdyż nikt nie powinien przede mną zobaczyć, co pan de Crosne nam przywozi.

Rozkaz został wypełniony. Kaprysy królowej szanowano bardziej niż rozkazy.

— Teraz zechciej, Najjaśniejsza Pani — rzekł pan de Crosne — udać się ze mną do owej salki i zarządzić, aby wpuszczono mego zastępcę z jego bagażem do biblioteki.

Po dziesięciu minutach królowa spoza przepierzenia oglądała z biciem serca zdumiewające widowisko.

Do biblioteki wprowadzono jakąś zakwefioną istotę i pomocnik pana de Crosne zdjął z niej woal. Ujrzawszy jej twarz, królowa krzyknęła. Była to Oliwia.

Miała na sobie suknię z mory, zieloną w szerokie, czarne pasy, wysoką koafiurę, tak jak to lubiła królowa, identyczne niemal pierścienie i pantofelki na cieniutkich obcasach, jakich używała królowa. Był to sobowtór Marii Antoniny, brakowało tylko krwi cesarów, zastąpionej plebejską posoką.

Królowej zdawało się, że widzi się w lustrze.

— Cóż Wasza Królewska Mość mówi o tym podobieństwie? — zapytał pan de Crosne z triumfem.

— Mówię... mówię... panie — szepnęła. — Ach, Oliwierze — pomyślała — dlaczego cię tu nie ma?

— Czego żąda Wasza Królewska Mość?

— Nic, nic... Szkoda, że król nie widzi.

— I zapewne pan hrabia Prowansji?

— O, tak, dziękuję, panie de Crosne, dziękuję

— Czy rzeczywiście tej kobiecie przypisuje się wszystko, co mówią? — zapytał minister policji.

— Zapewne pan znasz, sprawę.

— Mniej więcej.

— A cóż pan de Rohan?

— Pan de Rohan nie wie o niczym.

— Ach — jęknęła królowa ukrywając twarz w dłoniach. — Ta kobieta, przeczuwam, jest powodem omyłki kardynała.

— Być może, lecz pomyłka kardynała wynikała wskutek przestępstwa kogoś innego.

— A śledztwo? — zapytała królowa.

— Postępuje. Zaprzeczają ciągle; czekam więc na pomyślną chwilę, aby pokazać argument przekonywający, który Najjaśniejsza Pani masz właśnie w bibliotece.

— Cóż pani de la Motte?

— Nie wie, że znalazłem tę kobietę i oskarża pana de Cagliostro, że zawrócił głowę kardynałowi aż do utraty rozumu.

— A pan Cagliostro?

— Kazał mi powiedzieć, że dziś przed południem mnie odwiedzi.

— To człowiek niebezpieczny.

— Ale będzie użyteczny. Ukąszony przez taką zmiję jak pani de la Motte, wchłonie jad i da nam lekarstwo na truciznę.

— Oczekujesz pan wyjaśnień?

— Jestem ich pewien.

— Dlaczego, panie? Powiedz mi wszystko, co by mnie uspokoić mogło!

— Moje rozumowania zasadzają się na tym: Pani de la Motte mieszkała przy ulicy Saint-Claude...

— Wiem, wiem.

— A pan de Cagliostro mieszka naprzeciwno.

— I przypuszczasz pan?

— Przypuszczam, że jeżeli istniała między sąsiadami jakaś tajemnica, musi być ona własnością obojga, ale wybacz, Najjaśniejsza Pani, zbliża się godzina oznaczona przez pana de Cagliostro, a nie chciałbym opóźnić audjencji.

— Jedź pan, jedź i bądź pewien mojej wdzięczności.

— O! — zawołała po odjeździe pana de Crosne, tonąc we łzach. — Otóż zaczyna się moje usprawiedliwienie. Zobaczą swój triumf na wszystkich twarzach, tylko jednej twarzy nie zobaczą, tylko tej jednej twarzy przyjaciela, którego chciałabym przekonać.

Tymczasem pan de Crosne pędził do swego biura, gdzie czekał nań pan de Cagliostro. Ten od dnia poprzedniego wiedział o wszystkim. Był właśnie w drodze do Beausire'a, aby go nakłonić do opuszczenia Francji, gdy raptem zobaczył rycerza przedmieść w powozie między dwoma policjantami. Oliwia ukryła się w głębi, zapłakana i zawstydzona.

Beausire zobaczył hrabiego w karecie pocztowej. Myśl, że pan ten możny i tajemniczy wielką dlań może być pomocą, zmieniła jego postanowienie nieopuszczania Oliwii.

Przypomniał agentom propozycję ucieczki i za sto luidorów puścili go, pomimo płaczu i lamentu Nicole.

Beausire pobiegł za powozem. Cagliostra, który wkrótce kazał zawrócić. Po cóż jechać do Beausire'a, kiedy ten właśnie wracał?

Cagliostro czekał już pół godziny przy zakręcie drogi, kiedy nadbiegł zmęczony, blady, na wpół żywy kochanek Oliwii.

— Cóż ci jest? — zapytał hrabia wciągając go do karety. Beausire opowiedział całą żalną historię; Cagliostro słuchał w milczeniu.

— Zgubiona — rzekł po chwili. I opowiedział nieszczęsnemu kochankowi intrygę wersalską.

— Wyratuj pan ją, wyratuj! — zawołał Beausire padając w powozie na kolana. — A jeżeli ją jeszcze kochasz, będzie twoja.

— Mój przyjacielu — odparł Cagliostro — mylisz się, nigdy nie kochałem panny Oliwii; miałem tylko pewien cel: chciałem wyrwać ją z tego życia pełnego orgii, w jakie ją pogrążyłeś.

— Ależ!... — rzekł zdziwiony Beausire.

— Dziwisz się? Wiedz więc, że jestem syndykiem stowarzyszenia reformy moralnej, mającego na celu wyrwanie z drogi występku ludzi, którzy być mogą jeszcze uleczeni. Odbierając panu Oliwię, byłbym ją wyleczył, dlatego też ją odebrałem.

— Tym bardziej, panie, wyratuj ją!

— Chętnie spróbuję, ale zależeć to będzie od ciebie, Beausire.

— Żądam pan mego życia.

— Tak wiele żądać nie będę. Powróć ze mną do Paryża, a jeżeli będziesz się ściśle trzymać moich instrukcji, może wyratujemy twoją kochankę. Kładę tylko jeden warunek,

— Jaki, panie?

— Powiem w drodze do Paryża.

— Przyjmuję z góry... byle zobaczyć Oliwię!

— O tym właśnie myślę; za dwie godziny zobaczysz ją.

— I ucałuję?

— Tak sędzę. Powiesz jej, co ci każe.

Beausire i Cagliostro skierowali się w stronę Paryża.

Po dwóch godzinach — a zapadał już wieczór — dogonili kariolkę; po godzinie kupił Beausire za pięćdziesiąt luidorów pozwolenie agentów pocałowania Oliwi i pomówienia z nią.

Agenci pełni byli podziwu dla tak gorącej miłości. Liczyli na pięćdziesiąt luidorów przy każdej większej stacji.

Lecz Beausire więcej się nie zjawił.

Powóz Cagliostra szybko pomknął do Paryża, gdzie gotowało się tyle wydarzeń.

XC. W BIURZE MINISTRA POLICJI

Pan de Crosne wiedział o panu Cagliostro wszystko, co zdolny minister policji wiedzieć może o mieszkańcu Francji, a to wcale nie mało. Był to człowiek niepospolity — pan de Crosne, znał wszystkie sprężyny swego stanowiska, był dobrze widziany u dworu, nie zajadły na łaski i zbyt dumny, by kapitulować. Słowem niełatwo go było zjednać.

Temu nie mógł Cagliostro, jak ongi panu de Rohan, ofiarować luidorów pochodzących z pieca hermetycznego; temu nie można było pokazać pistoletu, jak ongiś panu de Sartines; od niego Balsamo nie mógłby żądać zwrotu Lorenzy, odwrotnie, Cagliostro musiał mu zdawać rachunek. Dlatego też hrabia nie czekając na bieg wydarzeń prosił ministra o posłuchanie. Pan de Crosne czuł swą przewagę i pragnął z niej skorzystać, Cagliostro widział niezręczność swego położenia i pragnął się z tego wydostać.

Gra była otwarta, partia o stawkę, której jeden z grających wcale nie podejrzewał, a graczem tym, przyznać należy, był pan de Crosne. Znał Cagliostra jako wielkiego pana, uważał go za szarlatana, nie wiedział jednak, że ma przed sobą adepta nowych teorii społecznych. O kamienie, które filozofia rozrzuciła na drodze monarchii, potknął się niejeden tylko dlatego, że ich nie dostrzegał.

Pan de Crosne oczekiwał od Cagliostra wyjaśnień, dotyczących naszyjnika i matactw pani de la Motte... To było właśnie jego słabą stroną. ...Lecz mógł pytać, więzić, śledzić... Tu objawiała się jego wyższość. Przyjął hrabiego jak człowieka, który zna swą cenę, ale nie chce uchybić grzeczności nawet wobec fenomena. Cagliostro był ostrożny. Chciał tylko uchodzić za wielkiego pana, tę tylko słabostkę pozwalał sobie ujawniać.

— Panie — rzekł minister policji. — Prosiłeś pan o posłuchanie. Przybyłem naumyślnie z Wersalu, aby go panu udzielić.

— Pomyślałem sobie, że może pożyteczne będzie dla pana, byś wypytał mnie o to i o owo, więc znając pańskie przymioty i wartość jego obowiązków uważałem za stosowne stawić się.

— Wypytać pana? A o co? — zapytał minister, udając zdziwienie.

— Pan — odparł Cagliostro — zajmujesz się bardzo troskliwie panią de la Motte i zniknięciem naszyjnika.

— Czyżbyś pan go znalazł? — zapytał prawie drwiąco pan de Crosne.

— Nie — odparł poważnie hrabia — ale wiem, że pani de la Motte mieszkała przy ulicy Saint-Claude.

— Naprzeciw pana; ja również wiem o tym.

— Skoro tak, to wiesz pan zapewne, co robiła pani de la Motte... Nie mamy więc o czym mówić.

— Ależ przeciwnie — odparł obojętnie pan de Crosne — mówmy.

— To miało znaczenie tylko z powodu panny Oliwii — rzekł Cagliostro — ale skoro pan wszystko wie o pani de la Motte, nie powiedziałbym panu nic nowego.

Na imię Oliwii pan de Crosne drgnął.

— Co pan mówi o Oliwii? — zapytał. — Kto to jest ta Oliwia?

— Pan tego nie wie? A, panie, to ciekawa rzecz, czyż ja pierwszy miałbym panu o tym opowiedzieć? Wyobraź pan sobie dziewczynę bardzo ładną, kibić... oczy niebieskie, owal twarzy doskonały, ten rodzaj piękności, który niezmiernie przypomina Jej Królewską Mość.

— Ach, ach! I co dalej?

— Dziewczyna ta źle się prowadziła; to martwiło mnie, gdyż niegdyś służyła u dobrego mego przyjaciela, pana de Taverney... Potem żyła z pewnym uczonym człowiekiem, którego pan nie zna i który... Ale nadkładał drogi i spostrzegam właśnie, że to panu nie na rękę.

— Przeciwnie — rzekł pan de Crosne — chciej pan mówić dalej. Więc ta Oliwia...

— ...źle się prowadziła, jak to już miałem zaszczyt powiedzieć panu. Biedula klepała biedę z pewnym jegomościem, swoim kochankiem, który ją bił i okradał.

— Niejaki Beausire? — zapytał naczelnik policji, rad, że może okazać swą wiedzę.

— A! Zna go pan? To dziwne — rzekł Cagliostro z uznaniem. — Bardzo dobrze, lepiej pan odgaduje niż ja. Otóż pewnego dnia, kiedy Beausire zbyt pobił i okradł Oliwię” uciekła do mnie, prosząc o schronienie. Mam dobre serce, dałem więc jej kącik w jednym z moich pałacyków.

— U pana! Ona była u pana? — zapytał zdziwiony pan de Crosne.

— Zapewne — odparł Cagliostro udając też zdziwienie. — Dlaczegoż nie miałbym umieścić jej u siebie, wszak jestem stanu bezzennego.

Przy tych słowach uśmiechnął się z tak znakomicie udaną dobroduszością, że pan de Crosne zupełnie wpadł w sidła.

— U pana... — powtórzył raz jeszcze. — Dlatego też agenci moi tak długo, bezowocnie szukali.

— Jak to, szukali? — rzekł Cagliostro. — Szukano Oliwii? Czyż zbroiła coś takiego, o czym bym nie wiedział?

— Nie, panie, bynajmniej, mów pan dalej, proszę.

— O mój Boże, skończyłem. Umieściłem ją u siebie, ot i wszystko.

— Ależ nie, panie hrabio, zdaje mi się, że to nie wszystko, bo przed chwilą łączyłeś pan imię Oliwii z nazwiskiem pani de la Motte.

— O! To z powodu sąsiedztwa — rzekł Cagliostro.

— Musi być co innego, panie hrabio; nie na próżno mówiłeś pan, że Oliwia i pani de la Motte były sąsiadkami.

— To dotyczy sprawy, którą zbyt cnie byłoby wyjawiać panu. Nie wypada opowiadać bredni próżniaków pierwszemu ministrowi Królestwa.

— Zaciekawia mnie pan bardziej niżeli przypuszczasz, gdyż znaleziono ową, jakoby u pana mieszkającą Oliwię — na prowincji.

— Znaleziono ją?

— I to z panem Beausire.

— O, domyślałem się tego! — zawołał Cagliostro. — Więc była z Beausire'm. A to dobrze, dobrze. Zwracam honor pani de la Motte.

— Co to ma znaczyć? — zapytał pan de Crosne.

— Mówię, że najzupełniej zwracam honor pani de la Motte, ponieważ ją podejrzewałem.

— Podejrzewałeś ją pan? O co?

— Mój Boże! Słuchasz pan cierpliwie wszystkich tych głupstw, więc powiem, że kiedy cieszyłem się nadzieją umoralnienia Oliwii, nawrócenia jej na drogę pracy i uczciwości, ktoś mi ją porwał... Tak jest, porwał.

— Porwał! Od pana?

— Z mojego domu.

— To dziwne!

— Czyż nie? Byłbym przysiągł że to pani de la Motte. Do czego to prowadzą omylne sądy ludzkie!

Pan de Crosne zbliżył się do Cagliostrowa i rzekł:

— Proszę, mów pan jaśniej, dokładniej.

— O, teraz, skoro pan znalazł Oliwię z panem de Beausire, nie będę już wtrącał pani de la Motte. Nie będę już zważał na jej uprzejmość względem Oliwii, na jej znaki, na korespondencję.

— Z Oliwia?

— Ależ tak.

— Pani de la Motte porozumiewała się z Oliwia?

— Tak jest.

— Widywały się?

— Pani de la Motte znalazła sposób wyprowadzania Oliwii co noc z mego domu.

— Co noc? Jesteś pan tego pewny?

— Tak pewny, jak tego, com widział i słyszał.

— Ależ panie, zapłaciłbym za każdy twój wyraz tysiąc liwrow! Jak to dobrze, że pan robisz złoto.

— Już nie robię, nie opłaca się.

— Jesteś pan przyjacielem pana de Rohan.

— Sądzę, że tak.

— Więc musisz pan wiedzieć, jaką rolę odgrywa to uosobienie intrygi, pani de la Motte, w sprawie pana de Rohan?

— Nie, nie chcę o tym wiedzieć.

— A może pan zna skutki tych przechadzek nocnych, odbywanych przez panią de la Motte i Oliwię?

— Panie, są rzeczy, o których człowiek rozważny wiedzieć nie powinien — odparł Cagliostro.

— Będę miał zaszczyt o jedno jeszcze zapytać pana — rzekł pan de Crosne. — Czy masz pan dowody, że pani de la Motte korespondowała z Oliwia?

— Setne dowody.

— Jakie?

— Bileciki pani de la Motte, pisane do Oliwii i przetrucane za pomocą kuszy ręcznej, którą zapewne znajdą w jej mieszkaniu. Kilka takich bilecików owiniętych na kulkach ołowianych nie doszło do miejsca przeznaczenia, upadły na ulicę, a ja lub służba moja podnieśliśmy je.

— Czy przedstawiś je pan sprawiedliwości?

— O panie, treść ich jest tak niewinna, że nie będę sobie robił skrupułów i zdaje mi się, że nie zasłużę nawet na naganę pani de la Motte.

— A dowody współnictwa, schadzek?

— Tysiączne.

— O jeden tylko proszę.

— Dam najlepszy. Pani de la Motte widocznie z łatwością odwiedzała w moim domu Oliwię, gdyż widziałem ją u siebie tego dnia, kiedy Oliwia zniknęła.

— Tego samego dnia?

— Widziałem ją i widziała moja służba.

— Aha, po cóż przyszła, skoro Oliwii już nie było?

— Sam już nad tym zastanawiałem się, lecz nie zdołałem sobie wytłumaczyć. Widziałem panią de la Motte, jak wysiadała z karety pocztowej, która czekała na nią na rogu ulicy Roi — Dore; ludzie moi długo widzieli ten powóz, a ja sądziłem, przyznać muszę, że pani de la Motte przybyła po Oliwię.

— Aha, panna Oliwia znała się z panią de la Motte i widywały się ze sobą, wychodziły razem?...

— Tak, panie.

— Aha, widziano panią de la Motte u pana w tym dniu, kiedy porwano Oliwię?
— Tak, panie.
— Aha, zdawało się panu, że pani de la Motte przybyła po Oliwię?
— Czyż mogło mi się zdawać inaczej?
— I cóż powiedziała pani de la Motte, nie zastawszy Oliwii?
— Zdawała się być zmieszana.
— Przypuszczasz pan, że Beausire porwał Oliwię?
— Przypuszczam jedynie dlatego, że pan tak powiedziałeś, inaczej nie podejrzewałbym, gdyż Beausire nie wiedział o mieszkaniu Oliwii. Czyżby mu je ktoś wskazał? Nie sądzę, gdyż w takim razie nie on przyszedłby do niej, lecz ona uciekłaby do niego, a wierzaj mi pan, że bez klucza, dostarczonego przez hrabinę de la Motte, nie dostałby się do mego domu.
— Hrabina miała klucz?
— Trudno o tym wątpić.
— Którego dnia porwano Oliwię? — zapytał pan de Crosne, objaśniony nagle światłem tak zręcznie przez Cagliostra kierowanym.
— O, panie, pamiętam doskonale. Było to w wigilię Świętego Ludwika.
— A! — zawołał szef policji. — Panie, oddałeś pan wielką usługę krajowi.
— Jestem nad wyraz szczęśliwy. Pan de Crosne skłonił się.
— Czy mogę liczyć na dostarczenie dowodów, o których mówiliśmy? — zapytał.
— Pragnę służyć sprawiedliwości.
— Mam więc pańskie słowo, a zatem do widzenia. Pożegnał przy tych słowach Cagliostra, który wychodząc pomyślał:
— Ach, hrabino, ach, zmij, chciałaś oskarżyć mnie. Coś mi się zdaje, żeś ugryzła zbyt twarde orzech. Ostrożnie z ząbkami.

XCI. INDAGACJE

Kiedy pan de Crosne tak prowadził rozmowę z panem Cagliostro, zjawił się w Bastylii w imieniu króla pan de Breteuil, aby wy badać pana de Rohan.

Spotkanie obu wrogów mogło być burzliwe. Panu de Breteuil nie obca była duma pana de Rohan. Był więc bardziej niż uprzejmy, ale pan de Rohan odmówił odpowiedzi.

Kanclerz państwa nalegał, lecz pan de Rohan oświadczył, że podda się reskryptom parlamentu i sędziów.

Pan de Breteuil musiał ustąpić przed nieugiętą wolą oskarżonego. Natomiast kazał sprowadzić panią de la Motte, która była właśnie zajęta układaniem swych pamiętników. Usłuchała natychmiast.

Pan de Breteuil w krótkich słowach objaśnił jej położenie, które sama знаła najlepiej.

Odpowiedziała, że posiada dowody niewinności, że dostarczy ich, kiedy zajdzie tego potrzeba.

Pan de Breteuil zauważył, że potrzeba taka zachodzi niewątpliwie już obecnie.

Natenczas Joanna opowiedziała całą bajkę, którą wymyśliła; był to cały łańcuch najróżnorodniejszych insynuacji i zapewnień, że owe dwa fałszowane pokwitowania pochodzą nie wiadomo skąd. Oświadczyła również, że skoro parlament zajmuje się tą sprawą, powie całą prawdę jedynie w obecności kardynała i na skutek jego obwinień.

Wtedy oznajmił jej pan de Breteuil, że kardynał całą winę zwała na panią de la Motte.

— Wszystko? — zapytała Joanna. — Nawet kradzież?

— Wszystko. Każ pan powiedzieć kardynałowi — rzekła Joanna — że radzę mu porzucić dotychczasowy, wysoce niekorzystny sposób obrony.

Na tym skończyło się, lecz pan de Breteuil nie był zadowolony; żądał kilku jeszcze szczegółów.

Panu de Breteuil potrzeba było wyjaśnień do owych protokołów zebranych przez hrabiego Prowansji, które stały się powodem ogólnego zgorzienia.

Kanclerz państwa był człowiekiem sprytnym; wiedział, jak postępować należy z kobietą, więc przyrzekał pani de la Motte wszystko, co zechce, byle wskazała kogoś winnego.

— Uważaj, pani — rzekł — milcząc obwiniasz królowę. Jeżeli się będziesz upierać, zostaniesz skazana za zbrodnię obrazy majestatu, a wtedy stryczek pewny.

— Nie obwiniam królowej, to mnie obwiniają. I za co?

— Oskarż, pani, kogo, a sama się oswobodzisz — odparł niewzruszony Breteuil.

Lecz hrabina zachowała ostrożne milczenie, wskutek czego pierwsza jej rozmowa z kanclerzem państwa wyników nie dała. Nagle rozeszły się pogłoski, że znaleziono dowody: diamenty podobno zostały sprzedane w Anglii, gdzie tamtejsi agenci zatrzymali pana Reteau de Villette.

Pierwszy atak, który Joanna musiała wytrzymać, był okropny.

Skonfrontowano Joannę z panem Reteau de Villette, którego uważała za sprzymierzeńca wiernego do grobowej deski. Jak wielkie było jej przerażenie, gdy usłyszała, że Reteau przyznaje się pokornie do wszystkiego: do autorstwa listu królowej, jubilerów i podrobienia podpisów!

Indagowany, w jakim celu dopuścił się tych zbrodni, wyjaśnił, że wypełniał polecenia pani de la Motte.

Przyparta do muru, wściekła, wypierała się wszystkiego, broniła się jak lwica; twierdziła, że nie widziała nigdy, nie znała wcale pana Reteau de Villette.

Lecz znów spadły na nią dwa gromy, dwa przygważdżające zeznania.

Pierwsze złożył woźnica fiakra, odnaleziony przez pana de Crosne. Świadek zeznał, że w dniu i o godzinie podanej poprzednio przez pana de Villette wioził damę w takim właśnie stroju, jak mu opisano, na ulicę Montmartre.

Damą otaczającą się taką tajemnicą nie mógł być nikt inny tylko pani de la Motte, zamieszkała przy ulicy Saint-Claude.

Co do znajomości i stosunków z panem de Villette, drugi świadek zeznał, że w wigilię Świętego Ludwika na koźle karetki pocztowej, z której wysiadła hrabina, widział pana Reteau, który wydawał się blady i niespokojny.

Świadkiem tym był jeden ze służących hrabiego Cagliostro.

Słyszając to nazwisko Joanna rozwścieczona przerzuciła się w drugą ostateczność. Złożyła oskarżenie na Cagliostra, że czarami i urokami opętał umysł kardynała de Rohan i natchnął go w ten sposób myślą występku przeciwko majestatowi królewskiemu.

To było pierwsze ogniwo oskarżenia o cudzołóstwo.

Pan de Rohan bronił się, broniąc Cagliostra. Zapierał się wszystkiego, co mogło dotyczyć królowej.

Kardynał przeczył tak uparcie, że zrozpaczona Joanna po raz pierwszy wspomniała o szaleńczej miłości kardynała.

Pan de Cagliostro zażądał, aby go aresztowano i badano dla stwierdzenia niewinności.

Oskarżający i sędziowie nabrali otuchy na pierwszy odbłysek prawdy, a opinia publiczna natychmiast oświadczyła się za kardynałem i Cagliostrem a przeciw królowej.

Nieszczęśliwa królowa poleciła wówczas ogłoszenie raportów przyniesionych królowi, a powołując się na pana de Crosne, wezwała go, aby powiedział, co o tym wie.

Ten zreźnie wymierzony cios o mało nie dobił Joanny. Sędzia inkwiryjący wezwał kardynała do zeznań o przechadzkach w parku wersalskim. Pan de Rohan oświadczył, że kłamać nie umie i że odwołuje się do świadectwa pani de la Motte. Ta z miejsca zaparła się jakoby było jej coś wiadomo o przechadzkach.

Zeznanie to uniewinniło Marię Antoninę, gdyby można było wierzyć osobie oskarżonej o kradzież i fałszerstwo. Królowa nie chciała takiego usprawiedliwienia.

Kiedy więc Joanna zaklinała się, że nigdy nie pokazywała się w nocy w ogrodzie wersalskim i że nic nie wie o stosunkach kardynała z królową, wystąpiła Oliwia, żywe świadectwo, które zmieniło opinię i zburzyło cały gmach kłamstw, nagromadzonych przez hrabinę.

Kiedy pan de Rohan zobaczył Oliwię, tę królowę przedmieścia, kiedy zrozumiał, że padł ofiarą oszustki i awanturnicy, kiedy przypomniał sobie różę, uścisk ręki i łazienki Apollina, pobladł i chętnie złożyłby życie u stóp Marii Antoniny, byleby uzyskać przebaczenie.

Ale i ta pociecha była mu wzbroniona; nie mógł uznać tożsamości Oliwii nie przyznając, że kocha prawdziwą królowę, a przyznanie się do pomyłki byłoby ublizieniem, oskarżeniem... Pozwalał więc Joannie przeczyć, a sam milczał.

Kiedy panowie de Breteuil i de Crosne chcieli zmusić Joannę do jaśniejszych odpowiedzi, rzekła:

— Najlepszym sposobem przekonania się, że królowa nie była obecna w parku owej pamiętnej nocy, byłoby pokazanie kobiety podobnej do królowej i przyznającej się do nocnych przechadzek. Gdy się takową pokazało, wiadomo co o tym myśleć.

Ta bezczelna insynuacja wywarła skutek. Znowu zmaćnia prawdę.

Lecz Oliwia, pełna niepokoju, wskazywała szczegóły i dowody, nie zapominała o niczym, niczego nie przemilczała. Mówiła tak przekonywająco, że hrabina zmienić musiała taktykę. Przyznała się.

Przyznała się, że wprowadziła kardynała do Wersalu; że Jego Eminencja bądź co bądź chciał widzieć królowę i dać jej zapewnienie przywiązania pełnego szacunku; przyznała się, gdyż widziała w tym korzyść nie istniejącą przy zaprzeczaniu; przyznała się, gdyż oskarżając królowę stawała się pomocnicą licznych wrogów królowej.

Po raz dziesiąty przetasowały się karty i zmieniły role w tym piekielnym procesie. Kardynał grał rolę oszukanego; Oliwia rolę gamratki bez poezji i uczuć; Joanna rolę intrygantki... Lepszej już wybrać nie mogła.

Lecz trzeba było wyznaczyć jeszcze jakąś rolę królowej, wybrano najbardziej uwłaczającą godności monarszej, rolę trzpiotowatej, mistyfikującej gryzетки.

Maria Antonina stała się w oczach opinii publicznej kimś w rodzaju Dorimeny, konszachtującej z Frozyną przeciw panu Jourdain — kardynałowi.

Joanna oznajmiła, że przechadzki odbywały się z wiedzą królowej, ukrytej za drzewami i pokładającej się ze śmiechu, gdy słyszała namiętne wyznania zakochanego pana de Rohan.

Taką to deskę ratunku wymyśliła złodziejka. Nie wiedząc, gdzie ukryć swą kradzież, wybrała płaszcz królewski podbity honorem Marii Teresy i Marii Leszczyńskiej.

Królowa ugięła się pod ciężarem tego oskarżenia, gdyż nie mogła dowieść fałszu.

Nie mogła, bo Joanna doprowadzona do ostateczności oświadczyła, że ogłosi pewne listy pisane przez pana de Rohan do królowej, a przecież w rękach Joanny znajdowały się listy, dowody szaleńczej miłości kardynała.

Nie mogła dowieść swej niewinności, ponieważ zbyt wiele osób widziało korzyść w przyjęciu tych kłamstw za prawdę.

XCII. UPADEK OSTATNIEJ NADZIEI

Wyświetlenie prawdy stało się prawie niemożliwe po zagmatwaniu sprawy przez Joannę.

Joanna za wszelką cenę nie chciała uchodzić za pospolitą złodziejkę. Skoro niezbite świadectwa tuzina osób najbardziej godnych wiary udowodniły, że skradła naszyjnik, postanowiła hańbę swą przysłonić czyjaś większą jeszcze niesławą. Perswadowała sobie, że rozgłos skandalu wersalskiego doskonale ukryje jej przestępstwo, a jeżeli nawet skazana będzie hrabina de la Motte, wyrok najmocniej ugodzi królowę.

Ale kalkulacja zawiodła.

Kiedy królowa objuczyła się ciężarem podwójnego procesu, kiedy kardynał zgodził się na indagacje, sędziowie i opinia pozbawili ich nieprzyjaciółkę aureoli niewinności, którą wytworzyła sobie uprzednio hipokrytka.

Szczególne rzecz — rozwijał się proces, z którego nikt nie wyszedł czysty, nawet ci, których uniewinniła sprawiedliwość.

Wszystkie uboczne okoliczności wydawały się nieprawdopodobne.

Zeznania zakończono. Joanna spostrzegła, że nie wywarła na sędziach żadnego wrażenia.

W ciszy więzienia rozmyślała nad możliwościami ratunku, skupiała siły.

Pan de Breteuil doradzał, by oszczędzała królowę, natomiast bezlitośnie uderzyła w kardynała.

Partia kardynała, potężne stronnictwo, w którego skład wchodziło wielu sędziów głośnego procesu oraz duchowieństwo ze wszystkimi swoimi zasobami — wywierało nacisk na panią de la Motte, by zdemaskowała intrygi dworskie i narobiła takiego hałasu, który śmiertelnie porazi głowy koronowane.

Partia ta, chcąc zastraszyć Joannę, dała jej do zrozumienia, o czym sama zresztą doskonale wiedziała, że większość sędziów jest przychylna kardynałowi. Joanna jednak z kolei doszła do wniosku, że jeśli jest na pół stracona, lepiej dać się skazać za kradzież diamentów, niż za obrazę majestatu.

Partia Rohanów była pewna zwycięstwa.

Lud stał po stronie kardynała. Chwalono jego cierpliwość i dyskrecję, oburzano się, że został tak nikczemnie oszukany. Wielu ludzi nie wierzyło jednak w istnienie Oliwii, pomimo że żyła, przyznała się i była do królowej podobna; inni twierdzili, że królowa naumyślnie wyszukała ją, aby się uniewinnić —

Joanna zastanawiała się nad wszystkim.

Jej własni adwokaci opuszczali ją, a sędziowie nie ukrywali niechęci. Rodzina Rohan obwiniała ją energicznie, opinia publiczna pogardzała...

Postanowiła użyć ostatniego środka, aby zaniepokoić sędziów, zastraszyć przyjaciół kardynała i spotęgować nienawiść do Marii Antoniny.

Postanowiła dać do zrozumienia, że oszczędzała dotąd królowę, lecz doprowadzona do ostateczności, wyjawia wszystko.

Była to w istocie ta sama, stara linia postępowania, uzupełniona tylko nowymi wariantami. Oto co wymyśliła hrabina dla przeprowadzenia swych planów: napisała list do królowej, list, którego treść ujawniła jej charakter:

„Najjaśniejsza Pani!..

Pomimo okropności mego położenia nie wymknęła się z ust moich ani jedna skarga. Wszystkie podstępny, jakich użyto, aby wydobyć ze mnie wyznania, przyczyniły się tylko do umocnienia mnie w moim postanowieniu — nieskompromitowania mej władczyni.

Długie więzienie, konfrontacje bez końca, wstyd i rozpacz, że jestem oskarżona o zbrodnie, których nie popełniłam, zmniejszyły moją odwagę. Drzę na samą myśl, że stałość moja upadnie pod tylu silnymi ciosami.

Najjaśniejsza Pani jednym słowem zdoła położyć kres tej sprawie przy pomocy pana de Breteuil, który podda myśl tę ministrowi (królowi) bez narażenia Najjaśniejszej Pani na kompromitację. Obawa, że zmuszona będę wyjawić wszystko, popchnęła mnie do napisania tego listu, lecz czynię to w przekonaniu, że Wasza Królewska Mość zechce mieć na względzie powody, które mnie do tego skłoniły i że wyda rozkaz uwolnienia mnie z przykrego położenia.

Jestem przekonana, że moja wytrwałość i dyskrecja wybawią mnie z przykrego położenia. Obawiam się tylko, że padnę ofiarą represji i przymusu ze strony rodziny niewolnika.

*Pozostaję z najgłębszym szacunkiem uniżoną i posłuszną służką Najjaśniejszej Pani
Hrabina Valois de la Motte”*

Joanna ułożyła to, jak widzimy, mając dwa cele na uwadze: albo list przestraszy królowę dowodem wytrwałości, a wtedy, zmęczona walką, zgodzi się na uwolnienie Joanny widząc, że proces i uwięzienie na nic się nie zdały; albo też, co było nawet bardziej prawdopodobne i na co wskazywałoby zakończenie listu, Joannie chodziło o coś zupełnie innego... Przecież zdawała sobie sprawę, że królowa wmieszana w proces już go nie mogła powstrzymać. Najprawdopodobniej nie miała wcale złudzeń, że list jej dotrze do rąk królowej.

Wiedziała, że wszyscy dozorczy są zaprzędani duszą i ciałem gubernatorowi Bastylii. Wiedziała, że proces jej jest sprawą polityczną.

Nie ulegało wątpliwości, że posłaniec, któremu powierzy list, albo odda go gubernatorowi, albo zachowa dla stronników swej partii.

Starła się urządzać wszystko w ten sposób, aby list, wpadłszy w obce ręce, wzbudził podejrzenie i rzucił na królową cień niesławy.

Jednocześnie z listem do Marii Antoniny wystosowała drugi list do kardynała następującej treści:

„Nie mogę pojąć Waszej Eminencji, że trwasz pan w błędnym zamiarze milczenia. Moim zdaniem uczyniłbyś pan znacznie lepiej, odnosząc się z większą ufnością do sędziów. Może wtedy los nasz polepszyłby się. Co do mnie, postanowiłam milczeć, jeżeli pan nie ma zamiaru mówić. A dlaczego właściwie milczysz? Przysięgam, że potwierdzę wszystko, co powiesz. Jeżeli ona okaże się w swoim postanowieniu nieubłagana, my jesteśmy tak silnie ze sobą związani, że — i zastanów się nad tym — jeżeli ja będę mówić, a pan zaprzeczysz, będę zgubiona. Ale nie obawiaj się z mej strony niczego, znasz dobrze moje przywiązanie, więc wiesz, że poświęcę wszystko, aby uchronić pana od jej zemsty, albo niełaskę będziemy dzielić razem.

P. S. Wysłałam list do niej, który, mam nadzieję, zdoła ją przekonać i skłonić do wypuszczenia nas na wolność. Wszak nie można nam nic zarzucić, chyba tylko lekkomyślne postępowanie, które spowodowało pomyłkę lub co najwyżej uparte milczenie.”

List ten, arcydzieło przewrotności, wręczyła kardynałowi przy spotkaniu w sali rozmów w Bastylii.

Kardynał zbladł i zupełnie stracił zimną krew wobec takiej bezczelności. Wybiegł, aby się uspokoić.

List do królowej wręczyła na tym samym posiedzeniu księdzu Lekl, kapelanowi Bastylii, który towarzyszył kardynałowi i który był jego stronnikiem.

— Księżę — powiedziała — przyjmując na siebie wypełnienie tego poselstwa możesz stać się wybawcą moim i kardynała. Przeczytaj ten list. Z powołania swego jesteś przecież obowiązany do dyskrecji.

Kapelan odmówił.

— Nie możesz, pani, wymagać, żebym dybał na własną zgubę, przyjmując na siebie tę misję. Jej Królewska Mość pomyśli, że list ten skreśliłaś za moją radą.

— Nie pozostaje mi nic innego — powiedziała Joanna — jak ogłosić listy kardynała. Proszę, zawiadom go o tym.

Widząc przerażenie księdza sądziła, że tym razem nie odmówi jej i podała mu list.

— Jeżeli zabierze list — pomyślała — jestem uratowana, bo wtedy będę mogła zapytać na sądzie, co z nim zrobił, czy oddał i czy otrzymał odpowiedź... Jeżeli zaś nie odda, królowa jest zgubiona, wahanie się Rohanów utwierdzi tylko wszystkich w przekonaniu, że królowa jest winna, a ja padłam ofiarą intryg.

Lecz ksiądz Lekel dotknąwszy się listu cofnął rękę, jakby się oparzył.

— Nie bądź pan tchórzem — rzekła do niego ze złością. — Nic nie ryzykujesz; list ten mieści się w kopercie adresowanej do pani de Misery.

— Jest to jeszcze jedna przyczyna więcej — odparł ksiądz — abym tego nie czynił. Dwie osoby posiadałyby tę tajemnicę... a więc podwójny powód, dla którego nie chcę się narazić na gniew Jej Królewskiej Mości.

To mówiąc odtrącił od siebie kopertę.

— Zważ pan — rzekła do niego — że jeżeli i tym razem przyjdzie mi się spotkać z pańską odmową, zmuszona będę zrobić użytek z listów pana de Rohan.

— A gdyby nawet... Rób z nimi, pani, co jej się tylko podoba. Bądź wola twoja.

— Ach, więc tak! — powiedziała Joanna trzęsąc się z wściekłości. — Ale ostrzegam: gdy opublikuję tajną korespondencję z królową, głowa kardynała spadnie z szafotu! Czy i teraz powiesz: „Bądź wola twoja”?

Drzwi raptownie otworzyły się i na progu ukazał się kardynał de Rohan, gniewny i wyniosły.

— Niechaj głowa Rohana spadnie na szafocie. Nie pierwszy raz Bastylia i tłumy Paryża oglądać będą podobne widowisko. Niech stanie się zadość ich ciekawości, ale przedtem niczego nie zaniedbam, abym mógł panią widzieć napiętnowaną jako złodziejkę i fałszerkę. — Pójdź, księżę.

I po tych piorunujących słowach odwrócił się od Joanny i ujawszy kapelana pod rękę wyszedł, zostawiając za sobą wściekłą i nieszczęśliwą zdrączynię, którą każdy krok zagrzebywał głębiej w błocie.

XCIII. CHRZEST MAŁEGO BEAUSIRE’A

Pani de la Motte przeliczyła się we wszystkich swych zamysłach. Cagliostro w niczym się nie omylił.

Osadzony w Bastylji, znalazł wreszcie sposobność do otwartego zaatakowania monarchii, której istnienie od tylu lat podkopywał, posługując się magią i wiedzą tajemną.

Jego to dziełem był pamiętny list, datowany z Londynu, a opublikowany w miesiąc po opisanych tu zdarzeniach. List ten był pierwszym uderzeniem w stare mury Bastylji, pierwszym krokiem rewolucji, pierwszym rzeczywistym ciosem, który poprzedzał wypadki z dnia 14 lipca 1789 roku.

List ten zburzywszy spokój króla, królowej, kardynała i spekulantów politycznych, pognębił przede wszystkim pana de Breteuil, symbol tyranii.

Cagliostro pisał:

„Teraz, gdym już na wolności, nie cofnę tego, com rzekł, będąc więźniem. Nie ma winy, nie ma przestępstwa, którego by nie zatarł sześciomiesięczny pobyt w Bastylji. Pytano mnie, czy powrócę kiedyś do Francji. Tak, ale tylko wtedy, kiedy mury Bastylji zrównane będą z ziemią, a miejsce to stanie się terenem ogrodów dla ludu. Oby Bóg dopomógł! Francuzi. Macie wszystko, czego trzeba dla szczęścia i spokoju: żyzną ziemię, klimat łagodny, dobre serca i humor, siłę ducha i zdolności. Nie macie współzawodników w sztuce podobania się ludziom, nie macie sobie równych w innych sztukach. Niestety, przyjaciele, jednej brakuje wam rzeczy — pewności, że możecie spokojnie skłonić głowę do snu, chociaż nie ciąży na was wina”...

Cagliostro ściśle dotrzymał obietnicy względem wszystkich. Dotrzymał również słowa Oliwii, a ona odwdzięczyła mu się najwiemiej. Ani słówkiem nie zdradziła swego protektora, nie skompromitowała go w niczym.

Zeznania jej obciążły natomiast panią de la Motte. Jasno i przekonywająco przedstawiła niewinny swój udział w mistyfikacji wobec nieznanego sobie szlachcica, którego zwano Ludwikiem.

Czas spędzony w więzieniu i na indagacjach minął Oliwii bez widzenia się ze swym ukochanym Beausire’em; nie była jednak zupełnie opuszczona, jak się okazało, ukochany pozostawił jej pamiętkę.

W maju 1786 roku pod portykiem kościoła św. Pawła przy ulicy św. Antoniego jakiś mężczyzna kręcił się między ubogimi. Człowiek ten z niepokojem i wzruszeniem patrzył nieustannie w kierunku Bastylji. Obok niego stał mężczyzna z długą brodą. Był to jeden z Niemców, pomocników Cagliostra, ten sam, który występował jako asystent Balsamo w czasie tajemniczych praktyk w starym domu przy ulicy Saint-Claude.

Człowiek ten poskramiał niecierpliwe zapały towarzysza.

— Opamiętaj się — szepnął — cierpliwości. Zaraz przyjdą.

— Ach, to ty?

Gdy jednak niespokojny człowiek nie hamował się nadal i gestykułował z ożywieniem, Niemiec rzekł:

— Panie Beausire, nie rób tyle hałasu, policja nas może zauważyć. Pan mój przyrzekł, iż udzieli ci pożądaných wiadomości. Właśnie po to tu przyszedłem.

— Ależ, na Boga, słucham, mów czym prędzej.

— Nie tak głośno, matka i dziecię są zupełnie zdrowe.

— Och! — zawołał w uniesieniu radości, którego żadne pióro nie zdołałoby opisać. — Więc ona została już matką! I na pewno jest zdrowa?

— Tak jest, ale chodźmy na stronę.

— Ale co... córka?

— Nie, panie, chłopiec.

— Tym lepiej! Jakże jestem szczęśliwy! Po tysiącuroc szczęśliwy! Podziękuj swemu panu i powiedz mu, że całe życie moje i wszystko, co mam, należy do niego.

— Dobrze, powiem mu to, lecz muszę się naprzód z nim zobaczyć.

— Przyjacielu, przecież mówiłeś... Ale, ale, weź te dwa luidory.

— Panie, od nikogo, z wyjątkiem mego pana, nic nie przyjmuję.

— Przepraszam, nie chciałem obrazić. Ale mówiłeś przed chwilą: „Przyjdą”. Kto przyjdzie?

— Miałem na myśli więziennego chirurga i panią Chopin, akuszerkę, która była przy położu panny Oliwii.

— Przyjdą tu? Po co?

— Aby ochrzcić dziecię!

— Więc ujrzę mego syna! — podskoczył Beausire z radości. — Powiadasz, że będę mógł zobaczyć za chwilę dziecko Oliwii?

— Z pewnością, lecz hamuj się pan, tu, wśród żebraków poznaję agentów pana de Crosne; odkryją cię, zgubisz siebie i skompromitujesz mego pana.

Beausire przycisnął się do Niemca.

— Czy jej tam nie brak czego? — zapytał składając ręce.

— Nie, przeciwnie, jest zupełnie szczęśliwa. Ale, zajechała dorożka.

— Tak, tak!

— Wysiadają.

— Mój Boże!

Nadmiar wzruszeń pozbawił tchu pana de Beausire w chwili, gdy zobaczył, że do kościoła wkraczają chirurg, akuszerka i jeden z dozorców Bastylli. Mieli asystować przy ceremonii jako świadkowie. Na widok tych trzech osób ożywione szepty żebraków przycichły, natomiast rozległy się z zachrypniętych gardzieli prośby o jałmużnę.

Wtedy stała się rzecz dość dziwaczna: rodzice chrzestni torowali sobie drogę do ołtarza, potracając obecnych i złorzecząc żebrakom, gdy tymczasem człowiek obcy hojnie rozdawał jałmużnę, tłumiąc łyzy radości.

Cały orszak, złożony z rodziców chrzestnych, świadków i kilku ciekawskich, podążył do zakrystii, dokąd udał się Beausire w nadziei, że i dla niego jeszcze znajdzie się miejsce.

Nareszcie zamknięto drzwi od zakrystii; ksiądz przystąpił do swych czynności i zaczął pisać stereotypowy początek aktu urodzenia.

— Jakie jest imię i nazwisko dziecka? — zapytał.

— Możemy tylko powiedzieć, że jest to chłopiec — odpowiedział chirurg, a rodzice chrzestni wybuchnęli śmiechem, który wydał się Beausire'owi wielką nieprzyzwoitością.

— Trzeba mu przecież — rzekł ksiądz — dać jakieś imię; wybierzcie, byle tylko jednego ze świętych.

— A tak, panna chciała, aby go ochrzczono imieniem Toussaint.

— Wszystkich świętych? — ucieszył się ksiądz. — No, w tym imieniu są wszyscy...

Ogólna wesołość pokwitowała ten żarcik.

— Tak, tak. Przy tylu świętych patronach może obejść się bez ojca. Do rzeczy, piszmy.

„W dniu dzisiejszym przedstawiono nam dziecię płci męskiej, urodzone wczoraj w więzieniu Bastylli z matki Nicole Oliwii Legay i ojca niewiadomego”.

Beausire nie był w stanie ukryć oburzenia, z wściekłością rzucił się w stronę księdza i schwyciłszy go za rękę, zawołał:

— Toussaint ma ojca, tak jak i matkę. Ma ojca, który go kocha i krwi swojej się nie zaprze. Pisz pan proszę:

„Toussaint, urodzony w dniu dzisiejszym, z matki panny Nicole Oliwii Legay, jest synem Jana Baptysty Toussaint de Beausire, tu obecnego”.

Zdumienie było powszechne. Ksiądz wypuścił pióro z ręki, patrząc bezmyślnie przed siebie, a mały Toussaint omal nie Wypadł z rąk akuszerki.

Beausire schwycił go w ramiona i okrywając gorącymi pocałunkami, zrosił czoło biednego dziecka łzami miłości rodzicielskiej.

Obecni, pomimo oswojenia się ze scenami dramatycznymi i mimo powszechnego w tej epoce sceptycyzmu, przyjęli tę scenę z rozczuleniem.

Tylko ksiądz zachował zimną krew i zdawał się powątpiewać o prawdziwości słów Beausire’a. Może też przykro mu było, że będzie musiał rozpocząć pisanie aktu na nowo.

Ale Beausire przewidział trudności oraz skrupuły księdza i złożył na chrzcielnicy trzy sztuki złota, które zapewne lepiej niż łzy radości dowiodły jego ojcostwa.

Ksiądz zebrał pieniądze i zabrał się do wymazywania tych kilku wierszy, które poprzednio skreślił pod wpływem zbyt dobrego humoru.

— Ponieważ jednak — rzekł ojciec duchowny — zaświadczenie pana chirurga i pani Chopin było zupełnie formalne i już zostało wciągnięte do aktów, teraz pan ze swej strony musisz nam dać piśmienne zobowiązanie, że sam się do tego dziecka przyznałeś i jesteś jego ojcem.

— Ależ panie, choćbym własną krwią miał to wypisać, nie cofnę się. I schwycił za pióro z zapalem.

— Uważaj pan — rzekł cicho dozorca z Bastylli, który chciał wykazać swoją skrupulatność. — Pańskie nazwisko jest dobrze znane w pewnych miejscowościach, przezorność więc nakazuje powstrzymać się od podpisania papieru, którego data byłaby oczywistym dowodem pańskiego pobytu w mieście i świadczyć by mogła, że byłeś pan w stosunkach z jedną z oskarżonych.

— Dziękuję ci za rady, mój przyjacielu — rzekł Beausire wyniośle. — Wyglądasz mi na uczciwego człowieka, zasłużyłeś więc na dwa luidory, które ode mnie otrzymasz. Ale mam się wyrzec, jak tuszysz, mego dziecka i mojej żony? Przenigdy! Nigdy!

— Więc ona jest pańską żoną? — zapytał chirurg.

— Czy ślubną? — dodał ksiądz.

— Z chwilą, kiedy Bóg powróci jej wolność — rzekł Beausire drżąc z radości — nazajutrz zwać się będzie de Beausire, jak jej syn i ja.

— Ależ pan się narażasz! — rzekł Gyan. — Zdaje mi się, że pana szukają.

— Możesz pan być przygotowany na to, że ja pana nie zdradzę — rzekł chirurg.

— Ani ja — dodali zgodnie ksiądz i akuszerka.

— A gdyby nawet — odparł Beausire z egzaltacją męczennika — chętnie zniósłbym łamanie kołem, pocieszając się, iż miałem szczęście widzieć mego syna.

— Jeżeliby go mieli kołować — wyrzekł jowialnie dozorca do akuszerki — to z pewnością nie za to, że się przyznał do ojcostwa.

Powiedziawszy to przystąpił do podpisania aktu.

Beausire chciał swoje zobowiązanie wyrazić w słowach namiętnych, pełnych miłości rodzicielskiej. Wyszło to nieco rozwlekłe, jak wszystkie opisy czynności, z których pyszni się ich sprawca.

Podpisał, odczytał dokument jeszcze raz i sprawdziwszy wszystko uściskał swego syna, włożył mu dwanaście luidorów pod poduszkę, u szyi zawiesił złoty pierścień, podarunek dla

położnicy i, dumny jak Ksenofont podczas odwrotu, otworzył drzwi od zakrystii postanawiając nie podejmować żadnych kroków, nie używać żadnego strategenu dla wymknięcia się przed zbirami, gdyby ci byli do tego stopnia wyrodni, żeby chcieli czyhać na niego w podobnej chwili.

Tłumy żebraków nie opuściły kościoła. Gdyby Beausire przyjrzał się im lepiej, dojrzeć by mógł wśród nich sprawcę swego nieszczęścia, stanowczego agenta. Ale nic nie zmąciło spokoju przy wyjściu z kościoła i Beausire żegnany życzeniami żebraków: „Niech cię Bóg ma w swej opiece” odszedł, zachowując do końca wygląd godnego i poważanego szlachcica, dobroczyńcy ubogich swej parafii.

Świadkowie, wsiadłszy do dorożki, odjeżdżali również mocno zdziwieni całym tym zajściem.

Beausire pożegnał ich z dala, przesyłając synowi ostatnie całusy, lecz doszedłszy do wniosku, że nie należy kusić Boga ani policji, wrócił do schronienia znanego tylko jemu, panu Cagliostro no i... panu de Crosne.

Jako, że pan de Crosne dotrzymał słowa i nie zamącał odtąd spokoju Beausire'owi.

Kiedy dziecię powróciło do Bastylli i pani Chopin opowiedziała matce, jakiego nadspodziewanego zdarzenia była świadkiem, Oliwia włożyła na swój najgrubszy palec pierścień od Beausire'a i łzy rozczulenia potoczyły się po jej twarzy.

Pani Chopin obiecała wyszukać karmicielkę dla Toussainta.

Oliwia ucałowała dziecko.

— Nie — powiedziała. — Kiedyś słyszałam, jak Gilbert, uczeń pana Rousseau utrzymywał, że dobra matka powinna karmić swoje dziecię. Chcę przynajmniej być dobrą matką. Przecież i to coś znaczy.

XCIV. ŁAWA OSKARŻONYCH

Po długich rozprawach nadszedł wreszcie dzień, kiedy po wysłuchaniu wniosków prokuratora generalnego parlament miał wydać wyrok.

Oskarżeni, z wyjątkiem pana de Rohan, przeniesieni zostali do więzienia Conciergerie, skąd bliżej było do sali rozpraw, przewód zaczął się o siódmej rano.

Kompletowi sędziów przewodniczył pierwszy prezydent, pan d'Aligre. Oskarżeni zachowywali się tak, jak w czasie śledztwa: Oliwią — prawdomówna i lękliwa; Cagliostro — spokojny, wyniosły, a niekiedy promieniejący blaskiem mistycznym, którym lubił się popisywać; Villette — przybity i zapłakany; Joanna — bezczelna, jadowita, rozogniona, skora do pogróżek; kardynał — cichy, łagodny, zamyślony.

Rozprawy nie udowodniły niczego. Były tylko poszlaki.

Wiadomo było, że jedna z dwojga oskarżonych i wzajemnie oskarżających się osób skradła naszyjnik. Winny nie chciał się przyznać i trzeba było rozstrzygać, kto z tych dwojga jest złodziejem.

To był główny przedmiot procesu. Lecz dla każdego, kto interesował się polityką, treść zasadniczą sprawy stanowił motyw uboczny.

Chciano wiedzieć, czy królowa postąpiła słusznie, żądając aresztowania kardynała jako oskarżonego o ubliżenie jej czci.

Czy książę de Rohan miał prawo powiedzieć królowej to, co powiedział, czy działał w jej imieniu, czy był tajnym agentem Marii Antoniny, którego wyparła się, kiedy rzecz stała się głośna.

Słowem, czy w tej incydentalnej sprawie kardynał działał w dobrej wierze, jako zaufany powiernik. Jeżeli tak, winna była królowa.

Prokurator generalny zabrał głos.

Przemawiał w imieniu godności królewskiej, która została znieważona i żarliwie bronił fundamentalnej zasady monarchii — nietykalności królewskiego majestatu.

Główna sprawa zajmowała go mniej. Z całą gorliwością wziął się do sprawy pobocznej, zwłaszcza do wystąpień kardynała. Nie mógł dopuścić, żeby w aferze kradzieży naszyjnika przypisano królowej choćby drobną winę. Skoro zaś na niej wina nie ciążyła, to znaczy że obciążony był kardynał.

Rozumując w ten sposób domagał się wyroku następującego:

Villette ma być skazany na galery.

Joanna de la Motte winna być poddana chłoscie, napiętnowana i osadzona na zawsze w szpitalu.

Kardynał miał uznać swą winę znieważenia majestatu królewskiego i miał dalej zostać ogłoszony banitą i pozbawiony wszelkich przywilejów i godności.

Cagliostro miał być wyłączony ze sprawy.

Oliwia uniewinniona.

Wnioski prokuratora wprowadziły w zdumienie sędziów przysięgłych i przeraziły oskarżonych.

Wola króla występowała tu tak silnie, że o ćwierć wieku wcześniej, w okresie kiedy parlamenty domagały się już swych prerogatyw, wnioski prokuratora królewskiego zostałyby jednomyślnie przyjęte z gorliwością i czołobitnością. Wówczas jeszcze poważano zasadę nieomyślności tronu.

Obecnie tylko czternastu radców przyjęło w zupełności wywody prokuratora i na zebraniu parlamentu dały się zauważyć rozbieżności.

Przystąpiono do ostatniej indagacji, formalności prawie już niepotrzebnej, ponieważ wiadomo było z góry, że ci oskarżeni ani nie złożą zeznań, ani nie dojdą do zgody. Domagali się oni nie tyle własnego uniewinnienia, ile ukarania strony przeciwnej. Zazwyczaj więźniowie siedzieli w sali rozpraw na niskim drewnianym zydelku, skalanym już zetknięciem się z wieloma skazańcami, którzy stąd wędrowali na szafot czy galery. Tu zasiadł fałszerz Villette, który z oczyma pełnymi łez prosił o łaskę i przebaczenie.

Wyznał wszystkie winy, potwierdził wszystkie zarzuty, jakie mu czyniono i dodał, że był współnikiem Joanny de la Motte. Sądził jednak, że skrucha jego i wyrzuty sumienia powinny być okolicznościami łagodzącymi i wrzucić sędziów.

Osobistość ta nie interesowała nikogo; widziano w nim pospolitego łotra, toteż płaczącego i narzekającego na swój los odesłano go do celi w więzieniu Conciergerie.

Po nim pisarz sądowy wprowadził do sali panią de la Motte.

Ubrana była skromnie w białą narzutkę batystową i takiż czepeczek, bez ozdób. Twarz osłoniętą miała białym woalem, włosy nie przypudrowane.

Już na wstępie przyszło jej doznać upokorzenia; wprowadzono ją bowiem tylnymi schodami, jak zwykłych przestępców.

Podniesiona temperatura sali, szept rozmów i tysiące głów zwróconych w jej stronę zmieszały ją na chwilę; oczy jej przez pewien czas nerwowo drgały, jakby przywyknąć nie mogły do tego widoku.

Wtedy pisarz sądowy wziął ją za rękę i wprowadził w sam środek półkola, gdzie czekał na nią ów haniebny zydel, wyglądający jak pień katowski na rusztowaniu.

Zobaczywszy hańbiące siedzisko, przeznaczone dla niej — dumnej, iż nosi nazwisko Walezjuszów i dzierży w ręku los królowej Francji — Joanna de la Motte zbladła. Rzuciła zajadle spojrzenie na sędziów, sądząc, że ich tym przestraszy, ale widząc wszędzie obojętność dla siebie, usiadła, aby jej nie posądzono o niemoc i tchórzostwo.

Zeznawała niejasno, mówiła o swej niewinności, przymusiła prezydenta do zapytania jej o korespondencję kardynała z królową. Dopiero w odpowiedzi na to pytanie ukazała żądło żmii.

Rozpoczęła od oświadczenia, że nie chce skompromitować królowej i nadmieniała, że wszelkich szczegółów najlepiej mógłby dostarczyć kardynał.

— Poproście — mówiła — aby wam przedstawił choć kopię tych listów, będziecie mogli przeczytać i zaspokoić ciekawość. Co do mnie, nigdy nie ośmieliłabym się twierdzić, że są one pisane przez królowę do kardynała lub kardynała do królowej; jak na listy monarchini do swego poddanego — pierwsze są zbyt poufałe i czułe, drugie — zbyt mało wyrażają szacunku, jak na listy poddanego do królowej.

W sali zapanowało ponure milczenie. Joanna przeholowała, wzbudziła tylko wstręt przeciwników, trwogę stronników własnych i nieufność sędziów bezstronnych. Opuszczając hańbiący zydel pocieszała się jedynie myślą, że miejsce jej zajmie kardynał. To samo już było zemstą i dawało jej satysfakcję — zmusić jednego z Rohanów, by zasiadł po niej, tak samo okryty hańbą. Nagle zobaczyła, że wynoszą zydel i wnoszą krzesło. Rumieniec gniewu pokrył jej twarz, wrzasnęła dziko i gryząc ręce z wściekłości, wybiegła z sali.

To już były katusze.

Kardynał zbliżał się powolnym krokiem w asyście dwóch woźnych i tyluż kancelistów.

Przy boku jego kroczył gubernator Bastylii.

Wejście kardynała powitał głośny szept sympatii i szacunku.

Z podwórza zawtórowały huczne wiwaty. Lud pozdrawiał oskarżonego i polecał go sędziom.

Książę Ludwik był blady, wydawał się bardzo wzruszony. Dla sędziów okazywał szacunek należny ze strony obwinionego, który odwołuje się do ich sądu i przyjmuje wyrok.

Wskazano kardynałowi fotel.

Prezujący skłonił się i miło go powitał, całe grono sędziów prosiło, aby zechciał usiąść.

Ta powszechna życzliwość zdwoiła jego zakłopotanie.

Mówił powoli, wzdychał, głos mu się łamał. Usprawiedliwiał się raczej niż argumentował, prosił, a nie dowodził. Wzruszenie tamowało mu mowę i zmniejszało siłę wywodów. Ta jednak niepewność i brak afektacji u tak znakomitego mówcy przyjęta była przez obecnych lepiej, aniżeli wszelka obrona i wszelkie argumenty.

Wprowadzono teraz Oliwię i usadowiono biedną dziewczynę na hańbiącym zydlu.

Wielu z widzów zadrżało na widok tego żywego portretu królowej usadowionego na stołku, zajmowanym poprzednio przez Joannę de la Motte.

Sobowtór Marii Antoniny na ławie oskarżonych — widok ten w przykry sposób poraził najzacieklejszych nawet wrogów królowej. W wielu jednak wywołało to dzikie instynkty, tak, jak widok krwi rozbestia tygrysa.

Ale Oliwia i synek jej kwilący w korytarzu zyskali ogólne współczucie.

Po Oliwii wszedł Cagliostro, któremu najmniej zarzutów można było uczynić. Przyniesiono krzesło, ale sędziowie nie zaproponowali mu, żeby usiadł. Zeznawał więc stojąc. Zeznawał zresztą krótko. Była to tylko formalność. Sąd obawiał się obrony oskarżonego.

Teraz rozprawa została zamknięta i sąd udał się na naradę.

Tłumy rozsypały się po ulicach, obiecując sobie, że powrócą tu w nocy, ażeby usłyszeć wyrok.

XCV. CZY TO ZASADZKA?

Jak było do przewidzenia, z nadejściem wieczoru tłumy znalazły się na placu przed pałacem sądowym. Zbierano się w grupki i wymieniano komentarze. Jak zwykle bywa z wielkimi tajemnicami, lud paryski wiedział o wszystkim z góry. Czekano więc cierpliwie pogryzając z nudy lukrecję smażoną z anyżkiem, którą roznosili wędrowni przekupnie.

Dzień był parny, chmury kłębiły się nad głowami. Daleko na horyzoncie błyskało się nieustannie.

Podczas gdy kardynał, który uzyskał pozwolenie na spacer po tarasach, rozmawiał z Cagliostrem o spodziewanym wyniku procesu, podczas gdy Oliwia zamknięta w celi pieściła synka i kołysała go na rękach, podczas gdy Reteau z oczyma błyszczącymi liczył w myśli talary obiecane przez pana de Crosne i porównywał ich wartość z miesiącami więzienia, które mu obiecywał parlament — Joanna, w pokoju dozorczyńi więziennej, pani Herbert, dla uspokojenia wzburzonego umysłu starała się zażywać ruchu.

Izba ta, wysoka, obszerna, jak sala, oświetlona była wielkim ostrołukowym oknem. Jakkolwiek mieszkali tu ludzie wolni, okno opatrzone było mocną kratą żelazną. W połączeniu z małymi mętnymi szybkami w ołowianych obwódkach z okna tworzyło się sito, które dawało mało światła. Blask ten nie raził oczu tych, którzy nie mogli wychodzić swobodnie na słońce. Był to jakby łagodny stan zawieszenia między bólem a uśmiechem.

W tej oto sali od czasu zamknięcia w więzieniu Conciergerie spędzała pani de la Motte swój czas w towarzystwie dozorczy, jego żony i syna.

Jak wiemy, pani de la Motte należała do rzędu kobiet, które gdy chcą mogą się podobać.

Rodzina dozorczy polubiła ją w krótkim czasie, bo chytra kobieta, chcąc wykazać swą niewinność, utrzymywała, że nadejdzie chwila, kiedy miejsce jej w więzieniu zajmie królowa i jak się nad nią teraz litują, litować się będą nad dolą królowej.

Dla wynagrodzenia im uprzejmej gościnności, jak sama mówiła, zapomniała o swym usposobieniu melancholijnym, o strapieniu, które ją ciągle dręczyło i starała się być bezustannie w dobrym humorze.

W dniu, kiedy śledztwo sądowe zostało zamknięte, Joanna powróciwszy do nich znalazła ich w zmienionym usposobieniu. Widać było z ich uwag, że skrepowani są jej obecnością.

Najmniejsza drobnostka przestraszała teraz chytrą kobietę. Na próżno usiłowała wydobyć prawdę od pani Herbert, która wraz z całą rodziną zbywała ją półsłówkami.

Dnia tego Joanna zauważyła siedzącego przy kominku księdza, dawnego przyjaciela domu pani Herbert. Był to dawniejszy sekretarz gubernera hrabiego Prowansji. Człowiek obyczajów prostych, w miarę roztropny, znał swoją wartość; od pewnego czasu, nie bacząc na dawniejszą zażyłość, rzadziej bywał w domu pani Herbert i dopiero po przybyciu Joanny stał się znowu częstym gościem. Oprócz niego w pokoju znajdowało się jeszcze kilku mężczyzn, urzędników sądowych. Mówili mało, patrzyli na panią de la Motte.

— Jestem przekonana — usiłowała zażartować — iż tam na górze toczą się daleko żywsze rozprawy.

Cicha odpowiedź klucznika potwierdziła jedynie jej zapytanie.

— Co? Na górze? — zapytał ksiądz, udając, że o niczym nie wie. — Gdzie, pani hrabino?

— W sali, gdzie moi sędziowie naradzają się nad wyrokiem.

— Tak... — odparł ksiądz.

I znów głucho milczenie zapanowało w pokoju,

— Sądę, że wystąpienie moje sprawiło dzisiaj dobre wrażenie?

— Tak jest — odpowiedział niechętnie dozorca i powstał z miejsca, by przerwać rozmowę.

— A ty, mości księże, jakiego jesteś zdania co do mojej sprawy? Czy źle się zapowiada? Weź pan pod uwagę, iż żadna wina dowiedziona mi jeszcze nie została.

— Rzeczywiście — odparł ksiądz. — Masz pani dużo szans.

— Wszak prawda? — zapytała.

— Ale dajmy na to, że król zechce sam rozpatrzeć tę sprawę, a wtedy...

— To co wtedy? Cóż król może zdziałać? — zawołała gwałtownie.

— Król może wyrazić swoje niezadowolenie, że postępowano dotychczas wbrew jego woli.

— W takim razie rozkazałby uwięzić pana de Rohan, co jest niepodobieństwem.

— Rzeczywiście.

— A kto mówi Rohan, mówi ja.

— Ej — rzekł ksiądz — łudzisz się, pand. Jeden z winowajców będzie uwolniony. Myślę, że pani. Jestem prawie pewien. Ale ktoś przecież musi być ukarany, bo co by się stało z królową.

— Prawda — powiedziała ponuro Joanna, zła, że podrywają nadzieję, którą się łudziła. — Król szuka winowajcy. Trzeba zwalić na kogoś winę... No, ale pan de Rohan równie dobrze się do tego nadaje jak i ja.

Po tych słowach zapanowało znowu milczenie. Wreszcie ksiądz przerwał je.

— Pani — rzekł — król już ochłonął z pierwszego uniesienia. Żądze zemsty zostały już zaspokojone i zapewne nie będzie już pamiętał o przeszłości.

— Czy można wiedzieć, co pan nazywa zaspokojeniem zemsty? — zapytała Joanna ironicznie. — Wszakże i Neron miał swoje gniewy, i Tytus był od nich wolny.

— Skazanie kogokolwiek — rzekł śpiesznie ksiądz — już mogłoby wystarczyć.

— Kogokolwiek? — zawołała Joanna. — To słowo zdaje się dużo mówić.

— Ja tylko mówię o skazaniu na zamknięcie w klasztorze; jest to kara, którą, jak słyhać, król widziałby w odniesieniu do pani.

Joanna spojrzała z przestachem.

— Osadzenie w klasztorze! Czyli śmierć powolna, hańbiąca, którą zechcą pewnie nazwać aktem łaski! Dożywotni pobyt w ciszy wśród męczarni głodu i zimna. Nie, nigdy! Zbyt wiele upokorzeń, zbyt wiele wstydu dla niewinnej wtedy, gdy prawdziwy sprawca nieszczęścia żyje sobie spokojnie, otoczony dostatkiem i honorami. Już raczej śmierć — to będzie mój sąd nad samą sobą za to, że miałam nieszczęście przyjść na ten padół nędzy i niegodziwości!

I, nie słuchając przekonywań obecnych ani prośb dozorca, odepchnęła jego żonę, przewróciła księdza i podbiegła do szafy po nóż.

Schwytano ją, wtedy z wrzaskiem wybiegła z pokoju. Widać w tym było komedię. Wybuchy gniewu były za głośne, aby można sądzić, że są naturalne. Jak szalona wbiegła do przyległego pokoju i schwyciwszy ogromny fajansowy wazon kilkakrotnie z całej siły uderzyła się nim w głowę. Wazon rozbił się w kawałki; z rany popłynęła krew. Posadzono ją w fotelu i przyniesiono soli orzeźwiających. Dostała konwulsji i zemdląca. Gdy przyszła do siebie, ksiądz myślał, że się dusi.

— Patrzcie — rzekł — to zakratowane okno tamuje dostęp świeżego powietrza. Czy nie można by wyprowadzić tej biednej istoty?

Wtedy pani Herbert zapominając o wszystkim pobiegła do szafy, wyjęła klucz i otworzyła okno. Po chwili zemdlona pełną piersią zaczerpnęła świeżego powietrza.

— A! — powiedział ksiądz. — Nie wiedziałem, że okno to jest tak urządzone, iż można je otwierać kluczem. Po co tyle ostrożności?

— Taki jest regulamin więzienny — odparła dozorczydni.

— Aha, rozumiem — ciągnął dalej ksiądz znacząco. — Okno to wznosi się na siedem stóp od ziemi i wychodzi na wybrzeże. Jeżeliby zaszedł taki wypadek, że kilku więźniów wydostałoby się z wnętrza więzienia Conciergerie, mogłoby przez waszą salę uciec, nie narażając się wcale na spotkanie ze strażą więzienną.

Ksiądz zauważył, że pani de la Motte przy tych słowach drgnęła i pilnie nadśluchiwała, o czym będą dalej mówić; następnie oczy jej zwróciły się ku miejscu, gdzie pani Herbert znowu umieściła klucz. Było to dla niego wystarczające; obecność jego wydała mu się niepotrzebna i pożegnawszy się ze wszystkimi opuścił salę. Po chwili, wchodząc znów do pokoju, odezwał się jakby od niechcienia.

— O! Ileż osób zgromadzonych w jednym miejscu! — rzekł. — Tłumy narodu ciągną po drugiej stronie placu, lecz za to żywej duszy nie ma na wybrzeżu.

Pani Herbert wychyliła głowę.

— Rzeczywiście — odrzekła.

— Czy można się spodziewać — wyrzekł przyciszonym głosem, jakby go pani de la Motte nie miała słyszeć, a ona z całego tego dialogu nie straciła ani jednego wyrazu — że wyrok odczytany będzie jeszcze dzisiejszej nocy?

— Nie sądzę, aby to mogło nastąpić przed jutrem.

— W takim razie — dodał ksiądz — byłoby pożądane, abyście pozwolili tutaj spocząć pani de la Motte. Po tych wstrząsach potrzebuje wypoczynku.

— My udamy się do naszego pokoju — podchwycił poczciwy dozorca — i pozostawimy tu panią de la Motte w fotelu, jeżeli, ma się rozumieć, nie zechce udać się do łóżka...

Ksiądz zniknął, a dozorca i jego żona również oddalili się, zamknawszy ostrożnie kratę, aby nie przebudzić pani de la Motte.

Joanna, gdy pozostała sama, otworzyła oczy.

— Ksiądz radzi mi, abym się ratowała ucieczką — pomyślała. — Dlaczegoż nie dowiódł mi nieodzownej potrzeby wymknięcia się z więzienia i nie udzielił mi potrzebnych po temu środków? Napomykać jednak o skazaniu przed wyrokiem sędziów może tylko przyjaciel, który chce tym sposobem wskazać mi drogę ocalenia. Ażeby porzucić więzienie, potrzebuję tylko jeden krok uczynić, otworzę tę szafę, następnie kratę i wnet znajdę się na pustym wybrzeżu.

Chwila ocalenia nadchodzi; wraz ze swobodą odzyskam inne bogactwa; będę miała sposobność odpłacić za wszystkie nieszczęścia, które mi wyrządzono.

I nagle rzuciła się ku szafie, wyjęła klucz i zbliżała się do kraty.

Pobudzona jej wyobraźnia przedstawiła w jej oczach jakąś postać w mundurze.

— Jakiś człowiek jest tam, być może, że to ksiądz, który wyczekuje mojej ucieczki i chce mi zapewne udzielić swojej pomocy. A gdyby to miała być zasadzka, gdybym, zeszedłszy na dół, została schwytana na gorącym uczynku! Chęć ucieczki byłaby przyznaniem się do winy. Kto szuka zbawienia w ucieczce, ucieka przed własnym sumieniem. Kto unika zetknięcia się ze sprawiedliwością, nie może być niewinny. Zresztą skąd przybywa ten człowiek! Zdaje się, że widziałam go kiedyś u księcia Prowansji. Któż może mi dać dostateczną rękojmię, że nie jest to zbir, nasłany przez królowę lub przez rodzinę Rohanów? Drogo by zapłacono za każdy krok fałszywy z mej strony. Czyż nie będzie nierozważną, gdy postaram się opuścić więzienie na kilka godzin przed wydaniem wyroku? Czy jeżeliby mnie naprawdę chciano ocalić, nie można by było tego uczynić wcześniej? Boże mój! Kto wie, czy nowina o uwolnieniu mnie przez sędziów nie doszła do uszu mych nieprzyjaciół. A może chciano by wraz z tą wieścią zawiadomić królowę o mojej ucieczce, która byłaby nieomylnym dowodem winy. Nie, pozostaję!

Następnie zaś siadłszy na fotelu z daleka i wciąż udając, że śpi, przyglądała się cieniowi człowieka, który czatował, aż nareszcie zmęczony, z pierwszym blaskiem świtu oddalił się.

XCVI. WYROK

Z rana, gdy cały Paryż budzi się z uśpienia, gdy życie zaczyna na nowo, gdy dzienny brzask staje się ogniwem łączącym dzień dzisiejszy z poprzednim, w serce hrabiny wstąpiła na powrót nadzieja, że wszystko skończy się po jej myśli, że zaraz od rana ktoś zastuka do jej celi i zawiadomi ją o szczęśliwym rezultacie procesu. Już z góry wyobrażała sobie, jak będzie przyjmowała powinszowania przyjaciół.

Czyż miała przyjaciół?

Niestety! Nigdy szczęście i poważanie nie jest pozbawione orszaku przyjaciół. Joanna wszelako, doszedłszy do celu, bogata już i wpływowa, kiedy starała się zaskarbić w świecie względy wszystkich, nie natrafiła nigdy nawet na zdawkową przyjaźń. Teraz, po triumfie, którego się spodziewała, miała nadzieję, że zastęp jej wielbicieli zwiększy się niezawodnie. Na próżno jednak oczekiwała, nikt nie przyszedł oznajmić jej radosnej nowiny.

Cisza wróżyła klęskę.

Ponieważ zabroniono jej wychodzić, wysunęła głowę przez lufcik i wyteńczywszy słuch starała się podchwycić rozmowy rozprawiających o procesie.

Nagle powstał taki harmider, zerwała się taka wrzawa, wywołana tysiącem okrzyków, oklasków, tupotem nóg, że stanęła zdumiona, nie mogąc przyjść do siebie. Własne sumienie mówiło jej, że wszystkie te manifestacje nie były przeznaczone dla niej.

Te salwy radości powtarzały się wielokrotnie.

— Szczęśliwy dzień w życiu kardynała — zauważył jakiś aplikant prokuratury, przebiegając w podskokach przez chodnik pod oknem.

— Dla kardynała!... — powtórzyła Joanna. — A więc doszły już wiadomości o jego uwolnieniu!...

Krople potu zrosiły jej czoło, nie miała na kogo wylać złości, z pośpiechem wbiegła do sali.

— Pani, pani! — wykrzyknęła, zwracając się do pani Herbert. — Co słyszę?... Więc szczęście sprzyjało kardynałowi?...

— Nie wiem — odpowiedziała dozorczyńni. Joanna spojrzała jej w oczy.

— Zechciej pani zapytać męża.

Dozorczyńni przez grzeczność powstała i spytała męża.

— Nic nie wiem — odrzekł.

— Jak należy rozumieć słowa przechodnia? — szepnęła Joanna, zatrzymując się zniecierpliwiona. — Bez wątpienia mówili o procesie.

— Być może — odpowiedział pocziwy Herbert. — Być może chciał on przez to powiedzieć, iż dzień swego uwolnienia kardynał będzie mógł uważać za szczęśliwy.

— Więc pan sądzisz, że kardynał może być uwolniony? — spytała Joanna, zaciskając palce.

— Może.

— A mnie jakież los czeka?...

— Panią!... Taki sam jak jego.

— Dziwne przypuszczenie — bąknęła pod nosem i przysunęła się do okna.

— Pani, postępujesz niesłusznie — zwrócił jej uwagę dozorca. — Chcesz zasięgnąć dla siebie wiadomości, które dochodzą z podwórza przeinaczone i niezgodne z prawdą. Lepiej byś pani uczyniła czekając na wyrok.

— Na wyrok... nigdy!

I w dalszym ciągu nasłuchiwała.

Pod oknem przechodziło kilka kobiet w świątecznych strojach, z bukietami w ręku.

Przyjemny zapach owionął Joannę.

— Dam mu bukiet — zawołała jedna z kobiet. — O, gdybym mogła, chętnie bym go uściskała.

— Ja także — dodała jej towarzyszka.

— A ja bym wołała, aby on mnie pocałował.

— O kim one mówią? — pomyślała Joanna.

— Dobry masz gust, to śliczny mężczyzna — powiedziała pierwsza. I poszła dalej.

— Wciąż mowa o kardynale, zawsze o nim — szepnęła Joanna. — Uniewinniony, na pewno uniewinniony.

W słowach jej było tyle zniechęcenia, a jednocześnie tyle pewności, że małżonkowie Herbert nie chcą wywołać sceny podobnej do wczorajszej, poczęli ją mitygować.

— Nie rozumiemy, co pani ma przeciwko temu, że więźnia zwolniono.

Joanna domyśliła się znaczenia tych słów od pewnego czasu zauważyła zmianę w postępowaniu i, nie chcąc utracić sympatii, jaką ją dawniej otaczano, dodała:

— Niestety!... Widzę, że nie zostałam przez was zrozumiana. Jestem w waszym pojęciu istotą, która by chętnie cieszyła się z nieszczęścia swych towarzyszy niedoli. Przeciwnie, rada bym była, aby kardynał został uwolniony, lecz wnuknijcie także w to, że los mój nie jest do pozazdroszczenia, że nie jestem pewna ani dnia, ani nawet godziny.

— Cóż my możemy uczynić?... Los pani nie jest nam wiadomy.

W tej chwili posłaniec jakiś wywołał Herberta z pokoju.

Dozorczyni pozostawszy sama z Joanną usiłowała ją zabawić, na próżno jednak, pani de la Motte wyteżala wszystkie zmysły, by pochwyć jakiś strzęp prowadzonej pod oknem rozmowy.

Dozorczyni nie mogąc jej w tym przeszkodzić, zaniechała swoich usiłowań.

Naraz dał się słyszeć ogłuszający krzyk, plac zaroił się tłumem. Hurma ludzi biegła w kierunku wybrzeża. To było straszne.

Wśród tej wezbranej fali ludu Joanna zobaczyła powóz, konie i dwie osoby w powozie.

W ścisłości konie szły noga za nogą.

Tysiące ludzi, z głośnym okrzykiem radości, wyciągały ręce w stronę powozu, a siedzące w nim osoby zasypane zostały deszczem kwiatów.

Joanna wiedziała już.

Jeden z nich blady, jakby przestraszony własnym zwycięstwem i triumfem, siedział nieporuszony.

Kobiety rzucały się pod koła, szarpały go za ręce, żeby je ucałować i klóciły się o urwaną koronkę z jego rękawa, za którą hojnie płaciły kwieciami.

Tym człowiekiem był kardynał de Rohan.

Jego towarzysz, o świeżej cerze, twarzy radosnej, promieniejącej, był mniej owacyjnie przyjmowany; nie żałowano jednak i jemu uznania.

Kobiety zachwyciły się kardynałem, mężczyźni wołali:

— Niech żyje Cagliostro!...

Po dłuższym dopiero czasie Joanna spostrzegła samych triumfatorów. Oczom jej nie uszły najmniejsze szczegóły; ta manifestacyjna radość na cześć ofiar królowej dała jej kilka chwil rozkoszy.

Ale zaraz przyszło jej do głowy:

— Jak to? Więc oni są już wolni, dla nich wszelkie formalności są już skończone, a ja dotychczas nic nie wiem.

Ogarnęło ją dziwne uczucie przestachu.

Obok niej siedziała dozorczyńni, cicha, spokojna i uważna; ani słowem jednak nie przerywała milczenia. Joanna żądać już miała wyjaśnień, gdy nowy hałas zwrócił jej uwagę.

Tłum oklaskiwał wjeżdżającą na most dorożkę. Wewnątrz siedziała Oliwia, która radośnie pokazywała zgromadzonym swoje dziecię odbierając w zamian głośnie, swawolne żarty i całusy.

Był to ostatni akt uroczystości na cześć kardynała.

Za mostem oczekiwała karetka pocztowa. Pan Beausire schował się za plecy jednego z przyjaciół, który jako wyjątek w tym gronie miał odwagę wystawić się na uwielbienie publiczności. Dał znak Oliwii, która wysiadła z dorożki wśród okrzyków głośnych, ale trochę uszczypliwych.

Oliwia wsiadła do karetki pocztowej i radośnie rzuciła się w objęcia Beausire'a. Sporo czasu upłynęło im w tej pozycji; wreszcie, wylewając łzy szczęścia, dojechali do Saint-Denis, gdzie zmieniono konie, nie napotkawszy przeszkód ze strony policji.

Joanna obserwowała wszystko nie mogąc zrozumieć, dlaczego ją tylko pozostawiają dotychczas w takiej niepewności.

— A ja — wołała — a ja? Dlaczego nie ma wyroku? Co za wyrafinowane okrucieństwo!

— Uspokój się, pani — powiedział Herbert, wchodząc do pokoju.

— Pan już na pewno wiesz — odpowiedziała Joanna. — Pan wiesz! Pan wiesz! Pan musisz wiedzieć!

— Pani!...

— Jeżeli nie jesteś barbarzyńcą, proszę mi powiedzieć, czyż pan nie widzisz, jak cierpię?

— Wzbroniono nam, młodszym stopniom służby więziennej, uprzedzać odczytanie wyroku.

— W takim razie muszę pana nazwać tchórzem, jeżeli na ten krok zdobyć się nie możesz — powiedziała Joanna w uniesieniu, które przypomniało panu Herbertowi scenę wczorajszą.

— Nie, mylisz się, pani — odrzekł. — Ale jeżeli mi przyrzeczesz, że będziesz się zachowywała spokojnie i że mnie nie zdradzisz, gotów jestem dla pani to uczynić.

— W takim razie mów pan.

— A przyrzekasz mi, pani?

— Ależ przyrzekam, przyrzekam, przysięgam panu... Mówże pan.

— No to zaczynam...

— Kardynał został uniewinniony. Pan de Cagliostro okazał się niewinny... Pannę Oliwię wyłączono z oskarżenia.

— Dalejże, mówże pan, cóż więcej?

— Pan Reteau de Villette został skazany...

Joanna zadrżała.

— ...na galery...

— A ja? Kiedyż przyjdzie kolej na mnie wreszcie?

— Pani jesteś skazana na wygnanie — odrzekł słabymi głosem dozorca i odwrócił oczy.

Błyskawica radości przemknęła po obliczu Joanny i tak prędko jak zjawiała się, zniknęła.

Następnie, udając, że mdleje, rzuciła się w objęcia swoich gospodarzy.

— Co by się stało, gdybym wyznał jej całą prawdę — rzekł w duchu Herbert.

— A więc wygnanie — pomyślała Joanna, udając gwałtowny atak spazmów. — Wszak to swoboda, bogactwo i zemsta, wszystko, o czym marzyłam... Wygrałam...

XCVII. EGZEKUCJA

Joanna oczekiwała na przyjście pisarza, który miał według słów dozorczy przybyć, ażeby odczytać wyrok. Co do istoty rzeczy nie mogła już mieć wątpliwości, cierpiała jedynie obrażona duma, starała się sobie jednak i to wyperswadować, myśląc:

— Co może mnie obchodzić, że uważają pana de Rohan za mniej winnego ode mnie?

— Czyż mnie zarzucają główną część winy? Bynajmniej.

— I — monologowała dalej, pochłonięta trawiącymi ją myślami — niechaj przyjdą mi oznajmić, mnie — skazanej, wygnanej, sponiewieranej istocie, że nie jestem tak bogata, tak czczona i tak uprzywilejowana jak królowa. Wiem, że nie chodziło jej o to, żeby mnie skazano: biedny robak, pełzający po ziemi, nie może szkodzić królowi zwierząt. Królowej chodziło o to, żeby nie uszedł kary kardynał de Rohan i tu omyliła się w swych rachubach; uwolniono go bowiem od wszelkiej odpowiedzialności. Obecnie jednej rzeczy jestem ciekawa, w jaki sposób oznajmią mi wyrok i jak się zabiorą do wydalenia mnie z granic państwa. Czyż zemszczą się na mnie, kobiecie, stosując karę w całej rozciągłości, czy powierzą moją osobę siepaczom, aby odprowadzili do granicy? Czy powiedzą mi:

„Niegodna! Król wydała cię ze swego państwa.” Och, nie, moi panowie są dla mnie pobłażliwi — dodała ze śmiechem — teraz już raczej nie gniewają się. Złości ich raczej ludek paryski, który przechodząc pod ich balkonami woła: „Niech żyje kardynał!”, „Niech żyje Cagliostro!”, „Niech żyje parlament!”. Prawdziwym ich nieprzyjacielem jest lud, tak, on jest i moim nieprzyjacielem, bo i ja liczyłam na poparcie opinii publicznej, no i doczekałam się.

Przewidując rychły wyjazd, układając marszrutę obliczała w myśli, co ją to będzie kosztowało. Zastanawiała się nad tym, gdzie umieści swoje diamenty przed wyjazdem do Londynu. Tylko wspomnienie pana Reteau de Villette mąciło jej spokój.

— Biedny chłopak! — powiedziała ze złośliwym uśmiechem. — On zapłaci za wszystkich. Tak to już jest na świecie, że dla zmazania czyjejś winy ludzie muszą znaleźć kozła ofiarnego, na którego można wszystko zwalić.

I tą szumną tyradą pogrzebała w pamięci współnika swego, Reteau, postanowiwszy się uprzednio dowiedzieć o miejscu jego zesłania, aby przypadkiem los nie zgotował jej niespodzianki i nie zmusił do spotkania się z nim.

Nie chciała mu swoim szczęściem przypominać fatalnej jego doli! I czyż można było obwiniać ją o brak serca!

Joanna z dobrą miną zęgnęła się z rodziną Herberta, która straciła jakoś na serdeczności i okazywaniem tego wcale się nie krępowała.

Joanna kładła to na karb wyroku i nawet zapytała ich, czym ma sobie tłumaczyć oziębienie wzajemnych stosunków. Odpowiedziano jej na to, że widok osób skazanych oddziaływa zawsze na nich w sposób przygnębiający.

Zdziwiło ją mocno, że przy pożegnaniu Herbert kilkakrotnie zastrzegł sobie, by zachowała w tajemnicy, że przebywała w ich prywatnym mieszkaniu.

— Pani — rzekł. — Istnieje u nas rozporządzenie, na mocy którego nie dozwala się osobom już osądzonym przebywać w mieszkaniu...

— Ależ dobrze, nie mam nic przeciwko temu; jestem do usług pańskich. Nie chciałabym pana narazić na możliwe nieprzyjemności, byłoby to złym odwzięciem się za przysługi, których kilkakrotnie doznałam. Chciałabym powrócić do swego pokoju.

Obejrzała się, by zobaczyć, jakie wrażenie wywarły jej słowa.

Pani Herbert udawała, że patrzy w inną stronę, aby nie okazać po sobie, co myśli.

Mąż z zakłopotaniem miętosił czapkę w rękę, wreszcie spytał:

— A zatem idzie pani do siebie?

— Nie wiem tylko, gdzie odczytają mi wyrok.

— Zapewne spodziewają się, że pani wysłucha wyroku u siebie w pokoju.

— Widocznie chcą się mnie pozbyć — pomyślała z dreszczem niepokoju.

Weszła już na schodki, oddzielające mieszkanie Herbertów od korytarza więziennego, gdy pani Herbert, widząc ją wychodzącą, wyciągnęła do niej rękę, nie przez uczucie prawdziwej przyjaźni lub sympatii, lecz w pierwszym porywie litości. Nie uszło to uwagi Joanny, która miała tak rozwiniętą spostrzegawczość, że nie przeoczyła nigdy najmniejszej drobnostki. I tym razem jednak umysł jej, pełen radości i nadziei na rychłe oswobodzenie, nie przyjął podejrzenia, które wzbudzało w niej postępowanie pani Herbert.

Przez chwilę Joanna chciała zapytać, co znaczyć mają te wyrazy litości i przygotowała już przebiegłe pytanie, tak chytre, jak i ona sama, lecz na wypowiedzenie go nie miała dość czasu.

Herbert wziął ją za rękę, mniej grzecznie niż zazwyczaj i otworzył drzwi.

Hrabina znalazła się na korytarzu.

Czekało tam na kogoś ośmiu siepaczy.

— Na kogo oni czekają? — przebiegło jej przez myśl, gdy zobaczyła straż. Chciała się cofnąć, lecz drzwi od mieszkania Herbertów znalazła już zamknięte.

W pobliżu stał jeden z kluczników więziennych, który odprowadzał Joannę codziennie do celi.

Człowiek ten wyprzedził ją, jakby zamierzał wskazywać drogę.

— Czy idę do swego pokoju? — zapytała głosem, który miał brzmieć pewnie, ale w którym wyczuwało się trwogę.

— Tak, pani — odpowiedział przewodnik.

Joanna opierając się o żelazną poręcz poszła za nim.

W ciszy dochodziły ją chichotania żołnierzy, którzy pozostali na dole.

Uspokojona pozwoliła się zamknąć dozorczy i nawet podziękowała mu uprzejmie. Po chwili dozorca odszedł.

Wtedy dopiero Joanna poczuła się swobodna i wybuchnęła radością, radością długo hamowaną pod maską obłudy w czasie pobytu w domu kluczników.

Dla niej, istoty drapieżnej, cela była klatką. Joanna sprawiała wrażenie zwierzęcia, które skrepowano, ale które czuje, że wydostanie się za chwilę na obszerniejsze przestworza.

Wtem usłyszała jakieś kroki, rozlegające się po korytarzu i po chwili klucz zaskrzypiał w zamku.

— Czego oni jeszcze chcą ode mnie? — wyszeptała i spojrzała w stronę wejścia.

Dozorca ukazał się na progu.

— Zechce mi pani towarzyszyć — przemówił.

— A to gdzie?...

— Do kancelarii sądowej.

— A to po co... jeżeli wolno zapytać pana?

Joanna przysunęła się do tego człowieka, który okazywał dziwny niepokój i zauważyła za nim kilku siepaczy. Były to te same indywidua, które poprzednio minęła na dole.

— Powiedźcie mi na koniec, czegoż mogą ode mnie wymagać w kancelarii sądowej?

— Pan Doillot, obrońca pani, chciałby mieć z panią chwilkę rozmowy.

— Dlaczegoż w kancelarii?... Udzielono mu przecież kilkakrotnie pozwolenia odwiedzenia mnie tutaj.

— Pan Doillot otrzymał listy z Wersalu i chce panią zapewne zapoznać z ich treścią.

Joanna nie zauważyła, jak nielogiczna była ta odpowiedź. Jedno ją tylko uderzyło: listy z Wersalu, listy od dworu i te miał jej doręczyć adwokat.

— Czyżby królowa miała się wstawić za mną po ogłoszeniu wyroku?... Czyżby?... Ale po co te wszystkie przypuszczenia?... Za chwilę mogę mieć rozwiązanie zagadki.

Tymczasem dozorca nastawał i z niecierpliwością przewracał klucze, jak człowiek, który nie ma czasu do stracenia.

— Zechciej pan chwilkę poczekać, przecież pan widzisz, że jestem już rozebrana: w ostatnich dniach miałam tyle przejść, iż zamierzałam wcześniej udać się na spoczynek.

— Owszem, mogę poczekać, zwracam jednak pani uwagę, że pan Doillot nie może tracić czasu dla jednej sprawy.

Joanna przymknęła drzwi, z pośpiechem włożyła świeższą suknię, przycesała włosy, zarzuciła na siebie płaszcz i w ciągu pięciu minut była już gotowa.

Coś jej mówiło, że pan Doillot przynosi rozporządzenie, na mocy którego sama i to szybciej opuścić będzie mogła Francję. Zapewne chodzi królowej o to, aby się jej jak najprędzej pozbyć.

Uspokojona tymi miłymi myślami Joanna szła, biegła raczej za dozorcą, który małymi schodkami wyprowadził ją do sali posłuchań.

Lecz zamiast się tu zatrzymać, zwrócił się w stronę małych drzwiczek na prawo.

— Dokąd mnie pan prowadzisz?... — zapytała.

— Chodźże, pani — odrzekł dozorca. — Tam panią oczekuje pan Doillot.

To mówiąc poszedł dalej i pociągnął za sobą uwięzioną, która usłyszała łoskot zamykających się za nią drzwi żelaznych. Zdziwienie Joanny nie miało granic, zalegające ciemności nie pozwoliły jej rozróżnić żadnego przedmiotu, chciała pytać, ale strach odbierał jej mowę. Przeszła jeszcze kilka kroków i zatrzymała się. Wpadające do wnętrza izby niebieskawe światło czyniło z tej ciemnicy prawdziwy grób.

Przez stare, zakratowane okienko, nie oczyszczane nigdy z kurzu i zarośnięte pajęczyną, przedostawały się od czasu do czasu bladawe promienie, odbicie ich padało na ściany. Joanna poczuła przebiegające dreszcze, wilgoć lochu przejmowała ją zimnem, w dziwnym wyrazie oczu dozorczy domyślała się czegoś strasznego.

Dotychczas jednak nie widziała nikogo oprócz tego człowieka; on jeden wraz z uwięzioną znajdowali się wewnątrz lochu, który zzieleniał od wody spływającej po ścianach i którego powietrze nigdy nie zaznało ciepła promieni słonecznych.

— Panie — spytała głosem ponurym, który sytuację tę uczynił jeszcze straszniejszą — co to ma znaczyć, że oprócz nas dwojga nikogo tu więcej nie ma? Gdzie jest pan Doillot, którego obecność pan mi zapowiedział?

Dozorca ani słowem nie odpowiedział, obejrzał się tylko, czy drzwi, przez które weszli, są dobrze zamknięte.

Każdy jego ruch Joanna śledziła ze wzrastającym zdumieniem. Przyszło jej do głowy, że może ma do czynienia z dozorcą tylokrotnie opisywanym w romansach, zakochanym w uwięzionej, który w zamian za miłość ku sobie ofiaruje jej wolność i swobodę.

Prosto podeszła do dozorczy i kokietując go oczyma spytała:

— Mój przyjacielu, czego żądasz ode mnie?... Czy masz co do powiedzenia? Czas uwięzionej, która ma przed sobą niedaleką swobodę, jest drogi. W każdym razie wyznać muszę, wybrałeś pan niezupełnie odpowiednie miejsce na rozmowę.

Klucznik ani słowa nie odpowiedział dla bardzo prostej przyczyny, ponieważ nie rozumiał, o co jej chodzi. Usiadł sobie spokojnie w kącie i czekał.

— Ależ — zapytała Joanna — co my dalej robić będziemy? Przestraszyła ją myśl, że ma do czynienia z wariatem.

— Czekamy na pana Doillot — odpowiedział.

— Przyznać pan musisz — odpowiedziała — że pan Doillot niezbyt odpowiednie wybrał sobie miejsce, jeżeli ma wręczyć mi listy z Wersalu i każe nieco zbyt długo na siebie czekać. Nie!... W tym się coś kryje...

Nie zdążyła dokończyć słów tych, gdy nagle drzwi, których istnienia w celi przypuszczać nawet nie mogła, otworzyły się tuż przed nią.

Drzwi te były szczelnie złączone ze ścianą, tak że dla osób, które nie wiedziały o tym mechanizmie, mogło się to wydać jakimś nadprzyrodzonym zjawiskiem, jakąś sztuczką magiczną. Za tajemniczymi drzwiami było kilkanaście schodków; zaczynały się one w źle oświetlonym korytarzu; jednakże powietrze było tu lepsze, wiał zimny wiatr.

Joanna, wspinając się na palce, zauważyła w końcu korytarza obszerną przestrzeń, rojną od tłumu kobiet i mężczyzn o błyszczących oczach.

Widziała to tylko przez mgnienie oka, mogła to raczej uważać za zjawisko; nie zdążyła ochłonać jeszcze z pierwszego wrażenia, gdy ujrzała na szczycie schodków trzech ludzi.

Z tyłu za nimi, jakby niżej, stali żołnierze, błysnęły cztery bagnety ostre i połyskujące, podobne trochę do gromnic.

Tajemnicze drzwi przymknęły się i tylko trzech mężczyzn wkroczyło do celi, zajmowanej przez Joannę.

Ta doznawała różnorodnych uczuć: zdziwienia, niepokoju i przestachu.

Klucznik, który przed chwilą nie wzbudzał w niej zaufania, wydawał się jej teraz jedynym obrońcą.

Ale ten siedział spokojnie, jakby chciał pokazać, że pozostaje tylko biernym widzem całej sceny. Prędzej niż sądzić mogła, najmłodszy z przybyłych rozpoczął badanie. Ubrany na czarno, w kapeluszu na głowie, obracał w ręku zwój papierów, podobały do starożytnych pergaminów.

— Pani jesteś — zapytał nieznajomy — Joanna de Saint Remy de Valois, żona Mikołaja hrabiego de la Motte?

— Tak jest.

— Pani mieszka w Paryżu, przy ulicy Saint-Claude?...

— Istotnie.

— Urodzona jesteś w Fontelle 22 lipca. 1756 roku?...

— Nie myli się pan. Lecz w jakim celu zadaje mi pan wszystkie te pytania?

— Mógłbym się obrazić, że mnie pani nie poznajesz, jestem pisarzem sądu.

— A!... Poznają pana.

— W takim razie mogę już przystąpić do swych czynności. — Zatrzymaj się pan na chwilę. Jakież są pańskie czynności?...

— Obowiązkiem jest moim przeczytać pani wyrok, wydany na posiedzeniu sądowym z dnia 31 maja 1786 roku.

Joanna zadrżała i rzuciła dookoła siebie spojrzenie bojaźni i niedowierzania.

— Pan jesteś pisarzem sądu, panie Breton, ale któż są pańscy towarzysze?...

Pisarz poruszył ustami, jakby chciał odpowiedzieć już, lecz dozorca podbiegł ku niemu i szepnął jakby z bojaźnią i litością:

— Nie czyń pan tego.

Joanna słyszała wszystko i z uwagą spojrzała na ludzi w kącie. Dziwiły ją ich szare ubrania, ich czapy kosmate a przede wszystkim fartuch jednego z nich, zakrywający całą pierś i jakby osmalony, zawalany oliwą i krwią.

Odskoczyła od nich i zrobiła ruch, jakby się gotowała do nowego skoku.

Pisarz zbliżył się do niej, mówiąc:

— Na kolana!

— Co!... Ja na kolana?... — krzyknęła Joanna. — Ja, Wależjanka, mam paść na kolana?

— Taki jest rozkaz — odrzekł nachylając się nad nią.

— Ależ — zaprzeczyła Joanna — chyba nie znasz pan prawa, Wysłuchania wyroku na kolanach wymagają od osób, skazanych na publiczne przyznanie się do winy.

— No i co?

— Nikomu nie każą wyznawać winy publicznie, jeżeli nie skazany jest na karę hańbiącą. A, o ile mi wiadomo, wygnanie nie jest karą hańbiącą.

— Przecież nie powiedziałem pani, że jesteś skazana na wygnanie — odpowiedział ponuro pisarz.

— Mów więc pan, jakiej kary mam się spodziewać?

— Tego się pani dowiesz, gdy padniesz na kolana.

— Nigdy! Nigdy!

— Ależ, pani, jest to pierwszy warunek, który musi być dopełniony. Uprzedzam panią. Pierwszy artykuł instrukcji opiewa, że jeśli skazany nie zechce uklęknąć, będzie zmuszony siłą.

— Jak to, użylibyście siły względem kobiety?

— Tam gdzie chodzi o zadośćuczynienie sprawiedliwości i oddanie należnego szacunku królowi, nie możemy brać w rachubę, czy obwiniony jest kobietą czy mężczyzną.

— Nigdy! Zechciej mi, pani, oszczędzić przykrości, w razie bowiem uporu z pani strony będę się musiał uciec do środków gwałtownych.

— Nigdy!

Pisarz złożył papiery i wyjął z kieszeni inne, jakby je miał w pogotowiu.

Następnie przeczytał rozkaz prokuratora generalnego do sił policyjnych o konieczności użycia siły, by uczynić zadość prawu.

Joanna wcisnęła się w kąć celi i sądziła, że ujrzy za chwilę bagnety ukrytych za drzwiami żołnierzy.

Ale pisarz nie kazał nawet drzwi otworzyć, dał tylko znak swoim ludziom. Ci zbliżyli się automatycznie jak owe maszyny wojenne, których używa się do rozbijania murów.

Chwycili Joannę pod ręce i zaciągnęli ją aż na środek sali, pomimo jej oporu i wycia.

Pisarz usiadł obojętnie i czekał.

Joanna nie zauważyła, że szamocąc się przyklęła. Pisarz wstał.

— Dobrze — rzekł.

Na te słowa rzuciła się w bok z głośnym krzykiem.

— Zaprześć pani tych krzyków, nic nie słyhać za drzwiami, zresztą nie będziesz pani słyszała wyroku.

— Pozwól pan, że wysłucham go stojąc, a wtedy nie naruszę spokoju — odrzekła zdyszana Joanna.

— Kiedy winowajca skazany jest na chłostę — rzekł pisarz — a jest to kara zaliczona do hańbiących, musi wysłuchać wyroku kłęcząc.

— Chłosta! — wrzasnęła. — Chłosta! Ja na chłostę?

— Ach, nikkzemny! O ty, nędzniku!

Wrzaski jej były tak głośne, że klucznik, pisarz i dwaj świadkowie potracili głowy i nie wiedzieli, jak zabrać się do poskromienia tej rozszałej.

Rzucili się na nią, chcąc ją obezwładnić, lecz zwycięsko wyszła z tych zapasów. Chcieli zgiąć jej kolana, wyprężyła się jak sprężyna stalowa. Zawieszona w powietrzu, rzucała się i wierzgała na wszystkie strony.

W końcu podzielili między siebie role: jeden trzymał ją za nogi jak w kleszczach, dwaj porwali za ręce. Wszyscy trzej wołali, by pisarz przeczytał wyrok.

— Czytaj pan, czytaj, bo nigdy nie skończymy z tą bestią.

— Nie pozwolę nigdy odczytać sobie wyroku, który mnie na hańbę skazuje! — krzychała, wrywając się z nadludzką siłą.

I wprowadzając w czyn swe pogróżki, zaczęła wyć tak nieludzko, że hałas ten zagłuszył słowa pisarza. Nie dosłyszała ani słowa. Pisarz odczytał, co należało; zwinął papiery i włożył je do kieszeni.

Joanna sądząc, że już więcej nic nie usłyszy, usiłowała wydostać się z rąk swych prześladowców. Śmiała się teraz jeszcze okropniej niż przedtem, wyła.

— Egzekucja — ciągnął dalej pisarz, jakby wypowiadał jakąś banalną formułkę — odbędzie z na placu skazańców. — Publicznie! — jęknęła nieszczęsna.

— Panie, oddaję ci tę kobietę — dokończył pisarz, zwracając się do człowieka opasanego fartuchem.

— Kim jest ten człowiek? — krzychała Joanna w paroksyzmie wściekłości.

— Kat — odrzekł pisarz, bawiąc się mankietami.

Nie dokończył słów tych, gdy naraz dwóch pomocników rzuciło się na Joannę i unosząc ją w górę zwróciło się w stronę ukrytych drzwi. Joanna stawiała opór niesłychany, szamotała się rozpaczliwie. Bita, nie chciała się poddać; wrzeszczącą wywlekli wreszcie na korytarz.

Poza furta, gdzie żołnierze powstrzymywali cisnące się tłumy, ukazał się mały dziedziniec, zwany podwórcem sprawiedliwości. Dwa do trzech tysięcy ludzi oczekiwało na wykonanie wyroku.

Na podniesieniu, wznoszącym się na osiem stóp, sterczał słup czerwony z żelaznymi obręczami, u góry przymocowana była kartka z napisem, który zapewne z rozporządzenia władzy był nieczytelny. Wzniesienie to było zupełnie bez poręczy, wejście na nie prowadziło po wąskich schodach, pozbawionych także oparcia. Jedyną balustradę stanowiły bagnety siepaczy.

Oddzielały one, jak płot, miejsce kaźni od publiczności.

Tłum widząc, że bramy pałacu otwierają się, że komisarz idzie na przodzie torując drogę i pisarz kroczy za nim niosąc zwój papierów, zafalował. Wrzaski: „To ona! To ona!” rozlegały się po całym placu, a towarzyszyły im niezbyt wytworne epitety dla skazanej i nie bardzo pochlebne dla sędziów.

Joanna wybrała sobie doskonały sposób postępowania.

Chcąc zjednać sobie sprzymierzeńców, wystąpiła w roli antagonistki królowej i, wyznać trzeba, że dopięła swego.

Ci, którzy dowiedzieli się, że podjęła nierówną walkę z królową, rehabilitowali ją w swym pojęciu.

Ale pan de Crosne wszystko przewidział.

Pierwsze rzędy zajęte były przez osoby, które przyszły na to smutne widowisko za biletami.

Można tam było spotkać przedstawicieli wszystkich sfer — barczystych agentów, urzędników w szelnie zapiętych mundurach, jak i zagorzałe zwolenniczki kardynała de Rohan.

Wszystko to przygotowano w sposób nader sprytny.

Namiętności przeciwko królowej zużytkowano na jej własną korzyść. Ci nawet, którzy przez nienawiść do królowej oklaskiwali kardynała de Rohan, na widok pani de la Motte nie mogli powstrzymać się od sykania.

Z ust tysięcznych tłumów wydobył się zgodnych echem jeden okrzyk:

— Precz z la Motte! Precz z fałszerką!

W tej zbitej masie znaleźli się wszakże i tacy, co trzymali stronę Joanny i chcieli głośno wyrazić swoje oburzenie na niesprawiedliwość wyroku. Głosy ich wytwarzały piekielny hałas i mieszając się z innymi, były brane za manifestację przeciwko skazanej.

Siły Joanny były już na wyczerpaniu, lecz wściekłość jej nie osłabła: Przestała krzyżeć, bo krzyki jej ginęły w ogólnej wrzawie, chwilami tylko wyrzucała z siebie kilka słów, które przykuwały uwagę tłumu.

— Czy wiecie, kto ja jestem? Czy wiecie, że w żyłach moich płynie krew królewska? Czy wiecie, że poddając mnie karze, wydajecie wyrok nie na zbrodniarkę, tylko na rywalkę a nawet współniczkę?

Tutaj głos jej zagłuszony został przez najsprytniejszych agentów pana de Crosne.

Słowa jej wywarły jednak na tłumie pewne wrażenie. Jeśli nie współczucie — obudziła się przynajmniej ciekawość. Jest to u ludu żądza nienasycona.

Joanna spostrzegła, że zapanowało milczenie i pomyślała, że musi przemówić.

— Uwaga — szepnął jej do ucha pisarz sądowy. Odwróciła się i ujrzała, że kat trzyma kańczug w ręku.

Na ten widok Joanna zapomniała o wszystkim, nie pamiętała, że chodziło jej o zjednanie sobie gawiedzi, nie widziała nic przed sobą i głosem rozdzierającym poczęła wołać:

— Łaski! Łaski!

Szydercze wycie tłumów było dla niej jedyną odpowiedzią. Wtedy, dobywając sił ostatka, podniosła się trochę i schwyciła swego prześladowcę za rękę, chcąc zatrzymać narzędzie kary.

Lecz usiłowania były próżne, bicz opadł na plecy skazanej.

Zauważyła, że ją oszczędzano: to spostrzeżenie umocniło ją na duchu. W nowym ataku wściekłości rzuciła się na swego oprawcę. Nagle cofnęła się.

Kat trzymał w ręku rozpalony żelazny pręt. Zar pręta zmusi! Joannę do uchylenia się.

— Piętnowana? — zawyła. — Piętnowana? Tłum odpowiedział krzykiem.

— Na pomoc! Na pomoc! — poczęła wołać Joannę, usiłując wyswobodzić się z krepujących ją więzów.

Tymczasem kat rozrywał jej suknię, nie mogąc rozpiąć guzików: jedną ręką odsłonił miejsce огоłocone z ubrania, drugą starał się ująć rozpalone żelazo, które mu podawał jego pomocnik.

Ale Joanna nie dała za wygraną, odpychała od siebie kata, walcząc do upadłego.

W końcu kat, podrażniony już w swej dumie osobistej, zaczął się niepokoić, czy tłum nie zacznie go lżyć.

Tłum podziwiał; jednakże rozpaczliwą walkę kobiety.. Oczekiwano z niecierpliwością dalszego ciągu.

Chwilowo zapanowała cisza; pisarz zszedł ze schodów, żołnierze milcząco przypatrywali się temu widowisku. Oczekiwano czegoś nadzwyczajnego.

— Skończyć tam już raz! — zawołał, ktoś z pierwszych rzędów.

Snadź była to osoba wysoko postawiona, bo kat poznał jej głos i złapawszy Joannę z nadzwyczajną siłą zgiał w pół i przycisnął do ziemi.

Podniosła głowę z oczyma bardziej pałającymi aniżeli rozpalone żelazo i krzyknęła głosem, który wszystko zagłuszył:

— Francuzi, jesteście tchórzami, jeżeli możecie pozwolić, aby mnie w ten sposób męczono!

— Stul gębę! — krzyknął urzędnik.

— Milczeć? I cóż wy mi więcej zrobicie? Cierpię tę hańbę, to moja wina.

— Ach, ach! — wrzeszczał tłum, fałszywie rozumiejąc znaczenie tych słów.

— Milczcie — dodał już nieco spokojniej pisarz,

— Tak, to moja wina — ciągnęła Joanna — bo gdybym chciała wszystko powiedzieć... gdybym chciała podać wszystko do wiadomości ogółu, co wiem o królowej, nie zhańbiliście mnie: kara ta byłaby za mała. Zostałabym powieszona.

Więcej powiedzieć nie zdołała, bowiem komisarz w towarzystwie dwóch agentów wpadł na szafot, zakneblował jej usta i w takim stanie oddał w ręce oprawców.

Kat chwycił rozpalone żelazo.

Ale Joanna, korzystając z tego, iż tylko jedną ręką mógł przytrzymać jej głowę, wyrwała się i rozjuszona rzuciła na kata.

Straszne narzędzie wysunęło się nagle i opadło na prawą pierś.

Ciało zadymiło z sykiem. Pomimo knebla z ust nieszczęśliwej wyrwał się skowyt. Chyba nigdy jeszcze z piersi ludzkiej nie wydobył się podobny głos.

Nadmiar cierpień zwałił Joannę z nóg. Tym razem rzeczywiście zemdląca.

Kat wziął ją na plecy i począł schodzić po schodkach, niepewnie stawiając kroki.

Tłum przypatrywał się całej tej scenie w niemym zdumieniu i nie opuścił swych miejsc, dopóki nie zobaczył, że wrota, przez które Joanna została wyniesiona, zamknęły się za nią. Spodziewano się jakiegoś epilogu tej dramatycznej sceny, którą urządził parlament.

Policja od pierwszej chwili zwracała na wszystko tak baczną uwagę, że nierozsądnie byłoby sprzeciwiać się jej w czymkolwiek.

Gdziekolwiek tylko odzywały się głosy niechętne, ale w sposób nadzwyczaj umiarkowany.

Wkrótce zupełna cisza zaległa opustoszały plac. Po przeciwległej stronie mostu zatrzymało się tylko dwóch mężczyzn, którzy prowadzili ze sobą następującą rozmowę.

— Jak sądzisz, czy osobą napiętnowaną przez kata, była istotnie pani de la Motte?

— Tak mówią, lecz ja wątpię — odrzekł wyższy z rozmawiających.

— A więc zgadzasz się, że to nie ona — mówił drugi mężczyzna, niepozorny, z oczyma sowy i włosami krótko przystrzyżonymi. — Poplecznicy tych tyranów mogli oszczędzić swoją współniczkę. Ażeby zrzucić winę z Marii Antoniny, wyszukali jakąś pannę Oliwię, która przyznała się, iż jest osobą niezbyt moralnego prowadzenia się; mogli także wynaleźć jakąś panią de la Motte, która potwierdziła zarzut, iż jest fałszerką. Na to mi pan zapewne odpowiesz, że wypalono hańbiące piętno? Jest to taka sama komedia jak wiele innych, tylko bardziej kosztowna. Zapłacono ofierze i katowi — ot i wszystko.

Towarzysz słuchał go, kiwając głową. Od czasu do czasu uśmiech pojawiał się na jego ustach, jednakże milczał.

— No więc, jak mi pan na to odpowie? — zapytał młody człowiek o brzydkiej twarzy. — Nie podziela pan moich poglądów w tym względzie?

— Ja — odezwał się drugi — nie pójdę tą drogą, zbyt niepewna.

— Ha! W takim razie postąpisz pan tak, jak robi wielu gapiów: utrzymywać będą, iż widzieli na własne oczy, jak piętnowano panią de la Motte. Nie mogę zrozumieć, jak można być tak niekonsekwentnym. Przed chwilą twierdziłeś pan, że to na pewno nie była pani de la Motte.

— Ja to i teraz twierdzę — odpowiedział z uśmiechem młody człowiek — bo nie jest to zbrodniarka, o której mówisz.

— W takim razie, kogóż napiętnowano tam na placu, jeśli nie była to pani de la Motte?

— Królowę — odparł młody człowiek ostro i uśmiechnął się znacząco do swego towarzysza.

Ten, zanosząc się od śmiechu i klaszcząc w dłonie, rozejrzał się dokoła.

— Bądź zdrów, Robespierre — rzekł po chwili.

— Bądź zdrów, Marat. Rozeszli się.

XCVIII. ŚLUB

W samo południe w dniu egzekucji król wyszedł ze swego gabinetu w Wersalu i pożegnał cierpko pana hrabiego Prowansji.

— Mój panie, już czas na mszę, muszę być na ślubie. A dajże mi święty spokój, proszę, z tymi wszystkimi oszczędnościami, powinnościami.. To mi brzmi jak złe pożycie, ot i wiesz, zły byłby to prognostyk dla nowożeńców, których kocham i którymi będę się opiekował.

Hrabia Prowansji zmarszczył czoło, lecz uśmiechnął się po chwili i nisko skłonił.

Król idąc przez galerię i mijając rozproszonych dworzan uśmiechał się do jednych, a z góry spoglądał na drugich; promieniał bądź chmurzył się, stosownie do tego, jakie zajmowali stanowisko wobec sprawy osądzonej już przez parlament.

Strojna, otoczona damami dworu i notablami, królowa oczekiwała w salonie.

Śmiertelnie blada pod warstwą rózu Maria Antonina z udanym zajęciem słuchała pani de Lamballe i pana de Calonne, którzy rozpluwając się w grzecznościach pykali o zdrowie. Słuchała, ale ukradkiem spoglądała ku drzwiom jak ktoś, kto pała pragnieniem oglądania, a jednocześnie lęka się widoku.

— Sa Majeste!

Głos gwardzisty targnął zebranych. W drzwiach stanął Jego Królewska Mość Ludwik XVI, świetny w tęczy haftów i koronek, rozpromieniony. Oczywiście szukał Manili Antoniny.

Królowa wstała i postąpiła trzy kroki na powitanie monarchy, który z galanterią pocałował ją w rękę.

— Jakże dziś uroczu wyglądasz — rzekł. — Piękna jesteś, pani.

Uśmiechnęła się smutno i w dalszym ciągu wzrokiem szukała czegoś wśród tłumu.

— A gdzie są nasi nowożeńcy? Już południe!

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała królowa z gwałtownym wysiłkiem. — Przybył dopiero pan de Charny, czeka w galerii aż otrzyma zezwolenie na wejście.

— Charny! — powtórzył król, nie zważając na wymowne milczenie, które zapanowało po słowach królowej. — Jest pan de Charny, niechże wchodzi.

Paru dworzan wyszło po narzeczonego. Królowa z nerwowym drzeniem przyłożyła dłoń do serca i usiadła tyłem do drzwi.

— Jak to! — odezwał się znowu król. — Bije południe, a panny młodej coś nie widać.

W tej chwili w drzwiach ukazał się pan de Charny i słysząc ostatnie słowa króla, odpowiedział.

— Raczy Wasza Królewska Mość wybaczyć. Panna de Ta — verney od śmierci swego ojca nie opuszczała łóżka i dziś wstaje po raz pierwszy. Byłaby już stawiała się na rozkazy Najjaśniejszego Pana, gdyby nie nagłe omdlenie.

— To dobre dziecko, bardzo kochała ojca — oświadczył król dobitnie — ale ponieważ dostaje kochającego męża, miejmy nadzieję, że się pocieszy.

Królowa słuchała, a raczej słyszała, nie dając znaku życia. Kto by spojrział na nią, widziałby, jak krew odpływa jej z twarzy.

Na widok magnatów i duchowieństwa gromadzących się w salonie, król podniósł dumnie głowę.

— Panie de Breteuil, czy przygotowałeś rozkaz wygnania Cagliostro?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie — odparł minister.

W sali było tak cicho, że można by usłyszeć westchnienie śpiącego ptaka.

— A tę la Motte, która mieni się z rodu Walezjuszów — zapytał król donośnie — czy to dzisiaj piętnują?

— W tej chwili, Najjaśniejszy Panie, powinno się to odbyć — odparł kanclerz państwa.

Z oczu królowej posypały się iskry. Po salonie przebiegł szmer, który miał być aplauzem. Ludwik XVI mówił dalej twardo, z uporem dotąd u niego nie spotykanym.

— Panu de Rohan będzie przykro, gdy dowie się, że piętnują, jego współpraczkę.

Jego współpraczkę. Słowa te były potępieniem jako złodzieja i fałszerza — oskarżonego, którego sąd uniewinnił — pohańbieniem jednego z pierwszych książąt kościoła i jednego z pierwszych panów Francji, bożyszczą paryżan. W obronie honoru swej małżonki tymi słowami król rzucał oficjalne wyzwanie duchowieństwu, szlachcie, parlamentowi, narodowi całemu. Takiej potęgi gniewu i takiego majestatu nie widziano w spojrzeniu monarszym od czasu, gdy zamknęły się na zawsze oczy Ludwika XIV.

Nawet szept najłżejszy nie potwierdził tej zemsty na wszystkich, którzy zmówili się w celu zniesławienia monarchy. Król zbliżył się do królowej i podał jej obie ręce, które uściśnęła na znak głębokiej wdzięczności.

W tej chwili ukazali się w końcu galerii Filip de Taverney, podtrzymujący bladą jak zjawa siostrę w powłóczyście stroju ślubnym. Andrea szła prędko, wzrok miała błędny, pierś jej falowała, nie widziała nikogo, nic nie słyszała. Kierowała nią opiekuńcza ręka brata.

Dworzanie uśmiechem powitali narzeczoną. Damy ustawiły się za królową, panowie stanęli za królem.

Pan bailly de Suffren, trzymając za rękę hrabiego Oliwiera de Charny, podszedł i powitał pannę de Taverney i jej brata, a następnie przyłączył się do grupy krewnych i przyjaciół.

Filip nie spojrzał nawet na Oliwiera i nie dał żadnego znaku Andrei.

Dopiero gdy doszli do króla, Filip lekko przycisnął rękę siostry, a ta, jak zbudzona z letargu, otworzyła szeroko oczy i ujrzała Ludwika XVI uśmiechającego się dobrotliwie.

Wśród pochwalnego szmeru na znak podziwu dla jej urody powitała monarchę przepisowym głębokim dygiem.

— Panno Andreo de Taverney — rzekł król biorąc ją za rękę — musiałaś odłożyć ślub z panem de Charny aż do ukończenia żałoby; pan de Charny poczekałby może jeszcze miesiąc, pomimo serdecznej niecierpliwości, dlatego żeś pani cierpiąca, co i mnie zasmuca, ale chciałem być świadkiem szczęścia szlachcica, tak wiernego w mej służbie. Gdybyś go, pani, dziś nie poślubiła, nie mógłbym być obecny przy waszym ślubie, albowiem jutro z Jej Królewską Mością udaję się w podróż po Francji. Pokłoń się, pani, królowej, bo szczególne miała o tobie staranie.

I sam zaprowadził ją do Marii Antoniny. Królowa wstała, nogi ugięły się pod nią, ręce miała lodowate. Nie śmiała podnieść oczu, widziała tylko, że coś białego zbliża się i schyla. Król oddał rękę narzeczonej Filipowi, sam podał ramię królowej i rzekł głośno:

— Do kaplicy, panowie!

Msza zaczęła się natychmiast. Królowa słuchała jej pochylona na klęczniku, z głową ukrytą w dłoniach. Modliła się z całej duszy swojej, ze wszystkich sił swoich.

Pan de Charny, blady i piękny, stał pod ciężarem wszystkich spojrzeń spokojny i wyprostowany jak na okręcie w ogniu brytyjskich kartaczy, tylko cierpiał daleko więcej.

Filip patrzył na siostrę drżącą i ślaniającą się, gotów w każdej chwili przyjść jej z pomocą gestem i słowem przyjaźni lub pociechy.

Lecz Andrea nie zawiodła, głowę trzymała wysoko, a choć wahała co chwila flakonik z solami orzeźwiającymi, choć chwiała się jak zamierający płomyk świecy, siłą żelaznej woli — stała i żyła. Nie korzyła się przed Panem, nie zanosila modłów o szczęście, niczego nie spodziewała się, niczego nie lękała — dla ludzi i dla Boga była niczym.

— Nie — powiedziała sobie — nic, ani prawa boskie, ani sprawy tego świata mnie nie dotyczą. Tak, przeklęta byłam już w łonie matki, a rodząc się wyjęta zostałam spod praw ludzkich.

Myśl jej pobiegła w przeszłość.

— Dziwne, zaiste dziwne! Tuż obok mnie stoi człowiek, za chwilę padnie jego imię. Dawniej na sam dźwięk tego imienia umarłabym ze szczęścia. Gdyby człowiek ten przyszedł łunie prosić o rękę dla mnie samej, musiałabym paść mu do nóg i błagać o przebaczenie za błąd dawniejszy, błąd bez winy... a on, którego ubóstwiałam, on może by mnie odtrącił. Dziś ten człowiek mnie zaślubia i będzie mnie na klęczkach prosił o przebaczenie. A ja... Dziwne, o, bardzo dziwne!

W lej chwila usłyszała głos kapłana:

— Jerzy Oliwierze! Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę wziąć tę oto Marię Andreeę za małżonkę?

— Tak — odpowiedział mocnym głosem Oliwier.

— A ty, Mario Andreo, czy masz...

— Tak — niemal krzyknęła Andrea. Spazmatyczna intonacja jej głosu zwróciła uwagę niejednej z obecnych dam, królowa była wstrząśnięta.

Charny włożył na palec żony obrączkę, a uczynił to tak delikatnie, że Andrea nie poczuła dotknięcia jego ręki.

Msza skończyła się i król powstał. Cały dwór zebrał się w galerii, by złożyć życzenia nowożeńcom.

Pan cle Suffren uściskał rękę swej nowej siostrzenicy i w imieniu Oliwiera przyrzekł jej szczęście małżeńskie, na które zasługiwała.

Andrea podziękowała ponuro i prosiła wuja, aby zaprowadził ją do króla, chciała i jemu podziękować, a czuła się słaba. Istotnie twarz jej powlokła się przerażającą bladością.

Charny widział ją z daleka, lecz nie miał odwagi podejść.

Komandor przeprowadził Andreeę przez wielki salon do króla, który złożył na jej czole pocałunek i rzekł:

— Pani hrabino, wejdź do królowej; Jej Królewska Mość pragnie wręczyć ci prezent ślubny.

Po tych słowach król oddalił się, zabierając ze sobą dworzan, a panna młoda, wystraszona i zrozpaczona, pozostała na chwilę z Filipem.

— Och, Filipie — szepnęła. — Nie mogę, to za wiele, Filipie, chyba już dosyć przeżyłam.

— Odwagi, siostrzyczko, to ostatnia próba.

— Nie mogę — odparła. — Nie wytrzymam. Siły kobiety nie są bez granic; może zrobiłabym to, czego żądają, ale pamiętaj, Filipie, jeśli ona przemówi do mnie, jeśli zacznie mi wieszować!... Umrę!

— Umrzesz, jeśli trzeba, moja siostro — rzekł miody człowiek — a wtedy będziesz ode mnie szczęśliwsza, gdyż ja chciałbym już nie żyć.

Wygłosił te słowa tak ponuro i z taką udręką, że Andrea z determinacją rzuciła się ku drzwiom prowadzącym do pokoju królowej.

Przechodzić musiała obok Oliwiera, który przylgnął do ściany, bojąc się dotknąć nawet sukni swej żony.

Pozostał sam na sam z Filipem; obaj w milczeniu, ze spuszczoneymi głowami oczekiwali na wynik rozmowy królowej z Andreeą.

Maria Antonina czekała w dużym gabinecie. Pomimo czerwcowego upału na kominku płonął ogień. Królowa siedziała na krześle z głową przechyloną do tyłu, oczy miała zamknięte, a ręce złożone jak na łożu śmierci. Drżała.

Pani de Misery wprowadziła Andreeę, zasunęła kotarę i wyszła.

Andrea stała na progu drżąc z gniewu i osłabienia.

Czekała na słowa królowej, jak skazany czeka na topór, który przeciąć ma jego życie.

Minęła minuta — cały wiek najokropniejszych katuszy; i królowa wreszcie poruszyła się.

Wstała i opierając się o poręcz krzesła wzięła ze stołu kartkę papieru, która jej kilkakrotnie wyslizgiwała się z drżących palców. Posuwając się jak cień, bez słowa podeszła do Andrei i podała jej kartkę.

W spotkaniu dwóch serc słowa były zbyteczne. Maria Antonina nie mogła wątpić w prawość Andrei, pani de Charny w wielkoduszność królowej.

Można by domyślać się, że papier ten jest aktem darowizny, wielkiego posagu czy dóbr ziemskich albo też patentem na wysoki urząd dworski, lecz Andrea odgadła, że chodzi o coś innego. Wzięła kartkę i nie ruszając się z miejsca, czytała:

„Andrea! Uratowałaś mnie. Zawdzięczam ci mój honor. Do ciebie więc należy moje życie. W imię tego honoru, za który tak drogo zapłaciłaś, przysięgam ci, że możesz mnie nazywać siostrą. Spróbuj, a przekonasz się, że się nie zarumienię.

Pismo to składam w twoje ręce, jako dowód mej wdzięczności, jest to posag, który ci daję.

Serce twoje najszlachetniejsze ze szlachetnych potrafi zrozumieć dar, który ci ofiaruję.

Marie Antoinette de Lorraine — d’Autriche”

Ręce królowej opadły, oczy wilgotne od łez podniosły się zwolna na Andree, z głową spuszczoną czekała na odpowiedź.

Andrea spojrzała, powoli podeszła do kominka i przyłożyła list królowej do żarzących się węgielków. Potem złożony głęboki ukłon bez słowa wyszła z gabinetu.

Maria Antonina chciała iść za nią, zatrzymać ją, lecz hrabina, niezłomna, zostawiając nie domknięte drzwi podeszła do brata, który czekał w sąsiednim salonie. Królowa stanęła na progu i odchyliła kotarę, zobaczyła, że Filip przywołał Charny’ego i rękę jego włożył w dłoń siostry.

Charny oddalił się jak oblubieniec śmierci, którego uprowadza widmo.. Odchodził widząc bladą twarz Marii Antoniny, która patrzyła, jak każdy jego krok oddala go od niej na zawsze. Tak jej się przynajmniej zdawało..

Przy bramie pałacowej czekały dwa powozy.

Hrabina wsiadła do pierwszego, a gdy Charny chciał wsiąść za nią, rzekła;

— Zdaje się, że pan wyjeżdża do Pikardii?

— Tak, pani — odparł Charny.

— A ja pojedę w strony, gdzie umarła moja matka. Żegnam, panie hrabio.

Charny skłonił się w milczeniu. Andrea odjechała sama.

— Czy zostałeś pan ze mną, by mi oznajmić, że jesteś moim wrogiem? — zapytał Oliwier Filipa.

— Nie, panie hrabio — odparł Filip. — Nie jestem twoim wrogiem, ponieważ jesteś moim szwagrem.

Oliwier podał mu rękę, wsiadł do drugiego powozu i także zniknął.

Filip, wylamując palce aż do bólu, spojrział w niebo i powiedział półgłosem:

— Boże! Czy dla tych, którzy na ziemi spełniają swą powinność, znajdzie się w niebie trochę radości?

Radości — powtórzył spojrzawszy po raz ostatni na zamek. — Ja mówię o radości? Dla mnie i w Bogu jej nie masz. Gdzież jest to serce kochające, które by na mnie czekało, na mnie, którego nikt na ziemi nie kochał.

Bez gniewu, z łagodnym wyrzutem chrześcijanina, co zważył, spojrział jeszcze raz ku niebu i znikł jak Andrea, jak Charny. Znikł w kurzawie huraganu, który wstrząsnął tronem i rozwiął w nicość honor i miłość tylu osób.